

Stella Chaplin

Koniec Zdjęć

Przekład Edyta Jaczewska

Rozdział 1

Denerwujesz się? – Troszkę.

– Nie trzeba. My wszyscy też się troszkę denerwujemy.

Emma uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale pozostałe osoby za stołem od rana zdążyły usłyszeć ten dowcip już jedenaście razy i nie było im do śmiechu.

– Popatrz w tę stronę.

Błysk flesza uchwycił twarz Emmy w chwili, gdy miejsce przymilnego uśmiechu zajęło kompletne zaskoczenie. Ciemnowłosa kobieta w czarnej sukience przypięła zszywaczem jeszcze nie do końca wywołane polaroidowe zdjęcie do CV Emmy. To była największa zaleta tego CV. Zostało tam jeszcze mnóstwo miejsca, chociaż Emma spisała wszystkie swoje hobby, zainteresowania, uzdolnienia i

osiągnięcia, żeby było jak najdłuższe.

– Możesz się teraz obrócić w lewo? I w prawo? Popatrz przed siebie.

Emma znów się uśmiechnęła do mężczyzny siedzącego przed nią na środkowym krześle. Był tu chyba szefem.

– Opowiem ci co nieco o tym filmie – powiedział. – To historia miłosna, a zarazem thriller. Istny roller coaster humoru i akcji. Z muzyką. A ciebie dziś przesłuchujemy do roli dziewczyny Eddiego, Roxanne. Eddie chce zostać gwiazdą rocka, a ty go kochasz. Jak szalona. Namiętnie. Oddałabyś życie za Eddiego. Dla tego człowieka mogłabyś zabić. Jest dla ciebie wszystkim.

Jest twoim słońcem, twoim księżycem, twoim wszechświatem. Rozumiesz?

Emma pokiwała głową. Nie mogła sobie przypomnieć, czy ten drugi facet w błękitnej koszulce przedstawiał się jako

reżyser czy producent. Na wszelki wypadek do niego też się uśmiechnęła, ale usiłował wpiąć jakieś papiery do segregatora i nie podnosił oczu.

– No to jedziemy. Graj tak, jak ci podpowiada intuicja. Odpręż się. Ja będę podrzucał ci kwestie Eddiego. Gotowa? – Emma znów kiwnęła głową i głośno przełknęła ślinę. – Kamereę po prostu zignoruj. Udawaj, że jej tu nie ma.

Wypił łyk wody i odsunął kosmyk ciemnych kręconych włosów, który opadał mu na czoło.

– To nie ma sensu, Roxanne – przeczytał. – Chciałbym cię kochać, ale nie potrafię. To nie twoja wina. Chodzi o mnie.

– Ależ Eddie!

– Dobrze... Dziękujemy, Emmo. Bardzo ładnie poszło. Czy masz teraz do nas jakieś pytania?

Emma przebiegła wzrokiem trzy przyglądające się jej osoby i w głowie poczuła pustkę. Czekali, żeby coś powiedziała.

– Kiedy pokażą ten film w telewizji? – spytała.

– To film kinowy – wyjaśnił mężczyzna ze środkowego krzesła. – Na duży ekran. Czy wychodząc, możesz poprosić następną kandydatkę?

Emma otworzyła drzwi i wysoka dziewczyna o długich ciemnych włosach i sennych oczach podniosła się z pierwszego zielonego krzesła na korytarzu, żeby zająć jej miejsce. Na zewnątrz czekało jeszcze sześć dziewczyn. Wachlowały się swoimi CV, prezentowały smukłe nogi w krótkich spódniczkach albo obcisłych spodniach, żuły gumę albo paliły i słuchały Moby’ego na swoich discmanach. Podniosły oczy na przechodzącą Emmę, uważnie taksując ją

wzrokiem, a jednocześnie starały się udawać, że wcale jej się nie przyglądają.

– O co cię pytali? – zagała jedna z dziewczyn.

Miała olśniewający uśmiech, niebieski top z amerykańskim dekoltem i długie jasne włosy. Przedłużki, zdecydowała Emma. Całkiem niezła robota.

– Nie pamiętam.

– Och, na pewno dostaniesz tę rolę – westchnęła blondynka, poklepując ją po ramieniu.

Emma bezbłędnie rozpoznawała ten typ – prosto ze szkoły teatralnej Sylvii Young, absolutnie pewna, że dostanie rolę, tym bardziej ostentacyjnie starała się demonstrować wsparcie dla wszystkich konkurentek. Równie dobrze mogła być córką Ridleya Scotta.

– Dzięki – powiedziała Emma i zaczęła schodzić cztery piętra w dół do wyjścia na

Dean Street. Najpierw szła powoli i spokojnie, potem, kiedy minęła już pierwsze półpiętro, rzuciła się biegiem po schodach z gołego betonu. Na starej komodzie przy wejściu leżała sterta poczty i kiedy potężnym szarpnięciem otworzyła drzwi, połowa sfrunęła na posadzkę.

– To było straszne. Straszne, straszne, straszne! – jęknęła.

Dwa słowa. Dlaczego musiała je wymówić akurat ze szkockim akcentem? „Ależ Errrr-diiii!” No i zmarnowała szansę. Powinna się była częściej uśmiechać. Dlaczego nie zapytała ich o postać, którą miała zagrać? Może powinna to była powiedzieć z akcentem z Newcastle. Albo z Liverpoolu. Wszyscy uwielbiają liverpoolczyków.

Obiecała Irenej, swojej agentce, że zadzwoni i opowie jej, jak poszło. Ale, jak zwykle, odezwała się automatyczna

sekretarka, której Irene nie umiała włączać jak trzeba i nigdy nie było wiadomo, czy wiadomość się nagrała, czy nie. Zadzwoiła więc do Jasona.

Jason był jej chłopakiem, a w dodatku prawdziwym aktorem. Albo, mówiąc ściślej, był aktorem, który ma pracę. Właściwie nie dysponował żadnym formalnym aktorskim wykształceniem, ale pracował kiedyś jako model – „na wybiegu i bardzo często w Japonii”, o ile ktoś pytał; jeśli żądał dowodów, prezentował broszurkę na sezon zimowy biura podróży Lunn Poly – co stanowiło wszelkie kwalifikacje potrzebne do pracy na planie *Shelby Square*. Grał w tej operze mydlanej dla nastolatków już drugi sezon i zaczynał się cieszyć pewną niewielką dozą popularności, co bardzo Emmę cieszyło. Ale *Shelby Square* kręcono w Sheffield, fatalna sprawa, bo w efekcie Emma mogła

go widywać wyłącznie w weekendy. Jedną z jego fotek z czasów kariery modela przykleiła sobie skoczem z tyłu komórki.

– Cześć, kotku! – pisnęła, kiedy odebrał.
– Właśnie wyszłam.

– Skąd wyszłaś? – najwyraźniej coś żuł.

– Z przesłuchania. Co jesz?

– Rogalika z szynką i serem. Jak ci poszło?

– Okropnie. Chyba im się nie spodobałam.

– Jak mogłaś im się nie spodobać? Jesteś świetna.

Emma uśmiechnęła się, chociaż z góry wiedziała, co powie Jason. Powtarzali identyczną rozmowę co dwa-trzy tygodnie – a czasem częściej, jeśli Irenę akurat przesadziła z ilością cukru w diecie i porozsyłała jej CV faksem po całym kraju.

– Masz wielkie szczęście, że nie musisz chodzić na przesłuchania – westchnęła. –

Mógłbyś zostać w *Shelby Square* na zawsze, gdybyś tylko chciał.

– No cóż, nie pozwól się zdołować. Nie chodziło o dużą rolę, prawda? Co to miało być, dwie linijki?

– Dwa słowa. Ale to zawsze coś. Powiedzieli, że to film szerokoekranowe. Tylko... to takie przygnębiające, kiedy za każdym razem cię odrzucają, wiesz?

Doszły ją kolejne odgłosy zucia i coś, co brzmiało współczująco, ale tego nie zrozumiała.

– Ale... następnym razem się uda, prawda? – podpowiedziała. Teraz mogłaby już całą tę rozmowę przeprowadzić sama, doskonale znała wszystkie odpowiedzi Jasona. – Pewnie niedługo dostanę jakąś absolutnie wspaniałą propozycję i wtedy będę się cieszyła, że ta mnie ominęła, prawda?

– Absolutnie. To po prostu kwestia

zbierania doświadczeń. Normalna krzywa nauki. Musisz nadal próbować, a pewnego dnia uda ci się osiągnąć cel.

Emma spojrzała na zegarek.

– Muszę kończyć. Spóźniam się do pracy. Tęsknię za tobą, kotku. Zadzwońisz do mnie później?

Dochodziła za kwadrans dwunasta. Emma odpięła rower od balustrady i popedałowała przez Soho w stronę Covent Garden, wykrzykując „Tu-tuuut!” na przechodniów, którzy schodzili z chodnika prosto pod koła roweru, jakby nie istniała. Kiedyś miała dzwonek, ale dzieciaki z sąsiedztwa odkręciły go i chociaż słyszała czasami, jak się nim bawią, bała się poprosić o zwrot, bo wyglądały na takie typki, które potem potną jej opony.

Dziesięć minut później wpadła do salonu, poprawiając oklapnięte pod kaskiem włosy.

– Jak poszło? – spytała Donna.

– Nie najgorzej. No, wiesz.

– Jesteś bardzo dzielna. Jak ja nienawidzę dentystów!

– Ja też.

– No cóż, moja klientka na dwunastą już przyszła. – Donna wskazała błyszczącym pisakiem rudowłosą kobietę z wiele mówiącym burym przedziałkiem, która czytała „Tatlera”.

Emma pomogła klientce założyć jedną z firmowych czarnych peleryn i zawiązała troczki za jej plecami.

– Będzie się pani chciała napić kawy? – spytała.

Trzy lata po szkole dramatycznej, a ona nadal pracowała w tym samym salonie, w którym zaczęła dorabiać sobie czasem w soboty i w wakacje. I tyle, jeśli chodzi o karierę. W tym tempie kredyt na studia będzie jeszcze spłacała po sześćdziesiątce.

Od zamiatania podłogi i składania ręczników awansowała do mycia i farbowania włosów, ale na razie najjaśniejsze punkty w jej karierze aktorskiej stanowiła rola dziewczyny chorej na polio w *Szpitalu Holby City* i dwie linijki tekstu w *The Bill*: „Weź pan tę rękę!” i „Nigdy niczego nie zwinęłam!”

– Tobie się wydaje, że ci teraz trudno?!
– powtarzała jej Irene. – Poczekaj, aż ci stuknie czterdziestka! Mam w swojej bazie danych parę najlepszych aktorek w tym kraju, które w wieku trzydziestu ośmiu lat mają już z górki. W porównaniu z nimi twoje kłopoty to drobiazg. Co się stało z tą pracą na pokazach *Ideał Home Show*? Nie powinnaś tak grymasić.

Emma zaczynała się już jednak po cichu zastanawiać, czy Irene jest warta pochwał, których jej nie szczędzono. Poszła do jej biura tylko raz i okazało się, że składa się

ono ze stolika i ręcznej maszyny do pisania w saloniku mieszkania w suterenie w Romford. Kiedy Emma zajrzała do środka przez cienkie firanki, zobaczyła Irenę śpiącą na sofie. Mimo że dochodziło wpół do trzeciej po południu, agentka wciąż miała na sobie szlafrok i spała przy włączonej telewizji i wszystkich światłach, a wkoło niej drzemało sześć z jej jedenastu kotów.

Emma przestała mówić dziewczynom z salonu, że idzie na przesłuchanie – nawet Donnie, swojej współlokatorce. Zaczęła się trochę wstydzić, bo zawsze reagowały na taką wiadomość równie entuzjastycznie jak ona, a potem dopytywały się: „Dostałaś rolę? Dostałaś?” Przygrybiało ją, że musi im wciąż odpowiadać, że nie, tym razem okazała się za młoda albo za stara, albo za niska, albo miała za ciemne włosy. Albo że tak naprawdę szukali kogoś z nazwiskiem.

Miała już dwadzieścia cztery lata i według obliczeń Irene zostało jej tylko szesnaście, a potem będzie miała z górki. A przecież jeszcze niczego nie dokonała! Gdyby nie ten charakterystyczny skok adrenaliny, który czuła przy rzadkich okazjach, kiedy pozwalano jej zagrać – ta wszechogarniająca pewność, że znalazła się we właściwym miejscu i robi ze swoim życiem to, co powinna – może i zaczęłaby się zastanawiać, czy tego wszystkiego nie rzucić. Jedyne, maleńki problem polegał na tym, że tysiące innych bezrobotnych aktorek w Anglii podzielało z nią dokładnie te same odczucia.

Michael, jej szef, tolerował, kiedy się zwalniała, żeby pójść na casting, bo wyobrażał sobie, że sam też ma związki z show-biznesem – chesał czasem policjantów z drogówki i emerytki przed występami w porannych programach

telewizji. Uważał, że jest równie dobry jak Nicky Clarke.

– Dlaczego zwyczajnie nie nakłamiesz?
– zasugerował, kiedy pokazała mu swoje CV. – Czemu nie napiszesz, że grałaś w *Titanicu*? Tam grały tysiące ludzi. Naprawdę sądzisz, że ktokolwiek będzie pamiętał, czy byłaś wśród obsady? Jeśli cię zapytają, jak było, po prostu powiedz im, że mokro i zimno. Z tym się kłócić nie będą.

Irenę też usilnie zalecała kłamstwa.

– Jeśli cię kiedykolwiek spytają, czy umiesz coś robić, mów, że tak – tłumaczyła Emmie. – Jeśli do roli potrzebna jest trzydziestolatka, mów im, że dziś są twoje trzydzieste urodziny. Jeśli potrzebują uczennicy, tłumacz, że skończyłaś dopiero szesnaście lat, ale miałaś trudne życie.

Lecz Emma nie umiała kłamać. Była

najgorszym kłamcą na świecie. Czasami zastanawiała się, czy aktorstwo nie kusilo jej w pierwszym rzędzie dlatego, że zyskiwała jedyną okazję mówienia nieprawdy w taki sposób, że mogło jej to ująć na sucho.

– Tak, chętnie napiję się kawy – odparła klientka. – Nie będzie pani przeszkadzało, że sobie zapalę, prawda?

– Ależ skąd, bardzo proszę – zarumieniła się Emma i stłumiła kaszel, włączając czajnik.

Rozdział 2

Ben rozprostował nogi i zapalił papierosa. Wiedział, że jeszcze zateśni za tym etapem pracy – spokój przed burzą, zanim trzeba zacząć wstawać przed świtem i przez dwanaście godzin dziennie, przez sześć dni w tygodniu podejmować setki błyskawicznych decyzji na minutę, sprzeniewierzając się każdej drogiej sercu artystycznej wizji, bo nigdy nie będzie miał dość pieniędzy, czasu i talentu, żeby nakręcić ten idealny film, który sobie wymarzył.

Wkrótce na własne życzenie dwa miesiące życia spędzi w stanie permanentnego niepokoju, przerażony groźbą opadów deszczu albo tym, że laboratorium porysuje mu negatywy, albo że generator padnie, a on nigdy nie zdoła

skończyć filmu na czas. Ale teraz, w tej chwili, w tej konkretnej sekundzie, wszystko było jeszcze w porządku.

Na przykład, dziś rano mógł koło dziewiątej przyjść spacerkiem do biura, gdzie ochocza asystentka produkcji przyniosła mu podwójną *grande latte* z kawiarni na rogu – a on nie musiał nawet o to prosić. Resztę przedpołudnia spędził, przyglądając się pięknym, oszałamiającym, doskonałym młodym kobietom, które przedefilowały przez jego gabinet, a co najlepsze, absolutnie każda z nich rozpaczliwie chciała mu się spodobać. Szkoda, że będzie musiał położyć kres temu idyllicznemu układowi i faktycznie zabrać się do kręcenia filmu.

– I jak, co o tym myślimy? – zapytała Angela, kierowniczka obsady. – Mnie osobiście podobały się Amber i Sophie.

– To tu była jakaś Amber? – spytał Ben,

przeglądając notatki.

– Nie pamiętam, kogo oglądaliśmy – przyznał Patrick. – Wszystko zlewa się w jakąś uroczą mgłę. Musiałem trzymać papiery na kolanach, żeby nie szturchnąć którejs w oko.

Angela już przewijała taśmę.

– Można? – Zgodziła się poprowadzić casting do tego filmu wyłącznie w ramach osobistej przysługi dla Bena, bo uznała go za wielce rokujący talent i dobrą inwestycję na przyszłość. Nie zwracała sobie głowy Patrickiem McKayem, producentem, którego gwiazda wyraźnie bladła i chyba na zawsze skazywała go na mało dochodowy, skąpy, fajansiarski, niskobudżetowy segment filmowego biznesu.

– Popatrzmy na nie jeszcze raz – powiedziała.

– Przycisz głos – poprosił Ben. – Nie

każ mi słuchać, jak okropnie podaję im tekst. Proszę. To tylko dwa słowa. Wszystkie mówią przecież po angielsku.

Patrzyli zatem w ciszy, jak kandydatki na Roxanne paradują przez ekran dla czystej przyjemności oglądających je Bena i Patricka.

– O mój Boże, a ta skąd się tu wzięła? – zadrwił Patrick, kiedy dziewczyna z niebieskimi pasemkami, ubrana w skórzaną minispódniczkę, demonstrowała do kamery prawy i lewy profil.

– Tej pani dziękujemy! – przytaknął mu Ben.

– Och, kochana, tak! – łypnął okiem Patrick, kiedy po ekranie przeszła następna; niziutka, ciemnowłosa i z wielkim biustem. – Tylko zabierz ze sobą te zderzaki.

– Ale zęby miała okropne – stwierdziła Angela. Na CV dziewczyny dopisała

czerwonym pisakiem *ALARM DENTYSTYCZNY* i trzy razy to podkreśliła.

– Skoro tak twierdzisz – westchnął Patrick.

– A teraz mamy Amber – powiedziała Angela, kiedy pojawiła się kolejna kandydatka. – Była znakomita.

– Nie, za chuda – sprzeciwił się Patrick.
– To już ja mam większy biust niż ona.
Następna.

– Tej w ogóle nie pamiętam – powiedział Patrick, kiedy na ekranie ukazała się przestraszona osóbka o jasnobrązowych włosach i błękitnych oczach.

– No tak, wygląda prawie normalnie – zgodził się Ben. – Jak się nazywa?

– Emma Buckley – powiedziała Angela.
– Nigdy o niej nie słyszałam.

– Ach, jasne, to ta z okropnym szkockim

akcentem – stwierdził Patrick.

Emma uśmiechnęła się jeszcze raz, odwracając oczy od kamery, spojrzała w stronę gdzie siedział teraz Patrick, a on znów poczuł znajome poruszenie w kroczu.

– Nie ma zbyt wiele na koncie – powiedziała Angela. – Przysłała ją Irenę Hamilton.

– Myślałem, że ona już nie żyje – powiedział Patrick.

– Tylko od szyi w górę.

– Tak, może byłoby to pewne ryzyko – przyznał Ben. – Ale ma w sobie jakąś iskrę.

– Och, popatrzcie – powiedziała Angela, przerywając im. – Teraz mamy Sophie.

Dziewczyna z długimi ciemnymi włosami obrzuciła kamerę uwodzicielskim spojrzeniem, czarny eyeliner dodawał sennym zielonym oczom kociego wyrazu.

– No cóż, mamy naszą Roxanne – powiedział Patrick.

– Bije na głowę całą resztę – dodała Angela.

– I to dosłownie – zgodził się Patrick. – Ile ona ma wzrostu, metr dziewięćdziesiąt?

– Metr siedemdziesiąt siedem.

– Nie jestem w stu procentach przekonany – powiedział Ben.

– Ona nie jest aktorką. To modelka.

– No cóż, sam mówiłeś, że filmowi przyda się nieco splendoru – przypomniała mu Angela. – A na twoim miejscu brałabym ją od ręki, bo za miesiąc jej kampania reklamowa staników znajdzie się na billboardach w całym kraju. – Podała Benowi i Patrickowi czarno-białą fotografię formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów.

Ben spojrzał na zdjęcie Sophie, trzymającej palec w rozchylonych ustach,

a mały palec drugiej ręki zatykającej od niechcienia za koronkowy brzeg majteczek i obszar jego mózgu odpowiedzialny za integralność artystyczną, już nieco nadwreżony walką z cienkim jak opłatek budżetem i stale maltretowany rosnącą świadomością własnego braku doświadczenia, legł ostatecznie pod powodziową falą testosteronu. Tymczasem sąsiadujący z nim obszar oznaczony jako „cele życiowe” ukazał mu wizję jego nazwiska, literami wielkimi na trzy metry, na afiszu kina Odeon Leicester Square, tuż obok jego zdjęcia. Zobaczył, jak Sophie staje obok niego na podium, kiedy on odbiera swojego Oscara. Nadal trzymała palec w ustach.

– No cóż – westchnął. – To tylko jedna linijka tekstu.

– Małe miki – zgodził się Patrick.

– A zawsze możemy ją kimś zastąpić,

jeśli okaże się beznadziejna – ciągnął Ben.

– Więc jak, zgadzacie się na Sophie? – zapytała Angela.

– Zostawiam decyzję tobie, Angelo – powiedział Ben, myśląc, że jeśli Sophie da ciała, żeby tak to ująć, przyda się móc zrzucić winę na kogoś innego. – Jeśli jesteś pewna, że ona się nadaje do tej roli...

– Zaraz się zajmę kontraktem dla niej. – Angela wstała i poszła do swojego biurka, a Patrick, zanim ktokolwiek coś zauważył, niepostrzeżenie zdjął CV Emmy ze stosu odrzuconych i wsunął je do swojego segregatora.

– No więc? – powiedział, obracając się do Bena, i dla żartu lekko go szturchnął ciężkim butem marki Caterpillar. – Miałeś już okazję spotkać się z naszą drogą Liz?

Ben jęknął.

– Musiałeś mi to zepsuć, tak? Nie mogłeś tak po prostu dać mi się nacieszyć

paroma dniami spokoju, które mi jeszcze zostały? – Wysunął z paczki ostatniego papierosa i zapalił go łapczywie.

– Chodzi mi tylko o to, że...

– Wiem, o co ci chodzi, ty szkocki łobuzie. Przychodzi jutro. O jedenastej.

– Będziesz potrzebował przyzwoitki? Ochroniarza? Ostatniego namaszczenia?

– Poradzę sobie. To już sześć lat. Poradzę sobie śpiewająco.

– Przewiduję łzy i wyrzekania, a po nich sprawną kastrację.

– Odpieprz się, Patrick.

Ale kiedy Patrick wyszedł, Ben mógł tylko pocieszać się nadzieją, że partner jednak się mylił.

Ben był skromnym asystentem kamery, kiedy spotkał Liz. Może nie do końca takim skromnym, należało przyznać. Członkowie każdej ekipy, z jaką zdarzyło

mu się pracować, począwszy od gońca w górę, mieli ambicje reżyserskie, ale Ben uparł się, że będzie jednym z tych nielicznych, którym rzeczywiście udaje się zrealizować marzenia. Zaniedbał studia na ekonomii i zadrezczał firmy producenckie prośbami o zatrudnienie w charakterze gońca. Pracował za darmo, przyniósł więcej kubków z herbatą, niż mógłby zliczyć, okazywał stały entuzjazm i gotowość do ciężkiej harówki bez zbytniego narzucania się innym, i zaprzyjaźnił się z kilkoma kamerzystami, których przekonał, żeby go wzięli na praktykę.

Prawie pięć lat wspinał się po szczeblach kariery od funkcji prostego pomocnika do asystenta kamery odpowiedzialnego za ostrość obrazu, a kiedy nie pracował, pisał – bo uznał, że to najlepsza droga do zawodu reżysera. Jego

scenariusze nadal były beznadziejne, ale miał wrażenie, że powoli się wprawia.

Spotkał Liz na Krecie, gdzie kręcili reklamę soku owocowego. Pamiętał, że nigdy jeszcze nie było mu tak gorąco, jak tamtego ranka. Cała ekipa pozdejmowała koszule, a on poczuł na sobie oczy Liz, jeszcze zanim ją zobaczył. Nosila pomarańczową górę od bikini i kusą, portfelową spódniczkę, a on nadal pamiętał, w jaki sposób przerzuciła przez ramię swój długi płomienny w barwie koński ogon, kiedy leniwie chodziła po planie, poprawiając kostiumy.

Podczas lunchu siedziała obok niego na plastikowym, lepkiem krześle i gładziła go po udzie pod blatem stołu, a potem się podniosła, jakby nigdy nic, i spokojnie wróciła do przyczepy z garderobą. Przez cały czas nie odezwała się do niego ani jednym słowem.

Tego wieczoru wypił w hotelowym barze szklaneczkę uzo, żeby dodać sobie odwagi, a potem poszedł i zapukał do jej drzwi. Chciał tylko zapytać, czy nie wybrałaby się z nim na drinka, ale w momencie, kiedy Liz otworzyła mu w swoim pomarańczowym bikini, w głowie została mu tylko jedna myśl – że musi się z nią znaleźć jak najszybciej w łóżku. I dokładnie tak zrobił.

Ben miał wtedy dwadzieścia cztery lata, a Liz dwadzieścia osiem. Bardzo go podniecała świadomość, że technicznie rzecz biorąc, związał się ze starszą kobietą. Do diabła, kiedy miał dwadzieścia cztery lata, wszystko go kręciło. Niesamowicie seksowne były jej długie rude włosy i smok wytatuowany nisko na plecach. Podniecał go fakt, że miała na koncie większy sukces niż on. A najbardziej

kuszące było spędzenie całego swojego wolnego dnia w łóżku z Liz.

To był najlepszy seks jego życia, bił wszystko na głowę, i tę część nadal lubił wspominać. Zanim wszystko się pochrzaniło. Ale z drugiej strony, żaden związek nie kończy się dobrze, prawda? – powtarzał sobie. Właśnie dlatego się kończą. A on miał mnóstwo dziewczyn, przed Liz i po Liz. Poznawaj je, pieprz je, nudź się nimi i je zostawiaj. To był rytm wybijany przez życie seksualne Bena z mniej więcej trzymiesięczną regularnością. Pełne dziesięć miesięcy z Liz nadal stanowiło rekord.

Zaledwie kilka tygodni temu jego ostatni, płomienny romans z hiszpańską tancerką o imieniu Pilar rozpadł się i legł pod gradem hiszpańskich przekleństw, kiedy po raz trzeci powiedział, że nie może z nią iść potańczyć, bo musi pisać.

– Pisać! Pisać! – wypluwała te słowa. – Co ty takiego zawsze piszesz, że to takie cholernie ważne? He?! Ten film, w którym nawet nie ma roli dla mnie, tak?!

Złapała jego laptopa, wyrwała kabel z gniazdka i trzasnęła komputerem o podłogę, a potem wybiegła wzburzona, oświadczając, że nie chce go nigdy więcej w życiu na oczy oglądać.

Ben nie mógł pobiec za nią, gdyż na kolanach sprawdzał uszkodzenia laptopa i modlił się, żeby bateria miała jeszcze trochę pary, bo nie zapisał ostatnich zmian w tekście. Obudowa pękła i nigdy już nie mógłby pisać słów z literą Q, ale przynajmniej udało mu się zapisać ostatnią wersję scenariusza na dyskietce. Pilar to tylko dziewczyna, a ten scenariusz to była cała jego przyszłość.

Jeśli chodzi o Liz, nie pracował z nią od czasu zerwania. Przemysł filmowy to mały

nierządny świadek i zazwyczaj nie zadawał sobie takiego wielkiego trudu, żeby unikać swoich byłych dziewczyn. Bardziej prawdopodobne, że w grę wchodziło poczucie winy za sposób, w jaki zakończył ich związek, bo zanim przyjmował jakąkolwiek pracę, zawsze sprawdzał, kto będzie projektował kostiumy. Nie żeby kiedykolwiek się do tego przyznał, oczywiście. Skąd, po prostu dzwonił do biura produkcji potwierdzić daty, a przy okazji pytał, kto jest związany z projektem – wyłącznie z zawodowej ciekawości. Raz czy drugi wymieniono nazwisko Liz, a on udawał, że sprawdza swój kalendarz i nagle stwierdzał, że mimo wszystko w tym właśnie terminie będzie zajęty. Kosztowało go to jeden naprawdę dobry film. Do tej pory żałował, że musiał z niego zrezygnować. A teraz z pełną świadomością właśnie ją zatrudnił przy

absolutnie pierwszym filmie, który miał samodzielnie wyreżyserować. Jeszcze nie oszalał, przypominał sobie, był tylko zdesperowany.

Stanowczo zamierzał dać to zajęcie Justine Burgess, sporo z nią o tym rozmawiał, a ona się zgodziła. Ale to było całe miesiące temu i zanim Patrick zebrał konieczne fundusze, jej zaproponowano wielką, epicką opowieść science fiction robioną przez Pinewood Studios. Było jej naprawdę, naprawdę przykro, powiedziała, ale nie może sobie pozwolić na trzymanie się jakiejś małej, zakichanej produkcji, która może nigdy nie dojść do skutku. Właściwie nie użyła słowa „zakichana”, ale Ben wiedział, że o to w sumie chodziło. Nie miał jej za złe tej decyzji. Na jej miejscu zrobiłby dokładnie to samo.

Więc uderzył do Sary Pollard, ale kiedy powiedział, ile może zapłacić, śmiała się

przez mniej więcej trzy minuty i wytknęła mu, że tyle to ona zarabia przez dwa dni na planie jednej reklamy, niemniej wielkie dzięki.

Wtedy próbował skontaktować się z Ginni Ferrari, której nawet nie było w kraju, i zaraz potem, kiedy już naprawdę zaczynał popadać w desperację, ni stąd, ni zowąd zadzwoniła do niego Liz. Powiedziała, że słyszała o jego filmie i tak się akurat składa, że będzie wtedy wolna i chętnie to zrobi za ułamek swojej normalnej gaży, niech to będzie przysługa dla dawnego przyjaciela. Właściwie, stwierdziła, to on jej zrobi przysługę, bo film, przy którym pracowała, zwinął produkcję po zaledwie dwóch tygodniach zdjęć i cały jej zespół potrzebuje pracy.

Ben chciał odmówić. Chciał powiedzieć, że przez ostatnie sześć lat robił co mógł, żeby jej unikać, i że chociaż mają zamiar

zacząć zdjęcia za trzy tygodnie, a on popada już w skrajną rozpacz, nie chciałby z nią pracować, nawet gdyby była ostatnią projektantką kostiumów na ziemi.

Więc skłamał.

– Hej, Liz, cudowny pomysł – powiedział. – Bardzo chciałbym, żebyś się tym zajęła. Wiesz, nie zacząłem od pytania ciebie, czy chcesz z nami pracować, bo nie chciałem cię obrazić, proponując takie. marne pieniądze. Naprawdę, pracujemy tu za grosze. Za pół grosza. Ale chodzi o to. Chodzi o to, że... Ja już zaproponowałem współpracę Ginni Ferrari i czekam na jej odpowiedź. Bardzo mi przykro.

– Och, nie wiesz jeszcze? – powiedziała Liz. – Ginni jest w Meksyku i robi jakiś film dla HBO. Dostałam od niej maila parę dni temu. Nie wraca przed wrześniem.

Miała go w garści. Nadal nie umiał jej

okłamywać.

– Nie – przyznał słabo. – Nie wiedziałem.

– No więc, chyba jednak ci się przydam? – stwierdziła Liz.

Zgodził się. I nawet powiedział dziękuję.

Teraz siedział w swoim biurze wynajętym w Soho i znów spoglądał na arkusz kalkulacyjny, który otworzył na swoim nowiutkim Apple G4. Były tam tylko dwie kolumny. Pierwszą zatytułował: Powody żeby zatrudnić Liz, a pod spodem wypisał:

1. Jest świetną projektantką kostiumów,
 2. Ma czas,
 3. Zrobi to za marne pieniądze,
 4. Za późno, żeby znaleźć kogoś innego równie dobrego,
 5. Jestem jej winien przysługę.
- Druga kolumna nosiła tytuł: Powody,

żeby nie zatrudnić Liz. A pod nim napisał tylko jedno:

1. Kiedyś się we mnie kochała.

Ale to było sześć lat temu, tłumaczył sobie, do tej pory o nim zapomniała. W zasadzie był pewien, że się już z niego wyleczyła. Od czasu do czasu ludzie, z którymi pracował, mówili mu: „Wczoraj dostałem maila od Liz” albo: „W zeszłym tygodniu wpadłem na Liz”, albo: „Zgadnij, kto przyszedł na wczorajszą imprezę?”

„Ona się z kimś spotyka?” – pytał czasami Ben i słyszał, że owszem, tak, przyszła z jakimś Duńczykiem o imieniu Stefan albo że podobno pokazuje się z jakimś kamerzystą czy bankierem inwestycyjnym. Czuł ulgę. Nie chciał myśleć o tym, że złamał jej serce. Wolał słyszeć, że zupełnie i skutecznie się z niego wyleczyła, bo znaczyło to, że jest już wolny. Ktoś mu wspomniał, że została

buddystką, a buddyści są przecież znani z niefrasobliwego podejścia do życia. Przez telefon mówiła jak naprawdę szczęśliwa osoba. Normalna osoba. Nie chciał, żeby sobie pomyślała, że on jej nadaje jakieś sprzeczne sygnały, ale pewien był, że zrozumie, iż chodzi o układ ściśle zawodowy. Poza tym nikt nie wzdycha do kogoś przez sześć lat z rzędu, prawda? Było dokładnie tak, jak powiedział Patrickowi – wszystko pójdzie po prostu śpiewająco.

Rozdział 3

Liz przymknęła oczy, kiedy wacik nasączony kwasem delikatnie przesuwiał się po jej czole.

– Teraz trochę zapiecze – ostrzegła pielęgniarka. – Proszę mi dać znać, jeśli uczucie będzie nie do zniesienia, a natychmiast go zneutralizuję.

Liz lubiła to pieczenie. To był znak, że coś się dzieje. Chcesz być piękna, to cierp. Kiedy kwas rozprowadzano po jej podbródku, wokół ust i po całych policzkach, wyobrażała sobie, jak wszystkie przesuszone, matowe, zmęczone słońcem komórki jej naskórka rozpływają się w niebyt. To był piąty zabieg i już wydawało jej się, że cerę ma delikatniejszą niż miesiąc temu.

– Jak się czujemy? – spytała

pielęgniarka.

– Cudownie – odparła Liz.

Kiedy seria zabiegów będzie się kończyć, poprosi o wzmocnienie roztworu kwasu do dziewięćdziesięciu procent.

Po ośmiu minutach kwas został zmyty wilgotnymi wacikami. Potem skórę nawilżono i delikatnie posmarowano kremem z filtrem numer 30. Liz przyjrzała się swojej twarzy w lusterku podsuniętym przez pielęgniarkę. Do jutra zaróżowienie zniknie. Nie wyglądała na trzydzieści cztery lata.

Spróbowała zmarszczyć brwi i ze złością zauważyła, że botoks jeszcze nie zadziałał. Trzy do pięciu dni, powiedzieli. Kończył się czwarty dzień, a jej czoło nadał się marszczyło i fałdowało, jak zwykle. Ma czas dokładnie do jedenastej rano następnego dnia, żeby osiągnąć ten efekt spokojnego, gładkiego czoła. Sama

jednak nie czuła się spokojna. Może zabieg endermologii mnie odpręży, pomyślała, przechodząc do gabinetu obok.

Rozebrała się, włożyła obcisły nylonowy kombinezon i położyła się na brzuchu, żeby masażystka mogła zacząć wałkowanie jej ud i pośladków. Brzęczenie aparatu ją uspokajało. Nigdy nie dbała o koszty. Uznawała je za inwestycję. Czy można lepiej wydać ciężko zarobione pieniądze niż na samą siebie?

Sześć lat temu nie musiała martwić się cellulitem, zmarszczkami na czole ani zgaszoną, matową cerą. Nie potrzebowała bakterii jadu kiełbasianego ani kwasu glikolowego, ani dwóch czterdziestopięciominutowych sesji tygodniowo szczypania i wałkowania, żeby być piękną. Sześć lat temu miała Bena. Pragnęła go od pierwszej chwili.

Zobaczyła go na drugim krańcu plaży, kiedy ścierał sobie pot z karku miękką chusteczką podebraną makijażystkom. Zamknęła oczy i wspominała, że jego skóra wyglądała wtedy słodko jak syrop klonowy. Boże, życie wydawało się takie proste...

Uwielbiała słońce. Kochała sposób, w jaki rozświetlało złotymi refleksami jej włosy i zamieniało skórę w miód. Uwielbiała gorącą bryzę pieszczącą nagie ramiona po mrocznej, angielskiej zimie spędzanej w wełnach i nieprzemakalnych kurtkach. Lubiała znów poczuć na nogach powiew wiatru, uwielbiała, kiedy jasny piasek drażnił jej skórę, wciskając się między palce stóp. Kochała swoją pracę. Kochała swoje życie. Podobało jej się, że jest dość wysoka, żeby każdemu mężczyźnie patrzeć prosto w oczy, i dość

silna, żeby każdego z nich owinać sobie dookoła małego palca. Większość mężczyzn nieco się Liz obawiała, a jej to odpowiadało. Tych, którzy jej się nie bali, ceniła tym bardziej. Chciała być zdobywana. Chciała, żeby to oni za nią biegali, ale nie miała nic przeciwko temu, żeby trochę się z nimi podrażnić i pomóc załapać, na czym polega zabawa.

Tego ranka, kiedy zobaczyła, jak Ben z poważną miną mierzy ostrość i zwija swoją taśmę, spodobał jej się sposób, w jaki jego szerokie ramiona zwięzały się ku wąskim, chłopięcym biodrom w tych długich, obszernych szortach, i pomyślała sobie, jak miło byłoby pod koniec długiego, ciężkiego dnia dotknąć tego miejsca, w którym jego brwi prawie, chociaż niezupełnie, zrastały się ze sobą, oprzeć głowę na ramieniu i zlizywać mu z szyi pot jak kotka. Nie zauważał jej, bo

zajęty był pracą, ale to nie miało znaczenia. Miała mnóstwo czasu. Słońce dopiero wspinało się po niebie.

– Może się pani teraz obrócić na bok?

Liz otrząsnęła się ze wspomnień i ułożyła na wąskiej leżance w taki sposób, żeby masażystka mogła zacząć pracować nad wewnętrzną stroną uda. Julian. Tak miał na imię kamerzysta, przypomniała sobie.

– Julian! – Liz przechyliła mu się przez ramię i cmoknęła go w policzek. – Co u ciebie, kochany? Nawet nie miałam okazji się dziś z tobą przywitać, taka byłam zaganiana.

– Cześć, Liz. – Julian wskazał ręką wolne krzesło po drugiej stronie. – Przysiadź się do nas.

Liz postawiła talerz na stoliku i z wdziękiem wsunęła się na wolne miejsce obok Bena.

– Znasz już Bena? – spytał Julian.

– Tak, poznaliśmy się na lotnisku – powiedziała Liz, rzucając w stronę Bena uśmiech najbardziej zdawkowy z możliwych. – No, a jak mają się Caroline i maleństwo? Wybraliście już imię?

– Molly – odparł Julian. – Jest absolutnie niesamowita. Przy okazji, dzięki za kartkę.

– Już się nie mogę doczekać, aż je zobaczę. – Podnosząc do ust kęs miecznika z grilla, lewą dłoń, którą trzymała na kolanach pod stołem, przesunęła w stronę nogi Bena i zaczęła go delikatnie, ale jednoznacznie gładzić palcem po udzie. – Caroline planuje powrót do pracy? – spytała. Poczowała, jak mięśnie uda Bena napinają się pod szortami.

– Nie sądzę – odparł Julian. – Przynajmniej jeszcze przez parę miesięcy. Chyba chętnie zostanie w domu przez rok

czy dwa, jeśli będzie taka możliwość.

– Och, to świetnie – powiedziała Liz, a grzbiet jej palca dotarł do wewnętrznej strony gołego kolana Bena. – Muszę do niej zadzwonić, kiedy wrócimy do Londynu.

– Tak, wpadnij do nas na obiad, byłoby nam miło.

– Wiesz już, co będziesz robił potem? – Palec Liz zaczął powoli wracać w górę po udzie Bena.

– Dokument dla Channel 4. Nic interesującego, ale zatrzyma mnie w Londynie na cztery tygodnie, a o to głównie mi chodzi.

– Och, jasne, że nie chcesz, żeby cię ominęła choćby minuta, prawda? – powiedziała Liz, wykonując delikatne krążenia palcem po nodze Bena. – Są takie urocze, kiedy są jeszcze małe.

– A ty co? Nie planujesz jakiegoś

malucha? – spytał Julian.

– Ja? – Liz roześmiała się. – Nie sądzą. Jak ja bym, u licha, znalazła czas na dziecko przy tej pracy? Ja nawet nie mogę zjeść lunchu. Muszę posklejać stroik na głowę Carmen Mirandy.

Wstała, prawie nie tknąwszy jedzenia i poszła zwrócić talerz do umycia. Nawet nie obejrzała się na Bena. Nie musiała.

Urządzenie łagodnie wibrowało i Liz wyobrażała sobie, że wszystkie komórki tłuszczowe posłusznie maszerują w stronę przewodów limfatycznych i grzecznym stadkiem opuszczają jej organizm.

– Dobrze. Teraz druga strona – powiedziała masażystka. – Wie pani, wygląda na to, że wcale nie ma pani cellulitu.

– Nie, nie mam – zgodziła się Liz. – I nie zamierzam mieć.

Odwróciła się i uśmiechnęła do samej siebie, wspominając, jak wtedy przez całe popołudnie ignorowała Bena. Po godzinie przechadzania się tu i tam po planie i przystawania w takich miejscach, gdzie, była pewna, mógł jej się dobrze przyjrzeć, wysłała na plan swojego asystenta, a sama wróciła do namiotu garderoby ubrać statystów, wiedząc, że Ben dostanie szału, zastanawiając się, gdzie zniknęła.

Potem, już w hotelu, wzięła prysznic, upięła włosy i nawet nie udawała zaskoczenia, kiedy otworzywszy drzwi, zobaczyła na korytarzu Bena. Mężczyźni! Wszyscy byli tacy przewidywalni.

– A teraz na plecy.

Liz, z błogim uśmiechem na ustach, posłusznie zmieniła pozycję, a przyrząd zaczął wygniatać i zasysać przednią stronę jej ud.

Jaka to była fantastyczna noc! Ben kochał się z nią z pasją i entuzjazmem, do jakiego zdolny jest tylko dwudziestoczterolatek, który pieprzy się z zupełnie obcą sobie osobą. Kiedy targał nią z jednego krańca łóżka na drugi, fascynowało ją odbicie ich szczupłych, idealnie dopasowanych ciał w tanim lustrze toaletki. Mogliby być rodzeństwem.

Nie spodziewała się, że z nią zostanie, ale noc przespali obrócenii twarzami do siebie i przytuleni pod bawełnianym prześcieradłem, na zmianę tłukąc komary, które bzykały im koło uszu. Zanim o szóstej zadzwonił budzik, Ben obudził ją pocałunkiem, Liz otworzyła oczy i zakochała się w tej miłej, nieogolonej twarzy, która na nią spoglądała.

– Dzień dobry – powiedział Ben, a potem delikatnie ułożył się na niej, nadal

uśmiechnięty. Liz odsunęła mu włosy z poważnych szarzielonych oczu i po raz pierwszy w życiu zaczęła się zastanawiać, jak też mogłyby wyglądać jej dzieci... Ich dzieci.

Rozdział 4

Kuchnia jak zwykle była zabałaganiona. Resztki niezbyt udanego obiadu nadal stały na kuchence, a szlak fasolki w sosie pomidorowym znaczył blat. Emma rozejrzała się, szukając czystej powierzchni, aby postawić zakupy, a potem poddała się i opuściła torby na podłogę, mleko, sałatę i świeży makaron od razu chowając do lodówki.

Chris, chłopak Donny, pojawił się w drzwiach z taką miną, jakby przed chwilą się obudził.

– Hej, później pozmywam te naczynia – mruknął. – Idę tylko na chwilę do pubu po Donnę. Przyjdziesz do nas?

– Hm. Może później.

– Dobra. To na razie.

Słuchała jeszcze przez chwilę, jak Chris

tłucze się po korytarzu, a potem zatrząskuje za sobą drzwi. Chris i Donna byli bardzo mili, ale takiej okazji – mieć przez dwie godziny całe mieszkanie dla siebie – nie mogła zmarnować. Pracowała w salonie aż do zamknięcia, nadrabiając spóźnienie, i teraz marzyła wyłącznie, żeby ułożyć się z nogami w górze, zjeść coś smacznego i tuczącego, i pooglądać jakieś głupoty w telewizji. Nie miała zamiaru w ogóle zastanawiać się nad przesłuchaniem. W końcu to tylko rólka składająca się z dwóch słów i nie ma czym sobie głowy zawracać.

Zaczynała zdawać sobie sprawę z tego, jak dziwnym zawodem jest aktorstwo. Oczekiwano od człowieka, że będzie niesłychanie wrażliwy, a jednocześnie – na własną prośbę będzie się wystawiał na sytuacje, w których raz po raz musi się liczyć z odrzuceniem. Emma usiłowała

podchodzić do tego wszystkiego filozoficznie i tłumaczyć sobie, że zdobywa doświadczenie, ale z każdą kolejną odmową czuła, że się po troszeczkę kurczy, i bała się, że któregoś dnia obudzi się i nic z niej już nie zostanie.

Jason mówił, że w aktorstwie liczy się łut szczęścia. I to był rzeczywiście ogromny pech, że tylko jedna trzecia studentów z jej roku podpisała kontrakt z którymś z agentów, którzy przyszli obejrzeć ich przedstawienie dyplomowe. Wszyscy studenci z poprzedniego rocznika mieli agentów, więc Emmie nigdy nie przyszło do głowy, że opuści szkołę teatralną bez agenta czy sensownych perspektyw i że jedyne prace, jakie będzie dostawać, okażą się zajęciami niepłatnymi. Jak dotąd udało jej się nie zaprzedać duszy objazdowemu teatrzykowi dla dzieci („Czy miała pani jakieś doświadczenie w roli

jeża?” – zapytali ją), jednak była pewna, że to wyłącznie kwestia czasu.

Irenę przyszła ją zobaczyć, kiedy przez pięć tygodni grała w jakimś niezależnym teatrze w Chelsea, gdzie nie opłacano jej nawet biletu na autobus. Co wieczór wybiegała z salonu z wybiciem szóstej i pedałowowała na rowerze w deszczu na Kings Road, ledwie się wyrabiając na charakteryzację o szóstej trzydzieści i podniesienie kurtyny o wpół do ósmej. Nie znała żadnej innej profesji, w której oczekiwano by od człowieka podobnej wdzięczności za darmową pracę. Tkwiała jednak w pułapce. Musiała pracować, żeby mieć co wpisać w CV, ale jeśli chciała zostać w Londynie, gdzie było najwięcej pracy dla aktorów, potrzebowała też pieniędzy, żeby przeżyć. I tak sobotnie dorywcze zajęcie w salonie powoli zmieniło się w pełen etat. Najpierw

sądziła, że to tylko kwestia paru tygodni, dopóki jej kariera nie nabierze rozpędu, ale pracowała już w ten sposób od trzech lat. Płacili grosze, lecz przynajmniej dostawała te grosze regularnie.

Wlała wrzątek do garnka, dodała szczyptę soli i garść spaghetti. Spojrzała jeszcze raz na naczynia spiętrzone w zlewie i westchnęła. Na świecie są dwa typy ludzi – ci, którzy potrafią zostawić stertę naczyń w zlewie i iść jakby nigdy nic do pubu, i ci, którzy tego nie umieją.

Emma zdecydowanie należała do tego drugiego rodzaju. Zeskrobała resztki z brudnych talerzy i patelni do kosza, wepchnęła końce wystającego spaghetti do garnka i zakasała rękawy. Nieważne, czyja kolej pozmywać. Nieważne, że znów Chris siedział w domu cały dzień, a jej własne palce były wciąż pomarszczone po całym dniu mycia włosów. W ostatecznym

rozhanku łatwiej i mniej stresująco było zrobić to samej. Żałowała czasów, kiedy Chris jeszcze z nimi nie mieszkał. Ale mieszkanie należało do Donny i mogła wprowadzić swojego chłopaka, jeśli chciała. Niemniej miejsca było mało, a Chris zapełniał każdy kąt swoim bałaganem i hałaśliwością.

Jason nigdy nie zostawał u niej na noc, bo maleńki pokój, który wynajmowała od Donny, był tak ciasny, że dwie osoby ledwie mogły się w nim minąć. Za pierwszym razem, kiedy u niej nocował, rozłożył sobie śpiwór w korytarzu. Potem urządził istne przedstawienie, twierdząc, że nie może spać, bo jak to ujął, ściany go przytłaczają i uparł się, żeby w środku nocy wstali i zameldowali się w hotelu. Emma nie lubiła patrzeć, kiedy tak szastał pieniędzmi, lecz w sumie miał rację. Pokój był tygi, ale czego można oczekiwać za

trzydzieści funtów tygodniowo? Donna robiła jej ogromną przysługę. Emma miała nadzieję, że po roku chodzenia ze sobą Jason poprosi ją, żeby się do niego przeniosła. Już nie musiałyby co wieczór samotnie jeść spaghetti. Nie miałyby nic przeciwko przeprowadzce do Sheffield, choć prawdopodobnie czekało ją tam tyle samo pracy co w Londynie. Trudno byłoby mieć jej mniej.

Z kuchennego stołu dobiegł dzwonek telefonu i zmoczyła sobie torbę mydlinami, kiedy zanurzyła w niej rękę, szukając komórki. Irenę przecież nie dzwoniłaby do niej o tej porze, prawda?

To pewnie tylko Jason albo mama, powiedziała sobie. Nie rób sobie nadziei.

– Halo? Czy to Emma Buckley? – Nie umiała rozpoznać głosu; męskiego, z lekkim szkockim akcentem.

– Tak. – Woda spływała jej po telefonie

do środka podwiniętego rękawa.

– Byłaś u nas dziś po południu na przesłuchaniu do *Brighton Rocks*. Mówi Patrick McKay, producent.

Serce Emmy zaczęło walić jak młotem. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co on zaraz powie. Proszę, niech powie, że tak, proszę, niech powie, że tak, myślała.

– Jest pewna szansa, że mielibyśmy dla ciebie rolę, ale chcielibyśmy cię jeszcze raz zobaczyć. Pewnie dzisiaj wieczorem jesteś zajęta?

– Co? Teraz?

– Chodzi tylko o nieformalną rozmowę.

– Ależ oczywiście! – Emma podbiegła do kuchenki zakręcić gaz, bo woda w garnku zaczęła kipieć.

– Wiesz co, to może spotkajmy się gdzieś na rogu niedaleko biura, przy Domu? Powiedzmy, o dziewiątej?

– Cudownie! Fantastycznie! Ale gdzie

pan mieszka?

Patrick zachichotał.

– Przepraszam, mówiłem o klubie w Soho, oczywiście.

– Och. No tak, naturalnie. – Emma skrzywiła się. Miała ochotę sama siebie kopnąć. Była raz w Domu w Soho z Jasonem, na imprezie-niespodziance dla jednego z jego przyjaciół i widziała tam Cat Deeley jedzącą lunch, a teraz Patrick pomyśli sobie, że ma do czynienia z głupią kozą z prowincji.

– No to tam się zobaczymy – powiedział Patrick.

– Dobrze. Do widzenia. I dziękuję!

Oddzwonili do niej! To chyba niemożliwe! Och Boże, chyba nie wyszła na osobę nadgorliwą, prawda? Powinni myśleć, że dla niej to tylko kolejna rola – a nie pierwszy w życiu film.

Pobiegła do swojej sypialni i otworzyła

na oścież drzwi szafy, szukając jakiejś eleganckiej, szykownej bluzki. A może dżinsowa spódnica i różowy T-shirt? Co wypada włożyć na nieformalne spotkanie z producentem filmowym i kierownikiem obsady? Czy reżyser też tam przyjdzie? Ben Jakiśtam?

Zmyła stary makijaż i opłukała sobie twarz zimną wodą, zastanawiając się, o czym będą z nią rozmawiać. Pewnie chcą się dowiedzieć o niej czegoś bliższego. Emma dopiero od niedawna pracowała w branży, ale wiedziała, że w szkole teatralnej była jedyną dziewczyną, która wychowała się w zapadłej dziurze na owczej farmie.

Mieszkańcy jej wsi nie zostawiali aktorami. Rolnictwo – to była profesja. Albo hodowla koni. Albo zostawało się weterynarzem, jak jej brat. Rodzina usiłowała jej pomagać, nie do końca

rozumiejąc, w czym tak właściwie ją wspierają. Nawet szkolny doradca usiłował namówić Emmę na studium nauczycielskie, zanim z oporami wyszukał dla niej nieaktualną listę szkół aktorskich i zasugerował, żeby Emma sama do nich podzwoniła i sprawdziła, jak przeprowadzane są zapisy.

Jej pierwsza wycieczka do Londynu na rozmowę kwalifikacyjną okazała się wielkim przeżyciem. Pamiętała, że była tylko nieco zdziwiona i rozczarowana, kiedy przekonała się, że budynki na Leicester Square, Piccadilly i Coventry Street wcale nie są żółte jak na planszy do Monopoly, ale – zbudowane z typowej kolorowej cegły – przypominają domy w jej rodzinnych stronach.

Kiedy po raz pierwszy przeszła się po Shaftesbury Avenue, nazwiska aktorów na plakatach nad kinami wydawały jej się

imionami bogów, chociaż o większości z nich nigdy wcześniej nie słyszała. Nigdy przedtem nie była nawet w teatrze – pomijając pantomimę – tak samo jak reszta rodziny. Zawsze wyobrażała sobie, że najpierw dostaje się jakieś zaproszenie. Widywała w gazetach zdjęcia sław pojawiających się na premierach sztuk na West Endzie. To chyba niemożliwe, żeby wpuszczali tam do środka każdego z ulicy?

Nikt więc nie był bardziej zaskoczony niż sama Emma, kiedy dostała list potwierdzający przyjęcie do szkoły aktorskiej, którą sobie wybrała. To była najmniej znana szkoła z jej listy – bała się, że sławne uczelnie tylko by ją wyśmiały – ale okazało się potem, że czesne ma tak samo wysokie.

Teraz, za pięć dziewiąta, wyszła z metra na Tottenham Court Road, ubrana w swoją najlepszą dzinsową spódnicę i różowy T-

shirt, i ruszyła w stronę Soho Square, usiłując opanować rozbiegane myśli. Kiedy mijała Waterstones, zatrzymała się i uśmiechnęła do swojego odbicia w wystawie, trenując minę osoby zrelaksowanej i swobodnej. Ben, uśmiechnęła się do siebie, Patrick! Cześć! Jak miło was widzieć. O, i Pani od Obsady, Której Nazwiska Nie Pamiętam! Dobry wieczór! – w myślach już się z nimi witała.

Na Greek Street sprawdzała numery na tabliczkach sklepów, szukając właściwego budynku i przekonała się, że stoi przed bramą zaniedbanej kamienicy. Nacisnęła brzęczyk.

– Halo? Jestem umówiona z Patrickiem... – i nagle zdała sobie sprawę, że kompletnie zapomniała jego nazwiska.

– Nie słyszą. Patrick kto? – zapytał chrypiący głos.

– Nie pamiętam. – Przesłuchanie złało się w jednolitą mgłę i Emma mogła sobie przypomnieć tylko jego fryzurę. – Ma średnio ciemne włosy, długie do kołnierzyka, lekko falowane, z odrobiną siwizny. I chyba używa żelu. To producent.

– To mi wygląda na mnie – odezwał się jakiś głos i Emma odwróciła się, za sobą widząc Patricka. – Co się stało? Nie chcą cię wpuścić?

– Przepraszam. Nie mogłam sobie przypomnieć pana nazwiska – przyznała Emma.

Patrick machnął w zamku kartą magnetyczną i drzwi wpuściły ich do środka.

– Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś dokładniej opisał moje włosy – odezwał się do niej.

– Och, chyba zawsze najpierw zwracam

uwagę na fryzury – powiedziała szybko Emma. Bardzo nie chciała, żeby Patrick dowiedział się, że jest po prostu fryzjerką. Kiedy stanęli w kolejce przy barze, rozejrzała się po zatłoczonym wnętrzu, szukając znajomych twarzy.

– A gdzie reszta? – spytała.

– Jaka reszta? – spytał Patrick.

– Zrozumiałam, że Ben i kierowniczka obsady też chcą mnie jeszcze raz zobaczyć.

– Racja. Owszem, chcieli, ale są bardzo zajęci w biurze. Więc prosili, żebym tu wyskoczył i sam z tobą porozmawiał. Nie masz nic przeciwko, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Wziąłem ci białe – powiedział, podając jej kieliszek. – Wejdziemy dalej?

Emma wzięła swojego drinka i ruszyła za Patrickiem do wnętrza klubu, w dół po schodach, przez labirynt połączonych salek

i korytarzy, aż znaleźli dwa fotele w spokojnym kącie, który mu się spodobał. Emma usiadła i ostrożnie sączyła wino, pamiętając, że zjadła tylko kartonik zupy pomidorowej i jabłko koło drugiej po południu.

– A zatem, Emmo Buckley... – zaczął Patrick. – Z jakich okolic Szkocji pochodzisz?

Emma zarumieniła się na wspomnienie przesłuchania.

– Nie jestem Szkotką – wyjaśniła. – Pomyślałam tylko, że Roxanne może mieć szkocki akcent.

Patrick udał zaskoczenie.

– Och, rozumiem! Gra aktorska, tak? Przypuszczam też, że wcale nie nazywasz się Emma Buckley, mam rację?

Emma była trochę zdziwiona.

– Nie. To znaczy, tak się nazywam.

– No cóż, bardzo dobre nazwisko.

Porządne filmowe nazwisko. Podoba mi się.

– Dziękuję.

– Dziwię się, że wcześniej go nie słyszałem.

– Cóż, widzisz, nie grałam dotąd zbyt wiele. Nie spodziewam się, żeby ktokolwiek mnie znał.

– Szkoda – powiedział. – Bo kamera cię kocha.

Emma, uszczęśliwiona, przygryzła wargę.

– Bardzo miło mi to słyszeć.

– To sama prawda. Kiedyś będę ci musiał pokazać nagranie z przesłuchania. Rozjaśniasz sobą ekran. Masz rodzinę w branży? – zapytał.

Emma pokręciła głową.

– Nie. Mają farmę. Mój starszy brat jest weterynarzem.

– Naprawdę! – Patrick wahał się między

fascynacją a obrzydzeniem. Wieś go denerwowała. Całe to świeże powietrze.

Kelnerka przeszła obok Emmy, a ją zakreśliło w nosie od zapachu paluszków rybnych i frytek. Pożałowała, że nie zdążyła ugotować spaghetti przed telefonem Patricka. Może mogliby zamówić jakieś orzeszki albo coś?

– A więc... – odezwała się z nadzieją, że nie zabrzmiał zbyt nachalnie – mówiłeś przez telefon, że może się znaleźć rola dla mnie?

– Racja, racja. Widziałaś jakieś inne filmy mojej produkcji?

– Nie jestem pewna – przyznała.

Patrick sypnął jak z rękawa dziesiątkiem tytułów. Niektóre z nich Emma pamiętała z grzbietów kaset wideo w swojej lokalnej wypożyczalni, ale tak naprawdę ich nie oglądała, więc usiłowała tylko podrzucać „och!” i „ach!” w odpowiednich

miejskach, kiedy Patrick wdał się w przydługie wyjaśnienie skomplikowanego procesu, w efekcie którego pierwszy scenariusz Bena zabrnął tak daleko w fazę realizacji. Emma połowy z tego nie rozumiała, a zwłaszcza fragmentu o funduszach z loterii, ale często kiwała głową i powtarzała: „Rozumiem” takim tonem, żeby sprawić wrażenie osoby inteligentnej. Kolejna kelnerka przyniosła im menu i Emma odetchnęła z ulgą.

– Jestem strasznie głodna – zwierzyła się.

– Świetnie! Świetnie! – powiedział Patrick. – Młoda, głodna, zdobywcza! To mi się podoba!

Oddał kelnerce menu, nawet do niego nie zaglądając, i zamówił jeszcze jedną kolejkę drinków, chociaż Emma na razie prawie wcale nie tknęła swojego wina.

– Wiesz, że byłem producentem reklamy

wódki, za którą Ben dostał nagrodę? – zapytał.

– Nie wiedziałam – odparła Emma. – Zatem jak, wygrałam przesłuchanie?

– Hm... Dobra wiadomość to ta, że zawężaliśmy wybór. Stało na tym, że albo ty, albo jeszcze jedna dziewczyna.

– To znakomicie! – Emma wcale nie była pewna, czy to dobra wiadomość. Miała jednak nadzieję, że tak.

– Sophie Randall – powiedział. – Znasz ją?

Emma pokręciła głową.

– To modelka – wyjaśnił Patrick. – Fantastyczna dziewczyna, naprawdę fantastyczna...

Nadzieje Emmy zaczęły blednąć.

– Ale czasami dobrze jest zaryzykować i wziąć nową twarz – ciągnął. – Wiesz, o co mi chodzi?

Nadzieje znów odżyły.

– I dlatego chciałem spotkać się z tobą jeszcze raz i przekonać, czy instynkt dobrze mi podpowiada. – Ujął jej prawą rękę i uniósł dłonią do góry, chcąc jej się przyjrzeć. – Wiesz, że umiem czytać z dłoni? – Odwrócił dłoń Emmy bokiem i wskazał na dwa zagłębienia tuż pod małym palcem. – Widzisz? To znaczy, że będziesz miała dwoje dzieci.

– Naprawdę?! – zawołała Emma. – To cudownie.

– A ta linia tutaj? To twoja linia głowy. – Obrysował ją delikatnie czubkiem palca. – Widzę, że niegłupia z ciebie dziewczyna, Emmo. Taka, która poradzi sobie w życiu. Taka, która umie rozpoznać przyjaciół. Wiesz, co mam na myśli?

Emma podniosła oczy i przekonała się, że Patrick przygląda jej się uważnie. Nadal trzymał ją za rękę, którą teraz odwrócił i od niechcienia nakrył własną, dużą dłonią,

kciukiem gładząc grzbiet palców dziewczyny.

Uśmiechnęła się nieco zażenowana. Stanowczo należało z miejsca dać mu do zrozumienia, że w ogóle jej w taki sposób nie interesuje. Miał co najmniej czterdziestkę i chociaż widziała, że kiedyś był całkiem przystojnym mężczyzną, sprawiał na niej wrażenie osobnika nieco zapuszczonego.

– Mam chłopaka, wie pan... – powiedziała najłagodniej, jak potrafiła i odebrała mu dłoń.

– O, jestem pewien. Nawet przez sekundę nie wyobrażałem sobie, żeby taka śliczna dziewczyna jak ty mogła być samotna. Ale to nie znaczy, że nie możemy być przyjaciółmi, prawda?

– Nie, raczej nie – zgodziła się, myśląc, że Irenę byłaby zadowolona z informacji, iż zaprzyjaźniła się z producentem, który

uważał, że Emma rozświetla sobą ekran.

– Powiem ci coś – odezwał się Patrick, jakby pomysł dopiero co wpadł mu do głowy. – A może zajrzemy teraz do biura i zrobimy jeszcze jedno zdjęcie próbne? Tym razem w większej roli. W czymś, w co naprawdę stanowiłoby wyzwanie.

– Czy Ben też tam będzie? – zapytała.

– Wszyscy tam będą – rzekł, podnosząc się. Wyjął portfel i zostawił piętnaście funtów na stoliku. – Chodźmy.

Emma wstała niechętnie, spoglądając tęsknie na paluszki rybne na stoliku obok, a potem poszła śladem producenta przez labirynt pomieszczeń aż na ulicę. Miała nadzieję, że on znajdzie w biurze jakieś chipsy albo przynajmniej paczkę herbatników.

Patrick otworzył frontowe drzwi budynku biura i zabrzączał kluczami w kieszeni, naciskając guzik windy. Nadal

miał na sobie niebieską koszulkę, którą nosił przez cały dzień, i Emma zauważyła, że zaczyna mu rosnać brzusek. Dni wypełnione stresem oraz wieczory przy drogim winie i dobrym jedzeniu nadały jego twarzy taki wygląd, jakby cierpiał na rozszczepienie osobowości. Między brwiami tkwiła zmarszczka – zupełnie jak u George’a Michaela, pomyślała Emma – gdy tymczasem dolna połowa jego twarzy osiadła miękko na szerokich szczękach. Było też coś jeszcze – w jego oczach krył się rys wyrachowania, jakby nie mógł patrzeć na świat, nie kalkulując jednocześnie w myślach własnego procentowego udziału.

Na czwartym piętrze Patrick poprowadził ją korytarzem w stronę biura produkcji, znów sięgnął do kieszeni po klucze i otworzył główne drzwi. Kiedy je pchnął do środka, Emma zauważyła, że

wewnątrz jest ciemno.

– Och, co za szkoda – powiedziała. – Musieli mieć dosyć czekania na nas. Jeśli chcesz, mogę wrócić jutro.

Patrick jakby w ogóle jej nie usłyszał i sięgnął za futrynę drzwi, zapalając światło. Jarzeniówki powoli budziły się do życia, zaskoczone i nieco zażenowane, że niepokojono je o tak późnej porze.

– No cóż. Zapraszam – powiedział niecierpliwie.

Emma cofnęła się o kilka kroków.

– O co chodzi? Chyba się mnie nie boisz, prawda?

Pokręciła głową, chociaż serce zaczęło jej bić niespokojnie.

Zdała sobie sprawę, że nikt inny nie wie, że ona tu w ogóle jest. Nikt ich nie widział przy wejściu. Budynek był kompletnie pusty.

– Nie, nie boję się – powiedziała,

usiłując opanować drżenie głosu. – Chciałabym tylko wracać już do domu. Nie jadłam obiadu.

Patrick westchnął.

– Słuchaj, naprawdę chcesz trafić do tego filmu, czy jak?

Coś podobnego! – pomyślała Emma. Ależ ten człowiek jest bezczelny! I za kogo on mnie właściwie bierze?

– Myślisz, że się z tobą prześpię dla tej marnej rólki z dwóch słów? – odezwała się swoim, miała nadzieję, najbardziej wyniosłym tonem. – Odpowiedź brzmi: „nie”. Będziesz musiał zatrzymać swoją producencką kanapę dla jakiejś innej dziewczyny.

Patrick zaczął się śmiać.

– Moją producencką kanapę? – powtórzył sarkastycznie. – Mówisz jak paniusia z lat pięćdziesiątych. Chyba przeczytałaś za dużo powieści Jackie

Collins. Obawiam się, że dysponuję tylko dwuosobową sofką z Ikei. Chodź i sama zobacz, jeśli mi nie wierzysz. – Wyciągnął do niej rękę.

Emma spanikowała. Na wpół się odwróciła, żeby wyjść, zrobiła niezręcznie parę kroków w tył i potknęła się na pierwszych trzech stopniach schodów.

– Ooch! – sapnęła, kiedy wylądowała na czworakach, a zawartość jej torebki rozsypała się po korytarzu. Zamarła, podnosząc z lękiem wzrok na Patricka, spodziewając się, że on lada moment się na nią rzuci. A wtedy, kiedy zaczęła gorączkowo zbierać szminki i klucze, pochylił się bardzo powoli, podniósł zabłąkanego tampaksa i podał jej go.

– Chyba coś zgubiłaś – powiedział grzecznie.

Emma podniosła się i zaczęła zbiegać po czterech piętrach schodów na ulicę, a w

uszech brzmiało jej echo głośnego śmiechu
Patricka.

Rozdział 5

Ben po raz dziesiąty przekręcił się z boku na bok i zdał sobie sprawę, że rzuca się po łóżku już od dłuższego czasu. Sytuacja powtarzała się co noc. Zasypiał regularnie koło północy, a potem budził się nagle, dokładnie trzy godziny później, zlany potem i z głową pełną jakichś niesprecyzowanych lęków. Nazywał to „koszmarem trzeciej nad ranem”, a jego źródłem była jedna jedyna myśl – że jest oszustem. I pierwszego dnia zdjęć, kiedy kamera zacznie kręcić, wszystko się wyda.

Tymczasem wiercił się i przewracał z boku na bok, a liczne kłopoty domagały się jego uwagi. Scenariusz jest pełen niedoróbek – czemu wcześniej tego nie zauważył? – a zakończenie beznadziejnie płytkie. Terminarz zdjęć niemożliwy do

realizacji, scenopisy obrazkowe niekompletne. Nadal nie skończył listy ujęć, budżet zakrawał na kiepski dowcip, a Patrick już zaczynał na niego naciskać, żeby wyciąć wszystkie fragmenty kręcone z dźwigu. Przekreślił się jeszcze raz, naciągając kołdrę na uszy.

Trzy główne role wciąż nieobsadzone. Nadal nie udało się znaleźć odpowiedniego pleneru dla sceny sto trzydziestej trzeciej, a jeśli pogoda zawiedzie, to cały drugi tydzień będzie miał do tyłu, bo zaplanowano na ten czas wyłącznie plenery i nic go nie chroniło przed kaprysmi aury. I po prostu czuł w kościach, że czekają go ogromne problemy z Hugonem, reżyserem zdjęć. Z jego zachowania podczas wczorajszego spotkania wnioskował, że będzie próbował go zdominować i przejąć reżyserię filmu, arogancki dupek. Nikt nie będzie słuchał

Bena. Jakie on miał w ogóle prawo brać się za reżyserowanie filmu?

– Muszę się trochę przespać – powiedział sam do siebie. – Muszę. Nie mogę tak leżeć bezsenne noc w noc, bo zwariuję.

Spróbował ułożyć się na plecach z dłońmi zwróconymi wnętrzem do góry – na zajęciach jogi nazywali to pozycją martwego ciała, co teraz wydało mu się szczególnie trafnym określeniem, i zaczął odliczać wstecz od stu, żeby uspokoić umysł. Dotarł do dziewięćdziesięciu czterech, kiedy przypomniał sobie, że Liz rano przychodzi na spotkanie. Znów szeroko otworzył oczy i zaczął wpatrywać się ślepo w mrok.

Czasami późno w nocy jego telefon zaczynał dzwonić, a po drugiej stronie nikt się nie odzywał. Kiedy mówił: „Słucham?“, słyszał kliknięcie odkładanej

słuchawki i połączenie przerywano. Nie umiał wyjaśnić czemu, ale zawsze zastanawiał się, czy to nie Liz. Próbował dzwonić pod 1471, ale za każdym razem słyszał tę samą informację: „Dzwoniący zastrzegł numer”. Oczywiście, to mógł być każdy. Naprawdę, nie miał żadnego powodu zakładać, że wydzwaniła do niego Liz, poza tym dziwnym, uporczywym przecuciem.

Ale było też coś innego. Którejś nocy, ze dwa lata po zerwaniu z Liz, kiedy widywał się z dziewczyną, która produkowała wideoklipy, poszedł zaciągnąć zasłony w jej sypialni i kiedy wyjrzał z okna na piętrze, zobaczył stojącą po przeciwnej stronie ulicy wysoką postać w dżinsach i czarnej bluzie z kapturem, spoglądającą prosto na niego. Postać stała bez ruchu jeszcze chwilę, a potem odwróciła się i szybko odeszła. Było za

ciemno, żeby rozpoznać twarz – nawet nie mógł być pewien, czy to mężczyzna, czy kobieta – ale coś w tej sylwetce przypominało mu Liz. Albo może tylko wyobraźnia go ponosiła. Po co miałyby go śledzić? Skąd w ogóle by wiedziała, że on tam jest? Tłumaczył sobie, że z jego strony to czysta próżność, wyobrazać sobie, że Liz w ogóle o nim myśli. Pewnie nieczyste sumienie płatało mu figle.

Ben obrócił stojący przy łóżku budzik tak, że światło przedostające się z ulicy przez drewniane żaluzje oświetliło cyfry dość jasno, żeby mógł sprawdzić godzinę. Dwadzieścia trzy po czwartej. Za niecałe siedem godzin Liz znów będzie siedziała w jego biurze. Koniecznie, zdecydowanie potrzebował jeszcze paru godzin snu.

Jamie, pierwszy asystent reżysera, wklepywał numery telefonów wszystkich

członków ekipy do swojej komórki. Pierś, kierownik plenerów, usiłował dowiedzieć się, gdzie ma zaparkować dwanaście ciężarówek w samym centrum Brighton, a Dominie, drugi asystent reżysera, przekonywał swoją siostrę, nauczycielkę angielskiego dla cudzoziemców, że jej uczniowie ogromnie skorzystaliby językowo, gdyby trzy dni popracowali za darmo jako statyści filmowi. Vanessa, kierowniczką produkcji, opisywała zaopatrzeniowcom symptomy swojej alergii na gluten i upewniała się, że zrobią zapas makaronu kukurydzianego, Georgina, trzecia asystentka, dźgała nożem do rozcinania kopert szczelinę w fotokopiarce, usiłując usunąć blokadę papieru. Flick, asystentka produkcji, próbowała ubłagać hotel, w którym twierdzono, że nie ma wolnych miejsc, a Ben się ukrywał. Drzwi do jego gabinetu

były zamknięte. Udawał, że kompletuje listę ujęć do sceny osiemdziesiątej drugiej. Na sofie po drugiej stronie biurka Patrick przeglądał budżet scenografii, dzieląc wszystkie przewidywane koszty przez dwa.

Poppy, asystentka scenografa, wsunęła głowę za drzwi.

– Przepraszam cię, Ben, ale tamta scena retrospekcji – ile lat wstecz ma to być?

– Sześć? – palnął Ben pierwsze, co mu przyszło do głowy.

Głowa Poppy zniknęła i natychmiast zastąpiła ją głowa Flick.

Dziewczyna weszła, rozsiadła się na kolanach Patricka i poczęstowała się papierosem z paczki schowanej w górnej kieszeni jego koszuli.

– Dadzą ci pokój z widokiem na morze, ale z wanną, nie z kabiną prysznicową – powiedziała do Bena, zapalając papierosa.

– Wszystkie pokoje z prysznicami są po drugiej stronie korytarza. To co ma być?

– Weź z widokiem – powiedział Patrick.

– Ale powiedz im, że chcemy zniżkę.

– Już nam obniżyli cenę o trzydzieści procent – przypomniała Flick.

– Mają szczęście, że w ogóle im płacimy

– burknął Patrick. – Ten hotel należało zamknąć już z dziesięć lat temu.

– Wezmę pokój z prysznicem – odezwał się Ben.

Flick zsunęła się z kolan Patricka i rozsiadła się na sofie, żeby dopalić papierosa.

– W tym biurze się nie pali. – Patrick udał, że ją strofuje.

– Wiem i dlatego przychodzę tutaj – odparła i wskazała stos niedopałków w popielniczce przed Benem.

Ben wrócił do spisywania swojej listy ujęć. Kiedy widział na monitorze przed

sobą porządne zapiski, zyskiwał poczucie, że panuje nad sytuacją, jakby samym robieniem notatek mógł rozprawić się z większością pracy, a przeniesienie ich na celuloidową taśmę miało stanowić czystą formalność.

– Nie spóźniłam się, prawda?

Ben zamarł, słysząc głos Liz, i przez sekundę kusiło go, żeby udać, że jej nie zauważył. Jeśli ją zignoruje, to może istnieje jakaś malutka szansa, że ona zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki? Ale było za późno. Patrick wstawał, żeby dać Liz buziaka w policzek.

– Witaj, nieznajoma – powiedział ciepło i Benowi nie pozostało nic innego, jak tylko podnieść głowę i przywitać Liz.

Wyglądała młodziej niż sześć lat temu i zastanowił się, jak to możliwe, skoro jemu samemu wydawało się, że jest o sto lat starszy. Była wyższa, niż zapamiętał, ale

można to było łatwo przypisać ośmiocentymetrowym szpilkom jej długich, czarnych skórzanych kozaków.

Miała na sobie króciutką spódniczkę w szkocką kratę, świeżo wyprasowaną białą koszulę z dyskretnymi riuszkami i szeroki czarny skórzany pasek na biodrach. Gotów był uwierzyć, że to właśnie jest obecnie szczytem mody, bo jeśli Liz się nie zmieniła, prędzej by umarła, niż pokazała się w niemodnych ciuchach. Jej znak szczególny, płomiennorude włosy, spływały jedwabistą falą na ramiona, a cerę miała o kilka tonów jaśniejszą niż kiedyś. Pasowało jej to. Alabaster jako nowa opalenizna – będzie musiał to sobie zapamiętać.

– Liz! – powiedział głosem, który miał pobrzmiwać pełnym zadowolenia zaskoczeniem. Zastanawiał się, czy powinien wstać, ale nogi odmówiły mu

posłuszeństwa i skończyło się na tym, że tylko lekko pochylił się na fotelu.

– Cześć, Ben – powiedziała, ale nie zrobiła żadnego gestu, żeby do niego podejść. W ogóle właściwie nie drgnęła. Z ulgą zauważył, że przynajmniej jest uśmiechnięta.

– Masz ochotę na kawę? – zapytał.

– Tak, poproszę.

Patrick i Ben popatrzyli znacząco na Flick, która odpowiedziała im niewinnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

– Och, no dobra. Niech będzie, że to moja kolej – powiedziała, dogasiła papierosa i poszła walczyć z automatem do kawy.

– Zostawię was, żebyście sobie spokojnie omówili sprawy, dobra? – powiedział Patrick.

– Ależ zostań! – zaprotestował Ben, ale Patrick już szedł w stronę drzwi. Zostawił

je uchylone na tyle szeroko, żeby móc podsłuchiwać ich rozmowę zza swojego biurka.

– A zatem? Udało ci się już sfinalizować umowę? – spytał Ben nerwowo. Zastanawiał się, po co w ogóle przyszła zobaczyć się z nim osobiście. Czy nie mogła po prostu załatwić swoich spraw bez jego udziału?

– Vanessa właśnie przygotowuje mój kontrakt – odparła Liz.

Spacerowała po gabinecie, oglądając fotosy z castingów poprzipinane pinezkami do ścian.

– Nieźli chłopcy – stwierdziła z aprobatą, patrząc na czterech odtwórców głównych męskich ról. – Jak ci się udało zdobyć Danny’ego Parkera?

– Robiłem wideo do ich ostatniego singla.

– Przyjemny chłopak. Umie grać?

– Oczywiście, że umie grać. – Ben musiał przejść do defensywy. Liz była w tym pokoju od niecałych dwóch minut i już odkryła jego piętę achillesową. – Nie sądzisz chyba, że zatrudniłem go tylko dla nazwiska, mam nadzieję?

– Nie, oczywiście, że nie – zapewniła go i Ben roześmiał się, podkreślając absurd tej zabawnej sugestii. Kurczowo czepiał się nadziei, że Danny Parker rzeczywiście będzie umiał grać, w przeciwnym razie jego, reżysera, czekał niezły worek kłopotów.

– A więc, zajrzałaś do scenariusza? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Tak. Gratulacje. Jest szalenie błyskotliwy.

– Naprawdę ci się podoba? – Tyle razy go przerabiał, że łasy był każdej najmniejszej pochwały, choćby z ust Liz.

– Naprawdę. Gęsta akcja.

– Mam nadzieję. A przynajmniej takie było zamierzenie. – Udawał, że czyta na monitorze swojego komputera coś bardzo pilnego, żeby nie musieć na nią patrzeć. Tłumaczył sobie, że poradzi sobie z Liz, ale jej spokój i opanowanie wytrącały go z równowagi. – Jesteś zadowolona z budżetu na kostiumy?

– Nie, oczywiście, że nie jestem z niego zadowolona! – odpaliła, a Ben lekko się przestraszył. – Dają mi kasę tylko na jednego asystenta, a twoja cała obsada będzie nosiła ciuchy z Top Shop, ale spodziewam się, że jakoś sobie poradzę. Jak zawsze.

Uśmiechnęła się do Bena, żeby mu dać do zrozumienia, że to tylko żart, ale prawdę mówiąc, zastanawiała się, co ma począć, dysponując sześcioma tysiącami funtów... Ubranie, które miała na sobie, kosztowało prawie połowę tej kwoty.

– Chciałbyś zobaczyć moje referencje?
– Wyjęła z torby album ze zdjęciami, a Ben powoli obracał jego strony, nie widząc na dobrą sprawę, co ogląda. Na chwilę podniósł oczy, żeby zrobić jakąś uwagę, i szybko znów opuścił wzrok, bo zorientował się, że nagie udo Liz znajduje się zaledwie parę centymetrów od jego nosa. Poczował, jak w uszach zaczyna mu szumieć krew. Nadal wyglądała jak dziewczyna, z którą miałoby się ochotę zrobić to natychmiast, tu i teraz, na biurku i przy otwartych drzwiach. Ale nie miał zamiaru władować się drugi raz w tę samą kabałę.

– O, popatrz, jest twoja kawa – odetchnął z ulgą, kiedy Flick wróciła, niosąc napój w podwójnym plastikowym kubku, i podała go Liz. – Zdjęcia są znakomite. – Oddał album i miał nadzieję, że Liz zrozumie to jako zachętę do

zakończenia wizyty. Ale ona zamiast tego rozsiadła się na kanapie i powolnym ruchem założyła nogę na nogę.

– A więc, co u ciebie? – spytała lekkim tonem.

– Wcale cię nie unikałem – wyrwało się Benowi, zanim zorientował się, co mówi.

Liz tylko się roześmiała.

– Unikać mnie? Dlaczego miałbyś coś takiego robić?

– U mnie wszystko w porządku – powiedział Ben i zdał sobie sprawę, że synchronizacja dialogu rozjechała mu się o jedną kwestię. – A jak u ciebie?

– U mnie? Świetnie. Po prostu świetnie.

– Gratuluję nominacji do BAFTA [British Academy of Film and Television Arts] w zeszłym roku.

– Dzięki – powiedziała Liz. – Ale to właściwie było dwa lata temu.

– Naprawdę? Nie, no, jak ten czas leci...

– Ben, wszystko w porządku? Jesteś jakiś nieswój.

– Tak? Jestem chyba po prostu trochę spięty. To ten film. Cały czas nerwy.

Jak na zawołanie rozległo się pukanie do drzwi i Angela weszła do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Przepraszam, Ben, że ci przerywam spotkanie, ale mam złe wiadomości. Straciliśmy Zoe Langridge.

– Co? Jak to, straciliśmy ją? – przeraził się Ben. Zoe Langridge miała odtwarzać Jasmine, główną rolę żeńską. – Myślałem, że już podpisała.

Angela pokręciła głową.

– Kontrakt poszedł do jej agenta, ale ona mówi, że zmieniła zdanie. Twierdzi, że nie chce grać szatniarki w klubie nocnym, bo to poniżej jej godności.

Ben nie wierzył własnym uszom.

– Poniżej godności? – parsknął. –

Oszalała baba! W ostatnim filmie zamordowała własnego męża!

– Powtarzam ci tylko, co usłyszałam.

– A w poprzednim była uzależniona od heroiny!

– Od cracku – powiedziała Liz.

– Co?

– Była uzależniona od cracku. Nie od heroiny.

– No cóż, nieważne co ćpała, w czym to niby lepsze od pracy szatniarki w klubie nocnym? – pytał ostro Ben. – Zaczynamy zdjęcia za dziesięć dni. Mamy czas, żeby znaleźć kogoś innego?

– Już widziałeś wszystkie dostępne kandydatki. Zaraz jeszcze raz sprawdzę listę i zacznę dzwonić po ludziach. Nie martw się, Ben. Znajdę kogoś równie dobrego.

Kiedy Angela wyszła, Liz podniosła się z sofy, odpięła ze ściany fotos Zoe

Langridge i uprzejmie położyła go na biurku przed Benem.

Zakrył usta i brodę dłonią i z rozpaczą wpatrywał się w duże puste miejsce na swojej korkowej tablicy pod napisem Jasmine, modląc się o nagłą interwencję sił nadprzyrodzonych albo o pobudkę, po której okaże się, że to był tylko zły sen.

– Co za szkoda... – Usłyszał współczujące słowa Liz. – Pracowałam z Zoe przy *Life Kills*. Już wybrałam dla niej kilka ślicznych ciuszków. – Zebrała swoje rzeczy i wrzuciła nietknięty kubek z kawą do kosza. – Przepraszam. Nie jestem w stanie tego pić. Smakuje jak bulion z kury. A teraz, jeśli coś jeszcze chciałbyś ze mną omówić... Bo muszę się zbierać, mam dziś po południu przymiarę.

Tym razem Benowi udało się wstać. Miał zamiar pocałować ją na do widzenia tak samo jak całował każdą koleżankę,

której przez jakiś czas nie widział. Już sobie w myślach przećwiczył sekwencję ruchów. Krok w przód, cmok w policzek, krok w tył. Żadnego kontaktu cielesnego. Szybko, czysto, precyzyjnie – robił to już miliony razy. Ale Liz już ruszyła do wyjścia i gest byłby zbyt ryzykowny, zdał sobie sprawę z ulgą. Trudno oczekiwać, że trafi czystym cmokiem do ruchomego celu.

– No cóż, miło było znów cię zobaczyć, Ben – powiedziała, pomachała ręką i zniknęła za drzwiami.

Ben wrócił do swojego biurka i obserwował przez uchylone drzwi, jak Liz całuje Piersa, kierownika plenerów, a potem podchodzi do biurka Vanessy. Widział, jak przegląda pobieżnie kontrakt, podpisuje go zamasyście, a potem notuje swój numer ubezpieczenia, numer identyfikacji podatkowej i szczegóły

dotyczące konta bankowego na podsunętym formularzu. Wreszcie pocałowały się z Vanessą na do widzenia, Liz podeszła do Patricka, pożegnała się z nim, ogólnie pomachała ludziom z biura i oddaliła się korytarzem, postukując obcasami.

Natychmiast po jej wyjściu Patrick wpadł do gabinetu Bena i zatrzaskał drzwi.

– No i co? – zaczął się dopytywać. – Masz jeszcze jądra w komplecie?

Ben wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chyba jakoś to poszło. Powiedziała, że podoba jej się scenariusz i że nie smakowała jej kawa.

– Hm... Dwa trafienia. Więc jak, masz zamiar dać jej szansę? – Nie!

– To czy miałbyś coś przeciwko, gdybym... ?

– Och, pieprz się, Patrick.

– Nie ma sprawy. Tak sobie gadam. Ale

nadal jest bardzo, bardzo apetycznym kaskiem...

– Nie zwróciłem uwagi – skłamał Ben.

Pod żadnym pozorem nie miał zamiaru znów się wiązać z Liz. Tego jednego był zupełnie pewien.

Rozdział 6

W cichym zakątku St. John's Wood, gdzie Ronald Gash mieszkał od 1967 roku, zawsze parkowało się upiornie. Ale dopiero po śmierci żony zdecydował się na radykalne posunięcie – kazał wyciąć araukarię i wysypać żwirem część przestronnego frontowego ogrodu, goście mogli zatem wjeżdżać przez imponującą żeliwną bramę i nie musieli zostawiać samochodów na ulicy. Podjazd skojarzył mu się z jakąś cholerną szpitalną izbą przyjęć, kiedy ponuro obserwował zza zasłon Liz wyciągającą z tylnego siedzenia firmowe torby od Selfridges. Wyobraził sobie – co często mu się zdarzało, bo jak Kłapouchy z *Kubusia Puchatka* bywał podatny na napady przygnębienia – jak będzie wyglądał jego ogród, kiedy

zaparkuje w nim karawan, żeby ostatecznie zabrać stąd jego starcze zwłoki.

Westchnął, odsunął się od okna i zawołał do Mary, żeby przygotowała herbatę. Przychodziła do niego dwa razy w tygodniu „obrobić dom” i pomijając, że z uporem nastawiała radio na programy Terry’ego Wogana i stale zgłaszała się z tajemniczymi żądaniem: „Więcej bielinki”, ludzkie towarzystwo mu odpowiadało. Odkrztusił zalegającą mu w gardle odrobinę flegmy i przygładził resztki srebrzystych włosów, a potem otworzył Liz drzwi.

– Bardzo proszę, pomogę ci z tymi torbami – powiedział i przewieszając przez ramię wieszak z garniturem, przystanął w korytarzu nieco dłużej, niż to było bezwzględnie konieczne, chcąc, żeby rzuciła okiem na serię oprawionych w ramy fotografii uwieczniających jego

świąteczną teatralną przeszłość, wiszących wzdłuż obu ścian korytarza.

Liz pochyliła się, przyjrzała portretowi jasnowłosego młodzieńca o subtelnych rysach twarzy ubranego w elżbietański kostium i powiedziała to samo, co mówili wszyscy ludzie poniżej pięćdziesiątego roku życia:

– To ty?

– Cztery sezony pokutowałem za moje grzechy w Old Vic. – Znów westchnął, hołubiąc nadzieję, że Liz szczególną uwagę zwróci na jędrny łuk prężących się pod obcisłymi rajtuzami ud. – Nie zawsze byłem takim starym pierdzielem...

– Też coś! – powiedziała Liz lekkim tonem, chociaż w głębi ducha uznała, że stary pierdzieł to dość adekwatne określenie, i po raz kolejny przysięgła sobie, że oprze się starości z jej plamami wątrobowymi, skórą jak u indyka i

kaprawymi oczami.

Wprowadził ją do pełnego kwiecistych perkali salonu, gdzie dwa otyłe syjamskie koty, Goneril i Regan, z oporami dały się zgonić z sofy i ustąpiły jej miejsca, żeby mogła odłożyć ubrania, które przyniosła do przymiarki.

Ronald grał w filmie Bena czarny charakter – oprycha, organizatora koncertów nazwiskiem Lany Turpin, którego, oczywiście, przezywano Dick. Liz wybrała dla niego ubrania dobrze skrojone, ale dyskretnie sugerujące brak gustu i planowała zrobić podwójny użytek ze spodni od garniturów, łącząc je w zestawy z krótkimi skórzanymi kurtkami. Ronald podał jej przez telefon swoje wymiary, ale widząc go teraz po raz pierwszy na własne oczy, zaczęła podejrzewać, że umyślnie wprowadził ją w błąd, twierdząc, że w talii ma osiemdziesiąt pięć centymetrów. Cóż,

będzie musiała jeszcze raz wybrać się do Selfridges po ubrania o numer większe.

Ronald skromnie zniknął na piętrze, żeby przymierzyć pierwszy garnitur – nie chciał, żeby Mary zastała go na dole w bieliźnie – a Liz, która nie miała ochoty wędrować za nim do jego sypialni, została na sofie, gdzie mogła jeszcze raz przemyśleć każdą chwilę spotkania z Benem.

Poszło nawet lepiej, niż na to liczyła. Była wcieleniem profesjonalizmu. Nieosiągalna. Wspaniała. Ben w żaden sposób nie mógłby się domyślić, w jakiej udreće żyła od sześciu lat. A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nigdy się tego nie dowie.

Może pewnego dnia zapyta go, czemu zmarnowali tyle czasu z dala od siebie, ale on to uzna za wyraz nieco nostalgicznego nastroju, a nie wspomnienie niekończącej

się beznadziei, w którą zamieniło się jej życie po zerwaniu. Nie będzie miała zielonego pojęcia, że przez ostatnie sześć lat bez przerwy wyczekiwała chwili, kiedy Ben do niej wróci.

Liz zawsze uważała, że jeśli chcesz dać sobie radę w życiu, musisz je zaplanować. Nie wystarczy nic nie robić i liczyć, że coś się samo wydarzy. Trzeba pomagać przeznaczeniu. I aż do dnia, w którym poznała Bena, planowała swoje życie bardzo sprawnie. Nie miała zamiaru skończyć jak jej matka, która przepięła urodę i pracowała przy linii montażowej w Sunderland, składając deski rozdzielcze do samochodów. Ojca spotkała tylko raz, kiedy pojawił się w kilka dni po jej szóstych urodzinach – ogorzały mężczyzna z ryżą, szorstką brodą, która podrapała jej buzię, kiedy usiłował ją pocałować. Dał jej

lalkę Barbie w uniformie pielęgniarki, przez godzinę krzyczał na matkę, a potem musiał ją poprosić o pieniądze na powrotny bilet na pociąg do Durham. Liz zatrzymała Barbie, ale nigdy więcej nie wspomniała ojca.

Wyrwała się do Londynu przy pierwszej możliwej okazji. W wieku szesnastu lat, po lekturze jakiegoś artykułu w prasie zdecydowała, że zostanie projektantką kostiumów, i zaczęła się uczyć w Wimbledon College of Art, z pełną determinacją dążąc do wyznaczonego sobie celu. Niektórzy ludzie twierdzili, że ma świra na punkcie samokontroli. Ona woląla określać siebie jako perfekcjonistkę. Zwiedziła cały świat, zaoszczędziła sporo pieniędzy i dostała kredyt hipoteczny. Następnym krokiem miało być małżeństwo i dzieci.

Znała kobiety, które założyły rodziny po

czterdziestce, ale jeśli nawet takie rozwiązanie było biologicznie możliwe, nie miała najmniejszej ochoty zostać starą matką. Ani w ogóle się zestarzeć. Pierwsze dziecko – miała nadzieję, że chłopca – urodzi przed trzydziestymi pierwszymi urodzinami. Drugie – dziewczynka – przyjdzie na świat rok czy półtora roku później. Wiedziała, że trudno jest pracować, opiekując się niemowlęciem i raczkującym dzieckiem, więc zamierzała zatrudnić opiekunkę z mieszkaniem, która zacznie pracować ze dwa miesiące przed narodzinami drugiego dziecka. Uznała, że sensownie będzie jak najszybciej mieć z głowy rodzenie dzieci, a dzieciom też byłoby miło, myślała, mieć do zabawy siostrę czy brata mniej więcej w tym samym wieku. Kiedy będą małe, będzie pracowała tylko ze dwa dni w tygodniu – robiąc przedpołudniowe programy

telewizyjne albo asystując przy reklamach czy wideoklipach, co oznacza nieźle pieniądze przy niewielkiej odpowiedzialności – dopóki młodsze nie pójdzie do szkoły, bo wtedy wróci do pracy na pełen etat. Nadal będzie miała zaledwie trzydzieści sześć czy siedem lat, więc będzie dość młoda, żeby podjąć karierę w tym miejscu, w którym ją przerwie. Mąż, oczywiście, miał zarabiać dość pieniędzy, żeby ich wszystkich w międzyczasie utrzymać. A potem, w wieku dwudziestu ośmiu lat, idealnie zgodnie z założeniami spotkała mężczyznę, za którego chciała wyjść. Bena Lincolna.

– Ujdę w tłoku? – spytał Ronald Gash, schodząc po schodach w granatowym garniturze, fioletowej koszuli i liliowym krawacie.

Liz otrząsnęła się z zamyślenia i,

przykleknąwszy u jego stóp, podpięła szpilkami nogawki spodni, które wlokły się po podłodze. Widok stóp Ronalda, z bliska białych jak kreda, odpychał ją i kiedy stamtąd odjeżdżała, wciąż nie mogła wyzbyć się obrazu tych śmiertelnie bladych palców u nóg. Nigdy, przenigdy nie pozwoli sobie na to, aby się zestarzeć, jeśli tylko będzie mogła jakoś temu zaradzić.

Szuflada szafki przy jej łóżku kiedyś pełna była półpornograficznych polaroidowych zdjęć, które ona i Ben robili sobie nawzajem. Chciała, żeby mogli na zawsze zapamiętać, jak idealni wtedy byli – jędrna młoda skóra; zdrowe białe zęby; gęste, błyszczące włosy. Po powrocie do Londynu ze zdjęć na Krecie Ben miał zaopiekować się mieszkaniem znajomego, który kręcił film w Maroku, ale zaczął spędzać prawie każdą noc w

Clapham, w jasnym i słonecznym mieszkaniu Liz, gdzie w kabinie prysznicowej mogły się zmieścić dwie osoby, a sprzątaczką przychodziła co tydzień i układała białe lilie w wysokich szklanych wazonach.

Liz najbardziej lubiła te chwile, kiedy codziennie wieczorem wślizgiwała się do łóżka między świeże prześcieradła z egipskiej bawełny, a dotyk skóry Bena przejmował ją dreszczem. Trzy miesiące później, kiedy znajomy wrócił z Maroka, najnaturalniejszą rzeczą wydawało się, że Ben wprowadzi się do jej mieszkania, dopóki nie wynajmie czegoś dla siebie.

Im lepiej poznawała Bena, tym bardziej była przekonana, że to właśnie Ten Jedyńy.

– Popatrz na nas – powiedział któregoś ranka, kiedy szorowali zęby przed wyjściem do pracy. Oboje mieli na sobie

skórzane dzinsy od Paula Smitha i szare bawełniane koszulki. – Wyglądamy jak bliźniaki.

Liz uśmiechnęła się. Całkiem nieświadomie zaczęli nosić się tak samo. Byli do siebie podobni. Stanowili bratnie dusze, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości i wspominała, że pocałował ją wtedy ustami jeszcze pachnącymi pastą, co smakowało tak, jakby całowała samą siebie. Czasami nie umiała się zdecydować, czy chce pieprzyć Bena, czy wręcz stać się nim.

Jeszcze tego samego dnia Ben zadzwonił do niej z nowinami.

– Wiesz co? Zaproponowali mi film na Mauritiusie. Dwanaście tygodni zdjęć. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

– Przeciwko temu? Skąd. To dla ciebie duża szansa – powiedziała Liz, ale zaczęła dygotać ze strachu. Bardzo się bała tej

nieuchronnej chwili, kiedy jedno z nich dostanie telefon, który rozdzieli ich na więcej niż kilka tygodni. Ale może uda się jeszcze załatwić, żeby mogli być razem. – Kto robi kostiumy?

– Nie wiem. Ale chyba nie możesz się tym zająć? Co z twoim serialem?

Liz była w połowie zdjęć do serialu historycznego dla BBC.

– Tym się nie martw – zbagatelizowała. – Znajdę sposób, żeby się z tego wyplatać. Chyba nie chcesz jechać na drugi koniec świata beze mnie, co?

– Oczywiście, że nie. – Ben podał jej numer telefonu. – Byłoby świetnie, gdybyś mogła do nas dołączyć. Ale oni na pewno zadbali już o projektanta kostiumów, skoro zdjęcia ruszają zaraz.

– No cóż, jakaś pomoc zawsze się przyda, nieprawdaż? – odparła Liz.

Jednak kiedy zadzwoniła do fummy

producentkiej, okazało się, że jest tak, jak przewidywał Ben. Kostiumy miały już pełen zespół, którego większość od tygodni siedziała na Mauritiusie. Zamierzali jeszcze zatrudnić wyłącznie miejscowych, pracujących za ułamek tego, co trzeba by zapłacić Brytyjczykom. Liz nie mogła się zgodzić na tak poniżające warunki. Zwłaszcza że oznaczałoby to zerwanie kontraktu z BBC. Znalazła się w pułapce bez wyjścia.

Dwanaście tygodni. To prawie jedna trzecia całego czasu, który ze sobą spędzili.

Czy mogła mu zaufać i na trzy miesiące puścić go samego? Wiedziała aż za dobrze, jak zachowują się filmowcy, kiedy już raz postawią stopę na obcej ziemi. Połowa ekipy wróci z żonami albo dziewczynami z Mauritiusa, a druga połowa zostawi za sobą złamane serca i dzieci w kolorze

kawy z mlekiem. A nawet jeśli ufała Benowi, nie wierzyła, że inne kobiety będą się trzymały od niego z daleka. Liz zawsze ogarniała niepewność, kiedy Ben wyjeżdżał – nawet jeśli był to tylko nudny, jednodniowy wyjazd na zdjęcia reklamowe do Inverness. Ben był wolny i zbyt atrakcyjny, żeby go puszczać samopas.

Kiedy na dziesięć dni wyjechał do Pragi, poleciała tam na długi weekend, żeby mieć go na oku, ale Mauritius leżał zbyt daleko. Gdzie w ogóle jest ten cholerny Mauritius?

Złapała rozkład lotów British Airways leżący u niej na biurku i poszukała Mauritiusa na umieszczonej wewnątrz mapie. Jezu Chryste! Był tam – maleńka kropka na środku Oceanu Indyjskiego! I podobno jest bardzo piękny. Jej znajoma makijażystka pojechała tam na miodowy miesiąc parę lat wcześniej.

Nagle Liz tknęła myśl, że to jest właśnie

to. Rozwiązanie ich wszystkich problemów. Mogli się pobrać na Mauritiusie. Zastanowiła się nad swoim pomysłem, upewniając się, że to nie żaden kaprys, i zrozumiała, że tego właśnie chce. Że to w gruncie rzeczy nie tylko możliwe, ale wręcz idealne wyjście.

i Jej kontrakt dla BBC wygaśnie na jakieś pięć tygodni przed zakończeniem zdjęć przez Bena. Jakoś zdoła wszystko zorganizować. Jest świetną organizatorką, więc znajdzie nawet – chyba – trochę czasu, żeby uszyć sobie sukienkę. Polecą na Mauritius na tydzień przed ślubem, a za dwa dni potem dojadą do nich rodziny plus kilkoro przyjaciół. Pobiorą się na plaży wśród drzew palmowych, potem wydadzą skromne przyjęcie pod białym baldachimem. Od razu zaczęła rysować na okładce rozkładu lotów szkic namiotu w beduińskim stylu.

Ominie ją uroczysty kościelny ślub, który sobie zaplanowała, ale nie miała czego żałować. Poznali się na plaży i pobiorą się na plaży. I zostaną na Mauritiusie na miesiąc miodowy. Liz skończy zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, więc będzie miała rok do przodu w stosunku do założeń. To najlepszy plan, jaki kiedykolwiek stworzyła! Ben będzie zachwycony. Wieczorem nie mogła się doczekać jego powrotu do domu, chcąc jak najszybciej mu o tym powiedzieć. Gdzie powinna mu się oświadczyć? W łóżku? Przy kolacji? Tego fragmentu nigdy wcześniej nie planowała. W oryginalnym zamyśle zawsze to ona była osobą, która przyjmuje oświadczyny, ale sekretem udanego planu jest elastyczność, a w ten sposób Ben zostanie tylko leciutko popchnięty we właściwą stronę.

Jednej rzeczy była pewna. Chciała być

naga, kiedy mu to powie. Gdy się zestarzeją i będą wspominać dzień, w którym postanowili się pobrać, chciała, żeby oboje mogli pamiętać tę swoją idealną, opaloną młodość. To wspomnienie będzie jej pierwszym ślubnym prezentem dla Bena.

Postarała się wrócić do domu przed nim i zapełniła sypialnię świeżymi białymi kwiatami. Schłodziła szampana i zaniósła do sypialni dwa kieliszki. Ben wrócił do domu i chciał się z nią kochać pod prysznicem, ale ona zaczęła się z nim droczyć i zwlekała, namydlając go, aż dłużej nie mógł znieść czekania.

– Chodź – powiedziała i zaprowadziła go do sypialni, zanim dążyli się wytrzeć.

Położyła się na łóżku na białym ręczniku, który tam wcześniej rozłożyła, a Ben rzucił się na nią. Musiała zmobilizować całą swoją wewnętrzną

dyscyplinę, żeby go wtedy powstrzymać.

– Usiądź – poprosiła i wzięła polaroida z szafki przy łóżku. – Chcę ci zrobić zdjęcie.

Roześmiał się i usiadł, a ona pochyliła się nad nim pod takim kątem, żeby obiektyw mógł objąć każdy skrawek ciała jej ukochanego.

– Moja kolej – powiedział i Liz uśmiechnęła się, żeby mógł utrwalić na zawsze każdy szczegół tego historycznego, intymnego momentu.

Zabłysnął flesz i Ben odłożył aparat na podłogę.

– Jest coś, o co chcę cię poprosić. – Przynęła się do niego bliżej, tak że oboje siedzieli teraz na środku jej łóżka. Liz usiadła po turecku, a Ben odruchowo oplótł ją nogami w talii. Wraz z oddechem, jej sutki drażniąco ocierały się o tors Bena. Czasami potrafili siedzieć tak całymi godzinami, testując nawzajem swoją

cierpliwość.

– Co mogę dla ciebie zrobić? –
Uśmiechnął się. Miał ogromną nadzieję, że
znów chodzi jej o seks analny.

Liz spojrzała mu prosto w oczy.

– Ożeń się ze mną – powiedziała.

I kiedy tylko padły te słowa,
pożałowała, że w ogóle otwierała usta.

Spodziewała się, że Ben powie „tak”
bez sekundy wahania. Ale w jego oczach
zobaczyła strach.

– No, powiedz coś – odezwała się, kiedy
milczał już zbyt długo.

Spróbował się roześmiać, ale nie
wypadło to przekonująco.

– Przecież ty nie chcesz wychodzić za
mąż, prawda? – rzekł wreszcie. – Przecież
dobrze nam tak, jak jest?

– Owszem, jest nam świetnie – odparła
Liz. – Nawet lepiej niż świetnie. I właśnie
dlatego chciałabym spędzić z tobą resztę

życia.

Lęk w oczach Bena zmienił się w panikę. Niezgrabnie rozplatał ich nogi i odsunął się na krawędź łóżka. Liz poczuła, że między nimi otwiera się lodowata przepaść. Jeśli nie przytrzyma się czegoś mocno, wpadnie w nią i zniknie z powierzchni ziemi.

– Posłuchaj, Liz – powiedział Ben – wiesz, że cię bardzo lubię, ale...

– Ale co? – zapytała ostro. Wszystko szło na opak. W jej planach nie było miejsca na żadne ale. Na absolutnie żadne ale.

– Ale ja nie chcę się w tej chwili żenić. Mam tylko dwadzieścia pięć lat.

– Och, jasne. Masz tylko dwadzieścia pięć lat. – Liz nie umiała ukryć chłodu w głosie. – No cóż, może umknęło to jakoś twojej uwagi, ale ja już nie mam tylko dwudziestu pięciu lat. Mam dwadzieścia

dziewięć i nie zamierzam dobić trzydziestki jako kobieta samotna. >

– Co ty wygadujesz... – Roześmiał się i nigdy nie zdołała mu wybaczyć, że usiłował wtedy całą sprawę obrócić w żart.

– Kogo obchodzi, ile masz lat? Nie ma takiego prawa, które mówi, że człowiek musi wiązać się przed trzydziestką.

Usiłując wyłożyć Benowi żelazne powody, dla których po prostu musiał się zgodzić, Liz słyszała własny łamiący się głos.

– Łatwo ci mówić. Tkwisz w tej swojej dwudziestopięcioletniej męskiej skórze. Nie masz pojęcia, jak to odbiera kobieta. Nawet nie umiesz sobie wyobrazić, jak się czuje człowiek, kiedy kończy trzydzieści lat, prawda? Przed tobą jeszcze przecież mnóstwo czasu. Myślisz, że ciebie to nie dotyczy, bo wydaje ci się, że będziesz wiecznie młody, ale zapewniam cię, to

nadejdzie. Któregoś dnia obudzisz się stary i brzydki, skóra ci zwiotczeje, a włosy powypadają i nie będziesz mógł wejść po schodach bez zadyszki. I nikogo nie będzie obchodziło ani nikt nie będzie pamiętał, jak wyglądałeś, kiedy byłeś taki młody jak teraz. Ale ja będę pamiętać. Rozumiesz, co chcę ci przez to powiedzieć?

– Nie. Niezupełnie – przyznał Ben.

– Chcę mieć dzieci – powiedziała Liz, teraz już łagodniej, głaszcząc go po plecach. Może tą metodą trafi mu do przekonania. – Chcę mieć dzieci z tobą. I chcę mieć je niedługo, nie wtedy, kiedy będziemy za starzy, żeby się nimi cieszyć. Możesz sobie wyobrazić, jak fantastycznie wyglądałyby nasze dzieci? Twoje i moje?

Podsunęła twarz blisko jego twarzy i czekała na pocałunek.

– Nie jestem gotowy na dzieci – bronił się Ben. – Przykro mi, Liz. Może kiedyś,

ale jeszcze nie teraz.

– No to co ja mam robić?! – krzyknęła Liz. – Siedzieć tu i czekać, aż dorośniesz do małżeństwa? O to chodzi?

Nie będzie płakać. Nigdy nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie zobaczyć swoich łez.

– Liz. Przestań. Proszę. – Ben wstał i objął ją ramieniem. – Nie wiem, co powiedzieć. Ostatnie miesiące z tobą były fantastyczne, ale to wszystko trochę mnie zaskoczyło. Myślałem, że po prostu miło razem spędzamy czas.

– I uważasz, że małżeństwo ze mną już nie będzie miłe?

– Po prostu za wcześnie na to. Za dużo tego. Przynajmniej jak dla mnie.

– O co chodzi? Nie kochasz mnie?

Ben zawahał się nad odpowiedzią.

– O Chryste! Skoro musisz się nad tym zastanawiać, daruj sobie.

Zeskoczyła z łóżka i zaczęła szukać

kimona, chcąc się czymś owinać, ale nie mogła znaleźć.

– Liz, przepraszam cię... – powiedział Ben.

– Ja cię zwyczajnie nie rozumiem – odparła. – To, co nas łączy, jest idealne. Czego jeszcze mógłbyś chcieć?

– Chcę reżyserować – powiedział Ben.

Kochała go za tę jego młodość, ale okazał się za młody – widziała to teraz bardzo wyraźnie. A więc poczekała, aż Ben skończy trzydzieści lat, zanim wykonała następny ruch, żeby zdążył zrozumieć – tak jak ona zawsze rozumiała – że ludzie nie są stworzeni po to, żeby iść przez życie bez kogoś bliskiego. Raczej umrze, przysięgała sobie teraz, niż zestarzeje się w samotności jak Ronald Gash.

Rozdział 7

Emma cieszyła się z panującego w salonie zamieszania, bo za każdym razem, kiedy miała chwilę dla siebie i mogła spokojnie pomyśleć, robiło jej się to gorąco, to zimno ze wstydu na wspomnienie wieczoru z Patrickiem.

Takie są skutki, pomyślała, pchania się tam, gdzie się człowiek pchać nie powinien – życie wymierza ci kopniaka w tyłek i lecisz na zbity pysk. Może to jakiś znak. Może nie jest dość odporna, aby pracować w tym zawodzie. Rano zadzwoniła do Irenej tylko po to, żeby spytać, czy nie pojawiły się dla niej jakieś nowe propozycje.

– No wiesz, wydzwaniać do mnie o tak wczesnej porze? – rzuciła Irenej. Było kwadrans po dziesiątej. – Aha, zgłosiłam

cię do *Cats*.

– Ale ja nie śpiewam ani nie tańczę.

– Nie? Jesteś pewna? – spytała Irenę podejrzliwie. – No cóż, może czas się wreszcie nauczyć. A z tego filmu się nie odzywali, więc to chyba nieaktualne.

– Och.

– Nie bierz tego osobiście.

– A jak mam to traktować? – Emma nie wspominała Irenę o swoim drugim spotkaniu z Patrickiem, bo podejrzewała, że agentka ofuknie ją za to, że się z nim nie przespała.

Wyobrażała sobie, że Irenę powie:

– To tylko seks! Nie mów mi, że tego też nie robisz! Powinnaś nieco odkurzyć swoje poglądy, moja mała!

Może inne dziewczyny tak robiły. Może należało zwyczajnie przespać się z Patrickiem i on dałby jej rolę, a potem świętowałyby, zamiast wracać do domu

metrem. Może w całej tej sprawie postąpiła jak kompletny mięczak i zasługuje na to, żeby do końca życia być bezrobotną aktorką.

W sobotę wieczorem, siedząc w pociągu do Sheffield, zastanawiała się, czy nie zwierzyć się Jasonowi, ale nie była pewna jego reakcji. Mógłby uznać, że to jej wina i że w jakiś sposób zachęcała Patricka. Czasami bywał okropnie zazdrosny, chociaż zupełnie nie miał powodu. Emma nawet nie spojrzała na żadnego innego mężczyznę, odkąd go spotkała. Zresztą po co miałyby to robić? Nie pragnęła nikogo innego i była z niego taka dumna.

Poznali się, kiedy Emma dostała jednodniowy angaż do *Shelby Square*, grając przysięgłą w procesie o zabójstwo. Sama musiała zapłacić za pociąg do Sheffield – serial zatrudniał z reguły miejscowych artystów i nie chcieli zwrócić

jej żadnych kosztów – ale Irenę orzekła, że dobrze byłoby pokazać się producentom, a poza tym warto przyjrzeć się pracy w studio telewizyjnym. Tego w szkole aktorskiej nie uczono.

Jason grający Troja Hardinga składał zeznania i prawdopodobnie nie zauważyłby Emmy, gdyby nie to, że w połowie sceny spróbowała niespostrzeżenie rozprostować nogi i niechcący nacisnęła na dyktę frontowej części boksu dla przysięgłych tak mocno, że gwoździe, którymi zbito arkusze, puściły i cała konstrukcja się rozpadła. Upiekłoby się jej, gdyby nie zerwała się natychmiast, usiłując własnoręcznie naprawić szkody, i nie pisnęła:

– Tak mi przykro! Myślałam, że to prawdziwe!

Kiedy stolarze doprowadzali plan do porządku, Jason podszedł do niej.

– Zrobiłaś to po to, żebym na ciebie popatrzył? – zapytał.

I nie mówił tego wyłącznie żartem, bo odkąd zaczął występować w telewizji, zauważył nagle, że dziewczyny są zdolne do całkiem nieprawdopodobnych rzeczy, byle tylko przyciągnąć jego uwagę. Zazwyczaj miało to coś wspólnego ze zdejmowaniem bluzek w nocnych klubach, wypijaniem zbyt wielu bacardi breezers i rozpinaniem mu spodni. Rozwalanie scenografii nie było może chwytem subtelnym, ale przynajmniej oryginalnym.

– Nie, to przypadek – zaprotestowała Emma. – Naprawdę ciasno tam w środku i nogi mi zdrewniały.

No więc wtedy, naturalnie, Jason musiał opuścić wzrok i zobaczył małą, leciuteńko opaloną stopę, pięć szczupłych, drobniutkich paluszków z paznokciami muśniętymi srebrzystym lakierem i

delikatną, gładką jak u dziecka skórę objętą wąskimi paskami sandałka Emmy.

Jason nigdy przedtem nie widział takiej stopy, więc nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że stopa może być ładna. Na jego własnych palcach rosły czarne włosy, paznokcie – stwardniałe i pożółkłe – wydzielały tajemniczą, serowatą substancję, skóra na piętach była twarda i łuszczyła się, a sposób, w jaki sterczały kości, zawsze przypominał mu jakiegoś wielkiego ptaka nielota.

I wtedy Jason zdecydował, że tego wieczoru da jej szansę. Wiedział, że nie dostanie od niej kosza. Dziewczyny nigdy go ostatecznie nie odrzucały.

– Gdzie się zatrzymałaś w Sheffield? – zapytał.

I to wystarczyło.

A przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Bo Emma jakoś nie umiała

wskoczyć do łóżka komuś nieznanemu – po prostu nie mogła – nawet jeśli ten ktoś faktycznie występował w telewizji, a ją ogarniało przedziwne uczucie, że zna go od zawsze.

Ale Jason był taki przystojny. Miał krótkie ciemnobrunatne włosy, poważne brązowe oczy, urocze dołeczki na twarzy i oliwkową cerę – jego rodzina ze strony matki pochodziła z Walii, ale ludzie często brali go za Hiszpana, a on ich nie poprawiał.

Zabrał ją do bardzo hałaśliwego pubu, gdzie przez dwie godziny wysłuchiwała historii jego życia. Wreszcie nie wytrzymała i powiedziała mu:

– Wiesz co? Ty jesteś taki sam jak Troy.

Jason potraktował to jak komplement, bo przez cały czas pracy w serialu nie przyszło mu do głowy, że został obsadzony w roli Troya przede wszystkim

dlatego, że bardzo go przypominał. A w miarę upływu czasu, kiedy scenarzyści już go trochę poznali, przejęli co nieco z jego charakterystycznych zachowań – na przykład obsesję na punkcie samochodów i zwyczaj powtarzania „tak jakby” – i dodali te cechy Troyowi. Odkryli, że w ten sposób napracują się mniej, niż wymyślając całą postać od początku.

Nagrywanie trzech dwudziestoczworominutowych odcinków tygodniowo oznaczało brak czasu na próby i nie mogli sobie pozwolić na luksus robienia więcej niż dwóch dubli. Tak więc, obsadzanie aktorów, którzy już na wstępie idealnie przypominali odtwarzane postacie, wszystkim znacznie ułatwiało życie – to jest, wszystkim poza aktorami, którzy obejrawszy swoje zdjęcia w dostatecznie wielu magazynach, dochodzili nagle do wniosku, że *Shelby Square* jest dla nich za

małe. Jednak kiedy opuszczali parking studia telewizyjnego i włączali się do ruchu w rzeczywistym świecie, prędko przekonywali się, że zostali obsadzeni raz na całe życie. Nie mogli zostawić za sobą swoich ról, bo byli swoimi rolami. A to bardzo odpowiadało producentom serialu. Z niekłamaną przyjemnością obserwowali, jak dawni członkowie obsady popadają w zapomnienie albo pracują w pantomimach, bo wszyscy pozostali, przerażeni, siedzieli cicho i grzecznie, ku wygodzie scenarzystów, którzy mogli ich pozabijać w dogodnej chwili, kiedy badania opinii ujawniały, że serialowi przyda się kolejna, wielka, podnosząca oglądalność tragedia.

Jasonowi zaciągnięcie Emmy do łóżka zajęło dwa tygodnie, co straszliwie go wkurzyło.

– Robiłaś to kiedyś w porsche? – zapytał ją po pięciu minutach obściskiwania się z

nią pod jej pensjonatem.

Nie lubił zabierać dziewczyn do swojego mieszkania, bo rano zawsze trudno było się ich pozbyć. Musiał wychodzić do studia około siódmej i nie podobała mu się myśl, że ktoś grzebie we wszystkich jego rzeczach. Odzywka z porsche była niezawodna. Do teraz.

– Przyda ci się sen piękności – powiedziała Emma, wysiadając z samochodu. – Żebyś rano nie wyglądał okropnie.

Następnego dnia wsiadła do powrotnego pociągu do Londynu i zauważyła, że już zdążył wysłać jej dwa SMS-y. Pochlebilo jej to i zaskoczyło, że chciał się z nią spotykać, mimo że wciąż była nikim, gdy tymczasem jego zdjęcie pojawiło się w „Heat” już dwa razy. A co więcej – Chris Moyles zakpił z niego raz w swoim radiowym show, co znaczyło, że Jason

staje się sławny. No, prawie. Jeśli nawet nie była to jeszcze prawdziwa sława, zaczynała już ją powoli przypominać. Emma była pewna, że Jason chodzi z którąś z dziewczyn występujących w serialu, ale stwierdził, że wszystkie to suki.

– Są obrzydliwie zarozumiałe. Nie to, co ty – powiedział jej.

Jedną z cech, które Jasonowi naprawdę się w Emmie podobały, było to, że rzeczywiście go podziwiała i uważała, że robi świetną robotę, a nie czeka, aż się zwolni jakaś miejscówka w *East Enders* albo pojawi się okazja do rozpoczęcia solowej kariery muzycznej. Oczywiście, musiał chodzić z modelką albo z aktorką – jak by to wyglądało, gdyby spotykał się z kimś spoza branży – ale nie chciał widywać się z kimś, kto byłby większą gwiazdą niż on sam. Zatem okazywał współczucie Emmie, kiedy zawałała

przesłuchanie za przesłuchaniem, ale nigdy się nie przyznał, nawet sam przed sobą, że sprawiało mu to pewną ulgę.

Wszystkie aktorki grające w *Shelby Square* chodziły do szkół aktorskich albo należały kiedyś do jakichś elitarnych młodzieżowych grup teatralnych i czuł, że patrząc na niego, zadzierają te swoje idealne noski, bo *Shelby Square* to jedyny aktorski angaż, jaki miał na koncie. Poza tym był dyslektykiem i co tydzień przeżywał tortury, ucząc się roli. Ilekroć mylił się w dialogach, inni przewracali oczami, zupełnie jakby był jedyną osobą, której zdarzały się pomyłki. A im bardziej przewracali oczami i im bardziej sarkastycznie się uśmiechali, tym bardziej jemu plątał się język.

W sekrecie doskwierał mu też fakt, że aktorki odtwarzające główne role w *Shelby Square* zagarniały całą uwagę –

rozkładówki w magazynach dla panów, zaproszenia na otwarcia nocnych klubów i premiery filmów. Za ten jedyny raz, kiedy Jason poleciał na Ibizę, żeby zrobić parę zdjęć dla niedzielnego dodatku do pewnego brukowca, producent zawiesił go na tydzień. No dobrze, może powinien był to uzgodnić najpierw z rzeczniczką prasową serialu, ale ona by się nie zgodziła. A potem, kiedy usiłował przekonać kilku kolegów z obsady, żeby zastrajkowali, okazując mu swoje poparcie, wyśmiali go. Tchórze – cała ta banda. Nawet jego mama zwróciła się przeciwko niemu i powiedziała: „A czego ty się spodziewałeś? Wiesz, że oni czytają gazety”. Jego własna matka!

Emma jako jedyna stanęła po jego stronie.

– To nie w porządku – stwierdziła. – Powinni traktować cię z większym

szacunkiem. Jesteś przecież gwiazdą tego serialu.

Jason zgadzał się z nią. Jego nazwisko, Cairns, wymieniano jako trzecie na alfabetycznej liście obsady pod koniec każdego odcinka – prawie na samej górze. Ale producenci serialu wcale nie traktowali tego jak należy. Ich zdaniem *Shelby Square* nie miało gwiazd. Sam serial był gwiazdą, a aktorzy stanowili jedynie podpałkę, którą dorzucało się od czasu do czasu do ognia, żeby dobrze buzował.

Teraz Emma siedziała na sofie u Jasona i czekała, aż przewinie odcinek *Shelby Square* emitowany poprzedniego wieczoru. Niektórzy aktorzy nie znosili widoku samych siebie na ekranie, ale Jason oglądał każdy odcinek. Mówił, że tylko tak może się czegoś nauczyć, bo reżyserzy nie dają mu żadnych

wskazówek. Zatrudniano ich do zrobienia sześciu odcinków z rzędu i wszyscy po kolei szczylicili się, że przed podjęciem pracy nie obejrzelili ani jednego epizodu. Woleli udawać, że są za dobrzy i zbyt zajęci, żeby oglądać popołudniową operę mydlaną, ale pieniądze brali tak czy siak.

– Wczoraj było nieźle – powiedział Jason do Emmy, przytulając się do niej na sofie.

– A co... ? Co się dzieje?

– Ciii... Zaczyna się.

Emmie nie wolno było rozmawiać, póki trwał film, więc zanurzyła czerstwego herbatnika w swoim kubku herbaty i siedziała cichutko. Pierwsze pięć minut zajęły nudne komediowe scenki z udziałem starszych członków obsady, którzy sprzeczali się w sprawie planowanej wyprzedaży staroci. Jason ledwie opanował niecierpliwość.

– Powinni wywalić całe to tałatajstwo. Kogo w ogóle interesują te bzdety? – cmoknął językiem.

– Och, moim zdaniem są zabawni... – zaczęła Emma, której przykrość sprawiała myśl, że ktokolwiek mógłby stracić pracę, ale znów ją uciszył, bo na ekranie pojawiła się Alicia. Alicia była właścicielką butiku i grała ją Nicole Lloyd – jasnowłosa aktorka, która stanowczo zaprzeczała, jakoby cztery miesiące temu powiększyła sobie biust, mimo że po jej powrocie z tygodniowych wakacji dział garderoby odkrył, że wszystkie jej bluzki nagle zrobiły się o dwa rozmiary za małe. Twierdziła, że chodzi na siłownię.

Dzisiaj Alicia miała na sobie grubą warstwę samoopalacza i limonowozieloną szyfonową bluzkę zawiązaną tuż pod biustem. Miała kłopoty, bo ktoś włamał się do jej butiku i ukradł wszystkie modele na

nadchodzący sezon. Sklep został zdemolowany, a Troy pomagał jej sprzątać. Nie wiedziała jeszcze, że Troy był jednym ze złodziei.

– Jeśli mogę zrobić jeszcze cokolwiek...
– powiedział do niej. – Potrzebujesz pieniędzy?

Jason nacisnął pauzę i pochylił się w stronę ekranu, żeby przyjrzeć się sobie z bliska. Podobało mu się to, co zobaczył.

– Nieźle wyglądasz, chłopcze! – mruknął do siebie i wznowił odtwarzanie.

– Nie, dziękuję – szeptała dzielnie Alicia. – Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Emma wstała wziąć sobie więcej herbatników. W domu Jasona zawsze brakowało jedzenia, bo on z reguły jadał na mieście.

– Powinnaś to oglądać! – zawołał za nią.
– Mogłabyś się czegoś nauczyć!
– Wracam za sekundę – odparła.

– Pośpiesz się, bo teraz będzie dobre.

Przesunął film do przodu, omijając reklamy i drugi fragment na temat wyprzedaży staroci, który wcale nie był zabawniejszy od pierwszego. Emma za długo namaczała herbatnika, który przełamał się na pół. Usiłowała wyłowić go z kubka, kiedy Troy i Alicia znów pojawili się na ekranie.

Alicia podniosła oczy.

– Dziękuję, Troy. Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Nie ma sprawy, Alicio, wiesz, że zawsze jestem w pobliżu. Alicia zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem. Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? Po tej kłótni o mój czynsz... Myślałam, że chcesz się mnie stąd pozbyć.

– Alicio, ja wcale tego nie chcę. Mam ci pokazać, czego naprawdę chcę?

I zanim Alicia zdążyła odpowiedzieć, Troy wziął ją w ramiona i pocałował.

– O mój Boże! – pisnęła Emma. – Nie wiedziałam, że Troy ma ochotę na Alicie!

– Ciii! – powiedział Jason, nie odrywając oczu od ekranu. Troy i Alicia nadal całowali się namiętnie, a Emma patrzyła przerażona.

– Nie mówiłeś mi, że będziesz się z nią całował! – zaprotestowała. – Czemu mi niczego nie powiedziałeś? Musieliście to kręcić ze dwa tygodnie temu.

Jason wzruszył ramionami, nadal wpatrując się w ekran.

– To poufne informacje. Wiesz, że nie wolno nam zdradzać szczegółów akcji.

– To cię nigdy przedtem nie powstrzymywało! Zobacz, nadal się z nią całujesz! W głowie się nie mieści! Co to było, twój język?!

– Emma, proszę, nie zaczynaj. Przecież

to tylko gra. Aktorski pocałunek.

Wtedy odezwał się temat przewodni z *Shelby Square* i przeleciały napisy – za szybko, żeby dało się odczytać czyjeś nazwisko.

– No cóż, dla mnie to wyglądało jak prawdziwy pocałunek – naburmuszyła się Emma. – A tobie najwyraźniej bardzo się to podobało.

– Nie wygłupiaj się. Jak mogłoby mi się podobać? Stoimy na ciasnym planie, pod wszystkimi tymi reflektorami, kamera jest od nas może z metr, mikrofony wiszą nam nad głowami, a dokoła stoi i gapi się z dwudziestu członków ekipy. To naprawdę nic przyjemnego. To wręcz upokarzające, tak jakby.

– Naprawdę? – Emma nigdy nie spojrzała na to z tej strony. – To okropne.

– Nikomu nie jest przyjemnie, kiedy musi kręcić taką scenę – wyjaśniał Jason –

ale taka jest ta praca. I musimy się postarać, żeby to wyglądało prawdziwie, bo za to nam przecież płacą. Więc ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to twoja zazdrość. Nie czepiaj się. – Pocałował ją, żeby jej pokazać, że nie ma powodu do niepokoju. – Wiesz, że nigdy bym się nie zainteresował kimś takim jak ona, póki mam ciebie... A ty zrobiłabyś inaczej?

Emma pokiwała głową.

– Wiem, Jason. Przepraszam. Po prostu zaskoczyło mnie, kiedy zobaczyłam, jak całujesz kogoś innego, to wszystko. W każdym razie... – Uśmiechnęła się i leciutko go uderzyła. – Powinieneś się cieszyć, że jestem zazdrosna. Gdybym nie była, znaczyłoby to, że mi na tobie nie zależy. Poczekaj tylko, któregoś dnia ja będę musiała całować się w ramach granej roli i wtedy mi powiesz, jak ci się to podobało.

– Taa, kiedyś. – Jason podskoczył. – Chodź, już prawie jedenasta. Pora się zbierać!

Emma miała tylko tyle siły, żeby zasnąć na sofie. Prawdę mówiąc, liczyła, że chociaż raz Jason zrezygnuje z wyjścia.

– Och, musimy dzisiaj wychodzić? Przez cały dzień byłam na nogach...

Jason spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że musimy. Nie możesz siedzieć w domu w sobotni wieczór. Co się z tobą dzieje?

Emma uśmiechnęła się.

– Nic. Miałam chyba zły tydzień.

Rozdział 8

Liz otworzyła drzwi swojego nieskazitelnie czystego mieszkania – gładkie ściany miały kremową barwę, do której dopasowano zamszowe sofy od Jaspera Morrisona – i pustka uderzyła ją niczym policzek wymierzony w twarz. Zatrzymała się w korytarzu, jak robiła to co wieczór. I tyle, pomyślała. Tak wygląda moje życie.

W filmowej wersji tego życia dodano by jej kota – pręgowanego kocura pieśczocha, który ocierałby się zaborczo o jej nogi – ale Ben miał alergię na koty, a ona swoje życie utrzymywała w stanie sterylnej perfekcji, czekając na chwilę, kiedy on do niej wreszcie wróci. Więc nie było żadnego kota. Tylko kpiąca z niej cisza. Zamknęła drzwi.

Nalała kieliszek wina, włączyła telewizor i usiłowała przypomnieć sobie, jak kiedyś wyglądało jej życie. Ile razy próbowała wspominać czasy, zanim poznała Bena, czuła się, jakby oglądała jakiś film. Tamta dziewczyna, która w pełni kontrolowała swoje życie, która jeszcze potrafiła śmiać się z głupich żartów, która umiała nawet śmiać się z samej siebie, zupełnie nie przypominała jej samej. To po prostu podobna do niej aktorka. Aktorka, która nigdy nie umiałaby zrozumieć, jak to jest, kiedy ktoś, kogo kochasz, rozdziera ci duszę na strzępy.

Gdy Ben wyszedł, żeby zdążyć na swój nocny lot na Mauritius, razem z nim odeszła jakaś część dawnej Liz. I to nowa Liz obserwowała taksówkę odjeżdżającą w deszczu, a potem wróciła do pustego mieszkania, rozłożyła na łóżku wszystkie zdjęcia Bena, jakie miała, usiadła i zaczęła

szkicować wstępną wersję swojej ślubnej sukienki.

– Zastanowię się nad tym – powiedział Ben, a nowa Liz pazurami chwyciła się tych słów i trzymała ich niczym tonąca kotka. Nie powiedział, że nie chce się z nią ożenić, powiedział: „Zastanowię się nad tym”.

Kiedy Bena nie było, dzwoniła do niego trzy czy cztery razy w tygodniu, współczująco wysłuchując jego opowiadań o monsunach i pudle filtrów, które tajemniczo znikło z zamkniętej na cztery spusty ciężarówki z kamerą. Ale nie powiedziała mu, że nadal planuje ich ślub. Zamówiła broszury z biur podróży i studiowała opisy wszystkich pięciogwiazdkowych hoteli na Mauritiusie, z góry odrzucając te, które dekorowały pokoje motywem szmaragdowo-łososiowych papug. Czy apartament z

widokiem na ocean oznaczał, że sypialnia wychodzi prosto na plażę, gdzie piasek będzie wsypywał się pod zamknięte okiennice i na pokryte kafelkami podłogi? Czytała, że wschodnie wybrzeże potrafi być wietrzne, ale plaże są wspaniałe. A październik to idealny miesiąc, odkryła, bo deszcze się już kończą, a jeszcze się nie złączą bożonarodzeniowe upały i najazdy turystów.

Zarezerwowała pięć pokoi – dla siebie i Bena, jego oraz swoich rodziców, a także paru przyjaciół – chociaż tak właściwie nie zaprosiła jeszcze nikogo ani nikomu nic nawet nie powiedziała. Postanowiła zostawić to na ostatnią chwilę, bo była pewna, że do tego czasu Ben tak się za nią stęskni, że sam się jej oświadczy. Będzie żałował, że od razu się nie zgodził, ale wynagrodzi jej to. Tymczasem, przypominała sobie, Ben zastanawia się

nad tym. Czy to możliwe, aby nie doszedł do wniosku, że są bratnimi duszami, które do siebie należą? Dawna Liz ostrzegła ją, żeby spojrzała prawdzie w oczy, ale nowa Liz w tych dniach nie chciała jej słuchać.

Z obowiązków zawodowych, ile tylko mogła, scedowała na swoich asystentów i w weekendy zamiast wracać do pustego londyńskiego mieszkania, zostawała w pensjonacie w Chipping Norton i pracowała nad ślubną suknią – z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, ciętego po skosie, z długimi rękawami i głębokim dekoltem na plecach. Po miesiącu bez Bena zaczynała się czuć praktycznie jak dziewczica.

Jeden z aktorów nalegał, żeby jej „masować kark”, co na planie filmowym stanowiło standardowy element gry wstępnej. Był ładnym chłopcem, Amerykaninem, który został zatrudniony

po to, żeby film miał wstęp na amerykański rynek, chociaż jego udawany akcent Brytyjczyka z wyższych sfer ulotnił się gdzieś w odmętach Morza Północnego. Dawna Liz dodałaby go do kolekcji bez chwili wahania, ale nowa Liz odkryła, że sprawianie mu zawodu podoba jej się jeszcze bardziej niż pieprzenie się z nim – a w ten sposób unikała niepotrzebnego zażenowania, kiedy następnego ranka na planie musiałyby zawiązywać mu halsztuk i pomagać wciągać buty do konnej jazdy.

– Jesteś bardzo miły, ale ja jestem zaręczona – powiedziała mu któregoś wieczoru, kiedy jego zwykły uprzejmy buziak pod tytułem: „Dzięki za wszystko, do zobaczenia jutro” zamienił się w coś, co przypominało szalę namiętności. Nie mogła się doczekać, aż znów zobaczy Bena. Celibat w niewielkich dawkach był przyjemny, ale urok nowości szybko

wyparował.

Suknia ślubna była gotowa, a ona musiała się powstrzymać od ciągłego przymierzania jej po to, żeby podziwiać swoje odbicie w lustrze, bo w tym tempie w dniu ślubu suknia nie nadawałaby się do niczego. Ale nie zdołała się oprzeć i włożyła ją na szczęście tamtego wieczoru, kiedy zadzwoniła do Bena. Miała nadzieję, że do tej pory będzie już wiedział dokładnie, kiedy zdjęcia się skończą, żeby mogła ostatecznie ustalić datę ślubu. Hotel, który jeszcze pięć tygodni wcześniej zachowywał się czarująco, teraz grzecznie, ale stanowczo nagabywał ją o zaliczkę. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak bardzo Ben się zdziwi, kiedy odkryje, że ona już wszystko zorganizowała. On właściwie miał się pojawić na gotowe.

– Posłuchaj, rzecz w tym, że... Tak sobie myślałem, że nie mam ochoty wracać od

razu do Anglii – powiedział.

Wszystko układało się idealnie.

– Nie dziwię ci się – zgodziła się Liz. – Pogoda była tu ostatnio paskudna. Pomyślałam, że kiedy skończy się mój kontrakt, mogłabym polecieć na Mauritius i zrobilibyśmy sobie wspólne wakacje.

Ben milczał przez chwilę długą jak stulecie.

– Co się stało? – spytała wreszcie Liz. – Nie chcesz, żebym przyjeżdżała?

– Nie, nie. Nie w tym rzecz. Tyle że, widzisz... Zaprzyjaźniłem się tu z paroma Australijczykami z ekipy i pomyślałem sobie, że po zdjęciach wybiorę się do Australii i złapie tam trochę pracy. Już i tak jestem w pół drogi do Kangurowa, jak widzisz. A zawsze chciałem powłóczyć się tam trochę z plecakiem. Zobaczyć Wielką Rafę Koralową, Ayers Rock, te rzeczy.

Teraz Liz popadła w milczenie.

– Och. Nigdy wcześniej o tym nie mówiłeś. Że chcesz z plecakiem zjeździć Australię.

Jej słowa brzmiały ostro i sucho.

– Nie? No cóż, chyba nigdy nie wierzyłem, że nadarzy mi się taka okazja.

– Jak długo planujesz podróżować?

– Nie wiem. Zależy od tego, jaką pracą uda mi się tam załatwić... no i przez ponad rok nie miałem prawdziwych wakacji.

– Wygląda na to, że wszystko sobie zdążyłeś dokładnie obmyślić – powiedziała Liz, zastanawiając się, kiedy ją wreszcie poprosi, żeby z nim pojechała.

– Nie gniewasz się, prawda?

– Gniewać się? Nie. Skąd. Ale gdzie w tym jest miejsce dla mnie?

– Nie wiem, Liz. Nie chcę ci składać żadnych obietnic.

– Jak to rozumiesz?

– No cóż, zastanawiałem się. Może

najlepiej by było, żebyśmy na jakiś czas przystopowali.

– Przystopowali? O czym ty mówisz? Nie widziałam cię już dwa miesiące! Jak można jeszcze bardziej przystopować?

– Liz... – westchnął i spróbował wyjaśnić to łagodnie: – Sądzę, że chcesz ode mnie czegoś, czego nie potrafię ci dać.

– To nieprawda! – krzyknęła Liz. – Powiedz mi po prostu, kiedy wracasz do domu!

– Do Londynu? Szczerze, nie mam pojęcia. I wydaje mi się, że robię dobrze. Ja nie jestem taki jak ty, Liz. Nie jestem jeszcze gotów założyć rodzinę. Może lepiej byłoby, żebyśmy na jakiś czas się rozstali.

Liz zaczęła płakać – najpierw cicho, a potem szlochała tak, że trzęsło się całe jej ciało.

– Ale ja wszystko już zaplanowałam –

wykrztusiła. – Moglibyśmy się pobrać na plaży.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Liz nie widziała Bena, ale była pewna, że przewraca oczami tak, jak robił to zawsze, kiedy oglądał mecz piłki nożnej, a drużyna Chelsea zaczynała przegrywać.

– Ben? Ben? Co się stało? – płakała Liz.

– Myślałam, że mnie kochasz.

– Kocham cię – powiedział w końcu Ben. – Ale chyba nie dość mocno.

Lekarz przepisał jej prozac, bo nie mogła otworzyć ust, żeby się nie rozpłakać. Przez pięć dni nic nie jadła i jej brzuch, bardziej płaski niż kiedykolwiek przedtem, kpił sobie jawnie z brzuszków i uniesień obu nóg, które kiedyś nabożnie ćwiczyła co rano.

Dzień, w którym Ben miał skończyć zdjęcia na Mauritiusie, nadszedł i minął,

ale on nie wrócił do domu i nie odezwał się ani słowem. Nie przysłał nawet pocztówki ze zdjęciem gmachu opery w Sydney. Liz całymi godzinami leżała zapłakana na podłodze w kuchni, myśląc, że nie ma żadnego powodu, żeby z niej wstawać. Przez całe życie wierzyła, że jeśli tylko starasz się wystarczająco mocno, możesz sobie na coś zasłużyć. W przeciwnym razie po co? Po co w ogóle coś robić?

Nigdy w życiu nikt jej nie porzucił. Odkąd skończyła czternaście lat, to ona zrywała każdy związek. Ona decydowała, kiedy zażyłość się zacznie i kiedy skończy. Doszła do perfekcji w trzymaniu się jakiegoś chłopaka, dopóki nie miała pewności, że następny zawodnik rozgrzewa się na ławce rezerwowych. Raczej już zahaczali jeden o drugiego, co było jeszcze lepszym rozwiązaniem.

Związki przypominały jej jakąś grę. Grę, w której zawsze wygrywała. A potem pojawił się Ben i pokochała go. Zdawała sobie sprawę, że już wcześniej zdarzały się chwile, kiedy uważała, że jest zakochana, ale nigdy tak jak teraz. Kiedy patrzyła w oczy Bena, wiedziała, że ich dusze pokochały się w jakimś przeszłym życiu – we wszystkich swoich poprzednich wcieleniach – i skazane były na wieczne wzajemne poszukiwania. Był brakującym elementem łamigłówki i jeśli nie mogła ułożyć sobie życia z Benem, to jak mogłaby je sobie ułożyć z kimkolwiek innym?

Bała się, że traci zmysły, i skonsultowała się z psychoterapeutką z Hampstead, gdzie usiadła w milczeniu w chłodnym niebieskim pokoju, czekając, aż kobieta zada jej choć jedno pytanie. Kiedy jej pięćdziesiąt minut dobiegło końca,

wypisała czek na sześćdziesiąt pięć funtów i nie umówiła się na następną wizytę.

Dawna Liz podśmiewała się z ludzi, którzy sprawdzali swoje horoskopy, ale nowa Liz chodziła do wrózek i mediów, aż wreszcie kobieta o imieniu Fionnula, która w kuchni swojego domu w Muswell Hill odczytywała astrologiczne prognozy, powiedziała, że Saturn jest w tej chwili w retrogresji. Wracał do położenia na niebie, które miał dokładnie w chwili jej narodzin, i zmuszał ją, żeby dorosła i zaczęła się uczyć na swoich błędach.

– To się zdarza każdemu w wieku około dwudziestu ośmiu lat. Oznacza wielkie możliwości – wyjaśniała Fionnula. – Jeden rozdział się zamyka, a otwiera się następny. W twoim przypadku Saturn wraca do siódmego domu w Rybach.

– A co to znaczy? – zapytała Liz.

– Związki – powiedziała Fionnula. – Ale

wszystko powinno się wyjaśnić do czasu, kiedy skończysz trzydzieści dwa lata.

Liz poszła do domu i płakała, póki nie zasnęła. Z początku przyjaciele okazywali jej troskę, ale wkrótce zmęczeni się desperackimi telefonami od Liz w środku nocy, kiedy nie była w stanie mówić o niczym innym tylko o Benie. Zaczęli jej unikać, jakby porzucenie mogło się okazać zakaźną chorobą. Kiedy któregoś wieczoru makijażystka, Suzi, zaprosiła ją do siebie na drinka, Liz była taka wdzięczna za ludzkie towarzystwo, że poszła, chociaż uważała Suzi za dziwaczkę.

W salonie Suzi zastała ze dwadzieścia osób, które siedziały po turecku na podłodze, trzymając w rękach małe brązowe paciorki i intonując coś w języku, którego nie rozumiała, ale który przypominał jej nosowe brzęczenie os. Trwało to z godzinę, podczas gdy Liz

siedziała w jadalni obok i w ponurym milczeniu wyjadała wszystkie oliwki, zastanawiając się, czy Suzi zauważy, jeśli sobie po cichu pójdzie. Potem wszyscy się podnieśli i zaczęli opowiadać, że ich życie nabrało kolorów od czasu ostatniego spotkania.

– Mniej się kłóczę z córką.

– Dostaliśmy ofertę kupna na nasz dom.

– Zdałam egzamin z akupunktury.

– Nadal nie palę.

– Miałem już drugą rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy dla firmy nagraniowej.

– Schudłam kolejny kilogram, a we środe przez dwadzieścia minut biegałam.

– Wygrałem pięćdziesiąt funtów w zdrapkę.

Każde oświadczenie witano oklaskami, potem wszyscy się uściskali, a Suzi otworzyła wino i dwie paczki chipsów.

– No i co o tym myślisz, Liz? – zapytała. Oczy jej lśniły misjonarskim zapalem.

– Nie wiem. A o co tu chodziło?

– Powinam ci była powiedzieć, ale nie chciałam cię wystraszyć. Jesteśmy buddystami – wyjaśniła Suzi.

– Chodzi ci o tę religię? To czemu klaskaliście facetowi, który wygrał pięćdziesiąt funtów?

– No cóż, możesz intonować mantrę w dowolnym celu. Sonia czantuje dla pokoju na świecie. Colin czantuje, żeby się wzbogacić.

– I to działa?

– Spróbuj – powiedziała Suzi i podała jej niebieską broszurę w papierowej okładce. – Kiedy raz usłyszysz słowa: *Nam-Myoho Renge-Kyo*, ziarno zostaje zasiane w twoim umyśle. Jeśli potrafisz intonować je z całego serca, przebudzisz

się do stanu Buddy.

Liz zabrała książkę do domu i rzuciła ją na łóżko. Nie interesował jej buddyzm ani światowy pokój – po co to wszystko, skoro nie mogła mieć Bena? I wtedy nagle zrozumiała, że odpowiedź jest oczywista. Gra jeszcze się nie skończyła. Nie powinna się poddawać. Musi tylko odzyskać Bena. A teraz kosmos dał jej sygnał. Otworzyła książkę i zaczęła czytać, a potem przez sześć lat stale odmawiała magiczne słowa, czekając na dzień, kiedy jej marzenie się spełni.

Rozdział 9

Kilka kilometrów dalej, w Covent Garden, Emma była świadkiem cudu. – Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku, a dziś budzę się rano i proszę, przez noc urosły o prawie pięć centymetrów. No, niech pani tylko na to popatrzy!

Kobieta z magicznie odrastającą fryzurą na pazia uniosła długi kosmyk puszystych popielatoblond włosów i podsunęła je Emmie do oględzin.

– Jestem pewna, że Michael coś na to poradzi – obiecała Emma.

– Ta woda pani odpowiada?

– Emma, chodź tu, kiedy skończysz, chcę ci coś pokazać!

Vicky, salonowa recepcjonistka, miała bardzo tajemniczą i podekscytowaną minę.

– Popatrz na to! – szepnęła i pokazała nazwisko wpisane ołówkiem na strzyżenie u Michaela na czwartą po południu: H. Grant. Uniosła brwi. – Sama odebrałam telefon.

– O mój Boże! To naprawdę on? – Michael miał kilku lepszych klientów, ale żeby Hugh Grant?

– No cóż, nie rozmawiałam z nim osobiście – powiedziała Vicky. – To była jedna z jego asystentek...

– Och, jasne, oczywiście...

– Ale powiedziała, że bardzo jej polecano Michaela.

– Och, Vicky, mogę mu umyć włosy? Och, proszę cię, mogę?

– błagała Emma.

Vicky rozejrzała się na boki, nie poruszając głową i sprawdziła, czy nikt ich nie słucha.

– Zostaw to mnie – szepnęła

konspiracyjnym tonem. – Ale musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz. Nie chcę tu wzbudzać sensacji.

– Przysięgam, nie powiem ani słowa! – Podekscytowana Emma wróciła do składania ręczników, a serce waliło jej jak młotem. To chyba sen! Przychodzi tu Hugh Grant! Co ona mu, na litość boską, powie? Po prostu rzuci niezobowiązująco w rozmowie, że też jest aktorką. On zrozumie, jak to jest nie mieć pracy, prawda? Nie zawsze był wielką gwiazdą i ma taką miłą twarz. Może teraz kręci film i mógłby się za nią wstawić słówkiem, a ona dostałaby w tym filmie jakąś rolę. Nic dużego, oczywiście, ale nawet statystowanie w większej scenie byłoby cudowne. A co, jeśli ona mu się naprawdę spodoba i Hugh załatwi jej prawdziwą rolę, z tekstem i tak dalej? Może nawet wystąpiłaby z nim w jakiejś scenie – z

Hugh Grantem! Pokazałoby się razem na ekranie i ona zabrałaby mamę do kina, żeby mogła to zobaczyć, i mama byłaby z niej taka dumna, i może Hugh zaproponowałby, że zabierze je obie na obiad – do żadnej ekskluzywnej knajpy, może gdzieś do jakiegoś miłego wiejskiego pubu – i rozśmieszałby jej mamę i na pewno zostaliby wszyscy naprawdę dobrymi przyjaciółmi, i wysyłałoby sobie co roku kartki na Boże Narodzenie, i mama mogłaby go zaprosić na niedzielny lunch i zrobiłaby swój słynny Yorkshire pudding z syropem klonowym na deser. Na pewno bardzo by mu smakował...

– Emma, no co jest? Składasz ten ręcznik od dziesięciu minut! Dobrze się czujesz?

Emma podskoczyła.

– Przepraszam, Michael. Zamyśliłam

się.

– Jeśli nie masz nic pilnego do roboty, umyj dla mnie te pasemka.

– Jasne, Michael. – Uśmiechnęła się do niego naprawdę szeroko i mrugnęła okiem, żeby wiedział, że ona wprowadzie wie wszystko o jego ważnym kliencie, ale nie zdradzi sekretu. W przerwie na lunch będzie musiała wymknąć się i kupić sobie nowy top. Przecież nie może pozwolić, żeby Hugh Grant oglądał ją w tym starociu, prawda?

Tymczasem w Soho dzień nie układał się zbyt dobrze.

– Chcesz najpierw dobre czy złe wiadomości? – zapytała Angela.

– Złe – powiedział Ben.

– Okay. Zła wiadomość jest taka, że nie ma żadnych dobrych wiadomości.

– Nie wierzę ci – powiedział Ben, wyskakując niespokojnie z fotela. –

Mówimy tu o biznesie, w którym jest największe bezrobocie w kraju.

– Nie myśl, że nie próbowałam – powiedziała Angela.

– Mógłbym rzucić w tej chwili kamieniem przez najbliższe okno i na pewno trafiłbym w aktorkę. – Ben wyjrzał z ponurą miną na Dean Street. Miał nadzieję, że odpowiedź na jego modlitwy zmaterializuje się na chodniku. Usiłował otworzyć okno, zapominając, że jest zamknięte na stałe, i dla dramatycznego efektu musiał się zadowolić podrzucaniem w dłoni dziurkacza.

– Dlaczego nie dasz tej roli Sophie Randall i po prostu nie zatrudnisz kogoś innego jako Roxanne? – zaproponował Patrick z irytacją. Jeśli chodziło o niego, kiedy widziałeś jedną aktorkę, widziałeś już wszystkie.

– To doskonały pomysł – powiedziała

Angela – wyjąwszy trzy sprawy.

– Jakie?

– Sophie Randall jest wolna tylko przez jeden dzień, a my potrzebujemy naszej Jasmine przez prawie sześć tygodni – wyjaśnił Jamie, pierwszy asystent reżysera. – Już i tak musieliśmy zmienić plany, żeby dostosować się do sesji zdjęciowych Sophie.

– Dobra, to jeden powód – powiedział Patrick.

– Dwa, Sophie ma metr siedemdziesiąt siedem – przypomniała mu Angela. – A Danny Parker tylko metr siedemdziesiąt pięć. Sophie może zagrać Roxanne tylko dlatego, że to jedna scena i ona w niej leży.

– No więc on staje na skrzynce. Jaki jest trzeci powód?

– Sophie nie umie grać – wyjaśnił Ben.

– O Jezu. To śmieszne – powiedział Patrick. – Przesłuchaliśmy osiem

dziewczyn do roli Jasmine. Co się z nimi wszystkimi stało?

– Rachel Midwinter nie zgadza się zagrać za te pieniądze – powiedziała Angela i rzuciła Patrickowi bardzo znaczące spojrzenie.

– Nie możemy dać jej więcej? – spytał Ben. – Rachel byłaby świetna.

– Tylko jeśli przyoszczędzimy i kapela będzie trzyosobowa, a nie czteroosobowa, co bez przerwy wam sugeruję – powiedział Patrick. – Nikt nawet nie zauważy perkusisty, ja wam to mówię.

– On ma cztery strony dialogu – przypomniał mu Ben. – I napisał muzykę do filmu.

– I tak jest za późno – powiedziała Angela. – Rachel już podpisała kontrakt na ten nowy film z Mattem Damonem. – Zaczęła po raz kolejny sprawdzać swoją listę. – Melanie nie umie prowadzić i nie

chce się uczyć. Najwyraźniej jakaś fobia z poprzedniego wcielenia.

– I co? – spytał ostro Patrick.

– Nie chce korzystać z dublerki do scen w samochodzie – wyjaśnił Ben. – Zresztą ona nie bardzo mi pasuje. Za mocno napakowana.

– Zatem – powiedziała Angela – zostaje nam tylko Kimberley, Kate i Erin, która całe przesłuchanie mówiła szeptem.

– Erin nam się bardzo nie podobała – przypomniał sobie Patrick.

– No to może któraś z dziewczyn przesłuchiwanym do roli Roxanne? – zaproponował Jamie.

– Dokładnie! – powiedział Patrick, wężąc okazję do obcięcia budżetu. – Kto powiedział, że Jasmine to musi być znane nazwisko? Weźmy kogoś nikomu nieznanego i możemy zapłacić mu grosze.

– Czy to znaczy, że mogę znów mieć

swoje ujęcia z dźwigiem? – spytał Ben.

Patrick westchnął.

– Możesz mieć dźwig na jeden dzień.
Jeśli musisz.

– Żadna z nich nam się nie podobała –
przypomniała Angela.

– Nie na tyle, żeby zagrać Jasmine.

– A co myślicie o tej Szkotce? – spytał
Ben.

– O jakiej Szkotce? – zdziwiła się
Angela.

– Nie pamiętam jej nazwiska. O tej,
która nam się podobała. Śliczna buzia.

– Ach, ta – powiedział Patrick. – Ale to
nie Szkotka.

– Może i nie, ale miała naprawdę
zabawny pyszczek, prawda?

– powiedziała Angela. Przerzuciła
wszystkie formularze z castingu i pokręciła
głową. – Chyba wiem, o kogo ci chodzi,
ale nie mogę jej znaleźć. – Znów przejrzała

papiery i zajrzała pod krzesło, usiłując się zorientować, gdzie je mogła posiać. – CV po prostu wyparowało.

– No cóż, kiepska sprawa, nieprawdaż?
– powiedział Patrick, który wyrzucił CV Emmy do kosza na śmieci na Greek Street.
– Pozwól, że ci przypomnę, jak działa ten interes. My mamy pewną ilość czegoś, co się nazywa „role”, do obsadzenia, a twoim zadaniem jest znaleźć aktorów, którzy je zagrają. To nie jest fizyka jądrowa. Prosimy tylko, żebyś nie gubiła tych kartek papieru, na których zanotowane są nazwiska aktorów.

– Och, odpieprz się, Patrick – powiedziała Angela. – Nie martw się, Ben. W komputerze będę miała dane jej agenta.

– No cóż, dobrze – powiedział Patrick niechętnie. Popatrzył, jak duży tyłek Angeli oddala się w stronę biurka, i natychmiast zmienił temat.

Była za dziesięć czwarta i popołudnie wlokło się niemożliwie, jakby salon wpadł w pętlę czasu. Lunch minął chyba wieki temu.

– Ładna bluzka – powiedziała Donna, kiedy Emma wpadła do środka w nowym, psychodelicznym topie. – Miałaś na sobie te spodnie dziś rano?

– Tak – skłamała Emma, czując, że szyja oblewa jej się rumieńcem. – To znaczy, nie, niezupełnie. Wylałam trochę farby na te, w które byłam ubrana, a nowe miałam już w torbie.

Opuściła oczy i przypomniała sobie, że trzyma w ręce dużą torbę od Miss Sixty z czarną spódnicą i bluzką, które miała na sobie, kiedy przyszła do pracy dziś rano.

– Wychodzę po pracy – mruknęła pełna poczucia winy i uciekła do pokoju dla personelu, chcąc uniknąć dalszego przesłuchania. Wydruk z karty kredytowej

na pięćdziesiąt dwa funty ciążył jej na sumieniu, ale tłumaczyła sobie, że to inwestycja.

Przez całe popołudnie nie odrywała wzroku od chodnika przed wielkim oszklonym frontem salonu. Jak Hugh Grant tu się dostanie? Piechotą? Na pewno nie. Przyjedzie taksówką albo jedną z tych długachnych limuzyn o zaciemnianych szybach, które często widać na mieście. Michael twierdził, że są tylko wynajmowane na wieczory panieńskie, ale widywała je też popołudniami. Dlaczego w jednej z nich nie miałyby siedzieć Hugh Grant w drodze do fryzjera? Michael wcale nie wydawał się podenerwowany tym, że będzie strzygł takie sławne włosy. Popatrzcie na niego, gada sobie, jakby ten dzień niczym się nie różnił od innych. Emma od czasu lunchu zamiotła podłogę już ze dwadzieścia razy – wypolerowała

umywalki i krany, i upewniła się, że wszystkie siedzenia są suche i że nie rozlała się na nie farba, która mogłaby poplamieć ubranie Hugh Granta i zepsuć mu dzień.

Właśnie suszyła na szczotce włosy dziewczyny o imieniu Annie, ale całą uwagę skupiła na do połowy opróżnionej filiżance kawy i plastikowym opakowaniu po herbatnikach zostawionych na kontuarze przy stanowisku obok. Donna nie sprzątnęła też brudnej metalowej miseczki – nadal stała na podręcznym wózku, a Hugh Grant pojawi się tu lada chwila. Co będzie, jeśli wejdzie do środka i pierwsza rzecz, na jaką padnie jego wzrok, to niesprzątnięte stanowisko robocze? Może rzucić jedno miażdżące spojrzenie i z miejsca wyjść, a wtedy ona nigdy nie będzie miała okazji umyć mu włosów i nigdy z nim nie porozmawia, a

on nigdy nie załatwi jej roli w swoim filmie.

– Przepraszam – powiedziała do Annie – muszę na sekundkę odejść i coś zrobić.

Rzuciła się, żeby uprzątnąć bałagan, dla oszczędności czasu stawiając filiżankę z kawą i opakowanie po herbatnikach na wierzchu wózka. Odwoziła go jak najszybciej na zaplecze, kiedy usłyszała, że Vicky woła:

– Michael, twój klient na czwartą już jest!

Emma niecierpliwie okręciła się na pięcie i kiedy to zrobiła, filiżanka spadła z wózka, oblewając kawą jej nowiuteńkie spodnie. Ale przed biurkiem recepcjonistki stał tylko mały chłopiec z matką.

– Emma, pamiętasz Bev Grant, prawda?
– powiedziała Vicky słodko. – To jej syn, Harry.

Emma słyszała, jak w salonie dokoła

niej zaczynają się rozlegać zduszone chichoty. Nawet Pan, spokojny tajski stylistą, który zwykł się odzywać wyłącznie szeptem, zgiął się wpół nad swoją klientką i praktycznie płakał ze śmiechu.

– Co was tak bawi? – zapytał Michael, jedyny niewprowadzony w żart.

– Nic – powiedziała Emma, zdając sobie sprawę, że znów dała się nabrać. Otarła z kawy swoje nowe spodnie i z wielkim wysiłkiem spróbowała włączyć się do ogólnego rozbawienia. – Dobry dowcip – powiedziała do Vicky. – Chodź, Harry, znajdziemy ci narzutkę.

Dziewczyny uwielbiały ją wrabiać. Nie ze złośliwości, upomniała samą siebie Emma. W czasie tej pierwszej soboty, kiedy jeszcze studiowała w szkole dramatycznej, powiedziały jej, że

najlepszy sposób na zmycie farby z dłoni to opłukać je białym winem. Tak więc, tuż przed zamknięciem, posłusznie podreptała do najbliższego sklepu monopolowego i wróciła z najtańszą butelką bułgarskiego białego wina, jaką udało jej się znaleźć – w końcu wydawała swoją pierwszą w życiu wypłatę, a jeszcze tych pieniędzy nie widziała na oczy. Dziewczyny już na nią czekały z korkociągiem i czterema kieliszkami.

– Na zdrowie! – odezwały się chórem. – Teraz oficjalnie zostałam fryzjerką.

Kiedy Emma wspominała wszystkich ludzi, którzy od tej pory przewinęli się przez salon, była właściwie jedyną osobą – poza Michaeliem, oczywiście – która po sześciu latach nadal tam pracowała.

– Dlaczego wszyscy się śmiali, kiedy wszedłem? – zapytał Harry, gdy myła mu włosy.

– Nie śmiali się z ciebie – uspokoiła go.
– Śmiali się ze mnie, bo oblałam sobie spodnie kawą.

– Aha – powiedział Harry, najzupełniej usatysfakcjonowany takim wyjaśnieniem.

– No więc, masz dziś wolne w szkole? – powiedziała Emma, żeby zmienić temat.

– Nie, w tym tygodniu nie chodzę do szkoły, mam prywatne lekcje.

– Czemu? Źle się czujesz?

– Nie, to przez musical.

– Jaki musical?

– *Nędznicy* – pisał Harry. – Gram Gavroche’a. Zaczynam w przyszłym tygodniu.

– Gratuluję – powiedziała Emma i zrobiło jej się trochę niedobrze. Jej kariera została właśnie całkowicie przyćmiona przez ośmiolatka ze sterczącymi włosami.

Harry, jak się okazało, już występował w *Król i ja* oraz w telewizyjnej adaptacji

Nicolasa Nickleby.

– Dobrze się nadaję na urwisa – wyjaśnił i gorliwie zaprezentował swoją śmiałą, a jednocześnie chwytającą za serce chłopięcą buźkę.

– To świetnie! – powiedziała Emma i zastanowiła się, czy mimo wszystko nie byłoby warto poprosić tego H. Granta o protekcję. Poczowała ulgę, kiedy Michael podszedł przejąć od niej robotę.

– Emma, telefon do ciebie! – zawołała Vicky. Trzymała w dłoni słuchawkę salonowego telefonu, ale Emma zachowała czujność. Już raz dzisiaj dała się nabrać i nie miała ochoty drugi raz zrobić z siebie idiotki. – Emma, mogłabyś się ruszyć i odebrać? – burknęła Vicky niecierpliwie. – Blokujesz linię.

– A kto to jest tym razem? – zapytała ostrożnie Emma. – George Clooney chce zrobić sobie trwałą?

– Nie, to jakaś Irenę.

Emma złapała słuchawkę, nadal przekonana, że to Donna albo inna koleżanka udaje jej agentkę.

– Halo, Irenę? Po co do mnie dzwonisz pod ten numer?

– No cóż, komórkę masz jak zwykle wyłączoną, a mnie się znudziło zostawianie wiadomości. – Z całą pewnością była to Irenę; jej głos zawsze przypominał Emmie cukierkowo-różowy lakier do paznokci i złotą torebkę, dopasowaną do paczki H&B. – Ludzie z *Brighton Rocks* chcą cię znów widzieć.

– Żartujesz! – Emmie przypomniawszy się okrutny śmiech Patricka, wiedziała, że to musi być jakaś podpucha.

– Jutro, o dwunastej.

– Ale oni zdecydowali się dać to jakiejś Sophie.

– Nie, chodzi o coś innego. Chcą cię

przesłuchać do roli Jasmine. Dziś po południu prześlą ci kurierem scenariusz.

– Irenę, ja nie mogę... – Po prostu nie mogła znów zobaczyć Patricka. Umarłaby z zażenowania.

– Co? Nie mów mi, że masz jakąś lepszą propozycję!

Emma chciała opowiedzieć Irenę, co się stało, ale stojąc pośrodku salonu, nie mogła tego zrobić.

– Chyba nie chcę już grać w tym filmie. Oni mi się nie podobają – wyjaśniła słabo.

– Jezu! Ja cię nie proszę, żebyś ich adoptowała, po prostu zagraj w tym cholernym filmie! Co się z tobą dzieje! Myślałam, że będziesz skakać z radości! – Słyszała, że Irenę zapala papierosa i głęboko się zaciąga.

– Nie możesz do nich oddzwonić i powiedzieć, że zmieniłam zdanie?

– Ty chyba nie rozumiesz. – Irenę

zaczęła mówić bardzo powoli i wyraźnie. – Oni chcą cię przesłuchać do głównej roli żeńskiej. Czy ty wiesz, co to znaczy?

Emma usiłowała powiedzieć: „tak”, ale z jej ust wydobył się tylko jakiś zduszony pisk. Wiedziała doskonale, co to znaczy. Wreszcie będzie mogła spojrzeć ośmioletniemu Harry’emu Grantowi prosto w oczy.

– Dwunasta! – powtórzyła Ireneę. – I pamiętaj, możesz spieprzyć to przesłuchanie tylko na dwa sposoby: w chwili, kiedy wejdiesz do środka, i w chwili, kiedy otworzysz usta. Połamania nóg!

Kiedy Emma dotarła do domu, gruba brązowa koperta czekała oparta o frontowe drzwi. Albo Chris gdzieś wyszedł, albo, co bardziej prawdopodobne, przespał dzwonek. Nerwowo wniosła pakunek do

środką, jakby miała do czynienia z niewypałem i położyła go na sofie, gdzie mogła mieć go na oku, kiedy czekała, aż zagotuje się woda. Popijając herbatę, otworzyła kopertę z rachunkiem za prąd i sprawdziła sekretarkę telefonu, cały czas udając, że ignoruje pakunek, który prawdopodobnie mógł odmienić jej życie. Udało jej się udawać opanowanie przez całe dziesięć minut, a potem rozdarła kopertę zębami i rzuciła się na scenariusz *Brighton Rocks* i towarzyszący mu odręczny liścik od reżysera: *Mam nadzieję, że spodoba ci się scenariusz. Do zobaczenia jutro na przesłuchaniu. Powodzenia, Ben.*

Kiedy przesłuchiowano ją do roli Roxanne, dostała tylko jedną stronę scenariusza i pół strony streszczenia, w którym mowa była o kapeli pod nazwą Push, złym właścicielu klubu nazwiskiem

Larry Turpin, jakichś skradzionych szmaragdach i ćwierci miliona funtów szterlingów w zagranicznej walucie. Teraz miała przed sobą całą historię – pełne sto dziesięć stron. Na stronie siedemnastej Jasmine pojawia się po raz pierwszy, przychodząc do nocnego klubu, w którym pracuje, a potem, kilka stron dalej, w scenie dwudziestej pierwszej, przechodzi przez tłum i zatrzymuje się na moment, żeby przyjrzeć się zespołowi występującemu na estradzie. Scenariusz opisywał Jasmine jako *chwytające za serce połączenie wiary w siebie i niewinności*.

Emma czytała dalej, łakomie przerzucając strony. Oczy rozszerzyły jej się z podniecenia, kiedy doszła do sceny sto czterdziestej ósmej, gdzie Jasmine ocala życie Eddiemu, którego Turpin chce zastrzelić, i przy scenie dziewięćdziesiątej

siódmej, która brzmiała następująco:
*Eddie i Jasmine opadają na piasek i
namiętnie się całują.*

Zanim dotarła do końca scenariusza,
pragnęła roli Jasmine bardziej niż
czegokolwiek przedtem w całym swoim
życiu.

Rozdział 10

Następnego dnia kwadrans po dwunastej Emma zasiadła na twardym drewnianym krześle w gabinecie Bena, wodząc wzrokiem po czarno-białych fotografiach formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów przedstawiających pozostałych członków obsady, które były poprzypinane pinezkami na ścianach.

– Czekamy już tylko na Patricka – wyjaśnił Ben. – Przyjdzie niedługo.

Zdążyli już obejrzeć Erin, Kimberley i Kate, a Ben spędził z Erin prawie pół godziny – dwa razy tyle, ile z pozostałymi kandydatkami, bo wiedział, że nie da jej tej roli i zrobiło mu się żal dziewczyny. Podczas każdego kolejnego czytania scenariusza on i Angela odkrywali coraz to nowe aspekty osobowości Jasmine i teraz

wiedzieli już dokładnie, kogo szukają. Jasmine miała być cwana i przebiegłą dziewczyną, która swoją seksualność wykorzystuje jako broń i z lekkim dystansem obserwuje wszystko, co się dzieje wkoło niej. Miał nadzieję, że w Emmie znajdzie wszystkie te cechy.

– Zdażyłaś poczytać scenariusz? – zapytał.

– Och, tak, przeczytałam całość, dwa razy. Jest znakomity! – wyrzuciła z siebie Emma.

Nie spała prawie całą noc, chcąc poznać Jasmine i wczuć się w rolę. Jak Jasmine by stała, jak by siedziała? Czy była porywczą kokietką, czy trzeźwo myślącą spryciarą? Jak bardzo spodobał jej się Eddie, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła? Uśmiechała się często? Była bystra? Gdzie chodziła do szkoły? Czy była szczęśliwa? Chciała poznać Jasmine na wylot, a jednocześnie w

jakiś sposób zachować świeże i spontaniczne reakcje podczas dzisiejszego przesłuchania. Odkryła, że najtrudniej ze wszystkiego jest usiedzieć w tym pokoju i zachowywać się naturalnie.

– A Jasmine jest wspaniała – mówiła dalej. – Uwielbiam ją, to znaczy, jest dzielna i niegłupia, i nie da się nikomu nabrać, prawda?

– Czy ty też taka właśnie jesteś? – spytał Ben z nadzieją.

– Skąd, broń Boże! – roześmiała się Emma, ale widząc identyczny grymas zaniepokojenia na twarzach Bena i Angeli, zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie udzieliła najgorszej możliwej odpowiedzi. – To znaczy, owszem, może trochę. Sporo nawet. Chyba.

– Zaraz... Niestety, gdzieś nam się zapodziało twoje CV powiedziała Angela. – Pewnie nie przyniosłaś ze sobą kopii?

– Nie, bardzo przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Możesz nam po prostu przypomnieć, czym się ostatnio zajmowałaś?

– Fryzjerstwem – palnęła Emma bez zastanowienia i natychmiast pożałowała, że tak jej się wyrwało.

– Przykro mi. Nie znam tego – powiedziała Angela, podnosząc wzrok znad notatnika. – To sztuka czy film?

Emma spojrzała na Angełę, a potem na Bena i dostrzegła w ich twarzach, że naprawdę nie chcieliby usłyszeć od swojej ewentualnej odtwórczyni głównej roli, że przez ostatnie trzy lata zajmowała się zmiataniem z podłogi włosów o rozdwojonych końcówkach. Przełknęła ślinę. Cała jej przyszłość zależała od tego, co za chwilę powie. Gdyby wyjawiała im prawdę, żadne wyczyny podczas przesłuchania nie będą miały znaczenia.

Nigdy by jej nie potraktowali poważnie i resztę swojej aktorskiej kariery spędziłaby, leżąc na noszach na planie *Szpitala Holby City*, ociekając sztuczną krwią. Przypomniała sobie radę udzieloną kiedyś przez Michaela: „Po prostu kłam. Nikt się nigdy nie dowie”. Wzięła głęboki oddech.

– Film – uśmiechnęła się i ze sposobu, w jaki Angela i Ben natychmiast radośnie pokiwali głowami, domyśliła się, że nareszcie powiedziała to, co trzeba. Kurczę, pomyślała, to naprawdę nie jest trudne.

– Kto to reżyserował? – zapytał Ben.

– Michael Ridgway – powiedziała szybko Emma, wiedząc, że jej szef nie miałby nic przeciwko przypisaniu mu zasług za film, który nie istniał. – Znacze go?

– Nie, ale nazwisko brzmi znajomo – pokiwał głową Ben w zamyśleniu, idąc za

pierwszą zasadą biznesu filmowego, która mówi: „Nigdy się nie przyznawaj, że czegoś nie wiesz”. – Co to? Komedია?

– Och, tak, jest tam się z czego pośmiać – zgodziła się Emma. – Ale poza tym mnóstwo ciężkiej pracy.

– Oczywiście – zgodził się Ben. – A kiedy wejdzie do dystrybucji?

– Jakoś niedługo.

– Kto jeszcze tam zagrał? – zapytała Angela i Emma pewnym siebie tonem wyrzuciła listę nazwisk wszystkich pracowników salonu, które Angela skrupulatnie sobie zapisała.

– A zatem sporo nowych twarzy, prawda?

– Tak, można by tak powiedzieć.

– To bardzo obiecujące – powiedziała Angela. – I żadnych wielkich nazwisk?

– Znasz Pana Chatnopakuna? – zapytała Emma, wymieniając cichego Taję stylistę.

Bardziej imponującego nazwiska nie umiała sobie przypomnieć.

Angela pokręciła głową.

– Jest bardzo popularny w Tajlandii – wyjaśniła Emma.

– A co robiłaś przedtem? – zapytała Angela.

– No cóż, występowałam w sztuce pod tytułem *Książka telefoniczna* w *Man in the Moon* i telewizyjnych serialach, jak wszyscy: *The Bill*, *Szpital Holby City*. Obawiam się, że to nic specjalnego.

Angela i Ben uśmiechnęli się, spodobała im się skromność Emmy.

– Och – dodała brawurowo – no i, oczywiście, w *Titanicu*.

– Jak było?

– Zimno i mokro.

Angela i Ben roześmiali się. Emma poczuła się jak król świata.

I wtedy wszedł Patrick.

Uśmiech zamarł na ustach Emmy, kiedy Patrick usiadł z rozmachem obok Bena na brązowej pluszowej sofie. Przyjrzał jej się od stóp do głów bez najmniejszego śladu zażenowania czy zawstydzenia.

– A więc... Emma Buckley, Emma Buckley... – powtórzył, jakby jej nazwisko coś mu przypominało. – Dobrze, że znalazłaś czas, żeby znów się z nami zobaczyć. Powiniennem cię ostrzec, nie możemy dużo zapłacić.

– Nie ma sprawy – szepnęła Emma, a Angela i Cen spojrzeli na Patricka z niedowierzaniem.

– Nie wydaje mi się, żeby to było właściwe... – syknęła Angela.

– Tak, Patrick, nie rozpędzaj się tak – dodał Ben. – Emma jeszcze nawet nie zdążyła poczytać dla nas roli.

– Och, jasne – ucieszył się Patrick. – A więc może się jeszcze okazać do niczego.

Angela chrząknęła z głęboką dezaprobatą.

– Nie zwracaj na Patricka uwagi – powiedział Ben. Nagle ogarnęła go masa opiekuńczych uczuć wobec Emmy. – On ma po prostu takie zwichnięte poczucie humoru.

Patrick zacisnął mięsiste wargi w uśmiechu, który przypominał Emmie tłustą jaszczurkę. Zastanawiała się, czy Patrick opowiedział Benowi o ich spotkaniu w Domu w Soho, i zdecydowała, że pewnie jednak nie. Chociaż równie dobrze mógł to zrobić. Nie umiała się zdecydować.

– To może zaczniemy od sceny czterdziestej, kiedy Jasmine usiłuje ostrzec Eddiego – zaproponował Ben – a potem przejdziemy do małej improwizacji?

– Dobrze. Świetnie – powiedziała Emma. – Mogę czytać tekst? – Wczoraj wieczorem nauczyła się na pamięć całej

roli, ale w chwili, kiedy Patrick wszedł do pokoju, wyparowała jej z głowy co do słowa.

Patrick przejrzał scenariusz.

– Myślałem, że scenę czterdziestą wycięliśmy – wtrącił.

Ben zignorował go i wstał. Emma też się podniosła, a ręce tak jej dygotały, że cały scenariusz szeleścił.

– Skąd to masz? – zapytała, wskazując wyobrażony futerał od gitary w ręce Bena.

– Oddał go.

– Tak po prostu?

– Taa, tak po prostu. Powiedział, że mu przykro, że przesadził, i zwrócił nam cały sprzęt.

– Włamaliście się do jego biura, prawda?

– Nie.

– Nie okłamuj mnie, Eddie. Słyszałam was. Słyszałam was tam... – Kątem oka

widziała, jak Patrick wydmuchuje w jej kierunku kółeczka dymu z papierosa.

– Taa, no cóż, zwinął nam cały sprzęt.

– Musicie go odnieść. – Wczoraj w nocy, próbując w samotności, wypowiedziała tę linijkę z nieklamany gniewem. Teraz, kiedy przyglądał jej się Patrick, słowa były pełne lęku. Przytrzymała się krawędzi stolika, żeby nikt nie widział, jak mocno drżą jej ręce.

– Daj spokój! Więcej tam nie wracamy!

– Eddie, musicie wszystko odnieść. Dziś wieczorem! Nie masz pojęcia, w jakie kłopoty się pakujecie! – Emma usiłowała wyrazić wściekłość, ale udało jej się wyłącznie zasugerować troskę. Wszystko rozpadało się jej w rękach.

– O czym ty mówisz?

– Pokażę ci – powiedziała Emma i na niby wyrwała futerał z ręki Bena, udając potem, że go otwiera.

– I wtedy wylatuje z niego para obciętych kończyn – wyjaśnił Ben.

– Dziękuję. Bardzo ładnie to poszło – powiedziała Angela.

– Spróbujmy teraz scenę, w której Turpin trzyma Jasmine na muszce, dobrze? – podsunął Ben. Nienawidził czytania roli, ale Patrick nie życzył sobie płacić żadnemu z innych aktorów za obecność, więc nie miał większego wyboru.

Emma upiła łyk wody i usiłowała znów wejść w kontakt z postacią Jasmine, nad którą wczoraj pracowała. Jasmine była twarda, niczego się nie bała, ale ona czuła się tak, jakby grunt usuwał jej się spod nóg. Wszystko szło nie tak. Przy linijce tekstu: „No to czemu w takim razie po prostu mnie nie zastrzelisz?”, zamiast mówić głosem zimnym jak stal, spojrzała na zszywacz w ręce Bena i parsknęła śmiechem, bo w tym momencie nie miała

nic przeciwko temu, żeby ktoś ją wybawił z opresji i skrócił jej męki. Nie zdziwiła się, kiedy Ben poprosił ją, żeby tę samą scenę powtórzyli jeszcze dwa razy, raz spokojnie, jakby wcale nie była przestraszona, a drugi raz w taki sposób, żeby zasugerować prawdziwe przerażenie. Widziała, że Angela zapisuje mnóstwo uwag w swoim notatniku, i żałowała, że nie może po prostu pójść do domu.

– Może spróbujemy trochę poimprovizować? – zaproponował Ben. – Powiedzmy, że Eddie spóźnił się na randkę z Jasmine.

– Na randkę? – obruszył się Patrick. – Kto, do cholery, jeszcze chodzi na randki?

Ben udał, że go nie słyszy.

– Okay? – zapytał Emmę.

Emma przypomniała sobie wszystkie te sytuacje, kiedy siedziała i czekała na Jasona, chociaż nigdy nie mogła się na

niego rozgniewać, bo wiedziała, że spóźnia się ze względu na pracę. To nie jego wina. Ale tyle razy zamartwiała się o niego – w tym głupim porsche, który wiecznie prowadził za szybko i w dodatku cały czas rozmawiając przez komórkę.

– Gdzie byłeś, do diabła? – rzuciła ostro i uderzyła Bena pięściami w pierś. Ben był kompletnie zaskoczony. Nie cierpiał improwizacji i wiedział, że fatalnie w nich wypada.

– Przepraszam, przepraszam. Pracowałem – powiedział. – Straciłem poczucie czasu.

Ile razy sam używałem tej wymówki w prawdziwym życiu? – zastanowił się.

– Czy ty masz w ogóle pojęcie, jak ja się o ciebie martwiłam?

– Jasmine...

– Dzwoniłam na policję, dzwoniłam po szpitalach! Myślałam, że Turpin zrobił ci

coś złego! Nie wiedziałam, co się z tobą dzieje! Myślałam, że nie żyjesz! – Ku swojemu zdziwieniu, może dlatego, że wiedziała, że przepadła na kolejnym przesłuchaniu i na pewno znów ją odrzucą, Emma poczuła, że w oczach zaczynają jej się zbierać łzy. Znów uderzyła Bena w pierś, tym razem nieco lżej. – Mam tego dość – powiedziała. – Ja już głowę tracę. Nie mogę tak dłużej żyć.

Z jakiegoś powodu Ben, obserwując, jak Emma usiłuje powstrzymać łzy, nabrał wrażenia, że to strasznie ważne, żeby Jasmine przebaczyła Eddiemu. Złapał ją za nadgarstek i zmusił, żeby na niego spojrzała.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał.

Emma zgłupiała. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Rzuciła pierwsze słowo, które jej przyszło do głowy:

– Okay.

– Och, szalenie wzruszające – rzekł Patrick i zaczął im powoli, sarkastycznie klaskać.

Ben puścił rękę Emmy.

– Przepraszam, że cię uderzyłam – mruknęła, znów siadając. – Nie zabolalo cię, prawda?

– Skąd, przeżyję.

Angela wyłączyła kamerę wideo.

– Chciałam cię spytać jeszcze tylko o jedno – powiedziała. – Masz prawo jazdy, prawda?

– Och, tak.

– Jeździsz z normalną skrzynią czy automatyczną?

– Znam obie. – Umiała też prowadzić traktor, ale nie sądziła, że byliby tym zainteresowani.

– No cóż, to wszystko wygląda bardzo dobrze – zdecydował Ben.

– Tak – zgodził się Patrick. – Teraz

musimy już tylko zobaczyć, jak się prezentujesz nago.

– Przepraszam?

– Wiesz, że w filmie są sceny nagości, prawda?

– Nie, nie wiedziałam. Irenę nigdy mi nie...

– Prosimy zatem, żebyś się po prostu dla nas rozebrała.

Emma przeniosła wzrok z Patricka na Bena, a potem na Angełę, żeby zobaczyć, czy on nie żartuje. Nigdy wcześniej nie poproszono jej o coś takiego.

– Nie masz problemu z nagością, prawda? – zapytała Angela.

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko... – Chciała dodać, że dziwnie się czuje, rozbierając na środku czyjś gabinetu. Przez szklaną szybę widziała wszystkich pozostałych pracowników biura produkcji.

– Ach, jasne, no tak... – powiedziała

Angela i podeszła do szyby opuścić żaluzje.

Emma zdjęła przez głowę swój nowy, psychodeliczny top, a kiedy opuściła ręce, zobaczyła, że Patrick ślini się na widok jej białego, koronkowego stanika.

– No cóż, nie mamy tu nic szczególnego, prawda? – stwierdził. – Jaki nosisz rozmiar, 32A?

– 34B – szepnęła Emma. – To zupełnie normalne wymiary.

No bo dlaczego Marks&Spencer zawsze najpierw wyprzedawał jej rozmiar? Rozpięła suwak nowych spodni, żałując, że nie włożyła sensownych majteczek zamiast zwykłych białych stringów, sprzedawanych w paczkach po trzy. Dlaczego Irenej jej nie ostrzegła?

– Co ci się stało w kolana? – zapytał Patrick, kiedy zdjęła spodnie.

Przypomniała sobie zadrapania, których

nabawiła się wieczorem, kiedy potknęła się na schodach w tym samym budynku.

– Przewróciłam się – szepnęła znowu, czerwona ze wstydu.

– Za dużo wypiałś? – podsunął Patrick miłym tonem.

– Możemy cię prosić, żebyś się obróciła? – odezwała się Angela i Emma okręciła się na pięcie w kółeczko, zaciskając pośladki, żeby wszyscy mogli zobaczyć, jak wygląda z tyłu. Gdyby można się było zarumienić na tyłku, wiedziała, że i tam oblałaby się rumieńcem. Dlaczego, och dlaczego włożyła stringi?

– No, a teraz reszta – powiedział Patrick.

– Patrick, nie wydaje mi się, żeby to było konieczne. Jesteś pewien? – spytała Angela.

– No cóż, nie mam ochoty na żadne

przykre niespodzianki – zwrócił się do Angeli, mówiąc ponad głową Emmy, jakby jej tam nie było. – Widzisz, mnóstwo z nich robi sobie ostatnio operacje zmniejszenia biustu – małe, imprezowe cycuszki, które nadal wyglądają naturalnie.

– Patrick, jesteś prawdziwą kopalnią zbędnych informacji – powiedziała Angela.

Ale Patrick już odwrócił się od niej, oczekując na wielki finał Emmy.

– Albo może mieć na klatce piersiowej wytatuowany napis: Manchester United – podsunął.

Emma wiedziała, że Patrickowi byłoby to kompletnie obojętne, gdyby nawet miała okolice bikini wywoskowane niczym fryzura Davida Beckhama; on tylko usiłował dać jej nauczkę za tamten wieczór. Gdyby pieprzyła się z Patrickiem

na ladzie baru w Domu w Sono, nie mogłoby być gorzej niż teraz. Daj spokój, nie zachowuj się jak dziecko, powiedziała sobie surowo. Aktorki bez przerwy się rozbierają. Popatrz na Halle Berry. I Nicole Kidman. I Kate Winslet, która w każdym filmie zdejmuje majtki. A nawet Judi Dench – no cóż, może nie Judi Dench... Wzięła głęboki oddech i sięgnęła dłońmi za siebie, żeby rozpiąć stanik.

– Nie trzeba, Emmo, dziękuję, to wystarczy. – Ben ją powstrzymał. – Moim zdaniem widzieliśmy już dosyć, nieprawdaż?

– Mów za siebie – odezwał się Patrick kłótliwym tonem.

– Dziękuję, Emmo, możesz się już ubrać – powtórzył Ben.

Obdarzyła go pełnym wdzięczności uśmiechem i zaczęła się szybko ubierać.

– Och, byłabym zapomniała – odezwała

się Angela, jakby przed chwilą nie wydarzyło się nic niezwykłego. – Co z jazdą na rolkach? Ta scena z jazdą na rolkach nie została jeszcze wycięta, Ben, prawda?

Emma nigdy w życiu nie jeździła na wrotkach, ale nie miała zamiaru teraz stracić roli. Przypomniała sobie radę Irenej: „Nigdy nie przyznawaj się, że czegoś nie umiesz. Zawsze możesz się nauczyć”.

– Umieję jeździć na rolkach – powiedziała. Włożyła bluzkę na lewą stronę, ale teraz w żaden sposób nie mogła się już przebrać.

– Potrafisz gotować? – spytał Patrick.

– Trochę. A dlaczego? Będę musiała w tym filmie gotować?

– Nie, ale zawsze dobrze jest mieć jakiś zawód, do którego można wrócić.

– No cóż, przesłuchanie nam się podobało – powiedziała Angela.

– Tak. Dziękujemy ci za spotkanie, Emmo – dodał Ben. – Odezwiemy się do ciebie niedługo. W ciągu dwóch dni.

Emma wstała, uścisnęła wszystkim dłonie i pozwoliła się odprowadzić do wyjścia Angeli i Benowi. Chcąc jak najszybciej wydostać się stamtąd, dopiero przy drzwiach frontowych zorientowała się, że zostawiła torebkę na podłodze przy krześle.

– Zapomniałam własnej głowy, gdyby nie była przytwierdzona – powiedziała i zawróciła po nią do biura Bena. Znalazła Patricka na kolanach przy krześle, na którym przedtem siedziała.

– Zostawiłaś torebkę – wyjaśnił i szybko wstał, żeby ją jej oddać.

– Wiesz – powiedziała Emma do Donny wieczorem – gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, przysięgłabym, że on to krzesło obwąchiwał.

Rozdział 11

Liz jeszcze raz nacisnęła dzwonek i niecierpliwie tupnęła nogą. Widziała tłustą recepcjonistkę, która w biurze na zapleczu jadła batonik Marsa, i przekonana była, że kobieta ignoruje ją świadomie.

Pete, główny oświetleniowiec, i dwóch innych członków ekipy, których nie rozpoznawała, już się rozgościli w barze na parterze hotelu z półlitrowymi kuflami miejscowego ciemnego piwa, jakby nie mieli na tym świecie żadnych trosk. Co, pomyślała z zazdrością, pewnie zgadzało się z prawdą.

– Halo? Halo! – zawołała po raz trzeci.

Jakie obrzydliwe są te granatowe uniformy tutejszych pracowników, pomyślała Liz i zrobiła recepcjonistce zdjęcie, żeby mieć na wszelki wypadek dokumentację. Przyda jej się w

przyszłości, jeśli będzie musiała zaprojektować kostium dla tłuścawej recepcjonistki w podrzędnym nadmorskim hotelu.

Błysk flesza sprawił, że recepcjonistka poderwała głowę, jakby dopiero teraz zauważyła, że Liz stoi i czeka. Podsunęła opadające na czubek nosa okulary i podeszła do frontowego kontuaru – bez zbędnego pośpiechu, stwierdziła Liz.

– Przepraszam, usiłowałam przesłać faks – powiedziała, a Liz zauważyła południowoafrykański akcent. A może z Zimbabwe. – Mogę w czymś pomóc?

– Mam problem z pokojem. Powinnam mieć pokój z widokiem na morze – wyjaśniła Liz, usiłując być jak najbardziej czarująca. Dzięki Bogu, że wpadła na pomysł sprawdzenia pokoju, zanim wtargała wszystkie bagaże na górę.

Recepcjonistka niezobowiązująco

zerknęła do książki gości i na klucze wiszące na dużej drewnianej tablicy za swoimi plecami.

– Przykro mi, ale wszystkie pokoje z widokiem są zajęte.

– Tak. I jeden z nich został zarezerwowany na moje nazwisko. Liz Thorne.

– Bardzo mi przykro, ale nie mamy w tej chwili żadnych wolnych pokoi z widokiem na morze. Proszę spróbować jutro, może jacyś goście się wyprowadzą.

– Jak to, spróbować jutro? Wyprowadzają się z pokoi z widokiem na morze, czy nie?

Recepcjonistka, której identyfikator stwierdzał, że na imię ma Belinda, znów zerknęła do książki gości.

– Możliwe, że się wyprowadzą – powiedziała niezwykle pomocnie.

Liz mocno zacisnęła zęby, bo nie

chciała stracić panowania nad sobą. Dlaczego to się musiało powtarzać, ile razy wyjechała z Londynu? Czy to jakieś zanieczyszczenia obecne w wodzie?

– Dobrze, Belindo. Zastanawiam się zatem, czy nie mogłabyś zrobić mi wielkiej przysługi. Może zapisałaś sobie, że chcę mieć pokój z widokiem, a kiedy następna osoba wyprowadzi się z takiego pokoju, ja go zajmę?

– Oczywiście. Naturalnie. Może mi pani powtórzyć swoje nazwisko?

– Elizabeth Thorne – powtórzyła Liz powoli, okazując heroiczną cierpliwość. – A czy możesz mi też, proszę, powiedzieć, który pokój zajmuje Ben Lincoln?

Cały personel zatrudniony przy filmie spisany był na osobnej liście i Belinda przesunęła palcem wzdłuż nazwisk.

– Jest w trzysta dwadzieścia cztery. Ale chyba jeszcze nie przyjechał.

– Chyba jeszcze nie przyjechał czy na pewno jeszcze nie przyjechał?

– Nie jestem pewna. Jeśli pani chce, mogę zatelefonować do jego pokoju.

– Nieważne. Proszę sobie nie robić kłopotu.

Czekając na windę, pomachała do Pete’ a przez szklaną szybę baru, a on uniósł kufel, salutując jej z poważną miną. Dwaj siedzący z nim mężczyźni obrócili głowy, żeby się przekonać, na kogo patrzy, i Liz z przyjemnością zauważyła, że w ich oczach pojawia się zainteresowanie, jak zwykle. To dlatego, pomyślała, patrząc na polaroidowe zdjęcie wywołujące się w jej dłoni, nigdy nie dam się złapać w granatowej garsonce, rozmiar szesnaście, z pasującą granatową bluzką.

Obdarzyła ich wszystkich leniwym uśmiechem i znów nacisnęła guzik windy. Szkoda, chłopaki, nie macie szczęścia,

pomyślała. Mam inne plany.

Żółte światelko nad drzwiami windy wskazywało, że kabina nadal stoi na czwartym piętrze. Liz jęknęła i zastanowiła się nad tym, co za ubożuchna firma producencka robi rezerwację w hotelu, gdzie jest tylko jedna winda i żadnego bagażowego, który pomógłby jej z torbami. Kiedy winda wreszcie zjechała, Liz zastawiła otwarte drzwi jedną z walizek i wróciła do recepcji, przytargać pierwszą ze swoich gigantycznych toreb na kostiumy.

– Tutaj! Ja pomogę! – Młoda dziewczyna o ciemnoblond włosach i ze wschodnioeuropejskim akcentem chwyciła drugą rączkę pasiastej plastikowej torby i pomogła Liz przesunąć ją w stronę windy. Miała na sobie bezkształtną granatową tunikę, która mogła być wyłącznie kolejnym hotelowym uniformem. –

Zatrzymaj winę, a ja przyniosę resztę – powiedziała, wskazując bagaże.

No cóż, silna to ona jest, pomyślała Liz, obserwując, jak dziewczyna ciągnie cztery pozostałe torby. Na pewno będzie chciała dostać napiwek.

– Jesteś przy filmie? – zapytała dziewczyna, kiedy przyniosła ostatnią z toreb.

– Tak, zgadza się – odparła Liz i niechętnie otworzyła portmonetkę, szukając drobnych.

– Nie, nie, niepotrzebne – upierała się dziewczyna, zażenowana sugestią, że pomogła Liz wyłącznie z pobudek finansowych. – Ja jestem szczęśliwa, że mogłam pomóc. Tak się cieszymy, że tu jesteście. Bardzo chciałabym być w filmie. Potrzebujecie ludziów?

– Chyba nie – powiedziała Liz, chowając pieniądze.

– Mam na imię Magda. Jestem tu pokojówką. Chętnie zrobię wszystko.

– To wspaniale, Magdo. Będę o tobie pamiętała – powiedziała Liz i nacisnęła guzik trzeciego piętra.

Kiedy weszła do swojego pokoju, uznała, że nie ma sensu rozpakowywać się, więc przeniosła cztery wielkie walizki pod okno, gdzie nie zawadzały. Jej sukienka na wieczorną powitalną imprezę już wisiała w garderobie, w osobnej torbie na ubrania, a przybory toaletowe – wszystko, czego mogła potrzebować w ciągu następnych sześciu tygodni – leżały w komplecie w dużym plastikowym kuferku, który zawsze z nią jeździł na plan filmowy. Ustawiła kosmetyki według rozmiaru na wąskiej półeczce w łazience, nałożyła swoją ulubioną witaminową maseczkę, zapaliła papierosa i zmywając lakier z paznokci, zaczęła cicho intonować mantrę.

Powinien był pojechać trasą A3. Ben niezbyt często jeździł przez południowe dzielnice Londynu i nigdy sobie nie zdawał sprawy, że miasto jest tak rozległe. Do Brighton miał zaledwie siedemdziesiąt pięć kilometrów i sądził, że pokona tę odległość w godzinę. A-Z wydawała mu się najkrótszą drogą, ale z Ladbroke Grove wyjechał o trzeciej, a dwie godziny później nadal był w Streatham. Wyglądało to tak, jakby utkwiał tu na zawsze. Impreza powitalna miała się zacząć o ósmej, a w tym tempie w żaden sposób nie zdąży. Stał pod tymi samymi światłami już od piętnastu minut.

Większość obsady miała się pojawić do wieczora i nocować w hotelu, żeby być na pierwszym czytaniu scenariusza jutro rano. Patrick pieniał się na myśl o kosztach wszystkich biletów kolejowych i

noclegów, ale Ben się uparł, bo jego gwiazda, Danny Parker, do wczorajszego dnia tkwiła w studio nagraniowym.

– To moja jedyna szansa na jakąkolwiek próbę czytana – przypomniał Patrickowi, który udawał, że w ogóle nie rozumie potrzeby odbywania takiej próby.

Patrick serdeczną pogardą darzył całą aktorską rzeszę, która jego zdaniem stanowiła niemożliwe do uniknięcia zawodowe ryzyko związane z produkcją jakiegokolwiek filmu. Nie miał żadnej cierpliwości dla tych chwalipięt i zdarzało mu się popadać w histerię, jeśli słyszał, jak aktor bredzi coś o „swojej sztuce”.

– Mogą ćwiczyć role podczas charakteryzacji – oświadczył. – To dwie godziny na próbę co rano.

Ben udał, że go nie słyszy. Kiedy wystąpił z pomysłem zorganizowania imprezy powitalnej, Patrick dostał szału.

– Impreza? Impreza?! – powtarzał, przeskakując z nogi na nogę. – Wiem, że nigdy przedtem nie reżyserowałeś filmu, ale chyba nawet ty zauważyłeś, że tradycją jest organizowanie imprezy po zakończeniu zdjęć?

No więc Ben powiedział, że zamierza zapłacić za to ze swojej kieszeni, przez co Patrick wyszedł na skąpego bydlaka i po wielu dramatycznych minach oraz sesji z kieszonkowym kalkulatorem niechętnie zgodził się podzielić koszty. Ale Benowi nie pozwolono nazywać tego imprezą.

– To drinki powitalne – upierał się Patrick. – A raczej jeden drink.

Tymczasem, myślał Ben, chodziło o zwyczajny szantaż emocjonalny. Chciał w ten sposób z góry odwdzińczyć się ekipie, którą zmuszał do pracy za ułamek zwykłego wynagrodzenia. Poza Pete'em i jego elektrykami, oczywiście. Jego ludzie

chcieli się, że nie sposób się z nim targować o stawki.

– Nie mamy zbyt dużego budżetu – wyjaśnił Ben, kiedy zadzwonił do Pete’a, którego desperacko chciał zatrudnić jako swojego głównego oświetleniowca.

– O mój Boże, to fatalnie – Pete zacmokał współczująco. – W takim razie nie powinieneś brać się za robienie filmu, prawda? – I odłożył słuchawkę.

Ben nie miał innego wyjścia, musiał zadzwonić do niego ponownie i zaproponować zwyczajne wynagrodzenie.

Przynajmniej Emmę Buckley zatrudnił tanio. On i Angela byli tacy pewni cech, których szukali w Jasmine, a potem weszła Emma Buckley, nie posiadając żadnej z nich, i zaskoczyła ich wszystkich. Szkoda, że była tak kompletnie nieznana – ale może uda im się to jakoś wykorzystać.

Po przesłuchaniu Ben, Patrick i Angela

raz w życiu zgodzili się bez zastrzeżeń: postanowili obsadzić Kimberley Day jako Jasmine. Nie była równie znana co Zoe Langridge, ale Angela mówiła, że świetnie zagrała w telewizyjnej adaptacji którejś książki Trollope (Ben nie miał ochoty obnażać swojej ignorancji, pytając, czy chodziło o Joannę Trollope, czy Anthoniego Trollope). A potem Kimberley powiedziała, że ma nadzieję, iż nikomu nie sprawi to kłopotu, ale oni chyba wiedzą, że pod koniec zdjęć będzie w piątym miesiącu ciąży... Ben wyobraził sobie Jasmine, która biega po ulicach Brighton, ukrywając brzuch pod wielką czarną torbą na ramię, i jak musi kręcić wszystkie ujęcia Jasmine wyłącznie od szyi w górę i w ten sposób, drogą eliminacji, rola przypadła Emmie.

Emma odtwarzała Jasmine w sposób, w jaki nigdy sobie tej postaci nie wyobrażał.

Jasmine, którą stworzyła, nie była żadną twardą suką. Jasmine Emmy była osobą, która nie ma w głowie ani jednej nieżyczliwej myśli. Zupełnie brakowało jej wyrachowania czy sprytu, była dziewczyną, którą chcesz wziąć w ramiona i chronić ją przed wszelkim złem. A co najlepsze, z pieniędzmi, które zaoszczędził, angażując Emmę, będzie sobie mógł pozwolić na zdjęcia z dźwigu, na których mu ogromnie zależało. Trawił to wszystko w głowie w drodze z Londynu. Zdał sobie sprawę, że możliwości są ogromne.

Teraz, na skrzyżowaniu, trzy stojące przed nim samochody przejechały, a potem światła znów zmieniły się na czerwone. W tym tempie nie dojedzie do Brighton do rana.

Emma oparła głowę o okno przedziału i

patrzyła na uciekający krajobraz. Scenariusz miała otwarty na kolanach, ale była za bardzo podekscytowana, żeby skoncentrować się na nauce tekstu. Od czasu przesłuchania jej życie miało w jakimś szaleńczym pędzie. Telefon od Irenej dostała zaraz następnego ranka.

– Gratulacje! Masz rolę! – Ale kiedy Emma krzyknęła z radości, Irenej dodała: – Moim zdaniem nie powinnaś jej przyjmować.

– Co takiego?

– Pieniądze, jakie ci proponują, to obelga. Powiedziałam im, żeby podwoili gażę.

Emma wpadła w panikę.

– Irenej, nie, oddzwoń do nich zaraz. Proszę cię. Pieniądze nie są ważne. Nic mnie nie obchodzą pieniądze. Zrobiłabym to za darmo – to znaczy, wyłączając twoją prowizję, oczywiście – dodała szybko,

kiedy usłyszała, że Irenę zaczyna się krztusić. – Och, proszę cię, zadzwoń do nich, zanim dadzą to komuś innemu.

– Stwarzasz tutaj bardzo niebezpieczny precedens – ostrzegła ją Irenę. – Nie możesz pozwalać ludziom, żeby ci tak włązili na głowę. Nie wydaje mi się, żeby mieli zamiar płacić Ronaldowi Gashowi czy Danny’emu Parkerowi minimum socjalne, nie sądzisz?

Ale zadzwoniła do nich, cały czas narzekając, i teraz Emma siedziała w pociągu do Brighton, gdzie miała zagrać w swoim pierwszym prawdziwym filmie.

Zastanawiała się, czy Irenę byłaby z niej dumna, czy niezadowolona, gdyby odkryła, że Emma dostała tę rolę tylko dlatego, że skłamała, iż grała w filmie, który nigdy nie istniał. I w *Titanicu* – o tym niemal zupełnie zapomniała. To był kłopot z opowiadaniem kłamstw – trzeba o

nich pamiętać, a Emma wiedziała, że jest zbyt roztrzepana, żeby zapamiętywać takie rzeczy.

Zdecydowała się, że wszystko wyzna Benowi dziś wieczorem. Powie mu, że rozpaczliwie pragnęła tej roli, nie chciała, żeby pomyślał, iż miesiącami była bez pracy. Była pewna, że on dostrzeże zabawną stronę tego wszystkiego, nieprawdaż?

Choć Jason nie był ani w połowie tak podekscytowany wiadomością o jej wielkiej szansie, jak oczekiwała, to wzruszyła się ogromnie myślą, że będzie za nią bardzo tęsknił, kiedy ona utkwi na planie w Brighton. Ogarnęła ją nieodparta ochota, żeby znów do niego zadzwonić, chociaż rozmawiała już z nim tego dnia dwa razy i wysłała trzy SMS-y. Po raz kolejny wyjęła komórkę.

– Cześć! – zawołała, kiedy odebrał. –

No i jak, skończyłeś na dzisiaj?

– Tak. Nagrywałem tylko jedną scenę po lunchu.

– Och! – jęknęła, krzywiąc się. – Mogłam przyjechać do Sheffield dziś rano i mielibyśmy cały weekend dla siebie. – Jej ożywienie nieco przygasło na myśl, że mogłaby spędzić trochę czasu na luzie z Jasonem. – Co będziesz robił beze mnie przez cały weekend? A wiesz co? Może byś przyjechał do mnie do Brighton?

– Bardzo bym chciał, ale nie mogę. Jutro mam być pod ręką, pamiętasz? A ty będziesz gdzieś się włóczyć z Dannym Parkerem. – Wymówił nazwisko partnera Emmy, jakby to był wyjątkowo podły rodzaj płynu do czyszczenia toalet. Jason nie dostrzegął niczego ironicznego w tym, że powiedział Emmie, iż jego zdaniem to skandal, żeby w *Brighton Rocks* główną rolę grał facet bez żadnego aktorskiego

przygotowania – po prostu głupi idol muzyki pop. Niewielu było aktorów, na których Jason mógł patrzeć z góry ze swojego bardzo wątego piedestału, ale Danny Parker do nich należał.

– To śmieszne, prawda? – Emma była pełna empatii. – Jestem pewna, że zatrudnili go tylko dlatego, że każda dziewczyna w kraju za nim szaleje.

Okazało się, że nie mogła powiedzieć nic gorszego.

– Każda dziewczyna w kraju? – zagotował się Jason. – Pewnie tobie też się podoba, tak?

– Nie, oczywiście, że nie – oburzyła się Emma. Owszem, uważała, że Danny Parker jest przystojny i tak dalej, ale nie lubiła, kiedy Jason zaczynał się robić taki zazdrosny, zupełnie bezpodstawnie. I niepotrzebnie. Gwiazda muzyki pop podoba się dziewczynie w zupełnie inny

sposób niż zwyczajny facet.

– Powiedziałaś: „każda dziewczyna w kraju”!

– No cóż, miałam na myśli każdą dziewczynę z wyjątkiem mnie.

– Tak, ale kupiłaś wszystkie jego płyty.

– Nie wszystkie. Tylko ostatnie dwie. Podoba mi się ta muzyka.

– Więc nie uważasz, że jest przystojny?

– Nie jest ani w połowie tak przystojny jak ty – powiedziała i wiedziała, że tym razem powiedziała co trzeba.

– Poczekaj chwileczkę... – Jason odjął telefon od ucha i Emma słyszała jak mówi do kogoś: – To świetnie. I przynieś mi przy okazji jeszcze jedno piwo, dobrze?

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– W kafejce na rogu. Słuchaj, właśnie przynieśli mi jedzenie. Mogę oddzwonić później?

– Tak, jasne. Nie jesteś już zazdrosny,

prawda?

– O Danny’ego Parkera? Oczywiście, że nie jestem zazdrosny o tego pajaca.

– To dobrze. Tęsknię za tobą, Jason.

– Ja też za tobą tęsknię. Powodzenia.

– Kocham cię – powiedziała Emma i znów skupiła się na scenariuszu i scenie, w której całuje się z Dannym Parkerem.

Muszę przyznać Patrickowi, że stara się ograniczać koszty, pomyślał Ben. Kiedy doszło do rezerwacji hotelu, oszczędził na wszelkich wydatkach. Pokój Bena wyglądał tak, jakby wystrojem wewnątrz zajął się leśny gnom. Dywan był zielony, zielona była narzuta na łóżku, a kiedy rozsunał dopasowane do całości zielono-różowe zasłony, przekonał się, że zamiast balkonu ma tylko okno balkonowe. Wychylając się, mógł zobaczyć tylne drzwi zaplecza kuchennego, a kiedy

spojrzał przed siebie, wyciągając rękę, mógł niemal dotknąć ściany sąsiedniego hotelu.

Łazienka była w kolorze awokado, uzupełnionego jasnozielonymi zaciekami pod każdym kranem, a kiedy przyjrzał się wannie, znalazł na środku duży ścinek paznokcia. Oddał kawałek papieru toaletowego, żeby go wyjąć, i wzdrygnął się, słysząc, jak paznokcie cicho skrzypnął o plastik wanny. Wyrzucił papier do kosza i zrobiło mu się niedobrze. Dzięki Bogu, że poprosił o pokój z prysznicem. Czy też, jak się okazało, z końcówką prysznicza umieszczoną nad wanną. Odkręcił kurki, wszedł pod prysznic i natychmiast z wrzaskiem wyskoczył, bo uderzył go strumień lodowatej wody. Przekręcił regulator temperatury w drugą stronę i czekał, aż woda zrobi się cieplejsza. Czekał. Wreszcie, drogą kilku

eksperymentów, ustalił, że prysznic ma tylko dwa podstawowe ustawienia: wrzątek i, po przesunięciu choćby o ułamek milimetra w lewo, lód. Nie istniało żadne położenie pośrednie, żadne ustawienie, które odpowiadałoby temu, co uznawał za „ciepłe” albo „relaksujące”. Niczego, co mógłby znieść przez dłużej niż pięć sekund. Poddał się i nalał sobie wody do wanny, ale po incydencie z cudzym paznokciem nie mógł się zmusić, żeby się w niej położyć. Zamiast tego stanął i polewał się wodą jak najdokładniej umiał.

Ponowne spotkanie z Liz, myślał przy tym, okazało się nawet w połowie nie tak straszne, jak to sobie wyobrażał. I pomyśleć, że przez cały ten czas obawiał się, że ona ma do niego żal.

Był tak zaskoczony tamtą propozycją małżeństwa, że zupełnie nie umiał stanąć

na wysokości zadania i nadal nie czuł się zbyt dobrze, kiedy to wspominał. Nigdy nie chciał jej zranić. Ale uczciwie mówiąc, spadło to na niego jak grom z jasnego nieba. Liz nigdy nie wydawała się taką dziewczyną, której zależy na małżeństwie i dzieciach – w gruncie rzeczy miał kompletnie przeciwne wrażenie. Wspaniałe w ich związku było właśnie to, że Liz była niemal patologicznie niezależna i oczekiwała od niego tego samego.

– Nie znoszę mięczaków – ostrzegła go raz, kiedy popełnił ten błąd i kupił jej kwiaty bez powodu.

Nawet kiedy się do niej przeprowadził, unikała określania tego jako „wspólnego mieszkania” i często przypominała mu, że to jej dom, w którym on jest zaledwie gościem. Nawet nie doczekał się wzmianki w wiadomości nagranej na sekretarce jej

telefonu.

I choć nie wiedział tego z całą pewnością, bo nigdy nie usiedli i nie porozmawiali o swoim związku – kolejna rzecz, która mu szalenie odpowiadała – ale podejrzewał, że miała w odwodzie jakichś innych mężczyzn. Wiecznie opowiadała o facetach, z którymi pracowała, albo o imprezach, na które chodziła, kiedy wyjeżdżał i chociaż ani razu otwarcie nie powiedziała, że spotyka się z kimś innym, zawsze uważał, że wtrąca te rozmaite aluzjki po to, żeby dokładnie wiedział, gdzie jest jego miejsce.

Musiła przecież domyślać się, że nie zawsze był jej wierny, prawda? Nie popadł w nawyk sypiania z kim popadnie, ale była taka jedna dziewczyna, kiedy kręcił reklamę w Rejkiawiku i, no cóż, takie rzeczy się zdarzają. Przecież to nie tak, że sam czegoś szukał. Po prostu podobał się

kobietom. A poza tym wszyscy wiedzą, że seks na planie zdjęciowym się nie liczy. Nic, co robili, nie będąc ze sobą, się nie liczyło. Jak długo byli szczęśliwi wtedy, kiedy byli razem, tylko to miało znaczenie, prawda? A ponieważ większość czasu spędzanego razem upływała im w podwójnym łóżku Liz, Ben naprawdę nie miał zbyt wielu powodów do narzekań. Według niego seks stanowił podstawę ich związku, a Liz nigdy nie dała mu powodu, żeby myślał o tym inaczej. Czy kiedykolwiek powiedziała mu, że go kocha? Nie mógł sobie tego przypomnieć.

Tak więc, kiedy poprosiła go: „Ożeń się ze mną”, stracił głowę. W pierwszej chwili pomyślał o tym, że na świecie jest przecież tyle kobiet, a on nie zdążył jeszcze pieprzyć się z większością z nich. Jakim sposobem miał się ożenić? A wtedy, kiedy nadal usiłował otrząsnąć się z szoku po jej

propozycji, powiedziała, że chciałyby mieć z nim dzieci. Liz! Która nie jadała chleba, żeby zachować płaski brzuch!

Mam tylko dwadzieścia pięć lat, pomyślał. Sześć lat temu byłem jeszcze nastolatkiem. Nie jestem gotowy zostać ojcem!

Liz nie była jedyną osobą, która miała swój życiowy plan, ale w planie Bena kariera stała na pierwszym miejscu, a na małżeństwo i dzieci pora miała przyjść później – o wiele, wiele później. Zastanawiał się, jak ma zostać reżyserem z pierwszej ligi, skoro odrywać go będzie od pracy całe to rodzinne zamieszanie? Jak on będzie mógł tak po prostu spakować się i jechać tam, gdzie wzywały obowiązki – do Mongolii czy Cochabamba – jeśli będzie musiał zajmować się sztuczonym kolankiem Charliego? Jak zdoła napisać scenariusz, który mu przyniesie Oscara,

jeśli w tle będą mu ryczały pokemony czy coś takiego? Znał w tym biznesie wielu ludzi, którzy mieli dzieci, i życzył im wszelkiej pomyślności, ale on nie chciał żyć w taki sposób. Miał tylko dwadzieścia pięć lat. Nadal miał prawo myśleć o sobie. Nikt mu tego nie mógł odebrać.

Tak więc wpatrywał się w Liz – tę nową, macierzyńską, marzącą o ślubnej bieli, której w ogóle nie poznawał – a każda molekuła w jego ciele ustawiała się w blokach startowych, gotowa do sprintu w kierunku drzwi. Ale nie miał odwagi, żeby powiedzieć jej prosto z mostu: „nie”, bo wiedział, że Liz pragnie zupełnie innej odpowiedzi. Skłamał i powiedział, że się zastanowi. Nie miał żadnego doświadczenia w odrzucaniu małżeńskich propozycji i w rezultacie nie miał gotowej żadnej mówki na podobną okazję, ale pewien był, że to najłagodniejsze

rozwiązanie. Wyjedzie na Mauritius na trzy miesiące i istniała pewna niewielka szansa, że do chwili, kiedy wróci do domu, Liz już o wszystkim zapomni.

Ożywiał się na myśl o tym, że znajdzie się w obcym kraju jako wolny człowiek, i nie potrafił nic na to poradzić. Mauritius miał być dla niego wielką przygodą i poczuł ulgę, kiedy okazało się, że Liz nie pojedzie tam z nim do pracy. Naturalnie, obiecał jej, że da znać, jeśli projektant kostiumów zerwie kontrakt albo zachoruje, ale oboje wiedzieli, że to się nie zdarzy.

W gruncie rzeczy, im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej był pewny, czy dla niego i Liz istniała jeszcze jakakolwiek wspólna przyszłość. Miał wrażenie, że ich związek dobiegł końca, i pewien był, że jeśli trochę czasu spędzą osobno, ona też dojdzie do tego wniosku. Do chwili, kiedy spakował swoje torby, miał już pewność,

że po zakończeniu zdjęć do filmu nie wróci do mieszkania Liz, i udało mu się przekonać samego siebie, że ona też zrozumie, że tak będzie najlepiej. Ale kiedy przyjechała taksówka, pocałował Liz na do widzenia i powiedział, że zobaczą się za dwanaście tygodni i że zastanowi się nad jej propozycją. Kiedy taksówka ruszyła, poczuł lekkie wyrzuty sumienia, ale Liz miała taką szczęśliwą minę, machając mu ręką na pożegnanie... Była dużą dziewczynką. Nic jej nie będzie.

Po Mauritiusie pojechał do Australii i usiłował nie myśleć o ich ostatniej rozmowie telefonicznej, w której zapowiedział, że nie wraca do domu. Skoro dzieliła ich odległość osiemnastu tysięcy kilometrów, łatwo było wyprzeć rozmowę z pamięci i udawać, że nigdy nie miała miejsca. Był tak zajęty, że w ogóle o Liz nie myślał. Zaczął od tego, że tanio

wyreżyserował dwa wideoklipy muzyki pop, a półtora roku później wrócił do Londynu opalony i z wyraźnym australijskim zaśpiewem. Od tej pory udawało mu się unikać Liz, a póki trzymał się od niej z daleka zawodowo, nie było żadnej okazji wracać do całej tej smutnej historii.

Nauczyła go czegoś bardzo ważnego. Wszystkie dziewczyny, z którymi się spotykał po Liz – a napływały przyjemnie stałym strumieniem – dość wcześnie w trakcie znajomości wysłuchiwały mówki o tym, że kariera jest dla niego najważniejsza i że jeśli im to nie odpowiada, powinny z miejsca się wynosić. Niczego im nie obiecywał i miały sobie nie robić żadnych szalonych nadziei na małżeństwo i dzieci. Nie miał zamiaru po raz drugi tak się wkopać.

Teraz wyobrażał sobie moment, kiedy

wieczorem wejdzie na imprezę, w całej sali rozlegnie się podekscytowany szmerek, a ludzie zaczną się szturchać łokciami i szeptać: „To reżyser!”

Nie miał pojęcia, ile piwa i wina może wypić pięćdziesiąt osiem osób, ale miał nadzieję, że niewiele.

Rozdział 12

W tej samej chwili, w której Flick, Patrick i Pierś dzielili się trzema schludnie usypanymi na plastikowym blacie damskiej toalety linijkami koki, nieco dalej w głąb korytarza, w męskiej toalecie, Ronald Gash znalazł kłębuszek waty, który włożył do kieszeni w pokoju hotelowym, uformował z niego dwie zgrabne kuleczki i delikatnie wsunął je sobie do uszu. Dlaczego te instytucje z takim uporem grały muzykę za głośno? – zastanawiał się. Jak człowiek ma przy tym myśleć? Obrócił głowę na boki, sprawdzając odbicie w lustrze i lewy wacik wcisnął nieco głębiej w ucho, żeby nie było go widać.

Nie miał zamiaru zostawać dziś do późna. Czy jego sława doprawdy tak bardzo przebrzmiała, że zmuszony jest

szukać rozrywek w barze tapas? Poza tym serdecznie nie lubił zbiorowisk, gdzie okazywał się najstarszą osobą w pomieszczeniu. Ostatnio miał wrażenie, że jest zapraszany na zastraszającą ilość takich spotkań. To doprawdy wręcz oburzające, bo przecież nie był jeszcze takim tetrykiem. Sześćdziesiąt dwa lata to nie starość. Problem leżał w tym, że wszyscy wkoło robili się coraz młodszy. Kiedy to się stało? – zapytywał sam siebie.

Reżyser był zaledwie chłopaczną, młodszym od jego własnego syna. Ronald miał buty, które były starsze niż Ben Lincoln. A ten parweniusz, który nazywa siebie producentem! Ronald wiedział, że zatrudnili go dla nazwiska, żeby sława i reputacja Gasha dodały wiarygodności ich małemu żalósnemu przedsięwzięciu, ale doskonale zdawał też sobie sprawę z tego, że żaden z tych dwóch amatorów nie ma

pojęcia, z jakiego powodu jest sławny. Widzieli jego Hamleta? Widzieli jego Tytusa Andronikusa? Akurat, i co jeszcze!

Nieważne. Poprawił sobie krawat, opuścił w tył i rozluźnił ramiona, wypychając w przód klatkę piersiową i prostując kręgosłup, żeby móc wyciągnąć się na całą swoją wysokość metra siedemdziesięciu pięciu. Stwierdził, że w jarzeniowym oświetleniu robią mu się worki pod oczami. Wyglądały tak, jakby ktoś przylepił mu tam połówki włoskich orzechów. Najważniejsze, przypomniał sobie, to pokazać innym, że człowiek się nie zaniedbuje, i wtopić się w tło, żeby ktoś go nie wziął za czyjegoś dziadka.

Rytm salsy zagrzmiały mu w uszach przez osłonkę z waty, kiedy drzwi otworzyły się, a do środka wszedł wysoki ciemnoskóry mężczyzna w żółtej bawełnianej koszulce i obszernych

spodniach. Ponieważ bar został zarezerwowany na ich prywatną imprezę, Ronald wiedział, że musi to być członek ekipy, i wyciągnął do niego rękę na powitanie.

– Jak się masz? – powiedział. – Nazywam się Ronald Gash.

Mężczyzna zaśmiał się i energicznie potrząsnął jego dłonią.

– Hej, człowieku. Wiem, kim jesteś. Uwielbiam ten głos. Mam na imię Tex, jestem montażystą dźwięku. Naprawdę nie mogę się doczekać, aż zaczniemy ze sobą pracować!

– Miło mi cię poznać, Tex – odparł Ronald i wyszedł, żeby facet mógł się wysikać w spokoju.

Zawsze ten głos, rozmyślał ponuro, kiedy ruszył z powrotem w stronę hałasu i zgiełku. Czy tylko tym się stałem? Niczym więcej tylko perfekcyjnie modulowaną

serią fal dźwiękowych? Wiek sprawił, że stawał się niewidzialny. Tak bardzo tęsknił za tym, żeby ktoś mu powiedział: „Jak ja lubię twoje aktorstwo!” albo „Uwielbiam to ciało!”, albo „Kocham tę twarz!”, ale nie – zawsze ten pieprzony głos.

Kiedy zawahał się w drzwiach prowadzących do baru, omal nie potknął się o Emmę, która przystanąła nieśmiało, z nadzieją, że zobaczy Danny’ego Parkera, a jednocześnie usiłowała schodzić z drogi Patrickowi.

Zdziwiła się, widząc tu dziś wieczorem Patricka. Nie wiedziała, czym tak naprawdę zajmują się producenci, ale raczej oczekiwała, że jego praca będzie wymagała obecności w biurze w Soho, a nie tu w Brighton, gdzie będzie się codziennie musiała zamartwiać tym, że na niego wpadnie. Czy ona jedyna zauważała ten obleśny sarkastyczny uśmiezek, który

pojawiał się, ile razy na nią spojrział? Nadal w żaden sposób nie mogła się zorientować, czy Ben wiedział o ich spotkaniu w klubie w Soho. Przyszło jej też do głowy, że skoro Patrick miał jej prywatny numer telefonu, to musiał mieć jej CV i będzie wiedział, że wcale nie zagrała w *Titanica* ani niczym innym. Ale na pewno nie powiedział Benowi, że skłamała co do swoich doświadczeń zawodowych, bo inaczej nie byłoby jej tutaj. Powie Benowi prawdę dziś wieczorem – przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Ronald Gash obrzucił Emmę spojrzeniem i zdecydował, że pewnie jest jedną z charakteryzaterek. Przekonał się, że zawsze dobrze jest nawiązać z nimi jak najwcześniej poprawne kontakty, w przeciwnym razie popadały w zwyczaj siedzenia, gawędzenia i malowania tipsów,

kiedy jemu odklejały się sztuczne bokobrody. Znów wyciągnął rękę w swoim zwyczajowym powitaniu, które z wielką skromnością podkreślało, że chociaż jest czwartym największym aktorem szekspirowskim swojego pokolenia, nikt nie musi przecież z miejsca wiedzieć, z kim ma do czynienia.

– Witaj, moja droga. Nazywam się Ronald Gash.

– Och, cześć. Miło mi. Mam na imię Emma.

Pomyślał, że ładna z niej dziewczuszka, ale niezbyt dobrze ją słyszał przez watę w uszach.

– A czym się zajmujesz? – zapytał.

– Gram Jasmine.

Ronald pomyślał, że chyba się przesłyszał, bo przecież to Zoe Langridge miała grać Jasmine. Panna Langridge była jedynym pozostałym członkiem obsady,

którego dorobek znał, i chociaż jej dotychczasowe role były banalne, odniosły komercyjny sukces i był to banał dobrze przyjęty przez krytykę. On sam wyraził niechętną zgodę na udział w tym filmie, dopiero kiedy dowiedział się, że Zoe w nim też występuje. Reszta obsady to ludzie znikąd, jeśli chodziło o niego. Jeden z nich podobno grał w zespole rockowym, a któryś z pozostałych występował w telewizyjnym serialu, którego Ronald nigdy nie oglądał.

– Przepraszam, nie do końca zrozumiałem, co mówisz – powiedział do Emmy.

Emma nachyliła się do niego i powtórzyła głośniej:

– Gram Jasmine.

Nic nie mogła poradzić na to, że zauważyła watę wystającą mu z uszu.

– Chodzi ci o to, że będziesz jej

dublerką – poprawił ją łagodnie.

Emma pokręciła głową.

– Nie, jestem Jasmine.

Ojcowski uśmiech zniknął z twarzy
Ronalda. • – Ależ to niemożliwe! – huknął.

– Zoe Langridge gra Jasmine!

Zanim Emma zdążyła odpowiedzieć,
prawie staranowali ich Flick, Patrick i
Pierś, wracający z toalety z nienaturalnie
radosnym, rozchichotanym pośpiechem.

– Ach, Patrick... – powiedział Ronald,
chwytając producenta za rękaw i
uniemożliwiając mu ucieczkę. – Człowiek,
z którym muszę porozmawiać.

Miał zamiar natychmiast, z miejsca,
rozwiązać kwestię Zoe Langridge.

Patrick nie słuchał go, bo niecałe sześć
metrów dalej rozgrywał się przerażający
spektakl. Cały dział charakteryzacji, w
osobach Saskii, Bex i Tracey, zamawiał
koktajle. A on absolutnie jasno zaznaczył,

że umowa obejmuje wyłącznie piwo, napoje bezalkoholowe i tanie wino, więc ogarnęła go gwałtowna potrzeba przypilnowania, żeby dziewczyny zapłaciły za drinki z własnej kieszeni. Nie przystanął ani na moment w swojej desperackiej szarży na bar i tylko połowicznie świadomy był, że ciągnie za sobą Ronalda, który nadal kurczowo trzymał go za rękaw marynarki.

Emma była przerażona. Jak to możliwe, że odebrała rolę Zoe Langridge? Jakie miała do tego prawo? Zoe Langridge to ogromnie popularna gwiazda i znakomita aktorka! Emma była jej wielką fanką. Nagle zrozumiała, że nigdy w życiu nie zaoferowano by jej tej roli, gdyby Ben wiedział, że jest zupełnie początkująca. Ben dostałby szału, gdyby kiedykolwiek odkrył prawdę. Z miejsca by ją zwolnił, jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć. Co ona

miała, u licha, zrobić? Gdyby teraz wyszła z imprezy, mogłaby jeszcze wymknąć się do hotelu niezauważona i znalazłaby się w pociągu do Londynu, zanim ktokolwiek zdołałby się zorientować, że jej nie ma. Zadzwoiłaby do Bena, powiedziała, że zachorowała i nie może wystąpić w filmie. Będą musieli zatrudnić kogoś innego. To jedyne honorowe wyjście z sytuacji.

Dokładnie w tej chwili Flick dostrzegła Emmę stojącą samotnie z miną, jak jej się wydało, nieco zagubioną.

– Cześć, ty jesteś Emma, prawda? Poznałyśmy się w biurze produkcji, pamiętasz? Mam na imię Flick.

– Och, cześć – powiedziała Emma roztargnionym tonem.

– Chodź, przedstawię cię ludziom. – Wzięła Emmę pod ramię i zaprowadziła ją przez tłum w stronę baru, gdzie Emma w ciągu paru sekund powiedziała „cześć”

trzeciej asystentce reżysera Georginie, scenografce Josephine, pierwszemu asystentowi Jamiemu oraz Billowi – operatorowi wysięgnika, Damienowi – złotej rączce, Willowi – asystentowi kamery, dwóm mechanikom – Bradleyowi i Shane’owi, a także Philowi, który był pomocnikiem rekwizytora, oraz Harveyowi i Arthurowi, grającym Louie Szczęściarza i Bustera.

– Nie spamiętasz tych wszystkich imion – powiedziała Flick, a Emma tylko pokiwała głową, zupełnie oszołomiona. Zdążyła już zapomnieć, jak ma na imię Flick, i do końca wieczoru nazywała ją Fiona.

– A więc, nie potrzebujecie DJ-a do swojego filmu? – zapytał Liz chłopak siedzący przy stole miksterskim. – Bo wiesz, ja już byłem kiedyś w telewizji. Ten

cały Newsroom South East, przyjechali tutaj kiedyś i robili ze mną wywiad o salsie i tak dalej, rozumiesz?

– Naprawdę? No cóż, obawiam się, że to niezupełnie moja działka – powiedziała Liz, nie odrywając wzroku od drzwi. – Powinieneś w zasadzie porozmawiać z Angellą, ona jest kierownikiem obsady.

– No a ty, czym się zajmujesz? – Nie popuszczał chłopak. Na imię miał Paolo i desperacko pragnął zagrać w filmie. Był zbyt przystojny, żeby się nie znaleźć na ekranie obok Toma Cruisa i Brada Pitta. Nad swoim stołem umieścił punktowy reflektorek, żeby producenckie grube ryby, które się tu dzisiaj pojawiają, na pewno zauważyły, że świetnie się rusza i gra najlepsze miksy. Ludzie zawsze mu powtarzali, że jest podobny do Antonio Banderasa – tyle że młodszy. Był towarzyski i klienci go uwielbiali – a

zwłaszcza kobiety. Może później, kiedy się upali, uda mu się puknąć tę babkę, z którą teraz rozmawiał, chyba że Angela okaże się od niej ładniejsza.

– Projektuję kostiumy – powiedziała Liz.

– Super! A więc ciuchy, tak?

Zignorowała go, bo przez frontowe drzwi wchodził Hugo, reżyser zdjęć, a za nim Ryan, operator kamery. I Ben. Liz złapała głęboki oddech, kiedy ta trójka ruszyła prosto w stronę baru. Okropnie minęli się w czasie, bo Orlando właśnie wracał z baru z kieliszkiem wina dla Liz. Teraz będzie musiała trochę odczekać.

Liz i Orlando stanowili zespół od niepamiętnych czasów; pracowali ze sobą jeszcze wtedy, kiedy Orlando miał na imię Barry. Liz zawsze lubiła pracować z gejami, bo ją rozśmieszali i nie stanowili dla niej żadnej konkurencji. A kłótność

Orlanda sięgała takich niebotycznych wyżyn, że przy nim Liz wychodziła na świętą.

Dziś wieczorem radar Liz pracował na pełnym zasięgu, automatycznie rejestrując obecność kobiet zatrudnionych na planie i kalkulując potencjalne zagrożenie stwarzane przez każdą z nich. Niestety, żadnej, niezależnie od tego jak była stara i brzydka, Liz nie mogła określić mianem zagrożenia zerowego, bo wiedziała, że kiedy chodzi o mężczyzn, ostrożności nigdy za wiele.

W tej skali Josephine, scenografka, zwykle doszłaby do siedmiu punktów, ale spotykając się z Jamiem, pierwszym asystentem reżysera, spadła do czterech. Georgina, trzecia asystentka reżysera, to też siódemka – wyżej niż jej przysługiwało z racji na długi tułów i krótkie nogi, ale podjechała w górę, bo zawsze była obecna

na planie i w ten sposób ciągle miała tkwić przed samym nosem Bena. Flick, która mogła być do wszystkiego zdolna i miała zaledwie dwadzieścia sześć lat, była potencjalnie dziewiątką. Fakt, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wydawała się zaginać parol na Patricka, redukowało zagrożenie do nieco bardziej możliwej do przyjęcia ósemki. Poppy z działu scenografii jak dla Liz odznaczała się nadmiarem urody, ale była też mężatką – nie żeby to miało jakieś znaczenie, niemniej w przypadku Poppy chodziło o mężatkę zakochaną do nieprzytomności, świeżo po powrocie z miodowego miesiąca, co redukowało zagrożenie do siódemki. Vanessa, kierowniczka produkcji – po trzydziestce, też mężatka (choć Liz nie miała pojęcia, kto był jej mężem), z dość upierdliwym kompleksem męczennicy – to była dwójka, podobnie

jak Janet z księgowości, nie tylko ze względu na lekki zez, ale również dlatego, że Ben nigdy by się nie mógł zakochać w kimś, kto go przesłuchuje z każdego rachunku za benzynę. Reżyserzy i księgowi są astrologicznie niekompatybilni. Jak bizon i halibut. Stacey, sekretarka planu, to też tylko dwójka. Chociaż miała trzydzieści jeden lat, była szczupła, miała delikatne, elfie rysy twarzy i siedziała tuż obok Bena przy monitorze, w każdej chwili mogąc liczyć na jego uwagę, a poza tym prawdopodobnie wiedziała więcej o reżyserowaniu, niż on się kiedykolwiek nauczy, była też, dzięki Bogu, lesbijką. Ale nadal dostała dwa punkty, bo są mężczyźni – a z tego co wiedziała Liz, Ben mógł się do nich zaliczać – którzy nie traktowaliby tego jak przeszkody, tylko jako wyzwanie.

Jak zwykle, największe zagrożenie niósł zmasowany atak działu charakteryzacji, którego wszystkie pracownice były tuż po dwudziestce i razem przypominały trójkę lalek upozowanych na Britney Spears. Liz pracowała z nimi już wcześniej i wiedziała, że nawet kiedy reszta ekipy wbije się w nieprzemakalne spodnie od sztromiaków, cztery warstwy wełnianych swetrów, ciężkie buty i kurtki zaprojektowane na burze śnieżne, Saskia, Bex i Tracey – znane wśród męskiej części ekipy pod przyjaznym mianem Głupich Suczek – zawsze się wystroją jak na dubbing. Naturalnie czarne włosy Saskii były nienaturalnie wyprostowane i polakierowane, Bex upinała swoje blond kosmyki w kok ozdobiony masą plastikowych spinek, a Tracey przefarbowała się niedawno z blondynki z powrotem na brunetkę, z włosami

opadającymi na ramiona. Wkurzające było to, że fenomenalna, porażająca głupota wszystkich trzech zdawała się z męskiego punktu widzenia tylko dodawać im uroku, a fakt, że było ich trzy w komplecie, znacznie zwiększał zakres erotycznych fantazji. Ratowało je w oczach Liz jedynie to, że wiedziała ze swojego dyskretnego, ale skrupulatnego nadzoru nad karierą Bena, że wiele razy już pracował z Głupimi Suczkami, ale nigdy żadną z nich nie zainteresował się poważnie. Ze względu na to wszystkie dostały dziewiątkę.

Orlando tylko raz rzucił okiem na połyskliwą, oliwkową cerę Paola i jego rozmarzone oczy, i podał drinka Liz z przesadnie opuszczoną szczęką i uniesionymi brwiami.

– Dzięki, że go rozgrzewasz, kochana. Teraz ja przejmę pałeczkę. Wiedziałem, że

te lekcje merengue nie pójdą na marne. A przy okazji, nie patrz teraz, ale Sama Wiesz Kto właśnie przyszedł.

– I co? – Liz udawała, że zupełnie nie interesuje jej Ben Lincoln.

– Och, kochanie – westchnął Orlando. – Do mnie mówisz, pamiętasz?

Orlando pamiętał wszystko. To Orlando pomagał Liz cyrklować dół sukienki ślubnej i to Orlando pozbierał strzępy, kiedy dowiedziała się, że nie będzie miała okazji jej włożyć. Najpierw był współczujący, bo tak często łamano mu serce, że żartował sobie, że Wedgwood wycofało już ten model porcelany z produkcji. Ale potem jego współczucie przeszło w niepokój i wreszcie w panikę, kiedy zamiast się pozbierać, Liz coraz bardziej rozpacziała.

Operacja plastyczna nosa była pierwszym symptomem. Liz miała na

nosie maleńki garbek i kiedy Ben ją rzucił, obsesyjnie zapragnęła wyprostować nos. Ponieważ nie miała ubezpieczenia medycznego, zrobiła zabieg jednodniowy, żeby oszczędzić na noclegu w szpitalu, i to Orlando odebrał ją ze Szpitala Cromwell w Earls Court kilka godzin po tym, jak odpuściła narkoza. Rzucił jedno spojrzenie na poplamione gazowe waciki wystające jej z nozdrzy i z miejsca zemdłał. Kiedy po tygodniu zdjęto gipsową formę z nosa Liz, Orlando nie widział prawie żadnej różnicy.

A potem zrobiła się naprawdę dziwna i nawet coś tak zwyczajnego jak lunch mogło ją kompletnie wytrącić z równowagi. Raz, kiedy pracowali w Ealing Studios, kierownik produkcji znalazł ją zapłakaną w Pręt A Manger, bo nie mogła znaleźć w karcie niczego, co nie zawierałoby węglowodanów, tłuszczu albo cukru. Kierownik produkcji wsadził ją do

taksówki i odesłał do domu.

– Nawet w sałatce nicejskiej są ziemniaki – płakała podobno.

Stopniowo Orlando zaczął tracić cierpliwość do Liz i jego troska przerodziła się w irytację. Liz zawsze miała kota na punkcie samokontroli, ale teraz zrobiła się po prostu nie do wytrzymania.

– To nie jest normalne, żeby płakać za kimś dłużej, niż się z nim w ogóle spotykałaś – powiedział do niej. – Myślę, że potrzebujesz fachowej pomocy. Jakiegoś terapeuty.

Ale coraz trudniej było z nią dyskutować. Zanim spotkała Bena, można było pośmiać się w jej towarzystwie i bolało go, kiedy patrzył na tę biedną maskę o zaciśniętych ustach, która zastąpiła dawną Liz. Bał się, że zamieni się w jakąś zaszuszoną pannę Havisham, siedzącą w domu w ślubnej sukni pokrytej

pajęczynami. A teraz przyjęła pracę przy filmie Bena i on miał uwierzyć, że już jej na nim nie zależy! Jeśli nie była w nim nadal zakochana, to czemu, chciał wiedzieć Orlando, podpisała kontrakt na kwotę wynoszącą jedną trzecią ich zwykłych zarobków?

Ale może, pomyślał, znajdą się jakieś rekompensaty, i ruszył w stronę boksu DJ-a, zapytać Paola, skąd pochodzi. Miał nadzieję, że z Kuby, bo był tam rok wcześniej na wakacjach i mógłby mu zaimponować znajomością nazw najlepszych miejscowych hoteli.

Przy barze Ben dopieszczał szyjkę butelki piwa Sol. Zauważył Liz stojącą przy budce DJ-a w przeciwległym kącie sali w tej samej chwili, w której wszedł do środka, ale było tam tak ciemno i tłoczno, że mógł przesunąć po niej niewidzącym

spojrzeniem i znów skupić wzrok na barze. Teraz, kiedy ludzie zaczęli tańczyć, stanowili niezłą osłonę, więc nadal mógł udawać, że jej nie dostrzega.

– No więc tak – opowiadał Hugo Benowi i Ryanowi. – Przedzieramy się przez dżunglę w stronę szczytu, całą trójką, a ten pieprzony jeep z tym swoim cholernym miniaturowym silniczkiem od kosiarki zaczyna prychać...

– Ronald! Jak się cieszę, że przyszedłeś! – przerwał mu Ben, kiedy Ronald Gash podszedł do niego. Teraz to on ciągnął Patricka za sobą.

Hugo skinął krótko głową Ronaldowi i nawet nie przerwał dla zaczerpnięcia oddechu. Nie cierpiał, kiedy ktoś mu przerywał opowiadanie anegdoty.

– No więc – kontynuował nieco głośniej – stary Abdul się wycwanił, oczywiście, i wymyślił sobie, że zapali, jadąc na

wstecznym w dół zbrocza...

Ronald czekał cierpliwie, aż Hugo skończy, gotując się ze złości. Od Patricka nie dowiedział się niczego sensownego na temat Zoe Langridge – usłyszał tylko mnóstwo typowego, producenckiego kręcenia. Przynajmniej Ben udzieli mu jasnej odpowiedzi.

– ... i zjechaliśmy nie więcej jak metr w dół, kiedy tylne koło jeepa wpadło w głęboką koleinę na poboczu. A cała pieprzona góra składa się wyłącznie z piasku, prawda? Więc siedzimy w wozie – ja i Ewan McGregor – zakopani po ośkę. Całe kilometry od cywilizacji.

– Cześć, chłopcy – powiedziała Flick, która nadal oprowadzała Emmę i nie miała zielonego pojęcia, że Hugo jeszcze nie dotarł do puenty. – Wszyscy znacie Emmę? Emmo, to jest Ryan, operator kamery, i Hugo, reżyser zdjęć. Bena i

Patricka już znasz, prawda? A to Roland Gash.

– Ronald – poprawił ją spokojnie Ronald.

– Och, jasne, wybacz przyjacielu. W każdym razie, chłopcy – ciągnęła niez pomieszana Flick – to jest Emma, która gra Jasmine.

Tymczasem Paolo poczuł się urażony, bo ludzie schodzili z parkietu. Zawsze brał to bardzo osobiście, jeśli nie bawili się dobrze przy przygotowanych przez niego miksach, a dzisiaj, kiedy obecni byli ci wszyscy filmowcy, szczególnie chciał im zaimponować tym, jakim był świetnym DJ-em. W efekcie poddał się niechętnie prośbom Orlanda o *Livin' La Vida Loca* – jedyny w miarę latynoski kawałek, którego tytuł Orlando mógł sobie przypomnieć, pomijając *Macarenę*, ale prędzej by trupem padł, niż przyznał się, że ją lubi –

przynajmniej dopóki nie uda mu się poznać Paola o wiele, wiele lepiej.

– Hej, Patrick, nie stercz tu jak ogłupiały muł – powiedziała Flick i złapała go za rękę. – Chodź i zatańcz ze mną.

Patrick nie zaliczał się do zawołanych tancerzy, ale rozpaczliwie chciał się wyrwać temu cholernemu Ronaldowi Gashowi, więc pozwolił zaciągnąć się Flick na parkiet. W chwili, w której Flick przestała ją trzymać przyjacielskim uściskiem, Emma zaczęła szukać okazji do ucieczki.

– No więc, co robiłaś do tej pory? – zapytał ją Ryan, nie dlatego żeby był jakoś szczególnie zainteresowany okropnie męczącymi wynurzeniami kolejnej egoistycznie skoncentrowanej na samej sobie przyszłej gwiazdki, ale dlatego że z ulgą posłuchałby przez pięć minut z rzędu czegoś innego niż głos Hugona. Historię o

jeepie i Ewanie McGregorze słyszał już trzy razy.

Stojąc tuż obok Bena, Emma musiała powtórzyć swoje kłamstwo:

– Słyszałeś o filmie *Fryzjerstwo*? – spytała z ociąganiem.

Ryan zaprzeczył, a Emma nie wdała się w szczegóły. Zobaczyła, że Ronald Gash przypiera do muru Bena.

– Ben, chciałbym zamienić z tobą słówko... – zaczął.

Liz, dostrzegając przez niemal pusty parkiet, że droga jest wolna, też wybrała dokładnie ten moment, żeby ruszyć w stronę Bena i szła do baru pod pretekstem zakupienia następnej kolejki drinków. Ben widział ją teraz kącikiem oka, zmierzającą prosto w jego stronę. Jak rekin, pomyślał. Wpadł w pułapkę. Ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to pogawędka z Liz o dawnych dobrych czasach, ale nie

wiedział, jak uciec. Nie mógł nawet wyjść do toalety, nie wpadając na nią. Zrobił więc jedyną rzecz, jaka mu pozostała:

– Chcesz zatańczyć? – zapytał Emmę.

Nie czekając na odpowiedź, złapał ją za rękę i szybko wyprowadził na drugi koniec parkietu, z dala od Liz.

– Umiesz tańczyć salsę? – spytał, obracając Emmę tak, że stanął plecami do baru i nie musiał patrzeć w stronę Liz.

– Troszeczkę. Ale nie za dobrze – przyznała. Dwa razy poszła na lekcje salsy z dziewczynami z salonu, ale przestała chodzić, bo jako partner trafił jej się bardzo niski człowieczek, który tak mocno śmierdział papierosami, że musiała tańczyć z głową skierowaną w bok. Dla niej zabiło to cały romantyzm salsy. – A ty umiesz?

– Nie za bardzo – powiedział Ben. – Ale spróbuję.

Pilar, jego hiszpańska eks, próbowała go

parę razy nauczyć, ale niecierpliwił ją jego brak poczucia rytmu. Ramieniem objął Emmę w talii i pod nosem liczył kroki, żeby zacząć w takt.

– Przepraszam! – powiedziała Emma, kiedy nastąpiła mu na nogę. – Myślałam, że ruszamy w lewo!

Nie odrywała wzroku od palców u nóg i usiłowała wymyślić najlepszy sposób zawiadomienia Bena, że nigdy przedtem nie grała w filmie. Musiała powiedzieć mu dziś wieczorem, zanim będzie za późno, żeby mógł poszukać kogoś innego.

Głupie Suczki tańczyły razem, powoli, żeby nie rozlać swoich banana daquiri, Patrick pozwalał Flick prowadzić, a stojący przy barze Ronald Gash kipiał ze złości. Chciał tylko odpowiedzi reżysera albo producenta na jedno proste pytanie, a obaj go zignorowali i poszli precz. Wystarczy tego, pomyślał sobie.

Przepchnął się przez tańczących i stanął przed Emmą i Benem, tak że nie mieli wyjścia i musieli się zatrzymać.

– Dobranoc – powiedział im obojgu stanowczo.

– Och, chyba nie musisz jeszcze wychodzić, prawda? – spytał Ben. – Jest wcześnie.

– Przyszedłem tu dziś wieczorem z nadzieją na spotkanie z Zoe Langridge, ale wygląda na to, że czekało mnie rozczarowanie – odparł Ronald sarkastycznym tonem. – A jeśli chodzi o ciebie, moja droga – zwrócił się do Emmy – nie mogę się doczekać jutrzejszej próby czytanej, żeby zobaczyć, jak będziesz interpretowała rolę. Nie miałem przyjemności poznać jakichkolwiek twoich wcześniejszych dokonań.

A potem odwrócił się na pięcie i udał do hotelu dzwonić do swojego agenta.

Ben wydawał się zupełnie niewzruszony sytuacją i tańczył dalej – czy raczej przestępował z nogi na nogę, czasem przypadkowo zgadzając się z rytmem, ale najczęściej mijając się z nim kompletnie i zupełnie się tym nie przejmując, bo właśnie zaczynał się świetnie bawić.

– Nie przejmuj się Ronem – powiedział do Emmy. – Chyba jest wkurzony, bo nikt mu nie powiedział oficjalnie o zmianach w obsadzie.

Emma dojrzała swoją szansę.

– Ben, nie wiem, czy potrafię tak po prostu zastąpić Zoe Langridge – powiedziała. Nadal nie mogła zdobyć się na to, żeby mu spojrzeć w oczy i zamiast tego zwróciła się ze swoją mówką do jednego z guzików jego koszuli: – Mam o wiele mniejsze doświadczenie.

– Nic się nie przejmuj – uspokoił ją Ben.
– Poradzisz sobie znakomicie. Czuję to.

– Ale Zoe Langridge to wielka gwiazda. Ja jestem nikim. Gdybym wiedziała, że dostałam tę rolę tylko dlatego, że ona zrezygnowała...

– Tak, przepraszam cię za to. Może powinienem był cię uprzedzić. Ale to etyka zawodowa. Nigdy nie mówi się, kto inny zrezygnował z roli, prawda? No bo przecież z naszego punktu widzenia Zoe Langridge też nie musiała być pierwszym wyborem.

– I nie była? – spytała Emma, po raz pierwszy podnosząc oczy na Bena.

– No cóż, szczerze mówiąc, była – przyznał Ben i nagle zaskoczyło go spojrzenie intensywnie błękitnych oczu Emmy. Naprawdę wyglądała rewelacyjnie w tym świetle padającym zza pleców. Podsunął dłoń nieco wyżej na jej talii. – Ale chodzi o to, że mogło być inaczej.

– Więc nie powinnam się martwić tym,

że byłam waszą drugą kandydatką? – Może nie jest jeszcze tak źle, jak sobie myślała.

Ben przypomniał sobie, że jego drugą kandydatką była na dobrą sprawę Kimberley Day, i usiłował zmusić Emmę do obrotu, żeby nie zauważyła poczucia winy malującego mu się na twarzy. Ale nie podniósł ręki wystarczająco wysoko i uderzył ją w głowę.

Emma zobaczyła wyraz jego twarzy i domyśliła się reszty.

– Chcesz powiedzieć, że drugą kandydatką też nie byłam? – zapytała i z przerażenia puściła jego rękę.

Ben wiedział, że pozbawione poczucia bezpieczeństwa, neurotyczne i rozpieszczone aktorki mają skłonność do popadania w depresję z powodu byle drobiazgu.

– Słuchaj – powiedział prędko. – Liczy

się to, że będziesz fantastyczna i nic poza tym.

Znów złapał ją za rękę i usiłował wejść w rytm.

– Ale gdybym zmieniła zdanie, możesz po prostu sięgnąć po następną z listy i mnie zastąpić, prawda? – spytała Emma.

Przetańczyli już parkiet dokoła, tak że do wyjściowych drzwi miała tylko parę kroków. Jeśli się pośpieszy, o północy znajdzie się z powrotem w Londynie.

Ben złożył to wszystko na karb tremy pierwszego wieczoru.

– Kiepska sprawa... – powiedział i stłumił nagłą ochotę pogłaskania jej po włosach. – Podpisałaś kontrakt, a pojutrze zaczynamy zdjęcia. Obawiam się, że jesteśmy na siebie skazani!

Miał zamiar powiedzieć to lekkim i krzepiącym tonem, ale Emma nie roześmiała się i miała taką minę, jakby

była bardziej przerażona niż uspokojona.

Zdecydowała się spróbować po raz ostatni. Musiała powiedzieć Benowi, że jest kompletną oszustką.

– Chodzi o to, że jestem przerażona. Boję się, że was zawiodę. Wiesz, nigdy przedtem nie miałam tak dużej roli.

Bardziej zbliżyć się do prawdy nie zdołała, ale Ben się tylko uśmiechnął.

– Boże, i to wszystko, co ci leży na sercu? – roześmiał się. – A jak ja się twoim zdaniem czuję? Nigdy jeszcze nie wyreżyserowałem filmu! Jeśli ktoś tu schrzani sprawę, to na pewno będę to ja!

Nigdy przedtem nikomu się nie przyznał, jak bardzo boi się następnych sześciu tygodni, i w desperackim wybuchu sztucznej pewności siebie znów podniósł ramię, żeby okręcić Emmę. Kiedy skończyli obrót zgodnie z rytmem i stanęli do siebie twarzami, oboje zaczęli się śmiać

ze zdziwienia. A może, pomyślała Emma, wszystko się jeszcze jakoś ułoży?

– Mogę ci zaproponować darmowego drinka? – odezwał się jakiś głos obok Liz. Odwróciła głowę i zobaczyła wysokiego faceta, którego wcześniej widziała w barze hotelowym z Pete’em.

– Nie, dzięki – powiedziała i znów zwróciła oczy na parkiet. Kim była ta dziewczyna, z którą tańczył Ben? Myślała, że wzięła już pod uwagę wszystkie konkurentki z ekipy i obsady.

– Jestem Tex – przedstawił się mężczyzna, wyjmując limonkę z szjki swojej butelki piwa. – A ty jesteś Liz, prawda? Kilka lat temu robiliśmy razem reklamę.

– Naprawdę?

– Tak. W studio w Fulham. To chyba były telefony komórkowe.

– Tak? Nie pamiętam – powiedziała Liz, zupełnie go nie słuchając. Obserwowała Bena i tę dziewczynę; głowy zbliżyli do siebie i patrzyli pod nogi z wyteżoną uwagą. Ricky Martin skończył, ale oni zamiast wrócić do baru, nadal tańczyli.

– Chciałabyś zatańczyć? – spytał Tex.

– Nie! – prawie warknęła Liz. – Przepraszam. Nie przepadam za taką muzyką.

– Taa, ja też nie. Jesteś pewna, że nie masz ochoty na drinka? Jesteś jakby trochę spięta.

Chryste, pomyślała Liz, ten facet po prostu nie wie, kiedy dać sobie spokój. A może mimo wszystko mógłby jej się przydać?

– A więc, Tex, pracowałeś już przedtem z Benem?

Tex pokręcił głową. Dobrze, pomyślała Liz. To znaczy, że nie będzie wiedział o

niej i Benie.

– A ty? – zapytał Tex.

– Parę razy. Całe wieki temu – rzuciła lekko. – Znasz tu wielu ludzi?

– Kilku.

– Och, to dobrze, ja nie mam pamięci do nazwisk – powiedziała mu. – Widzisz tę dziewczynę, która tańczy z Benem? Wiem, że już z nią pracowałam, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywa.

– Chodzi ci o tę, która będzie grała Jasmine? Ma chyba na imię Emma. Flick mi ją wcześniej przedstawiała.

– Emma! No tak, oczywiście! – powiedziała Liz, jakby miała to przez cały czas na końcu języka. – Wiedziałam, że to się zaczyna na E.

Zastanowiła się teraz, czemu nie zadała sobie więcej trudu i nie sprawdziła dokładniej, kto zastąpi Zoe Langridge. Przymiarki, które miała umówione na

ostatnią chwilę w Londynie, odwołała, bo Danny Parker przetrzymał ją w studio nagraniowym w Oxfordshire do drugiej nad ranem, a potem odmówił mierzenia czegokolwiek bez obecności swojego osobistego stylisty. Liz porozmawiała zatem z Emmą tylko przez kilka minut przez telefon, wystarczająco długo, żeby zyskać jakieś takie pojęcie o jej wymiarach i kolorycie, i stwierdzić, że kostiumy, które przygotowała dla Zoe Langridge, nadadzą się po bardzo niewielkich poprawkach. Przez telefon Emma wydawała się nieśmiała i nieważna, ale teraz Liz przekonała się, że zupełnie nie doceniła prezentowanego przez nią zagrożenia.

Szybko uzupełniła w myślach swoje obliczenia o Emmę. Wiek: młodsza niż ja. Sylwetka: wystarczająco szczupła. Uroda: trochę zbyt naturalna jak na mój gust, ale niektórzy mężczyźni lubią takie świeżo

domyte panienki. Dostęp do Bena:
maksymalnie bliski. Stan uczuciowy:
nieznany.

Nie miała zamiaru ryzykować.
Oznaczyła Emmę jako dziesiątkę.

Rozdział 13

Słońce wpadło przez szczelinę ciężkich zielonych zasłon i zaświeciło Liz prosto w oczy. Lata wczesnego wstawania wyrobiły w niej dyscyplinę – podnosiła się z łóżka w tej samej chwili, w której otwierała oczy, bo od leżenia i rozmyślania wstawanie wcale nie robiło się łatwiejsze.

Nie uznawała przycisków drzemki na budziku ani „jeszcze pięciu minut”, bo to tylko odwlekało nieuniknione. Odruchowo więc odsunęła kołdrę i pochyliła się, żeby wyłączyć budzik, który miał zadzwonić dopiero za sześć minut. A kiedy to zrobiła, nie mogła powstrzymać się przed podziwianiem idealnie zaokrąglonych hebanowych pośladków w łóżku obok niej, gdzie Tex zrzucił z siebie okrycie.

Jeśli Ben zamierzał ją ignorować i

udawać, że w ogóle nie istniała, w takim razie ona przygotowana była na to, że popracuje jeszcze ciężiej, żeby przyciągnąć jego uwagę. Dawna Liz z wielką przyjemnością pozwoliłaby sobie na romansik z Teksem. Nowa Liz czuła się w środku wypalona i mogła tylko wykonywać dobrze znane ruchy, usiłując przypomnieć sobie czasy, kiedy seks sprawiał jej przyjemność.

Zabrała telefon do łazienki i zamknęła drzwi, żeby nie budzić Teksa. Najpierw wykręciła numer pokoju Bena, a kiedy usłyszała, że podnosi słuchawkę, odłożyła swoją natychmiast. Potem zadzwoniła do Emmy – poprzedniego wieczoru po imprezie spytała o numer jej pokoju recepcjonistkę. Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała, że dziewczyna zaspianym tonem mówi: „Halo?” No cóż, to już coś. Przynajmniej każde nocowało u siebie.

Wczorajszy wieczór wcale nie przebiegł zgodnie z planami, pomyślała, kiedy wchodziła pod prysznic. Po zejściu z parkietu Emma z Benem dołączyli do reszty obsady, która zmonopolizowała go na resztę imprezy. Ben odezwał się do Liz tylko raz, kiedy poszła po drinka i stanęła tuż obok niego, więc nie mógł udawać, że jej nie widzi.

– Cześć, dobrze się bawisz? – zapytał ją z wymuszoną serdecznością i przez jedną chwilę zastanawiała się, po co w ogóle zawraca sobie nim głowę. Pogardzała tchórzostwem. Dlaczego nie mógł rozmawiać z nią normalnie? Czemu usiłował jej unikać? Dlaczego tak się bał przyznać, że to, co ich kiedyś łączyło, było idealne? Ale potem wyminął ją i znalazł się dość blisko, żeby mogła poczuć jego zapach, ten delikatny, ciepły, piżmowy aromat, który przywiódł tysiąc

wspomnień, i postanowienie powróciło. Zdobędzie go z powrotem. Zdobędzie.

– Bawię się znakomicie, dzięki – powiedziała do niego i odeszła, niosąc kieliszek wina i piwo dla Teksa, żeby Ben wiedział, że nie zasypia gruszek w popiele. Resztę wieczoru spędziła, śmiejąc się głośno z żartów Teksa, ale obserwowała Bena, póki nie wyszedł z baru razem z Hugo tuż przed północą.

Zamiast iść za nim, Liz została, żeby pilnować Emmy. Bar zamknięto o pierwszej w nocy, a wszyscy zapóźnieni imprezowicze wysypali się na ulicę. Paolo powiedział, że może ich za darmo wprowadzić do Concorde 2, więc Danny Parker i pozostali trzej chłopcy grający członków zespołu, Głupie Suczki, Emma, Flick i oczywiście Orlando poszli z nim. Liz nie widziała żadnego sensu w wycieczce do nocnego klubu z bandą

aktorów, skoro Ben się tam nie wybierał, więc wróciła do hotelu z Teksem. Pomyślała, że po seksie humor jej się poprawi, ale nie mogła wyrzucić z myśli obrazu tańczących razem Emmy i Bena, i tego, w jaki sposób salsa kazała mu trzymać jej prawą dłoń w swojej lewej, a drugą obejmować talię, żeby ją prowadzić. Tex zobaczył łzy w jej oczach i wziął je przez pomyłkę za namiętność.

– Halo? Halo? – Emma usłyszała kliknięcie, kiedy ten ktoś po drugiej stronie słuchawki się rozłączył. Obróciła stojący przy łóżku budzik, chcąc zobaczyć, która jest godzina, i przekonała się, że zaledwie za kwadrans siódma. Może recepcję poproszono, żeby wszyscy zostali obudzeni po wczorajszej imprezie. Próba czytana miała się zacząć o dziesiątej i wydawało się trochę za wcześnie na

pobudkę, ale może tak się właśnie pracuje w świecie filmu. Położyła się i przymknęła oczy. Jeszcze tylko pięć minut, pomyślała i zasnęła niemal natychmiast.

Na niebie krzyczały i zawodziły rybitwy, kiedy Ben wyszedł przez frontowe drzwi hotelu i ruszył biegiem alejką prowadzącą nad morze. Niebo już nabierało barwy mlecznego błękitu i poranne powietrze było chłodne i świeże. Zapowiadał się piękny dzień. Przez chwilę Ben zazdrościł ptakom, których jedynym obowiązkiem było znalezienie sobie jakiegoś śniadania, a potem zabawy na plaży i berek z innymi rybitwami. Jego myśli już gnały, usiłując rozwiązać setki problemów naraz.

Po próbie czytanej miał zamiar przeprosić Ronalda Gasha za to, że nikt mu nie powiedział o rezygnacji Zoe

Langridge. Patrick, jak zwykle, zwałił wszystko na niego. Angela zaproponowała wcześniej, że sama zadzwoni do Ronalda i wyjaśni sytuację, ale Patrick powiedział, że lepiej to zabrzmie w ustach samego producenta – i rzeczywiście tak by było, gdyby starczyło mu jaj, żeby to faktycznie zrobić. Tymczasem w sposób dla siebie typowy Patrick schował głowę w piasek i liczył na to, że problem rozwiąże się sam. Tak jak ty rozwiązujesz problem Liz? – zapytał go cichy, pełen poczucia winy wewnętrzny głos, ale Ben go zignorował – w taki sam sposób, w jaki udawało mu się ignorować Liz.

Biegł powoli obok pomalowanych na wesołe kolory budek na plaży, gdzie krążyli już pierwsi amatorzy porannej jazdy na rolkach. Miał nadzieję, że Emma poradzi sobie dobrze na próbie czytanej i że Ronald nie wystraszył jej zanadto. Po

stracie Zoe Langridge wymyślił sobie sposób na wycięcie całej roli Jasmine, gdyby to się okazało konieczne, ale gdy spędził wieczór w towarzystwie Emmy, wiedział, że instynkt go nie zawiódł i że ona nada tej roli zupełnie nowy wymiar. Słodka i delikatna – taka powinna być Jasmine. Zoe Langridge to świetna aktorka, ale w żaden sposób nie dałoby się z niej zrobić istoty subtelnej i wrażliwej. W swoich ostatnich trzech filmach zagrała striptizerkę, dziwkę uzależnioną od cracku i morderczynię. W gruncie rzeczy, kiedy Ben zawrócił i zaczął biec z powrotem w stronę hotelu, nagle pomyślał, że od samego początku Zoe Langridge była najgorszą z możliwych kandydatek do roli Jasmine. Ale tak się zafiksowali na znalezieniu do tej roli jakiejś aktorki z nazwiskiem, że zupełnie umknęło to ich uwagi. Może Emma była dokładnie tym,

czego potrzebował. Może wszystko się jeszcze dobrze skończy.

– Jestem pierwszy? – Kiedy Ronald Gash wszedł do dużej sali konferencyjnej, jedyną obecną tam osobą była Flick, która przed każdym miejscem umieszczała kopię scenariusza z ostatnimi poprawkami.

– Och, dzień dobry, Ronaldzie – przywitała go wesoło. – Dobrze spałeś?

– Nie. Niestety, miałem bardzo niespokojną noc. Na korytarzu zaraz przy moim pokoju są drzwi, które przez całą noc trzaskały. Za każdym razem, kiedy ktoś tamtędy przechodził, drzwi waliły i mnie budziły.

– To okropne! – współczuła Flick. – Porozmawiam dziś rano z kimś z hotelu i zobaczę, czy nie uda się przenieść cię do jakiegoś spokojniejszego pokoju.

– Zajmiesz się tym, moja droga? –

Złapał ją za ramię obiema rękami i wpatrzył się z wdzięcznością w jej nieskomplikowaną młodą buzię. Nareszcie. Ktoś zatrudniony przy tej zakazanej produkcji gotów jest zająć się nim jak należy.

– Tak, jasne – roześmiała się. – Nic się nie martw.

Rozległ się brzęk porcelany, kiedy wózek z kubkami do herbaty i kawy wjechał przez drzwi.

– Och, świetnie. Proszę to tu na razie zostawić – powiedziała posługaczowi. – Ale zamawialiśmy też wodę i sok pomarańczowy. Przywieziesz nam to?

Posługacz przeprosił i obiecał, że wróci zaraz z brakującymi napojami.

– Niegazowana i gazowana, jeśli można!
– zawołała za nim Flick.

Ronald wziął sobie kawę, usiadł i wyjął okulary do czytania z górnej wewnętrznej

kieszeni marynarki, żeby w spokoju przejrzeć scenariusz, zanim przyjdą pozostali. Od czasu do czasu pozwalał sobie na ukradkowe spojrzenie na Flick, która metodycznie rozstawiała kubki wokół dużego owalnego stołu. Za każdym razem, kiedy się pochylała, bluzeczka podjeżdżała jej w górę i słońce lśniło w maleńkim, połyskującym kamyku na jej płaskim brązowym brzuszku. Poczł się starszy niż Matka Ziemia.

Ben wszedł, zobaczył, że Ronald siedzi sam przy stole, i zastanowił się, czy wyglądałoby na brak uprzejmości, gdyby usiadł nieco dalej od niego. Stół był zupełnie pusty, więc mógł wybrać dowolne miejsce i wyglądałoby to, jakby szanował prywatną przestrzeń Ronalda. Był jednak reżyserem, a Ronald jego największą gwiazdą i wiedział, że to znaczy, iż powinni trzymać ze sobą jakąś

sztamę. Nie miał większej ochoty siedzieć obok niego, ale prawdopodobnie byłoby jeszcze gorzej, gdyby tego nie zrobił. Zdecydował się przełknąć gorzką pigułkę i wybrać podejście serdeczne.

– Witaj, Ronald – powiedział, siadając obok niego. – Dobrze spałeś?

– To ciekawe, że wszyscy dziś rano wykazują tyle zainteresowania moim snem – odparł Ronald, podnosząc wzrok znad scenariusza. – W rzeczy samej...

Ale Ben nigdy się nie dowiedział, co było w samej rzeczy, bo Alex Wylie, który grał Sama, wpadł do sali z ekspresyjnym, głośnym powitaniem:

– Benny! Kochaniutki! – i zaczął wyginać palce rąk, że aż trzasnęły. – Hej, to jest to, tak? – powiedział, chwytając swój nowy scenariusz i przerzucając strony. – Super! Ronald, jak leci? – Usiadł obok aktora.

Stacey, sekretarka planu, weszła, rzuciła im wszystkim szybkie „Dzień dobry” i usiadła pośrodku przeciwnej strony stołu – zostawiając im mnóstwo osobistej przestrzeni, jak zauważył Ben. Wyjęła dwa stopery, ołówki i pisaki, i zaczęła przeglądać nowy scenariusz, szukając poprawek naniesionych przez Bena.

Tymczasem w restauracji na parterze Emma żałowała, że zamówiła jajecznicę. Realizacja zamówienia potrwała kwadrans, a jajecznica wyglądała, jakby smażyła się przez całe te piętnaście minut, bo miała konsystencję smażonej cegły. Kiedy Emma szturchała ją widelcem, ani drgnęła.

– Przepraszam! – zawołała do kelnerki.
– Mogę prosić kilka tostów?

Ale kobieta zniknęła w kuchni, nie dając żadnego znaku, że ją dosłyszała.

Emma spojrzała na zegarek. Za piętnaście dziesiąta. Nie miała czasu

zamawiać czegoś innego. Sala jadalna była niemal pusta.

– Proszę. Chcesz trochę moich? – Dziewczyna przy stoliku obok podała jej stojak z nierdzewnej stali z czterema kawałkami zimnych, bladych hotelowych tostów. – Ja nie jem węglowodanów.

– Dzięki wielkie. Jesteś bardzo miła – powiedziała Emma, biorąc dwa kawałki. – Jestem dziś rano naprawdę spóźniona. Ty też pracujesz przy filmie?

– Tak. Jesteś Emma, prawda? – powiedziała dziewczyna. – Ja jestem Liz, projektuję kostiumy. Rozmawialiśmy już przez telefon.

– Och, cześć! Miło cię nareszcie poznać. Mam się dziś z tobą spotkać po południu po próbie na przymiarce, prawda? – Emma szczerze smarowała masłem swoją grzanekę i Liz przyglądała się temu wstrząśnięta. Biały chleb, masło, a teraz

co? Marmolada? Albo to jakaś nowa wysokotłuszczowa, bogata w węglowodany dieta, o której jeszcze nie słyszała, albo, co wydawało się bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem, Emma ma bulimię, uznała Liz z satysfakcją, popijając swoją czarną kawę.

– Tak, mam nadzieję, że spodoba ci się to, co dla ciebie wybrałam.

– Na pewno – powiedziała Emma, usiłując mówić z pełnymi ustami, napić się herbaty i otrzepać okruszki ze swojej trykotowej bluzeczki, wszystko jednocześnie. – Kurczę, jestem taka spóźniona! Wiesz, gdzie jest Sala Króla Jerzego?

Liz wstała i obciągnęła spódnicę.

– Tak, chodź ze mną, jeśli chcesz. Wrócę za minutkę. Muszę tylko skoczyć do toalety.

Emma z wdzięcznością pokiwała głową,

bo miała teraz zbyt pełne usta, żeby się odezwać. Niektórzy ludzie nie mogą jeść, kiedy się denerwują, ale z Emmą było dokładnie odwrotnie. Herbata i tosty stanowiły jej ulubiony środek uspokajający. Cieszyła się teraz, że Ben przekonał ją, żeby została. Poprzedniego wieczoru o mało nie wyznała mu prawdy, ale w ostatniej chwili się przestraszyła. Nie chciała go okłamywać, bo był przecież dla niej taki miły. Musiał wiedzieć, że jest nieco zagubiona i to takie uprzejme z jego strony, że z nią zatańczył, żeby mogła się poczuć mniej obco.

Chociaż dzisiaj rano czekała ich zaledwie próba czytana, miał to być jej pierwszy publiczny występ i teraz zależało jej jeszcze bardziej niż kiedykolwiek na tym, by udowodnić Benowi i wszystkim pozostałym, że jest godna pokładanego w niej zaufania. Chciała też udowodnić samej

sobie, że jeśli ma jakiś talent, nie zaprzepaściła go do reszty rozjaśnianiem, farbowaniem i myciem cudzych włosów. Posmarowała marmoladą ostatni kawałek tosta i zaczęła go żuć w milczącej determinacji.

W damskiej łazience Liz dokładnie umyła ręce, wyjęła z torebki szczoteczkę i wyszorowała zęby, przeczesała włosy, zwijając je w niedbały kok, z wprawą spięła go dużą spinką, a potem poprawiła błyszczący na ustach. Idealnie.

Kiedy wróciła do sali jadalnej, przyjaźnie pomachała ręką do Emmy, która poderwała się z miejsca, wciąż ściskając w dłoni drugi kawałek tosta.

– Jestem pewna, że skądś znam twoją twarz, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd. Co robiłaś do tej pory? – zapytała ją Liz tonem leciutkich, babskich ploteczek,

kiedy szły na pierwsze piętro.

– Słyszałaś o takim filmie: *Fryzjerstwo*?

– spytała Emma, żałując, że musi brnąć w to głupie kłamstwo.

– Nie. – Liz skrzyżowała ramiona, idąc korytarzem, żeby Emma nie zostawiła palcami śladów dżemu na jej kardiganie od Marca Jacobsa. Czekwała, że Emma opowie jej więcej o tym *Fryzjerstwie*, ale ona dodała tylko:

– Powinnam iść umyć ręce.

Liz popatrzyła na zegarek.

– Nie mamy czasu, jest już praktycznie dziesiąta. Ben nie cierpi spóźnień.

– Strasznie się lepię – jęknęła Emma, żałując teraz, że nie wstała od razu po dzwonku telefonu, tylko pozwoliła sobie na dosypianie.

– Nie martw się, wyglądasz świetnie. To tylko próba czytana. – Liz poprowadziła ją korytarzem i otworzyła drzwi do Sali

Króla Jerzego. Przyszły niemal jako ostatnie i zastały resztę ekipy na porównywaniu porannego kaca i częstowaniu się kawą. Tex zajął sąsiednie krzesło dla Liz i zrobił rozczarowaną minę, kiedy usiadła po przeciwnej stronie stołu, trochę na ukos od Bena.

Ben zauważył, że Emma waha się w drzwiach, niepewna, gdzie ma usiąść.

– Emma, chodź tutaj i siadaj obok Danny’ego – powiedział. – Jak się masz dziś rano?

– Świetnie, dziękuję – wykrztusiła szeptem, siadając na swoim miejscu. Wzięła leżący przed nią scenariusz. Z nieśmiałym uśmiechem obróciła się do Danny’ego i usiłowała nie gapić się na jego włosy, utlenione na biało i farbowane na niebiesko na końcach. Poprzedniego wieczoru miała wielką ochotę porozmawiać z nim w czasie imprezy i

potem, kiedy poszli do nocnego klubu, ale za bardzo się go bała i udało jej się tylko rzucić piskliwe: „Cześć”. Ben pochylił się ku niej przez stół.

– Nie widziałaś tego jeszcze – powiedział. – To roboczy scenariusz i jest w nim kilka zmian w twoich dialogach. Przejrzyj z tobą później, jeśli znajdziesz coś, co będziesz chciała omówić szczegółowo.

Patrick wpadł do sali z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha. Wpatrywał się złym wzrokiem w przestrzeń przed sobą. Wolną ręką nalał sobie kawy i ciągnął rozmowę, stojąc na środku pokoju, ślepy na otaczające go morze zaciekawionych twarzy.

– Nie, nie tysiąc dwieście metrów. Dwanaście tysięcy! Tak jest odnotowane na formularzu zamówienia i za to zapłaciłem. Co ja mam niby robić z

tysiącem dwieście? – Z gniewną miną sączył kawę, czekając na kolejny pretekst do pofolgowania złemu humorowi. – Nie, Vanesso, to twój problem. To ty go masz rozwiązać. Za to ci płacę. To ty podpisałaś odbiór zamówienia i to ty będziesz musiała wrócić do Hemel Hempstead i sama odebrać towar, o ile zdołasz to wyjaśnić.

Odsunął telefon od ucha i popatrzył na niego z niesmakiem, kiedy Vanessa odpowiedziała stekiem obelg.

– Vanesso? Vanesso! – strofował łagodnie. – Nie rób mi tego. Wiesz, że sama nie masz pojęcia, co te wszystkie słowa znaczą. A teraz nalej sobie porządną, dużą szklanę wódki i zabieraj się, kurwa, do roboty.

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni i rozejrzał się po sali z pogodnym uśmiechem.

– Dzieńdoberek wszystkim! –

rozpromienił się, jakby rozmowa z Vanessą natychmiast wyparowała mu z pamięci.

Ben rozejrzał się wokół stołu.

– Dobrze. Chyba wszyscy już jesteśmy na miejscu. Dziękuję, że przyszedliście tu dziś rano. Wiecie, że bardzo się spieszymy, jutro startują zdjęcia. W świecie idealnym chciałbym wam dać więcej czasu na próby. Ale wiem, że zebrałem tu świetną ekipę i że razem uda nam się wykonać kawał znakomitej roboty. Więc może na początek wszyscy siedzący przy tym stole przedstawiają się. Ja nazywam się Ben Lincoln i jestem reżyserem. Napisałem też ten scenariusz i mam nadzieję, że uda wam się odczytać mój charakter czcionki.

Rozległy się ledwie dosłyszalne grzeczne chichoty. Ben obrócił się na prawo i przyszła kolej na Ronalda.

– Jestem Ronald Gash – oświadczył z powagą. Podobało mu się, że jego głos zabrzmiał niczym grzmot odległej burzy. – I zagram Larry’ego Turpina, znanego wśród przyjaciół i wrogów jako Dick. – Skłonił skromnie głowę.

I tak to szło wokół stołu. Kiedy Danny Parker podniósł się ze swojego miejsca, rozległy się ironiczne oklaski, bo nikomu nie potrzebował się przedstawiać. Nie było w tym pokoju ani jednej osoby – być może pomijając Ronalda Gasha – która nie rozpoznałaby Danny’ego nawet z tą jego nową fryzurą, z jego wielu występów w telewizyjnej liście przebojów i MTV, ani takiej, która nie śledziła w brukowcach jego niewiarygodnych awanturek. Nadawał się na klasycznego idola popu ze swoimi intensywnie niebieskimi oczami, kośćmi policzkowymi zarysowanymi tak ostro, że można by nimi kroić pomidory na

plasterki, a dziś rano miał na sobie czarną koszulkę z dekoltem w serek, która ukazywała opaleniznę rodem z solarium.

Kiedy rok wcześniej jego boysband rozpadł się w atmosferze pozwów sądowych, wyrzucania się nawzajem z zespołu i finansowych roszczeń, Danny poleciał do Los Angeles wyciszyć się i popracować nad solowym albumem. Wynajął dom na wzgórzach Hollywood, gdzie przez okna od sufitu do podłogi mógł obserwować zwierzyną płową, szopy i skunksy. A ponieważ YunGuns nigdy nie dotarli do Ameryki, całymi godzinami spacerował swobodnie po alejkach supermarketów, ciesząc się nowo odkrytą anonimowością. Powiedział swojemu managerowi, że chciałby przenieść się do Los Angeles na stałe, i oświadczył, że wystąpi o amerykańskie obywatelstwo. Wstawał i śpiewał w barach karaoke,

oczekując tej samej histerycznej reakcji, która zawsze spotykała go podczas tras koncertowych, ale kiedy jego pełna entuzjazmu interpretacja *Flashdance* spotkała się z obojętnością, zaczął nosić ze sobą egzemplarz nieautoryzowanej biografii YunGuns, który pokazywał sklepikarzom i taksówkarzom. „Występowałem na stadionie Wembley” mówił im i denerwował się, kiedy udawali, że nigdy o tym miejscu nie słyszeli.

Któregoś dnia wrócił do domu i znalazł na kuchennym stole skorpiona. To była ostatnia kropla goryczy. Zerwał umowę najmu i poleciał z powrotem do Anglii, gdzie udzielił kilku wywiadów, opowiadając o tym, jak musiał ze Stanów uciec przed naporem kultury przemocy. Od tamtej pory dzielił swój czas między imprezy, kupowanie domów i dorywcze próby pisania piosenek, przerywane

przedłużonymi pobytami w prywatnej klinice, gdzie leczył się z wyczerpania, oraz częstymi wypadami do salonu tatuaży na Finchley Road. Chciał wytatuować sobie na udzie wielkiego skorpiona – po centymetrze na jedną wizytę, bo miał wrodzony niski próg odporności na ból. Album solowy nadal czekał na wydanie ze względu na bliżej nieokreśloną „różnicę zdań” z co najmniej trzema niezależnymi producentami.

Kiedy dziennikarze zaczęli wyrażać wątpliwość, czyjego umiejętności pozwolą mu przerzucić się ze śpiewania na aktorstwo, szybko im przypomniał, że aktorem był dużo wcześniej, zanim został piosenkarzem. Czy nie grał Artfula Dodgera na scenie, kiedy miał zaledwie dwanaście lat? Przez całe lato pobierał lekcje aktorstwa u pewnej nauczycielki z Highgate, która była zwolenniczką metody

Stanisławskiego, i znów poleciał do Los Angeles na spotkania z agentami.

Ben pomyślał po raz kolejny, że miał masę szczęścia – Danny zdecydował, że to będzie pierwszy film z jego udziałem, a Emma, wspominając, że ma się całować z Dannym Parkerem, musiała napić się wody, żeby uspokoić nerwy. Niech no tylko usłyszą o tym dziewczyny z salonu!

– No dobrze – powiedział Ben. – To cała nasza podstawowa obsada, pomijając Sophie Randall, która zagra Roxanne, a która nie mogła tu dzisiaj do nas dołączyć... – Przerwały mu przesadnie zrozpaczone westchnienia całej męskiej części ekipy. – Więc ja przeczytam jej partię. Będę również czytał tekst za naszych malajskich bohaterów; pana Ho, pana Yo i pana Wonga. – Jeszcze nie zostali obsadzeni, ale nie trzeba było wszystkich o tym informować. –

Oczywiście, nie znam chińskiego, więc przeczytam tłumaczenie. W porównaniu ze scenariuszem rozesłanym do was w zeszłym tygodniu są tylko niewielkie zmiany; główna w scenie dziewięćdziesiątej siódmej, która teraz rozgrywa się w mieszkaniu Jasmine, nie na plaży. Sceny pięćdziesiąta siódma i pięćdziesiąta dziewiąta zostały wycięte. Są dwie nowe sceny – dziewięćdziesiąta A i sto ósma A – oraz liczne zmiany w dialogach. A teraz, jeśli wszyscy są gotowi, bierzmy się do dzieła.

Po przeciwnej stronie stołu Stacey, sekretarka planu, wzięła do ręki stopery i czekała, a Ben zacznie czytać.

– Scena pierwsza. Brzeg morza w Brighton. Świt. Droga jest pusta, pomijając jasnoniebieską vespę...

– Czy to musi być vespa? – przerwał Danny.

Stacey wyłączyła stopery.

– Proszę? – spytał Ben.

– Czy to musi być vespa? Po prostu moim zdaniem Eddie to taki facet, który jeździłby aprilią.

– No cóż, to chyba może być aprilia. – Ben obrócił się do Josephine. – Zamknęłaś już sprawę skuterów?

– Chyba Poppy już złożyła zamówienie.

– Ale można je zmienić, nie? – powiedział Danny.

– Chyba tak.

– Rewelka. – Danny wykreślił vespę ze swojego scenariusza i wpisał aprilię. – Aprilia habana – powiedział do Josephine. – Zadbaj o to, żeby to był model sto dwadzieścia pięć. Nie chcę żadnych pedalskich pięćdziesiątek cc.

Ben kontynuował czytanie.

– Świt. Droga jest pusta, pomijając jasnoniebieską aprilię – podniósł oczy na

Danny'ego dla potwierdzenia – którą prowadzi Eddie, przystojny dwudziestopięciolatek. W zbliżeniu widzimy, że na plecach ma futerał od gitary, a kiedy mija molo, garść dwudziestofuntowych banknotów wylatuje z futerału i unosi się z wiatrem. Kamera podąża za banknotami, które tańczą na tle błękitnego nieba, i słyszymy zza ekranu głos Eddiego.

– Wcale nie chodziło nam o pieniądze – przeczytał Danny. – Zależało nam na muzyce. Ale kiedy pół miliona funtów spada ci z nieba prosto w ręce, co robić? Jak mawiał Ollie, za pół miliona funtów kupisz sporo chińskich zupek. Mieliśmy masę planów związanych z tą kasą. Jedyne kłopot w tym, że masę planów co do niej mieli też inni ludzie.

– Scena druga. Plener. Brighton nad morzem. Dzień – czytał Ben. – Kamera

schodzi w dół z wysokiego planu i obejmuje kapełę niechlujnych muzyków improwizujących na molo. Wokalistą i liderem jest Eddie, chłopak jadący przedtem na skuterze. Wkoło niego stoją Jackson – gitara rytmiczna, Sam – gitara basowa i Ollie – perkusista. Przechodzień wrzuca drobną monetę do otwartego futerału na gitarę rozłożonego przed nimi na chodniku, a oni głośno dziękują.

– Dzięki, szefie! – zawołał Alex, który grał Sama. Miał jasnobrązowe włosy, niebieskie oczy i zadziorny sposób bycia mieszkańca Essex.

Znakomity wybór, pomyślał Ben, który pierwszy wypatrył Aleksa w reklamie frytek do pieczenia w piekarniku.

Emma odprężyła się nieco, bo poza jedną linijką: „Cześć, Douggie!”, kiedy Jasmine przychodzi do pracy, nie miała żadnego prawdziwego tekstu aż do sceny

trzydziestej, kiedy spotyka Eddiego w klubowej szatni. Patrzyła, jak Ben śledzi napisane przez siebie dialogi, przytakując entuzjastycznie sposobowi, w jaki Ronald nadawał głosowi Turpina faktycznie złowrogie brzmienie i podziwiając Luke'a, który grał Olliego, perkusistę. Chłopak zachowywał tak kamienną minę, że za każdym razem, kiedy otwierał usta, wszyscy wybuchali głośnym śmiechem. To musi być coś wspaniałego, pomyślała Emma, słyszeć, jak w taki sposób ożywa napisany własną ręką dialog. Och, za moment scena trzydziesta.

– Scena trzydziesta – przeczytał Ben. – Wnętrze. Szatnia nocnego klubu, wieczór. Jasmine, szatniarka, liczy swoje napiwki, kiedy Eddie wbiega do środka i przeskakuje kontuar.

– Hej! A ty co niby robisz!?! – przeczytała Emma zaskoczonym i

rozniewanym głosem, który zabrzmiał nieco głośniejszy, niż zamierzała. Zauważyła, że Danny czytał swój tekst bez wyrazu, więc może tak należało to robić.

– Eddie chowa się pod obszernym płaszczem ze sztucznego futra – przeczytał Ben.

– Och! – zaprotestowała Emma, o kilka tonów wyciszając swoją grę! – Nie wolno tu wchodzić!

– Eddie nic nie mówi, ale na chwilę wystawia głowę spod futra i Emma zauważa, że to wokalista, któremu przyglądała się w przerwie ciągnął Ben. – Turpin i dwóch jego oprychów biegną korytarzem i stają przy kontuarze szatni.

– Ktoś tędy przechodził? – huknął Ronald, obejmując Emmę szczerze niezyczliwym spojrzeniem.

– Nie. Nikt – odparła Emma niewinnie, wcale nie udając nutki lęku w głosie.

Ronald Gash sprawiał, że czuła się jak coś, co mu się przyczepiło do buta.

– Turpin i jego ludzie wybiegają, a Jasmine zagaduje Eddiego.

– W co ty się, do licha ciężkiego, pchasz? – zapytała ostro Emma. Zaczynała znakomicie się bawić.

– Dzięki – powiedział Danny. – Dzięki, że mnie nie wydałaś.

– Dlaczego Turpin cię ściga?

– Chyba nie jest fanem mojej muzyki.

– Trudno mu się dziwić. Wasz dzisiejszy występ był beznadziejny.

– Och, super. Każdy się ma za krytyka. Gdyby zorganizowali nam próbę nagłośnienia, jak trzeba...

– No, nie mów. Na pewno byś zabrzmiał jak Robbie Williams.

– Wbiegają Jackson i Ollie, zastają Eddiego ubranego w futrzany płaszcz w trakcie sprzeczki z Jasmine – przeczytał

Ben.

– Hej, Eddie! Chodź. Musimy stąd spływać! – powiedział Giles. W wieku dwudziestu dziewięciu lat był najstarszy z całej czwórki. Miał nastroszone ciemnoblonde włosy i zielone oczy.

– Gustowny płaszczyk – mruknął Luke i wszyscy parsknęli śmiechem.

– Nie miałem pojęcia, że to zabawny tekst – śmiał się Ben. – Jak ty to robisz, Luke?

– Nie wiem. Mam to chyba po mamie – powiedział Luke bardzo poważnie i wszyscy znów zaczęli się śmiać.

Poza Liz. Przyglądała się Emmie w czasie tej krótkiej sceny, a mówiąc ściślej, przyglądała się Benowi, który zerkał na Emmę. Zamiast śledzić tekst we własnej kopii scenariusza, przypatrywał się aktorce, która siedziała z pochyloną głową i koncentrowała się na dialogach. I

uśmiechał się do niej. A był to uśmiech, który ludzie noszą, kiedy udaje im się znaleźć prawdziwe art deco na podwórkowej wyprzedazy. Uśmiech, który widzi się u nauczyciela, kiedy dzieciak, który coś sobie skrobał na kartce w kącie klasy, nagle oblicza liczbę π z dokładnością do trzynastego miejsca po przecinku. Uśmiech ogrodnika, kiedy dostrzega, że pierwsze krokusy przebijają się przez zmarzniętą po zimie glebę. Ben wyglądał, jakby odkrył coś cudownego, czego wcale się odkryć nie spodziewał. Coś delikatnego, na co chciał chuchać i dmuchać. Prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, pomyślała Liz. Pewnie nie był świadomy tego, że wargi mu się zaciskają, jakby usiłował powstrzymać pchający się na usta uśmiech, ani że skóra wokół oczu marszczy mu się w dziesiątkach

drobniutkich kurzych łapek. Nie miał pojęcia, prawda?

Przez kolejne dziewięćdziesiąt minut, kiedy akcja scenariusza Bena rozwijała się, przycichała i znów się wzmagala, Liz obserwowała sposób, w jaki Ben przyglądał się Emmie. Za każdym razem, kiedy dochodzili do sceny z jej udziałem, Liz widziała, że Ben ledwie się powstrzymywał, żeby nie wypowiedzieć tekstu za nią, tak jak go słyszał we własnej głowie, a kiedy przewracali kolejne strony, ona podnosiła na niego wzrok, szukając aprobaty, a on uśmiechał się do niej krzepiąco.

Kobieta słabsza niż Liz mogłaby odczytać te znaki i wycofać się. Kobieta pozbawiona samodyscypliny Liz i żelaznej woli wspartej latami – latami! – starannych przygotowań, mogłaby się poddać. Ale Liz siedziała przy tym stole w słoneczne

niedzielne przedpołudnie i patrzyła, jak Ben krok po kroku zaczyna zakochiwać się w Emmie, a jej determinacja tylko rosła.

Rozdział 14

Próba skończyła się totalną improwizacją, kiedy Ben za pomocą zabawkowych samochodzików demonstrował scenę pościgu, a Luke i Alex zapewniali efekty dźwiękowe – Jasmine, Eddie i chłopcy odjeżdżali ku zachodowi słońca niemiłosiernie ściśnięci w starym saabie Jasmine – czy raczej saabie Patricka, staroświeckim modelu w kolorze pudrowej czerwieni, nazwanym pieszczotliwie Samczykiem, którego Patrick wynajął do filmu za obowiązującą stawkę rynkową.

Emma czuła ten sam przypływ adrenaliny co Jasmine na myśl, że wszystko się dobrze skończyło. I pomyśleć, że zaledwie poprzedniego wieczoru gotowa była zrezygnować z

filmu i uciec do Londynu! Skąd ten pomysł! Przecież to najlepszy scenariusz, jaki kiedykolwiek miała w rękach. To najlepsi aktorzy, z jakimi kiedykolwiek pracowała, a film będzie przebojem.

Nie dosłyszała znużonego: „Boże, dopomóż nam wszystkim!”, które wyrwało się Ronaldowi Gashowi, kiedy zamknął scenariusz i schował okulary do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Do wszystkich, którzy powinni się tam znaleźć: próby zespołu muzycznego odbędą się w tej sali po lunchu – oświadczył Jamie, pierwszy asystent reżysera.

Emma usiłowała wymyślić, co by tu powiedzieć Danny’emu, i nagle ją olśniło.

– Napisałeś muzykę do tego filmu? – spytała.

– Nie – odparł szorstko i wstał, żeby wrócić do swojego pokoju, zostawiając ją

jak wyciśniętą cytrynę.

– Luke napisał całość ścieżki dźwiękowej – wyjaśnił Giles. – On tu jest jedynym, który rzeczywiście zna się na muzyce. Ja, Alex i Danny będziemy tylko udawać.

– Co to za muzyka? Czy to pop, taki jak YunGuns? – zapytała Emma, a chłopcy ryknęli śmiechem, jakby opowiedziała znakomity dowcip.

– To skate metal – wyjaśnił Luke.

– Och, świetnie... – Zaczęła się zastanawiać, co to takiego.

– Miłej pracy, chłopaki – rzucił Ben do członków zespołu, a potem zwrócił się do Emmy: – Bardzo mi się podobało. Jeszcze tylko trochę więcej energii i będziemy w domu.

– Och, jasne – powiedziała szybko Emma. – No cóż, nie chciałam dawać z siebie wszystkiego, bo to w końcu tylko

próba czytana.

Pożałowała teraz, że nie trzymała się swojego pierwotnego planu i nie poszła na próbę na całość.

– Tak, dobry pomysł. Trzymaj sobie coś w rezerwie. Wszyscy idziemy na szybkiego drinka przed próbą zespołu. Masz ochotę iść z nami?

– Bardzo bym chciała, ale mam przymiarke kostiumów. – Uśmiechnęła się do Liz, która stroiła miny do Teksa.

– Oczywiście – powiedział Ben. – Lepiej chyba później do was zajrzę. – Naprawdę chciał postawić Emmie drinka i poznać ją nieco bliżej, ale teraz zobaczył, że u jej boku materializuje się Liz. – To do zobaczenia za jakieś pół godziny – rzekł, pierwszą część zdania adresując do Liz, zanim stracił impet i dodał resztę, zwracając się już do Emmy. Odezwał się do Liz dopiero po raz drugi od momentu,

kiedy przyjechali do Brighton.

– Będziemy w moim pokoju, trzysta dziewięć – powiedziała do niego Liz. Po przeciwnej stronie korytarza, pomyślała, prowadząc Emmę.

– Jak mi poszło? – szepnęła Emma, kiedy tylko wyszły za drzwi.

– Byłaś cudowna – zapewniła ją Liz.

– Naprawdę? Nie mówisz ot, tylko tak? No wiesz, to była próba czytana. Zupełnie inaczej będzie, kiedy zaczniemy pracować na serio. Więcej energii i tak dalej.

– Szczerze, byłaś świetna – powiedziała Liz odruchowo. Całe swoje zawodowe życie spędziła, głaszcząc rozwichrzone piórka różnym aktorom i miała tego powyżej uszu. Byłaś cudowna. Byłaś niezwykła. Byłaś fantastyczna. Wyglądasz niesamowicie na ekranie. Jesteś niesłychanie fotogeniczna. Twoja gra poruszyła mnie do łez. Byłaś taka

zabawna. To było takie prawdziwe. Ta sukienka leży na tobie rewelacyjnie. Masz porcelanową cerę. Ten uśmiech mógłby oswajać dzikie bestie. Twój głos jest taki melodyjny. Twój talent zapiera dech w piersiach. Nie masz wad. Jesteś bez wątpienia najbardziej idealną istotą ludzką na tej ziemi i czuję się zaszczycona, mogąc oddychać tym samym powietrzem co ty. To chcieli od niej słyszeć.

Dobry Boże, jak ona nie cierpiała aktorów. Byli taką patetyczną bandą małych dzieci. Płaci im się dziesięć razy tyle, co wszystkim innym, za jedną dziesiątą pracy. Nawet nie muszą sami przynosić sobie herbaty – oczekują, że jeden z gości będzie to dla nich robił. Mają kierowcę, który ich zabiera z hotelu i wieczorem odwozi z planu, więc nie muszą zaprzętać sobie małych mózdków takimi drobiazgami, jak czytanie map

drogowych czy ruch uliczny. Kolejny goniec stoi w kolejce po ich lunch, żeby nie musieli bratać się z pospólstwem. Na planie czekają na nich własne krzesła, żeby mogli sobie usiąść. Kiedy pada, ktoś przynosi parasol, żeby nie zmokli, a kiedy wychodzi słońce, pojawiają się kolejne parasole, żeby się pod nimi schronili i nie dostali udaru słonecznego. Jeśli mają nosić torbę albo broń, albo choćby gazetę, rekwizytorzy osobiście wcisną im przedmiot do właściwej ręki, bo przecież nie można oczekiwać, że aktor będzie umiał odróżnić prawą stronę od lewej.

I to im przypisuje się wszelkie zasługi. Nikt nigdy nie poszedł na jakiś film do kina dlatego, że kostiumy były idealnie dobrane do epoki, ani dlatego, że oświetlenie zrobiono perfekcyjnie czy scenografię skonstruowano jak należy. Przeciętnego widza interesują wyłącznie

aktorzy. Popatrzcie na Sama Mendesa. Dostaje Oscara za reżyserię swojego pierwszego filmu, ale kiedy zyskuje prawdziwą sławę? Po tym, jak przespał się z Kate Winslet.

– Byłaś znakomita – powiedziała Emmie. – Taka naturalna.

– Dzięki – westchnęła Emma i natychmiast poczuła się lepiej.

Pokój Liz nadal był cały zastawiony walizkami i plastikowymi torbami w paski, bo przyczepa garderoby miała dojechać dopiero po południu. Emma weszła do środka, usiadła i zaczęła podskakiwać na materacu łóżka Liz.

– Czy to wszystko nie jest niesamowite? – wypaliła. – Nie mogę się już doczekać jutrzejszego dnia.

Liz kupiła większość kostiumów dla Jasmine, zanim Zoe Langridge zrezygnowała z roli. Na szczęście obie, i

Emma, i Zoe nosiły dziesiątkę, ale Liz zastanowiła się szybko poprzedniego wieczoru i ubrania, które zaczęła wyklądać na łóżko, nie były tymi ślicznymi ciuzzkami od Miu Miu albo Matthew Williamsona, które powybierała dla Zoe, ale tanimi rzeczami, które kupiła dla paru statystów.

– Teraz tak, jeśli chodzi o Jasmine... – zaczęła Liz. – Rzecz w tym, że ja ją widzę jako osobę nieco zbuntowaną, więc nie będzie nosiła czegoś tylko dlatego, że to jest modne. Jest raczej indywidualistką, więc pociągać ją będą rzeczy trochę nietypowe – może ciuchy typu vintage. Zgodzisz się ze mną?

– Tak, a poza tym pracuje jako szatniarka w klubie nocnym, więc na pewno nie ma grosza przy duszy – przytaknęła Emma, wspominając własne studenckie czasy, kiedy żywiła się

kanapkami z Marmite, i to bez masła. – Pewnie w stylu przypomina trochę studentkę, coś jak grunge. Ciuchów szuka na pchlich targach, w sklepach z używanymi rzeczami i innych tanich miejscach!

– Dokładnie! – powiedziała Liz, zaskoczona, że urobienie Emmy okazuje się łatwiejsze, niż sądziła. – Na przykład, weźmy ten sweter. – Uniosła tani, robiony na drutach sweter w różowe, żółte i pomarańczowe prążki.

– Och, to cała Jasmine! – powiedziała Emma z ożywieniem. – Mogę go przymierzyć? – Włożyła sweter na swoją trykotową koszulkę i odwróciła się do Liz, z twarzą jeszcze zakrytą włosami.

– Popatrz – zaśmiała się. – Idealny efekt!

– Nieźle – powiedziała Liz, prostując szwy na ramionach i obserwując sposób, w

jaki Emma w tym swetrze stawała się kompletnie asekualna, niczym czternastoletni chłopaczek. Spodziewała się, że czeka ją niezła przeprawą że będzie musiała wywalczyć sobie kompromis, podrzucając jej na osłode kilka bardziej twarzowych kostiumów, jeśli Emma się uprze. Ale wyglądało na to, że dziewczyna połknęła haczyk razem z wędką. – Uznałam, że to będzie dobry styl na dzień. Z džinsami, oczywiście.

– Och, tak, Jasmine nigdy by nie nosiła spódnic, prawda? W końcu chce być dobrym kumplem dla chłopaków.

Liz prawie zaczęła żałować tego, co robi, na myśl o boskich, zwiewnych letnich sukienkach zapakowanych w torbie z napisem Jasmine, ale parła naprzód.

– Z džinsami nie sposób się pomylić.

– Lewisy?

– Zdecydowanie. Ale nie biodrówki.

– Nie, to zbyt modne – zgodziła się Emma. – Mam chyba siedemdziesiąt centymetrów w talii.

– Znajdę coś idealnego – powiedziała Liz.

Pogrzebała w innej torbie i wyjęła z niej dwie pary znoszonych 501, które wybrała dla Aleksa na scenę improwizacji na molo. Będą w sam raz, a ona da Aleksowi te Evisu, o które ją błagał.

– Przymierz je – powiedziała do dziewczyny. – Powinny na ciebie pasować.

Patrzyła, jak Emma rozpina zamek zamszowej spódnicy i pozwala jej opaść na podłogę, ukazując maleńkie białe koronkowe majteczki i jędrne, szczupłe uda. Liz miała nadzieję na jakąś bliznę albo choćby przedwczesne żyłaki czy parę fałdek tłuszczu albo czarne włosy wzdłuż linii bikini, długie co najmniej do kolan, ale dziewczyna prezentowała idealną,

nieskażoną, kompletnie beztroską pewnością siebie młodości.

– Są trochę przydługie – powiedziała Liz, obciągając nogawki, aż prawie zakryły malutkie i zgrabne paluszki u nóg Emmy.

– Tak, ale to dobrze – powiedziała Emma, zapinając suwak. – Lubię długie spodnie. Możemy na dole trochę porozpruwać szwy. A co z butami?

– No cóż, masz mnóstwo bieganiny, więc obcasy odpadają – powiedziała Liz, zamykając oczy na ostatnie protesty ze strony zawodowej uczciwości i artystycznej wrażliwości. Mogła zapomnieć o nagrodzie BAFTA za ten film, tego jednego była pewna.

– Jasmine i tak nigdy nie nosiłaby obcasów, prawda? – zgodziła się Emma. To wręcz wspaniałe, myślała. Zaczynała naprawdę wcielać się w rolę i myśleć jak

Jasmine. Żałowała, że nie miała na sobie tego swetra na próbie. Liz była rewelacyjna.

– Adidasy – powiedziały obie naraz.

– Adidasy gazelle – określiła Liz bardziej precyzyjnie. Nie mogła się powstrzymać. – Bardzo stylowe.

Ktoś zapukał do drzwi. Liz wstrzymała oddech, kiedy je otworzyła i zobaczyła Bena stojącego na korytarzu.

– Zrezygnowałem z pubu – powiedział.

– Pomyślałem, że tu się bardziej przydam.

– Co o tym sądzisz? – spytała Emma, z ożywieniem okręcając się na pięcie przed Benem. – Z adidasami gazelle.

Ben zrobił dziwną minę.

– Co to takiego? – spytał Liz. – Myślałem, że dla Jasmine wybierzesz styl funky.

– To jest bardzo funky – odparła Liz z wielką pewnością siebie.

– Mnie się podoba – zachwycała się Emma. – Czuję się w tym znakomicie. Naprawdę wygodnie. Jakbym mogła z każdym sobie poradzić. – Wymierzyła wysoki kopniak w drzwi szafy. – A masz, Turpin!

– To tylko na dzień, oczywiście – powiedziała Liz gładko. – Pozwól, że ci pokażę jej strój szatniarki w klubie.

– Siadaj, siadaj! – zachęcała Emma.

– Dzięki, postoję – odparł Ben i oparł się o ścianę, woląc to, niż podejść o krok bliżej łóżka Liz.

Liz podniosła gładką granatową koszulę z Gap. Kupiła ich kilka w różnych rozmiarach dla statystów, którzy mieli grać role obsługi baru w klubie. Zamierzała ubrać Zoe Langridge w kusy różowy top z cekinami, ale Ben tego nie musiał wiedzieć. Granat, jak świetnie dowiodła hotelowa recepcjonistka, był najmniej

seksownym kolorem świata.

– I czarne dzinsy do pracy – ciągnęła Liz, podnosząc parę ciemnych spodni z Warehouse.

Ben miał minę pełną wątpliwości.

– Daj, przymierzę je – powiedziała Emma, zrywając się na nogi. – Mogę skorzystać z twojej łazienki?

Pobiegła do sąsiedniego pomieszczenia i zamknęła drzwi. Liz i Ben po raz pierwszy zostali sam na sam. Ben poczuł, jak powietrze się zagęszcza.

– Moim zdaniem dzisiejsza próba czytana poszła bardzo dobrze – powiedziała Liz. Wiedziała, że dokładnie to chciałby usłyszeć.

– Dzięki. Moim też. – Ben mówił z ulgą, ale żałował, że Liz nie robi tej przymiarki gdzieś indziej, w jakimś mniej intymnym miejscu. Na przykład na autostradzie M25.

– Przyczepa garderoby dojedzie później

– powiedziała i Bena uderzyło niepokojące spostrzeżenie, że Liz umie mu czytać w myślach. – Chętnie pozbędę się całego tego majdanu z mojego pokoju, wreszcie będę miała trochę miejsca.

– Tak, na pewno – zgodził się Ben.

Emma wyszła z łazienki z nieco niepewną miną.

– Ta bluzka ma rozmiar czternaście. Nie wydaje ci się nieco na mnie przyduża?

Liz zauważyła, w jaki sposób szwy zsuwają się z drobnych ramion Emmy i jak bluzka zwisa bezkształtnie wokół jej sylwetki.

– Nie – powiedziała. – To ma właśnie tak wyglądać. – Wetknęła bluzkę do środka czarnych spodni, żeby przekonać się, czy efekt będzie lepszy, czy gorszy. Pociągnęła za materiał, żeby zbluzował się wokół talii Emmy, w ogóle nie podkreślając jej figury. – Proszę. Idealnie.

Widzisz, to ma być uniform, więc nie chcemy, żeby przez niedopatrzenie wyglądał zbyt kobieco.

:k – Nie, masz rację – powiedziała Emma, przyglądając się swojemu odbiciu w dużym lustrze Liz i jeszcze bardziej wyciągając bluzkę, aż zupełnie ukryła jej figurę. – To nie jest coś, co Jasmine sama wybrałaby dla siebie, prawda? Kazali jej to nosić. Więc powinna wyglądać, jakby źle się w tym czuła.

– Sam nie wiem... – odezwał się Ben ostrożnie, nie do końca pewien, czemu ta granatowa koszula wydaje mu się tak kompletnie nie na miejscu, poza zupełnie oczywistym faktem, że była zwyczajnie brzydka.

– Ależ tak, racja! – Emma nagle poczuła przyływ inspiracji. – To klub Turpina i on tu decyduje, więc ta koszula nie powinna na nią pasować! Powinno być widać, że

Jasmine nie pasuje do tych wszystkich ludzi. Liz, jesteś znakomita! Czy ona nie jest znakomita, Ben?

Obie spojrzały na Bena wyczekująco i nie pozostało mu nic innego, jak tylko się zgodzić.

– Tak, jest naprawdę niezła – powiedział.

– Będę musiała odbyć próbne zdjęcia przed kamerą? – spytała Emma poważnym tonem. Podłapała to wyrażenie z lektury wywiadu z Sharon Stone czy Julią Roberts – nie pamiętała z którą. Nie do końca rozumiała, co to znaczy, ale brzmiało jak profesjonalna uwaga, w sam raz na podobną okazję.

Liz roześmiała się, a Ben zrobił niewyraźną minę.

– Obawiam się, że nasz budżet tego nie obejmuje – wzruszył ramionami.

Emma jęknęła w duchu. Musiała wyjść

na niezłą primadonę.

– Dobrze. Teraz scena miłosna – powiedziała Liz, szybko zmieniając temat.
– Znowu zupełnie odmienny styl. Jasmine wyszła z klubu i wraca do domu, kiedy napadają na nią ludzie Turpina, więc kiedy wreszcie Eddie ją uwolni, będzie zmarznięta i wykończona. – Podsunęła Benowi pod nos kolejny wieszak. – Co o tym sądzisz?

Ben przez długi czas przyglądał się ubraniu, rozważając odpowiedź. Zupełnie czegoś innego oczekiwał.

– To kurtka – stwierdził na koniec.

– Ściśle biorąc, parka – uzupełniła Liz.

– Daj spokój, Liz – zaprotestował Ben. – To ma być scena miłosna. Spodziewałem się czegoś bardziej seksownego.

– W tej chwili militarne stroje są bardzo trendy – powiedziała Liz spokojnie. Wiedziała, że ryzykuje, bo Ben może ją

uznać za beznadziejnego kostiumologa, ale wiedziała też, że kiedy chodziło o modę, Bena, jak większość mężczyzn, łatwo było nabić w butelkę. – Khaki, duży futrzany kołnierz. Moim zdaniem to cudowna rzecz.

Ben za nic na świecie nie chciał wdawać się w sprzeczkę z Liz. Nie chciał właściwie w ogóle z nią rozmawiać, jeśli można było tego jakoś uniknąć – Moim zdaniem... – zaczął słabo, przerwał i zaczął się zastanawiać, skąd się brała jego wiara w to, że potrafi wyreżyserować film, skoro nie umie nawet wygrać sporu na temat kurtki.

– Ben, bądź realistą – powiedziała Liz cierpliwie. – Dla Emmy to długa scena, zdjęcia będą się odbywać w nocy. Sensownie byłoby ubrać ją w kostium, w którym będzie jej ciepło i wygodnie w czasie zdjęć.

– Ale nie mogłaby włożyć czegoś

bardziej seksownego?

– Jasmine skończyła pracę, wraca do domu, jest późna noc, co miałyby mieć na sobie? Majteczki rozcięte w kroku i kozaki za kolana? – Liz ani przez sekundę nie wierzyła, że jej się to upiecze, ale musiała przynajmniej spróbować. Będzie stawiała na realizm i wygodę, chociaż w całej jej dotychczasowej karierze realizm i wygoda nigdy nie stanowiły istotnych zmiennych równania. Całą ekipę ubrałaby w topy bez ramiączek i stringi na nocne zdjęcia na biegunie północnym, gdyby miała na to ochotę.

– Ale czy to musi być kurtka? – zapytał Ben, żałując, że nie jest gdzieś indziej. – To znaczy, czy nie mogłaby mieć normalnego płaszcza albo żakietu czy... Czy czegoś takiego?

– Liz ma rację – odezwała się niespodziewanie Emma. – Ta cała scena, w

której Jasmine znajduje się w niebezpieczeństwie, to taka kalka. To znaczy – dodała szybko, przypominając sobie, że Ben jest autorem scenariusza – mogłaby z tego wyjść straszna kalka. Nie cierpię filmów, w których ktoś ściga dziewczynę, a ona ucieka złym facetom na piętnastocentymetrowych obcasach i w czerwonej skórzanej minispódniczce, to takie niewiarygodne. W Jasmine najważniejsze jest to, że ona taka nie jest. To biedna studentka, która z trudem spłaca pożyczkę na studia tą swoją marną pracą w nocnym klubie.

Czy rzeczywiście? – pomyślał Ben. Nic o tym w scenariuszu nie było.

– Ona nie ubiera się po to, żeby ktoś ją zauważył – tłumaczyła Emma, wyjmując kurtkę z rąk Liz i wkładając ją na koszulę i spodnie. – Nie chce zwracać na siebie uwagi. Oczywiście, że nosi wojskową

kurtkę. Pewnie należała do jednego z jej braci, który oddał ją Jasmine, kiedy wyjeżdżał na studia, a teraz ona jej prawie nie zdejmuje, bo kurtka pachnie domem i Jasmine przestaje czuć się tak strasznie samotna.

Liz i Ben wpatrywali się w Emmę, kompletnie osłupiali. Liz pomyślała, że takiego aktorskiego steku bzdur jeszcze w życiu nie słyszała.

Ben przyglądał się Emmie, tonącej w ciemnozielonej kurtce, zobaczył, jak ciężkie rękawy zakrywają dłonie, i zastanawiał się, jak poprowadzić tę scenę. Eddie znajdzie Jasmine ranną, leżącą na dziedzińcu fabryki, i owinie ją tą wielką kurtką, żeby dziewczynie było cieplej, jak zranionego wróbelka, a potem zabierze ją do środka, tam gdzie jest bezpiecznie, zsunie kurtkę z jej ramion i we dwójkę położą się na niej jak na kocu, a on

rozepnie tę brzydką, granatową koszulę i ciśnie nią w rozpalony na kominku ogień...

– Ben... ?

– Ben? Co o tym sądzisz? – zapytała Emma.

Ban zamrugał oczami i spojrzał w te ufne niebieskie oczy.

– Kurtka jest świetna – powiedział. – Bardzo mi się podoba.

Potem, kiedy Ben wyszedł na próbę zespołu, Emma siedziała na łóżku Liz i popijała wodę Evian z hotelowego minibarku prosto z butelki, paplając z ożywieniem. Liz się obawiała, że nigdy jej się nie pozbędzie.

– Jak zostałeś projektantką kostiumów? To na pewno wspaniała rzecz, praca z ubraniami. Umiesz też szyć? Na pewno masz niesamowitą garderobę. Założę się, że ciągle chodzisz po zakupy. Robiłaś

może którąś z ekranizacji Jane Austen, gdzie wszyscy noszą halki i staniki, i krynoliny, i inne takie? Kto był najślawniejszym człowiekiem, z którym pracowałaś?

Liz cierpliwie odpowiadała na kolejne pytania, przez cały czas odwieszając i opatrując etykietami wszystkie części kostiumu Jasmine, łącznie ze spinkami, które wepnie aktorce we włosy, a im dłużej Emma paplała („Och, musisz na wszystkim przyczepiać takie naklejki?”), tym mocniej Liz utwierdzała się w przekonaniu, że w tej całej Emmie Buckley jest coś, co nie pasuje do ogólnego obrazu.

– A więc... A więc, masz chłopaka? – spytała Liz i odetchnęła z cichą ulgą, kiedy usłyszała:

– Tak. – Emma się rozpromieniła, przyciągając kolana do piersi w geście

dziewczęcej dumy. – Nazywa się Jason Cairns. Słyszałaś o nim?

Nazwisko było jakby znajome.

– Jest aktorem? – spytała Liz.

– I to świetnym. O wiele bardziej utalentowany niż ja. Będzie kiedyś bardzo sławny. Po prostu to wiem. Chcesz zobaczyć jego zdjęcie? – Przeszukała torbę, aż znalazła komórkę i pokazała Liz zdjęcie przyklejone z tyłu.

Liz natychmiast rozpoznała chłopaka.

– On gra w tym serialu, prawda?

Emma z dumą przytaknęła.

– Ile czasu już ze sobą chodzicie?

– Prawie rok.

Liz się ucieszyła. To były bardzo dobre wiadomości. Zmniejszyło się prawdopodobieństwo, że Emma okaże się chętna, chociaż na pełen relaks Liz nie mogła sobie pozwolić, bo coś takiego nie powstrzymałoby Bena od prób. Fakt, że

Emma jest zaangażowana gdzieś indziej, dodawałby jej tylko uroku – a nie odbierał.

– Więc jak, pracowałaś już kiedyś z Benem? – zapytała Liz od niechcienia.

– Nie, nigdy. A ty?

– Kilka razy. – Liz trzymała karty przy orderach.

– Jak się z nim pracuje? – spytała Emma.

– No cóż, lubi, żeby mu nie zwracać głowy. Nie lubi, jak go ludzie zagadują i rozpraszają, kiedy usiłuje pracować.

– Jest raczej poważny, tak?

Liz zamyśliła się na chwilę, wspominając czasy, kiedy upalili się, wspólnie oglądając francuski film w telewizji – Ben dostał histerii ze śmiechu na widok grupy zakonnic biegnących przez ekran. Myślała, że to się skończy atakiem serca, bo śmiał się tak mocno, że łzy strumieniem płynęły mu po twarzy i nie

mógł złapać tchu.

– Tak, chyba tak. Nie jest specjalnie skłonny do żartów. Radzę ci trzymać się od niego z daleka, jeśli tylko możesz, i po prostu nie przeszkadzać mu w pracy. Powinien to naprawdę docenić.

– Słusznie. Słusznie. Dzięki za wskazówkę. Nie gniewasz się, że cię pytałam o to wszystko?

– Oczywiście, że nie.

– Widzisz, wszyscy faceci są tu już chyba dość zaprzyjaźnieni i miło jest mieć wsparcie jakiejś dziewczyny. Dopiero dziś rano zdałam sobie sprawę, że cała reszta obsady to chłopaki.

– Zawsze możesz na mnie liczyć – powiedziała Liz. Zerknęła na zegarek. Dochodziła druga, a Ronald spóźnił się na swoją drugą przymiarke. – Przepraszam cię na sekundę – powiedziała do Emmy i wykręciła numer jego pokoju. Zdziwiła

się, kiedy w słuchawce odezwał się kobiecy głos, a jeszcze bardziej, kiedy kobieta stwierdziła, że w życiu nie słyszała nazwiska Ronald Gash. Liz, nieco zbита z tropu, połączyła się z recepcją i znów usłyszała Belinę, recepcjonistkę rodem z Afryki Południowej.

– Pan Gash dziś rano zamienił pokój – wyjaśniła Belinda. – Teraz mieszka w czterysta jeden. Prosił o widok na morze.

Liz o mało nie eksplodowała.

– Ależ ja zostawiłam ci wczoraj wieczorem swoje nazwisko i prosiłam, żeby mnie zawiadomić, kiedy jakiś pokój z widokiem się zwolni.

– Tak? – spytała Belinda. – A jak nazwisko?

– Elizabeth Thorne – powiedziała Liz powoli i wyraźnie.

– A, rzeczywiście, widzę, że mam je na liście. No cóż, obawiam się, że w tej chwili

nie dysponujemy żadnymi wolnymi pokojami z widokiem na morze.

– Nie, oczywiście, że nie dysponujecie – westchnęła Liz z sarkastyczną słodyczą. – To w którym pokoju znajdę pana Gasha?

– Cztery sta jeden.

Liz odwiesiła słuchawkę, nie mówiąc dziękuję.

– Całe życie z wariatami – mruknęła ponuro.

– Chciałaś mieć pokój z widokiem na morze? – zagadnęła Emma.

– Tak, mówiłam im wczoraj wieczorem. Mieli dać mi znać, jeśli coś się zwolni, ale dali pokój temu... – Liz miała już wypluć słowo „aktorzynie”, ale w porę się powstrzymała: – Temu facetowi.

– Możesz się ze mną zamienić, jeśli masz ochotę. Ale u mnie jest trochę głośno, bo okno wychodzi na główną ulicę. I nie ma prysznic. Miałam zamiar

ich spytać, czy nie mogę zmienić pokoju.

– Ma widok na morze? – Liz była zaskoczona. Nikt dobrowolnie nie rezygnuje z pokoju z widokiem na morze.

Emma pokiwała głową.

– Możesz go wziąć, jeśli chcesz.

– Naprawdę?

– Pokój trzysta dwa. Spakuję się w pięć minut. Nie mam nawet w połowie tylu rzeczy, co ty!

Liz trudno było uwierzyć w podobną hojność. Gdzieś musiał się kryć jakiś haczyk.

– Dzięki. Wielkie dzięki.

– No cóż – uśmiechnęła się Emma, zeskakując z łóżka. – My dziewczyny musimy trzymać się razem, prawda?

Rozdział 15

Kilka minut po ósmej w poniedziałek rano Ben wszedł do pustego Mongo Club ze swoim trzecim plastikowym kubkiem kawy w dłoni, scenariuszem w drugiej ręce i w czerwono-beżowej czapeczce baseballowej na głowie, na szczęście. Po piętach deptał mu Hugo, drugi reżyser, który wyzalał się Jamiemu na temat wczorajszego meczu i Stacey, która słuchając go, nagle sobie przypomniała, że zostawiła nurofen w hotelu.

Ciesz się chwilą, póki trwa, powtarzał sobie Ben. Na pięć minut przed oficjalnym startem zdjąć po raz pierwszy i zapewne ostatni mieścił się w harmonogramie. Nawet deszcz nie mógł mu dziś zaszkodzić, bo łut szczęścia sprawił (Ben wolał zresztą myśleć, że tknął go geniusz),

że tego dnia wszystkie ujęcia kręcono we wnętrzach. Bogowie wyraźnie się do niego uśmiechali.

– Zaczniemy od ogólnego planu i zrobimy parę zbliżeń na zespół na scenie – zaczął mówić Hugo, kiedy usłyszał z krótkofalówki Jamiego głos Georginy, trzeciej asystentki reżysera.

– Luke się przewrócił – powiedziała.

Hugo przestał na chwilę opowiadać o meczu, żeby spytać:

– Który to Luke?

– Ollie, perkusista – wyjaśniła Stacey.

– Jak to, przewrócił się? – rzucił Jamie do radia. Odwrócił się tyłem do Bena, jakby w ten sposób mógł go uchronić przed złymi wiadomościami.

– Poślizgnął się, wychodząc z przyczepy charakteryzaterek, schodki były śliskie – odparła Georgina.

– Nic mu nie jest?

- Chyba złamał rękę.
- Przyjąłem – powiedział Jamie rześko.
- Znajdź pielęgniarkę. Ja już jadę. Pewnie to nic poważnego – powiedział do Bena mało przekonującym tonem. – Ale lepiej sprawdzić.

Ben w milczeniu pokiwał głową i usiadł na brzegu sceny, gdzie scenografowie ustawiali sprzęt zespołu Push. Była ósma rano pierwszego dnia zdjęć, a jego film już lądował na dnie kibla.

- Och, biedna dziecinka.
- Możesz poruszyć palcami?
- Chcesz się napić herbaty?

Głupie Suczki tłoczyły się wokół swojego pacjenta usadzonego w fotelu do makijażu. Bex łagodnie masowała ogoloną głowę Luke'a.

– Czy to nie miłe i przyjemne uczucie? – mówiła w przestrzeń, do nikogo w

szczegółności.

Tracey trzymała go za zdrową rękę i z roztargnieniem odsuwała mu skórki przy paznokciach pomarańczowym patyczkiem, a Saskia, która kierowała działem charakteryzacji, przyznała sobie odpowiedzialniejsze zadanie podtrzymywania zranionej ręki Luke'a, dopóki nie przyjedzie Kim, pielęgniarka ekipy.

Saskia ledwie mogła uwierzyć, że tak ekscytujący wypadek wydarzył się dosłownie u jej progu. I to pierwszego dnia zdjęć.

Żałowała tylko, że to nie Danny się przewrócił. Nie chciała, żeby się zranił ani nic takiego – ale naprawdę miałyby wtedy co opowiadać. Nie miała nic do Luke'a, niemniej był tylko „tym zabawnym gościem”; to nie ta sama liga co Danny. Wszystkich pozostałych przegoniła, żeby

ich podopieczny miał trochę powietrza, ale pozwoliła zostać Gilesowi, Danny'emu i Aleksowi, żeby wsparli kolegę na duchu. Czterej chłopcy na trzy dziewczyny – to dobre proporcje, pomyślała. To znaczy, że Bex i Tracey przynajmniej będą mogły wybierać z pozostałej trójki. A potem przyszła Kim i przygotowała torbę z lodem, na której Luke miał oprzeć rękę, a Saskia zaczęła się zastanawiać, gdzie będzie szykowniej wysłać zdjęcia ze ślubu, kiedy już wyjdzie za Danny'ego – do „OK!” czy do „Hello!”

Nieświadoma dramatu rozgrywającego się zaledwie parę metrów od niej, Emma siedziała w autobusie-barze i kończyła swoje smażone śniadanie, usiłując złapać zasięg na komórce. Kombinacja zdenerwowania, niepokoju, tęsknoty za Jasonem i niesprecyzowanego lęku, że w

jakiś sposób wszystko schrzani i zrujnuje cały film, przyprawiła ją o niesamowity apetyt. Desperacko potrzebowała moralnego wsparcia przed swoim debiutem. Wczoraj zostawiła Jasonowi dwie wiadomości na sekretarce, dzwoniąc z hotelowego telefonu. Oddzwonił do niej wreszcie koło dziesiątej, kiedy już zasypiała. Obudziła się na krótką chwilę, zdołała wymamrotać: „Tęsknię za tobą”, a on obiecał, że zadzwoni rano. Tyle że nie mógł zadzwonić, bo jej komórka nie miała zasięgu. Byli przecież tylko w Brighton, na litość boską. Dlaczego telefon nie działa? Wszystkim innym działały. Widocznie wybrała sobie fatalnego operatora.

Podniosła wzrok, kiedy Orlando wsunął głowę przez otwarte drzwi z miną surowej wychowawczyni.

– Panno Buckley! A więc tu pani jest, niegrzeczna dziewczynko – zaczął ją

strofować. – Myśleliśmy, że się nam gdzieś zgubiłaś. Zostaw w spokoju tę kiełbasę i natychmiast melduj się w garderobie!

Emma schowała komórkę do torebki i zlizwała odrobinę sadzonego jajka z wargi. Na zewnątrz lało jak z cebra i Orlando zaczął pisać, kiedy biegli przez kałuże do przyczepy garderoby pod osłoną jego wielkiego czerwono-białego parasola golfowego. Miał na sobie różowe spodnie z pomarańczowym paskiem, białą, zapinaną na suwak koszulę z różowym kołnierzem, a na tym wszystkim żakiet w kolorze zielonej szalwii. Emma uznała, że wyglądał fantastycznie.

– To nie była kiełbaska, tylko pieczarka – wyjaśniła, ale Orlando zaprzątnięty był czym innym.

– Tu jesteś! – powiedziała Liz. – Gdzie się podziewałeś?

– Och, tam się wszystko wali – zaczął zdawać relację. – Ręka Luke’a jest definitywnie złamana i zabrali go do szpitala. Saskia mówi, że będzie tam musiał z tydzień zostać.

– Złamana! – zawołała Emma. – Ale co się stało?

– No cóż... – zaczął Orlando, zachwycony, że znalazł kogoś, kto jeszcze nie słyszał tej historii i będzie ją mógł opowiedzieć od początku, ale Liz mu przerwała.

– Jak Ben to przyjął? – zapytała. Nie przejęłaby się, nawet gdyby Luke leżał pod respiratorem. Interesowało ją wyłącznie, że trafia się okazja okazać Benowi nieco wsparcia. Była dziś rano tak zajęta chłopakami z zespołu, że minęła się z nim przy śniadaniu i bardzo chciała znaleźć jakiś pretekst, żeby jechać na plan.

– Nawet nie widziałem Bena – odparł

Orlando. – Musi dostawać kota.

– Tak, masz rację. Powinnam pojechać i sprawdzić, czy mogę w czymś pomóc. Zajmij się Emmą, dobrze? – Liz rzuciła Orlandowi plastikową torbę i wieszak, na którym były spodnie i koszula Emmy, złapała parasol i wybiegła z przyczepy.

– Mogę go złapać przez radio! – zawołał Orlando, sięgając po walkie-talkie, ale Liz już była za drzwiami i nie przystanęła.

– Jest bardzo zaangażowana – powiedziała Emma. – A co się stało Luke’owi?

Orlando zasunął zasłonę, żeby Emma mogła się przebrać i powtórzył jej całą historię zasłyszaną od Saskii.

– Oczywiście, są osoby, które twierdzą, że został umyślnie popchnięty, ale nikt tego nie może udowodnić.

– To okropne – stwierdziła Emma, odsuwając zasłonę.

Orlando jednym spojrzeniem objął jej granatową koszulę i czarne spodnie, i skrzywił się.

– Boże, wyglądasz beznadziejnie! – Zaczął jej wciskać koszulę w spodnie. – No popatrz tylko, kołnierzyk po prostu pływa ci na szyi.

– Tak ma być – wyjaśniła Emma. – Jasmine nie powinna wyglądać szykownie. Ma wyglądać tak, jakby nie pasowała do tego klubu. Tak ustaliliśmy.

– No cóż, wybacz, ale w tym czymś wyglądasz, jakbyś nie pasowała do ludzkiej rasy. Liz musiała przez pomyłką powiesić na wieszaku złą bluzkę. Kupiła ich ze dwadzieścia na uniformy dla pracowników klubu. Zdejmuj to!

Emma popatrzyła na niego, zbita z tropu.

– Zdejmuj koszulę – powtórzył. – Nie wyślę cią na plan, żebyś wyglądała jak

Olive z *On the Buses*. Wiesz, muszą myśleć też o własnej reputacji.

Emma rozpięła koszulę i podała mu ją. Spojrzał z obrzydzeniem na metkę.

– Czternastka! Widzisz, mówiłem ci, że to pomyłka! – Pogrzebał na wieszaku, aż znalazł taką samą koszulę w mniejszym rozmiarze. – Bardzo proszę, łaskawa pani, rozmiar dziesiąty, a i nawet to będzie pewnie za duże.

Ubrał Emmę w koszulę i zapiął ją, zaciskając wargi.

– Co za paskudny kolor – mamrotał, kręcąc głową. Rozpiął jeszcze jeden guzik pod szyją i poprawiał kołnierzyk tak i siak. Odsunął się nieco i sprawdził efekt. – Obróć się – powiedział, wykonując okrężny ruch palcem.

Emma z wahaniem okręciła się w kółko, a on westchnął.

– Podejdź tu.

Rozpiął rękawy, podwinął je dwa razy i znów zapiął guziki mankietów. Potem cofnął się i jeszcze raz przyjrzał Emmie.

– Nadal ohyda – oświadczył – ale z tą odrobiną dekoltu przy szyi i rękawami długości trzy czwarte jakoś może ujdiesz w tłoku.

Emma odwróciła się i spojrzała na swoje odbicie w dużym lustrze.

– Rzeczywiście chyba lepiej, prawda? – zgodziła się.

– Czekoladkę? – zaproponował Orlando. Podsunął jej potężne pudło quality street i zaczął notować w swoim folderze wszelkie szczegóły jej kostiumu.

– Nie możemy tego zrobić – powiedział Ben. – To wykluczone.

– Musisz nakręcić tę scenę – nalegał Patrick. – Obok przy barze czeka siedemdziesięciu pięciu statystów, a ja im nie zapłacę za to, żeby wrócili, kiedy Luke

poczuje się lepiej. A w ogóle, bardzo źle się czuje?

– Poszła mu promieniowa i łokciowa – odezwał się Tim, goniec.

Wszyscy zagapili się na niego tępym wzrokiem.

– Przedramię – wyjaśnił Tim.

Hugo popatrzył na niego oskarżycielsko.

– I może jesteś jeszcze lekarzem, co?

– Nie, studentem medycyny – odparł Tim, co jeszcze bardziej zirytowało Hugona. Tim pracował w biznesie filmowym od trzech godzin i wolałby, żeby wszyscy przestali patrzeć na niego tak, jakby wypadek był jego winą. Przecież on tylko odwiózł Luke’a do szpitala. Dostał zajęcie przy filmie wyłącznie dlatego, że Angela, kierowniczka obsady, była jego ciotką i nawet mu nie płacili za robotę – tyle że miał dostać trzy posiłki dziennie oraz

zwrot kosztów za benzynę i hotel.

– Takiego doświadczenia nie kupisz za pieniądze – tłumaczył mu Patrick. – Więc jeśli nie masz ochoty, jest pięćdziesięciu innych chętnych, do których mogę zadzwonić. Prawdopodobnie zjedzą mniej niż ty.

– Gdzie jest teraz Luke? – spytał Ben.

– Nadal w szpitalu. Pielęgniarka z nim została – powiedział Tim.

– Czy wyraźnie stwierdzili, że nie wolno mu grać na perkusji? – spytał ostro Patrick.

– Nie, chyba nie... – odparł Tim.

– No proszę.

– Patrick, stuknij się w głowę, facet ma złamaną rękę – zaprotestował Ben.

– No, a ten gość z Def Leppard? W ogóle miał tylko jedną rękę i się nie skarżył, prawda?

Jamie podszedł przekazać im, miał nadzieję, dobre wiadomości.

– Hugo mówi, że oświetlenie i kamera są gotowe. Czekamy na moje instrukcje – powiedział serdecznie.

Ben spojrział na zegarek. Było już wpół do jedenastej. Giles i Alex siedzieli na scenie, usiłując zagrać temat z *Magie Roundabout* na gitarze elektrycznej i basie. Danny przytupywał do rytmu na krawędzi sceny i robił ćwiczenia na biceps za pomocą woreczka z paskiem, który powinien podtrzymywać jeden z reflektorów od wywrotki.

– O Jezu! – jęknął Ben. – Jestem w kropce.

– Możesz to wszystko nakręcić w zbliżeniu na Danny’ego – podsunął Jamie.

– Okropny pomysł – powiedział Ben. – Niemniej dzięki.

– Czemu w ogóle nie wykreślisz Luke’a? – spytał Patrick. – Mówiłem ci od

samego początku, że Push powinni być trzyosobową kapelą.

Zrozpaczony Ben schował twarz w dłoniach.

– Nie mogę go teraz wykreślić, za późno. Nie wiedziałbym, od czego zacząć.

– A czemu nie skorzystać z dublera dla szerokich planów? – podsunęła Stacey. – Z tyłu sceny jest tak ciemno, że pewnie nikt się nie kapnie. – Wydawało się, że w ogóle jej nie słyszą, więc zamknęła się i dalej zakreślała numery scen w swoim folderze.

– Luke jest zabawny – powiedział Ben, nadal nie odrywając dłoni od twarzy. – Nie mogę go teraz wykreślić.

– Co innego możemy tu dziś skreślić? – spytał Hugo. – A gdyby tak scenę z pieniędzmi w biurze...

– Plan nie jest przygotowany – wtrącił się Jamie.

– To może scenę w szatni? Dałoby się to

jakoś zorganizować?

– W scenie w szatni nie ma statystów – przypomniał Patrick. – Mówię ci, musisz ich dzisiaj sfilmować, bo drugi raz ich nie dostaniesz.

– Ubezpieczenie tego nie pokryje? – spytał Jamie. – Ewentualnej powtórki?

– Wszystko zaplanowaliśmy dogodnie dla Danny'ego – przypomniał mu Ben. – Nie możemy przełożyć tej sceny, bo dwudziestego czwartego sierpnia wyjeżdża.

– Wiesz co? – odezwał się Hugo zarozumiałym tonem magika, który wyjmuje królika z kapelusza. – Mamy tu tak szeroki plan, że mógłbyś zastąpić Luke'a dublerem i nikt nic nie zauważy.

Stacey przewróciła oczami i nie odezwała się ani słowem. Ben opuścił dłonie, jakby dostrzegł światelko w tunelu.

– A który z naszych statystów ma

ogoloną głowę?

– I czy któryś umie grać na perkusji? – spytał Jamie.

– No cóż, wystarczy, że będzie udawał – zauważył Ben.

– Mógłbym pokazać statyście, jak to się robi – wyrwał się Tim. – Kiedyś trochę grałem.

Wszyscy obrócili się i wpatrzyli w Tima, który zaczerwienił się po same końce starannie nażelowanych włosów.

– Przydałby ci się fryzjer, nie sądzisz? – powiedział Patrick.

Kiedy Tim wracał do bazy, Liz tłumaczyła Gary’emu, kierowcy minibusu, że ma zaparkować po niedozwolonej stronie ulicy, bo nie chciała zamoczyć sobie zamszowych mokasynów, przechodząc przez jezdnię do Mongo Club. W lusterku nad siedzeniem pasażera

sprawdziła zęby i wsunęła do ust tic-taca, w razie gdyby jej oddech pachniał kawą.

– Proszę tu poczekać! – warknęła i przy uchylonych drzwiach otworzyła parasol, zanim wyślizgnęła się z wnętrza minibusu i wbiegła do wnętrza klubu.

W holu oparła o ścianę mokry parasol i poszła jak najspokojniejszym krokiem w stronę sali koncertowej, gdzie szykowano się do zdjęć. Widziała, że Ben rozmawia z Jamiem i Hugonem, i żołądek podszedł jej do gardła. Nie ogolił się i wyglądał, jakby dopiero co wstał z łóżka, i bardzo jej się podobał.

– Ben... – powiedziała, stając między nim a Jamiem. – Czy mogłabym w czymkolwiek pomóc? To znaczy, w sprawie Luke’a? – Pamiętała, żeby ściągnąć łopatki, bo to wyszczuplało ją optycznie w ramionach i przyciągało uwagę do sposobu, w jaki jej piersi

napierały na miękki brązowy zamszowy żakiet.

– Próbowałem złapać cię przez radio – powiedział Jamie. – Gdzie byłaś?

– No cóż, jestem na miejscu – odparła szorstko, zirytowana tonem jego głosu. Co on sobie wyobraża, robiąc jej uwagi przy Benie? Dostał kiedyś może nominację do BAFTA? Nie, za cholere nie dostał.

– W porządku, Liz – powiedział Ben. – Jeden z gońców będzie robił za dublera. Wraca teraz do charakteryzacji, ostrzyżemy mu głowę. Jest wyższy niż Luke, ale zrób co się da z jego kostiumem. Właśnie rozmawialiśmy z Orlandem i powiedział, że się tym zajmie.

– Ach tak? – powiedziała Liz, tracąc nieco wiatru w żaglach. Jak Orlando śmie ratować sytuację bez jej udziału? – No cóż wydaje mi się, że to najlepsze wyjście. Znajdę mu też jakiś kapelusz albo ciemne

okulary, w razie gdyby trzeba było jeszcze bardziej go zakamuflować. Może go też trochę pogrubimy.

– To bardzo dobry pomysł, Liz. Dziękuję – powiedział Ben.

– Po to tu jestem, Ben – uśmiechnęła się.

Teraz, kiedy go dopadła, nie chciała go wypuścić z raje i czekała, żeby dodał coś jeszcze, ale tego nie zrobił.

– Nie w taki sposób miał pójść pierwszy dzień, prawda? – podsunęła współczująco.

– Dokładnie – zgodził się Ben. – Groziła mi niezła wpadka.

– Och, na pewno znalazłbyś jakieś wyjście – uśmiechnęła się. – Bardzo w ciebie wierzę.

– Dzięki, Liz. Przyda mi się teraz trochę wsparcia. – Obejrzał się przez ramię. – Chyba musimy zrobić próbę ujęcia. Lepiej...

– Tak, lepiej się tym zajmij – przytaknęła. Zastanowiła się, czy nie posunęła się za daleko. Czy była zbyt przyjacielska? Nie chciała go wystraszyć. Zobaczyła, że Tex wwozi swój sprzęt nagraniowy na miejsce, i uznała, że to może być dobry moment, żeby podejść do niego i zamienić parę słów. Nachyliła się, żeby rozmasować Teksowi ramiona, i zerknęła, czy Ben przerwie rozmowę z Hugonem na dość długo, żeby to zauważyć. Liz wiedziała, że najlepszym sposobem na zwrócenie uwagi Bena jest przypomnieć mu, że innym mężczyznom też się podoba. Czy nie to samo robiła przez cały ten czas, kiedy mieszkali razem? Często rzucała aluzje do innych facetów, którzy byli nią zainteresowani – co do jednego wymyślonych, naturalnie – ale Ben przestawał wtedy traktować ją jak coś oczywistego.

– To jakieś czary – powiedział Tex. – Można prosić troszkę niżej?

Ale Ben znów się odwrócił i Liz raptownie opuściła ręce.

– Nie teraz, Tex. Mogę pożyczyć twoje radio?

Podał je Liz, a ona obdarzyła go olśniewającym uśmiechem o zapachu tictaców.

– Liz do Orlanda – powiedziała i zaczęła na jego ginącą w trzaskach odpowiedź. – Orlando, słuchaj, jestem teraz na planie, będą robić próbę ujęcia. Pogoda jest fatalna i nie ma sensu, żebym wracała tam do was. Zresztą mamy tylu statystów, że przydam się dzisiaj na planie, nieprawdaż? Rozmawiałam z Benem i powiedział mi o pomyśle, żeby Luke’a zdublował jeden z gońców. Luke’a zabrali do szpitala już w kostiumie, prawda? Na wieszakach mamy zapasowe egzemplarze

wszystkich jego rzeczy, jeśli czegoś nie znajdziesz, podkradnij chłopakom z kapeli. W końcu wszyscy noszą głównie dzinsy i koszulki trykotowe. Oczywiście, nie ruszaj żadnych rzeczy Danny'ego. Aha, i sprawdź w rzeczach Gilesa, powinna tam być para okularów słonecznych marki Oakley, możesz mu je dać do zabrania na plan? Nie wzięliśmy żadnych kapeluszy, prawda?... Nie, nie wydaje mi się... Dobrze, na razie. – Oddała radio Teksowi.

– Co robisz dziś wieczorem? – zapytał.

– Masz ochotę na tajskie jedzenie? Mijałem dziś rano całkiem fajne miejsce.

– Och, Tex. Dopiero co zjadłam śniadanie i już mam myśleć o kolacji? – Patrzyła ponad czubkiem jego głowy, obserwując, jak Ben rozmawia z Hugonem, i czując nagły przyptyw dumy. Jej mały chłopiec dorósł – został wreszcie reżyserem. Dostał to, czego chciał. Teraz

jej kolej.

Wprowadzono posłuszną gromadkę statystów i Jamie wyjaśnił im, że będą filmowali dwie różne piosenki. Podczas pierwszego kawałka mieli stać ze znudzonymi minami, jakby kapela strasznie im się nie podobała.

– A drugi numer jest grany innego wieczoru, więc trochę was poprzestawiamy. Jeśli pamiętaliście, żeby przynieść zmianę ubrania, jak prosiliśmy, trzeba je będzie wtedy włożyć. I za drugim razem chcemy, żebyście zachowywali się, jakby to była najlepsza kapela na świecie. Jasne?

Statyści wydali gremialne, niezbyt przekonujące „tak”. Studenci z kursów językowych tłumaczyli kolegom, których angielski był za słaby, że zaraz usłyszą najlepszy zespół na świecie. Georgina

zaczęła przechadzać się przez tłumek i jak najdyplomatyczniej wyławiała tych, którzy ubrali się niewłaściwie i wyglądali, jakby wybierali się na rozmowę w sprawie pracy albo jakby szykowali się do występów w cyrku. Z niejasnego powodu pewne dwie młodziutki Włoszki cały ranek spędziły w toalecie, pokrywając sobie ciała srebrną farbką. Obawiała się że Ben zrobi z tego powodu awanturę, ale dzięki zamieszaniu ze złamaną ręką Luke'a był zbyt zaabsorbowany, żeby zwracać uwagę na wygląd statystów.

Tim dostał gromkie oklaski od ekipy, kiedy wślizgnął się nieśmiało na plan, pocierając świeżo ogoloną głowę i mocno się rumieniąc. Ben zmrużył oczy, przyjrzał mu się spod oka i uznał, że po ciemku, kiedy będzie siedział, może im się to udać.

Liz podbiegła i zaczęła udawać, że poprawia Timowi koszulkę przy szyi.

– Wygląda całkiem nieźle, prawda? – powiedziała do Bena, jakby ta transformacja była jej osobistą zasługą, a potem, kiedy jej asystent do nich podszedł, szybko dodała: – Dobra robota, Orlando.

Tim wskoczył na scenę, usiadł za perkusją, zaprezentował zgrabne paradiddle i oblał się purpurą, kiedy zobaczył, że tylu ludzi na niego patrzy.

Zaaferowana Georgina podbiegła do Liz.

– Liz, potrzebny ci ten minibus? Trzeba, żeby Gary przywiózł Emmę na plan, ale mówi, że czeka tu już na ciebie trzy kwadransy. Mogę go odesłać do hotelu?

– Och, głupek jeden – cmoknęła z niesmakiem Liz. Zupełnie zapomniała o tym cholernym minibusie. – Co też on wygaduje? Wcale nie kazałam mu czekać. Powiedziałam, żeby wracał do hotelu. – Spojrzała na Bena, uniosła brwi i zgrabnie

wykręciła się od wszelkiej odpowiedzialności.

– O cholera, potrzebujemy Emmy zaraz – powiedział Ben, zirytowany. – Ma przejść przez plan w tym ujęciu.

– Spokojnie – powiedział Orlando. – Przyjechała samochodem ze mną i Timem. Billy mocuje jej teraz mikrofon.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na Billy'ego, asystenta Teksa, który po przeciwnej stronie sali grzebał przy bluzce Emmy, usiłując przypiąć mikrofon.

– Billy, ona tego nie potrzebuje! – zawołał do niego Ben przez salę. – W tej scenie nie ma dialogów!

Billy, cichy, spokojny chłopak, który z natury podążał drogą najmniejszego oporu, odpiął baterię od tylnej kieszeni dżinsów Emmy – Zachichotała, wyciągając długi kabel spod bluzki, i oddała mu go.

– No przecież trudno obwiniać chłopaka

za to, że próbował? – powiedział Jamie Benowi do ucha i Ben po raz pierwszy dzisiejszego poranka zaczął się śmiać.

Liz zmrużyła oczy, przyglądając się, jak Emma poprawia ubranie i nagle zauważyła, że rękawy bluzki nie zakrywają nadgarstków. I dlaczego trzy guziki pod szyją są rozpięte? Pobiegła naprawiać niedopatrzenie, ale nawet z drugiego końca sali widziała przecież, że koszula Emmy nie układa się w taki sposób, jak powinna. Co gorsza, to nawet nie była ta sama bluzka, którą przymierzały.

– Co się stało z twoją koszulą? – spytała ostro, szarpiąc za materiał. – To nie ta.

– Orlando mi ją dał – wyjaśniła Emma. – Powiedział, że ta druga nie pasuje.

– Koniec poprawek, proszę! – zawołał Jamie i Liz wpadła w panikę, bo to znaczyło, że za moment zaczną kręcić.

– Oczywiście, że nie pasowała! –

syknęła do Emmy. – O to przecież chodziło. O cholera. Będę musiała wrócić po tamtą. – Sięgnęła za kołnierzyk i zerknęła na metkę. – Przecież to jest dziesiątka! No, na litość boską!

– Uważam, że wygląda nieźle – pocieszyła ją Emma.

– Nie jest nieźle – powiedziała Liz.

Pomaszerowała w stronę Jamiego, z furją obliczając w myślach czas. Pięć minut na powrót do przyczepy z garderobą, może dziesięć. Pięć na jazdę na plan, o ile nie ma korków. Dwie minuty na przebranie.

– Jamie – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Mamy problem z kostiumem Emmy. Musi się przebrać. Jeśli ktoś pojedzie po odpowiednią koszulę, potrwa to nie dłużej niż dziesięć minut.

– Liz, jest dziesięć po jedenastej, a my

jeszcze nawet nie zaczęliśmy – powiedział znużonym głosem Jamie. – Nie mogę ci dać dziesięciu minut. Co jest nie tak z tym, co ma na sobie?

– To nie ta koszula – upierała się Liz. – Jeśli pożyczysz mi radio, powiem Dominicowi, żeby ją przywiózł. To tylko chwila.

– O co chodzi tym razem? – spytał Ben, którego radar zasygnalizował kolejny problem.

– Chodzi o koszulę Emmy – powiedziała Liz spokojnie, usiłując nie wpadać w panikę. – To nie ta, którą dla niej wybrałam. Muszę ją przebrać. To naprawdę potrwa tylko chwilę.

– Czy to nie ta koszula, którą mi pokazałaś?

– Podobna, ale nie ta sama.

– No cóż, masz tu tę właściwą pod ręką?

– Nie, ale mogę powiedzieć

Dominicowi, gdzie dokładnie ją znajdzie...

– Liz, daj spokój – westchnął Ben. – Nie możemy czekać. Koszula wygląda jak trzeba. Emma tylko przejdzie przez plan. Słowo.

– Pozwól mi wykonywać moją pracę.

– Doceniam twój wysiłek i dziękuję, ale naprawdę nie zwracaj sobie głowy drobiazgami. – I odszedł, zanim zdołała go zatrzymać. Miała ochotę zamordować Orlanda. Ujęcie nic jej nie obchodziło. Szlag ją trafiał na myśl, że Emma będzie się kręcić cały dzień koło Bena i wyglądać choć odrobinę atrakcyjnie.

Szybko podeszła do Teksa.

– Radio – zażądała, wyciągając rękę.

Skontaktuje się z drugim asystentem reżysera, który siedział w bazie.

– Dominie, zgłoś się?... Dominie, tu Liz. Potrzebuję, żebyś przysłał mi tu koszulę dla Emmy. Taka granatowa koszula z

długimi rękawami, wisi na wieszaku w garderobie. Ale sprawdź, że wysyłasz mi rozmiar czternasty. Jak najszybciej.

Na scenie dla zwrócenia uwagi Jamie klasnął w ręce.

– Dobra, kochani. Mamy dziś rano mnóstwo roboty.

Ze środka niewielkiego tłumu fanów jedna ze srebrnych Włoszek mrugnęła do niego okiem, ale zdołał w porę odzyskać panowanie nad sobą.

– Jedziemy!

„ Ben na sekundę przymknął oczy.

– Proszę cię, Boże – szepnął. – Niech to nie będzie ostatni szajs.

I zaczął kręcić swój film.

Rozdział 16

Liz ze złością spojrzała na zegarek. Myślała, że będzie musiała użerać się z Emmą tylko rano, ale w tym tempie kręcenie sceny przeciągnie się na całe popołudnie. Co sobie właściwie wyobrażał Orlando, że tak lekceważył jej decyzje i odważył się modyfikować kostiumy? Jak on śmie sugerować, że Liz nie wie, co robi?

Koszula w rozmiarze czternastym dojechała pełne trzydzieści cztery minuty po tym, jak prosiła Dominica, żeby ją podesłał. Odciągnęła Emmę na bok, żeby się przebrała. Ale kiedy tylko zaczęli się szykować do dubla, Stacey rzuciła jedno spojrzenie na obszerną, zapiętą pod szyję bluzkę z długimi rękawami i pędem do nich podbiegła.

– Co ty robisz? Nie możesz jej teraz przebierać – zaprotestowała. – Już ją widzieliśmy w tej drugiej koszuli. Teraz nie da się zgrać szerokiego planu.

– Och, nikt nie zauważy – powiedziała Liz z irytacją. – Tak tu ciemno, że nikt nie będzie widział, co ona właściwie ma na sobie.

– No to po co zmieniać cokolwiek? – spytała ostro Stacey. – Przebierz ją z powrotem.

Liz spiorunowała ją wzrokiem, ale Stacey nawet nie drgnęła.

– Kocice walczą! – Usłyszała wołanie jednego z gońców i kącikiem oka zauważyła, że Ben rusza w ich kierunku.

– O Boże, niech ci będzie – mruknęła Liz i zaciągnęła Emmę z powrotem do damskiej toalety, żeby przebrać ją w dziesiątkę. Najpierw Jamie pozwala sobie na uwagi wobec niej przy Benie, a teraz

jeszcze Stacey. Co za dużo, to niezdrowo, pomyślała.

Wreszcie usłyszała, jak Will woła: Zapraszamy państwa na pokład!

Oznaczało to, że wreszcie przygotowano plan do następnego ujęcia. Dzięki Bogu. Gdyby jeszcze raz musiała wysłuchać występu tego beznadziejnego zespołu z Olliem umyślnie grającym nie w takt, chyba zaczęłyby krzyczeć.

– Czy to dla Emmy koniec zdjęć na dzisiaj? – zapytała, podbiegając do Jamiego.

– Nie, mamy jeszcze jedno ujęcie przed lunchem, ale dopiero za dziesięć minut ustawimy plan. Idź, napij się herbaty i odpocznij chwilę – powiedział do Emmy.

Odpocząć? – pomyślała Liz, kiedy z Emmą szły do stolika z herbatą. A po czym ona ma odpoczywać? Przez ostatnią godzinę cały jej wysiłek ograniczył się do

tego, że przespacerowała się wśród tłumu, przystanąła, przez parę sekund patrzyła w kierunku sceny, a potem poszła dalej. I mówić tu o pieniądzach za nic. Ale potem zorientowała się, że Emma już przy niej nie stoi – zauważyła Bena i Hugona przeglądających nakręcony materiał na podglądzie wideo i nie mogła się powstrzymać, żeby do nich nie podejść i nie zerknąć na swój filmowy debiut.

– Jak ci idzie? – spytała Stacey uprzejmie, podsuwając jej krzesło.

– Strasznie mi się tu podoba! – zwierzyła się Emma. – To takie podniecające i wszyscy są dla mnie tacy mili. Zupełnie jakbym była częścią jakiejś wielkiej, zaprzyjaźnionej rodziny.

– Tak, na początku zawsze tak jest – powiedziała Stacey znużona. – To tak jak obserwować gnijący owoc.

– Nie rozumiem.

– Och, wiesz, na planie zawsze jest tak samo. Na początku wszyscy są tacy mili i uroczy, jedna wielka rodzina. Ale każ grupie pozornie normalnych ludzi spędzić jakiś czas poza domem i zamknij ich razem, a po paru tygodniach zaczniesz się z nimi dziać coś złego. To jak *Big Brother* bez kamer.

W tym momencie uruchomiono playback i Emma patrzyła na samą siebie, jak przechodzi przez zatłoczony klub.

– Och, jej – westchnęła. – To wygląda jak prawdziwy film!

– No cóż, taka była intencja – powiedział Ben. Usiłował zachować powagę, żeby inni nie zauważyli, jaką przyjemność mu to sprawia, że Emma z nim zupełnie otwarcie flirtuje.

Emma była pewna, że go obraziła.

– Nie, to znaczy... – wdała się w wyjaśnienia – z tego miejsca, w którym

stałam, wszystko wydawało się takie chaotyczne, ale jeśli ująć scenę w kadr, nagle zaczyna wyglądać jak film. To mnie zadziwia.

Ben spojrzał na nią z zaskoczeniem i Emma nagle przypomniała sobie, co Liz mówiła o tym, że Ben nie miewa czasu na pogawędki.

– Wygląda świetnie – dodała i odeszła.

Stacey odprowadziła ją wzrokiem.

– Masz zamiar zrobić zbliżenie Jasmine obserwującej zespół, póki tu jesteśmy? – spytała.

– Dlaczego? Uważasz, że powinienem? – spytał Ben.

Stacey wzruszyła ramionami.

– Nie zaszkodzi – powiedziała łagodnie, co Ben zrozumiał w ten sposób, że byłby debilem, gdyby nie posłuchał. Patrzył śladem odchodzącej Emmy – nawet w tej obrzydliwej koszuli była prześliczna – a

potem zauważył, że Stacey na niego spogląda i się śmieje.

– No co? – zapytał, przechodząc do defensywy.

– Nic – śmiała się Stacey. – Uważam, że to urocze, naprawdę.

Z zawstydzenia wybawił go Jamie, zapowiadając przerwę na lunch za piętnaście drugą.

Emma wskoczyła do pierwszego minibusu z pracownikami garderoby i makijażu, i wyjęła komórkę, żeby po raz piąty tego dnia zadzwonić do Jasona.

– Och, to beznadzieja – westchnęła. – Nigdy nie złapię zasięgu.

– Proszę, spróbuj z mojego, jeśli chcesz – zaproponowała Liz i podała Emmie swoją komórkę.

Emmie zrzędła mina, kiedy odezwała się skrzynka pocztowa.

– Cześć, Jason, to ja. Właśnie mamy

przerwę na lunch i bardzo dobrze mi idzie. Zadzwoń do ciebie chyba jakoś później... – zawahała się, nie wiedząc, co dodać. – No cóż, to na razie. Tęsknię.

– Pewnie pracuje – wyjaśniła Liz.

Emmie przyszła do głowy nowa i niepokojąca myśl.

– To okropne! Jeśli on pracuje i ja pracuję, to nigdy nie będziemy mieli czasu porozmawiać. Tak się cieszyłam, że dostałam tę rolę, i zupełnie tego nie przewidziałam.

– No cóż, przy twoim poprzednim filmie musiało być podobnie, nieprawdaż? – zapytała Liz i Emma zrozumiała, że wpadła.

– Och, tak – powiedziała szybko. – Ale to było w Londynie.

Liz przytknęła twarz do szyby i patrzyła, jak obok przemyka morze.

– No ale będziesz przecież jeździła do

domu na wolne dni prawda? – spytała, modląc się, żeby Emma potwierdziła. Pilnowanie jej na planie już i tak zapowiadało się męcząco. Trzymanie jej z dala od Bena podczas weekendów mogło oznaczać więcej pracy, niż Liz się spodziewała.

– Nie ma sensu – odparła Emma. – Jeszcze nie dojechałabym do Sheffield, a już musiałabym wracać. Ale Jason przyjedzie tu za jakieś dwa tygodnie, bo będzie miał cztery dni wolnego. Musisz go poznać.

– Nie mogę się doczekać – powiedziała Liz, kiedy minibus przystanął obok przyczepy garderoby. Liz odsunęła ciężkie boczne drzwi i zauważyła, że nareszcie przestało padać.

Stała w kolejce po lunch i poczuła znajomą panikę, zastanawiając się, czy znajdzie cokolwiek nadającego się do

jedzenia. Steve, rudy kucharz, rok wcześniej zapewniał catering dla filmu, przy którym pracowała, i wiedziała, że jest fetyszystą masła. Zamówiła kurzą pierś, prosząc o zdrapanie z niej sosu, szpinak i brokoły.

– Nie chcesz ziemniaków, Liz? – spytał Steve z nadzieją. Podczas ostatniego filmu trochę się w niej podkochiwał i przez całą zimę bezskutecznie usiłował skusić ją na swoje desery i sosy do makaronu. Była jedyną dziewczyną, która przez cały czas trwania zdjęć oparła się jego czekoladowej roladzie na ciepło. – Dafinki, mojej własnej roboty.

Liz wyniośle spojrzała na gęstą, kremową skrobiową paciaję.

– Nie. Nie dla mnie, dziękuję.

– Ciągłe na diecie? Nie wiem, po co zawracasz sobie głowę. Masz niesamowitą figurę.

Liz wzięła swój talerz.

– A nie przyszło ci nigdy do głowy, Steve, że te dwie rzeczy mogą się jakoś ze sobą wiązać?

Tex siedział razem z Orlandem, zajęli dla niej miejsce.

– No i co macie zamiar robić dziś wieczorem, moi drodzy? – Orlando zapytał Teksa.

Liz zezłościła ci „moi drodzy”. Sam fakt, że się przespiała z Teksem – raz – jeszcze nie robił z nich pary. Chociaż, zdała sobie sprawę, dla jej planu byłoby to korzystne, gdyby nadal sypiała z Teksem, przynajmniej dopóki nie zwróci uwagi Bena. Ale to naprawdę żaden interes Orlanda, zresztą jak on się ogóle o tym dowiedział? Wściekła była, widząc, że Hugo, Ryan i Ben zdecydowali się usiąść z Emmą. Usiłowała podsłuchać, o czym takim zabawnym rozmawiają.

– No więc, od jak dawna spotykasz się z tym Jasonem? – pytał Hugo Emmę.

– Och, całe wieki! Prawie rok – powiedziała Emma z dumą. Naprawdę starała się unikać rozmów o Jasonie – dziewczyny z salonu wiecznie ją pouczyły, bo nie umiała przestać o nim mówić, ale Ryan dostrzegł zdjęcie z tyłu komórki i wszystko się wydało.

– Rok to niemało, jak na tę branżę – powiedział Ryan.

– Spotkaliście się podczas zdjęć do jakiegoś filmu? – zapytał Ben.

– Och, nie! To było na planie *Shelby Square*.

Ben zdał sobie sprawę, że powinien był domyślić się, że Emma będzie miała chłopaka. W sumie to niezbyt ważna przeszkoda, pomyślał zaraz.

– Nie wiedziałem, że grałaś w *Shelby Square* – stwierdził.

– To tylko taka mała rólka – powiedziała Emma.

– Przystojny chłopak, nieprawdaż? – rzekł Hugo, podtykając zdjęcie Jasona Benowi. – On też by nam się przydał na planie.

A Ben mógł się tylko zgodzić.

– Dobra, teraz wszyscy uwaga, robimy próbę! – zawołał Jamie godzinę później, kiedy wszyscy zeszli się po lunchu. Stacey i Georgina chodziły wśród statystów, ustawiając ich zgodnie z poprzednią pozycją.

– Musicie stać dokładnie tam, gdzie przed lunchem – tłumaczyła powoli Georgina grupce Chorwatek. – Czy tu stałyście przedtem?

Dziewczyny popatrzyły na nią bezmyślnym wzrokiem.

– Nie, stały po drugiej stronie –

powiedziała Stacey. – Drugi rząd od przodu. Ta w zielonej bluzce stała z brzegu.

– Dobra – powiedział Jamie. – Teraz, jak widzicie, kapeli tu nie ma, ale chcemy, żebyście patrzyli na scenę, jakby tam byli. Patrzcie na instrumenty, nie na kamerę. Zrozumiano? Nie patrzeć na kamerę.

Słyszając pierwsze zrozumiałe słowo, wszyscy statyści popatrzyli natychmiast w kamerę.

Ben wyjaśniał Emmie, że kamera obejmie tłum, a potem zatrzyma się na zbliżeniu jej twarzy, wpatrzonej w scenę.

– Rób dokładnie to samo, co poprzednio – tłumaczył. – Masz przejść, zatrzymać się na znaku, przez parę sekund patrzeć tam, gdzie stał Danny, a potem pójść dalej. Jasne?

Emma wzrokiem dała znak, że rozumie. Nie mogła odpowiedzieć ani nawet skinąć

głową, bo Bex nakładała jej kolejną warstwę szminki, a Orlando z tyłu poprawiał jej kołnierzyk koszuli. Serce Emmy waliło z niepokoju i ożywienia. Dzięki Bogu, że nie miała żadnego tekstu.

– Dobrze byłoby, gdybyś zatrzymując się, przeniosła nieco ciężar ciała na tylną nogę – szepnął do niej Ben. – Kiedy poczujesz, że światło pada ci na twarz, będziesz wiedziała, że stoisz we właściwym miejscu.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. W ciągu jednego dnia nauczyła się więcej na temat kręcenia filmów niż przez trzy lata szkoły teatralnej. Na ostatnim roku jakaś aktorka, o której Emma nigdy przedtem nie słyszała – ani potem, na dobrą sprawę – przyszła, żeby uczyć ich technik pracy filmowej i telewizyjnej. Emma nigdy nie zdołała zapomnieć przerażenia tej kobiety na widok ostatniego narybku, który

wkrótce miał zasilić aktorski rynek. Jej główna rada, a przynajmniej jedyna, jaką Emma zdołała zapamiętać, brzmiała: „Całe to czekanie jest rozpaczliwie nudne, więc zawsze pamiętajcie o tym, żeby zabrać ze sobą dobrą książkę”.

– Nie, nie patrzcie w kamerę! – wrzeszczał zrozpaczony Jamie. Niektórzy statyści machali ręką do obiektywu, nieświadomi, że kamera jeszcze nie ruszyła. – Patrzcie na mnie! – Pomachał rękami nad głową. – Georgina, chodź tutaj. Ustaw się przy mikrofonie, tam gdzie stał Danny.

Georgina niechętnie wdrapała się na scenę i wzięła do ręki gitarę Danny’ego.

– Słuchajcie wszyscy! Patrzcie na mnie i na Georginę! Dobrze! Powodzenia i jedziemy!

Pół godziny później, kiedy minibus

znów podrzucił chłopców do Mongo Club na zdjęcia kolejnej sceny, Liz rozejrzała się za Emmą i zobaczyła, że siedzi z Benem i Stacey przy monitorze. Co ona tam robiła, do diabła? Poszła natychmiast do Jamiego, spytać, co się dzieje.

– Scena osiemdziesiąta pierwsza, Push gra i tłum dostaje szału – powiedział jej.

– Więc Emma skończyła zdjęcia na dzisiaj, tak? I mogę ją zabrać stąd na przymiarke?

Jamie na wszelki wypadek sprawdził swój harmonogram.

– Tak, ona wie, że już skończyła. Chyba tylko poszła pogadać ze Stacey.

Liz uśmiechnęła się. Pogadać ze Stacey i co jeszcze, pomyślała ponuro. Flirtowała z Benem, wystarczy popatrzeć, jak się na niego gapiła tymi wielkimi oczami lalki, jakby był najbardziej fascynującym człowiekiem na ziemi. No cóż, niedługo

położymy temu kres, pomyślała, podchodząc do krzesła Emmy.

– Może będziesz chciała wrócić teraz i zdjąć kostium? – spytała, starając się nie patrzeć ani na Bena, ani na Stacey.

– Och, przepraszam, oczywiście. Kompletnie zapomniałam – powiedziała Emma i zerwała się z miejsca. – Chcesz, żebym oddała to ubranie, prawda? – Ruszyła za Liz do wyjścia z klubu, ale jeszcze zawołała do Bena i Stacey: – No to cześć! Do jutra!

Zobaczyła wstrząśniętą minę Liz.

– Nie martw się – szepnęła. – Pamiętam, co mi mówiłaś i nie wchodzę w drogę Benowi. Zapytałam go i powiedział mi, że mogę się do nich dosiąść.

– No cóż, to znakomicie – mruknęła Liz i zabrała stamtąd Emmę, zanim ta miała zdążyć narobić kolejnych szkód.

Wieczorem, kiedy zakończono zdjęcia, a kapela się przebrała i została odwieziona z powrotem do hotelu, Liz i Orlando po raz pierwszy zostali sam na sam w przyczepie garderoby.

– No i co chcesz robić wieczorem? – spytał Orlando. – Bar hotelowy czy znów to miejsce z tapas?

Liz zignorowała pytanie.

– Co ty, u diabła, dzisiaj wyprawiałeś? – syknęła.

– Proszę?

– Koszula Emmy. Dlaczego ją wymieniłeś?

– Ta, którą dla niej wybrałaś, nie pasowała, była zdecydowanie za obszerna.

– Wiem – powiedziała Liz, stając naprzeciwko asystenta. – Miała być obszerna.

– No cóż, nie strosz piórek. To tylko jedna głupia koszula. Film i tak z miejsca

trafi na kasety wideo. – Włożył zakiet i starannie poprawił kołnierzyk.

– Orlando, nie w tym rzecz. Masz nie zmieniać moich projektów. Nigdy.

– Projektów? – Orlando parsknął śmiechem. – To tylko koszule z Gap. Nie przesadzaj, kochana.

Orlando pracował z Liz przy jedenastu kolejnych filmach i nie pierwszy raz się z niej śmiał. Ale po raz pierwszy Liz miała wrażenie, że on z niej faktycznie kpi.

Złapała pierwsze, co wpadło jej pod rękę, i cisnęła mu w głowę.

– Kurwa, nie ośmielaj się więcej ze mnie żartować! – wrzasnęła.

Orlando gapił się na nią z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami, kiedy jego własna gigantyczna bombonierka quality street uderzyła go w szczękę, a truskawkowe pomadki i orzechowe trójkąciki rykoszetem odbijały się od

ścian.

Ben płacił za drinki zamówione na dole, w hotelowym barze.

– Niezły kawałek roboty odwaliliśmy dziś rano, chłopaki – powiedział do zespołu. – Naprawdę wyglądaliście profesjonalnie.

– Jak sądzisz, co będzie z Lukiem? – spytał Alex. – Będzie musiał odejść z produkcji?

– Nie sędzę, żeby do tego doszło – powiedział Ben, dobrze wiedząc, że Dominie przez całe popołudnie wisiał na telefonie, zmieniając harmonogram drugiego dnia zdjęć i umawiając się z niektórymi aktorami, aby przyjechali do Brighton dzień wcześniej, niż planowano. Nakreca tę scenę, w której Turpin odcina facetowi palec nożycami do strzyżenia żywopłotów. W sumie nie mógł się tego

doczekać.

– Może powinniśmy do niego zadzwonić – zaproponował Giles. – Zobaczyć, jak się ma.

Bena ogarnęło poczucie winy. Praca tak go pochłonęła, że nawet nie zadzwonił do szpitala i sam nie porozmawiał z Lukiem. Flick wysłała kwiaty od kierownictwa, ale to nie to samo.

– Ben, mam pytanie – zagaił Danny.

– Co do Luke’a?

– Nie, chodzi mi tylko o pewien fragment scenariusza. – I głośno odczytał:

– Nad kominkiem Danny’ego wisi korkowa tablica, a na niej przypinane są klubowe proporzki, bilety na koncerty i zdjęcia kilku z jego licznych dziewczyn.

– Tak. To taka retrospekcja.

– No ale kto to jest – te jego były dziewczyny?

– Widzisz, to tylko takie wizualne

naprowadzenie na charakter twojego bohatera. No wiesz, ma dać do zrozumienia, że Eddie to popularny gość. Taki trochę pies na baby, chyba.

Danny pokiwał głową – Tak, rozumiem. Ale kim one będą? Kim są te dziewczyny ze zdjęć?

Ben był zbity z tropu.

– Nie mam pojęcia. Rekwizytornia przygotowuje jakieś zdjęcia do przypięcia na tablicy. To chyba nie ma większego znaczenia. Nikt nie będzie przyglądał się tym zdjęciom z bliska. To tylko element planu.

– Więc może powinienem porozmawiać ze scenografem?

– Tak, jasne, Danny, jeśli masz ochotę...

– Eddie.

– Proszę?

– Mógłbyś mówić do mnie Eddie? To mi pomaga wczuć się w rolę.

– Dobra... Eddie. Jeśli uważasz, że to ci się przyda.

I odrobina piwa poląła się Benowi na podbródek.

– No cóż, po ptakach. Jej już kompletnie, cholera, odbiło – burzył się Orlando.

– Och, człowieku, faktycznie, kompletne przegięcie – wtórował mu Paolo.

Orlando nie miał zamiaru znów iść do baru tapas po sobotnim wieczorze, ale w niedzielę w jakiś sposób trafił pod pomarańczowo-niebieskie markizy i rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem wydało mu się wstąpić do środka, zamówić szklanę rioja i usiąść przy stoliku z tyłu, obok boksu DJ-a. A teraz, w poniedziałkowy wieczór, znów siedział w tym samym kącie naprzeciwko Paola o cerze w

odcieniu dairy milk i brwiach jak gąsienice. Zaczynamy praktycznie, pomyślał z dreszczem, tworzyć stałą parę. Jego marzenie o darmowych wakacjach w Ameryce Łacińskiej z noclegiem u barwnych krewnych Paola w ich malowniczej wiosce trafił szlag, bo odkrył, że ten nie pochodzi z Kuby ani z Belize, tylko urodził się w Haywards Heath. Jednakże Oriando miał pragmatyczną naturę i swoje marzenie szybko zastąpił wizją dwóch tygodni słońca, morza i rozpusty na Ibizie.

– Rozważam rezygnację – powiedział, przekrzykując muzykę. – Wiesz, odrzuciłem dwie inne oferty, żeby pracować z Liz. Nie muszę godzić się na takie cyrki.

– Jasne. Powinieneś tak zrobić! – odkrzyknął Paolo, oczywiście mając nadzieję, że Oriando jednak nie rzuci

pracy, bo jakim cudem on wtedy miałby się załapać do udziału w filmie? Uważał, że Oriando jest zbyt ładny – osobiście wolał mężczyzn nieco ostrzejszych w typie – ale tak jak Oriando był pragmatykiem i łapał szansę tam, gdzie się pojawiała. Przydomek Kocie Drzwiczki zyskał właśnie za gotowość do działania w obie strony.

– Nie zniosę, żeby ciskano we mnie czekoladkami – oświadczył Oriando. – Tak się nie postępuje.

– Powiedz jej to – zagruchał Paolo i poszedł zmienić płytę.

Na obrotowej platformie pośrodku okrągłego stołu w Thai Orchid, tuż przed nosem Liz powoli przesuwały się cukinie i chińska kapusta smażone w głębokim oleju, zielone curry z kurczaka, makaron Pad Thai, pikantne rybne placuszki, satay z

kurczaka i ryba gotowana na parze w sosie śliwkowym, niczym jakaś pełna tłuszczu karuzela. Jakim cudem, zastanawiała się, ludzie ze Wschodu są tacy szczupli, skoro wszystkie warzywa smażą w cieście?

– Uważasz, że zamówiliśmy za dużo? – spytał Tex.

– Nie dla nas trojga – powiedziała Emma, zanurzając placuszek rybny w sosie z orzeszków ziemnych, zanim znów zdążyły odjechać jej sprzed nosa.

– Więc nie jesz mięsa, ale jesz ryby – powiedziała Liz do Emmy – Nie czujesz się trochę jak hipokrytka?

– Czasami – przyznała Emma. – Ale nie jestem emocjonalnie przywiązana do ryb. Żadnej nigdy nie spotkałam osobiście.

– Znasz za to mnóstwo kurczaków, jak mniemam? – zapytała Liz.

Emma opowiedziała im o rodzinnej farmie.

– Kiedy byłam mała i zabierano jagnięta na rzeź, tata zawsze wmawiał mi, że jadać na wakacje i będą się tak dobrze bawić, że w ogóle nie zechcą wracać do domu – wyjaśniła. – Długo to trwało, zanim odkryłam, z czego tak naprawdę robi się te niedzielne pieczenie i kotlety na moim talerzu.

Tex odłożył satay z kurczaka, którego nawet jeszcze nie tknął.

– Musiałaś się dzisiaj strasznie nudzić – powiedziała Liz. Patrząc już nie mogła na Emmę, ale musiała ją zabrać na kolację, żeby dziewczyna nie pchała się w oczy Benowi w hotelowym barze. – Nigdy nie widziałam aktorów z prawdziwego zdarzenia. .. To znaczy, wiesz, aktorów z doświadczeniem, żeby kręcili się tak po planie.

– Och, ależ ja się wcale nie nudziłam! – powiedziała Emma, kompletnie nie

zwracając uwagi na przemyconą obelgę, jakoby nie była prawdziwą aktorką. – To szalenie ciekawe, przyglądać się temu, jak ludzie pracują, patrzeć, jak Ben obserwuje innych aktorów, patrzeć na światła i na wszystko. To znaczy – poprawiła się – to zawsze jest bardzo ciekawe.

– Udało ci się porozmawiać z Jasonem?
– zapytała Liz, chcąc, żeby Emma zeszła z tematu Bena.

Emma przewróciła oczami.

– Zostawiłam mu kolejne dwie wiadomości. Ale nie ma go w domu i wyłączył komórkę. Chyba mnie unika! – Roześmiała się.

– Jason jest aktorem – wyjaśniła Liz Texowi.

– Och, no to lepiej uważaj. Wiesz, jacy są aktorzy – roześmiał się, a potem zaraz przestał się śmiać, kiedy zobaczył przerażoną minę Emmy. – Daj spokój, ja

tylko żartuję. Nie zwracaj na mnie uwagi.

Zatkał sobie usta porcją makaronu, żeby znów czegoś nie palnąć. Liz zdecydowała się zaryzykować rybnego placuszka i podejrzliwie przekroiła go na pół.

– Nie wiem, jak ty możesz tyle jeść i nie przybierać na wadze – powiedziała, patrząc na górę makaronu na talerzu Emmy. – Byłabym wielka jak kamienica, gdybym zjadła połowę tego.

– Pewnie odpokutuję to po trzydziestce – uśmiechnęła się Emma – i nagle zamienię się w wielkiego potwora. – Zaśmiała się, przekonana, że to raczej mało prawdopodobne, a Liz skrzywiła się na myśl, że już nigdy nie będzie miała znów trzydziestu lat.

Tex pochylił się bliżej do Liz i delikatnie ukąsił ją w ucho.

– Nie martw się – szepnął tak, żeby Emma nie słyszała. – Później zapewnię ci

niezłą dawkę ćwiczeń.

Liz zmusiła się do uśmiechu i od niechcienia starła cieniutką warstwę oleju, który zostawił jej na włosach.

– Nie, ale poważnie – powiedziała do Emmy. – Masz jakieś zaburzenia pokarmowe?

Emma podniosła oczy, nieco zdziwiona.
– Nie.

– Bo wiesz, gdybyś miała, to się nie przejmuj. Mnóstwo aktorek to obżartuchy. To nawet modne. Jeśli potem masz zamiar wszystko zwrócić, możesz nam powiedzieć, rozumiesz. Jesteś wśród przyjaciół.

– Liz – powiedział Tex. – Daj jej spokój.

– Ja się tylko o nią martwię – powiedziała Liz.

– Liz, uwierz mi, nie mam żadnych zaburzeń pokarmowych, przysięgam. Miło mi, że się mną przejmujesz, ale naprawdę

nie trzeba.

I na dowód swoich słów, Emma wzięła ostatnią miniaturową kolbę kukurydzy, na którą ostrzył sobie zęby Tex, i zaczęła ją chrupać.

Kilka ulic dalej, w małej, rodzinnej włoskiej restauracji, Ronald Gash ponuro wpatrywał się w rozmoczone warstwy swojej lazanii i rozmyślał nad tym, czy ten ser ostatecznie zatka mu arterie i zatrzyma bicie serca, czy też może mielona wołowina zamieni go w zaślinione, mamroczące warzywo.

– Nie wiem, jak Luke’owi uda się dalej grać ze złamaną nogą – westchnął z nadzieją. – Mam nadzieję, że wszystkich nas jutro odeślą do domu.

Flick pokręciła głową.

– Nie, wszystko ci się pokręciło. To tylko przedramię. Nic mu nie będzie. Kto

ci powiedział, że złamał nogę?

– Rozmawiałem z młodą damą z recepcji hotelowej, a ona powtórzyła mi, co przekazał jej jeden z elektryków. Widział wszystko. Najwyraźniej doszło do bójki i Luke został zepchnięty ze schodów.

– Nie, jestem pewna, że było inaczej. Poślizgnął się.

– No cóż, tamten twierdził, że widział to na własne oczy. Bardzo się zdziwię, jeśli zdjęcia będą kontynuowane. – Ronald uczestniczył już w zdjęciach, które przerywano z dnia na dzień. Fundusze przyobiecane przez sponsorów nie docierały i wszyscy lądowali na lodzie, bez pracy. Dzięki Bogu, teraz już nie potrzebował pieniędzy. Na co miał je wydawać? Dom był spłacony. Nie potrzebował kolejnych ubrań. W gruncie rzeczy odczułby wielką ulgę, gdyby film trafił szlag, a on mógłby wrócić do

spokojnego i znajomego otoczenia własnego domu, z daleka od tych przerażających dwudziestopięciolatków, których nie rozumiał. Sam miał kiedyś dwadzieścia pięć lat – uważał się zresztą za niezłego rozrabiakę – ale to było nic w porównaniu z nimi. W przeciągu jednego pokolenia rasa ludzka zdegenerowała się zupełnie nie do rozpoznania.

– Nie martw się – powiedziała Flick – jestem pewna, że zdjęcia nie zostaną przerwane. Nawet gdyby Luke złamał nogę, Patrick znalazłby jakiś sposób, żeby wszystko posklejać do kupy.

Trochę żałowała, że zaprosiła Ronalda na kolację, zamiast poczekać na Patricka, tak jak wcześniej planowała. Ale po pracy zeszła do baru, a tam siedział Ronald nad egzemplarzem „Daily Telegraph”, miał smutną i zagubioną minę, i był taki samotny. Trochę przypominał jej dziadka i

po prostu wiedziała, że skończy się to tym, że Ronald zje kolację w samotności, jeśli ona nie poprosi, żeby wybrał się z nią. Serce jej się krajało na samą myśl. Starzy ludzie zawsze tak na nią działali. Pomyślała o swoich dziadkach w domu, w Australii, jak grają w kulki w białych strojach i przegryzają domowej roboty ciasto z owocami, i obiecała sobie po raz kolejny, że zostanie w Anglii jeszcze tylko rok, a potem wróci do domu.

Z odległości osiemnastu tysięcy kilometrów Londyn błyskał ku niej kusząco swoimi światłami, obiecując sztukę i kreatywność na każdym rogu ulicy. Flick chciała zostać producentką. Wyobrażała sobie, że przyjedzie do Londynu i szturmem weźmie świat filmu, czerpiąc wiedzę z krynicy mądrości i talentu, jaką pewna była tam znaleźć. Zamiast tego utkwiała w chaosie produkcji

Patrycja McKaya – w świecie niskich budżetów, niedokładnego planowania, marnych scenariuszy i beznadziejnych organizatorów. Ale zdecydowała, może nieco perwersyjnie, trzymać się Patrycji. Jeśli nie może uczyć się od wielkich, nauczy się na jego błędach.

– W każdym razie – zapytała Ronalda – miło spędziłeś wolny dzień?

– Nie, nudziłem się straszliwie. Powinienem być wrócić do Londynu.

– Czy tam mieszka twoja rodzina? – spytała Flick i natychmiast pożałowała, że to zrobiła.

– Moja żona nie żyje – odparł Ronald szorstko. – Córka mieszka w Kanadzie. A moi dwaj synowie są zbyt zajęci własną karierą, żeby odwiedzać starego, sklerotycznego ojca.

– No cóż, ale przyjemnie jest pobyc trochę na świeżym powietrzu, prawda? –

powiedziała Flick. Miała nadzieję, że Patrick się pospieszy. Już dochodziła dziewiąta.

– Byłoby miło, gdyby przestało wreszcie padać – rzekł Ronald. – W pokoju hotelowym dużo świeżego powietrza nie zażyłem.

– O kurczę! – Flick zaczęła się śmiać, chociaż jeszcze przed chwilą nie miała na to ochoty. – Naprawdę trzeba by cię rozweselić, wiesz?

Rozdział 17

Luke dorobił się złamania Collesa, kontuzji dość częstej u snowboardzistów, której, o ironio, udało mu się uniknąć przez piętnaście lat jazdy po śnieżnych rynnach, tunelach i rampach. Wrócił na plan z jedną ręką w grubym, ale lekkim jasnoblękitnym gipsie i zapewniał wszystkich, że dzięki morfinie i silnie działającym analgetykom, jakimi go potraktowano w szpitalu, nic, ale to nic go nie boli. Tego samego nie dałoby się powiedzieć o Benie – złamane przedramię Luke'a już zdążyło przyprawić go o dotkliwy ból głowy.

– Możemy go filmować tylko od pasa w górę – narzekał Hugo.

– Albo jakoś to zakamuflować – powiedział Ben.

– Czym? Poprosić scenografów, żeby owinęli mu gips dzikim winem?

– Zapytam Liz – powiedział Ben. – Ona coś wymyśli. Jest bardzo zaradna.

Tak więc Luke został odesłany do garderoby, gdzie Liz szybko sprawdziła, która z jego kurtek jest dość szeroka, żeby ukryć gips. W zasadzie nie miała do dyspozycji koszul z długimi rękawami, bo zespół nosił głównie T-shirty, więc kiedy tylko wszyscy zostali ubrani i otwarto sklepy, wysłała Orlanda, żeby zobaczył, co się da upolować. W głowie jej się nie mieściło, że przez całe to skąpstwo Patricka oczekiwano od niej, że poradzi sobie z kostiumami, dysponując zaledwie dwuosobowym zespołem. Nawet dział charakteryzacji pracował w trzyosobowym składzie – no, ale z drugiej strony, połączone ilorazy inteligencji Głupich Suczek ledwie sięgały dwucyfrowej liczby.

– Możesz na mnie polegać, Ben – obiecała, żeby widział, z jakim spokojem radzi sobie z każdą podbramkową sytuacją.

– Mam tylko nadzieję, że ręka nie będzie mi przeszkadzała w niedzielę na jachcie – powiedział Luke.

Liz rozpruwiała szew kurtki ze sztruksu, żeby Luke mógł go naciągnąć aż po kostki dłoni. Znów nie jadła śniadania, ale w ten sposób miała szansę udowodnić, że nie sposób się bez niej obejść. Jak Ben poradziłby sobie bez niej?

– Na jakim jachcie? – zapytała.

– Przyjaciel taty Gilesa ma jacht w Brighton. Zabiera nas wszystkich na żagle.

– To bardzo miło – powiedziała Liz. – Wszyscy chłopcy jadą?

– Tak, i Emma, Ben oraz Patrick. Nie jestem pewien, czy Ronald i reszta też pojedą. Są zaproszeni, ale chyba wolą

zajrzeć do domu.

Liz zamarła z przyrzędem do rozpruwania szwów w dłoni. Emma i Ben razem na jachcie? Nie, jeśli ona będzie miała tu cokolwiek do powiedzenia.

– Więc to coś w rodzaju wycieczki dla obsady i reżysera? – zapytała lodowatym tonem.

– Tak, chyba tak. Giles wszystko zorganizował.

– To fantastycznie – powiedziała Liz i rozdarła materiał na dwoje.

To był ich ostatni dzień w Mongo Club i Tim pomagał ludziom od cateringu ustawić automat z herbatą na ulicy, na zewnątrz. Dwie nastolatki, jedna wysoka, a druga niska, obie ubrane w identyczne białe minispódniczki, podeszły zobaczyć, co się dzieje.

– Po co to wszystko? – mniejsza

zapytała Tima.

Wyglądała na ledwie piętnaście lat i pchała wózek, w którym leżało rumiane i potężnie zasmarkane niemowlę. Do smarków przyczepiły się okruszki wskazujące, że na śniadanie były płatki kukurydziane.

– Robimy film – odparł z niejaką dumą. Dominie dał mu swoje walkie-talkie i fluorescencyjną żółtą kamizelkę, i Tim już zaczynał czuć się częścią ekipy. W przerwie na lunch zamierzał sprawdzić, czy nie uda mu się kupić wojskowego noża marki Leatherman, jakie nosili chłopcy od kamer.

– Dla telewizji?

– Nie, szerokoekranowy. Dla kina.

– Tak? No to jak się nazywa? – zaatakowała teższa z nastolatek. Jej grubawy tors opinała koszulka z napisem Cizia z rozumem.

– *Brighton Rocks* – powiedział Tim Dziewczyny spojrzały po sobie porozumiewawczo.

– Pierwsze słyszę! – powiedziała mniejsza i ruszyły w swoją stronę.

Ben usiłował jeść swoje płatki kukurydziane mimo niekończącej się powodzi pytań.

– Ben, masz sekundkę? – Tym razem atakowała go Poppy z działu scenografii.

– Jasne, a o co chodzi?

Poppy wręczyła mu kilka kolorowych zdjęć. Wszystkie wyglądały jak fotki z wakacji.

– Bardzo ładne – powiedział Ben. – Ale tak właściwie, to co ja oglądam?

– No cóż, to są zdjęcia, które mieliśmy powiesić na tablicy korkowej Eddiego, no wiesz, jego były dziewczyny.

– Tak, bardzo dobre. – Ben oddał jej

zdjęcia.

– Ale Danny’emu się nie podobają. Powiedział, że jego zdaniem to nie są dziewczyny, z którymi chodziłby Eddie.

– Co?

– Powiedział, że sam chce dobrać te dziewczyny. Ma wizytówki całej kupy modelek i chce, żebyśmy zaprosili parę dziewczyn na casting.

– Co on wygaduje? Nie zapłacimy za żadne modelki!

– No cóż, tak właśnie myślałam, ale wolałam się najpierw upewnić.

– Powiedz mu, żeby wybił sobie z głowy modelki, kropka. I cokolwiek zrobisz, nie wspominaj o tym Patrickowi.

– Dobra. Dzięki, Ben.

Potem pojawił się Ronald Gash z kolejną uwagą na temat scenariusza.

– Słuchaj, Ben... Czyja naprawdę muszę mówić tę kwestię: „Nie chcielibyście

zadzierać z takim człowiekiem jak ja”? Nie mógłbym tego po prostu wyrazić spojrzeniem?

– Oczywiście, Ronald, jeśli tak będzie ci wygodniej.

I Ronald odszedł, kreśląc po swoim scenariuszu czarnym markerem. Ben nie znosił, kiedy ktoś krytykował jego scenariusz, bo to mu przypominało, jaki był w gruncie rzeczy beznadziejny. Chciał napisać coś rewelacyjnego, naprawdę. To zawsze było jego szczerym zamiarem, ale okazało się w praktyce o wiele trudniejsze, niż kiedykolwiek przypuszczał. Już to, że napisał kiepski scenariusz, o mało go nie wykończyło. A teraz jeszcze rozmiękły mu płatki.

Emma ze zdziwieniem zorientowała się, że zdjęcia do filmu kręci się nie po kolei. Nigdy wcześniej się nad tym nie

zastanawiała, ale wydawało jej się, że robi się to jak sztukę: zaczynając od samego początku, od sceny pierwszej i kontynuując po kolei aż do sto sześćdziesiątej trzeciej. Tymczasem okazało się, że to wcale tak nie wygląda. Dzisiaj filmowali sceny trzydziestą, pięćdziesiątą siódmą, czterdziestą trzecią i dwudziestą piątą oraz część sceny osiemdziesiątej drugiej. Nikomu innemu nie wydawało się to niczym niezwykłym, a Emma nie chciała obnażać swojego braku doświadczenia, zadając pytania.

Spacerowała po szatni i przyglądała się płaszczom, które Liz wypożyczyła ze sklepów z używaną odzieżą w Worthing. Zakręciła czerwonym skórzanym stołkiem, pooglądała plakaty poprzyczepiane taśmą klejącą do ścian i pobawiła się talerzykiem na kontuarze, pełnym pięćdziesięciopensówek.

– Co mam robić najpierw? – zapytała Bena. – Po prostu wieszać ubrania?

Phil, pomocnik rekwizytora, podszedł i spokojnie przestawił talerzyk pięć centymetrów w lewo, tam gdzie stał poprzednio.

– To dobre pytanie – odparł Ben, rozglądając się wkoło. – Gdzie są nasi statyści z szatni?

Kilka dziewczyn w obszarpanych dżinsach nieśmiało wysunęło się do przodu.

– Mam im oddawać te płaszcze czyje od nich przyjmować? – spytała Emma.

Ben namyślał się przez jakąś minutę.

– Kapela już zagrała, wieczór dobiega końca. Będziesz im oddawała płaszcze.

Emma pokiwała głową.

Phil wręczył jej dżinsową kurtkę i płaszcz ze sztucznego futra, które miała wydać z szatni. Tyle było do zapamiętania,

zanim otworzyła usta, żeby wypowiedzieć choć jedno słowo.

– Czyja mam coś do nich mówić, kiedy daję im płaszcze? – zapytała. – W scenariuszu nic nie ma.

– •Tak, „Proszę bardzo”, czy coś takiego. Zostawiam to tobie – powiedział Ben.

– Uwaga, flesz! – zaanonsowała Liz i Emma odwróciła się w stronę kamery, a Liz zrobiła szybkie polaroidowe zdjęcie i schowała je do kieszeni.

Danny, który siedział na korytarzu, ostentacyjnie ziewnął. Został w Escape z Alekssem do trzeciej nad ranem, zaprzyjaźniając się z miejscowymi artystami i w ogóle się nie kładł. Te nowe platynowe włosy były strzałem w dziesiątkę, bo nikt go nie rozpoznawał. – Przepraszam, Danny, to znaczy, Eddie, czy my ci przeszkadzamy? – zapytał Ben

uprzejmie.

– Chciałbym już zacząć coś robić – dąsał się Danny. – Wszystkie te bzdury z wieszaniem płaszczy to zwykła strata czasu.

Wolał poniedziałkowe zdjęcia, bo wtedy kamera cały czas koncentrowała się na nim, tak jak w jego wideoklipach.

– No cóż, dobrze, jesteśmy już gotowi – powiedział Ben. – A ty, Eddie?

– Jestem gotowy od pieprzonego miesiąca – powiedział Danny i zajął swoją pozycję wyjściową.

– Czy to jego sposób na wejście w rolę? – szepnęła Stacey do Bena – czy też Danny jest zwyczajnie upierdliwy?

– Pewien jestem, że to tylko jego metoda – odszepnął Ben. Obiecał sobie, że spróbuje nie dać się ponieść nerwom przy tym filmie, i miał zamiar wytrzymać dłużej niż do dziesięć po dziewiątej trzeciego

dnia zdjęć.

– Cisza, próba! – zawołał Jamie. – I akcja!

Popchnął leciutko dwie dziewczyny, żeby ruszyły z miejsca. Emma podała im płaszcze i kiedy odeszły, usiadła na stołku, zaczęła bębnić palcami po kontuarze i czekała, żeby wbiegł Danny. Czekwała...

Po mniej więcej dziesięciu sekundach Danny nadbiegł pędem korytarzem i podniósł klapę kontuaru, zrzucając przy tym na podłogę wszystkie monety z talerzyka.

– Hej! A ty co niby robisz! – krzyknęła Emma. – Och! Nie wolno tu wchodzić!

Danny ją zignorował i wciskając się między dwa płaszcze, schował się w tej samej chwili, w której wbiegli Ronald, Harvey i Arthur.

– Ktoś tędy przechodził? – warknął Ronald.

– Nie, nikt – powiedziała Emma, z miną winowajcy zerkając na monety rozsypane po całej podłodze.

– Stop! – wrzasnął Ben, a Emma przyklękała i pomogła Philowi pozbierać rozrzucone pięćdziesięciopensówki. Ben i Hugo nachylili głowy ku sobie. Emma widziała, że marszczą brwi i kiwiają głowami.

– To strasznie wszystko spowalnia – szeptał Hugo. – Tracimy cały impet, kiedy on się tam tak gramoli.

– Ben – powiedział Ronald, wracając na koniec korytarza, – jeśli na podłodze jest pełno monet, muszę się zorientować, że coś jest nie tak. Nie mogę udawać, że ich nie widzę.

Ben podniósł rękę.

– Słyszę, Ronald. Nie martw się. We właściwej chwili nie będzie na podłodze żadnych monet. Popróbujmy jeszcze raz na

pół gwizdka. Eddie, czy tym razem mógłbyś przeskoczyć kontuar, tak jak to wcześniej omawialiśmy?

– Chciałem spróbować czegoś innego – powiedział Danny.

– Tak, rozumiem. Ale chcielibyśmy zobaczyć, jak to będzie wyglądało zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Zgoda?

Danny wzruszył ramionami.

– No dobra. Wszystko jedno.

– Aha, i postaraj się nie patrzeć w kamerę.

– Czemu nie?

Ben osłupiał.

– No cóż, po prostu tak się nie robi.

Czy Danny naprawdę nie wiedział rzeczy podstawowych?

– Czy to coś pomoże, jeśli się odsunę? – Emma nieśmiało zaproponowała Danny’emu, ale jej nie usłyszał, bo już wracał na pozycję startową. Była pod

wielkim wrażeniem, kręcąc swoją pierwszą scenę z Dannym i przez całe rano usiłowała wymyślić, co by tu do niego powiedzieć, żeby zrozumiał, że jest jego wielką fanką, a nie kurtką wiszącą na wieszaku.

Tymczasem odbyli drugą próbę. Danny spróbował przeskoczyć kontuar, ale musiał w końcu na nim usiąść i przerzucić nogi na drugą stronę.

– Rusza się jak dziewczyna – jęknął Hugo.

Ben spiorunował go wzrokiem i spróbował przypomnieć sobie wszystkie powody, dla których lepiej byłoby nie tracić cierpliwości do Danny’ego.

O dziewiątej trzydzieści Tim został wysłany do Argos po zakup minitrampoliny, która zapewniłaby Danny’emu dodatkowy impet przy skoku przez kontuar.

– Pokażę ci, jak się wybijać, chcesz? – zaproponował Tim.

– Słuchajcie, jeśli będziemy uważać i jej nie zabrudzimy, to może uda nam się oddać ją do sklepu i odzyskać pieniądze – powiedział Phil.

Danny skrzywił się.

– Jasne, to akurat mój problem... – mruknął.

Do tej pory nakręciłby już ze dwa wideoklipy i nie musiałby przy tym uczyć się na pamięć tych głupich dialogów. Wideoklipy są lepsze, bo trzeba tylko otwierać usta na niby i można patrzeć prosto w kamerę. Przecież nikt nie zobaczy jego twarzy, jeśli on się ciągle będzie odwracał!

Tim zdjął buty, podbiegł do trampoliny, odbił się od niej, oparł ciężar ciała na dłoniach i lekko przeskoczył kontuar.

– Widzisz? To nic takiego – powiedział

zachęcająco. – Zupełnie jak skok przez konia w szkole.

– Nie chodziłem do tej samej szkoły. – Danny zaczął umyślnie trzeć podeszwą buta o brzeg czerwonego nylonowego materiału, zostawiając małą, ale wyraźną czarną plamę.

Nie wyglądał ani trochę bardziej przekonująco, skacząc przez kontuar za pomocą trampoliny, niż kiedy skakał bez niej. Po każdej niezdarnej próbie musiał napić się trochę wody i posiedzieć, zanim gotów był do następnej. Przy dziewiątym ujęciu wybił się w złym kierunku i zwałił z nóg Billy’ego z mikrofonem. Potem, przy ujęciu dwunastym i jedynym, w którym udało mu się przeskoczyć kontuar, nie przewracając się ani nie lądując na blacie, Emma była tak zaskoczona, że kompletnie zapomniała wypowiedzieć swoją kwestię.

– Przepraszam, Ben – powiedziała. –

Nie sądziłam, że mu się uda.

– Nie ma sprawy, Emmo – odparł Ben. – Nikt się tego nie spodziewał. Powtórzmy to.

Po każdym ujęciu musieli poczekać przynajmniej minutę, bo Saskia na nowo pudrowała Danny’emu twarz, a Bex delikatnie przeczesywała mu włosy, poprawiając sterczące końcówki.

– Czy to naprawdę konieczne? – westchnął Jamie, kiedy ranek umykał. – Zauważyłem, że nikt nie poprawia makijażu Emmie.

– Emma nie biega – odparła Saskia twardo i cierpliwie rozdzieliła dwie rzęsy Danny’ego, które jakoś się skleiły. Musiała stanąć naprawdę blisko niego, żeby widzieć, co robi, a kiedy Danny otworzył oczy, została nagrodzona uwodzicielskim uśmiechem, którego użył w wideoklipie do *Can't Take These Lies*. Bex spiorunowała

ją wzrokiem.

Do czasu ujęcia numer siedemnaście czekający na swoje wejście Ronald Gash zdążył już rozwiązać krzyżówkę w „Telegraph”, a Ben gotów był przyznać się do porażki.

– Musimy kręcić dalej – szepnął do niego Jamie, pokazując na zegarek.

– Niech garderoba podeśle tu drugą parę dżinsów Danny’ego – powiedział Ben. – Tim będzie jego dublerem i nakręcimy go od pasa w dół.

– Danny’ego można by po prostu zastrzelić.

– Nie kuś.

– Dobrze się bawisz? – spytał Hugo, ignorując napis: Nie jeść i nie pić na planie, i popijając trzecią tego dnia czarną kawę.

– Och tak, to świetna sprawa – odparła Emma. – Ale czy mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście. – Lubił sposób, w jaki Emma patrzyła na niego tymi szeroko otwartymi niebieskimi oczami, jakby był najbardziej fascynującym mężczyzną na ziemi.

– Dokąd idzie film? – zapytała.

– Wysyłamy go dzisiaj do laboratorium w Soho.

– Nie, dokąd idzie teraz?

Hugo zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– No wiesz – powiedziała Emma, rozglądając się po klubie. – Czy nie ma tu jakiegoś pokoju z mnóstwem ekranów, kontrolek i innych takich?

Shelby Square kręcono trzema kamerami, a kiedyś, kiedy poszła odwiedzić Jasona w studio, kierownik planu zabrał ją na parę minut na galerię na górze, gdzie widziała rząd monitorów i asystenta produkcji, który wołał: „Kręcić z

trójki!” albo „Teraz dwójka!” To wszystko było szalenie profesjonalne.

Hugo pojął, że musi jej chodzić o telewizyjną reżyserkę, i miał zamiar wyjaśnić, że film żyje wyłącznie w kamerze. Monitor podglądowy Bena był wszystkim, czym dysponowali.

Ale Liz, która ich słuchała, mrugnęła do niego okiem.

– Nieważne, Hugo, ja wiem, o co jej chodzi. – Wskazała ręką niczym się niewyróżniające czarne drzwi na końcu galeryjki otaczającej salę klubową. – Widzisz je?

Emma pokiwała głową.

– To drzwi do reżyserki – wyjaśniła Liz.
– Ale nie przeszkadzaj im teraz, są okropnie zajęci.

Emma uśmiechnęła się.

– Och, jasne! Bo zastanawiałam się, wiesz? Niczego nie zauważyłam. Dzięki

wielkie.

– Nie ma za co – odparła Liz.

– No dobra, zaczynamy od wejścia Turpina! Akcja!

– Ktoś tędy przechodził? – Ronald Gash spojrzał na Emmę, tak groźnie mrużąc oczy, że ze strachu omal nie pokazała mu, gdzie schował się Danny. Ale wtedy to byłby bardzo krótki film.

– Nie. Nikt – powiedziała i odliczyła do trzech po ich odejściu. – W co ty się, do licha ciężkiego, pchasz? – wściekała się, rozchylając płaszcze.

– Dzięki, że mnie nie wydałaś – powiedział Danny swoim zwykłym, monotonnym szeptem.

– Dlaczego Turpin cię ściga?

– Chyba nie jest fanem mojej muzyki.

– Trudno mu się dziwić. Graliście do dupy.

– Och, super. Gdyby zorganizowali nam próbę nagłośnienia, jak trzeba...

– No, nie mów. Na pewno byś zabrzmiał jak Kylie Minogue.

– Hej, Eddie! Chodź. Musimy stąd spływać! – Alex ostrożnie podniósł haczyk blatu, żeby Danny nie musiał skakać po raz drugi. – Gustowny płaszczyk.

– I cięcie!

Rozległy się znużone oklaski, kiedy pierwsza scena tego dnia została ostatecznie zakończona. Na swojej rozpisce ujęć Stacey otoczyła zgrabnym kółeczkiem napis: Ujęcie 18, powtórka i dopisała *Dzięki Bogu!*

– Przepraszam, że powiedziałam Kylie Minogue. Nie wiem, czemu to zrobiłam – odezwała się Emma. – Przez całe rano brzęczała mi w głowie jej piosenka. Chcesz zrobić to jeszcze raz?

– Nie, z Kylie jest zabawniej –

powiedział Ben. – Zresztą nie ma już czasu.

Potem nakręcili ujęcie Turpina i jego trzech oprychów, a wreszcie zbliżenie na Turpina. Potem ujęcie Luke’a i Aleksa i zbliżenia na nich, które udało się nakręcić ze zwykłymi, drobnymi potknięciami. Nakręcili nogi Tima przeskakującego kontuar, co udało mu się za pierwszym podejściem i dostał od wszystkich gromkie brawa.

Danny nadał się i wyszedł na papierosa na zewnątrz. Przerzucił się teraz na camele, tę samą markę, którą palił Eddie. Wrócił pięć minut później, zostawiwszy kurtkę przy automacie z herbatą i Orlando pobił swój osobisty rekord w sprincie, biegnąc po nią.

Kiedy kręcili zbliżenia Danny’ego, Emma stała obok kamery, żeby Danny wiedział, gdzie ma patrzeć, i poddawała

mu tekst.

– Możesz mu kazać przestać szeptać? – Tex spytał Bena. – Prawie nie mam na nim sygnału.

Po dziewięciu ujęciach Danny nadal brzmiał, jakby na wpół spał, ale było już pięć po pierwszej i Jamie uparł się, że muszą się teraz zająć zbliżeniami Emmy. Ben niechętnie ustąpił. I tak nie było większego sensu w kręceniu kolejnych dubli, bo Danny za każdym razem wypadał gorzej niż poprzednio.

Kiedy sprawdzali oświetlenie, Emma dostrzegła swoją szansę. Przez cały ranek zastanawiała się, co powiedzieć Danny'emu, żeby przełamać lody i wreszcie przyszła jej do głowy idealna odzywka.

– Danny... – zagaiła nieśmiało – chciałam tylko powiedzieć, że moim zdaniem *Back in Your Eyes* to świetna

piosenka.

Danny przystanął i popatrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.

– To gówno – rzekł. – Wszystkie były gówno warte.

A potem wyjął komórkę z kieszeni i wyszedł.

. – Nie odchódź daleko! – zawołał Jamie. – Za pięć minut będziemy gotowi do następnego ujęcia. Już mamy oświetlenie. Danny zawrócił.

– Jest pora lunchu – powiedział.

– Trochę się spóźniamy ze skompletowaniem sceny – wyjaśnił Jamie.
– Mógłbyś poczekać jeszcze dziesięć minut i podrzucać tekst Emmie w czasie jej zbliżeń?

– Jest pora lunchu – powtórzył Danny i wyszedł. Kiedy kręcili wideoklipy YunGuns, nie oczekiwano od niego, żeby kręcił się w pobliżu, kiedy kamera go nie

filmowała. Mogli się gdzieś pocałować.

– Ja zajmę się tekstem Danny’ego – zaproponowała Stacey.

– To nie będzie konieczne. Sam poczytam – powiedział Ronald. Został, żeby na to wszystko patrzeć z odrażeniem graniczącym z fascynacją. Przeraziło go to, co zobaczył i usłyszał. Jak to możliwe, że Danny Parker odniósł taki sukces, skoro widać jak na dłoni, że nie ma ani krztyny talentu? Odmawiał nazwania tego czegoś aktorstwem. Już on wszystkim pokaże, jak powinno się wypowiadać te dialogi.

Emma nie miała pojęcia, że Danny właśnie zachował się skrajnie nieprofesjonalnie, nie zostając, żeby podrzucić jej tekst, i pewna była, że w jakiś sposób go obraziła, chwając jego piosenkę. Może teraz uda jej się przynajmniej zawrzeć pokój z Ronaldem. Powie mu jakiś komplement. Przecież

mimo wszystko to nie jej wina, że Zoe Langridge nie zagrała w tym filmie.

– To było naprawdę dobre – powiedziała, kiedy skończyli scenę. – Zagrałeś to nawet lepiej niż Danny.

Ronald Gash wyprostował się na całą swoją wysokość i spiorunował ją wzrokiem. Miała wrażenie, że nawet włosy wyprostowały mu się na głowie, dodając mu wzrostu.

– Młoda damo – rzekł spokojnie – gdyby kiedykolwiek powstało mi w głowie, że moje nazwisko zostanie postawione w jednym rzędzie z nazwiskiem tego biadolącego prostaka, odciąłbym sobie język nożem do pieczywa. Żegnam.

Emmie wydawało się, że aktor, odchodząc, owija ramiona niewidzialną peleryną. Kiedy, zastanawiała się, kiedy ja się wreszcie nauczę po prostu trzymać język za zębami.

Kucharze przygotowali na lunch jedzenie w stylu chińskim czy też tajskim – trudno to stwierdzić pod grubą warstwą oleju, pomyślała Liz. Był smażony makaron i kwadratowe tosty z sezamem, miski krewetek w cieście i śliczne zielone warzywa z liśćmi jak oklapnięte królicze uszy. Liz wzięła trochę warzyw i kilka krewetek, bo ciasto łatwo mogła zeskrobać, i zabrała swój talerz do przyczepy garderoby. Musiała pracować w czasie lunchu, naprawić rękaw sztruksowej kurtki Luke’a na następny dzień. Ben siedział w swojej przyczepie i oglądał kopię roboczą, więc nie było większego sensu, siadać z Teksem, skoro Ben nie mógł być tego świadkiem. Szlag ją trafiał, że on tak powoli dostrzega ten romans. Jest zbyt zajęty, pomyślała ponuro, obserwowaniem tego, co wyprawia Emma.

Orlando znalazł próbkę sztruksu w miejscowej fabryce tekstyliów i teraz Liz wycięła trójkąt materiału, żeby zrobić klin. Nawlokła grubą igłę i obrała z ciasta kolejną krewetkę. I tak była tłusta w smaku. Liz odsunęła talerz na bok i wytarła palce do czysta. Złożyła razem dwa fragmenty materiału i kiedy zaczęła starannie zszywać je w rękę, wyjrzała przez okno w samą porę, żeby zobaczyć, jak Emma podchodzi do kontuaru po dokładkę. Ależ się obzera ta dziewczucha, pomyślała Liz z rosnącym poczuciem niesprawiedliwości. Chyba ma żołądek bez dna.

Obserwowała, jak Emma bierze ze stolika dwie kolejne krewetki, macza je w sosie chilli i zjada na jeden kęs. Niemądrze jest stawiać krewetki na słońcu, pomyślała Liz i nagle zastygła z uniesioną igłą, gdy nowy i wspaniały plan zaczął się

materializować w jej głowie.

Emma nie była specjalnie głodna, ale musiała uciec Gilesowi i Aleksowi, którzy jej zadawali zbyt wiele kłopotliwych pytań. Nie usiłowali jej na niczym przyłapać, ale zaczynała zdawać sobie sprawę, że wszyscy mówią tu tylko i wyłącznie o pracy i o ludziach, z którymi dotąd pracowali.

– Robiłaś coś kiedyś z Rayem Winstonem? – pytali na przykład, a ona udawała, że się przez chwilę zastanawia, jakby przeglądała w myślach jakieś wyimaginowane CV, zanim na koniec mówiła:

– Nie, chyba nie.

A potem grzecznie słuchała, jak opowiadają anegdotę o Rayu Winstonie albo historyjkę o Jimmym Nesbitcie, albo ploteczki o jakiejś kolejnej aktorce, którą

wielce podziwiała, a która wywalila z pracy dźwiękowca, bo uznała, że przypięty mikrofon ją pogrubił. Emma nie miała żadnych podobnych historyjek do opowiadania i liczyła się z tym, że wcześniej czy później wyjdzie na jaw, że jest kompletną nowicjuską.

– Kto jest najgorszym reżyserem, z jakim kiedykolwiek pracowałaś? – zapytał ją Alex dziś rano i ledwie udało jej się wykręcić tajemniczym:

– Och, trudno powiedzieć.

Może dostanie punkty na plus za to, że nie jest plotkarą. Nieobecnym wzrokiem objęła bufet zjedzeniem i zdecydowała, że w przyszłości najbezpieczniej będzie siadać z Hugonem. Tak bardzo lubił dźwięk własnego głosu, że w gruncie rzeczy nie oczekiwał, żeby ktoś cokolwiek mówił od siebie.

Przerwa na lunch dobiegała końca, kiedy Liz wreszcie zszyła kurtkę i weszła po schodkach do busu serwującego jedzenie.

Steve wytarł dłonie w kuchenną ścierkę i rzucił się, żeby ją obsłużyć.

– Liz! Tylko mi nie mów, że chcesz deser!

– Hm... Zastanawiam się nad tym.

– Mamy pyszny placek z pekanami. Sam go dziś rano upiekłem.

– No cóż, może wezmę kawałek.

Steve pękał z dumy, jakby sam papież przyszedł na herbatę.

– Bita śmietana? – zapytał.

– Tylko odrobinę. Naprawdę nie wiem, jak ty tu sobie radzisz – powiedziała Liz, przyglądając się maleńkiej klitce z nierdzewnej stali, gdzie pracował Steve i dwaj pozostali kucharze. – Jakim cudem codziennie udaje ci się szykować istne

uczty na sześćdziesiąt osób w tej małej kuchence? To po prostu niewiarygodne.

Steve oderwał kawałek kuchennego ręcznika i wytarł rąbek miseczki, zanim podał Liz deser.

– To nic takiego – powiedział skromnie, ale zarumienił się tak, że wszystkie piegi zlały mu się w jedną plamę.

– Te dzisiejsze krewetki były fantastyczne – ciągnęła Liz. – Mogłabym takie jadać codziennie.

– Możemy zrobić je jeszcze raz, jeśli masz ochotę.

– Och, Steve, nie chciałabym, żebyś sobie robił kłopot.

– Żaden kłopot, skąd. Mogą być znów jutro.

~ A może w sobotę? – odezwała się Liz.

– Taki rarytas na skończenie tygodnia. Będzie czego wyglądać.

– No to sobota. – Steve wziął duży

czerwony notes, który zawierał plan ich codziennych posiłków, przerzucił parę stron, znalazł sobotę i dopisał krewetki. Menu miał z góry zaplanowane na całe tygodnie, ale dla Liz nic nie wydawało się zbyt dużym poświęceniem.

– W cieście – powiedziała Liz.

Krewetki w naleśnikowym, zapisał Steve.

– A jeśli masz wolne w sobotni wieczór, może skoczylibyśmy na drinka? – zaproponowała Liz. To było zgrabne posunięcie, pomyślała. Wisienka na torcie. Kiedy Steve wrócił do pracy przy kuchni, wyrzuciła nietknięty placek z pekanami do kosza.

Po południu mieli do zrobienia wszystkie sceny w biurze Turpina: kapela włamuje się po swoje instrumenty, kapela włamuje się ponownie, żeby je zwrócić,

Turpin otwiera sejf w gabinecie i wyjmując egzemplarz „Racing Post”, Turpin płaci kapeli po ich pierwszym występie i każdemu wręcza pięciofuntowy banknot, a na koniec Emma ukrywa się w szafie Turpina.

W scenie Emmy nie było żadnych dialogów, ale martwiła się tak czy inaczej. Jasmine miała wślizgnąć się do gabinetu Turpina, szukając jego komórki. Kiedy słyszy kroki, chowa się w szafie, przegląda spis numerów w komórce i zapisuje sobie jeden z nich na grzbiecie dłoni. Odkłada telefon z powrotem do kieszeni marynarki Turpina, która wisi w szafie, a chwilę później znajdują ją ludzie Turpina. Nie było tu za wiele do zapamiętania, ale Emma źle się czuła w małych zamkniętych pomieszczeniach, odkąd bracia kiedyś dla żartu zamknęli ją w pojemniku na karmę.

To była wysoka, szara, metalowa szafa,

która przypominała szafki w szatniach, z półką na wysokości głowy Emmy, więc musiała się skulić i wstrzymać oddech, przyciągając drzwi do siebie. Rekwizytor, Phil, przywiązał kawałek sznurka do drzwi, żeby mogła je za sobą zamknąć.

– Spróbuj zrobić to tak, żeby szafa za bardzo nie skrzypiała – poprosił Ben, żałując, że zamiast metalowej nie wzięli szafy drewnianej.

Po klapsie Emma szybko weszła do gabinetu Turpina i zaczęła przeglądać papiery, starając się ignorować mikrofon, który wisiał jej nad głową, kamerę sunącą po szynach zaledwie parę kroków od niej, tłumek ludzi za monitorem i Jamiego, który co chwila patrzył na zegarek.

Rozejrzała się za marynarką Turpina i udała, że dopiero wtedy zauważyła wysoką szafę. Otworzyła ją i włożyła rękę do kieszeni marynarki, szukając telefonu, w

tym samym momencie, w którym Harvey i Arthur, grający Louie Szczęściarza i Bustera, zaczęli biec korytarzem. Emma wskoczyła do szafy i przymknęła drzwi za sobą. Słyszała, jak Harvey i Arthur wpadają do gabinetu, i chciała, żeby się pośpieszyli i ją jak najszybciej znaleźli. Czemu to tyle trwało? Chociaż widziała światło przez trzy ukośne szczeliny w drzwiach szafy, bała się, że zabraknie jej powietrza i zacznie się dusić. Potem Harvey szarpnięciem otworzył drzwi i kamera wyjrzała mu zza ramienia, w samą porę, żeby uchwycić na twarzy Emmy wyraz przerażenia osoby złapanej na gorącym uczynku.

– Nieźle, Emmo – powiedział Ben, ale nie mógł zatrzymać się na dłużej, bo pęcherz pękał mu już od półgodziny. Zapamiętał, że musi podziękować charakteryzacji za dobrą robotę. Pot na

czole Emmy wyglądał jak prawdziwy.

– Och, Jason, to było okropne – opowiadała Emma, kiedy później tego samego wieczoru zadzwoniła do niego. Odkryła, że ze swojego telefonu zasięg łapała wyłącznie tuż przy plaży. – Zamknęli mnie w tej obrzydliwej ciasnej szafce i myślałam, że się uduszę.

– Była taka mała, jak twoja sypialnia? – zażartował Jason.

– Mniejsza! O wiele mniejsza! – Ale zaraz zaczęła się śmiać. Jason zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby ją rozchmurzyć. – Ale to i tak było okropne.

– No cóż, pamiętaj, jak dobrze to wypadnie w filmie – przypomniał jej.

– Och, byłabym zapomniała. Pokazałam reżyserowi twoje zdjęcie i wiesz, co powiedział? Że ciebie też mógłby obsadzić w naszym filmie.

– Co? Zamiast Danny’ego Parkera?

Emmę naszła straszna myśl. To Jason zawsze był tym, który odnosił sukcesy, i nagle przyszło jej do głowy, że za jednym zamachem wyprzedziła go o głowę. Czy jeden niskobudżetowy film kinowy to coś lepszego niż cały serial telewizyjny razem wzięty? Miała paskudne podejrzenia, że to możliwe.

– Może Ben da ci rolę w swoim następnym filmie – podsunęła. Nie chciała, żeby czuł się samotny i zdany wyłącznie na siebie tam, w Sheffield. – Czy nie byłoby cudownie, gdybyśmy mogli razem zagrać w jakimś filmie?

– A jaki on w ogóle jest, ten reżyser?

– Och, naprawdę miły. Dawał mi mnóstwo rad. I ani razu nie stracił panowania nad sobą.

– Wszyscy tacy są na początku – powiedział Jason cynicznie. – Poczekaj

tylko kilka dni.

To samo twierdziła Stacey, przypomniawszy sobie Emma, ale nie mogła sobie wyobrazić Bena wybuchającego gniewem. Zawsze był dla niej uprzejmy. Tak ją podtrzymywał na duchu i wspierał.

– No cóż, sam go poznasz w przyszłym tygodniu. Nie mogę się doczekać twojego przyjazdu. Będzie ci się bardzo podobało. Jest naprawdę słonecznie i jest morze, i te wszystkie śliczne malutkie sklepiki z antykami na The Lanes. Wiesz, co robię dokładnie w tej sekundzie? Spaceruję po plaży.

– Słusznie. Dalej mnie tym kłuj w oczy. A wiesz, co ja teraz robię? Usiłuję nauczyć się roli na jutro – Szkoda, że mnie tam nie ma, żeby ci pomóc.

– Też załuję. Mam w tym tygodniu kupę stron.

– No cóż, to dobrze, prawda? – Teraz

przyszła kolej Emmy podtrzymać go na duchu. Od czasu historii z zawieszeniem (które było bardziej nagłośnione w prasie niż samo zdjęcie, będące jego przyczyną), Jason żył w ciągłym lęku, że któregoś dnia otworzy scenopis i przekona się, że Troy „wyjeżdża do Manchesteru”, co było zwykłym miejscem podróży wszystkich postaci usuwanych z *Shelby Square* – oczywiście, pomijając te, które zostały zamordowane, wpadły pod samochód, spłonęły na wiór w podejrzanych pożarach w klubach nocnych, padły ofiarą porażenia prądem ze sprzętu gospodarstwa domowego, utopiły się w gliniankach, zostały zmiażdżone przez osuwające się ściany domów albo w jakiś inny sposób straciły pracę w serialu.

– Pewnie tak – zgodził się Jason, ale Emma dosłyszała tylko jakieś trzaski.

– O cholera, nic nie słyszą! – Pomachała

komórką nad głową, usiłując odzyskać zasięg. – Słyszysz mnie, Jason?! – zawołała do telefonu. – Zadzwonię do ciebie jutro. Kocham cię!

Nie usłyszała, czy Jason odpowiedział, że też ją kocha, ale i tak była tego pewna.

Rozdział 18

Steve, zarumieniony i spocony, nakładał jajka sadzone, fasolkę w sosie pomidorowym, kiełbaski, pieczarki i kaszankę na białe porcelanowe talerze i wydawał je głodnemu tłumowi. Pora śniadań bywała zabójcza. Był na nogach od czwartej rano i mokre plamy pod pachami jego koszulki miały się wkrótce połączyć z małymi strumyczkami potu spływającego mu po plecach w jeden wielki ocean.

– Cześć, Steve! – zawołała Liz i pomachała do niego żartobliwie pomarańczą.

Steve nie przywykł do tego, żeby Liz zaszczycła go swoją uwagą.

– Mam dziś twoje krewetki! – odkrzyknął.

– Och, Steve, jesteś po prostu niezastąpiony – powiedziała Liz. – Do zobaczenia na lunchu.

Liz miała za sobą kolejną niespokojną noc. Ciało Teksa, przytulone do niej ściśle podczas snu, promieniowało ciepłem, więc pociała się jak mysz.

Wstała wczesnie, włożyła szlafrok i zdjęła szyfonowy szal z posążku Buddy stojącego na okiennym parapecie. Zapaliła dwie trociczki, usiadła ze skrzyżowanymi nogami przed swoim zaimprovizowanym ołtarzykiem i zaczęła intonować cicho: „Nam-Myoho-Renge-Kyo, Nam-Myoho-Renge-Kyo”, tak żeby nie obudzić Teksa. W prawej dłoni trzymała polaroidowe zdjęcie Bena, które poprzedniego dnia zrobiła na planie, kiedy omawiał scenę w szatni z Emmą. Usiłowała zupełnie usunąć z kadru Emmę, ale zdjęcie uchwyciło jej lewe ramię i część głowy. Na szczęście

udało jej się wyciąć ten fragment nożyczkami. To nie było najbardziej udane zdjęcie Bena – migawkę uruchomiła, kiedy się odwracał i jedną dłoń trzymał na czole, przygładzając włosy. Nie dało się tego porównać ze zdjęciami w jej albumie na dnie walizki, ale było to pierwsze zdjęcie, jakie zrobiła mu od czasu ich rozstania, i skoncentrowała się na nim jak najpełniej, intonując mantrę, wyobrażając sobie, że Ben do niej wraca. Tex dalej chrapał, niczego nieświadomy. Kiedy się obudził dziesięć minut później, szybko zdmuchnęła świecę, zakryła Budę szyfonowym szalem i poszła wziąć kąpiel.

– Nie musisz przerywać ze względu na mnie – powiedział Tex. – Lubię ten dźwięk.

Za pierwszym razem, kiedy Tex przyszedł do jej pokoju i zobaczył Budę, był pod wrażeniem. Podobało mu się, że

Liz ma swoją duchową stronę, i szanował ją za to. Liz nie wyjaśniła mu, że została buddystką wyłącznie po to, żeby osiągnąć konkretny cel. Nie powiedziała mu, że zapisałyby się do Koła Młodych Konserwatystów, jeśliby uznała, że to jej pomoże odzyskać Bena.

– Hej, nie dostanę nawet buziaczka? – zawołał Tex za nią, kiedy pomknęła złapać pierwszy minibus, a drzwi za nią trzasnęły. Tex się tylko roześmiał. Wychował się wśród energicznych kobiet i dopóki nie wyjechał z domu, nie zdawał sobie sprawy z tego, że drzwi w ogóle można zamknąć bez trzaskania. Jego trzy siostry i matka, Elza, która wychowała ich wszystkich samotnie i zaszczepiła im bojaźń Bożą, przyjęłyby Liz do rodziny z otwartymi ramionami, jak swoją.

W przyczepie charakteryzacji Głupie

Suczki złościły się, bo wszystkie poprzedniego wieczoru poszły do Honey Club, a Danny i Alex wyszli stamtąd z dwiema dziewczynami, które poznali przy barze. Takie zachowanie było po prostu niegrzeczne, ot i wszystko. Oznaczało brak szacunku. Więc żeby ich ukarać, były dziś rano tym bardziej miłe dla Gilesa.

– Ta twoja dupcia wyglądała na niezły numer – uśmiechnął się Alex z zawiścią. – Miała taki śliczny mały tyłeczek i piersi wielkie jak... – Alex obrysował ich kształt w powietrzu, szukając właściwej metafory, ale nie znalazł słowa, które by mu odpowiadało. – No cóż, były zupełnie niesamowite.

– Dobra, jesteś gotowy – powiedziała Bex, ścierając z dłoni żel do włosów. W tej samej chwili, w której się odwróciła, Danny pochylił się do lustra i zaczął sobie stroszyć włosy palcami.

– Nie rób tego – skarciła go. – Dopiero co skończyłam. Co rano to samo.

– Tak, bo ty nigdy nie robisz tego dobrze – powiedział Danny.

– Powinni za to płacić mnie, nie tobie.

Zaczynał mieć serdecznie dość jasnych włosów, bo nikt go nie rozpoznawał. Mógł iść ulicą, mógł wejść do klubu – i nic. Żadnych krzyków, żadnych omdleń, zero reakcji.

– A przy okazji, dziewczyny, która z was chciałaby zostać moją byłą?

– Twoją byłą? – spytała Tracey.

– W filmie. Która chce się pokazać w filmie?

Saskia desperacko chciała pokazać się w filmie. Zazwyczaj na planie udawało jej się trafić małą scenkę w charakterze statystki.

– Może... – zamruczała jak kotka. – A co musiałabym zrobić?

– No cóż, organizuję przesłuchanie dla

dziewczyn, które chcą zostać moją eks. Bądź w Sali Króla Jerzego dziś o ósmej trzydzieści.

– Jezu Chryste – mruknął Hugo. – Z kim się trzeba przespać, żeby wydostać się z tego filmu?

To był pierwszy dzień zdjęć w pustym mieszkaniu, które kapela zajmowała na dziko, i ludzie dosłownie się o siebie potykali, kiedy usiłowali przygotować plan do dwóch pierwszych scen w łazience. Poprzedni właściciel zachował się wyjątkowo bezmyślnie i umarł przed wiosennymi porządkami, więc całe mieszkanie pachniało mokrym psem. A teraz Hugona ugryzła pchła.

– Nie cierpię kręcić w tych zakazanych małych klitkach – jęknął, kiedy przełaził przez Kevina, który kładł kable w drzwiach.

– Dlaczego nie kręcimy tego w studiu?

Danny kazał Poppy, niedawno awansowanej na zastępcę kierownika działu scenografii, dwa razy wyszorować wannę środkiem dezynfekcyjnym, zanim do niej wszedł.

– Mimo wszystko – powiedział, kiedy zauważył, że wysiłki Poppy nie zrobiły żadnej różnicy podejrzanym żółtym plamom na ściankach wanny – daj mi lepiej worek na śmieci, usiądę sobie na nim.

Miał na sobie kąpielówki, bo w scenie widać go było tylko od pasa w górę, a on nie chciał złapać żadnych bakterii po staruszku.

– A co to ma być? – zapytał, kiedy Phil wręczył mu kawałek bursztynowego w kolorze mydła.

– To jest mydło.

– Nie. Eddie by tego nie używał. To

mydło dla dziewczyn.

Poppy została zatem wysłana do drogerii na rogu po parę sztuk mydła Imperial Leather, które zdaniem Danny'ego stanowiło ulubioną markę Eddiego.

– Posłuchaj, Eddie – powiedział Ben. – Jest późna pora. Jesteś przerażony. Przez cały dzień usiłowałeś uciec ludziom Turpina...

– No to dlaczego siedzę w wannie? Gdybym się bał, tobym chodził po mieszkaniu, nie mógłbym sobie miejsca znaleźć...

– Tak, ale jest ci gorąco i spociłeś się – wyjaśniał Ben jak najspokojniej. – Owszem, jesteś też zmęczony. Potrzebujesz relaksu i chcesz wymyślić jakiś plan. Więc leżysz w wannie i wtedy zauważasz dziurę w ścianie, tam gdzie brakuje kafelków.

– A gdybym chodził po łazience? Nie mógłbym wtedy jej zauważyć?

– To bardzo dobry pomysł, Danny – powiedział Ben pojednawczo. – Ale skoro już mamy ustawiony ten plan, może najpierw zrobimy scenę w wannie, a potem, jeśli zostanie nam czasu, spróbujemy nakręcić ją inaczej.

– A jak on chciałby chodzić po tej łazience? – mruknął pod nosem Ryan, który musiał usiąść na parapecie okna, jedną nogę stawiając na rezerwuarze, żeby spojrzeć w obiektyw. Poczuli, że coś go gryzie w nogę, ale gdyby sięgnął ręką i się podrapał, kamera wpadłaby do wanny.

Wreszcie, po licznych problemach z oświetleniem, temperaturą wody do kąpieli Danny’ego i tym, że Billy nie miał gdzie stanąć z mikrofonem, żeby jednocześnie nie rzucać cienia na białe kafelki, bardziej gotowi już być nie mogli.

– Akcja! – zawołał Ben, który kucnął niewygodnie w przejściu, z monitorem na kolanach, a Danny z pochmurną miną rozłożył się w wannie i bez pośpiechu mydlił ręce, gdy tymczasem bezcenna taśma filmowa biegła naprzód.

Sytuacja była jeszcze gorsza w scenie sto osiemnastej, kiedy cała kapela i Jasmine musieli się zmieścić w łazience jednocześnie. Chłopcy usiłują przykleić brakujące kafelki na ścianę łazienki, a Jasmine odczytuje instrukcje z książki dla majsterkowiczów. Jak na zawołanie, kiedy mieli już zacząć kręcić, z mieszkania obok rozległ się ryk drum and bass, od którego zawibrowały ściany.

Tex zdjął słuchawki i pokręcił głową:

– Nie da się – powiedział. – Przy tym czymś nie uzyskam żadnego ludzkiego dźwięku.

Jamie wyjął z portfela banknot

dziesięciofuntowy i podał go Timowi.

– Idź obok i poproś faceta, żeby przestał chociaż na piętnaście minut, aż skończymy ujęcie.

Kolana Bena zatrzeszczały, kiedy z trudem wstał, żeby udzielić aktorom paru wskazówek.

– Giles, czy ty mógłbyś się czymś zająć? Może poczytasz, co jest napisane na paczce z klejem? – Usiadł na krawędzi wanny i potarł sobie kark. – Robię się na to za stary – poskarżył się.

Emma lekko pomacała go po karku.

– Coś ty robił? Mięśnie masz jak beton! – powiedziała i odruchowo zaczęła je rozmasowywać – jedna z pożytecznych umiejętności, które zdobyła w salonie.

– Dobra, kochani, zapomnijmy o filmie – westchnął Ben. – Czas na dopieszczanie reżysera. – Zamknął oczy, z wdzięcznością poddając się masażowi i pomyślał, że

mógłby zasnąć tak, jak siedzi. Nie zauważył zatem, że Liz weszła do łazienki poprawić kostiumy i zastała go, rozpartego na wannie z błogim wyrazem twarzy, gdy Emma palcami rozmasowywała mu zeszywniałe mięśnie karku i ramion.

– Cudownie – mruzczał. – Powinnaś to robić zawodowo, wiesz?

Oczy Liz zabłysły, odwróciła się na pięcie i wyszła, bardziej zdeterminowana niż kiedykolwiek, żeby zabić ten romans w załążku, zanim będzie za późno.

Piętnaście minut później, kiedy muzyka nie ucichła, a Tim nadal nie wracał, pozostali nie wiedzieli, czy się niecierpliwić, czy martwić.

– Myślisz, że wszystko w porządku? – spytała Georgina, wyglądając przez okno. – Może trzeba pójść i go poszukać...

– Gdzie Pierś? – spytał Hugo. – To on odpowiada za plenery i powinien zająć się

tą sprawą.

Miejsce pobytu Piersa stanowiło wiecznie nieodgadniona zagadkę dla reszty ekipy. Widywali go przy śniadaniu, kiedy wpuszczał ich na plan, a potem zwykle można było liczyć na to, że pojawi się na lunchu. Po zakończeniu zdjęć przychodził zwinąć plan, ale przez całą resztę dnia niezwykle trudno było go namierzyć. Hugo miał teorię, że Pierś popołudniami wymyka się do hotelu na drzemkę.

– To jakiś DJ – powiedział Tim, kiedy wreszcie wrócił. – Mówi, że próbuje swoje miksy na dzisiejszy wieczór i jeśli chcecie, żeby przestał, będzie to kosztować pięćdziesiąt funtów.

– Sępy! – zagotował się Hugo. – Jak tylko zwęszą filmowców, cała ulica zaczyna z miejsca kosić trawniki, bo wiedzą, że mogą się domagać pieniędzy za to, że przestaną. Zapłać mu. Nawet nie

warto się wykłócać.

Jamie wyciągnął dwudziestkę i musiał pożyczyć resztę pieniędzy od Georginy, żeby suma się zgodziła. Tim zabrał kasę, zastanawiając się, jakim cudem stać ich, żeby dawać facetowi z sąsiedztwa pięćdziesiąt funtów za pięć minut ciszy, jeśli nie mogli mu zapłacić złamanego pensa za cały film. Może w przyszłe wakacje, zamiast szukać pracy gońca, powinien jeździć po kraju za ekipami filmowymi ze sprzętem grającym i domagać się gotówki. Zarobiłby fortunę.

Kiedy znów zapadła cisza, ekipa zajęła swoje pozycje w łazience. Giles czytał pod nosem instrukcję z opakowania kleju do kafelków, Luke delikatnie bębnił pałeczką w brzeg wanny swoją zdrową ręką, Danny usiłował przeczesać sobie włosy packą do rozprowadzania kleju, a Alex docisnął pierwszą płytkę do ściany.

– Nie cierpię tego pieprzonego planu – powiedział Hugo, żeby podtrzymać innych na duchu. Ryanowi noga kompletnie już zdrętwiała.

– Akcja!

Emma zaczęła głośno odczytywać fragment podręcznika dla maj Sterkowiczów:

– Jeśli kafelki nie są wyposażone w kratkę wyznaczającą odstępy, należy zastosować plastikowe separatory. Gdy ich nie mamy, można użyć zapalek, umieszczając je między sąsiadującymi płytkami.

– Czy myśmy czasem nie widzieli *Kosmicznych Separatorów* w Glastonbury w zeszłym roku? – powiedział Luke, a potem Ben nagle usłyszał surrealistyczny dźwięk motywu przewodniego z *Gwiezdnych Wojen*. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że to jakiś znak od jego

bóstwa, George'a Lucasa, ale potem zdał sobie sprawę, że dzwoni czyjaś komórka. Wszyscy jęknęli, lecz rozległo się też kilka śmiezków, kiedy ludzie zastanawiali się, który to taki biedny kretyn. W regulaminie planu powiedziane było jasno, że komukolwiek zadzwoni na planie komórka, winowajca zapłaci dziesięć funtów kary. Danny upuścił paczkę do kleju i wychylił się z wanny, żeby podnieść telefon leżący obok na podłodze.

– Cięcie! – wrzasnął Jamie.

– O, cześć! – mówił Danny. – Nie, nie, nie ma sprawy... Nie, jeszcze właściwie nie zaczęliśmy... – Oparł się na krawędzi wanny i podnosząc jeden palec, odezwał się do Jamiego: – Sekundę. Proszę mi teraz nie przeszkadzać. Dobra... Dobra... A o jakich pieniądzach mówimy?... No, a ja jestem wtedy wolny?... . Taa... Przyślij mi to tutaj, rzucę okiem... Ale daj im znać, że

jestem zainteresowany.

– Nie-wia-ry-god-ne – westchnął Hugo.

– Może byłoby dobrze, gdybyś zostawiał komórkę w swojej przyczepie...

– zasugerował dyplomatycznie Jamie. – Wtedy nie musiałbyś zawracać sobie głowy pamiętaniem, żeby ją wyłączyć.

– Dzwonił mój agent – stwierdził Danny, jakby to wyjaśniało wszystko. – Ważna sprawa.

Zatem nie ma sensu prosić go o dziesięć funtów, pomyślał Jamie.

– Wiesz, co powinieneś był zrobić? – powiedział Hugo do Bena, kiedy wreszcie zrobili przerwę na lunch. – Powinieneś był im kazać znaleźć dziurę w ścianie kuchni, nie łazienki. W kuchni jest mnóstwo miejsca.

– Świetnie. Dzięki za odpowiedź. – Ben zgrzytnął zębami. – Szkoda, że nie pomyślałeś o tym miesiąc temu, kiedy

robiliśmy tu rekonesans.

Emma wróciła do przyczepy z garderobą razem z Liz, żeby się przebrać.

– Ja już skończyłam na dzisiaj. Chyba pójdę na zakupy.

– Ale zostaniesz jeszcze na lunch, prawda? – zapytała Liz, usiłując nie okazywać, jakie to dla niej ważne, żeby Emma na razie nie wychodziła.

– Nie wiem. Dziś rano zjadłam bardzo solidne śniadanie.

– No cóż, tak... Teraz tak ci się wydaje, ale za dwie godziny znów będziesz głodna i skończy się na tym, że opchasz się hamburgerami. A to niezdrowo.

– Nie, masz rację. – Emma wzruszyła się, że inni ludzie tak się przejmują jej dobrem.

– Powinnaś pilnować regularnych pór posiłków albo poziom cukru we krwi zacznie ci strasznie skakać.

To zamknęło sprawę. Emma została na lunch. Przebrała się i poszła dołączyć do długiej kolejki pod busem kuchni.

– Zajmij mi miejsce w środku – poprosiła ją Liz.

Kiedy Emma poszła, Liz otworzyła szufladę szafki i wyjęła małe zawiniątko, pieczołowicie opakowane w plastikową piankę, a potem delikatnie rozwinęła i umieściła w kieszeni swojego kardigana.

Dołączyła do kolejki po lunch, która przesuwawała się wzdłuż lady, gdzie wydawano posiłki, uważnie patrząc na półmisek krewetek, stojący na bufecie. Miała nadzieję, że Steve przygotował ich wystarczająco dużo. Nie chciała, żeby się skończyły, zanim dojdzie do lady, i wpadła w panikę, kiedy zobaczyła, że Hugo żarłocznie nakłada sobie sześć sztuk. To takie do niego podobne. Do czasu, kiedy jej kolejka przesunęła się pod bufet,

zostały już tylko dwie. Sięgnęła po nie w tej samej chwili, co Giles.

– Weź je, proszę – zaproponował uprzejmie, a Liz w milczeniu podziękowała matce Gilesa za wychowanie tak kulturalnego młodego człowieka. Położyła dwie krewetki na brzegu swojego talerza z ogonkami skierowanymi w górę, a obok nich nałożyła porcję mieszanej zielonej sałaty. Ale potrzebowała jeszcze trochę jedzenia, żeby jej to uszło na sucho.

Z niechęcią zerknęła na menu gorących dań. Makaron z kurczakiem i orzeszkami nerkowca, wieprzowina słodko-kwaśna albo smażony ryż z warzywami.

Zamówiła smażony ryż, czym uradowała Steve'a do nieprzytomności. Z kuchni rozaczał się dziwny zapach, który Liz poprawnie zidentyfikowała jako wodę Aramis.

– No to jak, nasz drink wieczorem aktualny? – zapytał Steve, piętrząc na jej talerzu podwójną porcję.

– Och, Steve, tak mi przykro, nie dam rady. Coś mi nagle wypadło.

Zignorowała jego rozczarowanie i odchodząc od lady, wsunęła rękę do kieszeni. Życie jest jak partia szachów, pomyślała, i czas, żeby rzuciła do ataku swojego... pionka.

Z przyjemnością zauważyła, że dzięki otoczce z ciasta krewetka pozostała ze środowego lunchu nadal wyglądała identycznie jak te, które przed chwilą położyła na swoim talerzu. Umieściła ją delikatnie na liściach sałaty, żeby na pewno się nie pomylić. Emma zajęła dla niej miejsce przy stole z Alekssem i Lukiem.

– To będzie rewelka. – Alex mówił o wycieczce jachtem. – Prognoza pogody na

jutro zapowiada słońce, słońce i jeszcze raz słońce.

– Po południu kupię sobie nowe bikini – wypaliła Emma. Moje stare nie nadaje się chyba na jacht.

– Pozwól, że ja tu będę sędzią, kochanie – powiedział Alex.

– Jestem taka podekscytowana. Nigdy jeszcze nie żeglowałam – przyznała Emma. – Pomijając szkolną wycieczkę promem na wyspę Wight.

Liz tymczasem zapoznawała się na nowo ze smakiem ciasta smażonego w głębokim tłuszczu – dobrze zapamiętanym ze szkoły. Co za obrzydlistwo. Jak smażony klej. Z przygnębieniem przeżuwała każdy kęs, a potem zabrała się za ryż, pływający w tanim oleju z orzeszków ziemnych; całe lata zdrowego odżywiania szlag trafiał za sprawą paru machnąć widelcem. Już czuła, że jej jelito

grube puchnie z szoku. Lepiej, żeby było warto, pomyślała ponuro i z przyjemnością zauważyła, że Emma już zdążyła zjeść swoje krewetki.

Liz odłożyła widelec i ostentacyjnie westchnęła.

– Dosyć, jestem najedzona po uszy – oświadczyła i zdziwiła się, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie po raz pierwszy od lat wypowiedziała te słowa całkiem szczerze. – Nie masz ochoty na moją krewetkę, Emmo? Nie dam rady zjeść już ani odrobiny.

– Chętnie ją wezmę, jeśli ty nie chcesz – powiedział Alex, wyciągając rękę, ale Liz zdążyła zabrać mu talerz poza zasięg widelca.

– Nie bądź taki zachłanny! – powiedziała i żartobliwie klepnęła go po dłoni. – Sam masz jeszcze dwie!

– No cóż, jeśli nikt inny nie ma na nią

ochoty... – powiedziała Emma i wzięła ostatnią krewetkę leżącą na swoim poślaniu z sałaty. Umaczała ją w sosie chilli z boku swojego talerza i wsunęła do ust. Nie była tak chrupiąca jak poprzednie, ale to pewnie dlatego, że leżała na sałacie.

Liz obserwowała, jak Emma rytmicznie przeżuwa trzydniową krewetkę i całą jej otoczkę z ciasta, a potem wstrzymała oddech, aż delikatny ruch grdyki zaświadczył, że przełknięta masa rozpoczęła swoją długą i urozmaiconą podróż przez przełyk Emmy, w głąb jej układu trawiennego.

Liz klasnęła w ręce z satysfakcją.

– No jak? – spytała. – Kto chce kawy?

Po lunchu kapela wróciła do swojego mieszkania, pracując w ostrym tempie, żeby nakręcić trzy dalsze sceny. Najpierw scenę w saloniku, gdzie siedzieli nad

zimną fasolką w sosie pomidorowym na tostach i narzekali na brak gotówki. W kolejnej scenie Ollie podlewał sztuczny kwiatek i z czułością przestawiał go po całym pokoju, szukając miejsca, gdzie będzie miał najwięcej światła. A kiedy się tym wszystkim zajmowali, dział scenografii pracował zawzięcie, mniej lub bardziej profesjonalnie kończąc kładzenie kafelków. Ostatnia scena na ten dzień przewidywała Eddiego znów w wannie, tym razem bardzo z siebie zadowolonego, kiedy przygląda się swoim nowym kafelkom.

– Trzeba było umieścić scenę w kuchni – powtórzył Hugo i Ben przysiągł sobie, że skreśli go z listy osób, którym wysyła kartki na Boże Narodzenie.

Tymczasem poszukiwanie idealnego bikini trwało aż do wpół do szóstej, kiedy

Emmę przygięła do ziemi potężna fala mdłości. Skóra oblała jej się lepkiem i zimnym potem, czoło za to gorącym. Kiedy wyszła na świeże powietrze na East Street, wszystkie te wrażenia przyćmiła nagle i nieodparta potrzeba udania się do toalety w ciągu najbliższych dziesięciu sekund. Pobiegła do kawiarni na drugą stronę ulicy, nawet nie zatrzymując się, żeby zapytać kelnerkę, czy może skorzystać z łazienki, ale wdała się na zaplecze, szepcząc: „Przepraszam, przepraszam” i zbiegając po schodach do damskiej toalety, gdzie z ulgą zatrzasnęła drzwi i nie wyszła z kabiny aż do szóstej, kiedy właścicielka zeszła na dół zapytać, czy nic jej się nie stało, bo chcieliby właściwie już zamykać.

Kiedy Liz wróciła do hotelu o wpół do ósmej, Belinda wręczyła jej sporą paczkę.

– To dzisiaj dla ciebie przyszło. Prosto z Ameryki. Coś ciekawego?

– Tylko książki – powiedziała Liz i zaniósła duże białe kartonowe pudełko oznaczone stemplami amerykańskiej odprawy celnej i naklejkami przesyłki ekspresowej do swojego pokoju. Buddyizm buddyżmem, ale w sytuacjach podbramkowych trzeba dzielić ryzyko. Człowiek musi mieć coś w odwodzie.

Powiesiła wywieszkę Nie przeszkadzać, upewniła się, że dobrze zamknęła drzwi, i oddarła taśmę oklejającą karton.

Po pokoju natychmiast rozszedł się słodki aromat zawartości. Odwinęła białą bibułkę i rozwiązała złotą rafię, którą obwiązano wewnętrzne plastikowe opakowanie. Rozłożyła poszczególne przedmioty wokół siebie na łóżku, każdy oglądając z ożywieniem i ciekawością: malutką torebeczkę ziół, które wyglądały

jak drobno posiekane siano, miniaturowe stożki czarnego kadzidła, czerwoną świecę, mieszankę piasku i delikatnie połyskliwego brokatu, dwie fiołki z olejkiem, długi, zakręcony srebrny szpon i najwspanialszą rzecz – woskową figurkę kobiety o długości mniej więcej dwudziestu centymetrów.

To zadziwiające, co dzisiaj można kupić w Internecie, pomyślała Liz.

– A czego konkretnie dotyczy to spotkanie? – zapytała Stacey. Rozłożyła swoją papierkową robotę na stole w Sali Króla Jerzego i usiłowała wyliczyć nowy, przybliżony czas trwania filmu.

– Nie wiem – odparła Georgina. – Poppy powiedziała tylko, że chce nas tu wszystkie poprosić. Coś na temat scenografii.

– No a gdzie reszta? – spytała Flick.

– Lepiej, żeby pojawili się zaraz – powiedziała Georgina. – Dziś wieczorem jadę do domu, do Kent.

Dziewczyna, której żadna z nich dotąd nie знаła, o długich ciemnych włosach i biuście w rozmiarze 36D, który w każdej chwili groził rozerwaniem zapiętego na suwak białego topu, siedziała po drugiej stronie pokoju, w zamyśleniu oblizując wargi.

Danny i Głupie Suczki przyszli jednocześnie – rozchichotani, popijali szampana z kieliszków do wina – a za nimi wkroczyła Poppy ze swoją cyfrową kamerą.

– To już wszystkie? – zapytał Danny. – Tylko tyle udało ci się znaleźć?

– Sam powiedziałeś, że wszystkie inne są za stare – przypomniała mu Poppy.

Dziewczyna w białym topie poderwała się i pocałowała go na przywitanie.

– O, cześć, laleczko – przywitał ją. Zapomniał już, że kazał jej tu przyjść dziś wieczorem, i nijak nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Kelly? Czy raczej Claire?

Billy siedział w kącie, pojadając chipsy z paczki.

– Co ty tu robisz? – spytał ostro Danny.

Billy zrobił niemądrą minę.

– Słyszałem, że jest zebranie.

– Tylko dla dziewczyn – powiedział Danny i przytrzymał drzwi wychodzącemu Billy’emu.

– Danny, o co tu konkretnie chodzi? – zapytała Georgina, zaczynając się niecierpliwić. – Mamy za sobą męczący dzień.

– Musimy zrobić zdjęcia byłych dziewczyn Danny’ego – wyjaśniła Poppy. – Jako rekwizyt do jednej ze scen.

– No więc, mam do was parę pytań,

zanim zdecyduję, które wybiorę – zaczął Danny.

– O Jezu Chryste... – mruknęła Georgina i zaczęła wkładać zakiet. – Nie mam czasu na te bzdury.

– I tak nie jest wystarczająco zgrabna – powiedział Danny do Poppy. – A teraz, Flick... – ciągnął – gdybyś spotykała się z Eddiem, jakie rzeczy lubilibyście razem robić?

Flick usiłowała nie wybuchnąć śmiechem.

– Nie wiem. Chodzenie do kina, dubbing, plaża, jedzenie na mieście. To co zwykle.

– A jaki masz rozmiar?

– Ja? Noszę dwunastkę.

– Nie, chodziło mi o rozmiar stanika.

– 34C. Czemu pytasz?

– A twoim zdaniem, dlaczego ty i Eddie zerwaliście ze sobą?

– Różnice w gustach muzycznych? –
podsunęła Flick.

Danny pokiwał głową z aprobatą.

– Mogłabyś się dla mnie przejść po sali?

– Proszę?

– Mogłabyś się przejść po sali?

Flick wstała i przespacerowała się po dywanie, zazdrośnie obserwowana przez Saskie, Bex i Tracey, które usiłowały wymyślić własne odpowiedzi na pytania Danny'ego.

– Okay. Teraz ty, Stacey... – powiedział Danny. – Gdybyś chodziła z Eddiem, jakie rzeczy lubiłabyś z nim robić?

Stacey nie przerywała oddzielania liniami fragmentów scenariusza. Nawet nie podniosła głowy.

– Hm, trzeba by się zastanowić. Wiązanie, sado-maso, tortury, flagellacja, rytualne kolczykowanie ciała... To co zwykle.

Danny z trudem przełknął ślinę.

– A czemu, twoim zdaniem, rozstaliście się z Eddiem?

– O kurczę. No, nie wiem, Danny. – Stacey uśmiechnęła się i zamknęła skoroszyt. – Może dlatego, że jestem lesbijką? – Zebrała swoje rzeczy i wyszła z pokoju, kręcąc głową.

Danny zamrugał oczami i usiłował ukryć zdziwienie.

– No cóż, wystarczy to, co mamy – powiedział do Poppy, wskazując Flick, Głupie Suczki i dziewczynę w białym topie. Może Kathy? – No i jeszcze ty. Chyba też się nadasz.

Liz otworzyła broszurkę z instrukcjami voodoo. To biała magia! – krzyczał duży napis na pierwszej stronie. Nie próbuj wyrządzać krzywdy drugiemu człowiekowi, bo przekonasz się, że twoje

działania obróćą się przeciwko tobie.

– Bla, bla – powiedziała Liz. – I tak dalej.

I przeszła do strony trzeciej, gdzie wyjaśniano, w jaki sposób ustawić ołtarzyk.

Trzeba było powycinać z papieru dziwaczne symbole i miała codziennie zostawiać duchom voodoo trochę czekolady i koniaku na rozstaju dróg. Sprawdziła szybko zawartość minibarku i zastanowiła się, czy duchy zadowolą się miniaturkami. Spiralnym szponem uważnie wydrapała własne imię na czerwonej świecy i zaznaczyła dziewięć linii w poprzek długości, dzieląc ją na dziewięć dni.

Potem zajęła się woskową laleczką, starannie nacierając ją olejkiem, po tym, jak już ją ochrzciła. Znów biorąc do ręki spiralny szpon, wydrapała na wosku imię

Emmy i przekreśliła je dziewięcioma poziomymi liniami. Woskowe piersi i pośladki laleczki były zaznaczone znacznie wyraźniej niż u Emmy, ale pewna była, że figurka spełni swoje zadanie. Potem, zgodnie z nakazami instrukcji, wyobraziła sobie Emmę i Bena oraz dzielący ich szeroki ocean, którego nigdy nie zdołaliby pokonać. Uśmiechnęła się do siebie, szczęśliwa, że znów ma kontrolę nad własnym przeznaczeniem. To był bardzo dobry plan.

– Jaka szkoda, że musiałas zrezygnować z tej wycieczki jachtem – powiedziała Liz następnego dnia rano. Siedziała w fotelu obok łóżka Emmy, nalewając dla niej nieco letniej wody z dzbanka na herbatę. – Napij się troszkę – poleciła. – Nie wolno ci się odwodnić.

– Och, Liz, po co to? I tak za pięć minut

wszystko zwymiotuję.

Emma spędziła cały sobotni wieczór i większość niedzielnego poranka, biegając do toalety, nigdy niepewna tego, który koniec tym razem odmówi posłuszeństwa. Ale i tak zaczęła popijać wodę, wdzięczna Liz za to, że zrezygnowała ze swojego wolnego dnia, żeby się nią opiekować. Pielęgniarka dała jej tabletki przeciw biegunce, ale Emma wołała jak najszybciej pozbyć się toksyn zalegających w organizmie.

– Nijak nie mogłabym pojechać dzisiaj na tę wycieczkę – jęknęła. Wyobraziła sobie, jak spuszcza wodę w toalecie na jachcie i za jednym zamachem zabija całe morskie życie na południowym wybrzeżu. Zbyt obrzydliwe, żeby o tym myśleć. – Ale mam szczęście, że to się zdarzyło w mój wolny dzień, a nie wtedy, kiedy powinnam pracować.

– To prawda – zgodziła się Liz i otarła czoło Emmy zimnym, mokrym ręcznikiem. Idealnie odmierzyła to zatrucie pokarmowe Emmy. Na tyle poważne, żeby utrzymać ją z dala od Bena, ale nie aż tak, żeby zakłócić pracę nad filmem. Mimo wszystko nie miała zamiaru sabotować własnej kariery – to by nie było produktywne. Do czasu, kiedy zostanie panią Lincoln, chciała, żeby Ben odniósł już znaczący sukces.

– Kim powiedziała, że do jutra mogę się już czuć na tyle dobrze, żeby wziąć udział w zdjęciach.

– No cóż, nie martw się tym teraz. Film poczeka. Najważniejsze, żebyś doszła do siebie.

– Dzięki, Liz – szepnęła Emma. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Paradowałabyś po jachcie w bikini na oczach Bena, ot co, pomyślała Liz, ale

tylko uśmiechnęła się i poklepała Emmę po dłoni.

– Daj spokój – powiedziała. – Od czego są przyjaciele?

Flick znów zlitowała się nad Ronaldem Gashem i zabrała go w niedzielę wieczorem na kolację. Nie mogła pojąć, czemu zrezygnował z proponowanej mu przez Gilesa wycieczki jachtem i wolał cały dzień snuć się po hotelu, czytając gazety.

– Chcieliby państwo zerknąć na menu deserów? – zapytał kelner.

– Ja dziękuję – powiedział Ronald. – A ty, Flick? Masz ochotę na deser albo kawę?

Flick, pomyślał. Co za idiotyczne imię. Jaki rodzic uszczęśliwiłby własne dziecko imieniem Flick? Czy to jakieś zdrobnienie? Może od Felicity.

– Ja też dziękuję. Poprosimy o rachunek
– powiedziała do kelnera i Ronald zastanowił się, czy ona mu pozwoli zapłacić za cały posiłek, czy też wprawi go w zażenowanie, nalegając na płacenie pół na pół. Kolejne wyrażenie, którego nie znośli.

Ale kiedy przyniesiono rachunek, Flick powiedziała tylko:

– Dzięki. Następnym razem ja stawiam.
– I uśmiechnęła się, kiedy podpisywał wydruk z karty kredytowej.

– Miałbyś ochotę przejść się nad morze?
– zapytała, kiedy wyszli z restauracji.

Ronald nie miał ochoty na spacer, ale pozwolił się poprowadzić wąską alejką, która prowadziła nad morze, przecinając główną drogę i potem nadmorską promenadę. Chciał już ruszyć z powrotem w stronę hotelu, ale Flick szła uparcie w stronę plaży.

– No chodź, wieczór jest cudowny. Popatrzmy chwilę na morze, zanim wrócimy.

Usiadła na murku, przerzuciła nogi na drugą stronę. Potrzebowała bliskości morza, tak jak inni ludzie potrzebują powietrza do oddychania. Kiedy tydzień temu przyjechała do Brighton, a Patrick pokazał jej plażę, śmiała się przez pełne pół godziny.

– Ty to nazywasz plażą? – parsknęła. – A co tu robią te wszystkie kamienie?

Na plaży w domu mogła ruszyć na spacer w dowolną stronę i iść godzinami, zanim skończył się jasny piasek. A wieczorami patrzyła, jak niebo oblewało się krwistą czerwienią, a słońce zanurzało w falach. Wytrzymała w Anglii dwie zimy, ale jeszcze nigdy nie tęskniła za domem tak jak tego lata, patrząc na ludzi stojących na beżowoszarych kamieniach plaży w

Brighton i łądzących się, że to świetna zabawa.

Ronald usiadł obok niej z nieco mniejszym wdziękiem. Pamiętał, jak z Mariannę spędzili kiedyś dzień w Brighton niedługo po ślubie. Usiłował sobie przypomnieć, po co tu przyjechali, ale to było ponad czterdzieści lat temu.

Flick zauważyła jego zmartwioną minę i zrozumiała, co powinna zrobić.

– Słuchaj, Ronaldzie – powiedziała, nagle poważniejąc. – Wydajesz mi się niezbyt szczęśliwy i sądzę, że mogłabym ci pomóc.

Ronald nie wiedział, czy ma się czuć mile połączony, czy zacząć się bać. Przez lata przywykł do kobiet oferujących mu siebie – wiedział, że raczej jego sława je przyciąga niż jego ciało – ale już od wielu, wielu lat nie otrzymał podobnej propozycji od dziewczyny w tak młodym wieku jak

Flick. Nawet gdyby ciało chciało, próżność nie pozwoliłaby mu wystawić swojej zwiotczalej skóry na tak surową, młodocianą ocenę. Od śmierci Marianny nie było nikogo.

– Moja droga, bardzo mi pochlebiasz – powiedział łagodnie. – Aleja mógłbym być twoim dziadkiem.

– Ile masz lat? – spytała.

– Sześćdziesiąt dwa – odpowiedział zgodnie z prawdą. To jeszcze nie starość. Ale Mariannę miała zaledwie pięćdziesiąt siedem, kiedy umarła, i to dopiero był żaden wiek. – A ty?

– Dwadzieścia sześć. Mój dziadek ma chyba po siedemdziesiątce. Mam tylko jednego. Drugi już nie żyje.

Ronald zastanawiał się, czy ta wiadomość ma go jakoś podnieść na duchu, i zauważył, że Flick wyciąga do niego rękę. Dzisiejsze młode kobiety są

doprawdy zadziwiająco bezpośrednio. Czy ona oczekiwała, żeby ją wziął za rękę, czy też miał tę rękę pocałować? – zachodził w głowę. I wtedy zauważył w zagłębieniu jej dłoni małą białą tabletkę. Wyglądała jak aspiryna.

– Boli cię głowa? – zapytał.

– To ekstaza – wyjaśniła. – Wiesz, co to jest?

– Oczywiście, że wiem, co to jest – odparł. Jego „Telegraph” bywał pełen historii o narkotykach – zwykle opatrzonych zdjęciami nastolatków podłączonych do aparatury podtrzymującej życie i innymi zdjęciami, obrazującymi ich uśmiechnięte szczęśliwe buzie, kiedy jeszcze zdawali swoje egzaminy przed wpadnięciem w szpony nałogu. Nastolatki brały ekstazę, szły na dyskotekę i albo tańczyły do upadłego, albo zostawały ćpunami lub prostytutkami sprzedającymi

się, żeby zapłacić za heroinę, crack i kokainę. To był dobrze znany fakt. –
Wiem wszystko o ekstazie – powtórzył.

– A brałeś to kiedyś?

– Oczywiście, że nie – odparł zaszokowany i zły, że ośmieliła się w ogóle coś podobnego sugerować. –
Uważasz mnie za idiotę?

Koniak bywał jego słabością, czasami whisky, i lubił też dobrego clareta albo burgunda. Ale najbardziej lubił hine – tę samą markę, co Winston Churchill. Od śmierci Marianne nabrał zwyczaju wypijania czterech do pięciu szklaneczek co wieczór, zanim zapadał w ciężki, niedający wypoczynku sen, który kończył się przedwcześnie, alkoholową pobudką o świcie, dokładnie z wybiciem czwartej. Ale bez koniaku w ogóle nie zdołałby zasnąć.

– Pewnie by mnie to zabiło – skarcił ją,

a podświadomość dodała po cichu, że byłaby to upragniona ulga.

Przez chwilę wpatrywał się w małą białą pigułkę i zrozumiał, że przecież i tak nie ma ochoty dłużej żyć. Co robił, poza tym, że z przyzwyczajenia wykonywał gesty żyjącego człowieka? Bez nikogo kochającego ani nikogo do kochania jego egzystencja stała się pozbawioną radości wędrówką przez istne piekło na ziemi. Jedyne powód, dla którego jeszcze żył, to brak odwagi, by popełnić samobójstwo. Nie wiedziałby, jak wymierzyć z pistoletu, wieszanie się wzbudzało w nim strach, podcięcie sobie żył to zbyt powolna śmierć – wyobraźcie sobie tylko, człowiek leży na podłodze łazienki i czeka, aż się wykrwawi – a przedawkować leki też nie tak łatwo. A gdyby go znaleziono i odwieziono do szpitala na płukanie żołądka? Gazety pełne byłyby zenujących historii – widział to już

przedtem. Ale bał się nie tylko samobójstwa, bardziej bał się wszystkich ludzi – swoich fanów, kolegów po fachu, osób zupełnie sobie obcych – którzy mieli się dowiedzieć, że sam odebrał sobie życie. Jakie żałosne postscriptum do świetnej kariery. Kościół mógłby nawet odmówić pochowania go w poświęconej ziemi.

Więc zamiast tego wypatrywał jakichś symptomów – guzka, wydzieliny, zadyszki, które wreszcie zabrałyby go do zasłużonego grobu. Nekrologi byłyby pełne szacunku i pochwał. W *News at Ten* koledzy zaświadczałiby o odwadze, z jaką toczył swoją ostatnią bitwę – przyjmując ostateczną porażkę z godnością i uśmiechem. W BBC2 i Radio 4 puściliby cykl powtórek z filmami i słuchowiskami z jego udziałem, a w czasie pożegnalnego, poświęconego jego pamięci przedstawienia w *All Souls* odbyłaby się stojąca owacja,

kiedy cały teatr oplakiwałby szczerze i publicznie swojego utraconego syna. Czy naprawdę oczekiwał za wiele?

Nadal wpatrywał się w tabletkę na dłoni Flick. Jedną tabletkę trudno byłoby uznać za próbę samobójczą, prawda? Przypadkowy zgon – tak by brzmiał werdykt lekarza sądowego.

– Powiesz im, że myślałem, iż to aspiryna? – poprosił Flick i wsunął tabletkę do ust.

Rozdział 19

Dzień dobry! – powiedziała Belinda radośnie, kiedy Ben oddawał jej klucz do swojego pokoju. – Macie dzień śliczny, jak na zamówienie.

Ben zastanawiał się, jakim cudem Belinda zawsze wydawała się taka rześka, skoro wstawiała jeszcze wcześniej niż on i nadal siedziała w recepcji, kiedy kończyli dzień zdjęciowy. Podejrzewał, że może mieć siostrę bliźniaczkę.

Wczorajsza wycieczka jachtem zaczęła się jako relaksujący, aczkolwiek nudnawy wypad, ale kiedy zawrócili tuż za Shoreham, Danny i Alex wrzucili go do wody, czego się w sumie spodziewał. Kiedy wypłynął na powierzchnię jak korek, usiłował potraktować całą sprawę z humorem, ale morze było lodowate i przez

całą drogę powrotną na przystań trząsał się i szcząkał zębami. Patrick, który podróż spędził, wygrzewając się na słońcu i nadrabiając lekturę zaległych wydań „Variety”, „Screen International” i „Hollywood Reporter”, obwieścił surowo, że jeśli ktokolwiek spróbuje polać jego ciało choć jedną kroplą słonej wody, wszystkich z miejsca wywali na zbity pysk i osobiście zadba, żeby już nigdy nie dostali pracy w żadnym filmie. Nikt nie miał dość jaj, żeby sprawdzić, czy tylko żartował.

Po powrocie Ben zabrał chłopaków i załogę jachtu na drinka, a potem poszedł spać – wcześniej, bo koło wpół do jedenastej. Ale później, jak zwykle, tuż po północy obudził go telefon. Jak zawsze, nikogo nie było po drugiej stronie – czy raczej, ktokolwiek do niego dzwonił, nie raczył się odezwać. Miał dość tej głupiej

gierki.

– Liz, czy to ty? – spytał ostro. – Proszę, przestań do mnie dzwonić. Muszę się wyspać.

Pewien był, że usłyszał, jak ktoś po drugiej stronie słuchawki bierze oddech, a potem połączenie zostało przerwane.

– Belindo... – zagaił teraz – czy w jakiś sposób mogę sprawdzić, z którego pokoju hotelowego do mnie dzwono?

– Chcesz zadzwonić? – Belinda wzięła czarny aparat z biurka recepcji i postawiła go przed nim na kontuarze.

– Nie. Ktoś dzwonił do mnie anonimowo do pokoju i jestem pewien, że to był ktoś z hotelu. Czy mogę sprawdzić, skąd wykonano taki telefon?

– Raczej nie – powiedziała Belinda – chyba że ten ktoś łączy się przez centralę. Łączył się przez centralę?

– Nie sądzę. Nie wiem.

– No cóż, a próbowałaś spytać tę osobę, z którego pokoju dzwoni?

– Nie – powiedział Ben znużonym tonem. – Nie próbowałam. Może tak zrobię następnym razem. Dzięki za radę.

– Cała przyjemność po mojej stronie – uśmiechnęła się chętna do pomocy Belinda.

Wyszedł przed drzwi hotelu i czekał na minibus. Szeroko ziewnął w porannym słońcu.

– Wyglądasz tak, jak ja się czuję – powiedział do niego Hugo.

– Ciężki wieczór?

– Tak, jakiś idiota dzwonił do mojego pokoju i obudził mnie zaraz po północy, a potem godzinami nie mogłem zasnąć.

– Do mnie też – dodał Ryan. – Telefon zadzwonił dwa razy, raz koło jedenastej, a raz po północy. Zabiję, jeśli się kiedykolwiek dowiem, kto to.

– Nikt się nie odzywał? – spytał Ben.

Ryan pokręcił głową.

– Ktoś sobie pewnie robił dowcipy. Niespecjalnie doceniam ten rodzaj poczucia humoru.

Teraz Ben nie wiedział już, co ma myśleć. Dlaczego Liz miałyby dzwonić do Hugona i Ryana? Może to jednak wcale nie była Liz. Czas skończyć z tymi paranoicznymi podejrzeniami.

Nadal się nad tym zastanawiał, kiedy nalał sobie kawy na planie. Pisk hamulców oznajmił pojawienie się Patricka, kiedy jego saab przeciskał się wąską alejką między ciężarówkami a ogrodzeniem. Patrick ruszył w jego stronę z miną jak chmura gradowa.

– Przednia opona chyba ci trochę siada – powiedział mu Ben.

– Pieprzę oponę! – ryknął Patrick,

szukając w kieszeniach zapalniczki. – Spędziłem na komisariacie pół nocy, dopiero wracam. Kolejne brewerie twoich aktorów.

Ben rozejrzał się po parkingu z niepokojem. Przed chwilą rozmawiał z Alekssem, widział też kręcących się w pobliżu Gilesa i Luke’a.

– Tylko nie Danny! – jęknął.

– Nie. Nie Danny – odparł Patrick. – Pieprzony Ronald Gash! Policja zgarnęła go dziś o trzeciej nad ranem. Spacerował główną ulicą Brighton goły jak święty turecki. Oskarżą go o obrazę moralności publicznej.

– Gdzie jest teraz?

– Z powrotem w hotelu. Odsypia. Mam nadzieję, że czuje się fatalnie.

Ronald Gash z wielkim trudem otworzył oczy. Bolała go szczeka, bolał go brzuch i

stracił jeden ze swoich ulubionych garniturów – chociaż jeden but znalazł. Cudzy, zdał sobie teraz sprawę, leżąc w łóżku i wpatrując się w Bogu ducha winny kłapek na dywanie. Nawet nie skórzany. Ale nie mógł sobie wmawiać, że ma moralnego kaca, bo jeszcze nigdy, w całym swoim sześćdziesięcioletnim życiu, nie czuł się bardziej szczęśliwy, że żyje.

To, co zdarzyło mu się poprzedniej nocy, przypominało cud. Siedział nad morzem z Flick, patrząc na fale i czekając, aż coś się stanie, kiedy nagle napełniło go poczucie spokoju, jakiego nigdy przedtem nie zaznał. Wydało mu się, że oczy przyzwyczajają mu się do ciemności, i zobaczył przed sobą obraz tego samego miejsca za pierwszym razem, kiedy przyjechał do Brighton ze swoją żoną, Marianne. Teraz już pamiętał, czemu tu przyjechali. Jej młodsza siostra Audrey,

która mieszkała w Hove, zdecydowała się na emigrację do Kanady, a oni przyjechali tu pociągiem pożegnać się z nią. Poszli spacerem nad morze, liząc lody w rożkach – jedna kulka waniliowych i jedna kulka śmietankowo-truskawkowych w podwójnym wafelku. Marianne miała na sobie sukienkę w białe i niebieskie paski, rozkloszowaną dołem i z dopasowaną talią, a włosy nosiła wtedy dłuższe, opadały jej na ramiona ciemnymi, połyskliwymi falami. Nie ruszała się z domu bez szminki. Mąż Audrey, David, zrobił zdjęcie obu sióstr siedzących na beżowych kamykach. „Przyślę wam odbitkę”, obiecał, ale fotografia nigdy nie nadeszła. Teraz, wpatrując się w ciemność, Ronald nadal widział dwie siostry siedzące razem, śmiejące się, gdy fale za nimi rozbiły się o brzeg, i wołające do Davida, żeby się pośpieszył, zanim zmoczy je

woda. Wtedy Marianne i Audrey widziały się po raz ostatni.

Przytrzymał się niebieskiego parkanu biegnącego wzdłuż murku i zaczął go teraz głaskać, dziwiąc się uczuciu, jakie wywoływał metal pod palcami. Wyobrażał sobie, że może poczuć każdą warstwę farby, tu odpryśniętej, a tam nakładanej przez lata zbyt grubą warstwą, która nieco spłynęła. Czuł odciski tysięcy dłoni, które dotykały przez lata tego parkanu. Żywa historia, tu, w samej farbie. I wtedy Ronald przypomniał sobie coś jeszcze. Jak sześć lat przedtem po raz pierwszy zobaczył obie siostry w kolejce przed teatrem, kiedy biegł do wejścia dla personelu. I że to Audrey w zielonym kardiganie przyciągnęła jego uwagę, ze swoją grzywą rudych włosów i jasnymi niebieskimi oczami. Niemniej ożenił się z Marianne.

– Jak mogłem o tym zapomnieć? –

powiedział głosem załamującym się ze zdziwienia. – Za bardzo bałem się odezwać do Audrey, więc ożeniłem się z jej siostrą.

Flick nie wiedziała, o czym on mówi, ale on wiedział, że go rozumie. Wziął ją za obie ręce i zaczął gładzić jej ramiona. Szeregi lamp stojących wzdłuż mola objęły się w wodzie. Widok był tak piękny, że ledwie mógł go znieść.

– Mogę cię przytulić? – zapytał Flick, a ona roześmiała się i objęła go ramionami.

– Tylko pamiętaj, żebyś sobie nie wmawiał, że mnie kochasz ani żadne takie – powiedziała mu. – To tylko ekstaza sprawia, że tak się czujesz, okay?

– Wiem – przytaknął.

Zaprowadziła go na molo, gdzie światła były olśniewające, a kuranty zegara zdawały się obwieszczać całemu światu nadejście Ronalda. Przed długą chwilę

wpatrywał się w szklany pojemnik wypełniony pluszowymi tygryskami w czerwono-białe paski. Przycisnął dłonie do chłodnej szklanej witryny, bo zapragnął sięgnąć do środka i ich dotknąć. Na innym straganie wielkie tropikalne ryby zwisały mu nad głową i nie mógł się nadziwić światu, który tworzył takie barwy. Dlaczego nigdy wcześniej tego nie dostrzegął? Poszli razem na kraniec mola, mijając bary karaoke i budki z pączkami, aż do wesołego miasteczka, gdzie Flick wskoczyła na puste krzesło karuzeli, która miała zaraz ruszać.

– Zawsze tak się bałem... – zwierzył się Ronald, wdrapując się obok niej. – Ale teraz widzę, że nie ma się czego bać, prawda?

– Bezpiecznie jak u mamusi, złotko – odparł wytatuowany mężczyzna, który wziął od nich bilety i zatrzasnął metalowe

sztaby siedzeń.

Kiedy Ben pływał w wodach kanału, a Ronald doświadczał jedności z wszechświatem, Jamie, Dominie i Piers spędzili cały dzień, reorganizując i wywracając do góry nogami harmonogram poniedziałkowych zdjęć. Planowo mieli dziś po południu kręcić sceny pod supermarketem z materiałami budowlanymi, ale ze względu na chorobę Emmy musieli zapełnić dzień scenami, w których nie brała udziału. Telefony wykonano, agentów wyciągnięto z łóżek, wysłuchano niejednego gorzkiego słowa i dwaj chińscy aktorzy, którzy byli umówieni na wtorek, dowiedzieli się, że mają ruszać do Brighton natychmiast, bo scena w pubie zostanie nakręcona wcześniej.

Kiedy kręcili scenę uliczną, w której

Sam i Ollie wydzwanają do wszystkich Wongów, których znaleźli w książce telefonicznej East Sussex, Liz została w przyczepie garderoby, specjalnie trzymając się jak najdalej od Bena. Trochę nią wstrząsnęło, że zdawał się tak dobrze wiedzieć, iż to ona wydzwania do jego pokoju. Wiedziała, że to ryzykowne, ale nie mogła zasnąć w nocy, nie usłyszawszy go najpierw. Czekwała, aż Tex zaśnie, a potem kładła aparat obok siebie na poduszce i słuchała, głosu Bena: „Halo? Halo! Kto mówi?”

Na szczęście była gotowa na to, że Ben zacznie ją podejrzewać, i dlatego podjęła środki zaradcze, dzwoniąc jeszcze do Hugona, Patryka i Ryana. W ten sposób, gdy Ben z nimi porozmawia, a była pewna, że tak zrobi, urwie mu się ślad. Może pomyśli, że to coś w rodzaju elektrycznego spięcia. Parę razy zadzwoniła nawet do

Janet, księgowej i sądząc ze sposobu, w jaki to pytała melodyjnym, dziewczęcym głosem: „Ale kto dzwoni?”, w głębi ducha zachwycona była możliwością posiadania tajemniczego wielbiciela. Liz przez dwie minuty oddychała w słuchawkę, zanim Janet, powtarzając kokieteryjnie: „Ja wiem, że tam jesteś... „, znudziła się tym i odwiesiła słuchawkę.

– Głupia krowa – mruknęła pod nosem.

Ale najwyraźniej należało zwiększyć wysiłki, żeby zapobiec zdemaskowaniu. A gdyby Ben kiedykolwiek dowiedział się, że to Liz z premedytacją struła Emmę... Zadrżała i powtórzyła sobie, że Ben w żaden sposób tego nie odkryje.

Tuż po jedenastej mieli się znów przenieść, żeby nakręcić kluczową scenę dnia. Kapela jest w pubie, gdzie grają w bilard, a Jackson podsłuchuje pana Ho i pana Yo – jak, w sumie bez polotu, nazwał

ich Ben – którzy rozmawiają o pewnej wygranej na wyścigach konnych. Mężczyźni rozmawiają swobodnie po kantońsku, nie mając pojęcia, że Jackson sześć lat mieszkał w Hongkongu, gdzie jego ojciec był w służbie dyplomatycznej, ale Jackson z kolei nie wie, że pan Ho i pan Yo należą do malezyjskiego syndykatu hazardowego.

Patrick ledwie się uspokoił po katastrofie z Ronaldem Gashem, kiedy zaszło coś innego, co podniosło mu ciśnienie krwi znacznie powyżej normy.

– Jak to, nie zamkną pubu dla gości? – powiedział do Piersa. – Jak my tu mamy kręcić z całym tym zamieszaniem w tle?

– Rezerwują dla nas tylny bar – wyjaśnił Piers. – Ale frontowy zostanie otwarty. Powiedzieli, że nie chcą zamykać drzwi przed nosem stałym klientom. Będziemy tylko musieli ich poprosić, żeby było tam

trochę ciszej.

– To poniedziałek rano, do kurwy nędzy! – pinił się Patrick. – To nie Szczęśliwa Godzina w Club Med! Ilu klientów niby stamtąd wyrzuca?

Patrick popatrzył po przyjemniaczkach o wodnistych oczach i czerstwych policzkach, wyglądających jakby byli przyklejeni do stołków barowych, niczym w jakieś *Randce w ciemno* rodem z sennego koszmaru. Czy zwycięży kandydat numer jeden, śmierdzący moczem i ubrany w pojedynczą skarpetkę? Albo kandydat numer dwa, z włosami wyrastającymi z uszu i dekoracją z jajka i sosu na kamizelce? A może kandydat numer trzy, który mówi: „Wybierz mnie, a ja cię dopiero, kurka, wyobracam”.

Patrzyli na Patricka, a Patrick wpatrywał się w nich.

– No cóż, to niech chociaż wyłączą

szafę grającą – poddał się na koniec producent. To prawda, pomyślał ze smutkiem. Piers nie umie zorganizować niczego, palant bosy.

Ben martwił się głównie o to, że widownia będzie zachodzić w głowę, czemu przy bilardzie nigdy nie nadeszła kolejka Luke'a. Ale jeśli tylko chłopak trzymał ramię przy boku, stół do bilardu miał idealną wysokość i nie było widać jego gipsu.

Trochę go poniosło w trakcie kręcenia niekończących się zbliżeń kolorowych bilardujących w łuzach, ale o czwartej po południu nadal mniej lub bardziej mieścili się w czasie, kiedy nagle facet z wielką brodawką na środku czoła zdecydował, że to najwyższa pora, żeby wstać i zaintonować na cały głos *Danny Boy* zadziwiająco równym i mocnym tenorem.

– Chyba mnie musieli rozpoznać –

stwierdził Danny z zadowoleniem.

– Wejdź tam i poproś ich, żeby byli ciszej, dobrze, Tim? – poprosił Jamie.

Tim z wahaniem podszedł do mężczyzny z brodawką, który śpiewał z ramionami odrzuconymi w tył i oczami mocno zaciśniętymi. Nerwowe „Przepraszam pana...” Tima spłynęło po nim jak płatki kukurydziane po nosorożcu.

– To co wy tam z tyłu robicie? – zagaił ten, który śmierdział moczem.

– Kręcimy film.

– A... Film, tak? Dla telewizji?

– Nie, dla kina. Szerokoe ekranowy. Nazywa się *Brighton Rocks*.

Mężczyzna ze smutkiem pokręcił głową.

– Ach, nie – westchnął. – Nigdy tego nie widziałem.

Tego wieczoru, kiedy Liz wróciła do hotelu, przebiegła przez drogę do posągu

aniola, który stał na skrzyżowaniu Hove z ramionami wyciągniętymi ku niebu. Wyjęła ofiary dla duchów voodoo – miniaturową brandy i czekoladkę Ferrero Rocher, które nosiła przez cały dzień w torebce – i postawiła je u podstawy posagu. Z przyjemnością zauważyła, że duchy voodoo, czy może raczej jakiś włóczęga, zabrały jej ofiarę z poprzedniego dnia, co wzięła za znak, że jej prośba została wysłuchana. I bardzo dobrze, bo te obrzydliwe zioła, które musiała palić, sprawiały, że jej pokój śmierdział tanim odświeżaczem do toalet.

W hotelu wjechała windą prosto na trzecie piętro. Nie zaglądała do baru, gdzie na pewno wpadłaby na Teksa. Stał się jej niepokojąco oddany i nadal tkwił w błogiej nieświadomości, że chociaż Liz śpi z nim co noc, to w jej dalekosiężnym planie odzyskania Bena stanowił zaledwie

przystanek. Kiedy mijała swój dawny pokój, usłyszała włączony telewizor i zdecydowała się zapukać.

Emma podeszła do drzwi w niebieskiej piżamie w kratkę, blada i jakby niepewnie stojąca na nogach, ale bardzo zadowolona z wizyty Liz.

– Jak się czujesz? – zapytała Liz.

– Och, o wiele lepiej. Tylko trochę kręci mi się w głowie, kiedy wstaję. Ale dzisiaj przez cały dzień nie zrobiło mi się niedobrze.

– Bardzo się cieszę. Przez cały dzień się o ciebie niepokoiłam. Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję. Ben zajrzał parę minut temu sprawdzić, jak się czuję, i zamówił mi zupę.

– Doprawdy? – powiedziała Liz, czując, że twarz zastyga jej w nieruchomą maskę.
– To szalenie miło z jego strony.

– I popatrz, przysłał mi jeszcze to... – Emma otworzyła drzwi szerzej, żeby Liz mogła obejrzeć wielki bukiet białych lilii stojących w wiadrze w kącie jej pokoju. – Czy nie są śliczne?

– Przepiękne – powiedziała Liz równym głosem. – Uwielbiam lilie tygrysie.

A Ben nie odróżniłby ich od niezabudek, dopóki mnie nie spotkał, pomyślała z goryczą.

– Pewnie poprosił kogoś w biurze o wysłanie kwiatów. Bardzo był dzisiaj zajęty – dodała.

– Och, zapomniałam zapytać, jak poszło?

„ – Zdjęcia? No cóż, udało im się sfilmować parę scen bez ciebie. Patrick był, oczywiście, wściekły i mieliśmy niekończące się problemy w pubie ze względu na to nagłe przesunięcie planów, ale to nie twoja wina, więc nie rób sobie

wyrzutów. Zapomnij o tym.

– Och, dobrze, zapomnę – powiedziała Emma, ale po zamknięciu drzwi nie mogła myśleć o niczym innym i położyła się z powrotem do łóżka, dźwigając brzemie ogromnej odpowiedzialności za zamieszanie wywołane w harmonogramie zdjęć. Nic dziwnego, że Ben był taki miły i tak się martwił o jej zdrowie – nie mógł sobie pozwolić na to, żeby na planie przez kolejny dzień panował chaos.

Liz poszła do swojego pokoju i natychmiast wyciągnęła wielkie białe pudło z przyborami magicznymi z szafy, gdzie skrzętnie chowała je co noc. Miała przedtem nadzieję, że w sprawie Emmy i Bena ma tylko bezpodstawne podejrzenia, ale te kwiaty je potwierdzały. I jeszcze zamówił jej zupę! Żałosne! Z wściekłością rozłożyła białe prześcieradło i zaczęła energicznie ustawiać kadzidełka, symbole

voodoo i dary ofiarne. Wysypała nieco ziół na ołtarzyk, a potem ustawiła dwie świece i zapaliła je. Głowa i barki Emmy już się stopiły, a teraz patrzyła z satysfakcją, jak zaczynają topnieć jej ramiona i biust. Niedługo Emma zniknie z jej życia na dobre. Gdyby tylko, myślała, istniał jakiś magiczny sposób powstrzymania Bena przed podejrzywaniem jej o te nocne telefony.

W tym momencie usłyszała z głębi korytarza głos polskiej pokojówki i nagle wpadł jej do głowy gotowy plan. Szybko zdmuchnęła świece, zebrała rogi prześcieradła tak, że wszystkie magiczne przedmioty znalazły się wewnątrz i cały tobołek znów ukryła w szafie. Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz w samą porę, żeby zobaczyć Magdę, która wręczała Emmie tacę z miseczką zupy.

– Magda! – zawołała, dziwiąc się, że z

miejsca przypomniała sobie imię dziewczyny. – Masz sekundę?

Drzwi Emmy się zamknęły i Magda podeszła dowiedzieć się, czego chce Liz.

– Właśnie cię szukałam – powiedziała do niej Liz. – Pamiętasz, jak mówiłaś, że chcesz wystąpić w filmie?

– Tak, bardzo chcę być w filmie! – odparła Magda z entuzjazmem.

– No cóż, musimy nakręcić dźwięk dzwoniącego telefonu. Cały sprzęt mamy gotowy w jednym z pokoiów w hotelu, ale potrzebny jest nam ktoś, kto zadzwoni na ten numer, żeby telefon mógł s, ę odezwać. Mogłabyś to dla nas zrobić?

– Oczywiście! To łatwe!

t Liz zapisała numer na kartce i podała ją Magdzie.

– Więc teraz tak: usłyszysz, że ktoś odbiera telefon, ale nie mów nic – mówiła powoli i wyraźnie, żeby Magdzie nic się

nie pomyliło.

– Nic nie mówię?

– Dokładnie. Musisz milczeć, bo inaczej nie uda nam się nagranie. Rozumiesz?

– Rozumiem. Ja nie mówię.

– A potem odczekaj dziesięć sekund i odłóż słuchawkę.

– Odłożam słuchawkę – powtórzyła Magda, chcąc wszystko dobrze zapamiętać.

– Bardzo ładnie mówisz po angielsku – pochwaliła ją Liz.

– Dziękuję. Dzwonię teraz?

– Nie. Muszę tam iść i ich uprzedzić. Zaczekaj trzy minuty i wtedy zadzwoń.

– Trzy minuty. Dobrze. Mam zegarek.

– A kiedy odłożysz słuchawkę, chcę, żebyś jeszcze raz zadzwoniła pod ten sam numer i zrobiła to samo. Na wszelki wypadek, gdyby pierwsze nagranie się nie udało.

Magda pokiwała głową, zaczynając wreszcie rozumieć, jak działa przemysł filmowy.

– Ja rozumiem!

Liz pogrzebała w plastikowych torbach, wybrała kilka staników i w drodze do drzwi pokazała Magdzie dłoń z wyciągniętymi trzema palcami.

– Trzy minuty – powiedziała. – A kiedy skończysz, zaczekaj tutaj.

– Dobrze, Liz! – Magda przywykła już do dziwacznych próśb ludzi związanych z filmem. Zaledwie w zeszłym tygodniu Patrick, producent, zapytał ją, czy mogłby dostawać resztki mydeł pozbieranych przez nią z pokoiów innych osób. Najpierw go nie zrozumiała i przyniosła mu kilka kostek mydła z hotelowego zaplecza, nadal opakowanych w czerwony papier. Więc musiał wyjaśnić jej jeszcze raz. Potrzebował używanych mydeł – jako

rekwizyt na plan, powiedział – i dał jej listę numerów pokoi, z których chciał je brać. Pokój Liz był na tej liście, i pokój Emmy, i dziewczyn od charakteryzacji, i Poppy, i Flick. Czyli to wszystko były pokoje dziewczyn, poza pokojem Bena i Danny’ego. No więc zbierała je wszystkie do wiklinowego koszyczka i Patrick dawał jej dziesięć funtów dziennie.

Liz poszła korytarzem i zapukała do drzwi pokoju Bena. Była całkiem pewna, że go tam jeszcze zastanie, bo zawsze pod koniec dnia lubił organizować taką sekcję zwłok z Patrickiem i Jamiem. Inaczej jej plan spełzłby na niczym. Miała szczęście, Ben otworzył drzwi niemal natychmiast i zobaczyła, że Patrick siedzi na jego łóżku z laptopem, otoczony papierami. Na biurku stała otwarta butelka czerwonego wina i dwa pełne kieliszki.

– Napijesz się z nami? – zaproponował

Patrick.

– Och, dzięki, ale nie chcę wam przeszkadzać – powiedziała, przyjmując jak najbardziej zawodowy ton. – Chciałabym tylko, żebyście mi dali jakąś radę co do tych staników dla Sophie Randall.

Ben spojrział na nie od niechcenia. Widać było, że śpieszy mu się z powrotem do pracy.

– Mogę ci odpowiedzieć, kiedy już je na niej zobaczę?

Być może źle wybrała moment. Może trzy minuty to za długo. Ben zamknie drzwi i cały jej plan pójdzie na marne.

– Oczywiście – powiedziała. – Ale pomyślałam, że chciałbyś może rzucić na nie okiem wcześniej.

Podąła Benowi pierwszy stanik – tani, ładny stanik z cielistej gazy haftowanej w czerwone kwiatki. Potarł z namysłem

materiał między palcami i Liz wiedziała, że teraz ma już jego niepodzielną uwagę.

– Nie ma fiszbinów, ale dałby ci maksimum, jeśli chodzi o wygląd sutków – wyjaśniła. – Jeśli tego akurat potrzebujesz.

– Hm... – zamyślił się Ben i w tym momencie telefon przy jego łóżku zaczął dzwonić.

– Przepraszam na sekundę – powiedział Ben.

– Oczywiście – powiedziała Liz i odetchnęła z ulgą.

– Halo? – mówił Ben. – Halo? Och, do wszystkich diabłów!

Rzucił słuchawką, a Liz przybrała jak najbardziej zatroskany wyraz twarzy.

– Co to było? – spytała.

– Nie wiem – odparł Ben. – Jakiś świr. Bez przerwy to robi.

– Może to była pani Pomyłka – odezwał się Patrick idiotycznie.

– A teraz ten, krój typu balconette – ciągnęła Liz, jakby nigdy nic. – No i mam go jeszcze w czerwonym, jasnoniebieskim, czarnym i kremowym.

Zanim Ben zdołał wygłosić jakąś opinią, telefon znów się odezwał. Świetna dziewczucha, ta Magda, pomyślała Liz.

– Jezu Chryste! – zawołał Ben i podniósł słuchawkę, nieświadomie głaszcząc kremowy stanik typu balconette. – Kto mówi? – odezwał się ostro. – Nikt? Okay, no to spieprzaj!

Liz skrzywiła się.

– Może to jakieś elektryczne spięcie – podpowiedziała. – Albo dzieciaki się bawią. Kiedyś czytałam o kocie, który zadzwonił do Australii.

– Tak, może – powiedział Ben, ale teraz był już zupełnie skołowany. Najwyraźniej nie Liz wykonywała te anonimowe telefony, a zatem kto?

– No więc, który wolisz? – zapytała Liz.

– Słuchaj, można z tym poczekać? – Ben oddał jej stanik. – Patrick jeszcze rozmawia z agentem Sophie.

– Chcemy, żeby wystąpiła w tej scenie topless – wtrącił Patrick.

– Naprawdę? – powiedziała Liz. – Och, no cóż, w takim wypadku nie ma sensu zawracać sobie nimi teraz głowy, prawda? Dobranoc.

Zapewniając sobie niepodważalne alibi, triumfalnie zakończyła misję i wróciła do swojego pokoju, wspominając, w jaki sposób palce Bena pieściły koronkową tkaninę.

– Dobra robota! Spisałaś się na medal! – pogratulowała Magdzie. – Ale nie powinnaś nikomu mówić o tym, że to zrobiłaś.

Magdzie zrzędała mina. Chciała

opowiedzieć wszystkim, że zagrała w filmie.

– Czemu nie?

– Bo nie należysz do związków zawodowych. Rozumiesz, „związek”?

Magda pokiwała głową.

– No jasne, jesteś przecież Polką. No cóż, wpadłabyś w niesamowite tarapaty, gdyby ktoś odkrył, że cię zatrudniliśmy. Dlatego zapłacę ci gotówką. – Liz wyjęła banknot dwudziestofuntowy i wręczyła go Magdzie. – Nikomu nic nie mów, nawet innym ludziom z naszej ekipy. Rozumiesz?

– Ja rozumiem.

Mydło Patricka to też był sekret. Umiała dotrzymywać sekretów.

– Dobrze. – Liz była pewna, że może na Magdzie polegać. Dziewczyna wydawała się bystra i przestraszona.

– Rodzicom mogę powiedzieć? –

spytała Magda.

– Gdzie mieszkają?

– W Polsce.

Liz zastanowiła się nad tym i uznała, że prawdopodobieństwo, że jej oszustwo jak bumerang wróci z Polski do Anglii i trafi do uszu Bena w Brighton, było jednak stosunkowo niewielkie.

– Okay. Możesz powiedzieć rodzicom.

Magda miała tak uszczęśliwioną minę, że Liz się wystraszyła, iż dziewczyna rzuci jej się na szyję. Wyprowadziła ją z pokoju jak najszybciej, żeby włożyć na siebie stanik z haftem w różyczki i nacieszyć się – z drugiej ręki – dotykiem palców Bena tuż przy sercu.

Rozdział 20

Kiedy Danny niecierpliwie stał w kolejce po swoje angielskie śniadanie, zauważył idącą w jego stronę Stacey, wyglądającą wręcz nedorzeczenie atrakcyjnie bez stanika w leciutkiej bluzeczce w hinduskie wzory i obcisłych czarnych rybaczkach. Nawet się nie ogoliła pod pachami i czuł się osobiście urażony niewielkimi kępkami czarnych włosów, które ukazywały się, kiedy podnosiła ramiona. Teraz miał swoją szansę pokazać tej durnej lesbie, gdzie jest jej miejsce. Szturchnął Aleksa pod żebro.

– Patrz teraz. Hej, Stacey! – zawołał. – Znasz różnicę między lesbijką a skrzynką na listy?

Stacey uśmiechnęła się.

– Tak, znam, dziękuję – powiedziała

słodko i poszła dalej.

Alex potężnie walnął Danny'ego w plecy.

– Trafiony, zatopiony, koleś. Trafiony, zatopiony! – śmiał się.

Pierwsze ujęcie na wtorkowej liście nie mogłoby być prostsze.

Kamerę ustawiono na chodniku przed hotelem i planowano nakręcić Jasmine czekającą na nabrzeżu. Eddie miał podjechać na skuterze, a Jasmine powinna wskoczyć na miejsce za nim. Potem mieli odjechać. Ale koło ósmej trzydzieści, kiedy byli gotowi do rozpoczęcia zdjęć, zaczęła padać wyjątkowo nieprzyjemna mżawka, więc Ben, Hugo, Pete i Jamie schronili się w hotelowym barze i wyglądali z minami pełnymi wątpliwości przez okno.

– Jak sądzicie? Uda nam się nakręcić najpierw scenę z Turpinem?

– To się przejaśni – powiedział pewnym siebie tonem Hugo. – Dajcie pogodzie dwadzieścia minut. Prognoza mówiła, że mają być przejaśnienia. – Ale jednocześnie wkładał spodnie od sztormiaka.

Emma i Danny, już po charakteryzacji i gotowi do zdjęć, siedzieli w barze, popijając herbatę i czytając gazety.

– Co będzie, jeśli nie przestanie padać?
– spytała Emma.

– Pewnie zmokniemy – odparł Danny sarkastycznie.

– Nie, nie chcę kręcić waszej sceny w deszczu – powiedział Ben. – Ona ma wyglądać jak pocztówka znad morza, a nie ostrzeżenie przed sztormem dla żeglugi. A w ogóle, jak się dzisiaj czujesz, Emmo?

– Och, o wiele lepiej – odpowiedziała. – I jeszcze raz dziękuję ci za kwiaty. Powiedziałam Jasonowi, że przysłałeś mi

białe lilie, a on mi mówił, że w *Shelby Square*, jeśli się źle czujesz, to tylko kręć cię od strony pleców.

Ben zdał sobie sprawę z tego, że jemu też zaczyna się już robić niedobrze od sposobu, w jaki Emma umiała wplątać Jasona do każdej rozmowy.

– No cóż, jeśli będziesz chciała w jakimkolwiek momencie odpocząć – powiedział – daj mi tylko znać, bo wolę, żebyś się nie forsowała.

Po półgodzinie, kiedy deszcz nie wykazywał najmniejszej ochoty, żeby przestać padać, a raczej rozpadał się jeszcze bardziej, Ben zdecydował się zminimalizować straty i nakręcić najpierw scenę Turpina. Potrzebne mu były trzy ujęcia – najpierw długie ujęcie Turpina na nadbrzeżu, kiedy dzwoni z telefonu komórkowego tak, żeby go nikt nie podsłuchał, potem zbliżenie na Turpina w

trakcie rozmowy i zbliżenie samego telefonu, pokazujące, do kogo dzwoni. Ben miał lekkie wyrzuty sumienia, prosząc Ronalda Gasha, żeby pracował w deszczu – wydawało mu się, że to trochę lekceważące – ale nie miał większego wyboru.

– A niech się palant utopi – brzmiała profesjonalna rada Patricka.

Orlando trzymał dużą pasiastą parasolkę nad głową Ronalda, a Will sprawdzał ostrość i zaznaczył dyskretnie kredą na chodniku miejsce, w którym Ronald powinien się zatrzymać.

– Jak się dzisiaj miewasz? – zapytał go Ronald serdecznie. – Dobrze się bawisz tu, w Brighton?

Will osłupiał.

– Tak, dzięki – wykrztusił.

Po raz pierwszy od rozpoczęcia zdjęć Ronald odezwał się do niego. Pierwszy raz

się uśmiechnął.

Phil podał Ronaldowi telefon komórkowy z już wprowadzonymi nazwiskami i numerami, Ryan zajął pozycję za kamerą tuż za plecami Ronalda, a Hugo podszedł sprawdzić oświetlenie.

– I jak ekspozycja, szefie? – spytał Phil niewinnie.

Hugo zerknął w światłomierz.

– To zwykła obraza moralności publicznej! – oświadczył głośno.

We dwóch planowali ten dowcip od chwili, kiedy dowiedzieli się o aresztowaniu Ronalda Gasha, i wszyscy się teraz roześmiali.

Ronald się tylko uśmiechnął. Wciąż nie mógł przestać myśleć o tamtej nocy i towarzyszącemu jej uniesieniu. Wepchnięty do samochodu policyjnego, zmuszony do pobrania odcisków palców, wiedział, że za parę miesięcy czeka go

sprawa sądowa i szarganie jego nazwiska w błocie – ale nie miało do dla niego najlżejszego znaczenia, bo Mariannę przesłała mu znak.

Ogarnęła go wtedy wielka ochota wykapać się na waleta, ale zostawił ubranie zbyt blisko wody, która musiała je zmyć, bo kiedy wyszedł na brzeg, nie mógł już go znaleźć.

A potem, kiedy usiłował trafić z powrotem do hotelu, przekonał się, że coś na niego czeka. U stóp posągu anioła, którego potężne kamienne skrzydła rozpościerały się ku niebu, znalazł to – maleńką buteleczkę hine, swojego ulubionego koniaku, i pojedynczą czekoladkę opakowaną w sreberko. Od razu wiedział, że to podarunek od Mariannę – wiadomość, która miała mu powiedzieć, że nadal z nim jest, że wybaczyła mu to, iż nie zdołał jej uratować

przed śmiercią, i że życie warte jest, żeby żyć. Chciała, żeby był szczęśliwy, czy mógł otrzymać lepszą wiadomość? Usiłował wytłumaczyć to wszystko policjantce, która go zatrzymała, ale wydawała się zupełnie niezainteresowana.

Do czasu, kiedy przygotowali się do ujęcia, deszcz się jeszcze wzmógł. Orlando w ostatniej chwili zabrał parasolkę i zdarł z Ronalda nieprzemakalną kurtkę. Na komendę „Akcja!” Ronald szybko przeszedł wzdłuż nabrzeża i stanął dokładnie w miejscu oznaczonym przez Willa, mimo że deszcz zmył już ślady kredy. Sięgnął do kieszeni, przejrzał numery w telefonie komórkowym, przeprowadził krótką rozmowę z kimś po drugiej stronie, schował telefon do kieszeni i uśmiechnął się. Deszcz spływał mu po twarzy i szyi, dostawał się za kołnierz marynarki. Wtedy Ronald Gash

zrobił rzecz niezwykłą. Podniósł ramiona, uniósł twarz do nieba i roześmiał się w głos.

Nikt z patrzących nie powiedział ani słowa. Dopiero po jakichś dziesięciu sekundach Ben przypomniał sobie, że powinien zakrzyknąć: „Cięcie!”

– Zbieramy się stąd – powiedział Willowi.

– Robimy dubla? – spytał Jamie.

– Nie ma potrzeby – odparł Ben. – To było nasze ujęcie. Na cholerną, pieprzoną piątkę.

Deszcz lał przez całe przedpołudnie, więc ustawili kamerę na ostatnim piętrze hotelu i nakręcili kilka ogólnych ujęć „Brighton w deszczu” z okna jednej z sypialni. Ben wiedział, że prawdopodobnie nigdy nie wykorzysta tych kadrów, ale nie mając gotowych żadnych planów pod

dachem, nie miał innego wyjścia.

A potem, kiedy tylko skończyli zdjęcia, deszcz natychmiast przestał padać.

Ben podczas lunchu mało rozmawiał, bo dręczyła go myśl o kolejnej scenie. Dwójka jego aktorów na skuterze, na głównej ulicy i Danny za kierownicą? Ledwie mógł o tym myśleć.

– Z powodów oczywistych chcę to zrobić tylko raz – powiedział Ryanowi, kiedy wreszcie zebrali się na zewnątrz. – Więc wykorzystaj tyle czasu na próby, ile chcesz.

Ku zaskoczeniu Bena, Danny na skuterze czuł się jak ryba w wodzie. Podjechał, zatrzymał się, Emma założyła kask, wskoczyła na siodełko, a potem Danny ruszył, dokładnie tak, jak Ben sobie życzył. Jedyne problem polegał na tym, że kamera w ogóle tego nie uchwyciła, bo wielka biała ciężarówka, przejeżdżając,

zasłoniła widok w kluczowym momencie. Sprawdzali ten plener wiele tygodni temu i nikt z nich nie wziął pod uwagę, jak bardzo zatłoczona będzie ta droga w środku lata.

– Będziemy musieli zatrzymać ruch – powiedział Ben i Georgina oraz Flick zostały wysłane z walkie-talkie na przejścia dla pieszych po obu stronach, żeby zmienić światło na czerwone.

Wymagało to idealnego zgrania w czasie, ale bogowie zdawali się do nich uśmiechać. Ruch się zatrzymał, Danny podjechał i Emma wskoczyła na skuter dokładnie w chwili, w której dwie dziewczyny ciągnące walizki na kółkach władowały się w kadr.

– Kto zatrzymywał przechodniów? – chciał wiedzieć Ben.

– Georgina była z tamtej strony – wyjaśnił Jamie – ale poszła zatrzymać ruch

kołowy.

– No to postawcie tam kogoś innego!
Nie chcę, żeby mi ktoś włąził w to ujęcie!

– Ja się tym zajmę – zaproponował Billy, który nie miał żadnej pracy przy mikrofonie.

Saskia rozpuszyła włosy Emmy, oklapnięte pod kaskiem, Danny wyjechał poza kadr, a Georgina i Flick jednocześnie nacisnęły guziki sygnalizacji świetlnej, ignorując wściekłych kierowców, którym opóźniano podróż.

Kiedy Danny nadjeżdżał, Tim zatrzymał dwie rozchichotane Japonki, które zaczęła zakrywać twarze dłońmi, kiedy zobaczymy kamerę. I wtedy Tim zobaczył biegacza, który zbliżał się w ich stronę, wracając z plaży – mężczyznę w średnim wieku, z opaską frotte wokół łysiejącej głowy, w szortach z lycry i z ciałem, które wyglądało jak jedno wielkie żyłaste

ścięgną.

– Przepraszam, jeśli pan wybaczy... – szepnął Tim. – Kręcimy film...

– Wal się – powiedział biegacz. W tym roku miał już za sobą nieudany maraton, bo nagle złapała go biegunka, kiedy skręcał w Canary Wharf, i uparł się, że nic go nie oderwie od treningów – ani deszcz, ani śnieg, ani zakrwawione paznokcie u nóg, a już na pewno nie jakiś młody kretyn z krótkofalówką. Biegł dalej.

Tim widział, że Danny zbliża się do miejsca, gdzie czekała Emma. Widział, jak biegacz zbliża się do kamery. Widział, jak jego kariera filmowa kończy się równie szybko, jak się zaczęła. Zrobił jedyne, co mu pozostało – pobiegł za mężczyzną, rzucił mu się na plecy i obalił go na ziemię.

– Cięcie! – wrzasnął Ben i obrócił się, żeby zobaczyć Tima lądującego w

ozdobnie strzyżonych krzakach pod hotelem, kiedy biegacz podniósł się na nogi i rąbnął go w nos.

Patrick westchnął ze znużeniem i wyjął telefon, aby zadzwonić do swojego adwokata. Może uda mu się dostać jakąś zniżkę, jeśli załatwi sprawę obrazy moralności publicznej i pobicia za jednym zamachem.

– No cóż, biorąc pod uwagę pogodę, dzisiaj wcale nam źle nie poszło – powiedział Hugo, kiedy wszyscy tego wieczoru wsiedli do minibusu.

– Ale przecież podczas zdjęć do filmu może cały czas padać – powiedziała Emma, na śmierć zapominając, że sama podobno parę ich już nakręciła. – A jeśli będzie padało tak mocno, że w ogóle nie da się kręcić, to co wtedy?

– Och, no wiesz... – powiedział Hugo. –

Wtedy robi się tak: bierze się animatora i wszystkie te brakujące sceny się animuje, a aktorzy podkładają dubbing.

– Nie! – Emma była bardzo zdziwiona.

– Ależ tak, to się co rusz stosuje – powiedział Phil. – Pamiętasz *Kto wrobił królika Rogera*? To miał być film akcji z żywymi aktorami, ale mieli wtedy w Los Angeles fatalne burze, więc połowę załatwili animacją. Mieli sporo szczęścia, że udało im się nakręcić wszystkie sceny z Bobem Hoskinsem, zanim pogoda się ostatecznie zepsuła.

Ben widział, że Hugo szykuje się do kolejnej opowieści – może o tym, że *Bambi* był efektem katastrofalnej powodzi – i pokręcił głową, patrząc na niego. Nieładnie z ich strony, tak wiecznie nabierać Emmę.

– Oni ci tylko dokuczają – powiedział do niej i zdziwił się, kiedy się po prostu

roześmiała.

– Och, ja to wiem – odszepnęła. – Ale nie chciałam urazić ich uczuć.

I uśmiechnęła się do Bena tym samym uśmiechem, który zobaczył, gdy po raz pierwszy weszła do niego na przesłuchanie – uśmiechem, który kazał mu się poczuć, jakby był jedyną osobą w pokoju, który sugerował, że pod tą słodką, kocią powierzchownością kryje się młoda osoba wprost marząca o tym, żeby ją nieco zdeprawować. Czy ona tym uśmiechem obdarza wszystkich, zastanowił się teraz, czy tylko jego? Uświadomił sobie, że bardzo chciałby się tego dowiedzieć. Miał uczucie, że panna Emma Buckley kryje w sobie więcej, niż przypuszczał.

Kiedy Liz wróciła do swojego pokoju tego wieczoru, znalazła wsuniętą pod drzwi kartkę papieru ze skserowaną

wiadomością: *Powitalny drink dla Sophie Randall, Blanch House, 8. 00 dziś wieczorem, Ben.*

Zdecydowała, że włoży czarną sukienkę, którą kupiła dla Zoe Langridge. Szkoda, żeby się zmarnowała. Kiedy półtorej godziny później weszła do Blanch House, odniosła zamierzony efekt i patrzyła, jak wszystkie głowy obracają się w jej stronę. Zirykowało ją, że natychmiast odwróciły się z powrotem w stronę Sophie Randall, która miała na sobie połyskliwe dzinsy, złoty top z głębokim dekoltem i była bez stanika. Chłopcy z kapeli otoczyli ją wianuszkami i Sophie wydawała się zafascynowana ich przechwałkami, chociaż Liz z jej nieprzytomnych, jak za szybą, oczu wyczytała, że dziewczyna jest upalona jak latawiec.

Liz zaledwie sekundę zajęło odkrycie, że pomijając Sophie, jest jedyną

dziewczyną na tej imprezie. Byli tam Ronald, Harry i Arthur, w sumie cała obsada – z jednym zauważalnym wyjątkiem.

Nigdzie nie było widać Emmy. Ani Teksa. I w ogóle, gdzie się podziała reszta ekipy? Czy przyszła, Boże uchroni, zbyt wcześnie? Punktualność jest taka niemodna! Usiadła na krańcu sofy obok Patricka i nalała sobie kieliszek wina ze stojącej na stole otwartej butelki.

– A co ty tu robisz? – zapytał, zdaniem Liz, dość niegrzecznie.

– Dostałam zaproszenie – powiedziała.

– Naprawdę? Ben mówił, że to tylko dla obsady. Musiał w twoim wypadku zrobić wyjątek.

– I twoim, jak widać – zauważyła.

Ale Ben także patrzył na nią z lekko zdziwioną miną i Liz w jednej chwili zrozumiała, co się stało. Ktokolwiek

wsunął to zaproszenie pod jej drzwi, nie wiedział, że ona i Emma zamieniły się na pokoje. No cóż, teraz już tu była i prędzej trupem padnie, niż stąd wyjdzie z podkulonym ogonem. Zawsze wierzyła, że najlepszą obroną jest atak, więc pomaszerowała prosto do Bena, który rozmawiał z Harveyem i Arthurem, i pomachała mu zaproszeniem przed nosem, na dowód, że nie przyszła tu nieproszona.

– Jeden z twoich przygłupich pomagierów dostarczył to do mojego pokoju przez pomyłkę – powiedziała z irytacją. – Gdybym wiedziała, że to spotkanie tylko dla obsady, nie traciłabym czasu. Wypiję z wami jednego drinka i idę.

Benowi zrobiło się głupio. Stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że jego wszystkie obawy dotyczące pracy z Liz były przesadzone. Zrobiła świetną robotę przy kostiumach, chociaż miała tylko

Orlanda do pomocy. W dodatku ani razu nie pokazała, że ma do niego jakąś urazę o to, w jaki sposób zakończył ich związek. Czuł się teraz idiotycznie na myśl, że wyobrażał sobie, że ona może jeszcze żywić do niego jakieś uczucia i że podejrzewał ją o te anonimowe telefony.

– Skoro już tu jesteś – odezwał się serdecznie – będzie mi szalenie miło, jeśli zostaniesz.

– Naprawdę? No cóż, wyjmujesz mi broń z ręki.

Zobaczyła, że Ben zerka w stronę drzwi, i przyszło jej do głowy, że on czeka na Emmę. Uśmiechnęła się do siebie, wiedząc, że jeśli tak, to się srodze rozczaruje, bo Emma pewnie się już zapakowała do łóżka z plasterkami ogórka na oczach.

– Widzę, że Sophie Randall bardzo się spodobała naszym chłopakom –

zauważyła. – Jaka ona jest?

Ben przewrócił oczami.

– Koszmar. Kompletny odlot. Dałem jej kilka dodatkowych dialogów do jutrzejszej sceny, ale chyba nie miała zielonego pojęcia, o czym w ogóle mówię.

– Poradzi sobie – powiedziała Liz, dodając mu otuchy, i poczuła ulgę, że jeśli chodzi o Bena, to przynajmniej ze strony Sophie nie będzie miała najmniejszej konkurencji. – Przecież – ciągnęła z rosnącą pewnością siebie – nie może być gorsza niż ten facet z wąsikiem, prawda?

– Jaki facet z wąsikiem? – nie rozumiał.

– Nie pamiętasz? Taka reklama sosów do makaronu, którą robiliśmy – podpowiedziała mu Liz. – Miał wyłącznie zamieszać sos w garze, popatrzeć na psa i potem znów spojrzeć w garnek.

– O mój Boże, tak, masz rację. – Ben pokręcił głową i roześmiał się na samo

wspomnienie. – Co za klęska. No wiesz, teraz można spojrzeć na to i pośmiać się, ale wtedy... – Nagle przypomniał sobie, że to był ten plan zdjęciowy, na którym wymknął się z Liz podczas lunchu, żeby się pokochać w jednym z pustych biurowych pokoi na dole, i zatrzasnęli się na klatce schodowej, bo nie znali kodu, który otwierał zamek, więc nie mogli wrócić. Dopiero po półgodzinie ktoś usłyszał ich walenie w drzwi.

– Tak, teraz można wrócić do tego myślami i pośmiać się – zgodziła się Liz, czując lekkie wyładowanie elektryczne, kiedy ramieniem na moment otarła się o ramię Bena. Chciała go zapytać: Czy ty też to poczułeś? Wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłam? Wiesz, że nadal bardzo cię pragnę? Czy nie moglibyśmy spróbować jeszcze raz?

Ale to wszystko musiało zacząć. To

nie był dobry moment, a ona już dawno temu nauczyła się cierpliwości.

– Ile czasu facetowi z wąsikami zajęło, żeby zrobić to jak trzeba? – zastanawiał się nadal Ben. – Dwie godziny, prawda? Przy nim Danny Parker to Robert De Niro. – Słowa wymknęły mu się, zanim je powstrzymał.

– Och, Ben, co ja słyszę? – zaczęła mu dokuczać Liz. – Nie mów mi, że twoja wielka gwiazda cię lekko rozczarowała?

Ben zniżył głos.

– Powiedzieć ci prawdę? Doprowadza mnie do szału. Szepcze. Nigdy nie zna roli na pamięć. Jeśli zatrzyma się na znaku, to czystym przypadkiem. Zachowuje się obrzydliwie i zaczynam podejrzewać, że w gruncie rzeczy nie ma ani odrobiny talentu. Wiesz, że on nalega, żeby mówić do niego Eddie?

Liz była zachwycona, widząc, że

zasłużyła sobie na zaufanie Bena na tyle, że zaczął jej się zwierzać. Cała jej ciężka praca i biała magia zaczynały przynosić rezultaty.

– Patrick miał rację – ciągnął Ben. – Powinienem był ograniczyć kapelę do trzech osób i zrezygnować z Danny’ego Parkera.

Liz roześmiała się, a Ben przeprosił, mówiąc, że musi zadzwonić.

– Oczywiście – powiedziała Liz zadowolona z tego, co udało jej się osiągnąć. Rozśmieszyła go. Skłoniła go do wspomnień. Skłoniła go do zwierzeń. Ziarno zostało zasiane. Zobaczyła, że Sophie zsuwa się ze stołka przy barze i sunie w stronę damskiej toalety, więc podeszła do chłopaków. Giles i Luke krzywili się, jakby usiłowali się mocno skoncentrować.

– Cześć, chłopaki – przywitała ich Liz. –

Co słyszeć?

– To była ona, prawda? – zapytał Luke, patrząc, jak Sophie przechodzi przez bar.

– Ale co ona? – spytała Liz.

– Sophie Randall – wyjaśnił Giles, wachlując sobie twarz – pierdnęła.

Ben wyszedł na ulicę i zadzwonił do hotelu ze swojej komórki. Dochodziła dziesiąta wieczorem. Gdzie, u licha, była Emma? Nagle zdał sobie sprawę, że ona jest jedyną osobą, którą miał ochotę tego wieczoru oglądać.

– Czy mogę prosić o połączenie z pokojem Emmy Buckley? – poprosił.

Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał – i nic dziwnego, skoro hotel miał nadal zapisany numer pokoju Emmy jako 309, teraz zajęty przez Liz. A Liz siedziała właśnie w barze nie dalej niż sześć metrów od niego. Ale Ben o tym nie wiedział.

– Może poszła na spacer –
podpowiedziała recepcjonistka. –
Zazwyczaj widzę, jak wieczorem
wychodzi na chwilę, ale trochę jeszcze na
nią za wcześnie. Mam jej powtórzyć, że
dzwoniłeś, kiedy ją zobaczę?

– Nie, nie trzeba. – Ben przez chwilę
czuł się dziwnie rozczarowany.

Przyszło mu do głowy, że Emma może
specjalnie bojkotować imprezę
zorganizowaną na cześć Sophie. Nie
spodziewał się po niej takiej
małostkowości, ale była w końcu aktorką,
a wiedział, jak czuli bywają aktorzy na
punkcie takich spraw. Być może,
pomyślał, wracając do środka, powinien
spróbować złapać Sophie i Danny'ego
razem na pięć minut i omówić z nimi
jutrzejszą scenę. Ale potem zobaczył, że
Sophie siedzi na kolanach Harveya i
wychyla duszkiem swojego piątego after

shocka, a oczy ma szklane, i zdecydował, że to nie ma sensu. Znów pchnął drzwi i ruszył w stronę hotelu.

Rozdział 21

Dochodziła pierwsza w nocy, a Liz jeszcze była na nogach. Przyciskała ucho do zimnej ściany dzielącej korytarz od pokoju Bena. Cały jej sukces tego wieczoru trafił szlag, kiedy wyjrzała przez okno i zobaczyła Bena i Emmę na wspólnym spacerze po nabrzeżu.

Natychmiast wyszła na korytarz i spacerowała po nim, żeby przypadkiem wpaść na Emmę i zorientować się, co też ona knuje. Kiedy Emma się nie pojawiła, zdecydowała, że musieli wstąpić do baru na drinka, i zeszła na dół, ćwicząc przyjacielski uśmiech, który przybierze, kiedy ich spotka. Tyle że ich tam nie znalazła. Byli tylko oświetleniowiec Pete oraz Bradley i Shane, mechanicy, przy swoim zwykłym stoliku, gdzie znów

poddali się urokowi hotelowej zapiekanki z wołowiną i nereczkami, woląc to, niż ograniczyć cenny czas przeznaczony na picie wycieczką do pobliskiej restauracji. Brązowe kamionkowe naczynia, nadal przystrojone smętnymi gałązkami pietruszki, jeszcze nie zostały zabrane ze stołu.

– Ach, nareszcie przyszła do nas nasza śliczna Liz! – rozpromienił się Pete i zaczął przesuwać krzesło, żeby zrobić dla niej miejsce. Ale Liz już zawracała w stronę schodów. Jeśli nie było ich na dole ani w pokoju Emmy – no to musieli być w pokoju Bena.

Kilka kroków od jego drzwi przystanęła, bo bała się, że zaskrzypi znana już jej deska w podłodze. Drzwi były zbyt szczelne, żeby mogła sprawdzić, czy w jego pokoju pali się światło, czy nie, przycisnęła więc głowę do ściany i

nasłuchiwała. Wydało jej się, że w środku słyszy ich głosy, ale czy rzeczywiście? To mogła być telewizja. A potem usłyszała dziewczęcy śmiech i natychmiast go rozpoznała. Emma. Kiedy już raz nastawiła się na dźwięk jej głosu, mogła dosłyszeć ich rozmowę, ciągnącą się cichym szmerem przerywanym chichotami. Nie mogła tego znieść. Emma nie miała prawa tam być. Liz pracowała tak ciężko, żeby Ben znów się w niej zakochał. Ale jakie miała szanse, kiedy w drogę wchodziła jej ta lala?

Stała na korytarzu i słuchała, gotowa w każdej chwili odskoczyć i udawać, że tylko wraca do siebie, gdyby ktoś nadszedł i ją zobaczył. Ale nikt się nie pojawił. Ucho i policzek zdrewniały jej od chłodnego tynku, ale nadal nie wymyśliła żadnego sensownego planu. Czy ma upokorzyć Emmę, dzwoniąc do pokoju Bena i

żądając, żeby wyszła? Nie, była na to za mądra. O wiele za mądra. Zaraz coś wymyśli.

Ben nadal był trochę zdziwiony, widząc Emmę w swoim pokoju, a jeszcze bardziej zdziwiony był tym, jak swobodnie się czuje w jej towarzystwie. Gdyby tylko przestała wreszcie paplać o swoim chłopaku.

Wyszedł z Blanch House i wrócił do hotelu w tej samej chwili, w której Emma zeszła po schodach ubrana jak na spacer – dokładnie tak, jak przewidywała recepcjonistka.

– Masz ochotę na towarzystwo? – zapytał. – Sam właśnie szedłem się przejść.

I pogratulował sobie idealnego zgrania w czasie. Ale nie spodziewał się tego, że powodem regularnych spacerów Emmy

był, jak mu wyjaśniła, fakt, że lepszy zasięg komórki miała na nabrzeżu niż w hotelu. A kiedy tylko przeszli przez ulicę, wybrała numer Jasona i musiał przez pięć minut wysłuchiwać, jak opowiada Jasonowi, jak bardzo za nim tęskni i jak nie może się doczekać, kiedy go znów zobaczy.

Trochę się rozzłościł. Gotów był przeoczyć istnienie Jasona w swojej próbie zbliżenia się do tajemniczej panny Buckley, ale trudno mu było słuchać, jak Emma tak do niego grucha.

– Więc jak ci minął dzień? – spytała Emma i przez kolejne pięć minut Ben słyszał tylko jej część rozmowy, ograniczającą się do okazjonalnych: „Naprawdę?” i „To świetnie!” i raz: „Hm, to trochę nie w porządku, ale jestem pewna, że on nie miał na myśli nic złego”.

Wreszcie Jason skończył i Emma

powiedziała:

– No cóż, ja miałam uroczy dzień. Przejechałam się parę razy na skuterze. Tu obok mnie jest reżyser. Chcesz się z nim przywitać?

I wtedy Ben musiał odbyć idiotyczny rytuał rozmówki o niczym z Jasonem, który chciał wiedzieć, czy nie znalazłaby się dla niego rola w następnym filmie Bena.

A daj mi, kurwa, święty spokój, chciał powiedzieć, jeszcze nawet nie skończyłem pierwszego. Ale zamiast tego zapewnił, że na pewno będzie miał go na uwadze, i zapytał głupio, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy, jaka jest teraz pogoda w Sheffield, zanim wreszcie oddał telefon Emmie.

Potem musiał znieść kolejne pięć minut, kiedy Emma jeszcze raz mówiła Jasonowi, jak bardzo za nim tęskni – w razie gdyby

za pierwszym razem nie dosłyszał, pomyślał Ben z goryczą – i kolejne pięć idiotycznych minut, kiedy Emma powtarzała: „No to pa”, ale zamiast skończyć rozmowę, nadal paplała. Ben zaczął już drzeć i pożałował, że nie zabrał kurtki.

Wreszcie Emma skończyła rozmowę i schowała telefon do kieszeni.

– Och, nie mogę się już doczekać, kiedy go zobaczę – westchnęła i podskoczyła lekko z niecierpliwości.

– Jak to się stało, że nie przyszedłeś dziś wieczorem do Blanch House? – zapytał Ben.

– A co się działo w Blanch House?

– Zaprosiłem całą obsadę na drinka. Nie dostałaś mojego zaproszenia? – Pomyślał, że lepiej nie wspominać, że imprezę zorganizowano na powitanie Sophie Randall.

Emma pokręciła głową.

– Och, zastanawiałam się, dokąd wszyscy poszli! Jaka szkoda! Jutro też mam wolny dzień, więc mogłabym zostać do późna i tak dalej!

– No cóż, wiele nie straciłaś – przyznał Ben. – Powtórzmy to kiedyś. Wracamy? – Przemarzył do szpiku kości.

– Dobrze. Wiesz, na co mam teraz największą ochotę? Na wielki kubek gorącej czekolady! – Rozejrzała się z nadzieją, że tuż obok zmaterializuje się jakaś kawiarnia, ale poszli w niewłaściwą stronę, z dala od mola i cała okolica tonęła w ciemnościach.

– Więc to brzmi tak, jakbyście z Jasonem traktowali sprawy poważnie, prawda? – spytał od niechcienia Ben.

– Och, tak. Wiem, że to ten jedyny.

– Jedyny co?

– Jedyny, z którym chcę spędzić resztę

mojego życia, głuptasie! – Emma roześmiała się i żartobliwie uderzyła go w ramię.

– Ale nie jesteście zaręczeni, prawda? – spytał zaalarmowany Ben.

– Nie, jeszcze nie – powiedziała Emma.
– Ale to tylko kwestia czasu.

Ben westchnął. Może jednak tracił czas. Zmienił zdanie i przez całą drogę do hotelu poruszał wyłącznie temat filmu. Ale kiedy ciężkie, staroświeckie drzwi windy zatrzasnęły się za nimi, nie mógł nie zauważyć, jak rozszerzyły się jej źrenice, i przypisał to seksualnemu napięciu między nimi dwojgiem.

Być może nadal miał jakąś szansę. Wiedział, że idąc do swojego pokoju, Emma będzie musiała najpierw minąć jego drzwi, tuż za rogiem. Przesadą byłoby twierdzić, że to zaplanował, ale kiedy doszli do nich, zdał sobie sprawę, że po to

w ogóle poszedł z nią na spacer.

– Nadal masz ochotę na czekoladę? – zapytał, wyjmując klucz. – Bo jestem całkiem pewien, że mam tu gdzieś schowane kilka paczuszek marshmallow melts.

Emma rozpromieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na dźwięk słowa „czekolada”.

– Och, tak! – powiedziała i Ben uśmiechnął się do siebie. Jeszcze nie stracił wyczucia.

Emma natychmiast przejęła dowodzenie, napełniając czajnik z kranu w łazience.

– Czy twój prysznic działa jak trzeba?! – zawołała do niego.

– Nie – przyznał, chwytając z podłogi brudne bokserki i skarpety, i chowając je w walizce – Chyba termostat nie działa.

– Mój też! – Emma wróciła do sypialni,

włączyła czajnik i obejrzała kubki. –
Lepiej też je umyję. Widziałam kiedyś taki
program w telewizji, gdzie powiedziano,
że ludzie, którzy pracują w hotelach, tylko
plują do kubków i przecierają je palcem.

– Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś
wcześniej – powiedział Ben.

– Masz jakiś płyn do zmywania naczyń?

– Nie.

– No to wezmę odrobinę szamponu.

Ben słyszał, jak kubki brzęczą w
umywalce, i nagle przypomniał sobie, że
właściwie nie cierpi czekolady na gorąco.

– Ben, dlaczego używasz szamponu do
przetłuszczających się włosów?! –
zawołała Emma.

– Hm, bo mam takie włosy? – podsunął.

– Nie, nie masz. Powinieneś stosować
normalny szampon albo pozbawisz włosy
naturalnej tłuszczowej otoczki. – Płukała
kubki nad umywalką.

– Dzięki za wskazówkę – rzekł rozbawiony. – Jakaś konkretna marka?

– No cóż, ja osobiście lubię clairol herbal essences. – Pochyliła się, stojąc przy nim tak, że włosy opadły jej na twarz. – Dotknij tylko.

Ben pogładził jej włosy, uznając, że uwiedzenie Emmy to będzie kaszka z mleczkiem. Jej włosy pachniały ślicznie różami i rumiankiem, tak że miał ochotę zanurzyć w nich twarz. Ale w tym momencie Emma wyprostowała się i znów odrzuciła je w tył.

– Widzisz? – powiedziała triumfalnie. – Miękkie, prawda? Pożyczę ci trochę. – I natychmiast przeniosła uwagę na instrukcję przyrządzania marshmallow melts. – Zaraz... Czy tu trzeba dodawać mleka? – Otworzyła saszetki, wsypała zawartość do kubków i zalała gorącą wodą. – Jason zawsze dodaje szkockiej do

swojej czekolady na gorąco, ale moim zdaniem to tylko psuje smak, zgodzisz się?

Ben właśnie przypomniał sobie o szkockiej w minibarku i sam miał coś takiego zaproponować, ale dostrzegł szansę na zdegradowanie Jasona.

– To po prostu zbrodnia, takie marnowanie czekolady na gorąco, moim zdaniem – przytaknął.

– No właśnie! – powiedziała Emma.

Podawała mu kubek i wskoczyła na łóżko obok niego, tak jak lubiła wskakiwać na łóżka swoich braci, kiedy była mała. Ben przypominał jej nieco jednego z braci, Marka, tego fajnego, który został potem weterynarzem i zabierał ją do szkoły co rano na tylnym siedzeniu swojego motoru. Przyjemnie było znów czuć, że ma się starszego brata.

– Ooo, ze sprężynami! – zachichotała. – Moje jest twarde jak kamień!

– Nauczyłaś się wszystkiego o szamponach, kiedy robiłaś ten film o fryzjerkach? – zapytał Ben. Oparł się o łóżko tak, że jego ramię znalazło się za plecami Emmy.

Emma wiedziała, że to moment, w którym powinna powiedzieć Benowi prawdę – że nie było żadnego filmu o fryzjerkach.

– Coś w tym rodzaju – przyznała i zaczęła zastanawiać się, jak ma sformułować swoje wyznanie. Od czego zacząć?

– I pewnie tam opanowałaś też ten słynny masaż karku? – spytał Ben.

– Właściwie tak. Masz teraz ochotę?

Ben ugryzł się w język, żeby nie mówić rzeczy oczywistych, i odparł równie niewinnie:

– Tak, poproszę.

Emma uklękła za nim na łóżku i zaczęła

łagodnie uciskać jego skronie i czubek czaszki.

– Och, to fantastyczne – westchnął, topniejąc pod dotykiem jej rąk. – Uwielbiam, kiedy ktoś się bawi moimi włosami.

Emma zdecydowała się zaczekać, aż on się odpowiednio zrelaksuje i wtedy powiedzieć mu wszystko. Palcami rysowała delikatne kółeczka na jego czole i czuła, jak opuszcza go napięcie. Jeśli zrobi mu naprawdę dobry masaż głowy, może nie będzie się na nią gniewał, że go okłamała.

– A więc ten Jason... – odezwał się Ben po chwili, decydując, że trzeba po prostu wybić Emmie z głowy to dziecinne zauroczenie. – Ile czasu z nim chodzisz, mówiłaś?

– Prawie rok – odparła Emma z dumą.

– Ale nie można kogoś poznać w rok.

– Oczywiście, że można! – roześmiała się Emma, z wprawą masując palcami kark Bena. Klientki zawsze lubiły, kiedy tak robiła.

– Och, to cudowne – jęknął Ben, opierając się o nią. – Ale nie możesz wiedzieć, że to ten jedyny. A jeśli się mylisz?

– Przecież ja się nie mylę.

– Skąd wiesz?

– No cóż, po prostu wiem, a ty nie? To znaczy, na pewno zdarzyło ci się spotkać kogoś i po prostu wiedzieć, że to ktoś stworzony dla ciebie.

Ben zastanowił się chwilę.

– A wiesz – powiedział – właściwie to wydaje mi się, że nie.

– Ależ to okropne! – zawołała Emma, na moment zapominając zupełnie o swoim wyznaniu. – Chcesz powiedzieć, że nigdy nie byłeś zakochany?

– Och, bywałem zakochany, ale to nie trwa długo. Nigdy nie miałem takiego uczucia, że to właśnie ona i że z nią chcę być do końca życia.

– Jestem pewna, że któregoś dnia to nastąpi. – Lata pracy w salonie nauczyły ją jednego – kiedy człowiek jest sam, jest przekonany, że już nigdy nie znajdzie miłości. Emma uważała za istotny punkt swojej listy obowiązków, żeby zapewniać klientki, że owszem, znajdą tę miłość. – Tak samo jak jestem pewna, że chcę spędzić resztę swojego życia z Jasonem.

– Ale jak możesz tak mówić? Są tysiące innych facetów na świecie, których nie spotkałaś, a któregoś z nich mogłabyś pokochać bardziej.

Emma roześmiała się.

– Nie chcę spotykać tysięcy innych facetów! Jeden mi wystarczy, dziękuję ci bardzo.

– Ale jesteś taka młoda. Jak możesz w ogóle myśleć o ustatkowaniu się?

– Gdybym poszła za twoją radą i spotykała się z tysiącami facetów, mogłabym mieć dziewięćdziesiątkę, zanim będę gotowa się ustatkować. I oni też. Albo byliby już martwi.

– Zazdroszczę ci.

– Niemądry. Tysiące dziewczyn uganiają się pewnie za tobą.

– No, tysiące to nie... – roześmiał się skromnie, zadowolony, że Emma zauważyła, jaką świetną był partią. Wysoki, przystojny, niebiedny, szalenie uroczy, ze srebrnym golfem. – Może setki.

– I czego im brakuje? Czy wśród tych setek nie znalazła się choćby jedna, która by cię uszczęśliwiła?

– Och, one wszystkie mnie uszczęśliwiają. Tyle że nie na długo.

– A twój rekord bycia z kimś wynosi... ?

– Nie wiem. Chyba rok. Może mniej. Czasami o wiele mniej. A ramiona też mi możesz pomasować? – Znów westchnął, kiedy dłonie Emmy wślizgnęły się pod jego kołnierz. Za chwilą, zdecydował, obróci się i wykona swój ruch.

– Moim zdaniem to bardzo smutne, jeśli przez całe życie tylko będziesz przeskakiwał z kwiatka na kwiatek, ciągle szukając kogoś, kto cię uszczęśliwi. Dlaczego na odmianę ty nie spróbujesz kogoś uszczęśliwić?

– Ja po prostu nie wiem, czy dwoje ludzi mogą być ze sobą szczęśliwi.

– No cóż, ja i Jason jesteśmy bardzo szczęśliwi.

– Oszukałaś go kiedykolwiek? – Jeśli powie, że tak, definitywnie wkracza do akcji.

– Oczywiście, że nie! – Emma skarciła go za sam pomysł. – Nigdy bym go nie

oszukiwała, nie mogłabym. Ja go kocham!

Ben zmarszczył brwi. Rzecz zapowiadała się trudniej, niż przewidywał.

– Ale czy to cię nie przeraża? – nalegał.
– Ten pomysł, że wychodzisz za męża i nigdy już nie uprawiasz seksu z nikim innym?

– Nie. Dlaczego miałoby mnie to przerażać?

– To po prostu takie nudne.

– Może po prostu robisz coś nie tak – roześmiała się, a kiedy mocniej nacisnęła palcami na mięśnie jego ramion, uznał, że na pewno z nim flirtuje.

– Żartujesz ze mnie? – zapytał.

– Może – zachichotała Emma. – No więc, jakie jest twoje zdanie? Że nigdy się nie ożenisz?

Ben się nad tym zastanowił.

– Nie, kiedyś się ożenię. Chyba. No bo wszyscy się kiedyś żenią, prawda? Ale

najpierw muszę wyreżyserować swój pierwszy film.

– Gratulacje. To znaczy, że został ci mniej więcej miesiąc.

Nagle Ben zrozumiał, że Emma ma rację. Wykorzystywał ten swój pierwszy film jak kamień milowy, odkładając wszystko inne w życiu, dopóki nie osiągnie tego jednego celu. To co on ma teraz robić? Ożenić się? Czy znaleźć nowy cel? Bardzo niepokojąca myśl. Emma przerwała na chwilę.

– Przepraszam, zabolalo cię? Nagle zrobiłeś się bardzo spięty.

– Nie, nie przerywaj – prosił Ben. – To fantastyczne uczucie. – Bardzo mu się podobało to, w jaki sposób uciskała palcami jego skórę, ale przekonanie Emmy, żeby spojrzeć na sprawy z jego punktu widzenia, zajmowało więcej czasu, niż planował. Nawet jeszcze nie zdjęła

butów.

– Może powinieneś – ciągnęła Emma – poszukać kogoś, z kim seks jest naprawdę świetny, żeby nigdy ci się ten ktoś nie znudził. Jeśli uda ci się kogoś takiego znaleźć.

– Bardzo bym chciał – powiedział szczerze Ben, myśląc, że teraz nadchodzi właściwy moment, i mógłby sam sobie dać kopniaka w tyłek, kiedy usłyszał swoje własne kolejne słowa: – Raz kiedyś spotkałem kogoś takiego.

– I co się z nią stało? – spytała Emma.

Ale Ben nie zdążył jej odpowiedzieć, bo w tym momencie powietrze rozdarł ryk głośniejszy niż cokolwiek, co w życiu słyszeli – przerażające wycie syreny i to w pokoju, które brzmiało tak, jakby nadchodził koniec świata.

– Co to?! – krzyknęła Emma, zakrywając dłońmi uszy. – Czy to jakaś

bomba?!

– To chyba alarm przeciwpożarowy! – odwrzasnął Ben. – Wynośmy się stąd!

Hałas ścigał ich na korytarzu, gdzie drzwi się otwierały, a mieszkańcy hotelu, w różnych stadiach szoku i neglizju, usiłowali po zielonych tabliczkach udać się w stronę drogi ewakuacyjnej.

Większość gości głęboko spała, kiedy obudziło ich wycie alarmu i po ciemku, w zamieszaniu, łapali pierwsze ubrania, jakie wpadały im pod rękę. Patrick miał na sobie tylko bokserki i warga mu krwawiła. Przerażony wyskoczył z łóżka, potknął się o kosz na śmieci i upadł na prasowalnicę do spodni. W rękę ścisnął laptopa, aktówkę i małą torebkę z kokainą.

– Mój komputer! – opamiętał się Ben i pędem zawrócił do swojego pokoju ratować sprzęt.

– Ben! Nie! Ratuj siebie! – krzyczała

Emma.

– No cóż, ale ja tu nie czuję żadnego dymu... – powiedział Patrick, ruszając w stronę schodów. – Niech to lepiej będzie porządny pieprzony pożar.

Na dole w recepcji nocny portier, nieprzyzwyczajony do radzenia sobie z tłumami, został wyrwany z głębokiego snu wyciem alarmu, a potem natknął się na jeszcze bardziej szokujący widok gości hotelowych, stłoczonych przy kontuarze i żądających wyjaśnień. Przedtem nie miewał do czynienia z ekipami filmowymi, ale tę serdecznie znieubił. Nie przypominali innych gości, którzy starali się chociaż zachowywać grzecznie. Filmowcy domagali się różnych rzeczy – wielu różnych rzeczy – i zachowywali się, jakby personel, hotel i w sumie całe hrabstwo East Sussex istniały na tej ziemi wyłącznie dla ich wygody, jakby kręcenie

filmu było jedyną choć trochę istotną sprawą. Zachowywali się, jakby tu byli właścicielami, chociaż płacili trzydzieści procent mniej niż inni goście hotelowi, którzy przybywali indywidualnie albo w małych, łatwych do opanowania rodzinnych grupkach i mieli dość przyzwoitości, żeby obudzeni alarmem przeciwpożarowym wyjść na ulicę i drzeć tam cichutko w cienkich nylonowych szlafrokach, nie zwracając nikomu głowy.

– Czy to pożar?

– Gdzie straż pożarna?

– Pan, jak rozumiem, zdaje sobie sprawę z tego, że ja muszę wstać o piątej?

– Czy ktokolwiek zadzwonił do straży pożarnej?

Ludzie z filmu krążyli wkoło jego biurka jak stado rozzłoszczonych os. Podniósł dłoń, jakby chciał je wytłuc.

– Proszę się nie denerwować –

oświadczył. – To fałszywy alarm. Można wracać do łóżek.

– A skąd pan wie, że to fałszywy alarm? Dzwonił pan po straż pożarną?

– Dzwoniłem do straży i sam zawiadomiłem ich, że to fałszywy alarm i że nie ma żadnej potrzeby, żeby tu przyjeżdżali.

– Mogliśmy się wszyscy spalić w łóżkach!

– Dlaczego mamy wierzyć panu na słowo?

– Nie wrócę do mojego pokoju, dopóki nie usłyszę od straży pożarnej, że nic się nie dzieje.

– Och, tak, popatrzmy sobie na strażaków! – pisnęła Tracey. Stała obok Saskii i Bex, a ich króciutkie satynowe szlafroczyki w kolorach pomarańczowym, limonkowym i truskawkowym tworzyły kombinację przypominającą opal fruits, od

której ślinka napływała do ust.

– Mogę państwu pokazać światelko w biurze, które pokazało mi, co uruchomiło alarm – powiedział do nich portier. – Ktoś otworzył drzwi przeciwpożarowe na parterze, to wszystko.

W tłumku rozległ się szmer protestów, kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że ominął ich porządny, jak Pan Bóg przykazał, pożar.

– Pewnie ktoś wrócił pijany – wyjaśnił portier.

– Ej, nie patrzcie na mnie – zaprotestował Bradley, mechanik, widząc obracające się ku niemu oskarżycielskie oczy. – Ja spałem jak zabity!

– To się ciągle zdarza – ciągnął portier, ale zamiast uspokoić gości, tylko ich bardziej rozzłościł.

– Czy to naprawdę konieczne, żeby ten zakazany ryk odzywał się we wszystkich

pokojach o pierwszej w nocy tylko dlatego, że ktoś otworzył nie te drzwi, co trzeba? – pytał Patrick, bardziej wściekły niż go kiedykolwiek widział Ben.

– Lepiej policz ludzi, stary – podsunął Hugo. – Pewnie połowa ekipy kipnęła ci na atak serca. – Skinął głową w stronę dwóch przerażonych staruszek, które nadal powolutku i z trudem schodziły stopień po stopniu do recepcji, trzymając się obiema rękami poręczy. – Proszę pań, wszystko w porządku! – zawołał do nich. – Fałszywy alarm. Niech panie nie połamią sobie bioder.

Nawet Liz była zaskoczona tym, jak głośno zawył alarm przeciwpożarowy w ciszy nocnej.

Czasami najlepsze są najprostsze sposoby, pomyślała.

Wyjście przeciwpożarowe, przeczytała.

Otwarcie tych drzwi uruchomi alarm. Trzeba było je tylko leciutko pchnąć.

Na dół zeszła jako jedna z pierwszych, z miną odpowiednio przestraszona, i poczekała cierpliwie na kanapce w rogu, skąd mogła dobrze widzieć, jak Ben i Emma schodzą na parter, nadal, dzięki Bogu, ubrani w te same ciuchy co wieczorem. Najwyraźniej interweniowała w ostatniej chwili. Musiała się teraz jeszcze tylko upewnić, że każde wróci do własnego pokoju – samo – a skoro wszyscy się pobudzili, nie powinno z tym być trudności.

– A więc, gdzie byłaś dzisiaj wieczorem? – zagaił Tex.

– Na imprezie – odparła, zapalając papierosa – Myślałam, że też tam przyjdiesz.

Nie dodała, że bardzo się ucieszyła, kiedy go tam nie zastała. Odwróciła się,

złapała wzrok Emmy i poklepała kanapkę koło siebie. Emma zostawiła Bena i posłusznie podreptała w jej stronę. Tex, wyczuwając, że audyencja się skończyła, wyszedł na zewnątrz, sprawdzić, czy gdzieś nie widać dymu.

– Nic ci nie jest, Liz? – spytała Emma, siadając. – Słyszałaś kiedyś coś bardziej przerażającego? Nie mogłam się zorientować, co to jest.

– Obudziło cię to? – spytała Liz.

– Nie, jeszcze nie spałam.

– No cóż, możemy już chyba wracać do łóżek – powiedziała Liz. – Moim zdaniem hotel się dzisiaj jednak nie spali.

Wstały i Liz podeszła nacisnąć guzik windy.

– Nie pogniewasz się, jeśli pójde schodami? – spytała Emma.

– Jestem pewna, że można już bezpiecznie korzystać z windy – zapewniła

ją Liz.

– Och, ja wiem, ale po zamknięciu w szafie parę dni temu chyba zaczynam cierpieć na lekką klaustrofobię.

– Naprawdę? Biedactwo. To okropne – powiedziała Liz ze współczuciem. – Mówiłaś o tym Benowi?

– Nie, to nic takiego.

– No więc, co jeszcze robiłaś, że nie spałaś o takiej porze? – spytała Liz od niechcienia.

– Ben i ja piliśmy czekoladę na gorąco.

– Och, to uroczo! A jak ci się z nim układa?

– Naprawdę dobrze. Zupełnie nie spodziewałam się, że reżyser taki będzie.

– A więc nie przypomina Jamesa Camerona?

– Jakiego Jamesa?

– Jamesa Camerona. Angela mówiła, że pracowałaś na planie *Titanica*.

Emma zarumieniła się. Naprawdę już dłużej nie mogła udawać. Stały teraz same na podeście trzeciego piętra.

– Słuchaj, równie dobrze mogę powiedzieć ci prawdę. Wcale nie grałam w *Titanicu*.

Liz przystanąła. Chciała się upewnić, że dobrze słyszy.

– Ale ja słyszałam, jak Angela...

– Wiem. Skłamałam na przesłuchaniu. Wiedziałam, że nigdy nie dostałabym tej roli, gdyby oni wiedzieli, że to mój pierwszy film.

– Ale to nie jest twój pierwszy film. A co z tamtym... *Z Fryzjerstwem*?

Emma wzruszyła ramionami.

– Chcesz powiedzieć, że w tym też nie grałaś? – zapytała Liz.

– Nie ma takiego filmu – powiedziała Emma. – Wymyśliłam go.

– Nie! – sapnęła Liz, zaskoczona, że

taka bezcenna informacja wpada jej prosto w ręce. – No cóż, a to ci się udało!

– Nie uważasz, że jestem okropna?

– Ależ Boże broń! Większość aktorów sprzedalaby własną babkę, żeby zaistnieć. Kogo obchodzi małe białe kłamstewko?

– Nie powiesz nikomu, prawda? – błagała Emma. – Miałam zamiar dziś powiedzieć Benowi, ale wtedy rozległ się ten alarm i nie zdążyłam. Bardzo bym nie chciała, żeby dowiedział się o tym od kogoś innego.

– Kochanie, ręka na sercu.

Emma odetchnęła z ulgą.

– Kurczę, tak się cieszę, że ci powiedziałam. Od tygodni ciąży mi ten sekret i tak mi to doskwiera... Teraz czuję się o niebo lepiej.

– No cóż, bardzo mnie to cieszy. Nie myśl już o tym. – Były przy drzwiach pokoju Emmy. – Śpij dobrze! – Ucałowała

Emmę w policzek.

– Dobranoc, Liz. – Emma oddała pocałunek. – Do zobaczenia jutro. I dziękuję.

Liz poczekała pod pokojem Emmy, aż usłyszała, że dziewczyna wyłącza światło, a jej łóżko skrzypi i dopiero wtedy poszła korytarzem dalej, do swojego pokoju.

Na białym prześcieradle na podłodze już rozłożyła swój ołtarzyk, a teraz za pomocą papierosa zapaliła czerwoną świecę, kadzidło i pozostałość woskowej figurki, które paliła już od siedmiu dni. Jeszcze tylko dwa dni, pomyślała z satysfakcją, a Emma zniknie.

Rozdział 22

Do południa następnego dnia wśród całej ekipy rozeszła się wiadomość, że po południu Sophie Randall będzie kręciła swoją scenę kompletnie naga. Potężne fale testosteronu zawisły ciężko w powietrzu.

– No cóż, to ci niespodzianka... Nie będą już nam potrzebne – powiedział Orlando lekkim tonem i odwiesił na koniec stojaka z ubraniami stanik i majteczki, które wybrali dla Sophie. Ubłagał swoją przyjaciółkę z La Perłą, żeby je mogli pożyczyć, a teraz będzie musiał odesłać bieliznę z liścikiem, że się jednak nie przydała.

– Jak sądzicie, pokaże futerko i tak dalej? – zapytał Alex.

– Nie podniecajcie się, chłopcy – powiedziała Liz. Przeglądała najnowszy

numer „Vogue”, odczuwając cudowny spokój, bo Emma miała dzisiaj dzień wolny. – Plan będzie zamknięty dla ogółu.

Orlando parsknął.

– A to po co? Czy w tym kraju został jeszcze jakiś człowiek, który nie widział cycków Sophie Randall?

Danny tylko spuścił oczy. Z Blanch House Sophie i chłopcy poszli do nocnego klubu i skończyło się na tym, że wylądowali w jej pokoju hotelowym, gdzie wachali kokainę z jej brzucha.

Mniej więcej dziesięć minut potem Sophie odjechała, a oni stali wkoło jej łóżka, usiłując ją obudzić. Potem rozległ się alarm przeciwpożarowy. Danny spanikował i zostawił ją tam. Pozostała trójka zdołała jakoś wspólnymi siłami znieść Sophie na pierwsze piętro, gdzie spotkali wracającego na górę Damiena, operatora.

– Nie martwcie się, fałszywy alarm – rzekł uspokajająco. Zauważył złamaną rękę Luke’a i ich ogólny brak doświadczenia w radzeniu sobie z nieprzytomnymi modelkami, więc jednym zręcznym ruchem przerzucił sobie Sophie przez ramię. – Gdzie wam ją odnieść? – zapytał.

Teraz, dziesięć godzin później, Sophie stała naga przy oknie pokoju hotelowego na czwartym piętrze, paplając przez telefon komórkowy, a Saskia całą ją smarowała samoopalaczem.

– Może kupię sobie teraz to nowe maserati – mówiła. – Tak, to srebrne. Powiedziałam producentowi, że jak chcą mieć mnie rozebraną do rosołu, to mi zapłacą dziesięć patyków za pokazanie futerka.

Pasazer białej półcieżarówki jadącej

wzdłuż Esplanady podniósł nagle wzrok i zobaczył Sophie stojącą w oknie. Osłupiał, a Sophie roześmiała się i pomachała do niego ręką.

Dom, który wykorzystywali do sceny retrospekcji, mieścił się w Worthing, o pół godziny drogi wzdłuż wybrzeża. Jego właścicielką była ciotka Piersa, Phyllis, która miała osiemdziesiąt dwa lata i ostatnio przeprowadziła się do córki. Dom nadal był wystawiony na sprzedaż i ciocia nie miała nic przeciwko temu, żeby dział scenografii przemaalował ściany na kolor purpury, czerwieni i butelkowej zieleni, zwłaszcza że nigdy nie miała się o tym dowiedzieć.

– Dziesięć patyków! – mówił Ben do Patricka, kiedy wyszli stamtąd, żeby pójść na lunch. – W głowie mi się nie mieści, że zgodziłeś się tyle zapłacić!

– Podziękujesz mi, kiedy zobaczysz reakcje w prasie – powiedział Patrick. – Nie będzie w tym kraju ani jednego faceta, który nie pogna na twój film.

Jakby na dowód tych słów, kiedy wrócili do bazy, dwaj mechanicy, Bradley i Shane, podeszli do nich z portfelami w dłoniach.

– Szefie, słyszeliśmy, że wykosztowałeś się na to setnie i chcielibyśmy nieco się dorzucić – oświadczył Shane z powagą i obaj wręczyli Patrickowi po banknocie pięćofuntowym.

Bradley poklepał Patricka po ramieniu, a Shane dał mu buziaka w policzek.

– Warto harować dla takiego dnia – powiedział Bradley do Patricka.

– Lekcja numer jeden – odezwał się Patrick do Bena. – Chcesz na siedzeniach w kinie facetów, pokaż im na ekranie tyłek i cycki.

Ben westchnął. Wiedział, że Patrick ma rację – w pewnym sensie – ale czasami miał wrażenie, że ten film każdy wyrywa mu z rąk i ciągnie w swoją stronę, niekoniecznie tam, gdzie on chciał. Instynktownie poszukał wzrokiem Emmy wśród kolejki po lunch, ale uświadomił sobie, że przecież ona dzisiaj nie pracuje. A potem przypomniał sobie jeszcze, że Emma ma takiego kota na punkcie Jasona, że myślenie o niej to zwykła strata czasu. Wczoraj próbował wszystkiego, żeby ją uwieść, ale może ona rzeczywiście była jedną z tych, które nie oszukują swoich facetów. Słyszał o istnieniu takich dziewczyn, ale nie był pewien, czy jak dotąd spotkał choć jedną. No cóż, jeśli tak jest, on na pewno nie będzie chodził za nią i błagał. Róbmy swoje, powiedział sobie.

Zamówił pieczoną wieprzowinę z warzywami i zabrał tacę w głąb autobusu,

szukając wolnego miejsca. Liz już siedziała w kącie, plecami do niego. Razem z nią siedzieli Tex i Billy, i Ben po raz pierwszy zauważył, że ona zazwyczaj siada z Teksem przy lunchu. Nic się chyba między nimi nie działo? Ale Tex uśmiechał się do Liz w taki sposób, że widać było bardzo wyraźnie, iż chciałby, żeby coś się działo. No cóż, a co go to wszystko obchodzi? Liz nic już dla niego nie znaczy. Żuł swoją wieprzowinę, ale stwierdził, że nie ma apetytu i większość zostawił na talerzu.

Sophie lunch odbyła na stojąco – złożyły się na niego butelka martini i dwie grube linijki koki usypanej na stoliku toaletki. Spacerowała po pokoju tam i z powrotem, coraz bardziej podekscytowana, nie mogąc usiąść ze względu na samoopalacz na nogach i pośladkach.

Saskia już wyszła, a ona nie lubiła być sama. Tim, goniec, przyniósł jej talerz sałaty i batonik Marsa, ale potem też poszedł. Potrzebowała towarzystwa i skończyły jej się papierosy. Wzięła pilota od telewizora i skakała po kanałach, desperacko poszukując jakiejś rozrywki, ale nie mogła skoncentrować się na żadnym obrazie dłużej niż przez kilka sekund. Nie umiała sobie przypomnieć, czy skończyła już swoją ostatnią paczkę silk cutów, czy nie, i wytrząsnęła zawartość torby od Vuittona na podłogę, żeby ich poszukać. Nagle uderzyła ją myśl, że chyba oszalała, zgadzając się na dziesięć tysięcy. Powinna była zażądać dwudziestu. Czuła, że serce bije jej szybko, co ją podniecało i przerażało jednocześnie. Co będzie, jeśli odjedzie tak, że nigdy nie uda jej się oprzytomnieć? Za każdym razem, kiedy zamykała oczy,

widziała, jak leży w białej trumnie, a jej matka histerycznie szlocha.

– Boże! – krzyknęła. – Chcę papierosa!

Ronald Gash skończył swoją jedyną scenę na dzisiaj i właśnie wrócił do hotelu, kiedy usłyszał jakieś walenie. Dochodziło najpierw z odległego krańca korytarza, a potem zbliżało się w parosekundowych odstępach. Pomyślał, że to na pewno sprzątacze, a później usłyszał, że ktoś wali do jego drzwi.

Kiedy przekręcił gałkę, zaskoczył go widok wysokiej dziewczyny, którą poznał poprzedniego wieczoru. Poza narzutą z łóżka owijającą ramiona była kompletnie naga.

– Och, cześć – powiedziała Sophie szczerze zaskoczona, bo już straciła nadzieję, że kogoś zastanie w pokoju. Usiłowała znaleźć drogę na dół do

recepcji, ale nie mogła trafić. – Masz jakieś papierosy? – Pomyślała, że ten człowiek wygląda jakby znajomo, ale nie umiała sobie przypomnieć, skąd konkretnie go zna. Kiedy poznaje się tak wielu ludzi, trudno ich wszystkich spamiętać.

– Sophie! – wykrztusił Ronald. – Co ty tu robisz? – Wziął ją za ramię i wprowadził do swojego pokoju, zerkając na korytarz, czy nikt inny jej nie widział. – Czy ty nie miałaś dzisiaj po południu zdjęć? Gdzie twoje ubranie?

– W tej scenie nie mam nic na sobie – zwierzyła mu się. – Kupię sobie maserati spydera.

Zauważyła papierosy Ronalda. Pozwoliła opaść narzucie i poszła w stronę łóżka.

Ronald znalazł się w kłopotcie. Biedna dziewczyna, ewidentnie pijana, nie miała

pojęcia, co robi. Ale jednocześnie była niesłychanie piękna. Ułożyła się na jego łóżku, głęboko zaciągając się papierosem, ani odrobinę niezażenowana tym, że jest naga w jego obecności. Ronald pomyślał, że gdyby był obdarzony takim ciałem jak ona, też by się pewnie nie krępował.

– Czarna kawa – mruknął do siebie. – Tego jej potrzeba. – Zdjął szlafrok z wieszaka na drzwiach i niezręcznie przykrył nim dziewczynę jak najdokładniej. – Proszę cię, moja droga – powiedział do niej łagodnie. – Okryj się nieco, zrobię ci kawę.

Hotel dostarczał tylko dwie saszetki rozpuszczalnej kawy na dzień, ale nie chciał dzwonić na dół po więcej. Nie chciał, żeby ktokolwiek znalazł Sophie w jego pokoju i coś sobie niepotrzebnie pomyślał. A potem zdał sobie sprawę, że Sophie ma prawo denerwować się tym, że

jest w pokoju obcego sobie człowieka, bo najwyraźniej nie poznawała go, chociaż przedstawiono ich sobie poprzedniego wieczoru.

– Nie martw się. Jesteś zupełnie bezpieczna – powiedział do niej. – Ja jestem Ronald Gash. Poznaliśmy się wczoraj wieczorem.

Sophie już skończyła pierwszego papierosa i łąpczywie zapaliła kolejnego. Odrzuciła szlafrok na bok i prowokacyjnie podtrzymała jego spojrzenie.

– No co, jak myślisz, Ronaldzie? – powiedziała, wyciągając swoje długie nogi i preżąc podbicie stóp. – Miałbyś ochotę mnie przelecieć?

Ronald przez długą chwilę przypatrywał jej się, nie mogąc oderwać oczu od tego niesamowitego ciała. Wiedział, że to nie w porządku. Wiedział, że to bardzo nie w porządku. Ale wiedział też, że nie będzie

żył wiecznie i że to mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek jeszcze dostał równie niezwykłą propozycję. Zatem nie tracił czasu.

– Nigdzie jej nie ma – powiedział Tim. Stał przed hotelem i krzyczał do komórki, patrząc w dół i w górę ulicy. – Szukałem jej w pokoju. Dzwoniłem na jej komórkę. W recepcji mówią, że nie wychodziła. Nie ma jej w biurze produkcji. Nie ma jej w barze. Nie ma jej w restauracji. Nigdzie jej nie ma!

– Gdzieś musi być – rzekł Dominie.

– Jesteś pewien, że nie pojechała na plan z charakteryzatorkami? – spytał Tim. Wolałby, żeby Dominie nie mówił tak, jakby to była jego wina, że Sophie Randall zniknęła z powierzchni ziemi. – Może jest w busie na lunchu.

– No cóż, jeszcze raz tu sprawdzę, ale

do ciężkiej cholery, znajdź ją. Jamie dostaje szału. Miała zacząć charakteryzację pół godziny temu.

– Dobrze. Och, poczekaj, jest tu! Widzę ją w recepcji! – Dzięki Bogu. Widział, jak Sophie Randall śmieje się w głos, prowadzona w stronę drzwi wyjściowych przez Ronalda Gasha.

– Sophie, wszędzie cię szukamy – powiedział zmieszany Tim, otwierając drzwi minibusu. – Gdzie byłaś?

Ronald trzymał ją za łokieć i pomógł jej wsiąść do środka.

– Myła włosy – wyjaśnił. – Mogła cię nie usłyszeć.

To by wyjaśniało, czemu dziewczyna ma mokrą głowę, pomyślał Ronald, i nikt nie musi się nigdy dowiedzieć, że po tym, jak Sophie zapewniła mu numerki życia – ta szczupłość, ta giętkość, ta niepowstrzymana zwierzęca żądza – i

wcale nie było jej przy tym źle – oddał jej przysługę, wsadzając dziewczynie głowę pod kran z zimną wodą. Czarna kawa i zimny prysznic to jedyne techniki trzeźwienia, jakie znał. Kiedy ją zabrał z powrotem do jej pokoju, żeby się ubrała, zobaczył ślady białego proszku na toalecie. Pomyślał, że naprawdę trzeba to sprzątnąć, zanim zauważy je pokojówka, i starł ślady palcem. Zastanowił się, o co go wytrzeć i podnosząc wzrok, zobaczył odbicie w lustrze – on, w garniturze, z tym ubielonym palcem, a w tle naga dziewczyna szukająca ubrania. To nie wygląda jak moje życie. To wygląda jak scena z jakiejś szczególnie pikantnej farsy, pomyślał z satysfakcją. Wsadził palec do ust i oblizał go do czysta. Nie smakowało tak źle.

Tim miał zamiar zapytać Ronalda, czemu wsiada do minibusu razem z nimi,

skoro skończył już zdjęcia na ten dzień, ale potem zobaczył wyraz twarzy Ronalda i powstrzymał się. We wstecznym lusterku widział, jak Sophie wtula się w zagłębienie ramienia Ronalda i zamyka oczy, a jej długie mokre włosy rozkładają się wachlarzem na jego ciemnym garniturze. Za to też mi się pewnie oberwie, pomyślał ponuro.

Georgina zastępowała Sophie, to znaczy leżała na jej miejscu, żeby Hugo mógł sprawdzić oświetlenie, kiedy czekali, aż Sophie wyjdzie z charakteryzacji. Danny z włosami przefarbowanymi na ich oryginalny ciemny brąz do sceny retrospekcji siedział na krawędzi łóżka, czytając scenariusz nowego filmu podesłany mu przez agenta tego ranka. Jamie, Ben i Ronald poszli do kuchni na pilną, szeptaną naradę.

– Główne pytanie, to czy ona da radę –

martwił się Jamie.

– Stacey jest teraz u charakteryzaterek i powtarza z nią tekst – szepnął Ben.

– Jak sądzisz, ile ona konkretnie wypła?

– Na podłodze była pusta butelka po martini – powiedział Ronald. – Ale nie można stwierdzić, czy wypła je całe dzisiaj. Mogła napocząć butelkę wczoraj wieczorem. – Zdecydował, że nie powie im o kokainie. Ani o seksie.

– Jak można wyłopać całą butelkę martini? – zapytał Ben z niedowierzaniem.

– Dzięki, że się nią zająłeś, Ronaldzie – powiedział Jamie. – Nie musiałeś tego robić. To nie twój problem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział gładko Ronald i zdał sobie sprawę, że strasznie mu się chce śmiać. Ci dwaj nie mieli pojęcia, do czego był zdolny.

– Powinniśmy najpierw zrobić ujęcie z

obojgiem – podsunął Jamie. – Wtedy przynajmniej będziemy wiedzieli, czy mamy na taśmie coś, co się w ogóle przyda.

– O ile będziemy mieli farta – powiedział Ben. – Jeśli kiedyś usłyszysz, że próbuję zatrudnić modelkę, zastrzel mnie z miejsca, dobra?

Flick udało się zwać z prowizorycznego biura produkcji w hotelu, gdzie Vanessa i asystenci reżysera niemal przykuli ją do fotokopiarki, i przywiozła na plan zapas taśm wideo. Liz wykorzystwała opóźnienie w zdjęciach, żeby podejść i z nią pogadać. Była pewna, że Flick – taka entuzjastyczna, taka pracowita i taka australijska – może się okazać bardzo dla niej przydatna.

– Cześć, nieznajoma – pozdrowiła ją, jakby były bliskimi przyjaciółkami. –

Zostajesz obejrzyć ten cyrk?

– Nie, nie mogę. Muszę wracać i skończyć listę spraw na jutro.

– No cóż, nie mogę się doczekać, aż zobaczę Sophie Randall w akcji. Widziałas ją już w czymkolwiek?

– Nie – przyznała Flick. – Nigdy o niej nie słyszałam. Mówiąc szczerze, o nich wszystkich nigdy nie słyszałam.

– Co? Nawet o Dannym Parkerze?

– Nie. Chyba słyszałam kiedyś ich kapekę, ale u nas w Australii nie byli tak popularni jak tutaj.

– Och, co za szkoda. Pracowałam kiedyś przy filmie z bardzo międzynarodową obsadą – Hindusi, Turcy, Meksykanie – i reżyser zrobił takie coś, moim zdaniem to było bardzo miłe, bo zebrał taśmy z wcześniejszymi filmami całej obsady, żeby każdy mógł sobie zobaczyć, w czym przedtem pracowali. – Liz uznała, że

natchnął ją geniusz. Prawie widziała już przed oczami ten obrazek – tłum smagłych aktorów w barwnych narodowych strojach, siedzących po turecku przed ekranem wideo i głośno się cieszących, jakby oglądali lądowanie na Księżycu. Niemal żałowała, że całą scenę wymyśliła.

– Powinniśmy zrobić tu to samo! – zawołała Flick. – Taki minifestiwal filmowy!

– Cóż, Flick, znakomity pomysł – powiedziała Liz z podziwem. – Ale kto, u licha, miałby czas zorganizować coś takiego?

– Ja to mogę zrobić! – powiedziała Flick. – To żaden kłopot. Niedaleko hotelu jest wypożyczalnia wideo. A któregoś dnia w WH Smiths widziałam kolekcję wideoklipów YunGuns.

Liz widziała, że Flick coraz bardziej zapala się do pomysłu.

– Moglibyśmy ustawić magnetowid w holu hotelowym – ciągnęła dziewczyna. – Nikt go nigdy nie używa.

– Ależ Flick – zaprotestowała Liz łagodnie. – Masz już i tak mnóstwo pracy. I jakim cudem zdołasz sprawdzić, kto w czym grał? Sam Ronald Gash ma na koncie chyba setki filmów. A Luke i Giles – nie mam pojęcia, w czym występowali.

– O, to nic takiego – upierała się Flick. – Jest taka świetna strona w Internecie. Wrzucasz nazwisko aktora i wyskakuje ci cała jego filmografia. Kino, telewizja, wszystko.

Liz otworzyła szeroko oczy, udając zdumienie.

– Naprawdę? To strasznie fajnie! Co my byśmy bez ciebie zrobili, Flick!

I odeszła, pewna, że Flick gotowa będzie przysiąc, że sama na ten pomysł wpadła i że kiedy wreszcie Emma zostanie

zdemaskowana jako oszustka, nie będzie sposobu, żeby powiązać tę wpadkę z osobą Liz.

Półtorej godziny później Sophie pojawiła się na planie, kompletnie nieświadoma, że wszyscy na nią tyle czasu czekali. W sumie można było spokojnie uznać, że nieświadoma była wszystkiego i wszystkich, pomijając papierosa, którego trzymała w dłoni.

– Dobra, wszystkich, którzy nie są tu bezwzględnie potrzebni, prosimy o opuszczenie planu! – zawołał Jamie. Ale zanim ktokolwiek zdołał się ruszyć z miejsca, Sophie zrzuciła szlafrok, który miała na sobie, i pomaszerowała do Bena.

– Gdzie mnie chcesz? – spytała.

Ben po męsku walczył o to, żeby patrzeć jej w oczy i nie pozwolić zbłądzić spojrzeniu poniżej obojczyków, kiedy

pokazywał jej, jak ma się ułożyć na łóżku, i przypominał jej i Danny'emu, jak ma zostać odegrana ta scena.

– O, ja pieprzę... – powiedział Alex do Luke'a i Gilesa. – Równie dobrze możemy tu zostać. Jej nic nie przeszkadza.

Przycupnęli na kredensie w rogu salonu i wyciągnęli szyje, żeby zaglądać przez drzwi do sąsiedniej sypialni. Bradley i Shane weszli na krzesła, żeby mieć lepszy widok.

– Uważacie, że jest atrakcyjna? – spytał Luke.

– Żartujesz chyba? – powiedział Bradley.

– Nie, moim zdaniem jest przerażająca.

Billy i Tex rzucili monetą, żeby sprawdzić, który będzie trzymał statyw od mikrofonu podczas sceny z Sophie.

– To moje zadanie, tak właściwie – powiedział Billy. – Jestem operatorem

mikrofonu.

– Taa, a ja jestem twoim szefem.
Rzucaj!

– Orzeł!

Moneta poszybowała w powietrze i Tex podskoczył z radości, kiedy wylądowała i na nią spojrział.

– Reszka! Dawaj to! – roześmiał się, odbierając Billy’emu mikrofon. – Nie ma sensu wysyłać chłopca do męskiej roboty.

– Myślałem, że mówiłeś, że liczy się wynik z trzech rzutów – zaprotestował Billy.

Słuchając tego wszystkiego, Ronald Gash uśmiechnął się z cichą satysfakcją.

– Dobrze sobie z nią poradziłaś – mówiła Liz do Saskii. Siedziały za Benem i Stacey i obserwowały monitor. Nie czuła zazdrości o Sophie Randall, bo ta dziewczyna była koszmarną ćpunką. Ben

sam to powiedział, zaledwie wczoraj wieczorem. Popatrzyła z czułością na tył głowy Bena i pożałowała, że nie może pogłaskać tych ciemnych loków na jego karku.

– Spóźniła się ponad pół godziny, włosy miała kompletnie mokre i nie chciała wyjąć papierosa z ust, kiedy robiłam jej makijaż – jęknęła Saskia. – Popatrz, sparzyła mnie w rękę! – Saskia pokazała Liz maleńki ślad po oparzeniu na kciuku, a Liz zacmokała współczująco.

– Tyle zamieszania wokół kogoś, kto ma jedną linijkę tekstu!

– Nie, teraz ma trzy linijki – powiedziała Stacey. – Wczoraj dodano zmiany w dialogu.

– O rany. Trzy linijki... – szydziła Saskia. – A wiecie, co słyszałam? Że miała operację plastyczną zmniejszenia stóp.

– Cisza! Proszę! – wrzasnął Jamie. – Nie

da się pracować, kiedy wszystkie tak trajkoczą.

Saskia przewróciła oczami.

– No to nawet w Marks&Sparks byś nie popracował, prawda? – zapytała dość głośno, żeby ją słyszał, a ciszej dodała: – Palant.

– Zrobimy teraz próbę ujęcia! – wrzasnął Jamie i Saskia podskoczyła z podręczną kasetką do makijażu dokonać ostatnich poprawek. Sophie leżała na brzuchu i Saskia uważnie poprawiała jej włosy, żeby spadały na ramiona i zakrywały piersi.

– Nie, Sas! – krzyknął Patrick niecierpliwie. – Na drugą stronę! – Pokazał dłońmi, że włosy Sophie mają opadać na plecy, i kiwał głową protekcyjnie, kiedy Saskia niechętnie wykonała jego polecenie. – Nie płacę dziesięciu tysięcy, żeby oglądać sam cholerny uśmiech –

mruknął pod nosem.

Kiedy Tex ustawił statyw z mikrofonem, Ben zauważył, w jaki sposób jego bicepsy błysnęły w świetle. Czerwona koszulka zdawała się pękać od potężnych mięśni, które pojawiały się nie wiadomo skąd. Niemal za każdym razem, gdy Ben widział Teksa na planie, ten siedział, więc nie miał dotąd okazji zauważyć, jaki był z niego okaz siły. Poczł bezsensowne ukłucie zazdrości, kiedy zdał sobie sprawę, czemu Liz tak wyraźnie się nim interesowała w ostatnich dniach. To, że rzucił kiedyś Liz, to jedno, ale zupełnie czym innym jest przekonać się, że zastąpił go model wyższy i przystojniejszy, z ramionami jak pnie drzew i bielszym uśmiechem. Ben nagle poczuł się bardzo malutki, jakby ktoś go kompletnie przyćmił.

– Kamera!

– Co będzie z nami, kiedy zostaniesz wielką gwiazdą, Eddie? – powiedziała Sophie. – Zastanawiasz się czasami nad przyszłością?

– Przez cały czas, Roxanne. Przez cały czas – powiedział Danny. Pakował się na trasę koncertową swojej kapeli i został ustawiony w głębi planu, więc nikt by się nie zorientował, że jest od Sophie pięć centymetrów niższy.

– Myślałeś kiedyś, żeby się ożenić?

– Ożenić?! Jestem za młody, żeby się żenić. Myślałem, że po prostu miło razem spędzamy czas.

Sophie wstała i Tex zmarszczył brwi, kiedy jego mikrofon zarejestrował mimowolne westchnienie wszystkich mężczyzn obecnych w pomieszczeniu.

– Tylko tyle dla ciebie oznaczam? Miłą zabawę? Ja cię kocham, Eddie! Chcę spędzić z tobą resztę życia! Chcę mieć z

tobą dzieci!

– Roxanne, tak mi przykro. Sądzę, że chcesz ode mnie czegoś, czego nie potrafię ci dać. Może najlepiej byłoby, żebyśmy na jakiś czas przystopowali.

– Ależ Eddie! Możesz sobie wyobrazić, jak fantastycznie wyglądałyby nasze dzieci? Twoje i moje? O co chodzi? Nie kochasz mnie?

Nastąpiła długa pauza.

– Przepraszam – powiedział Danny, wychodząc z roli i zwracając się prosto do kamery. – Zupełnie zapomniałem, co dalej.

– Cięcie!

– Nie ma sprawy, Danny. Wiem, że niełatwo ci się skoncentrować – powiedział Ben.

– Mów do mnie jeszcze – mruknął Bradley.

– Kocham cię, Roxanne, ale chyba nie dość mocno – podpowiedziała Stacey.

– Tak, dzięki – powiedział Danny. –
Mogę prosić szklanę wody?

Liz też potrzebowała szklanki wody. Pomyślała, że za moment zrobi jej się niedobrze. Nie zadała sobie trudu, żeby przeczytać kartki z uzupełnieniami w scenariuszu, które Flick rozdawała dziś rano, bo zmiany w tekście nie robiły jej żadnej różnicy, ale teraz je otworzyła i przeczytała ten dialog z niedowierzaniem.

„Eddie wychodzi, zamykając za sobą drzwi, a Roxanne, załamana, zostaje sama”. Zupełnie jakby przed oczami Liz przelatywało jej własne życie. Uwierzyć nie mogła, że Ben postąpił tak gruboskórnie i umieścił ich własne zerwanie w tym filmie. Czy dlatego zatrudnił ją do tej pracy, żeby mogła ponownie przeżyć najbardziej upokarzający moment swojego życia, i to ujęty kamerą pod trzema różnymi kątami?

Czy po to przekonał Sophie, żeby wystąpiła w tej scenie nago? Żeby przypomnieć Liz, jak zupełnie się obnażyła tamtego dnia? Czy naprawdę aż tak jej nienawidził?

– Sophie jednak jakoś sobie radzi, nie? – szepnęła Stacey do Bena. – Na ten swój kompletnie bezmózgi, instynktowny sposób.

– Tak, przy odrobinie szczęścia ludzie uznają, że ona gra – roześmiał się Ben.

Liz nie mogła już tego dłużej słuchać. Cisnęła kartki scenariusza w twarz Bena.

– Zapomniałeś o tym momencie, kiedy on się pakuje i jedzie wspinać się na Ayers Rock – powiedziała gorzko i wybiegła z planu.

Stacey i Saskia popatrzyły zmieszane na Bena, a Alex rzucił się w stronę wolnego krzesła.

– O co jej chodziło? – spytała Stacey.

Ben pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia – skłamał. Ale wiedział. Zrobił rzecz okrutną i głupią. Liczył, że Liz nie zauważy, a jeśli zauważy, to nie będzie pamiętała, co było jeszcze głupsze. Skoro on pamiętał wszystko tak, jakby się wydarzyło wczoraj, to Liz tym bardziej nie mogła zapomnieć. Piszcie o rzeczach znajomych, radzili eksperci od tworzenia scenariuszy. No cóż, po raz ostatni posłuchał ich rad.

– On musi mieć kompletnie pokopane – powiedział Giles.

– Kto? – spytał Ben.

– Eddie. Ma tę niesamowitą laskę, która do końca życia chce go pieprzyć do upadłego, a on mówi: „Nie, dziękuję, kotku, wyjeżdżam, żeby zostać niedoszłą gwiazdą rocka”. Przecież trzeba mieć nie po kolei w głowie, nie?

Stacey roześmiała się.

– Tak, czy to nie typowa męska przywara, Ben? Nie przyjmować „tak” jako odpowiedzi?

– Nie, nie rozumiesz. Eddie jest ambitny. On nie chce się wiązać. .. – zaczął Ben, a potem przerwał, bo zdał sobie sprawę, że angażuje się w dokładnie taką samą sprzeczkę, jaką toczył z Emmą poprzedniego wieczoru. Czy to możliwe, że Giles, Stacey i Emma wszyscy razem mieli rację, a on się mylił? Może trzeba być idiotą, żeby pozwolić w taki sposób wymknąć się z własnych rąk idealnej kobiecie. No więc, dlaczego Eddie to robił? Nie chciał się wiązać, w razie gdyby miało się okazać, że jednak ktoś bardziej idealny czeka tuż za rogiem.

– Kto wie... – mówił Giles. – Gdyby Eddie został z Roxanne, pewnie nie natknąłby się na Turpina i nie wiałby teraz, gdzie pieprz rośnie, żeby ratować skórę.

– Ale czy byłby szczęśliwy? – spytał Ben.

– A teraz jest szczęśliwy? – powiedziała Stacey.

Ben zastanowił się nad tym. Czy byłby szczęśliwszy, gdyby zgodził się na propozycję Liz? Po Liz miał mnóstwo dziewczyn, ale znalazł się powód, żeby zerwać z każdą z nich.

– Szykować się do ujęcia! – zawołał Jamie.

– Poczekajmy tylko, aż przeleci ten samolot – powiedział Tex.

– ■ No bo czy Eddie uważa, że trafi na kogoś lepszego? – Nie dawał za wygraną Giles. – Popatrzcie na nią! Czego jej brakuje?

– To nie dziewczyna jest w takich sytuacjach problemem, tylko facet. – Saskia pociągnęła nosem.

– Czyja mogę prosić wreszcie o ciszę?!

– ryknął zrozpaczony Jamie, a Ben siedział w milczeniu, patrząc, jak Tex wyciąga nad głową potężne ramiona. Czy on by pozwolił, żeby Liz prześlizgnęła mu się przez te wielkie paluchy? Ben nie musiał specjalnie wysilać wyobraźni, żeby zobaczyć obraz tych dwojga razem. Tex wyglądał jak facet, który umie się poznać na czymś wartościowym. No cóż, on sam może też to potrafi.

Ben znalazł Liz pod koniec dnia z Orlandem w przyczepie garderoby, gdzie w milczeniu pakowali kostiumy do zwrotu. Zapukał nerwowo do drzwi i czekał na drugim stopniu, wiedząc, że jest winien Liz jakieś przeprosiny, chociaż nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

– Liz, przejrzymy tu zaraz na planie ostatnią kopię roboczą. Pomyślałem, że może chciałabyś ją z nami zobaczyć.

Spojrzała na niego chłodno, jakby był niegodny nawet pogardy.

– Zaraz przyjdę – powiedziała cicho i wróciła do opisywania torby, którą spakowała. Jeśli Ben uważał, że ten żaloszny gest zrekompensuje Liz upokorzenie jej w tym filmie, mylił się. Jak ona mogła tyle czasu zmarnować, uważając, że chce go z powrotem? Nie był tego wart. Zasługiwała na coś więcej.

– No cóż, jesteś w łaskach – zauważył Orlando, kiedy Ben poszedł. – Ile to minęło, prawie dwa tygodnie, a jedyne osoby, które oglądają kopie robocze, to Ben, Patrick i Hugo. To naprawdę oburzające, z jakim lekceważeniem ta banda traktuje pozostałą część ekipy.

– Nie mam ochoty iść – powiedziała Liz. Jeśli Ben spodziewał się wdzięczności, to się pomylił. Ale już brała do ręki torbę i kurtkę. – Nie czekaj na

mnie – powiedziała do Orlanda. – Zamknij, kiedy skończysz. Ja wrócę taksówką.

To była najdłuższa rozmowa jaką odbyła z Orlandem od wielu dni.

Patrick i Hugo podnieśli wzrok ze zdziwieniem, kiedy drzwi do saloniku otworzyły się i weszła Liz. Oczywiście, pomyślała, nie poczekali na nią i wideo już leciało. Hugo i Ben jedli rybę z frytkami z gazet trzymany na kolanach, a Patrick pogryzał kebab.

– Pomyślałem, że Liz zechce zerknąć na sceny z Lukiem – wyjaśnił Ben. – Niech sprawdzi, czy jest zadowolona z tego ramienia.

– Och, jasne – zgodził się Hugo.

Patrick spojrział na Bena spod oka, ale zachował swoje myśli dla siebie. Cała trójka siedziała na sofie przed telewizorem

i Hugo posunął się, żeby Liz też mogła się przysiąść. Ale ona usiadła za nimi w fotelu, z premedytacją zachowując jak największą odległość od Bena. Pożałowała tego natychmiast, bo fotel okazał się staromodnym meblem o prostym oparciu i było jej koszmarne niewygodnie, niezależnie od tego, jak się kręciła.

– Chcesz frytkę? – spytał Hugo.

– Nie, dziękuję.

Jakby mnie obchodziło, jak wypadła ręka Luke'a, pomyślała, zapalając papierosa. Oglądała przelatujące po ekranie sceny, te same nudne sceny, raz za razem. Luke wstaje. Luke siada. Luke przechodzi wokół stołu. Przez pół godziny patrzyła, coraz mniej zainteresowana. Podekscytowane komentarze Bena i Hugona działały jej na nerwy. Poszukała we włosach rozdwojonych końcówek i wyjęła z torebki parę małych nożyczek.

Miała rację, w pierwszej chwili w ogóle nie chcąc tu przychodzić. Już dochodziło wpół do dziewiątej. Co ja tutaj robię? – zastanawiała się. Inni ludzie mają pracę, do której idą rano i wracają z niej o normalnej godzinie. Jedzą obiad z rodziną, widują się przyjaciółmi, a jeśli mają na to chęć, czasem zasiedzą się do późna i nie muszą następnego dnia zrywać się o szóstej. Nie poświęcają swojego wolnego czasu na siedzenie w saloniku obcego domu i oglądanie wciąż od nowa tego samego niemego filmu.

Nagle uderzyło Liz, że właściwie nie cierpi swojej pracy. Kiedyś bardzo ją kochała, ale teraz odczuwała ją jak kulę u nogi. Po co dalej to robi? Kiedy zaczynała, myślała, że wszystko będzie wspaniałe, skoro już raz zyska trochę doświadczenia i zacznie pracować przy większych produkcjach. Ale większe produkcje

oznaczały wyłącznie więcej zawracania głowy. Czy duże, czy małe, większość filmów, przy których pracowała, nadawało się na śmietnik. Czy świat stanie się lepszy tylko dlatego, że pojawi się na nim *Brighton Rocks*? Oczywiście, że nie. Gdyby żaden z filmów, przy których pracowała, nie zaistniał, nie sprawiłoby to nikomu żadnej różnicy. Robiła to wyłącznie dla pieniędzy, bo płacono jej nieźle – w gruncie rzeczy znakomicie – ale to nie wystarczało. Chciała mieć jakieś życie. Chciała mieć osiem godzin snu. Chciała mieć rodzinę. Chciała miłości – nie ryby z frytkami w towarzystwie ludzi, którymi w głębi serca pogardzała.

– I to by było na tyle – powiedział Hugo, kiedy wreszcie kasetka wideo dobiegła końca. Liz odetchnęła z ulgą.

Ben zwinął resztki po rybie z frytkami i poszedł do kuchni, poszukać torby na

śmieci.

– A co ty sądzisz, Liz? – zapytał.

– Fantastyczne – odparła, ale nie można było stwierdzić, czy mówi serio. – Jestem pewna, że Josephine i Saskia też by to chętnie obejrzały. Ale, jak rozumiem, nie starczyło dla nich miejsca. – Rozejrzała się znacząco po obszernym, pustym pomieszczeniu.

– Chcesz, żeby cię podwieźć do Brighton, Liz? – spytał Patrick.

– Ależ skąd, Patrick – uśmiechnęła się ironicznie. – To zaledwie piętnaście kilometrów, zrobię sobie spacer.

– O rany, co cię ugryzło, Liz? – zapytał Hugo.

– Nic – odpowiedział mu Patrick. – To jej sprawa.

Liz spojrzała na niego niechętnie.

– Jeśli chodzi ci o moje życie seksualne, to jest całkiem normalne – poinformowała

go. – W przeciwieństwie do wielu osób, które mogłabym wymienić.

Worthing za piętnaście dziewiąta wieczorem przypominało wymarłe miasto. Liz nie zaryzykowała szukania taksówki o tej porze i nadąsana poszła za pozostałymi do samochodu Patricka, zaparkowanego za rogiem. Hugo, ze względu na te swoje długie nogi, zajął przednie siedzenie pasażera, a Liz wcisnęła się do tyłu obok Bena, odsuwając się od niego jak najdalej. Przez całą drogę powrotną nie odezwie się do niego, zdecydowała. To mu da do myślenia.

Nie potrzebowała Bena Lincolna ani tego jego żalostnego filmu. W gruncie rzeczy w ogóle nie potrzebowała filmów. Musiała wymyślić jakiś nowy plan i ten natychmiast zmaterializował się w jej myślach, kiedy skręcili w wyludnioną główną ulicę i minęli zaciemniony sklep z

szyldem Selina i dwoma manekinami w oknie prezentującymi ohydne sukienki dla modnych inaczej. To jest to! Otworzy sklep – będzie sprzedawała własne projekty i zostanie swoim szefem. Jutro porozmawia z Orlandem i zobaczy, czy byłby zainteresowany spółką. Będzie gwiazdą na własny rachunek – sławą Londyńskiego Tygodnia Mody – a nie jakąś zaganianą, niedocenianą kostiumolożką, skaczącą wkoło rozpieszczonego bachora reżysera, który własnej dupy nie odróżni od projektu Armaniego. To da nauczkę Benowi. Wtedy pożałuje. Och, jeszcze jak pożałuje.

Teraz wyjechali już na nadmorską drogę, kierując się do Brighton, i kiedy przejeżdżali przez Shoreham, zaczął padać lekki deszczyk. Liz patrzyła na niebo ciemniejące nad wodami morza i widziała, jak w szybie obok niej odbija się twarz

Bena. Zmarnowała te wszystkie lata, czekając, żeby do niej wrócił, a on umieszcza ich zerwanie w swoim filmie. Jak on śmiał, pomyślała. Jak śmiał?

Hugo włączył płytę Red Hot Chili Peppers i usiłował znaleźć swój ulubiony kawałek.

– Którym guzikiem szuka się wstecz? – zapytał, gubiąc się w kontrolkach przedpotopowego sprzętu grającego Patricka.

Patrick pochylił się, żeby mu to pokazać i wtedy Liz usłyszała huk. Wyprostowała się w porę, żeby zobaczyć, że Patrick mocuje się z kierownicą, a samochód ostro skręca w prawo na sąsiedni pas. Prosto na nich waliły jakieś światła.

– Nie reaguje! Nie reaguje! – wrzeszczał Patrick, a Liz zrozumiała, że za moment zginą. Na tylnym siedzeniu nie było pasów bezpieczeństwa, więc zamknęła oczy i

czekała na moment zderzenia. Bez namysłu przytuliła się do Bena i ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi.

– Ben, kocham cię! – szepnęła z rozpaczą. – Kocham cię!

Czuła, że samochód zaczyna zjeżdżać z drogi.

– Jezu Chryste! – wrzasnął Hugo.

Zmarnowała te wszystkie lata, ale przynajmniej będzie z Benem do końca. Objął ją mocno i przycisnął twarz do jej twarzy.

– Trzymajcie się! – krzyknął Patrick i wtedy poczuli wstrząs. Wyrzuciło ich z siedzeń, ale uderzenie poszło bokiem i kiedy samochód wreszcie znieruchomiał, Liz zrozumiała, że żyje.

Otworzyła oczy, odsunęła włosy z twarzy i spróbowała zorientować się, gdzie jest.

– W porządku – powiedział Patrick. –

Uderzyliśmy w łódź.

Samochód znieruchomiał po drugiej stronie drogi. W promieniu stu metrów nie było widać żadnych przeszkód poza jachtem stojącym na kołysce, w który samochód Patricka uderzył jak ściągnięty magnesem.

Ben otworzył drzwi po swojej stronie i razem z Liz wygramolili się ze środka. Nogi Liz trzęsły się tak mocno, że ugięły się pod nią, kiedy usiłowała stanąć.

– Nic ci nie jest? – spytał Ben, siadając obok niej na trawie i obejmując ją ramieniem.

– Chyba nie. – Szczekała zębami. – A tobie?

– W porządku. – Potarł policzek. – Uderzyłem twarzą w przednie siedzenie, ale nic mi nie jest. Co się stało?

– Wygląda na pękniętą oponę – powiedział Hugo, kopiąc w przednie koło

samochoodu Patricka. Wybrał jakiś numer na swojej komórce. – Ktoś potrzebuje karetki? – zapytał.

Ben i Liz pokręcili głowami.

Patrick był tak zmartwiony, oglądając uszkodzenia, że był w stanie wyłącznie raz po raz powtarzać: „Kurwa”.

– To cud, że wszyscy żyjemy – powiedział Hugo, zapalając kieszonkową latarkę, żeby dokładniej obejrzeć łódź, w którą uderzyli. Już obmyślał kolejną anegdotę, którą opowie wszystkim jutro przy śniadaniu.

W ciemnościach Ben wziął Liz za rękę, mocno ją uścisnął i już nie puścił, a ona wiedziała, że dopiero teraz zdarzył się prawdziwy cud.

Kiedy taksówka dowiozła ich do hotelu, nie odezwali się ani słowem, póki nie weszli do pokoju Bena. Gdy drzwi się za

nimi zamknęły, Ben chwycił się jej niczym tonący tratwy ratunkowej.

– Och Liz, och Liz, Liz – powtarzał wciąż od nowa, całując ją i rozbierając prędkimi palcami. – Nie mam prezerwatyw – wyznał. – Jesteś ciągle na pigułce?

– Tak – powiedziała Liz i pomyślała, że Ben nie musi wiedzieć, że pigułkę przestała brać już pięć lat temu i przerzuciła się na kapturek. Dzisiaj przekonana była, że zginie, i potrzebowała czegoś afirmującego życie. Chciała dziecka Bena.

Nogi odmówiły jej w końcu posłuszeństwa i opadła na jego łóżko, pociągając go za sobą. Może naprawdę umarłam, pomyślała, czując na sobie dłonie Bena po raz pierwszy od sześciu lat. Czy to naprawdę możliwe, tak bardzo czegoś chcieć przez tyle lat i potem to

wreszcie dostać? Ben zrzucił buty z nóg i ściągnął džinsy. Czy oboje zginęliśmy? – pytała samą siebie. Poglądziła go po plecach, poczuła słodką krągłość jego pośladków i zanurzyła palce we włosach okalających jego męskość. Nadal знаła każdy centymetr ciała Bena równie dobrze jak swoje własne. Zdjęła mu koszulę i westchnęła z radości, kiedy znów poczuła ciepło jego torsu na swoich piersiach. Ich ciała pasowały do siebie tak idealnie, że miała wrażenie powrotu do domu. Czy to niebo? – zadała sobie pytanie, ale wiedziała, że tak.

Rozdział 23

O Chryste! – Ben odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka. – Liz! Wstawaj. Jest wpół do ósmej. Liz powoli otworzyła oczy. Miała właśnie przepiękny sen.

– A co się stało z budzikiem? – zapytała półprzytomnie, ale kiedy opuściła nogi na podłogę, poczuła pod palcami coś twardego i okrągłego. Budzik Bena wylądował w nocy na podłodze, a baterie, które z niego wypadły, leżały teraz wtulone w jej stanik z gazy haftowanej w różyczki.

Majteczki znalazła zwinięte razem z narzutą na łóżko i spróbowała się ubrać. Kiedy zapinała stanik, ramiona zabołały ją z wysiłku, a z boku, na żebrach, ujrzała siniak wielkości pięści. Rozdzwoniła się komórka. Ben wybiegł z łazienki, żeby

odebrać rozmowę, nie przerywając mycia zębów.

– Taa. Taa. Nie zwracaj sobie głowy wysyłaniem po mnie minibusu. Dziś wezmę swój samochód. Możemy parkować na terenie, tak? Taa. Zaraz wyjeżdżam. Zostawcie mi coś na śniadanie, dobra?

– Masz opuchniętą twarz – powiedziała Liz i dotknęła jego policzka.

– Wiem. Boli jak cholera. Nic ci nie jest?

– Nie. Trochę jestem poobijana. Jakbym ostatnią noc spędziła w suszarce do ubrań.

– Wiem. Ja się czuje, jakby ktoś we mnie rzucał kamieniami.

Popatrzył na nią, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale zmienił zdanie. Zapadła między nimi cisza. I wreszcie:

– Uda ci się zdążyć, jeśli spotkamy się za dziesięć minut na dole?

– Jasne. – Narzuciła sukienkę. Znalazła tylko jeden but i bosa pobiegła korytarzem do swojego pokoju, gdzie przetarła twarz tonikiem, wyszorowała zęby i złapała czystą parę majtek. Z szafy wyciągnęła spódnice i skrzywiła się, wciągając przez głowę koszulkę. Przeciągając szczotką po włosach, czuła się, jakby wyciskała sto kilo na ławeczce. Upięła włosy, założyła pierwsze sandały, które stały przy drzwiach, i złapała kuferek z kosmetykami, żeby zrobić sobie makijaż, kiedy znajdzie wolną chwilę.

Ben już czekał w srebrnym golfie, kiedy biegiem wypadła z hotelu. Wychylił się i otworzył jej drzwi, a ona wsiadła, dziwiąc się temu, co dziś rano wydawało się takie naturalne, a jeszcze wczoraj było zupełnie nie do pomyślenia. Ben obejrzał się przez ramię i zrywem włączył do ruchu. Była prawie za pięć ósma, a na plener mieli

dobrze dwadzieścia minut drogi za miasto. Liz kręciło się w głowie od tego wszystkiego, co miała ochotę powiedzieć Benowi, ale od czego miała zacząć? Żadne z nich nie odezwało się, dopóki nie minęli Królewskiego Pawilonu.

– Podoba mi się twój samochód – powiedziała wreszcie, gładząc skórzane siedzenie. – Kiedy go kupiłeś?

– W zeszłym roku. Jakoś tak w lipcu. Miałem zamiar kupić go, ale namówili mnie na tego turbo.

– Jest bardzo fajny. – I znów zapadło niezręczne milczenie. Czekwała sześć lat. Mogła jeszcze poczekać parę minut.

– Przepraszam, że się dziś rano przeze mnie spóźnisz – powiedział Ben.

– No cóż, to i tak wina Patricka, że o mały włos nas wczoraj nie pozabijał.

– To prawda. Wierzyć się nie chce, że nikomu nic się nie stało.

– Jesteś pewien, że nic ci nie jest?

– Chyba tak.

– No więc, co teraz? – spytała Liz.

– Z czym?

– Z tym. Z nami. – Nie odważyła się wymówić tego słowa przez sześć lat. Ledwie śmiała wymieniać je w myślach. Zaledwie parę godzin temu nie było żadnego „my”. A teraz, proszę bardzo.

– Nie wiem. A czego byś chciała?

– Ty wiesz, czego ja chcę. – Obróciła się do Bena i wreszcie wyznała mu, co jej leżało na sercu. Czas gierk się skończył. – Czyja ci to naprawdę muszę mówić? Ostatniej nocy oboje o mało nie zginęliśmy. Może to znak, że dano nam drugą szansę.

Ben skreślił w boczną drogę prowadzącą na plener. Zwolnił i zatrzymał samochód na poboczu.

– Co? – spytała Liz. – Mam wysiąść i

iść dalej pieszo? O to chodzi?

– Głuptas. – Ben nachylił się i pocałował ją. – Chodzi tylko o to, że przy wszystkich, kiedy już będziemy na miejscu, tego nie zrobię. Nasz sekret. Pamiętasz?

Jakim cudem Liz mogłaby zapomnieć grę, którą lubili uprawiać, ile razy wspólnie pracowali – ignorowali się na planie i udawali pełną profesjonalność, a potem wymykali się na sekretne, gorączkowe uściski, ile razy trafiła im się okazja.

Znów ją pocałował, żeby pokazać, że nie żartuje, i było to tak, jakby zaczęła się budzić z koszmarne snu. Wczoraj po południu wydawało się to niemożliwe, żeby jeszcze raz miała siedzieć w samochodzie Bena, że dłoń Bena będzie błądzić między jej udami, że jego język znajdzie się w jej ustach – wczoraj po

południu świat był zupełnie innym miejscem.

Ben znów ruszył długą drogą wiodącą przez park, a Liz położyła rękę na wewnętrznej stronie jego uda, tak jak zawsze to robiła, kiedy prowadził i wydało jej się, że minione lata po prostu znikły.

– Mój Boże, Liz! Nic ci nie jest? – Orlando nie mógł złapać tchu. – Słyszałem wszystko o wypadku. Nie powinnaś tu być, wiesz? – Tak naprawdę chciał spytać, czemu przed sekundą wysiadła z samochodu Bena na końcu podjazdu, a potem pokuśtykała dwieście metrów do bazy, podczas gdy Ben pojechał dalej bez niej. Ale na razie zdecydował się zachować tę wiadomość dla siebie.

Liz spróbowała wbiec po schodkach do przyczepy garderoby jak pięćdziesiąt razy dziennie, ale krzywiła się przy każdym

stopniu. Miała takie wrażenie, jakby każda kostka w jej ciele została delikatnie przesunięta o jakiś milimetr, a łączny efekt był daleki od przyjemnego. Dziwnie było słyszeć słowo „wypadek” odnośnie czegoś, co już wydawało się odległe w czasie o całe dni czy tygodnie, relegowane do jakiegoś kąta dla rzeczy nieważnych przez wstrząsające wydarzenie, które zaszło później tej samej nocy.

– Nic mi nie jest – powiedziała jak we śnie. Wszystko wydawało jej się nierealne. „Nic” to też niedobre określenie. Spojrzała na plan zdjęć na ten dzień przyklejony do ściany i usiłowała zrozumieć proste, zawarte w nim informacje. Scena 54 – Jasmine potajemnie odwiedza kapelę. Scena 130 – Ludzie Turpina znajdują kryjówkę kapeli. Te słowa nic jej nie mówiły.

– Wszystko mamy pod kontrolą – rzekł

Orlando, znów biorąc do ręki żelazko. – Chłopcy są już w charakteryzacji. I wygląda mi na to, że oświetlenie potrwa wieki. Może trochę się wyluzuj, a ja ci zrobię cappuccino?

Liz prawie go nie słyszała, bo w myślach wróciła do chwili, kiedy Ben wykrzyczał jej imię, zaciskając palce na jej piersiach.

– Jak wypadła kopia robocza? – zapytał, odmierzając dwie miarki kawy.

– Kopia robocza? – Zupełnie o niej zapomniała. – Och, tak. Była niezła.

Tex obudził ją z rozmarzenia, wpadając po schodach do środka.

– Liz, nic ci się nie stało? Hugo powiedział, że mieliście wypadek. Co się stało? Przyniosłem ci herbatę.

O Boże, Tex. O nim też zupełnie zapomniała. Co ona teraz miała z nim zrobić? Wzięła od niego plastikowy kubek

i udawała, że jest bardzo zajęta studiowaniem listy ujęć.

– Dzięki, Tex, ale nic mi nie jest i nie mam czasu w tej chwili rozmawiać. Mam dziś rano kupę pracy.

Tex pokiwał głową.

– No cóż, skoro twierdzisz, że nic ci nie jest... Martwiłem się o ciebie. – Poglaskał ją opiekuńczo po ramieniu. – Znajdź mnie potem, dobra?

– Dobra – skłamała Liz.

Tex pocałował ją w policzek i znów zszedł po schodach. Liz poczekała, aż zniknie im z oczu, i opróżniła kubek za drzwiami, na trawę. Nie chciała, żeby cokolwiek dotykało jej ust i zmyło z nich smak pocałunków Bena.

Orlando patrzył na to wszystko w milczeniu i rozpoznał znajome oznaki. Jeśli Liz była na tyle szalona, żeby znów się wiązać z Benem, to tym razem on nie

będzie czekał w pobliżu, żeby zbierać resztki, kiedy wszystko jej się rozleci. Ale o Teksa martwił się naprawdę. Facet biegał za nią jak zakochany szczeniak, a niedługo dostanie kopa z twardym lądowaniem. Orlando westchnął. Dlaczego wszyscy fajni faceci to heterocy? Nie mógł się doczekać, aż ta robota wreszcie się skończy i już nigdy nie będzie musiał znowu pracować z Liz. Wyjrzał przez zakurzone okno na krowy pasące się gdzieś w oddali i pocieszył się myślą, że przynajmniej jest to najładniejszy plener, w jakim pracowali od dłuższego czasu.

Kręcili sceny w zapuszczonym starym dworze otoczonym całymi akrami parku i baza wyglądała jak piknik. W miarę jak mijał ranek i zaczynało się robić coraz goręcej, wszyscy wykorzystywali wolne chwile, kiedy czekali na oświetlenie planu, opalając się albo grając we frisbie.

To Damien, operator, jako pierwszy rozpoczął zabawę.

– No powiedz, Saskia, gdybyś mogła się pieprzyć tylko z jedną osobą z ekipy albo obsady, to kto by to był?

– Tylko z jednym? – oburzył się Orlando. – Saskia, czy przy tym filmie pracuje choć jeden człowiek, z którym się nie przespałaś?

Saskia żartobliwie go kopnęła.

– Wiesz, że to nieprawda – naburmuszyła się, szczęśliwa, że jest obiektem zainteresowania wszystkich obecnych. – Jestem prawdziwą świętą.

Rozejrzała się po twarzach mężczyzn wylegających się na trawie, zastanawiając się, któremu pochlebić. Oczywiście, tak naprawdę chciała przespać się z Dannym, ale nie mogła przecież się do tego przyznać, skoro siedział tuż obok, prawda?

– Chyba z Alekssem – powiedziała na

koniec, mając nadzieję, że w ten sposób zwróci uwagę Danny'ego, ale Danny nadal czytał scenariusz do swojego kolejnego filmu. Tracey skrzywiła się, patrząc na Saskie. Od tygodni ostrzyła sobie zęby na Aleksa.

– No dobra, a ty, Alex? – ciągnął Damien. – Z kim byś się przespał?

– Z Sophie Randall – powiedział Alex bez zastanowienia, a Saskia i Tracey zagotowały się cicho za nieruchomymi uśmiechami.

– Ona się nie liczy, bo wczoraj skończyła – zauważyła Bex.

– Taa, ale mnie nadal stoi – odparł Alex bez cienia zażenowania.

– A ty, Billy? – zapytał Damien.

– Muszę mówić? – Billy zawstydzził się.

– Jasne, oczywiście, że musisz! – rozkazał Damien. – Moja zabawa. Moje zasady.

– Z Tracey – mruknął Billy i wszyscy poza Tracey wydali radosny okrzyk. Już się rozpędziła, żeby spać z pomocnikiem dźwiękowca. Czy w ogóle z kimkolwiek z ekipy. Spała tylko z artystami. Wszyscy to wiedzieli.

– No to masz pecha, kochany – westchnął Damien. – Tracey pieprzy się tylko z waźniakami, prawda, kochanie?

– Naturalnie – potwierdziła Tracey, z radością pokazując Billy’emu gdzie jego miejsce. No rzeczywiście, niektórzy to mają tupet...

– Georgina?

– Zapomnij. Nie bawię się – powiedziała Georgina, kręcąc głową. – To zbyt ryzykowne.

– Nie możesz się wycofać – oświadczył Damien.

– Przykro mi, ale żaden z was mi się nie podoba.

– A ty, Emmo? – pytał Damien.

– Ja? Mam chłopaka, wiesz o tym – roześmiała się Emma.

– Taa, ale gdybyś musiała – upierał się Damien. – Gdyby przystawiono ci do głowy pistolet i musiałabyś z jednym z nas uprawiać seks, to kogo byś wybrała?

– No cóż, ciebie, Damien, naturalnie – odparła dyplomatycznie Emma.

– Jak tak, to w porządku – stwierdził Damien, całkiem zadowolony z odpowiedzi, a potem schylił głowę, ledwie unikając dekapitacji przez frisbie.

– Przepraszam, stary! – zawołał Tex, podbiegając, żeby podnieść zabawkę.

– A ty, Tex? – spytał Orlando. – Gdybyś musiał się przespać zjedną osobą z ekipy albo obsady, to kto by to był?

Liz spiorunowała go wzrokiem.

– Och, nie chciałbym tego mówić – splonął się Tex. – Dżentelmen nigdy nie

mówi takich rzeczy. Ale ona wie, że to o nią chodzi.

Rzucił z ukosa spojrzenie na Liz, a ona odwróciła wzrok rozgniewana. Miała nadzieję, że Tex nie zrobi sceny, kiedy dowie się o niej i Benie. Czy nie mógłby po cichutku zniknąć gdzieś w tle? Wstała na nogi z pewnym trudem i wróciła do przyczepy garderoby, mając nadzieję, że on za nianie pójdzie.

– Moim zdaniem, to obrzydliwa zabawa – zdenerwowała się Saskia. Nie mogła tego już dłużej znieść. – Czy nikt nie chce się ze mną przespać?

– Chodź tu, kochanie – powiedział Damien i przewrócił ją na ziemię, starając się na niej ułożyć i ugryźć ją w ucho.

Saskia udawała, że się broni, ale za bardzo chichotała i stwierdziła, że zabawa całkiem jej się podoba.

Wewnątrz dworu, w tym, co kiedyś musiało być salą balową, Ben patrzył, jak Hugo, Pete i Kevin ustawiają oświetlenie, i usiłował zrozumieć, czemu ogarnął go taki niepokój. To dziwne, mdlące uczucie w żołądku musiało mieć coś wspólnego z wypadkiem, doszedł do wniosku. Kim, pielęgniarzka ekipy, natarła mu siniak na twarzy maścią z arniki i dała szklanę wody z paroma kroplami rescue remedy, którą kazała mu popijać w ciągu dnia.

– To świetnie pomaga na szok – wyjaśniła.

Ale pół godziny później oddał całość Patrickowi, który skończył rozmowę z towarzystwem ubezpieczeniowym. Kompletnie pobieleły na twarzy. Samochód został odholowany z miejsca wypadku jeszcze wczoraj w nocy i teraz ubezpieczalnia miała zdecydować, czy da się go jeszcze uratować, czy też lepiej

byłoby skrócić mu męki.

– Jak oni mogą spisywać go na straty? – mówił Patrick. – Jeżdżę nim od dwudziestu lat.

Ben nigdy jeszcze nie widział go w takim stanie. Patrick był tak zgnębiony, że nawet nie wspomniał o tym, że wsadził Bena i Liz do wspólnej taksówki, żeby wrócili do hotelu.

– Nie martw się, to twarda sztuka, jeszcze się wykaraska – pocieszał go Ben.

Wczorajsza noc z Liz zupełnie przypominała dawne dobre czasy i jakąś częścią uwagi już wyglądał powtórki w nadchodzący wieczór. I to dobrze, prawda? Przecież tego właśnie chciał. Uznał, że oszalał, wypuszczając kiedyś Liz z rąk, więc powinien się cieszyć tym, że dostał drugą szansę. I naprawdę się cieszył, naprawdę. Liz była świetna. Zawsze była świetna. Po co się jej obawiać? Nie była

wrogiem, stała po jego stronie. Nadal usiłował myśleć pozytywnie, kiedy Jamie zawołał wszystkich do środka na próbę kamery.

Podczas lunchu Liz zabrała swoją tacę na nasłoneczniony kawałek trawnika, na tyle daleko od reszty, żeby mieć nieco prywatności. Mimo tego, co Ben powiedział rano o utrzymywaniu ich związku w tajemnicy, nadal miała nadzieję, że do niej podejdzie i zje razem z nią. Tyle czasu stracili z dala od siebie, że każda godzina wydawała się teraz droga, więc ledwie zdołała ukryć rozczarowanie, kiedy zobaczyła, że podchodzi do niej Tex.

– Dlaczego nie wzięłaś sobie łososia? – zapytał, oglądając zawartość jej talerza. – Dzisiaj wygląda naprawdę ładnie.

– Tex, ja nie muszę codziennie jadać ryb – westchnęła zdesperowana Liz. – Po

prostu miałam ochotę na sałatkę, dobra? –
Metodycznie kroїła swojego pomidora w
malutką kostkę, chociaŹ właŹciwe wcale
nie chciało jej się jeŹć.

Tex odkroił kawałek łososa i wyciągnął
go do niej na widelcu.

– Spróbuj kawałeczek.

– Nie.

– No spróbuj, jest pyszny.

– Nie chcę tej twojej głupiej ryby,
rozumiesz?

Tex odłożył widelec z niemądrą miną.

– Pewnie jesteŹ jeszcze nieco
wstrząśnięta – zasugerował. – To znaczy,
po tym wypadku. Nadal nie powiedziałaŹ
mi, co się właŹciwie stało.

– Nie wiem. Nie ja prowadziłam. Czemu
nie zapytasz Patricka?

Widziała, Źe Ben stanął obok busu
stołówki z widelcem i noŹem w dłoni.
Teraz, kiedy tuŹ obok siedział Tex, na

pewno tu nie podejdzie.

– Zapytałem Patricka. Powiedział mi, że pękła opona i uderzyliście w jakąś łódź.

Liz otworzyła ostatni numer „Dazed and Confused”. Miała nadzieję, że Tex zrozumie aluzję. Nie miała ochoty wracać teraz do tej sprawy.

– Liz?

– Co?

– Powiedziałem, że Patrick powiedział mi, że pękła opona i uderzyliście w jakąś łódź.

– Świetnie. Więc wiesz tyle samo co ja.

– Przewróciła kolejną stronę, nie podnosząc oczu.

Tex odstawił talerz i zmarszczył brwi.

– Liz, dlaczego ty nie pozwalasz, żeby ktokolwiek był dla ciebie miły? Wiem, zawsze zachowujesz się tak, żeby pokazać, że jesteś twarda i umiesz o siebie zadbać, ale na świecie są ludzie, którym nie jesteś

obojętna. Na przykład ja. Chciałbym ci pomóc.

– Och, na litość boską, Tex, czy nie mogłabym chociaż zjeść lunchu w spokoju? – Liz odsunęła od siebie nietkniętą sałatkę i położyła się na trawie jak najdalej od Teksa. Zamknęła oczy i natychmiast przepełniły ją myśli o Benie.

Tej nocy, doprowadziwszy zakłęcie do końca, Liz zakopała ogarki świec i zapalki pod kamieniami na plaży, gdzie nikt ich nigdy nie znajdzie i żeby podziękować pomocnym duchom, postawiła ostatnią miniaturową buteleczkę koniaku u stóp anioła, razem z resztką pudełka czekoladek ferrero rocher.

Widziała, że wszystko w jej życiu jak za dotknięciem magicznej różdżki zaczyna wracać do właściwych proporcji. Koło się obróciło, tryby wskoczyły na swoje

miejsce. Planety, które tymczasowo zgubiły kurs, znów wracały na normalny tor.

Każdej nocy wchodziła do pokoju Bena, pilnując, żeby nie zauważyły jej żadne wścibskie oczy. Bez żalu zrezygnowała ze swojego pokoju z widokiem na morze, bo wołała, żeby budziło ją chrapanie Bena niż krzyk mew, a jeśli Tex dobijał się do jej drzwi i nikt mu nie odpowiadał, no cóż, był człowiekiem dorosłym i mógł sobie z tego wyciągnąć własne wnioski.

Każdego ranka budząc się, Liz przez moment czuła się zagubiona, bo ta szalona miłość, którą pamiętała, na pewno była tylko snem, ale potem otwierała oczy, widziała leżącego koło niej Bena i serce napełniało jej się szczęściem i lekkim niedowierzaniem.

– Nie wiem, czego się tak bardzo bałem
– rzekł którejs nocy, dokładnie tydzień po

tym, jak się pogodzili. – Nigdy nie umiałem się przy nikim ustatkować, nie tylko przy tobie, po prostu przy nikim. Myślałem, że to dlatego, że szukam właściwej osoby, ale ja już chyba znalazłem właściwą osobę, tylko tego nie dostrzegałem.

– Może – powiedziała Liz i zobaczyła, że jemu znów pojawia się w oczach ten znajomy wyraz.

W tych dniach bardzo dbali o to, żeby stawiać budzik w bezpiecznym miejscu.

Rozdział 24

Najnowszy członek obsady miał mocno nieszczęśliwą minę. – Dlaczego mam to nosić? – protestował Paolo. – Człowieku, zieleń to nie mój kolor.

– A mnie się wydawało, że chcesz zagrać w filmie – zbeształ go Orlando. – Orlando, weź mnie do tego filmu, i Orlando, weź mnie do tego filmu! Nic innego od ciebie nie słyszę od dwóch tygodni! No cóż, załatwiłem ci rolę w filmie, więc okaż mi teraz nieco wdzięczności.

– Nie włożę tych zielonych spodni – upierał się Paolo.

– Świetnie – uciał Orlando i zacisnął wargi. – Ściągaj je. Znajdę kogoś innego na twoje miejsce.

Wychylił się z przyczepy i zawołał do

Bradleya, mechanika, który przechodził obok:

– Bradley, kochany, nie chciałbyś zagrać sprzedawcy w tej scenie? Naszej aktoreczce rola nie odpowiada.

Paolo pomacał plakietkę z napisem Paolo przypiętą do zielonej koszuli.

– Hej, wcale nie mówiłem, że tego nie zrobię – wycofał się.

Szkoda tylko, że nie możesz mi dobrać bardziej twarzowego koloru.

Benowi potrzebne były cztery sceny w supermarkecie budowlanym – panorama wzdłuż alejek, ujęcie Jasmine i kapeli wypytujących o drogę kogoś z obsługi, potem najazd na całą grupę i ze dwa zbliżenia na Jacksona wybierającego kafelki łazienkowe, klej i paczkę fugi. I musieli się z tym wszystkim uporać przed otwarciem sklepu o dziesiątej. Wszystko to

miało służyć stworzeniu sprytnego planu ukrycia szmaragdów. A przynajmniej plan wydawał się sprytny, pomyślał Ben, kiedy pisałem tę scenę ponad rok temu. W tej chwili wydawał mu się nieco idiotyczny – na coś podobnego mógłby wpaść jedenastolatek. Czy miał teraz czas, żeby jakimś cudem wymyślić nową scenę w supermarkecie budowlanym z udziałem pięciu aktorów? Czy w ciągu najbliższych dziesięciu minut uda mu się kompletnie przepisać zakończenie filmu? Odpowiedź brzmiała: nie. Był skazany na łazienkowe kafelki. To będzie znakomita scena, powtarzał sobie i zerkał w stronę Liz, szukając moralnego wsparcia. Tylko nie panikować.

– No popatrz, znów to zrobił – jęknęła Bex, wskazując Danny’ego, który kawałek dalej, w alejce sklepowej, stroszył włosy

ręką. Powiedziała Benowi, że kręcenie tej sceny w alejce pełnej łazienkowych luster aż prosi się o kłopoty. – Idę i poprawiam mu włosy i w tej samej chwili, kiedy tu wracam, on je sobie mierzwi. – Z irytacją złożyła ramiona na ciężkiej torbie z przyborami do makijażu zawieszzonej na ramieniu.

– Chcesz podejść i go poprawić? – spytał Jamie.

– Nie, niech się wali. Bez sensu. – Bex usiadła na swoim składanym stołeczku i zaczęła polerować paznokcie.

– Kamera!

Damien pchał powoli wózek z kamerą po szynach w stronę alejki, gdzie stali aktorzy. Zgrał to w czasie wprost idealnie. Ben wstrzymał oddech, wpatrując się w obraz na monitorze przed sobą, marząc, żeby wszystko wypadło jak trzeba. Paolo, strasznie skrepowany w swojej zielonej

koszuli i spodniach, zobaczył nadjeżdżającą kamerę, instynktownie spojrzał prosto w obiektyw i poprawił fryzurę.

– Cięcie! Nie patrzeć do kamery! – wrzasnął Ben.

– Och, jasne, jasne! – zachichotał Paolo, błogo nieświadomy, że właśnie zmarnował najcenniejszy towar znany ludzkości – czas ekipy filmowej.

Damien ostentacyjnie cofnął wózek na pozycję startową, a Ben nerwowo spojrzał na zegarek. Przy powtórce ujęcia obserwował z rosnącym niedowierzaniem, jak Paolo wyciąga ramię na całą długość i kręci biodrami, wskazując w stronę alejki z fugami.

– Jamie, możesz mu powiedzieć, że nie kręcimy *Grease*, a on nie jest żadnym pieprzonym Johnem Travoltą?! I ma wskazywać w stronę alejki z kafelkami

łazienkowymi. Skąd myśmy wytrzasnęli tego kretyna? – szepnął do Stacey.

– To Paolo, chłopak Orlanda – powiedziała mu Liz do ucha.

Nie miała żadnych skrupułów, zwalając całą winę na swojego asystenta. Zasłużył sobie na to swoim oburzającym brakiem lojalności.

Paolo, który miał dostać standardowe wynagrodzenie w wysokości sześćdziesięciu czterech i pół funta i poprzedniego wieczoru wziął sobie wolne z pracy, poczuł się bardzo dotknięty, że Ben nie docenia tej odrobiny stylu, jaką chciał wnieść do swojej raczej mało ciekawej roli. W efekcie podczas kolejnej powtórki wskazał alejkę niechętnym gestem kompletnie znudzonego sprzedawcy, co było dokładnie tym efektem, jakiego szukał Ben.

– Cięcie!

– Wywołujemy ujęcie trzecie! – ogłosiła Stacey.

– I jedziemy dalej!

W niecałe pół godziny gotowi byli do zbliżenia na Danny’ego. Miał tylko jedną linijkę dialogu, którego nie sposób było spieprzyć. A jednak okazało się, że Danny to potrafi.

– Danny, czy mógłbyś jednak powiedzieć: „Lepiej weźmy ten cały chłam”, a nie: „Lepiej weźmy wszystko”? – spytał Ben. Ciągłe zapominał nazywać Danny’ego Eddiem, ale poprosił tak ładnie, jak tylko umiał.

– A co to za różnica?

– Nie wiem, po prostu wydaje mi się, że zabawniej brzmi to, co sam napisałem. Zrób mi przyjemność, dobra? – Problem polegał na tym, że żaden tekst w ustach Danny’ego nie wydawał się śmieszny. Danny, niczym szklany klosz, odsysał

powietrze z każdej sceny i przyduszał ją na śmierć. Ben wiedział, że powinien dać ten dialog Luke'owi, ale Danny miał być gwiazdą filmu i musiał od czasu do czasu coś powiedzieć.

Szykowali się do trzeciej sceny, kiedy rozległ się głośny trzask i w alejce zrobiło się ciemno.

– Pięć minut, szefie, padł nam reflektor – powiedział Pete. – Kevin, przynieś tu następny pięć K.

– Robi się, na jednej nodze!

Ben niespokojnie zerkał na zegarek, a Stacey zaczęła odkreślać fragmenty scenariusza rozłożonego na kolanach i kompletować swoje notatki z czasu trwania dialogów. Gdyby nie nadganiała papierkowej roboty w każdej dostępnej chwili, mogłaby pożegnać się z lunchem. W świecie idealnym, pomyślała, mielibyśmy dwie godziny na

przygotowanie każdej sceny. Z punktu widzenia Stacey przepalało się zdecydowanie za mało lamp.

I wtedy to usłyszeli.

– Moim zdaniem z niego jest cholernie kiepski reżyser – mówił Danny. – Czy ktokolwiek w ogóle ma pojęcie, o co chodzi w tej scenie?

Ben zamarł, słuchając głosu Danny’ego w swoich słuchawkach. Stacey też miała słuchawki na uszach i złapała wzrok Bena, przygryzając wargę. Czy Danny naprawdę był takim idiotą, żeby nie wiedzieć, że póki ma włączony mikrofon, oni usłyszą każde jego słowo?

Tex obejrzał się na Bena, zażenowany.

– I co to niby za różnica, czy powiem dialog, tak jak on chce, czy tak jak chcę? – ciągnął Danny. – Nie powinien zatrudniać aktorów, jeśli nie ma zamiaru liczyć się z ich pomysłami.

Ben zachnął się, ale nie powiedział ani słowa. Danny nie miał pomysłów. Ten leniwy maminsynek po prostu nigdy nie raczył uczyć się roli na pamięć.

– Po raz ostatni pracuję z niedoświadczonym reżyserem – mówił Danny. – Mam dość tej pieprzonej amatorszczyzny.

Lampy znów się zaświeciły i Ben pozwolił Danny’emu no wiedzieć przed kamerą to, co mu się żywnie podobało.

– Cudownie, Danny – stwierdził potem. – Wprost idealnie. Może skoczysz teraz na wcześniejszy lunch, a ja odwałę tu te pozostałe sceny?

Danny nie dał się dwa razy prosić.

– Na razie, chłopaki – mruknął i wyszedł bez pośpiechu.

W tej samej chwili, w której Danny zniknął, zabrali się za nadprogramowe ujęcie z Lukiem.

– Wiesz co, Luke? – zawołał Ben od niechcienia. – Może powtórzysz też dialog Danny’ego? Żebyś nie stał beczynnym.

Luke powtórzył dialog dokładnie tak, jak został zapisany w scenariuszu, i dodatkowo wzbogacił go tak idealnie wypunktowanym humorem, że nawet najbardziej utalentowany scenarzysta świata sam by tego nie wymyślił.

– Wywołujemy ostatnie ujęcie – szepnęła Ben do Stacey, a ona, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, wróciła do swoich notatek z tej sceny i obok każdego ujęcia z Dannym dopisała litery DN, czyli „do niczego”. Będzie śmiesznie, pomyślała, przeglądając swój segregator i sprawdzając, jak ograniczyć do minimum liczbę scen z Dannym, które pójdą do ostatecznego montażu.

Zanim Liz gotowa była pojechać na

kolejny plener, pierwszy minibus już ruszył, a jedynym samochodem ekipy, jeszcze stojącym pod frontowymi drzwiami, była mała biała półciązarówka dźwiękowców, Teksa i Billy'ego.

– Liz, wskakuj, podwieziemy cię.

Zawahała się między niechęcią do tłumaczenia się Teksowi z powodów, dla których go unika, a przejściem kilkuset metrów w nowych sandałach na wysokich obcasach do miejsca, gdzie parkował drugi minibus. Wiedziała, że powinna była włożyć na plan sportowe buty, jak wszyscy pozostali, ale uważała, że musi zachować pewien styl.

A, do diabła, pomyślała i wsiadła na przednie siedzenie obok Billy'ego.

– Czyja cię czymś uraziłem? – spytał Tex.

– Nie.

– To dlaczego mnie unikasz?

– Nie unikam cię. Jestem zajęta i zmęczona. Nie mam siły wychodzić gdzieś co wieczór po pracy.

– Dzwoniłem wczoraj do twojego pokoju, ale cię nie zastałem.

– Naprawdę? A o której to było?

– Około dziesiątej.

– Musiałam siedzieć w wannie.

– W tę niedzielę ja i Billy zostajemy w Brighton. Chciałabyś pójść gdzieś z nami?

– Pewnie będę musiała iść po zakupy. – Podjechali na parking supermarketu budowlanego, gdzie szykowano kolejny plan. – Dzięki za podwiezienie – powiedziała Liz i wyskoczyła z samochodu.

– Chyba puszcza cię w trąbę, stary – powiedział Billy, patrząc, jak Liz idzie przez parking w stronę przyczepy Bena.

– Chyba masz rację – zgodził się Tex i starał się nie okazać, jak bardzo go to boli.

Skończyli o zachodzie słońca przed budką z chińskim jedzeniem na wynos, gdzie kręcili scenę z udziałem Luke'a, Aleksa i prawdziwych właścicieli interesu, rodziny Tanów, którzy grali samych siebie. Luke i Alex pytali chłopaka stojącego za ladą, czy nie zna pana Wonga. Tanów najpierw to serdecznie rozśmieszyło, ale potem pani Tan uznała, że stroją sobie z niej żarty. Tim i Flick zostali wzięci z łapanki do udziału w tej scenie jako statyści i oboje z zażenowaniem udawali, że studiują zalaminowane menu, gdy pani Tan obrzucała chłopców sarkastycznymi obelgami w mandaryńskiej chińszczyźnie.

Benowi bardzo podobał się sposób, w jaki zielone neonowe znaki odbijały się w ich twarzach, a pani Tan okazała się prawdziwym skarbem – będzie musiał znaleźć dla niej jeszcze coś do roboty w

tym filmie. Może w następnym wykorzysta naturszczyków zamiast aktorów – wiedział, że Patrick by temu przyklasnął.

– Ben, masz sekundę? – zapytała Flick, kiedy wszyscy zbierali się do powrotu do hotelu.

– W czym problem?

– Och, nie ma problemu – zapewniła go Flick. – Tylko że ja wpadłam na pomysł takiego wieczoru z filmami wideo... Moglibyśmy pokazać filmy, w których przedtem występowała nasza obsada.

Ben pokiwał głową. Nie miał czasu przejmować się nadobowiązkowymi zajęciami Flick.

– I... ?

– No wiesz, tak myślę, czy ty kiedykolwiek widziałeś ten film, w którym poprzednio występowała Emma? Bo szukałam w Internecie i nie mogę znaleźć

informacji, żeby grała w czymkolwiek. Czy to był jakiś szkolny film, czy co?

Ben przystanął. Miał zamiar w wolnej chwili obejrzeć ten film Emmy, ale wiecznie brakowało mu czasu.

– Nie, nigdy go nie widziałem. Ale on chyba jeszcze jest w postprodukcji. To coś o włosach.

– *Fryzjerstwo* – przytaknęła Flick. – Sprawdziłam u Angeli. Ale nie mogę go nigdzie znaleźć. Nie ma filmu pod tytułem *Fryzjerstwo*.

– No cóż, pewnie zmienili mu tytuł. Ten musiał być roboczy.

– I tak powinien mi się wyświetlić – upierała się Flick.

– No dobrze, ale czego ode mnie w tej sprawie oczekujesz? – zapytał Ben zirytowany, że dziewczyna robi tyle hałasu o jakiś drobiazg. Miał za sobą długi i stresujący dzień, teraz interesowało go

wyłącznie piwo i łóżko. – Czemu po prostu nie spytasz Emmy?

– Chciałam, żeby to była niespodzianka.

– Flick, bardzo cię przepraszam, ale naprawdę nie mam na to teraz czasu. Nie widziałem filmu, którego szukasz, a w tej chwili usiłuję nakręcić własny, więc jeśli się nie pogniewasz...

Flick odstąpiła na bok i przepuściła Bena, a on wskoczył do czekającego minibusu i odjechał, zostawiając Flick i Tima na chodniku.

– O Jezu... – powiedziała Flick. – Przecież ja tylko spytałam...

Przez te ostatnie dni Ben kiepsko sypiał. Leżał bezsennie całymi godzinami, w głowie wciąż od nowa przerabiając swój film, zastanawiając się nad każdym ujęciem i każdą linijką dialogu, wciąż desperacko usiłując wymyślić nowe

zakończenie, lepsze niż to, które napisał wcześniej. Poprosił Jamiego o przeorganizowanie harmonogramu tak, żeby końcowe sceny filmu faktycznie kręcone były w ciągu ostatniego tygodnia zdjęć, i co rano modlił się o nagły przypływ inspiracji.

A tego dnia nadeszły kolejne złe wiadomości – stracili plener, na którym Eddie miał znaleźć Jasmine po pobiciu jej przez ludzi Turpina. Dziedziniec fabryczny znaleziony przez Piersa był cudownie ponury, ale teraz właściciele zdecydowali, że nie chcą, żeby ekipa filmowa zakłócała im pracę nocnych zmian.

– Może powinniśmy wrócić do Mongo Club i tam to nakręcić – zastanawiał się Ben, leżąc w półmroku i z roztargnieniem głaszcząc Liz po ramieniu. Nawet nie usiłowała zasnąć, kiedy popadał w jeden z takich nastrojów. – Ale mam już powyżej

uszu tego planu. Pół cholernego filmu nakręciliśmy w tamtym klubie.

– Dlaczego jej po prostu nie zamkną w bagażniku? – podpowiedziała sennym głosem Liz.

– Jasmine?

– Taa. W ten sposób nie będziesz musiał szukać nowego pleneru i możesz to nakręcić tego samego wieczoru, co resztę scen z jazdy samochodem.

– I nawet nie trzeba jej będzie pobić! – olśniło Bena. Martwił się o tę scenę od pierwszego dnia zdjęć, bo wiedział, że pobicie Jasmine przez Bustera i Louie Szczęściarza zakłóci komediowy nastrój, do którego dążył. Oprzytomniał teraz zupełnie i już wyobrażał sobie w myślach nową scenę. – No więc, Eddie znajduje samochód zaparkowany przy nabrzeżu, czy gdziekolwiek indziej, i słyszy, jak ona woła, żeby ją wypuścić, no i może jest

nieco posiniaczona, ale nie musimy w sumie widzieć, jak została pobita. Jesteś genialna!

Pocałował Liz, a ona owinęła go nogami, wiedząc, co się za chwilę stanie.

– No i co ja bym bez ciebie zrobił? – zastanawiał się głośno.

– Dobrze rozgrywaj swoje karty, a nigdy nie będziesz musiał się tego dowiadywać.

Rozdział 25

Mewy wybiły ją ze snu na długo przed dzwonkiem budzika. Emma rozsunęła zasłony i trochę się rozczarowała, widząc te same znane dachy i te same ptasie odchody plamiące okno.

Dochodziła dziesiąta w niedzielę rano i Jason już był w drodze. Nie chciała do niego dzwonić – nie lubiła, kiedy korzystał z komórki, prowadząc. Poza tym teraz, wiedząc, że za parę godzin będą razem, mogła za nim tęsknić z przyjemnością. Kiedy przyjedzie, zabierze go w jakieś miłe miejsce na późne śniadanie, więc zrezygnowała z hotelowych tostów i jajecznych kul armatnich i postanowiła zamiast tego poćwiczyć jazdę na rolkach. Tim udzielił jej w sekrecie kilku lekcji i umiała już posuwać się do przodu mniej

więcej po prostej, chociaż zatrzymywanie się nadal stanowiło pewną trudność.

Zbiegła po schodach w samych skarpetkach i w holu hotelowym założyła swoje nowe rolki, zapięła ochraniacze na nadgarstkach i kolanach, a potem ostrożnie wyjechała na ulicę i przytrzymała się latarni, póki nie zobaczyła, że droga wolna i że nie wpadnie pod jakiś samochód. Przedostawszy się bezpiecznie na ścieżkę, chwyciła się ogrodzenia i poprawiła opaskę elastyczną, która spinała jej włosy w koński ogon.

Dalej, obok posągu anioła, gdzie ścieżka poszerzała się, a asfalt robił się bardziej gładki, złapała równowagę, puściła ogrodzenie i zaczęła zataczać duże, nieco chwiejne koła. Nad jej głową mewy na bieżąco komentowały sytuację, a Emma jeździła w kółko, zahipnotyzowana skrzypem kółek, smakiem soli w

powietrzu i wielkim, spokojnym morzem połyskującym łagodnie pod bezchmurnym niebem. Życie naprawdę nie może być już lepsze niż w tej chwili, pomyślała i na fali ogarniającego ją wielkiego optymizmu spróbowała zrobić piruet. Poplątały jej się nogi i wylądowała na ziemi w tej samej chwili, w której jakiś znajomy głos zawołał jej imię.

– Emma!

Podparła się na dłoniach i kolanach, gdy podbiegł do niej Ben. Zatrzymał się i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać.

– Nic ci się nie stało? – spytał.

– Och, nie, nic mi nie jest – odparła, wydłubując z nogi okruch asfaltu. – Musiałam trafić na szczelinę, czy coś.

– Na pewno – zgodził się Ben, chociaż nie mógł nie zauważyć, jak równa i gładka była ścieżka w tym akurat miejscu.

Idziesz na śniadanie? – Nie miał serca

mówić jej, że scena z jazdą na rolkach została wycięta.

– Dobrze. – Naprawdę miała ochotę na filiżankę herbaty. Ruszyła ostrożnie obok niego w stronę hotelu, usiłując wyglądać tak, jakby wiedziała, co robi.

– A zatem dzisiaj jest ten wielki dzień, tak? – zapytał, biegnąc powoli obok niej.

– Proszę?

– Jason dzisiaj nie przyjeżdża?

– Och, przyjeżdża. Ale skąd wiedziałeś?

– Chyba wszyscy już wiedzą – powiedział Ben.

– Czy naprawdę tyle o tym gadałam?

– Może troszkę.

– No cóż, to tylko dlatego, że jestem taka podekscytowana. Nie widziałam go pełne trzy tygodnie.

– Co macie w planach?

– Chcę go zabrać na miasto na śniadanie, a potem... – Emma roześmiała

się, myśląc, że prawdopodobnie spędzą cały dzień w łóżku. Znając Jasona, nawet na śniadanie nie dotrą.

– Och, jasne. Pomińmy szczegóły – powiedział Ben, żałując, że w ogóle pytał. Wiedział, że z Emmą wyciągnął pusty los, ale i tak nie miał ochoty wysłuchiwać wszystkich szczegółów. A potem przypomniał sobie, że niecałą godzinę temu kochał się z Liz i że to, co robi Emma ze swoim chłopakiem, nie powinno go w najmniejszym stopniu obchodzić.

– A ty? – spytała Emma. – Nie spodziewałam się, że tak wcześnie kogoś spotkam.

– Muszę zrobić poprawki. Nie podoba mi się zakończenie scenariusza. Ale chętnie spędziłbym cały dzień w łóżku. To znaczy, pospałbym.

Dotarli do hotelu i Emma rozpięła rolki, zdjęła ochraniacze i poszła za Benem do

jadalni na bosaka. Niektórzy członkowie ekipy już powstawali i Liz, Hugo, Stacey i Kevin, jeden z elektryków, siedzieli przy dużym narożnym stole, popijając kawę i przeglądając niedzielne gazety. Emma nałała sobie szklankę soku pomarańczowego i wzięła trochę czekolady – tyle, żeby doczekać przyjazdu Jasona, powiedziała sobie.

Liz włosy zjeżyły się na karku, kiedy zobaczyła Emmę i Bena wchodzących razem. Godzinę temu Liz i Ben obudzili się w jednym łóżku, odbyli niedzielny poranny szybki numerek, a potem on nagle oświadczył, że idzie pobiegać.

– Ale to twój dzień wolny! – zaprotestowała Liz.

– Dokładnie. To jedyny dzień w tygodniu, kiedy mogę pobiegać.

Włożył szorty, sam nie do końca pewien, czemu tak się pali, żeby

zrezygnować z okazji do wylegiwania się w łóżku.

– Nie możesz pobiegać później?

– Wczesny ranek to najlepsza pora na spalanie tłuszczu. Na pusty żołądek. Sama mi tak mówiłaś.

– Chodź do łóżka. To też dobre ćwiczenie.

– Jak wrócę. Możemy spędzić w łóżku cały dzień, jeśli chcesz.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Pocałował ją i poczuła zapach starego potu na spłowiałej szarej koszulce, w której zawsze biegał.

– Mógłbyś sobie darować bieganie, gdybyś nie jadł smażonych śniadań – rzuciła teraz od niechcienia, jakby wygłaszała czysto medyczną opinię.

– To samo białko – odparł Ben równie lekkim tonem. Nie miał zamiaru wdawać

się publicznie w sprzeczkę zakochanych z Liz. Ekipy filmowe to najbardziej rozplotkowane towarzystwo na świecie, ale mimo przeszkód udało im się, jak do tej pory, utrzymać swój romans w tajemnicy. Liz okazała się znacznie lepszą aktorką niż cała jego rzeczywista obsada. Ile razy odzywała się do niego na planie, stosowała sprytny trick i nigdy nie patrzyła mu w oczy, tylko pozwalała spojrzeniu błądzić gdzieś ponad jego ramieniem, jakby myślała zupełnie o czymś innym, tak że czasami Ben sam zapominał, że śpią ze sobą co noc.

– Na zewnątrz mamy prześliczny poranek – poinformowała wszystkich zainteresowanych Emma. – Właśnie byłam na rolkach.

– Jesteś bardzo dziarska – powiedział Kevin, podnosząc oczy znad „News of the World”. – A pogoda jak?

– Znakomita. Lepszej by sobie nie można życzyć. – Wzrok Emmy nagle przyciągnęło zdjęcie w gazecie Kevina, widziane do góry nogami.

– Och, patrzcie, to Jason! – pisnęła. – Mogę zobaczyć? – I nie czekając na odpowiedź, obróciła gazetę. Uśmiech zamarł na jej ustach.

– Co się stało? – spytała Stacey.

Emma nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na fotografię, usiłując się zorientować, jakim cudem gazeta zmontowała takie zdjęcie. Czy ktoś jej tu robił jakiś dowcip? Czy to prima aprilis? Chyba śniła.

– Daj mi to tutaj – powiedział Hugo, niecierpliwie wyrywając jej z ręki gazetę. – Dopuszcz nas do sekretu.

I przeczytał na głos podpis pod zdjęciem:

– „Gwiazdy *Shelby Square*, Jason Cairns i Nicole Lloyd, ogłaszają swoje zaręczyny

na imprezie wydanej w tym tygodniu dla uczczenia pięćsetnego odcinka serialu”.

Emma nadal nie była w stanie odezwać się choć słowem i wciąż wpatrywała się w odwrócone zdjęcie Jasona i Nicole trzymających się za ręce. Nicole prezentowała do kamery pierścionek z brylantem.

– To znaczy, to jest jakaś twoja przyjaciółka? – spytał Kevin, który nie należał do największych bystrzaków w okolicy.

– Zamknij się, Kevin – powiedziała Stacey.

– To po prostu pomyłka – powiedziała Emma i usiłowała się roześmiać, ale ramiona jej się trzęsły. – Gazecie wszystko się pomieszało. Oni po prostu zaręczają się w serialu, to wszystko... Boże! Ależ się Jason wścieknie, kiedy tu przyjedzie i to zobaczy!

Wstała, przytrzymała się stolika, żeby nie stracić równowagi, i wyszła najspokojniej jak umiała z sali jadalnej. Ruszyła po schodach. Zadzwoi do Jasona, a on jej wyjaśni, że to wszystko jedna wielka pomyłka.

Dopiero pod drzwiami swojego pokoju przypomniała sobie, że oddała klucz do recepcji, zanim poszła na rolki, i osunęła się na dywan w korytarzu jak kupka nieszczęścia, bo wysiłek zejścia na parter nagle przekroczył jej możliwości. Nadal tam siedziała, kiedy Ben wszedł po schodach i trafił prosto na nią.

– Emma, nic ci nie jest?

Usiadła prosto i spróbowała się rozeźmiać.

– Och, skąd, wszystko okay. Tylko zostawiłam klucz na dole. Ile razy się dzisiaj widzimy, ja siedzę na ziemi.

Liz stała za jego plecami. Nie miała

najmniejszego zamiaru zostawić Bena sam na sam z Emmą. Jeśli dziewczyna szuka ramienia, na którym się wyplącze, to niech sobie znajdzie jakieś inne.

– Idź po klucze Emmy, Ben – poleciła mu. Sama usiadła obok niej i objęła ją ramieniem. – Biedactwo moje – zagruchała.

– Nic się nie dzieje. To nieprawda – powiedziała Emma sztucznie pogodnym tonem. Ktoś słuchający ich rozmowy mógłby uznać, że to Emma usiłuje pocieszyć Liz, a nie odwrotnie. – To tylko taka podpucha dla prasy, żeby zwiększyć popularność. Naprawdę. Zamorduję go, kiedy już tu przyjedzie, za to, że mnie nie uprzedził!

– Tak, na pewno tak właśnie jest – zgodziła się Liz i z sobie tylko znanych powodów nie poddała Emmie myśli, że Jason być może wcale do Brighton nie

zawita.

Emma powiesiła wywieszkę Nie przeszkadzać na drzwiach i zamknęła się w pokoju. Nie chciała widzieć nikogo, chyba że Jasona. Dzwoniła co rusz na jego komórkę i pod numer domowy, ale pod jednym i drugim włączała się tylko poczta głosowa.

Zostawiła cztery wiadomości:

Cześć, Jason, jest za kwadrans jedenasta. Mamy tu naprawdę śliczny dzień, a w gazecie znalazłam coś śmiesznego. Zadzwoń?

Cześć, Jason, to znowu ja. Jest jedenasta. o której tutaj będziesz?

Jason, tu Emma. Proszę, zadzwoń do mnie, kiedy odsluchasz tę wiadomość. Muszę z tobą porozmawiać.

Jason, jest wpół do dwunastej. Co się stało? Gdzie jesteś?

Kiedy minęła pierwsza, a Jason nadal się nie pojawiał, zrozumiała, że nie przyjedzie.

Zamknięta w swoim hotelowym pokoju, nigdy jeszcze w swoim życiu nie czuła się tak samotna. Było duszno, nawet przy otwartych oknach, ale za bardzo się wstydziła, żeby gdzieś wyjść. Zdała sobie sprawę, że usta jej się nie zamykały na temat Jasona od dnia przyjazdu do Brighton i po prostu wiedziała, że wszyscy będą się z niej śmiać za plecami.

Czuła się tak, jakby nie miała na świecie ani jednej bratniej duszy. Pożałowała, że w ogóle poznała Jasona. Pożałowała, że w ogóle zaangażowała się w ten głupi film. Pożałowała, że poszła do szkoły aktorskiej. Pożałowała, że nie pracuje w salonie, nie myje włosów i nie zamiata podłóg, jak jej przystało. Do tej pory mogła już wyjść za mąż za jakiegoś fajnego chłopaka z liceum

– w sumie nie mogła tak z miejsca przypomnieć sobie żadnego konkretnego kandydata, ale przecież musiał być w szkole ktoś fajny – i mieliby dwójkę dzieci, i mieszkaliby w malutkim mieszkanku, i brakowałyby im pieniędzy, ale kochaliby się i jakoś by wiązali koniec z końcem, a ona nie siedziałaby osowiała w jeden z najgorętszych dni lata na różowo-zielonej narzucie na łóżko ze sztucznego włókna, nie mając komu się wyżalić.

Wreszcie nie mogła już tego znieść ani chwili dłużej. Założyła wielkie okulary słoneczne, żeby ukryć zaczerwienione oczy, i zdecydowała się pójść na spacer. Miała nadzieję, że wymknie się z hotelu, nie musząc z nikim rozmawiać, ale przy recepcji wpadła na Jamiego, pierwszego asystenta reżysera, który poczuł się chyba tak samo zażenowany jak ona.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. Stacey pokazała mu „News of the Harold” i miał wielką nadzieję, że Emma im się nie załamie, bo wtedy musiałby resztę dnia spędzić na przerabianiu planu zdjęć na cały tydzień.

– Oczywiście, czuję się świetnie! – zawołała. – I dajcie mi wszyscy święty spokój!

Z hotelu skręciła w stronę Hove i poszła przed siebie, bez celu ani planu, nieśmiało mając nadzieję, że jeżeli ona zacznie coś robić, to Jason pewnie jednak zadzwoni. Szła i szła przed siebie, nie dostrzegając kobaltowoniebieskiego nieba i setek turystów, którzy zjechali na jeden dzień na wybrzeże nacieszyć się nieco słońcem, a w myślach powtarzała sobie, co powie Jasonowi, kiedy go w końcu dopadnie. Nie zauważała upału, straciła poczucie czasu i odległości, i w ogóle nie myślała o niczym

poza Jasonem i Nicole, i komórcę, która nadal uparcie milczała w torebce. Cztery godziny później, kiedy wreszcie wróciła do hotelu, ramiona i twarz miała czerwone jak pomidor.

– Jezus Maria! – krzyknął Orlando, kiedy minął się z nią na schodach. – Czyś ty dzisiaj użyła keczupu zamiast kremu nawilżającego?

– O co ci chodzi?

– Przecież ty praktycznie świecisz! – Orlando spędził noc z Paolem i ominęły go wszystkie rewelacje przy śniadaniu.

– I dobrze – powiedziała Emma. A potem, ku przerażeniu Orlanda, wybuchnęła płaczem.

– Dziecinko! – Orlando przytulił ją, zmartwiony, że jego docinki wywarły aż taki skutek. – Nie, to twarzowy kolor... Naprawdę. Wszyscy lubią róż. A z twoimi włosami jest ci w nim naprawdę do

twarzy.

Emma przestała szlochać i podniosła na niego oczy. Wyglądała jak nieszczęśliwy i zapłakany homar.

– O czym ty mówisz? – pociągnęła nosem.

– Sam nie wiem. A dlaczego ty płaczesz?

I wtedy opowiedziała mu o zdjęciu w „News of the World”, a on zabrał ją do swojego pokoju i nalał jej dzinu z tonikiem z minibarku.

– Nie mam ochoty na alkohol – nadąsała się.

– To nie alkohol, to lekarstwo. Przeżyłaś paskudny wstrząs, a ja jestem psem świętego Bernarda, który ci przyszedł na ratunek.

Emma wzięła spory łyk i z miejsca poczuła się lepiej.

– Ale czemu mężczyźni to takie świnię?

– zapytała dociekliwie, rzucając się dramatycznym gestem na łóżko. – Och, przepraszam, Orlando, nie miałam ciebie na myśli. – Było jej gorąco i miała wypieki, co przypisała dżinowi. – Nawet do mnie nie zadzwonił!

– Może zostawił wiadomość w twoim pokoju.

– No to fatalnie, bo jak widać, tam mnie nie ma.

– Więc nie miałaś pojęcia, że coś jest nie tak?

– Ależ skąd. Miał dziś przyjechać mnie odwiedzić. To ostatnia rzecz, jaką do mnie wczoraj powiedział: „Do zobaczenia jutro”. Nie: „Do zobaczenia w »News of the World«, ani: „Do zobaczenia na moim ślubie”. Nawet nie wiedziałam, że ją lubi. Powiedział, że w serialu kazali mu się z nią całować. W głowie mi się nie mieści, że kazał mi to oglądać. To takie podłe.

– Wcale nie jest dobrym aktorem – powiedział Orlando. – Za każdym razem na koniec sceny robi taką minę, jakby pozował do zdjęcia w katalogu. Musiałaś to zauważyć.

– Nie, nie zauważyłam – odparła Emma.

– A ona zrobiła sobie biust, prawda?

– Nie, chyba tylko ćwiczyła na siłowni.

– A daj spokój. Ćwiczyła mały mózdzek, usiłując wyliczyć, ile silikonu może sobie wpakować, to chyba miałaś na myśli.

– Uważasz, że to suka?

– Straszna suka – zgodził się Orlando.

– A Jason to bydlak.

– Okropny bydlak.

– No to dlaczego ja płaczę? – zapytała Emma i ukryła twarz w białej bawełnianej narzucie, myśląc jednocześnie, że nie ma już siły płakać. Nagle podniosła się, trochę zaciekawiona. – Skąd masz taką narzutę? –

zapytała, rozglądając się wkoło. – Twój pokój jest o wiele ładniejszy niż mój.

– Domowe wygody – wyjaśnił, a Emma zauważyła cztery wielkie walizy stojące w jego łazience. – Nie lubię dziadostwa.

Na stoliku, gdzie u Emmy stał tylko elektryczny czajnik, filiżanka, spodek, łyżeczka i wiklinowy koszyczek z saszetkami rozpuszczalnej kawy oraz mleko, Orlando miał ekspres do cappuccino, blender i dużą misę świeżych owoców.

– Musisz dbać o siebie, bo nikt inny tego za ciebie nie zrobi – powiedział. Szukał czegoś w dużej plastikowej wanience. – Masz – dodał, podając jej butlę balsamu po opalaniu. – Nałóż tego sporo. A dziś wieczorem idziesz z nami na miasto. To urodziny Saskii i wszyscy mamy zamiar się upić.

– • Ale ja nie mogę – jęknęła Emma. –

Wszyscy będą się ze mnie śmiali. Chyba po prostu położę się tutaj i umrę.

– Emma, nikt się z ciebie nie będzie śmiał. Wszyscy jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Stoimy po twojej stronie. Wszyscy cię kochamy. Kto potrzebuje Jasona Cairnsa, kiedy może mieć nas?

Emma rozchmurzyła się i pomyślała, że to przecież prawda. Orlando, Liz, Stacey, Ben, kapela, cała ekipa – to wszystko jej przyjaciele. Lecz nadal wydawało jej się, że nie zdoła pokazać się publicznie.

– Och, Orlando, dziękuję. Ale naprawdę nie mam ochoty na wyjście.

– Zalecenie lekarza – powiedział Orlando i dolał jej drinka.

– Wszyscy mnie kochają – powtórzyła sobie Emma nieco później, kiedy

niepewnym krokiem przeszła przez korytarz do własnego pokoju. Dopiero kiedy łała sobie wodę do wanny, zrozumiała, czemu Orlando dał jej balsam po opalaniu. Dokoła oczu, tam gdzie miała okulary słoneczne, widniały duże białe placki. O cholera, pomyślała. To twoja wina, Jasonie Cairns. Z telefonu w swoim pokoju zadzwoniła znów na jego komórkę, nawet przez moment nie oczekując, że on odbierze.

– Słuchaj, ty cholerny, wredny bydlaku! – krzyknęła do automatycznej sekretarki. – Teraz jeszcze się spaliłam na słońcu i to wszystko twoja wina! Mam nadzieję, że oboje z Nicole będziecie się smażyć w piekle!

Po trzech dżinach z tonikiem, udział Jasona w tym, że zapomniała nałożyć krem z filtrem, wydał jej się znacznie bardziej karygodną zbrodnią niż zaręczyny, o

których jej nie wspomniał.

– Co ci się stało? – spytał Patrick, kiedy przyszła do restauracji z Orlandem. – Wyglądasz, jakby ktoś ci dał w twarz.

– Bo dał. Nie słyszałeś? – uśmiechnęła się Emma, przyjemnie znieczulona na rzeczywistość. Była zadowolona, że przyszła. Wszyscy ci ludzie to jej przyjaciele. Czy to nie cudowne? Komu potrzebny jest Jason? Ucałowała serdecznie Saskie z okazji urodzin, usiadła i naląła sobie kieliszek czerwonego wina z otwartej butelki stojącej na stole.

– Masz śliczny top – powiedziała Saskia.

– Dzięki. To Zara. Osiemnaście funtów. Trzymałam go na przyjazd Jasona. Po co ma się marnować, prawda?

– Bardzo dobrze podkreśla ci opaleniznę.

– Och, to nie opalenizna, tylko zwykłe oparzenie słoneczne – zapewniła ją Emma.

– Jak tam, Emmo? Lepiej się czujesz? – spytała Stacey.

– Czuję się świetnie. Znakomicie! – rozpromieniła się Emma. – Dlaczego miałabym nie czuć się świetnie? – Upiła kolejny łyk wina.

– Uda ci się jakoś ukryć te zaczerwienienia? – Stacey szepnęła po cichu do ucha Saskii. We wszystkich innych nakreconych scenach była blada.

– Och, nic się nie martw – odparła Saskia lekkim tonem. – Stonujemy to. Nie zauważysz różnicy.

– Dobrze – odetchnęła Stacey, ale wciąż nawiedzała ją koszmarne wizja Emmy, która w kolejnych scenach filmu z białej robi się czerwona i na odwrót, jak schizofreniczny kameleon.

Po drugiej stronie stołu Liz usiłowała

ukryć swoje niezadowolenie i mocno chwyciła rękę Bena pod stołem. Widziała, jak mu oczy zabłyśły, kiedy witał się z Emmą. Nawet z tą cerą w odcieniu różowej waty cukrowej i z oczami pandy, w raczej mrocznej restauracji, wyglądała na zdrowo opaloną. Nie spodziewała się, że Emma się dzisiaj pokaże, a już na pewno nie w czarnym topie odsłaniającym ramiona i z dekoltem do pasa. Emma była już wystarczająco dużym zagrożeniem, kiedy na zabój kochała się w Jasonie. Szkoda, że teraz jest wolna. Czemu nie miała dość przyzwoitości, żeby pogрузić się w żałobie po swoim związku, jak normalny człowiek, i nie ruszać się za próg pokoju, nie wchodząc nikomu w szkodę?

– Nie wiedziałam, że palisz – powiedziała Liz, wskazując papierosa w dłoni Emmy.

– Nie palę. – Emma przypomniała sobie

dlaczego. Kiedy zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem, cała krew odpłynęła jej z głowy. To było paskudne uczucie, ale stwierdziła, że tego właśnie chce – nie miała ochoty, żeby dziś wieczorem krew dopływała jej do głowy – i prowokująco zaciągnęła się raz jeszcze.

Orlando zamówił piwo i poszedł przywitać się z Paolem.

– Nie pij za dużo wina – ostrzegł ją.

– Dobrze – obiecała. – Tylko skończę ten kieliszek.

Kiedy poszedł, Liz podała Emmie do spróbowania własnego drinka.

– Hej, zobacz, jak to smakuje – powiedziała.

Emma upiła łyczek.

– Pyszne. Co to?

– Zwyczajny poncz owocowy. Chcesz trochę?

– Och tak, proszę!

Liz naląła jej pełną szklanę sangrii z dzbanka stojącego na stole. W ponczu były kawałki jabłek, plasterki cytryny, czerwone wino i kilka szklanek brandy. Emma napiła się z wdzięcznością. Kiedy przyniesiono jedzenie, już odlatywała.

– No, Emmo... – Danny usiadł na wolnym krześle obok niej.

– Potem idziemy z chłopakami do klubu. Pójdiesz z nami?

– Bardzo bym chciała! To pokaże temu bydlakowi, Jasonowi – oświadczyła głośno, zbyt głęboko pogrążona we własnej niedoli, żeby zdziwić się, że Danny Parker zaczyna z nią jakąś rozmowę. Zdjęcia były już w połowie, a poza wspólnie kręconymi scenami ledwie powiedział do niej dwa słowa z rzędu. – Jak on się mógł zaręczyć i nic mi nie powiedzieć? – zajęczała.

– Naprawdę chcesz się zamartwiać tym nieudacznikiem, kiedy masz nas czterech? Hej, dziewczynko, napij się trochę tego!

– I znów napełnił jej kieliszek tanim winem.

– Ale ja za nim tęsknię! – zawołała zrozpaczona, wypijając pół kieliszka jednym haustem. – Od trzech tygodni z nikim się nie całowałam.

– Hej, zapomniałaś? W tym tygodniu będziesz całować się ze mną!

– To prawda! I nagle zorientowała się, że oto zwierza się z największych sekretów Danny’emu Parkerowi, który był chyba najatrakcyjniejszym i najbardziej pożądanym facetem w całym kraju.

– Trochę się tym denerwuję, jeśli chcesz znać całą prawdę – wyznał Danny z tym nieśmiałym, chłopięcym spojrzeniem, które zapamiętała z okładki jego pierwszej płyty.

– Ty? Denerwujesz się? Nie wierzę.

– No cóż, przecież nie wiem, jak się całujesz, prawda? A kamera skoncentruje się na mnie, i tak dalej, więc muszę wypaść tak, jakbym całował najlepiej na świecie. Ty się nie denerwujesz?

– Na razie nie zastanawiałam się nad tym, ale skoro o tym już mówisz, pewnie się zdenerwuję. – Emma zaczęła się martwić.

– Widzisz, rzecz w tym, że ty mi się nie podobasz – powiedział Danny.

– Nie?

– Nie. Bez obrazy, fajna z ciebie dziewczyna i tak dalej, ale nie masz warunków, jakie lubię.

– Och. No tak. Bardzo mi przykro. – Emma upadła na duchu. Teraz, jeśli ich scena się nie uda, to będzie jej wina, bo nie dorosła do wysokich wymagań Danny’ego.

– Więc nie uda mi się całować z tobą tak

jak w życiu. Będę musiał się wysilić, żeby to wypadło naturalnie.

– Co masz na myśli?

– No bo kiedy się całujesz – ciągnął Danny – na którą stronę idzie twój nos?

– Boże, nie mam pojęcia. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. To ważne?

– Taa, oczywiście, że ważne. Co będzie, jeśli powiedzą: „Akcja!”, a my się zderzymy nosami? Wyjdziemy na głupków. Wiesz, jak oni się ze wszystkim spieszą na planie, nie będą czekać, aż my się zdecydujemy, jak się chcemy całować.

– Chyba mój nos idzie w prawo. – Emma zamknęła oczy i przechylała głowę to w jedną, to w drugą stronę, sprawdzając, co jej się wyda najbardziej naturalne. – Ale wydaje mi się, że czasami w lewo! Dlaczego nie uczyli nas tego w szkole teatralnej?

Danny westchnął.

– Sama widzisz, że nie będzie łatwo. Ale wiesz, co robią w prawdziwych filmach? Na przykład w Hollywood i tak dalej?

– Nie, co? – Emma umierała z ciekawości.

– Robią sobie próbę, nieprawdaż? Żeby przełamać lody. Idzie się gdzieś razem do osobnego pokoju i całuje parę razy, żeby to wypróbować. No wiesz, gdybyśmy, powiedzmy, mieli zatańczyć w jakiejś scenie walca, to przedtem zrobilibyśmy próbę, nie? Lekcje byśmy brali i cholera wie co jeszcze. Taniec, całowanie się, wszystko jedno.

– Tak, właśnie ćwiczyłam jazdę na rolkach! – zgodziła się Emma entuzjastycznie. – No to kiedy chcesz zrobić próbę? Może jutro po południu? Mam wolny dzień.

– A może teraz?

– Teraz?

Danny powoli wstał, jednocześnie szepcząc jej do ucha, żeby nikt ich nie usłyszał:

– Spotkajmy się w toalecie.

A potem ruszył powoli na tyły restauracji.

Emma patrzyła za nim, zastanawiając się, czy dobrze go usłyszała. Spotykajmy się w toalecie? Sama myśl o próbowaniu sceny miłosnej z Dannym Parkerem w toalecie była kompletnie idiotyczna. Z Dannym Parkerem, jednym z najbardziej znanych facetów w Wielkiej Brytanii! Ludzie tacy jak Danny Parker nawet nie oddychali tym samym powietrzem co ona. Rozejrzała się wokół stolika. Wszyscy inni rozmawiali tak głośno, przekrzykując muzykę, że nie mieli pojęcia, co Danny do niej przed chwilą powiedział. Może on miał rację. Powinni trochę poćwiczyć,

żeby potem wypaść dobrze. A poza tym Jason sobie zasłużył na to, żeby po prostu poszła i z miejsca przespała się z Dannym. To już drugi powód. Wstała raptownie i zakreśliło jej się w głowie.

Danny czekał na nią przed drzwiami opatrzonymi plakietką tancerza flamenco. Przy umywalkach stały dwie nieznane im dziewczyny, które poprawiały makijaż. Natychmiast rozpoznały Danny'ego i rzuciły Emmie spojrzenia nieukrywanej zazdrości, kiedy poszła za nim do ostatniej wolnej kabiny, a on zamknął za nimi drzwi.

– Słuchaj, Danny... – zaczęła, ale on dopchnął ją mocno do ściany.

– Robiłaś to już kiedyś w toalecie? – zapytał.

– Nigdy tego nie robiłam w Brighton – wyznała i wtedy poczuła, jak zimny, twardy język Danny'ego wsuwa się do jej

ust. W którą stronę idzie nos? Zdecydowanie na lewo. Chciała przypomnieć Danny'emu, że jego nos ma iść w prawo, ale trochę to było utrudnione z tym cudzym językiem w ustach.

Kurczę, pomyślała. Naprawdę całuję się z Dannym Parkerem! Zajęło jej to dobrą chwilę, zanim się zorientowała, że nie sprawia jej to oczekiwanej przyjemności. Może i jest najbardziej pożądanym facetem w Wielkiej Brytanii, ale okazało się, że wcale jej się nie podoba. Być może powinna całować się z nim nieco dłużej, żeby to sprawdzić. Przecież, pomyślała, od tak dawna całowałam się tylko z Jasonem. Może nieco zardzewiałam. To zupełnie tak jak prowadzić nieznaną samochód, prawda? Powtarzasz te same odruchy: lusterko, sygnał, manewr, sprzęgło, hamulec, gaz i w końcu wszystko zaczyna działać jak trzeba.

– Może powinnam przeczesać ci włosy palcami? – poddała.

Spróbowała i wydawało się, że jemu to się podoba, bo jego wilgotne, mięsiste wargi przylgnęły mocniej do jej ust, a po trzydziestu sekundach pracowitych pocałunków wyciągnął sobie T-shirt ze spodni.

– Ściśnij mi sutki – przykazał, a Emma, zadowolona, że dostaje jakieś wskazówki, przyjaźnie ucisnęła palcami jego prawy sutek.

Z bliska, naprawdę z bliska, wcale nie wyglądał tak przystojnie. Zabawne.

– Mocniej – polecił. – Naprawdę mocno.

Emma nie była pewna, jak mocno jest naprawdę mocno, więc nieco zwiększyła uścisk palców, a Danny jęknął i zaczął rozpinąć pasek spodni. Jeszcze chwila i zaczniesz mi się podobać, powiedziała sobie Emma. I znów zamknęła oczy, żeby nie

myśleć o mokrych kawałkach papieru toaletowego na podłodze i śladach niedopałków na rezerwuarze.

Zupełnie ją zaskoczyła dłoń Danny'ego wślizgująca się między jej nogi w stronę majteczek.

– Naprawdę chcę cię pieprzyć – szepnął nagłaco do jej ucha. Spodnie opadły mu do kolan.

– Tego nie ma w scenariuszu! – pisnęła.

Danny poprowadził jej rękę i wsunął ją do środka swoich slipek od Calvina Kleina.

– Wszystko w porządku. Ja przecież nie gram. Nie czujesz?

Mówił prawdę, kiedy powiedział Emmie, że mu się nie podoba, ale pieprzył się już z wieloma laskami, które wcale mu się tak bardzo nie podobały. Czasami wysokie wymagania sprawiały mu kłopot, ale usiłował nie pozwolić, żeby to

zakłóciło jego styl. Przedtem prawie nie zauważał Emmy, ale spodobał mu się top, który włożyła dziś wieczorem – raz, kiedy się pochyliła naprzód, popatrzył sobie do woli na jej cycuszki i stwierdził, że można jej w sumie dać szansę. Poza tym lubił to robić w toaletach – zapach naprawdę go podkręcał. Wciąż wspominał z sympatią toaletę w intercity do Doncaster, gdzie reporterka „Smash Hits” zrobiła mu dobrze, kiedy siedział na kiblu.

Otworzyły się drzwi i Emma usłyszała odgłos obcasów na kafelkowej podłodze, a potem dziewczęce głosy. Brzmiały jak głosy Bex i Tracey.

– Nie będę uprawiać z tobą seksu – syknęła i wyjęła dłoń z jego majtek, zanim zdążyła dotknąć czegoś, na co nie miała ochoty. Ale Danny nie miał zamiaru tak łatwo zrezygnować. Odwrócił ją i przycisnął do drugiej ściany, napierając na

nią całym ciałem od tyłu, a uchwyt na papier toaletowy wbił jej się w brzuch.

– Hej, daj mi go włożyć i ruszyć parę razy – szepnął, a jednocześnie sięgnął dłońmi i rozpiął jej top, i nagle Emma zrozumiała, co to znaczy „naprawdę mocno”. Ujął jej sutki kciukami i grubymi, twardymi palcami wskazującym i ścisnął, jakby usiłował je oba oderwać.

Krzyknęła bezgłośnie. Czy on oszalał? Jemu się wydaje, że dla niej to będzie przyjemne? Rąbnęła go w żebra, żeby ją puścił, a on z rozpędu usiadł na sedesie.

– No to teraz albo ty na mnie, albo ja na tobie – zaproponował.

Emma spuściła wodę, żeby Bex i Tracey go nie usłyszały.

– Wybij sobie z głowy mnie na tobie – odszepnęła.

– No to ja na tobie, w takim razie – stwierdził rzeczowo.

– Nie. Nie chcę. – Od zapachu odświeżacza powietrza pomieszanego z lakierem do włosów i camelem Danny’ego zaczynało jej się robić niedobrze.

– Czemu nie? W czym problem? Nie musisz nic robić. Możesz sobie usiąść na kibelku.

Emma zaczęła chichotać. Czy to tak podrywał kobiety najpopularniejszy facet w Wielkiej Brytanii? Pamiętała, że jeszcze niedawno czuła się strasznie nieszczęśliwa, ale teraz nie mogła sobie przypomnieć dlaczego. Jak mogła być taka smutna, kiedy świat jest taki śmieszny?

– Czy ty tam jesteś w środku, Emmo? – usłyszała głos Bex. – Z czego się śmiejesz?

– Z niczego – odparła. – Za moment wychodzę.

Chciała wyjść, ale gdyby Bex i Tracey zobaczyły ją tam z Dannym, na pewno

wyciągnęłyby błędne wnioski. Danny złapał ją za ramiona i pchnął na kolana. Zadanie ułatwił mu fakt, że ledwie trzymała się na nogach. Jestem pijana! – pomyślała z zaskoczeniem, kiedy osunęła się na podłogę. Coś podobnego! To na pewno ten dżin z tonikiem.

Bex i Tracey zastanawiały się teraz głośno, czy Giles jest fajniejszy niż Danny, nieświadome, że Danny stoi zaledwie ze dwa metry od nich i mocno przyciąga głowę Emmy do swojego krocza.

– Giles ma małego pieska – mówiła Bex.

– Och! To takie słodkie! – powiedziała Tracey.

Emma usłyszała głośniejszą muzykę, kiedy dziewczyny otworzyły drzwi, żeby wyjść, a potem odgłos dwóch par cieniutkich obcasików.

– Rusz się, dziewczyno, wiesz, że tego

chcesz – zachęcał ją Danny. – Possij tego wielkiego YunGuna!

– Wielkiego co?! – sapnęła Emma.

Z niejakim trudem podniosła się na nogi i patrzyła na słynnego Danny’ego Parkera, który siedział przed nią sedesie ze spodniami opuszczonymi do kostek i wskazywał swoją zadziwiająco niewielką, różową erekcję gestem pomocnego pilota wycieczek. Nawet w tym półprzytomnym stanie dotarło do niej, że czas się zbierać.

– Wybacz, Danny – powiedziała. – Ty też mi się nie podobasz. – I otworzyła zamek kabiny. – A przy okazji – dodała, bo nagle jej się przypomniało – twój nos idzie w prawo.

Zatrzymała się na moment i poprawiła top, zanim chwiejnie wróciła na salę w restauracji – ale nie na tyle długo, żeby zobaczyć, jak kilka chwil później z sąsiedniej kabiny wychodzi Liz, która

słyszała każde ich słowo od chwili, kiedy Danny powiedział Emmie, że spotkają się w toalecie.

Liz wyjęła szminkę i uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Czasami miała pewność, absolutną pewność, że Bóg istnieje. Musiał istnieć.

Rozdział 26

Powinnaś do niego pojechać i się z nim zobaczyć – mówiła do niej Liz. – Postawić sprawę jasno. Dochodziła północ i Emma leżała na brzuchu na swoim łóżku w hotelu, udając, że nie płacze. Alkohol już wyparował i świat przestał się wydawać prześmieszoną imprezową planetą, na której gwiazdy chcą się z człowiekiem zabawiać. To była nieprzyjazna, macosza asteroida, gdzie ukochani wbijali ci nóż w plecy i nie odbierali twoich telefonów.

– Hej... – powiedziała Liz łagodnie. – Gazetom wszystko się na pewno pokręciło, a Jason po prostu boi się z tobą porozmawiać, bo nie chce oberwać za to, że z ogóle poszedł na tę imprezę. Wiesz, jakimi tchórzami są mężczyźni.

Emma pociągnęła nosem i nieco uniosła

głowę.

– Tak myślisz?

Odwróciła się, żeby spojrzeć na Liz, i nie mogła nie zauważyć, że pod koniec wieczoru Liz wygląda tak samo świetnie jak na początku, a w dodatku jest kompletnie trzeźwa. Szkoda, że nie jestem do niej bardziej podobna, pomyślała. Liz nie wychodziła na spacer bez kremu z filtrem i nie upijała się do nieprzytomności, nie macała się z nikim w toalecie ani nie dowiadywała się, że ktoś ją rzucił, z lektury „News of the World”. Emma zastanowiła się, czy nie powiedzieć Liz, co zaszło z Dannym, ale zrezygnowała. Nie powie nic, dopóki sama nie przemyśli, co się tam właściwie stało. Powinniśmy zrobić próbę, powiedział Danny. Jęknęła cicho w poduszkę, żeby Liz jej nie słyszała.

– Dobrze się czujesz? – spytała Liz.

Emma pokiwała głową. Usiadła i wypila trochę wody ze szklanki podsunętej przez Liz. W najczarniejszych chwilach, pomyślała, mogę liczyć na Liz, która pojawi się ze szklanką wody. Prawdziwa przyjaciółka – Jutro masz wolne, prawda? – drażyła Liz.

Emma pokiwała głową.

– No to pojedź do Sheffield i załatw sprawę. Zapłacę za twój bilet, jeśli chcesz. Wiesz, że Jason cię kocha. Wystarczy, że cię zobaczy i wszystko będzie w porządku.

Emma spojrzała na swoje odbicie w lustrze – zaczerwienione, podpuchnięte oczy, spalone słońcem policzki, oklapnięte, przesiąknięte alkoholem włosy. Miała nadzieję, że Liz się nie myli.

Następnego ranka Emma siedziała w pociągu, obserwując przesuwały się za oknami znajomy krajobraz i przez chwilę

zdołała udawać przed sobą, że nic złego się nie dzieje. W St Pancras kupiła kilka pocztówek i gruby czarny mazak i napisała parę wariantów wiadomości, którą miała zamiar wsunąć mu pod drzwi, gdyby nie zastała go w domu.

Jason, wybaczam ci. Możemy się z tym uporać.

Jason, zadzwoń proszę – musimy porozmawiać.

Jason, proszę, proszę, zadzwoń!

Żadna nie wydawała się taka jak trzeba i przez chwilę, kiedy pociąg mknął na północ, wmawiała sobie, że i tak okażą się niepotrzebne, bo Jason będzie na nią czekał na peronie jak zwykle. Ale, oczywiście, nie czekał.

Zapasowym kluczem otworzyła drzwi bloku, w którym Jason wynajmował mieszkanie, tak jak zwykle z roztargnieniem skinęła głową na powitanie

niewielkiej grupce zdeterminowanych nastoletnich fanów *Shelby Square*, którzy koczowali wiernie, słońce czy deszcz, na murku pod blokiem. Nie dzwoniła uprzedzić, że przyjeżdża, a jeśli go nie zastanie, będzie miała jeszcze dość czasu, żeby zajrzeć do studia. Ale idąc korytarzem drugiego piętra, z ulgą dosłyszała muzykę dobiegającą z jego mieszkania. Będzie taki zaskoczony, kiedy mnie zobaczy, powiedziała sobie. A ja mu wybaczę i wszystko będzie dobrze. Wyjęła z torebki podręczne lusterko i po raz ostatni poprawiła włosy, a potem nacisnęła dzwonek. Jej twarz przypominała gigantyczną truskawkę, ale miała nadzieję, że Jason wzniesie się ponad to i zrozumie, że nadal ją kocha. Parę sekund później usłyszała, że ktoś zakłada łańcuch w drzwiach.

To dziwne, pomyślała. Jason zazwyczaj

nie zawracał sobie głowy łańcuchem. I wtedy, kiedy drzwi się otworzyły, przez chwilę w swoim załamaniu pełnym bólu serca pomyślała, że pomyliła piętra – wszystkie drzwi w tym bloku były pomalowane na identyczny gołębi kolor. Bardzo gustowny.

– Słucham, o co chodzi? – Z wąskiej szczeliny łypnęło na nią oko. Oko miało wąskie okulary w czarnych oprawkach i Emma pomyślała, że gdzieś już je kiedyś widziała.

– Przepraszam, czy ja dobrze trafiłam? Jason jest w domu? – spytała Emma i sekundę za późno przypomniała sobie, skąd zna tę dziewczynę.

– Nie. Chwileczkę. – Oko przewróciło się do góry, jakby przyzwyczajone było do takich pytań i po chwili wróciło, a z nim pojawiła się dłoń i podała Emmie przez drzwi fotkę. A potem Nicole Lloyd

zatrzasnęła Emmie drzwi przed nosem, zostawiając ją na wycieracze z fotosem reklamowym *Shelby Square* podpisanym: *Wszystkiego dobrego, Jason Cairns*.

Liz wiele się zastanawiała nad Emmą, kiedy patrzyła, jak Ben reżyseruje niekończące się sceny Turpina i jego ludzi biegających z jednego krańca Brighton na drugi. Naprawdę jestem dobrą samarytanką, pomyślała. Miała nadzieję, że Emma pogodzi się z Jasonem. Miała nadzieję, że nie będzie jej spieszo z powrotem. Na planie bez niej i tej głupiej kapeli, monopolizującej uwagę Bena, było tak spokojnie.

Kiedy skończyli zdjęcia, wyciągnęła go na drinka, zanim zdołał zmarnować sobie kolejny wieczór spotkaniem z Patrickiem w kwestiach budżetowych.

– To wprost śmieszne, tkwić w czterech

ścianach w taki piękny wieczór. Wiesz, że Patrick i tak nie słucha ani jednego słowa z tego, co mówisz. On po prostu lubi twoje towarzystwo.

– Muszę znaleźć bankomat – powiedział Ben. – Mam przy sobie tylko kartę kredytową.

– Nie ma sprawy. Ja stawiam – powiedziała Liz. Wyjęła kilka jednofuntowych monet z portmonetki i Ben poszedł walczyć o drinki przy barze, a ona z satysfakcją usiadła i rozprostowała nogi. W tych dniach Ben jadł jej z ręki.

Wysypała zawartość portmonetki na blat stolika i zaczęła ustawiać małe stosiki z monet – dziesięcio – i dwudziestopensowych. Było tego więcej, niż trzeba na kolejną kolejkę. Samymi miedziakami miała pięćdziesiąt pensów. Nic dziwnego, że ramię ją boli, skoro dźwiga ten cały złom. Kiedy Ben wrócił z

piwem i kieliszkiem wina dla niej, serce jej drgnęło na jego widok. Jak ona przetrwała te sześć lat bez niego? Zaczynała za nim tęsknić, jeśli znikał jej z oczu na sześć minut.

– Wiesz, tak sobie myślałam... – odezwała się i zapaliła papierosa. – Może zerwanie było jednak najlepszą rzeczą, jaka mogła się nam przytrafić?

– Jak to rozumiesz?

– No cóż, teraz doceniamy się nawzajem. Teraz wiemy, jak to jest nie być ze sobą, i wiemy, że o wiele lepiej nam razem.

Ben podziwiał świetny profil Liz i pomyślał, że ona może mieć rację. Czego konkretnie tak się wtedy obawiał? Liz była oszałamiająca, a seks nawet bardziej udany niż kiedykolwiek. Oparł dłoń na jedwabistej skórze wnętrza jej uda, wsuwając palec pod króciutką spódniczkę.

Kilka tygodni temu wydawało mu się niemożliwe, żeby jeszcze kiedykolwiek miał pożądać Liz, ale teraz rzucił okiem na brzeg morza i zaczął się zastanawiać, czy nie da się tu gdzieś znaleźć jakiegoś miejsca, gdzie mogliby to zrobić w tej sekundzie, nie pchając się ludziom w oczy. Po drodze mijali automat fotograficzny...

– Mam nadzieję, że nie myślisz o pracy.

– Nie myślałem, ale skoro mi o tym przypominasz, naprawdę powinienem iść, znaleźć Danny’ego i Emmę, i powtórzyć z nimi ich scenę miłosną.

Liz parsknęła.

– Tym bym się nie przejmowała. Już sobie zorganizowali własną próbę.

– Jak to?

– Och, nie wiedziałeś? – powiedziała Liz niewinnym tonem. – Przyłapałam ich, jak się pieprzyli w toalecie wczoraj wieczorem na imprezie Saskii.

– Nie wygłupiaj się. Ona dopiero co zerwała ze swoim chłopakiem.

– Cóż mam ci powiedzieć? – odparła słodko Liz. – Ta dziewczyna jest szybka.

– Nie, coś ci się pomyliło. Nie mogła pieprzyć się z Dannym. Emma nie jest taka.

– Kochanie, słyszałam to na własne uszy. Szło im bardzo dobrze.

– Ale jak ona mogła? Z Dannym? – Ben był tak przerażony i zniesmaczony, jak przewidziała Liz.

– No cóż, niektóre dziewczyny lecą na coś takiego – zauważyła. – Przecież dlatego zatrudniłeś go w swoim filmie.

– Taa, ale to było, zanim się przekonałem, jaki jest naprawdę Danny Parker. Jak on się może podobać komukolwiek, kto z nim spędził dziesięć minut? Emma naprawdę nisko upadła w moich oczach.

– Och, na pewno upadła dość nisko, żeby zająć się cudzymi, imponującymi organami – uśmiechnęła się Liz.

– Nie macie drobnych? – Młody człowiek, który zatrzymał się przy ich stoliku, owinięty był poplamionym szarym kocem, chociaż temperatura nadal nie spadła poniżej dwudziestu sześciu stopni. Wyciągnął brudną dłoń pokrytą niezagojonymi skaleczeniami.

Liz pokręciła głową przecząco.

– Przykro mi – odparła, nawet na niego nie patrząc. – Nie mam żadnych drobnych.

– Liz? – szepnął Ben zażenowany i pokazał ruchem głowy blat stolika zasypany monetami.

Liz westchnęła.

– Och, na litość boską... – mruknęła i niechętnie podała żebrakowi mały stosik pięciu dwupensówek.

– Czekaj – powiedział Ben i zanim

chłopak zdążył odejść, dał mu jeszcze kilka pięćdziesiątek.

– Po co to zrobiłeś? – spytała Liz. – On je zaraz wyda na narkotyki albo alkohol.

– No cóż, tak jak i ty – powiedział Ben i zastanowił się, co go napadło, że zareagował tak paskudnie.

Dom, który w filmie służył jako mieszkanie Jasmine, należał do małżeństwa o imionach Trisha i Jeremy. Byli przyjaciółmi szwagierki Piersa i bardzo prędko nabierali zastrzeżeń do udzielonej wcześniej zgody na pobyt ekipy w swoim gniazdku. Trisha i Jeremy zdążyli odnowić dom do połowy, kiedy skończyły im się pieniądze, więc z radością przystali na okazję urządzenia dwóch pokoiów na parterze na czyjś koszt – i zarobienia jakiejś gotówki za jednym zamachem. A potem scenografowie

pojawił się z puszkami paskudnej turkusowej farby i z jeszcze jednym kolorem, który przypominał Trishi zaschniętą krew.

– Kiedy skończymy, przemalujemy ci to, na jaki kolor będziesz chciała – obiecali jej, ale to miało oznaczać kolejne dwa dni chaosu i bałaganu, z całym umeblowaniem upchniętym w dziecinnym pokoju na górze. Wczoraj Trisha poszła do Toni and Guy, ostrzyć sobie włosy. Wyobrażała sobie, że jeśli się będzie kręcić w pobliżu, to jej dadzą jakąś małą rólkę do zagrania, ale przez cały ranek ludzie przestawiali ją z kąta w kąt, jakby im przeszkadzała. W jej własnym domu!

W tej chwili dwóch mężczyzn we frontowym ogrodzie usiłowało zawiesić coś w rodzaju czarnej zasłony w poprzek okien na parterze, deptając świeżo posadzoną rabatkę lawendy i rozrzucając

pety z papierosów po całej wyłożonej płytkami ścieżce.

– Złotko, gdzie jest toaleta? – zapytał ją ktoś, a ona pokazała schody na górę.

– Możecie nie wchodzić na piętro w butach? – zawołała za nim. – Chodnik jest zupełnie nowy. Nawet go jeszcze nie praliśmy.

Miała zamiar wygarnąć Piersowi to i owo, kiedy go znajdzie. Oczywiście, zniknął gdzieś i teraz sąsiedzi jej się będą czepiać i jej wytykać wielką niebieską ciężarówkę, która zerwała ich wszystkich z łóżek o siódmej rano, hałaśliwie wciskając się na niewielki podjazd pod ich bramą.

– Och, uważaj na tapetę! – krzyknęła, kiedy kolejny facet ubrany w szorty koloru khaki, z wypchaną torbą na narzędzia zawieszoną u pasa, wszedł przez frontowe drzwi, wlokąc dwa ciężkie metalowe stojaki, które rysowały ścianę za jego

plecami.

– Wybacz, słonko – powiedział, szybko przecierając ślad zamszową rękawicą. – A tego już tu nie było?

– Nie, nie było! – odpaliła, oceniając szkody. Na ścianie pojawiła się świeża, głęboka rysa, a tapeta była naddarta. – Wiesz, to też będziecie musieli naprawić – powiedziała ze złością. – Ta tapeta kosztowała pięćdziesiąt dziewięć funtów za metr!

Facet wzruszył ramionami i nawet na nią nie spojrzał, kiedy ustawiał stojak w jej salonie.

– Na planie tak już bywa – mruknął.

– Jeszcze zobaczymy – powiedziała Trisha i wypadła pędem na ulicę, poszukać Piersa, prawie zderzając się z Benem, który nadal wałkował w myślach swoją rozmowę z Liz z poprzedniego wieczoru. Emma i Danny? To na pewno pomyłka.

U charakterizaterek Bex polerowała paznokcie Emmy z większą siłą, niż to było konieczne, bo ledwie mogła zapanować nad zazdrością, że to Emma dzisiaj będzie udawać, że się kocha z Dannym, gdy ona sama do tej pory nie wskórała niczego. Była prawie pewna, że z Saskią i Tracey już się przespał – chociaż one, oczywiście, zaprzeczały – a poza tym z Poppy z działu scenografii i przynajmniej trzema dziewczynami, które poznał w klubie, a to było obraźliwe, zostać w taki sposób pominiętą.

Emma zamknęła oczy, kiedy Tracey pokrywała jej całą twarz i szyję neutralnym korektorem, tuszując poparzenie słoneczne. Była myślami o wiele kilometrów stąd i zupełnie nie myślała o Dannym Parkerze.

Wczoraj, po tym jak Nicole Lloyd

zatrzasnęła jej drzwi przed nosem, stała na korytarzu pod mieszkaniem Jasona, nie bardzo rozumiejąc, co jej się właściwie przydarzyło.

Może, pomyślała, powinnam iść do studia i mu wszystko wygarnąć. Nadal istniała jakaś szansa, że to wszystko jest tylko monstrualnym nieporozumieniem. Może w mieszkaniu Nicole Lloyd jest remont i ona się po prostu przeniosła do Jasona na kilka dni. Może śpi na kanapie. Otworzyła torebkę i poszukała komórki. Spróbuje do niego jeszcze raz zadzwonić. On jej powie, że jest zupełnie niewinny. Ale wtedy zauważyła pocztówki i czarny pisak we wnętrzu torebki i wpadła na lepszy pomysł. Odłożyła telefon i literami wielkimi na metr wypisała na gustownych, gołębiczych drzwiach Jasona: SKURWIEL! Potem zeszła po schodach i dała jego numer domowy i numer komórki

wszystkim członkom fanklubu siedzącym na murku.

– A wiecie, że on pierdzi w łóżku? – rzuciła na koniec i poszła na piechotę w stronę stacji.

– Strasznie się denerwujesz – powiedziała do niej teraz Tracey. – Czy to przez tę scenę nago dzisiaj po południu? Ja bym robiła w gacie, gdyby chodziło o mnie. – Wybrała kolejny kolor ze swojej palety, pasujący do normalnego odcienia cery Emmy i zaczęła znów nadawać jej twarzy jakąś barwę. – To się powinno nieźle trzymać, jeśli nie będziesz pocierać twarzy dłońmi.

– Tak, Tracey. – Emma, wyrwana z zamyślenia, przypomniała sobie, co ją konkretnie dzisiaj czeka. Do tej pory była tak podniecona pracą w prawdziwym filmie, że udało jej się zepchnąć myśl o tej scenie w głąb podświadomości.

Wyobrażała sobie, że zanim dojdą do tego miejsca, ona już będzie taką weteranką, że rozebranie się przed tłumem obcych ludzi w ogóle nie zrobi na niej wrażenia. Ale teraz zdążyła już wszystkich poznać i przekonała się, że to tylko pogarsza sprawę. Codziennie rano jadła z tymi ludźmi śniadanie, a oni teraz mieli oglądać różne fragmenty jej anatomii? Zdała sobie sprawę z tego, że przed tłumem nieznanym, których pierwszy raz widziałyby na oczy i mogłyby nigdy więcej nie zobaczyć, byłoby o wiele łatwiej się rozebrać. Co ona sobie, u licha, wyobrażała, godząc się na rolę w tym filmie? Czy ona oszalała? Zastanawiała się, czy Tracey ma w swoim kuferku taki korektor, dzięki któremu stałaby się niewidzialna.

– Wiesz, niektórzy aktorzy przed rozbieraną sceną wypijają drinka, żeby się

rozluźnić – powiedziała Tracey. – Chcesz trochę wódki? Mamy tu na wszelki wypadek ze dwie butelki. Ale nikomu nie mów, bo nas wszystkie wywalą. Jakies bzdety typu BHP.

– Nie, ale dziękuję – szepnęła Emma. A potem, wspominając Nicole Lloyd stojącą w drzwiach mieszkania Jasona, nagle ugięła się pod naporem trosk i zaczęła płakać.

– O, do jasnej Anielki! – jęknęła Tracey.

– Dopiero co skończyłam ci oczy!

Saskia podbiegła i przytuliła Emmę.

– Chyba nie płaczesz po Jasonie, prawda? – uspokajała.

Emma popatrzyła na trzy stłoczone nad nią twarze i zdołała wyłącznie pociągnąć nosem.

– Wyjmę wódkę – powiedziała Bex.

– Cześć, chłopaki – powiedziała Stacey,

siadając z Gilesem i Alekssem w busie stołówki. – Dziś rano nie pracujecie, prawda?

– Nie, ale śniadanie dają tu o wiele lepsze niż w hotelu – przyznał Alex.

Stacey zręcznie wkroiła banana do swojego muesli.

– Udała się wam niedziela? – spytała i w odpowiedzi na jej pytanie obaj naraz podnieśli w górę koszulki.

– Zapisaliście się do masonerii czy co? – spytała, zaskoczona.

– Przekłuliśmy sobie sutki – powiedział Giles i wypiął tors, żeby mogła się przyjrzeć dokładnie.

– Och – westchnęła Stacey i delikatnie puknęła palcem w małe srebrne kółeczko. Giles skrzywił się z bólu połączonego z przyjemnością. – Prześliczne – powiedziała. – A gdzie to zrobiliście?

– W Worthing – odparł Alex.

– Pojechaliście do Worthing, żeby sobie przekłuć sutki?

– Tak, do takiego fryzjera na głównej ulicy.

Stacey przyjrzała się zaognionym strupkom i pokręciła głową.

– Coś nie tak? – zapytał Giles. Spodziewał się, że zaimponują Stacey swoim radykalnym gestem.

– No cóż, wydaje mi się, że to dziwne miejsce, żeby sobie przekłuwać sutki, to wszystko. Gdybyście mi powiedzieli: „Wracamy z Brazylii, przekuliśmy sobie suuci”, tobym rozumiała. Albo z Bangkoku. Ale nie z Worthing. Do Worthing się jedzie do babci na herbatę z mlekiem. I wraca z kamykami z plaży, nie z przekłutymi sutkami.

– Pojechaliśmy z Dannym – wyjaśnił Alex. – Chciał sobie przystrzyc włosy.

Stacey wypluła herbatę, którą miała w

ustach. – Co zrobił?!

– Obciął sobie włosy. To chyba legalne?

Stacey chwyciła swoje papiery i pognęła do przyczepy charakteryzaterek, ocenić szkody.

– Właśnie miałam cię szukać – powiedziała Saskia.

Danny siedział na fotelu do makijażu i czytał scenariusz do kolejnego filmu, a Stacey na pierwszy rzut oka widziała, że włosy ma przynajmniej ze dwa centymetry krótsze niż w chwili, kiedy kończyli zdjęcia w sobotę. Saskia szarpała za ich końcówki, jakby je chciała w ten sposób wydłużyć.

– Aua – powiedział Danny i uderzył ją w ramię.

– Ja ci zaraz dam „aua”, Danny Parkerze! – rzuciła Saskia, oddając uderzenie. – I co ja mam z tym teraz zrobić?

Danny kręcił głową na boki, podziwiając swoją nową fryzurę z profilu.

– Patrz, nawet baczki masz zupełnie inne!

– Taa, rewelka, nie? – powiedział Danny.

– Będzie musiał włożyć czapkę.

– Oj, daj spokój, nikt nie zauważy – jęknął Danny.

Stacey miała go ochotę udusić.

– Danny, na ekranie twoja twarz będzie miała szerokość trzech metrów. Oczywiście, że ludzie to zauważą!

Problemem było to, że Danny faktycznie miał łeb jak kubeł, z nieuleczalnej głupoty, pomyślała.

– No przecież mogłem w filmie ostrzyć sobie włosy, nie? – upierał się Danny.

– Tak, gdybyśmy zaczęli kręcić od sceny pierwszej i kończyli na sto sześćdziesiątej trzeciej. Ale ty nie możesz

mieć krótkich włosów w scenie dziewięćdziesiątej siódmej, a dwie minuty potem, w dziewięćdziesiątej ósmej, znów mieć długich. Wiesz o tym. A może nie?

Jak widać, nie wiedział.

Emma obserwowała to w milczeniu, sącząc swoją wódkę z sokiem pomarańczowym. Nigdy przedtem nie piła wódki za kwadrans ósma rano, ale Tracey miała rację. To ją faktycznie uspokajało.

Danny zobaczył, że patrzy w lustro na jego włosy.

– Na co się gapisz, panno Podpuszczalska? – spytał ostro.

No, nie do końca uspokajało, pomyślała.

– Wspaniale – powiedział Ben, kiedy Stacey przekazała mu najnowsze wiadomości. – Moja pierwszoplanowa aktorka zmienia kolor skóry, a odtwórca głównej roli męskiej ma nową fryzurę.

– Może powinni się kochać przy zgaszonym świetle? – poddał usłudze Jamie. – No, ja i Josephine zawsze gasimy... – mruknął obronnym tonem, kiedy Hugo spiorunował go wzrokiem.

– Mógłbyś tak skadrować ujęcie, żeby nie było widać czubka jego głowy? – spytał Ben.

– Mogę spróbować – powiedział Ryan – ale on się będzie ostro ruszał. – Wszyscy spojrzeli na Ryana, który zaczął wykonywać pchnięcia biodrami, udając jednocześnie, że trzyma kamerę. – Co, niby nie?

– Nie wiem – powiedział Hugo. – Czy ty i Josephine tak robicie, Jamie?

– Nie mógłby włożyć czapki? – spytał Ryan.

– Do łóżka? On ma być nagi! – wrzasnął zrozpaczony Ben.

– Może wypaść nieco perwersyjnie –

zauważył Patrick.

– W poprzedzającej scenie mógłby mieć na głowie kask motocyklowy – zauważyła Stacey.

– Może jedną z czapeczek baseballowych Emmy... – podsunął Patrick zamyślonym tonem. – Odprowadzają do domu, zauważa, że na ścianie wisi czapka i ją przymierza... – I Patrick odpłynął w świat swoich własnych fantazji, kiedy wokół zapadła cisza, a cała reszta zastanawiała się nad jego pomysłem i czekała na dalsze.

Wódka wytworzyła wokół Emmy miłą, wygodną mgiełkę, która ją otuliła jak kołderka. Gdy omawiali scenę, wyznaczając miejsce, w którym mieli stać, kiedy Danny pocałuje ją po raz pierwszy, ustalając, jak się mają obrócić w trakcie pocałunku i w którą stronę ona ma

spojrzeć, zrzucając płaszcz, leciutko się zachwiała, usiłując patrzeć, jak Will robi różne znaki na podłodze kolorową taśmą. Danny w ogóle się do niej nie odzywał i z jakiegoś powodu wydawał się bardzo na nią rozzłoszczony za wczorajszy wieczór. Ale naprawdę nie spodziewała się tego, że Ben też nie będzie się do niej odzywał. Kiedy przywitała się z nim rano, ledwie raczył skinąć głową i zamiast podejść i omówić z nią całą scenę, jak zawsze, siedział za swoim monitorem, z ponurą miną ściskając kubek kawy. To Stacey podeszła powiedzieć jej, że do roli dodano nowy tekst.

– Danny przymierzy twoją czapkę, a ty masz do niego powiedzieć: „Nie, nie zdejmuj jej. To mnie naprawdę kręci”. Zapamiętasz?

Emma uważnie powtórzyła kwestię i zastanawiała się, czemu Ben zrobił się

nagle taki nadęty.

– Co się dzieje z Benem dziś rano? – szepnęła do Liz, kiedy ta przyniosła na plan jej kurtkę. – Jest jakiś taki cichy.

– Och, martwi się po prostu fryzurą Danny’ego – zapewniła ją Liz. – Trzymałabym się od niego z daleka na twoim miejscu. Jest strasznie spięty. – Dwa razy wywinęła rękawy kurtki Emmy. – Czy to będzie twój pierwszy ekranowy pocałunek?

Emma pokiwała głową bez słowa. Miała nadzieję, że Liz nie poczuje od niej wódki.

– No cóż, dam ci radę – powiedziała Liz. – Między ujęciami nie przerywaj. Nawet kiedy kamera nie pracuje, trzymaj Danny’ego za rękę albo głaszcz go po karku – czy cokolwiek tam macie robić. Między wami dwojgiem jest taka cudowna chemia.

– Och, Liz, nie wiem, czy dam radę –

powiedziała tylko. – Nie po Jasonie, i tak dalej.

– Oczywiście, że dasz radę – odszepnęła Liz. – O Jasonie na tę chwilę zupełnie zapomnij.

– To niemożliwe.

– Nie bądź głuptaskiem. Jesteś znakomitą aktorką. Masz w sobie to coś specjalnego. Naprawdę ci się uda.

– Serio? – spytała Emma. Nie czuła w sobie niczego specjalnego. Czuła się jak rozdeptany robak. Rozdeptany, nieco podpity, czerwony robak.

– Serio – obiecała Liz, wracając do monitora. Och, jak dobrze wiedziała, co lubią słyszeć aktorzy. I zawsze w to wierzyli.

– Co ty robisz, Liz? – spytał Jamie, który usłyszał część ich rozmowy. – Chyba nie reżyserujesz naszej gwiazdy?

– Gwiazdy? – spytała niewinnym tonem

Liz. – Nie wygłupiaj się. Rozmawiałam tylko z Emmą.

Kiedy gotowi byli do startu, Emma przypomniała sobie radę Liz. Pierwsze ujęcie obejmowało Jasmine i Eddiego, którzy wchodzią razem do jej sypialni. Światła są pogaszone i w tej samej chwili, w której Jasmine zapala lampkę przy łóżku, Eddie zdejmuje jej z głowy czapkę baseballową i sam ją wkłada. Ogląda swoje odbicie w lustrze, śmieje się i chce ją zdjąć.

– Nie, nie zdejmuj jej – mówi Jasmine. Głos Emmy zabrzmiał jak z bardzo daleka. – To mnie naprawdę kręci.

Co za idiotyczny tekst, pomyślała Emma, spoglądając w oczy Danny’ego i jednocześnie usiłując wcale go nie widzieć. Nie było jeszcze nawet jedenastej, a jego oddech już cuchnął camelami.

Emma zamknęła oczy, kiedy Danny wsunął jej język do ust, i usiłowała wyobrazić sobie, że całuje się z Jasonem i że to język Jasona wpakował się jej do ust jak mokry kawałek mięsa. Ale to tylko pogarszało sprawę.

Na piętrze Trisha w ramach protestu głośno spuściła wodę w toalecie.

– Cięcie!

– O, przepraszam! – Trisha zawołała z góry, chociaż nie brzmiało to/jakby była skruszona. – Ale moje dzieci mają chyba prawo opróżniać pęcherze we własnym domu?

Emma chciała otrzeć usta, ale przypomniała sobie słowa Liz i zmusiła się do wzięcia Danny’ego za rękę. Pochylił się i szepnął jej do ucha:

– Nie dziwię się, że chłopak cię rzucił. Jemu też tak robiłaś? Podjarać i nie dać?

Połaskotał wewnętrzną stronę jej dłoni

środkowym palcem i Emma stwierdziła, że w życiu nikogo nie lubiła mniej niż Danny’ego.

– Urocza para, nieprawdaż? – szepnęła Liz do Patricka na tyle głośno, że Ben to usłyszał.

– Czyja tam widziałem języki w robocie? – spytał Patrick.

– Jak dla mnie było okay! – powiedział Ben. Nie miał ochoty jeszcze raz na to patrzeć. Robiło mu się niedobrze od widoku Emmy z Dannym.

– Ja bym to chciał powtórzyć! – zawołał Ryan. – Nie wyszedł mi ten ich obrót.

– Dobra, no to jedziemy jeszcze raz! – krzyknął Jamie.

– Nadal pod tym kątem widzimy nowe baczki Danny’ego – powiedziała Stacey do Bena. – Gdyby Emma podniosła rękę i głaskała go po twarzy, toby chyba pomogło.

– Dobra. Głaszcz go po twarzy! – zawołał do Emmy. – Tuż przy uchu! Nie, nie, po drugiej stronie, od strony kamery!

Emma nie wiedziała, czemu Ben okazuje jej taki brak cierpliwości. Musiał naprawdę się wściec o tę fryzurę Danny’ego, ale przecież to nie powód, żeby wyżywać się na niej.

Powtórzyli ujęcie i tym razem Danny zasłonił ręką twarz Emmy.

Ben westchnął.

– Poczekaj – powiedział do Jamiego i wbiegł do saloniku dać im parę wskazówek. – Danny, następnym razem mógłbyś nie podnosić tak łokcia? Zasłaniasz Emmie twarz.

– To by nie wyglądało naturalnie. Zawsze je tak trzymam.

– Nie, będzie wyglądało jak trzeba – powiedział Ben. – Zaufaj mi.

Danny położył Emmie rękę na karku i

przesadnym gestem obniżył łokieć.

– To idiotyczne – powiedział.

– Nie, nie. Nie tak. Tak. – Ben objął sztywnym ruchem ramiona Emmy, żeby zademonstrować, co ma na myśli. Nie patrzył na nią, a ona gapiała się w podłogę, czując się jak połec mięsa na rzeźnickim haku.

– Widzisz? – spytał Ben i opuścił ramię.

Emmie łzy zakręciły się w oczach i schyliła głowę, żeby Tracey mogła rozpuszyć jej włosy. Nie cierpiała tej pracy. Popatrzyła na Ryana za kamerą, Billy’ego z drążkiem mikrofonu i Kevina, który przyszedł wstawić z powrotem filtr przed którymś reflektorem. Wszyscy mieli coś do roboty. Wszyscy na czymś się znali. Wszyscy mieli prawdziwe zawody. Pożałowała, że nie może natychmiast zamienić się z kimś z nich na miejsce, tylko zamiast tego musi się całować w

planach ogólnych, półzblizeniach i pełnych zblizeniach. Całe rano żucia jej warg i lizania zębów przez pana Oddech Camela, aż poczuła, że za moment zacznie krzyczeć. A potem przypomniała sobie, że po lunchu będzie musiała przejść przez to jeszcze raz – tyle że tym razem naga. Na oczach Ryana, Billy’ego, Kevina, Hugona i wszystkich pozostałych. Spróbowała przypomnieć sobie, w której szafce Tracey chowa wódkę.

Na lunchu Ben znalazł się obok Danny’ego w tym ich „beczkowozie” i pytanie wyrwało mu się, zanim pomyślał, że je zada.

– To prawda o tobie i Emmie wczoraj?

Miał nadzieję, że Liz się jednak coś pomyliło. Danny wydał wargi. Więc Emma opowiadała wszystkim, jaki mu numer wycięła?

– A kto ci powiedział? – Uśmiechnął się krzywo.

– Nieważne – powiedział Ben. Nic więcej wiedzieć nie musiał. Wrócił do swojej przyczepy pod pretekstem przejrzania kopii roboczej z poprzedniego dnia i znalazł Liz już czekającą na niego w środku.

– Nic się nie martw. Nikt mnie nie widział – zapewniła go, zamykając za nim drzwi. – Byłam niesłychanie dyskretna! – Uklękła na kanapce i zaczęła masować mu ramiona tak, jak to robiła Emma. – O Boże, ależ jesteście spięty!

– Co za dzień – westchnął Ben. – Ledwie się powstrzymałem, wiesz? Ledwie się powstrzymałem, żeby mu nie dać w ryj. – Nie mógł pozbyć się sprzed oczu widoku Danny’ego i Emmy. Liz obeszła go i usiadła mu okrakiem na kolanach, a spódnica opięła się ciasno na

jej udach.

– Co Emma mogła w nim widzieć? – ciągnął Ben. – Myślałem, że ma lepszy gust.

– Och, daj spokój, Ben – powiedziała Liz, liżąc leciutko zagłębienie na jego szyi. Wiedziała, że to lubił. – Nie byłaby pierwszą aktorką, która zadurzyła się w odtwórcy głównej roli, prawda? To się wiecznie powtarza. Tyle że niezbyt często w publicznych toaletach.

I pocałowała go, powoli i miękko, w jednym jedynym celu – wybicia mu z głowy każdej myśli o Emmie.

Kiedy inni stali w kolejce po lunch, Emma głośno oświadczyła, że zostawiła okulary słoneczne u charakteryzatorek. Weszła do ich przyczepy, zajrzała do szafki, gdzie Tracey ukryła butelkę wódki, i nałała sobie pełen plastikowy kubek, w

którym były jeszcze ślady po czyjejs herbacie. Tak robią profesjonalni aktorzy, powiedziała Tracey. Odrobina alkoholu dla relaksu. Rzeczywiście, to brzmiało bardzo sensownie. Nalała sobie jeszcze trochę. Powinna się naprawdę porządnie zrelaksować. Może lepiej zabrać ze sobą całą butelkę? Tak na wszelki wypadek.

Do czasu, kiedy wróciła do busu na lunch, mgła oddzielająca ją od świata zgęstniała w nieprzeniknioną chmurę.

– Tutaj, zajęłam ci miejsce – powiedziała Bex, klepiąc siedzenie obok siebie.

Żadnego z chłopaków nie było dzisiaj na planie, a Danny był oficjalnie w niełasce ze względu na nową fryzurę, więc Głupim Suczkom nieco brakowało towarzystwa.

Emma bardzo starała się iść prosto – korytarz busu wydawał się pochyły, jak w jumbo jecie – lecz udało jej się dojść na

koniec bez przygód i pogratulowała sobie znakomitego aktorstwa. Ale kiedy stawiała tacę, widelec spadł jej pod stół.

– Nie ma sprawy, wyciągnę go – powiedziała spokojnie. Bo ogarnął ją taki cudowny spokój. Nagość? To nic, doprawdy. Wszyscy mamy ciała, tak? Nie ma się czego wstydzić. Powinniśmy być dumni ze swoich ciał, myślała, gramoląc się pod stół, żeby wydostać widelec. I przecież wcale tak dużo nie wypłam, pomyślała, w butelce została jeszcze ponad połowa, a ja nie zdołałabym tak uklęknąć na czworakach, gdybym była naprawdę pijana, prawda? I... – Auć!!!

Spróbowała się podnieść, ale kompletnie zapomniała, że stół ma blat, i z całej siły uderzyła się w głowę.

– Emma? Nic ci się nie stało?

– Dajcie jej trochę miejsca!

Wokół kłębił się tłum nóg. Nie mogła

się zorientować, które są czyje. Strasznie rozboleła ją głowa. Małeńkie punkciki białego światła tańczyły jej przed oczami.

Widzę gwiazdy, pomyślała. Jak w kreskówce.

– Co się stało? – ktoś spytał.

– Walnęła głową w stół.

– Może mieć wstrząs mózgu – powiedział Tim. – Zawołajcie pielęgniarzkę.

– Możesz wstać? – spytał Jamie. – Chcesz do pielęgniarzki?

– Zapytajcie ją, czy wie, jaki dzisiaj dzień – podsunął ktoś inny i Emma zrozumiała, że to naprawdę bardzo ważne, żeby wstała i żeby nikt nie wezwał pielęgniarzki, która natychmiast się zorientuje, że ona wyżłopała prawie pół butelki wódki przed lunchem, bo zaraz ją wywalą z pracy razem ze wszystkimi Głupimi Suczkami.

– Hej! Nic mi nie jest! – zawołała najbardziej rzeźkim tonem, na jaki mogła się zdobyć. – Nic się nie stało! I roześmiała się, żeby wszyscy zobaczyli, że nic jej nie dolega i żeby przestali na nią patrzeć. Zabrała się do lunchu. – Widzicie? Nic mi nie jest! – stwierdziła i poczekała, aż wszyscy się odwrócą, żeby po cichu pomacać się po głowie.

Potem nagle trzymała w rękach wążutkie stringi, które miały stanowić cały jej kostium.

– Co to jest? – zapytała. Wyglądały jak nić dentystyczna w cielistym kolorze.

– Chyba się nie wstydzisz? – powiedziała Liz.

To naprawdę ironiczne, pomyślała, że jeszcze kilka tygodni temu martwiłam się, że Emma będzie zbyt seksownie wyglądać w granatowej koszuli z Gap. Teraz

zachęcała ją do baraszkowania nago przed samym nosem Bena. Ale, oczywiście, będzie miała na sobie najmniej seksowny element świata – Danny’ego Parkera. Liz pewna była, że widok Emmy pieprzącej się z Dannym zniechęci do niej Bena do końca życia. Nie żeby w ogóle musiała się tym martwić, bo Ben teraz należał do niej – każdym skrawkiem wspaniałego ciała. To będzie po prostu tylko ostatni gwóźdź do trumny Emmy.

– Mam ci to pomóc włożyć?

– Nie, oczywiście, że nie. – Emma zachichotała, sama nie wiedząc dlaczego. – Wszyscy mamy ciała. Nie ma się czego wstydzić.

Miała wrażenie, że jej własny głos dobiega jak z głębokiej studni, i zaczęła się rozbierać na wpół świadomie, jak przez sen. Na głowie rósł jej guz i zaczynała się czuć bardzo dziwnie. Najbardziej ze

wszystkiego chciało jej się spać. Może między ujęciami będzie się mogła na chwilę przytulić na łóżku.

W milczeniu włożyła stringi, a potem owinęła się puszystym szarym płaszczem kąpielowym, zanim poszła za Liz do minibusu, który miał ją zabrać z powrotem na plan. Przycisnęła różowy nos do szyby.

Jak owieczka idąca na rzeź, pomyślała Liz. Jak owieczka na rzeź.

Podczas gdy Pete, Kevin i Hugo zabawiali się światłami, Danny wyciągnął się na łóżku z rękami nad głową i uciał sobie drzemkę. Emma siedziała w fotelu jak najdalej od niego i przymknęła oczy. Guz na jej głowie urósł do rozmiarów małego jajka i zaczynały ją boleć nawet włosy. Phil rozkładał poduszki wokół głowy Danny'ego, żeby jego fryzura mniej rzucała się w oczy.

– Emmo, kochana, możemy cię zobaczyć na miejscu? – poprosił Hugo.

– Nie wiem. A gdzie jest moje miejsce? – zapytała. Kiedy wstała z fotela, cały świat na chwilę zawirował, a potem znów przystanął.

– Dobra. – Ben podszedł, ale starał się patrzeć raczej na łóżko niż na Emmę lub Danny’ego. – Chcielibyśmy zobaczyć Jasmine siedzącą okrakiem na Eddiem. Odpowiada ci to?

– Nawet bardzo – powiedział Danny i odrzucił na bok poły szlafroka.

Emma z ulgą zauważyła, że on też nosi cieliste w kolorze suspensorium. Nie zdejmując własnego szlafroka, chwiejnie weszła na łóżko, świadoma, że przygląda jej się każda para oczu w pokoju. Głowa zaprotestowała przy tym nagłym ruchu, ale alkohol zupełnie pozbawił ją strachu.

– No to jedziemy! – roześmiała się i

zastanowiła się, czemu wszyscy patrzą na nią tak dziwnie. Usiadła okrakiem nad Dannym, tak że znalazła się tuż nad jego brzuchem, i poprawiła szlafrok, kiedy Hugo przyglądał się oświetleniu. Zaczęły jej drżeć mięśnie ud.

– No dawaj, dziewczynko – uśmiechnął się obleśnie Danny. – Wiesz, że tego chcesz.

– Tak właśnie, Danny. Nami się nie przejmuj – zachęcił Hugo. – Udawajcie po prostu, że nas tu nie ma.

– Kręcimy próbę? – poddał Jamie.

– Moim zdaniem to świetny pomysł – powiedział Ben.

– Dobra, ostatnie poprawki i wynocha stąd wszyscy, poza tymi, którzy muszą bezwzględnie zostać – powiedział Jamie. – Zamykamy plan. I będziemy kręcić próbę.

Ku przerażeniu Emmy, Liz rozwiązała pasek jej szlafroka.

– Czekał – poprosiła, panikując w tej ostatniej sekundzie. – Kevin i Hugo jeszcze nie wyszli.

– Przecież i tak wszyscy zobaczą to na kopii roboczej – przypomniała jej Liz. – A potem w kinie.

Ale Emma nadal kurczowo zaciskała poły szlafroka.

– No dalej – zniecierpliwiła się Liz. – Trochę za późno na nieśmiałość. Danny to wszystko już widział. Prawda, Danny?

– Co ty mówisz? – wykrztusiła Emma tonem winowajcy. Przecież Danny nie powiedział chyba Liz o wczorajszym wieczorze?

– No cóż, Danny to duży chłopiec. Na pewno widział już mnóstwo nagich kobiet – odparła gładko Liz, zsunęła szlafrok z ramion Emmy i zabrała go już bez dalszego oporu z jej strony.

Emma miewała takie sny, w których

szła ulicą i nagle zdawała sobie sprawę z tego, że jest naga. Zastanawiała się, czy jeśli zamknie oczy, a potem je otworzy, to obudzi się znów w swoim własnym łóżku w Shepherd's Bush. Może ten cały film to tylko wytwór jej wyobraźni. Spróbowała, ale kiedy otworzyła oczy, nadal widziała Danny'ego i całą obecną na planie ekipę.

Ciało ludzkie to rzecz piękna, upomniała się i poczuła dziwny zawrót głowy – ale czy to z powodu wódki, czy guza, nie umiała już stwierdzić. Była świadoma, że zapadła kompletna cisza, jakby dom wstrzymał oddech, ale słyszała gorączkowe szepty dobiegające zza monitora ustawionego w kuchni. Usłyszała, jak Ben woła: „Akcja!”. Dłonie Danny'ego znalazły się na jej biodrach, ale ona nie mogła się poruszyć. Siedziała prosto jak sparaliżowana, z mocno zaciśniętymi oczami, a sekundy mijały.

– Cięcie!

Liz zarzuciła jej szlafrok na ramiona, a Ben wbiegł sprawdzić, co się dzieje. Spodziewał się problemów z Dannym – Danny to był w ogóle jeden wielki pieprzony problem – ale nie z Emmą.

– Co się stało? Nie słyszałaś, że wołam „akcja”?

– Nie wiem, co mam robić – powiedziała. – Co powinnam robić?

– No cóż, uprawiasz miłość. Rób to, co ci się wydaje naturalne.

– No właśnie. Nic mi się nie wydaje naturalne. Wszystko jest kompletnie nienaturalne.

– A może ją przez to poprowadzisz – zaproponował Patrick, nieco za szybko.

– Czy to coś pomoże? – spytał Ben. – Jeśli cię poprowadzę przez ujęcie, kiedy będziemy je kręcić?

– Może.

– Dobra. Nie będziemy nagrywali dźwięku, a ja cię poprowadzę przez tę scenę.

Znów zabrano szlafrok i Ben stanął tuż za kamerą, kiedy szykowano ujęcie drugie, bez dźwięku.

– Dobrze, Emmo... – powiedział Ben. – Zaczynaj od tego, że go pocałuj. Danny, podeprzyj się nieco na łokciach i jej pomóż... dobrze... i całujcie się dalej... a teraz, Danny... połóż prawą dłoń na jej piersi... nie, tę drugą rękę... dalej się całujcie... pogłaszcz jej pierś... tak... no dobrze, ściśnij sutek, jeśli masz ochotę... I, Emmo, czy możesz teraz nieco odrzucić głowę w tył... dalej... i otwórz trochę usta... naprawdę ci się to podoba... nie, teraz wyglądasz, jakby cię to bolało... taa, tak lepiej... wygnij plecy w łuk... och, teraz świetnie... dalej wyginaj... i teraz pochyl głowę trochę w naszą stronę...

znakomicie... Dobrze, i pochyl się teraz w przód i połów się na nim...

Głowa Emmy błagała o bezruch, ale ciało reagowało na polecenia Bena, jakby występowało w *Showgirls*, i zmuszało ją do wyginania pleców i potrząsania włosami, jakby od tego zależało jej życie. Kątem oka widziała, jak Patrick wpatruje się w nią intensywnie, a Danny złapał ją garścią za włosy i gwałtownie przywarł ustami do jej ucha.

– Teraz moja kolej, ty suko – szepnął. – Tym razem mi nie uciekniesz.

– Znakomicie, Danny! – zawołał Ben. – A teraz chwyć ją obiema dłońmi za pośladki... a ty, Emmo, zacznij całować mu szyję... i pocałuj tors... tak, schowaj tam głowę... i ugryź mu teraz sutek... dalej, mocniej, tak jakbyś robiła to naprawdę... a teraz przyjmij taką pozycję, jakbyś naprawdę to robiła... nie, nie, musisz do

tego zejść nieco niżej... nie, jeszcze niżej, bo inaczej będziemy widzieli twoje stringi... dokładnie na jego... no właśnie, i zostań tam, i teraz naprzyj na niego... i razem się zakołyszcie... taa, Danny, bardzo dobrze... i Emmo, znów wygnij się w łuk... czy możesz trochę pomachać włosami?... o, świetnie... i dalej się wyginaj... i jeszcze potrząśnij włosami... a teraz opuść głowę w przód, a potem odrzuć ją jak najdalej do tyłu... cudownie. .. i dalej się razem kołyszcie... kołyszcie się...

Emmie kołysanie wcale się nie podobało. Ani odrobinę. W głowie miała jakieś dziwne uczucie, w żołądku jeszcze przykrzejsze, w ustach zaczęła jej się zbierać ślina, ale nadal musiała się kołysać.

– A teraz oboje otwórzcie oczy... popatrzcie na siebie, jakbyście znaleźli osobę, której szukaliście przez całe życie...

tak jest, Danny, naprawdę patrz Emmie w oczy... i kołyszcie się... i kołyszcie ... mocniej... Emmo, czy mogłabyś otworzyć oczy?

Emma otworzyła oczy i natychmiast zwymiotowała na Danny'ego Parkera.

Na sekundę świat przestał kręcić się wkoło własnej osi i zapadła całkowita cisza, kiedy Emma patrzyła zafascynowana, jak pół butelki wódki i trzy szklanki soku pomarańczowego spływają po torsie Danny'ego, po żebrach, prosto na łóżko. Trochę poleciało mu na twarz – odrobina wódki spływała strumyczkiem koło ucha. Danny wpatrywał się w nią w całkowitym osłupieniu. Otwierał i zamykał usta jak ryba, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Z oddali usłyszała głos Jamiego, jakby wołał z przeciwnego końca tunelu:

– Cięcie!

I wtedy świat nagle ruszył z miejsca, wrócił dźwięk ustawiony na maksimum, a Danny wyrwał się spod niej, przewracając ją na bok.

– Ty głupia kurwo!

– Przynieście mu ręcznik!

– Charakteryzacja!

– Ja cię, kurwa, załatwię!

– Czy można prosić na plan scenografa?

– I mop!

– Gdzie jest łazienka w tym pieprzonym domu? Muszę wziąć prysznic!

Emma była świadoma, że ktoś okrywa jej ramiona szlafrokiem i wpatruje się w nią morze twarzy, które ledwie rozpoznawała. Zrobiła jedyne, co mogła w tych okolicznościach. Uciekła.

Śmiech wybuchł w tym samym momencie, kiedy drzwi zamknęły się za nią. Na piętrze zatrzasnęły się też drzwi

łazienki za Dannym.

– O Boże, litości! – mówił Hugo do Tima. – Powiedz mi, że to się nagrało.

Tim zaczął przewijać playback. Cała ekipa stłoczyła się za monitorem i patrzyła, jak strumień wymiocin ześlizguje się z torsu Danny’ego i wraca do ust Emmy.

Hugo nacisnął guzik odtwarzania i rozległy się radosne okrzyki, kiedy Emma jeszcze raz obrzygała Danny’ego.

– Nie wiem jak wy, ludzie, ale ja bym dał majątek, żeby to obejrzeć w kinie – powiedział Kevin.

– Chyba dalej widać tę jego fryzurę – zauważyła Stacey.

Hugo popatrzył na nią protekcjonalnie.

– Kochanie, jeśli ktokolwiek w tej scenie miałby patrzeć na jego włosy, równie dobrze możemy od razu iść do domu.

– Myślisz, że Emmie nic nie jest? –

spytał Jamie, kiedy skończyli oglądać nagranie po raz szósty. – Może ktoś powinien iść i zobaczyć, co się z nią dzieje.

– Ja pójdę – zaproponowała szybko Liz.

– Nie, ty zostań i uspokój Danny’ego – powiedział Ben. – Sam pójdę.

Po Emmie nie było ani śladu. Miał nadzieję, że wróciła do bazy, bo nie miał czasu ani ochoty szukać jej, chodząc od drzwi do drzwi po całym Brighton. Ale, realnie rzecz biorąc, dokąd mogła pójść na bosaka, w stringach i szlafroku?

Kiedy podszedł do przyczepy Emmy, Dominie, drugi asystent, już pukał do drzwi.

– Emmo? Co się stało? – Ben usłyszał jego pytania. – Przynieść ci herbaty?

– Zostaw, Dom. Ja się tym zajmę – powiedział.

– Co się stało? Wbiegła tam pędem i nie

chce powiedzieć, o co chodzi.

– Zwymiotowała na Danny’ego Parkera.
Dominie wybuchnął śmiechem.

– Chciałbyś. Nie, naprawdę, co się stało?

A potem zrozumiał, że Ben mówi serio.

– Mamy to na taśmie? – zapytał i rzucił się biegiem do domu, żeby zobaczyć to na własne oczy.

Ben niecierpliwie zastukał do drzwi Emmy.

– Emmo? To ja, Ben. Nic ci nie jest? – Nie doczekał się odpowiedzi. – Emmo. Potrzebna nam jesteś na planie. Jeszcze nie skończyliśmy sceny. Czujesz się na tyle dobrze, żeby kręcić dalej?

Słyszał, że Emma wstaje i podchodzi otworzyć drzwi. Kiedy zajrzał do środka, pierwsza rzecz, jaką zobaczył, to do połowy opróżniona butelka wódki walająca się po podłodze.

– Piłaś?

– Nie – skłamała Emma. Nie mogła się utrzymać na nogach. Nie mogła sobie przypomnieć, jak się tu dostała.

Ben wszedł do środka i zamknął drzwi. Emma ciągle owijała się szarym szlafrokiem. Nos i oczy miała zaczerwienione, a na policzkach smugi łez i tuszu. Patrzył na coś, co wymagało półgodzinnego makijażu dla ukrycia śladów. Zerknął na zegarek. Już było prawie dwadzieścia po trzeciej. Będzie co najmniej czwarta, zanim znów zdąży uruchomić kamerę. Jeszcze do zniesienia. Jeszcze zdąży skończyć swoją scenę.

– Co ty sobie wyobrażasz, tak się upijać!

– Sam był zdumiony gniewem, który zabrzmiał w jego głosie. Miał zamiar zachować się łagodnie, ale nadal był wściekły na Emmę za to, że przespała się z Dannym Parkerem. – To kompletny brak

odpowiedzialności!

Emma usiadła i skuliła się.

– Nie krzycz – poprosiła. – Strasznie mnie boli głowa.

– O, jak mi przykro. Czy ty masz pojęcie, ile mnie kosztuje to opóźnienie?

– Nie. Ile?

– To miał być dowcip?

– Nie, jestem ciekawa. Powiedz mi.

– Cholernie dużo! Oto, ile! A wszystko dlatego, że ty postanowiłaś się upić.

– Ja nie postanowiłam się upić. Myślałam, że to mnie odpręży. Denerwowałam się przed tą sceną.

Nagle Ben zorientował się, że najbardziej go wkurza to, że Emma usiłowała tak wykręcić sprawę, żeby to on wyszedł na tego niedobrego. Popatrzcie na nią, pomyślał, siedzi tu, obraz słodczy i niewinności, i myśli, że ja nie wiem, jaka jest naprawdę.

– No cóż, nie wiem, czym byś się miała tak przejmować – powiedział okrutnie. Zdał sobie sprawę, że chce ją zranić. – Przecież to nie tak, że się z nim wcześniej nie pieprzyłaś.

Emma zerwała się. W oczach miała gniew.

– Co? Coś ty powiedział?

– A co? To przecież prawda, czyż nie? Ty i Danny? Tak słyszałem.

– A kto ci to powiedział? – spytała ostro Emma.

Ben poruszył się niespokojnie.

– Nie wiem. Nie pamiętam. Po prostu mówi się o tym.

– Czy to Danny ci powiedział?

– W pewnym sensie – przyznał Ben.

– O Boże! I ty mu uwierzyłeś? – Emma znów usiadła i schowała twarz w dłoniach.

– Musisz uważać mnie za skończoną dziwkę!

– Twierdzisz, że to nieprawda?

– Nie, oczywiście, że to nieprawda! Danny mówił, że powinniśmy zrobić sobie próbę do sceny z całowaniem. Pewnie jestem pierwszą dziewczyną, która dała się nabrać na taki numer – westchnęła z goryczą.

– Więc ty się z nim nie przespałaś?

– Oczywiście, że nie! Zostawiłam go, jak siedział na kiblu z opuszczonym spodniami. To dlatego jest na mnie taki wściekły.

Ben zastanawiał się przez moment.

– Chyba nie musisz się tym dalej przejmować. Ma teraz znacznie lepszy powód, żeby się na ciebie wściekać.

Emma ciaśniej owinęła się szlafrokiem i spojrzała pod nogi.

– Naprawdę wszystko spieprzyłam, prawda?

Ben usiadł na kanapce obok niej i

zrozumiał, że niewłaściwie ocenił Emmę.

– Przepraszam. Przepraszam cię bardzo. Przyjąłem z góry, że ta scena nie będzie dla ciebie najmniejszym problemem. To mój własny brak doświadczenia. Nigdy przedtem nie reżyserowałem sceny miłosnej.

– Nie – chlipnęła Emma. – To moja wina. Okłamywałam cię od samego początku. Wcale nie grałam nigdy w żadnym filmie. Występowałam tylko jako ofiara wypadków w serialach i w kiepskich teatrach. Film pod tytułem *Fryzjerstwo* nie istnieje. Ja go wymyśliłam.

– Wiem – powiedział Ben.

– Wiesz? – Emma patrzyła na niego zupełnie oszołomiona. – Skąd wiesz?

– Sprawdziłem w Internecie. Popytałem.
– Po rozmowie z Flick sprzed paru dni, sam się zaczął dowiadywać.

– I co znalazłeś?

– Nic. Ani dudu. Tak jakbyś nie istniała.
Emma zaczęła płakać.

– Och, Ben. Tak mi przykro. Byłeś dla mnie taki dobry. Nie chciałam cię okłamywać, ale od dawna nie mogłam znaleźć pracy. Pracowałam jako fryzjerka w Covent Garden. Ale naprawdę chciałam dostać tę rolę. Od dawna usiłowałam powiedzieć ci prawdę.

– Spokojnie. Ja rozumiem.

Emma wytarła nos o rękaw szlafroka.

– W *Titanica* też nie grałam – pociągnęła nosem.

– Wiem.

Przez kilka chwil oboje milczeli.

– To twoja ostatnia scena w tym tygodniu, prawda? – spytał Ben.

Emma pokiwała głową.

– Jedź do domu – powiedział.

– Co?

– Jedź do domu. Zapomnij na chwilę o

filmie.

– Ale co z tą sceną? Nie skończyliśmy.

– Nic nie szkodzi. Mamy prawie trzy minuty, a wykorzystam tylko ze trzydzieści sekund. Zmontuję to, co już mamy, ze zbliżeniami na Danny’ego. Będzie zachwycony.

Emma nabrała pewności, że właśnie traci pracę. Okłamała Bena, upiła się na planie i zarzygała pierwszoplanowego aktora. Musi być na nią wściekły. Pójdzie za nią opinia osoby niestabilnej i nigdy już nie dostanie pracy.

– Ben, proszę cię... – zaczęła błagać. – Wrócę i zrobimy to jeszcze raz. Czuję się już lepiej. Miałeś rację. W filmie są też inni ludzie, którzy na mnie liczą. Nic mi nie będzie, naprawdę. Możemy zrobić następne ujęcie.

– Nie – zdecydował Ben. – Nie trzeba. Mam już dosyć. Chyba lepiej będzie, jak

po prostu pojedziesz.

Nie miał zamiaru pozwolić Danny'emu Parkerowi, żeby jeszcze raz jej dotknął choćby palcem.

– Gdzie Emma? – spytał Hugo, kiedy Ben wrócił na plan bez niej. Dochodziła już czwarta, a Danny, wykąpany, siedział nadąsany na krześle Bena i palił papierosa.

– Robi z siebie Marylin?

– Emmie nic nie jest. – Podszedł do Stacey. – Ile czasu zajęło to ostatnie ujęcie? – szepnął.

– Trzy minuty dziewiętnaście – odparła.

– Sprawdziłeś rolkę?

– Taa, rolka jest w porządku – odparł Will. – Właśnie przeładowałem.

– Dobra, Jamie. Chcę teraz zrobić zbliżenie na Danny'ego.

– Gdzie jest Emma?

– Wysłałem ją do domu.

– Do hotelu?

– Do Londynu.

– I, kurwa, bardzo dobrze tej suce – powiedział Danny. Ben go zignorował.

– Danny, to będzie duże zbliżenie na twoją twarz. Emmy tu nie ma, więc wszystko zależy od ciebie.

– No, a do kogo mam grać? – zajączał Danny. – Na co mam patrzeć?

– Słusznie. Musisz na coś patrzeć. Tim!

Tim podskoczył. Jak do tej pory grał na perkusji za Luke'a i dublował nogi Danny'ego, ale oczekiwać, że będzie się z nim pieprzył, to już szczyt wszystkiego.

– Tim! – krzyknął znowu Ben. – Biegnij do makijażystek i przynieś Danny'emu lusterko!

Rozdział 27

Deszcz rozpadał się, kiedy pociąg wjechał na dworzec Victoria. Najpierw spadło tylko parę kropel i przez chwilę wydawało się, że jeszcze się rozchmurzy, ale potem lunęło na całego, zalewając okna taksówki. Gęste krople odbijały się od asfaltu, koła zamieniały kałuże w fontanny. Marzenia Emmy rozmywały się wraz z deszczem. Usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądał Londyn, kiedy nie padało, i nie mogła. Chociaż wyjechała tylko na kilka tygodni, miała wrażenie, że minęło całe życie, a kiedy czterdzieści minut później taksówka zatrzymała się pod jej mieszkaniem, nadal padało. Zabrała walizkę z tylnego siedzenia i zaniósła na drugą stronę ulicy. Donna otworzyła drzwi, zanim zdążyła znaleźć klucz.

– Ach! Wróciłaś! – krzyknęła. – Usłyszałam ten szurgot i zastanawiałam się, co się dzieje. Mój Boże, ależ ty przemokłaś! Podła pogoda, nie? I tyle było tego lata. Założę się, że w Brighton mieliście mnóstwo słońca. Dobrze się bawiłaś? Wstawię czajnik, a ty musisz usiąść i wszystko mi opowiedzieć. A może wolisz kieliszek wina? Dam ci i tego, i tego! – Donna przerwała dla zaczerpnięcia oddechu i zaczęła grzebać w kuchennej szufladzie, szukając korkociągu. – Chris kupił nową herbatę ziołową w torebkach, która pachnie marcepanem! – zawołała przez ramię. – Chcesz spróbować? I znalazł pracę w takim nowym supermarkecie organicznym. Uwierzyłybyś? Ale mamy też PG w torebkach. – Odwróciła się i zauważyła Emmę, która usiadła na sofie i schowała twarz w dłoniach. – Co ci jest? Głowa cię

boli? Chcesz paracetamol?

– Och, Donna... – westchnęła Emma. – Wszystko się tak pokręciło. Jestem beznadziejną aktorką, Jason mnie rzucił, a ja zwymiotowałam na Danny’ego Parkera, zaczynam popadać w alkoholizm i chyba straciłam pracę.

Donna nie wiedziała, którą z katastrof zająć się najpierw.

– No cóż – powiedziała wreszcie. – Ale przynajmniej się opaliłaś.

W Brighton Ben i kapela mieli ciężki tydzień. Johnny Burton, choreograf od scen walki, kierował bójką w kuchni chińskiej restauracji, a następnego dnia wszyscy pojechali do Lingfield, żeby nakręcić wyścigi konne, na których pewniak, Especially Angel, wygrywa o długość nosa. Hugo, który tego dnia był operatorem drugiej kamery, nakręcił

siedem gonitw, zanim trafił na taką, która była wystarczająco dramatyczna na potrzeby filmu, i na koniec Ben musiał zmienić scenariusz tak, żeby Especiallyly Angel wygrała o kilka długości.

Na padoku kapela obserwuje, jak ich koń, Serenity Now, kończy wyścig jako czwarty i przekonuje się, że kantoński Jacksona nie jest tak płynny, jak to sobie wyobrażał. Postawili na jedenastkę zamiast na dziewiątkę, tracąc dziesięć tysięcy funtów ukradzionych z sejfu Turpina, których teraz nie będą mogli zwrócić.

Danny był zadowolony – postawił dwadzieścia funtów na Just Quietly i wygrał siedem do jednego, bo gniada klacz jak szalona parła do mety z położonymi uszami. Nie ucieszył się tak samo, kiedy Don't Say a Word utkwiała na wewnętrznym torze i dobiegła czwarta w kolejnej gonitwie, pozbawiając go

pięćdziesięciu funtów z poprzedniej wygranej, a kiedy Buffellina kiepsko wystartowała w trzeciej, co kosztowało go kolejne sześćdziesiąt funtów, oświadczył, że to rozrywka dla frajerów, i wrócił do baru.

Liz była szczęśliwa do nieprzytomności, bo pozbywszy się Emmy z drogi, miała Bena wyłącznie dla siebie. Mimo że starali się utrzymać swój związek w tajemnicy, zaczynała być nieostrożna.

Poprosiła Phila, rekwizytora, żeby na stałe ustawiał dla niej krzesło obok monitora Bena, a kiedy Ben rozmawiał z Jonnnym i Gilesem o filmie, przy którym razem kiedyś pracowali, Liz stanęła obok niego i śmiała się z żartów Johnny'ego, jakby byli wszyscy na imprezie z koktajlami.

– Proszę – powiedziała. – Przyniosłam

ci cappuccino.

A Ben zobaczył, że na głowę włożyła jego szczęśliwą czerwono-beżową czapeczkę baseballową.

– No i co, że będą gadać? – uspokajała Bena. – A niech sobie gadają.

Chciała wywiesić na moło w Brighton transparent z napisem: Ben kocha Liz. Czowała się tak, jakby ciemna chmura, która wisiała nad jej życiem przez ostatnie sześć lat, wreszcie się podniosła, a ona stała się nową osobą – czy raczej tą dawną Liz, którą była, zanim wszystko się popieprzyło. Co rano witała się z całą ekipą, uśmiechała się do wszystkich bez powodu, a kiedy prawie zderzyła się z Saskią, wsiadając do minibusu, ustąpiła jej miejsca i grzecznie ją przepuściła w drzwiach. A jeśli potrzeba było innego dowodu na jej na nowo odnalezione zadowolenie z życia, dostała gromkie

oklaski od obsługi kuchni, kiedy sama z siebie poprosiła o frytki do swojego fileta z soli. Zastanawiała się nawet, czy nie przeprosić Orlanda, ale się rozmyśliła.

Patrick był szczęśliwy, bo Magda przyniosła mu tego dnia świetny zbiór resztek mydeł – dwa z włoskami łonowymi, które nadal lepiły się do ich powierzchni.

– Po co chcesz to całe mydło? – spytała Magda, siedząc na jego łóżku i popijając Krwawą Mary.

Często odwiedzała Patricka w pokoju, bo częstował ją papierosami i było tu znacznie wygodniej niż stać na zewnątrz przy śmietniku, w jedynym miejscu, gdzie pracownikom hotelu wolno było palić. W Polsce studiowała ekonomię, a małostkowe reguły i zarządzenia hotelowe przypominały jej, że w Anglii jest uważana

za obywatela trzeciej klasy.

– Nie myślę, że to mydło jest do filmu, bo widzę, że jest dalej w twojej łazience – powiedziała. – Jesteś chyba niegrzecznym facetem.

Patrickowi nagle zaschło w ustach i serce zaczęło mu walić jak szalone.

– Och, tak – zgodził się. – Jestem bardzo niegrzecznym facetem. Trzeba mnie ukarać.

– Co to znaczy, ukarać?

– To znaczy dać lanie. Bardzo, bardzo mocno.

Magda roześmiała się, a Patrick zaczął się niecierpliwić. Wyjął z aktówki jakieś pismo i pokazał jej zdjęcie.

– Zobacz – rzekł. – Właśnie tak.

Oczy Magdy rozszerzyły się ze zdziwienia, kiedy patrzyła na fotografię mężczyzny przykutego kajdankami do łóżka w pozycji na czworakach i

jasnowłosej kobiety w czerwonym staniku i pasie do pończoch, która biła go szpicrutą.

– Chcesz, żebym tak zrobiła? – spytała z niedowierzaniem.

Patrick pokiwał głową.

– Byłem bardzo, bardzo niegrzeczny. Zasługuję na karę. – Rzucił jej pasek od swojego szlafroka. – Możesz mnie tym związać.

– Nie – powiedziała Magda. – Mam coś lepszego.

Zdjęła buty i zaczęła zdejmować pończochy.

Ben był szczęśliwy, bo wreszcie wymyślił zakończenie do swojego filmu. Po dniu na wyścigach, trzech dużych piwach, pizzy i numerku z Liz, kiedy pochylała się nad umywalką w zapuszczonym pokoju hotelowym, obudził

się o trzeciej nad ranem, jak mu się to często zdarzało, i nagle oświeciła go odpowiedź. Zakończenie filmu spłynęło na niego jak sen – ot tak, po prostu. Było idealne. Zapalił lampkę przy łóżku i obudził Liz, wychodząc spod kołdry i biegnąc włączyć swojego laptopa.

– Co robisz? – mruknęła. – Jest środek nocy.

– Śpij dalej – powiedział i zaczął niezgrabnie, dwoma palcami wystukiwać tekst, spiesząc się, żeby zdążyć zanotować wszystko, zanim błyskotliwy pomysł mu umknie.

Tylko Emma była nadal nieszczęśliwa. Siedziała w swoim pokoju, wpatrywała się w ścianę i tęskniła za Jasonem bardziej niż kiedykolwiek. A im dłużej się w nią wpatrywała, tym bardziej przekonywała się, że przynajmniej w jednym Jason miał

rację. Jej pokój naprawdę sprawiał przygnębiające wrażenie.

– No cóż, z tym mogę coś zrobić – powiedziała do siebie stanowczym tonem.
– Jeśli jeszcze tu trochę posiedzę, nic nie robiąc, zwariuję.

Rozłożyła na podłodze gazety – pokój był tak mały, że ledwie naruszyła „Sunday Timesa” – i ze sklepu malarskiego na Goldhawk Road przyniosła dwa i pół litra żółtej farby – Jason lubił żółty kolor – i drugą, mniejszą puszkę białej olejnej do drewna.

W niedzielę o dziesiątej wieczorem czekała, aż pierwsza warstwa pomalowanych listewek wyschnie, żeby mogła położyć drugą. Miała na sobie najstarszą parę dżinsów, czarny T-shirt wystrzepiony przy rękawach i przecierający się pod pachami, i parę niebieskich wełnianych skarpet.

To był jeden z tych zimnych, mokrych dni, kiedy sierpień zapomina, że jest letnim miesiącem, więc centralne ogrzewanie zostało na cały dzień włączone. Donna i Chris uciekli przed towarzyszącym malowaniu bałaganem do kina, a Emma oglądała powtórkę *Prezydenckiego pokera* na E4. Połowy z tego nie rozumiała, ale fascynowało ją że aktorzy w tym filmie potrafili recytować ogromne partie politycznej nowomowy, jednocześnie przemieszczając się szybkim krokiem z jednego biura do drugiego. Zadziwiało ją to, że w *Prezydenckim pokerze* nikt nigdy nie stał w miejscu, ale ciągle pędził tym czy innym korytarzem. Któregoś dnia, pomyślała sobie, chciałabym wystąpić w takim filmie. A potem przypomniała sobie, dlaczego wyjechała z Brighton, i zastanowiła się, czy kiedykolwiek jeszcze dostanie pracę w

swoim zawodzie. A kto. by ją teraz zatrudnił? Obwoźny teatrzyk dla dzieci nie tknie jej nawet kijem, kiedy zobaczą jak podskakiwała na Dannym Parkerze.

Stukanie do drzwi wytrąciło ją z ponurego zamyślenia. Widocznie Donna zapomniała klucza, pomyślała, wstając, żeby otworzyć. Ostatnią osobą którą spodziewała się zobaczyć pod swoimi drzwiami, był Ben.

– Ben! – wykrztusiła. – Co ty tutaj robisz?

Jedyny powód, dla którego zdaniem Emmy reżyser mógł stanąć pod jej drzwiami, to powiedzieć jej osobiście, że nie musi wracać do Brighton, bo zrywają z nią kontrakt. Pewnie sprawdził przepisy BHP i teraz dopiero jej się dostanie.

– No cóż, moja siostra miała urodziny i byłem w pobliżu.

Miał na sobie długi ciemnoszary płaszcz

i wyglądał zupełnie inaczej niż Ben z Brighton, który nosił obszerne szorty i powyciągane T-shirty.

– Dlaczego? Mieszka niedaleko?

– Eee, tak. W Twickenham.

– To kawał drogi stąd. To nawet nie w Londynie.

– Przepraszam, czyja przyszedłem nie w porę? – spytał.

– Och, nie, oglądałem tylko telewizję. – Poszła za spojrzeniem Bena i przypomniała sobie, że rzeczy z jej sypialni nadal piętrzą się po całym mieszkaniu, jak w jakimś szczególnie nieudanym odcinku *Co by tu zmienić?*

– Podoba mi się to, co zrobiłaś z tym pokojem – powiedział Ben. Skinął w stronę lampy, która stała na stosie pudełek po butach i płyt obok sofy.

– Czekam, aż farba mi wyschnie – wyjaśniła Emma i zastanawiała się, czemu

on nie przejdzie do rzeczy i nie wybawi jej z tej opresji.

– Pewnie nie mam co prosić o kubek herbaty? – powiedział wreszcie.

– Przepraszam. – Emma usiłowała przypomnieć sobie o manierach. – Chcesz wejść do środka?

– Nie wiem – odparł z wahaniem. – A to bezpieczne?

Przeszedł nad odkurzaczem, który leżał tuż przy drzwiach, i Emma go podniosła, chcąc położyć w jakimś sensowniejszym miejscu, ale sensowniejszego nie znalazła i zaciągnęła odkurzacz ze sobą do kuchni.

– Podoba ci się *Prezydencki poker!* – zapytał.

– Uwielbiam go. A ty?

– Praca kamery to dzieło geniuszu, ale nigdy nie wiem, o czym oni, do diabła, plotą.

– Ja też nie – zgodziła się Emma i

usiłowała opanować drzenie w głosie. Nie mogła winić Bena, że ją wyrzucił z pracy po tym, w jaki sposób zeszła z planu. Wiedziała, że on nadal pracuje nad zakończeniem filmu i prawdopodobnie w ogóle ją wykreślił ze scenariusza. A może naprawdę ją zastąpi animowaną postacią, tak jak mówił Hugo. Animowana postać będzie też pewnie lepszą aktorką, pomyślała ponuro. I nie będzie sprawiać tyle kłopotów.

– Z czym ci podać herbatę?

– Z odrobiną mleka. Bez cukru. – Ben wszedł do kuchni. – Nie byłem pewien, czy cię zastanę w domu.

– Chciałam iść z Donną do kina, ale wieczór jest taki paskudny, że zrezygnowałam.

– Nie dziwię ci się. Jest ohydnie.

– Już po lecie – powiedziała Emma i w pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, co

się dzieje. Czują tylko, jak obejmują ją ramiona Bena okryte ciemnoszarym płaszczem, a on delikatnie ją całuje, a loczek jego włosów opada prosto na jej policzek. A potem ją puścił.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała zaskoczona. Nadal trzymała łyżeczkę z mokrą torebką herbaty.

– Czekałem na to od tygodni.

– Żartujesz sobie!

Ben pokręcił głową.

– Chyba chciałem cię pocałować od pierwszego dnia, kiedy przyszłaś na przesłuchanie.

– I dlatego tutaj przyszedłeś?

– Pewnie tak.

– Aleja myślałam, że przyszedłeś mi powiedzieć, że zrywasz mój kontrakt.

– Zrywać kontrakt? A dlaczego, u Boga Ojca, miałaś myśleć, że ja chcę zerwać z tobą kontrakt?

– To nie dlatego wysłałeś mnie do domu?

– Nie, wysłałem cię do domu, bo źle się czułaś i byłaś zmartwiona, i pomyślałem, że masz na to ochotę.

– Ale nigdy przedtem nie próbowałaś mnie pocałować – zaprotestowała Emma, sądząc, że jemu się coś jednak pomyliło. Tak jak z tym kręceniem filmu w odwrotnej kolejności scen.

– No cóż, nie wiedziałem, że chcesz, żebym cię pocałował.

Popatrzył jej w oczy i widziała, że szuka w nich odpowiedzi na swoje pytanie. Pomyślała, że chyba po raz pierwszy widzi go naprawdę, jakby rozwiała się jakaś mgła. Nagle przypomniała sobie wieczór, kiedy przyjechała do Brighton, a Ben z nią tańczył i jak wtedy zauważyła – nawet nie zdając sobie z tego sprawy – że on ma szare oczy, oczy koloru morza, a w

pewnym świetle drobinki błękitu czy zieleni zdają się w nich pojawiać i znów znikać.

A kiedy Emma patrzyła mu w oczy, Ben znalazł odpowiedź, której szukał, i pocałował ją znowu.

Poczuła, że prowadzi ją z kuchni do dużego pokoju i na sofę, a kiedy się na niej położyła, poczuła ciepło lampy na policzku i przypomniała sobie coś jeszcze. Coś, co powiedział do niej Ben pierwszego dnia zdjęć. „Kiedy poczujesz, że światło pada ci na twarz, będziesz wiedziała, że stoisz we właściwym miejscu”. Czy to możliwe, że przez cały czas kochała się w Benie i nawet tego nie wiedziała?

– Zmieniłem zakończenie – powiedział Ben. – Myślę, że ci się spodoba.

Rozdział 28

Na śniadanie była zapiekanka pasterska. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, pomyślał Ben. Do budzenia się w porze lunchu, śniadania w porze obiadu, obiadu o północy i padania na łożko, kiedy zaczynał się właśnie poranny program w Radio One. Ben bywał już na nocnych zdjęciach zimą, w deszczu, kiedy padał śnieg, kiedy koło trzeciej nad ranem robiło się tak zimno, że nie mógł poruszyć palcami na pokrętle ostrości soczewki. Ale teraz mieli środek sierpnia, dni były bardzo długie i gorące, i jego największym problemem było doczekać, aż się wystarczająco ściemni. To, i utrzymanie tego, co się dzieje, w sekrecie przed Liz.

Do Brighton wrócił koło jedenastej przed południem w poniedziałek, położył

się na chwilę, przymknął oczy i obudził się trzy godziny później, tuż przed próbą sceny bójki z Johnnym Burtonem, który pokazywał Harveyowi i Arthurowi poprawny sposób walenia Gilesem i Aleksem o ścianę w przejściu między domami.

Księżyc stał w pełni i Ben miał nadzieję, że niebo będzie czyste. Miał też nadzieję, że balsam do ciała od Gucciego, który kupił dla Liz, wygładzi wszelkie wątpliwości, z jakimi mogła patrzeć na to, że został w Londynie na noc.

Urodziny siostry dały mu doskonałe alibi. Liz nigdy nie polubiła jego młodszej siostry i kiedy ją zapytał, czy chce pojechać z nim na jej urodzinowy lunch, nie zdziwił się, kiedy odparła, że woli zostać w Brighton. Zestawienie faktur do wniosku o zwrot podatku VAT stanowiło wystarczająco nudne wyjaśnienie reszty

niedzielnego wieczoru.

– Wynagrodzę ci to w przyszły weekend, obiecuję – powiedział do niej po powrocie.

– Nie, wynagrodzisz mi to teraz – powiedziała i pociągnęła go na łóżko.

Ben uprzejmie spełnił prośbę. Musiał zaspokajać jej zachcianki, a jeśli nie zrobiłby tego teraz, po powrocie Emmy na plan nie miałby najmniejszego pola do działania.

Dzwonił do Emmy codziennie od niedzieli i sam dźwięk jej lekko chropawego, podekscytowanego głosu sprawiał, że w spodniach rosło mu zgrubienie. Może to tylko romans z planu filmowego, ale może, tylko może, mówił mu jakiś wewnętrzny głos, to coś więcej.

Tak czy inaczej, Liz urwałaby mu jaja, gdyby coś zwęszyła.

W Londynie Emma skończyła malować drewniane listewki i zastanawiała się, jakim cudem udało jej się pracować przez cały miesiąc z Benem i być zupełnie ślepa na to, co ewidentnie do niej czuł. I na to, co ona czuła do niego. Za każdym razem, kiedy wspominała niedzielną noc, po plecach przebiegał jej dreszcz, a malutka łyżwiarka figurowa zamieszkująca w jej żołądku zaczynała ćwiczyć potrójne tulupy.

Całując się z Benem, kompletnie straciła poczucie czasu. Dopiero kiedy usłyszała chrobot klucza w drzwiach i Donnę z Chrisem wracających do domu, spojrzała na zegarek i zdała sobie sprawę, że jest już wpół do dwunastej.

– Cześć! – zawołała, podrywając się z sofy. – Jak film?

– Świetny – powiedział Chris.

– Beznadziejny – powiedziała w tej

samej chwili Donna.

– To jest Ben – powiedziała Emma. –
Nasz reżyser. Wpadł na herbatę.

– No tak – odezwała się Donna, jednym rzutem oka obejmując ich rozczochrane włosy i płaszcz Bena leżący na podłodze, i natychmiast oceniła sytuację. – Miło mi cię poznać. A my już idziemy do łóżka. Chodź, Chris! – I wyciągnęła go na korytarz, zanim zdążył zaprotestować.

– Powinienem już iść... – powiedział Ben. – Bo jeśli zostanę...

– Taa, powinieneś iść – zgodziła się Emma.

Ben wstał i włożył płaszcz.

– Nie jedziesz dziś z powrotem do Brighton, prawda? – spytała.

– Nie. Jutro mamy nocne zdjęcia, więc wrócę rano. Zobaczymy się we czwartek, ale jeszcze zadzwonię – obiecał, gładząc ją po twarzy. – Dobranoc.

– Dobranoc – powiedziała Emma, a kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, wsunęła ręce pod jego płaszcz i przytuliła go do siebie, i zanim się zorientowała, co się dzieje, znów leżeli na sofie, jak na początku.

Godzinę później nadal tam leżeli.

– Nie da rady. Nie mogę się z tobą rozstać – przyznał.

– Ani ja z tobą.

– Aleja muszę iść.

– Tak. Musisz iść. Nie możesz zostać.

Ben wstał i włożył płaszcz po raz drugi. Tym razem udało im się dojść do drzwi frontowych, gdzie stali przez jakiś kwadrans, całując się na dobranoc, zanim zdecydowali, że na sofie jest jednak wygodniej.

– Muszę ci coś wyznać – powiedział, pieszcząc nosem jej policzek. – Uwielbiam się całować.

– Wiem – powiedziała Emma. – I bardzo dobrze ci to idzie. Mógłbyś się całować w reprezentacji Anglii.

– Myślisz, że zakwalifikowalibyśmy się do mistrzostw świata w całowaniu?

– Nie wiem. Musielibyśmy trenować, trenować i jeszcze raz trenować.

Więc się zabrali do roboty. Wydawało się, że zaledwie pięć minut później Ben spytał:

– Słyszałaś to?

– Co miałam słyszeć?

– Posłuchaj.

Emma posłuchała, ale słyszała jedynie ciche ćwierkanie wróbli.

– Nic nie słyszę. Tylko ptaki śpiewają.

– No właśnie. Jest rano.

– To znaczy, że całowaliśmy się całą noc!

– Wiem. To także znaczy, że muszę już iść.

– Tak, tym razem naprawdę musisz iść.
– Naprawdę teraz już idę.
– Poprzednio to były tylko próby ujęcia.
Teraz naprawdę już idziesz, – Zgadza się.
Naprawdę idę.

I godzinę później rzeczywiście sobie poszedł, a Emma wślizgnęła się sama do łóżka, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Nikt jej nigdy przedtem nie całował przez całą noc – nawet Jason. Nikt nigdy nie zrobił tej całej drogi z Brighton do Londynu tylko po to, żeby się z nią całować. To była, stwierdziła Emma, najbardziej romantyczna historia, jaka jej się w życiu przytrafiła.

We czwartek wieczorem ekipa znów znalazła się na ulicy przed Mongo Club, przygotowując plan do sceny, w której chłopcy wychodzą przez okno klubu,

wynosząc skradzione im instrumenty. Ryan i Ben dyskutowali, jak mają nakręcić Luke'a wyglądającego przez okno, a potem zrobić ostre przejście do jego skoku w kadr z dogodnie ustawionej skrzyni – żeby nie musiał przelazić przez okno ze swoją złamaną ręką.

Trzech nastoletnich chłopców podjechało na deskorolkach, popatrzeć co się dzieje.

– Co robicie? – zapytali zaczepnym tonem.

– Kręcimy film – odparł Tim, chociaż pomyślał, że odpowiedź powinna być zupełnie oczywista na widok reflektorów, kamery i składanego zielonego krzesła z napisem Reżyser na oparciu.

– Jakiś dobry?

– Mamy taką nadzieję.

– No to jak się nazywa?

– *Brighton Roch.*

– W życiu nie słyszeliśmy – zakpili chłopcy, wskoczyli na deskorolki i odjechali.

– Bo jeszcze go nie skończyliśmy! – wrzasnął za nimi Tim, ale wiatr stłumił jego głos.

Ben przez cały wieczór spoglądał na zegarek.

– Wyluzuj się – powiedział do niego Jamie. – Chociaż raz jesteśmy w zgodzie z czasem.

Ben tylko pokiwał głową i patrzył, jak ulicą nadjeżdża minibus. Nie powiedział Jamiemu, że właśnie nadszedł moment, na który cały czas czekał. Z pewnej odległości patrzył, jak Emma wysiada z minibusu w bluzie z długimi rękawami i džinsach, mocując się z wielkim wiklinowym koszykiem, który wyjmowała z tylnego siedzenia. Uwielbiał, kiedy spinała włosy w kucyk. Nadawało jej to

wygląd szesnastolatki. Wyjął komórkę i wybrał jej numer, śmiejąc się do siebie, kiedy obserwował, jak grzebie w tej przepastnej torbie, szukając telefonu. Schował się za busem stołówki, gdzie nikt go nie mógł podsłuchać.

– Cześć, to ja. – Planował tylko się przywitać, ale dźwięk jej głosu stanowił pokusę nie do zwalczenia. – Spotkamy się w mojej przyczepie za pięć minut?

– Dobrze!

– Ale po cichutku, okay?

– Dobrze, po cichutku – zachichotała Emma. – Patrz i podziwiaj.

Ben wyłączył się, poszedł do swojej przyczepy i zaczął czekać. Zebrał wszystkie stare rozkłady zajęć dla ekipy i plansze scen rozrysowanych na poszczególne ujęcia, porzucił je po kanapce i wrzucił je do kosza w niedbałej próbie ogarnięcia pomieszczenia. Parę

sekund potem rozległo się pukanie do drzwi.

– Jeszcze nie ma pięciu minut – roześmiał się, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wpadła Emma, rzucając przez ramię komicznie ukradkowe spojrzenia.

– Wiem – uśmiechnęła się radośnie. – Nie mogłam się doczekać. To były najdłuższe cztery dni mojego życia.

Objęła go ramionami za szyję i pokryła jego twarz głodnymi pocałunkami. Kiedy wsunął dłonie pod jej bluzę, ktoś zapukał do drzwi i przekręcił klamkę, nie czekając na odpowiedź. Emma szybko się odsunęła i usiadła, przygładzając włosy. Nieczyste sumienie Bena podpowiadało mu, że to pewnie Liz, ale była to tylko Poppy z jakimś nowym detalem scenograficznym, który chciała mu pokazać. Przygotowali artykuł z lokalnej gazety z wielkim tytułem: *PUSH SIĘ PCHA DO HOVE*.

– Świetne – powiedział Ben, ledwie rzuciwszy okiem.

– Podoba ci się? – spytała Poppy. – To w sumie pomysł Luke’a. Nie mogę przypisać sobie całej zasługi.

– Tak, to bardzo zabawne. A ja właśnie wprowadzam Emmę w nowe zakończenie filmu.

Niezbyt to przypominało stojącą owację, jakiej Poppy spodziewała się w nagrodę za ostatnią noc, kiedy siedziała przy komputerze i projektowała stronę z gazety długo po tym, jak cała ekipa poszła spać. Naprawdę, pomyślała, wracając na plan, można sobie czasem flaki wypruć, a i tak nikt tego nie doceni...

Ben podał Emmie plik spiętych razem zielonych kartek.

– Mam dla ciebie niespodziankę. Proszę.

Emma pożądliwie chwyciła nowe strony scenariusza. Do szafu doprowadzała ją

skrytość Bena co do tego nowego zakończenia i nie mogła się doczekać, aż to przeczyta. Na pierwszej stronie była scena dziewięćdziesiąta piąta.

„Eddie jedzie na skuterze, szukając Jasmine, kiedy zauważa jej samochód nieprawidłowo zaparkowany na poboczu”, przeczytała. „Kiedy podchodzi do samochodu, słyszy walenie dochodzące ze środka bagażnika”.

Emma podniosła przerażone oczy.

– Ale nie możecie mnie zamknąć w bagażniku! To wykluczone. Proszę, nie każ mi tego robić, Ben. Ja mam klaustrofobię!

Takiej reakcji Ben się nie spodziewał. Przy każdej kolejnej przeróbce rozbudowywał rolę Emmy i myślał, że będzie mu wdzięczna.

– Nic ci się nie stanie – zapewnił ją. – To nic takiego. Będiesz tam najwyżej

przez parę sekund.

– Nie rozumiesz. Ja nad tym nie mam żadnej kontroli. Czuję się jak w pułapce i wpadam w panikę. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie.

Ben pomyślał, że w gruncie rzeczy doskonale wie, co to za uczucie. Tak się czuł w każdym związku, w jaki się angażował. Objął Emmę ramionami i pocałował ją.

– Przysięgam ci, że nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Będę stał tuż obok i wypuszczę cię, kiedy tylko będziesz chciała.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Kiedy pocałował ją znowu, Emma pomyślała, że jeśli Ben tam będzie, to może jakoś wytrzyma. A potem spojrzała na zegarek.

– Nie mam czasu czytać teraz reszty,

spóźnię się na charakteryzację.

– Nie potrzebujesz charakteryzacji – powiedział Ben. – Jesteś idealna taka, jaka jesteś. Mógłbym cię zjeść. – I na dowód swoich słów lekko ugryzł ją w ramię.

– Zobaczę cię dziś wieczorem? To znaczy dziś rano, po zakończeniu zdjęć?

– Jasne. Ale na razie niech to będzie nasz sekret, dobrze?

– Dlaczego? – Emma przystanęła z ręką na klamce drzwi.

– Chodzi mi tylko o twoje dobro – wyjaśnił Ben. – Nie chcesz, żeby ludzie myśleli, że dostałaś tę rolę tylko dlatego, że się spotykamy, prawda?

– A to właśnie robimy? – uśmiechnęła się Emma. – Spotykamy się? – Sama nie była pewna, jak ma to określić.

– Chyba tak – powiedział Ben, zaskakując sam siebie. Nawet się jeszcze z Emmą nie przespał, ale miał takie

wrażenie, jakiego nie odczuwał od lat. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę z tego, że po prostu lubi Emmę. Czy to nie dziwne? – Ale musimy zachowywać się ściśle profesjonalnie, kiedy jesteśmy wśród ludzi, przynajmniej do zakończenia zdjęć – wyjaśnił.

– Pewnie masz rację – zgodziła się Emma.

– Nie masz nic przeciwko, mam nadzieję?

– Oczywiście, że nie. To już tylko kilka dni.

Ale chociaż Emma obiecała sobie, że słowa nie powie, groziło jej to, że zdradzi ją sam wyraz twarzy.

– A co ty jesteś taka z siebie zadowolona? – powiedziała Bex, kiedy Emma wpadła do przyczepy charakterizaterek i ucałowała wszystkie Głupie Suczki po kolei. – Co ty

kombinujesz?

– Nic! – powiedziała natychmiast Emma, ale zaraz wybuchnęła śmiechem. – Po prostu cieszę się, że wróciłam, i tyle.

– Wierzyć jej? – Bex spytała Tracey.

– Nieee! – powiedziała Tracey. – Wyraźnie coś knuje. Wydobędziemy to od niej na torturach. – Podniosła żelazko do prostowania włosów i groźnie nim zaklekotała, aż Emma pisnęła z udawanego przerażenia. Ale nie puściła pary z ust.

Tej nocy musiała zagrać w scenie, w której Jasmine i Eddie wybiegają z klubu, ścigani przez ludzi Turpina, i zastanawiała się, jak zdoła grać osobę przerażoną i wyglądać, jakby obawiała się o swoje życie, kiedy czuła się prawie pijana ze szczęścia.

Jakie to okropne pomyśleć, że mogła zrobić cały film i nawet sobie nie zdać sprawy z tego, jaki cudowny jest Ben! Tak

bardzo absorbowały ją myśli o Jasonie i tak bardzo była przejęta pierwszym w życiu doświadczeniem pracy na planie filmowym, że zajęta tym wszystkim nawet nie zauważała, kogo ma pod samym nosem. Ale to zabawne, jak wiele małych chwil z Benem, które przedtem przeoczyła, mogła sobie teraz przypomnieć. Na przykład tamten pełen otuchy uśmiech w czasie jej pierwszego przesłuchania albo to, jak zawsze pochylał się ku niej, żeby jej udzielić wskazówek podczas zdjęć. Kiedy zamykała oczy, nadal widziała tę burzę ciemnobrązowych loków, czuła kokosowy zapach jego żelu do włosów i szorstkość zarostu ocierającego się o jej skórę, jego rzęsy muskające jej policzek...

– Patrzcie, znów odpląnęła... – powiedziała Bex, a Emma podskoczyła, zastanawiając się, jak długo siedziała na fotelu do makijażu, patrząc w przestrzeń

niewidzącymi oczami. Przypomniała sobie ostrzeżenie Bena o tym, że powinni utrzymać swój związek w sekrecie, i zrozumiała, że będzie się musiała zdobyć na szalony wysiłek, żeby nie obnosić tej miny osoby szczęśliwej do nieprzytomności.

Ale Orlando też coś zauważył. Emma przyniosła w swoim koszyku dwie butelki merlota dla niego i dla Liz, żeby podziękować im za to, jak się nią zajęli podczas tej całej katastrofy z Jasonem.

– Mam nadzieję, że to dobre wino – wyjaśniła. – Poprosiłam sprzedawcę w monopolowym, żeby mi coś doradził, bo sama się na tym zupełnie nie znam.

– Nie trzeba było – powiedział Orlando.

– Ale naprawdę chciałam. Byliście oboje tacy dla mnie dobrzy.

Liz i Orlando nawet nie popatrzyli na siebie nawzajem. Nadal prawie ze sobą nie

rozmawiali.

– Rozmawiałaś z Jasonem? – spytała Liz.

– Nie – odparła Emma i zdała sobie sprawę, że od niedzielnego wieczoru prawie wcale nie myślała o Jasonie. Zupełnie jakby Ben nacisnął jakiś przycisk w jej sercu i Jason, który był kiedyś dla niej najważniejszą osobą na świecie, nagle przestał się wydawać taki ważny. Czy to naprawdę możliwe, żeby się tak szybko odkochać?

– Na pewno wyglądasz na osobę znacznie szczęśliwszą – powiedział Orlando. – To najważniejsze.

– Tak, chyba po prostu potrzebowałam paru dni wolnego. – Tym razem Emma pamiętała, żeby się tak ciągle nie uśmiechać – a przynajmniej nie na zewnątrz. Jeśli to odskok, pomyślała, to mam nadzieję, że nigdy nie przestanę

skakać.

Vauxhall viva znaleziony w zastępstwie za pogruchotanego saaba Patricka był biały i autentycznie zapuszczony.

– Dobra, ta scena to bułka z masłem – mówił Ben. – Musicie tylko oboje wybiec z klubu, wsiąść do samochodu i odjechać.

Emma pokiwała głową, nie mogąc oderwać oczu od tej ukochanej twarzy. Wolałaby w tej pierwszej po powrocie scenie występować z kimkolwiek innym, byle nie z Dannym, ale była taka szczęśliwa, że znów widzi Bena, że inne uczucia zupełnie przy tym bladły. Danny miał ciemne okulary, a na uszach słuchawki walkmana i słuchał muzyki, za pomocą której zawsze wprowadzał się w rolę Eddiego, więc i tak tkwił w swoim intymnym, małym świecie i nie odzywał się do nikogo.

– Ronald, Harvey i Arthur wybiegną za wami, ale nie chcę, żebyście się oglądali – ciągnął Ben. – Patrzcie przed siebie, w stronę tamtego znaku drogowego, dobra?

– Dlaczego to Jasmine prowadzi? Dlaczego nie prowadzi Eddie? – zapytał Danny. Najwyraźniej mimo wszystko słyszał, co się wkoło niego dzieje.

– Bo to samochód Jasmine – odparł szorstko Ben.

– Taa, ale czy nie lepiej, żeby...

– Nie, Danny, lepiej, żebyśmy zrobili to tak, jak jest w scenariuszu. – Czasy, w których Ben znosił idiotyzmy Danny’ego, oficjalnie się skończyły. Przytrzymał drzwi Emmie, wysiadającej z samochodu na kolejną próbę ujęcia, a ona niby niechcący, ale całkiem umyślnie musnęła głową jego ramię. Benowi zaschło w ustach. Obejrzał się na Liz, żeby sprawdzić, czy tego nie widziała, ale ona szarpała się z kurtką

Harveya i nie zauważyła niczego. Nikt niczego nie zauważył.

Widząc Emmę i Liz razem, Ben dostrzegł, że Emma to pod każdym względem zupełne przeciwieństwo Liz. Tam gdzie Liz bywała cyniczna, Emma była ufna aż do przesady. Gdzie Liz była twarda i oschła, Emma była miękka i uległa. Liz widziała już wszystko i z niejednego pieca chleb jadła, Emma potrzebowała, żeby ktoś – ktoś taki jak Ben – prowadził ją przez ten świat. Liz była w pełni ukształtowaną osobą o ustalonych poglądach. Przez całe życie była dojrzałą kobietą. A Emma... Wyobrażał sobie, jak mówi Emmie, jakie filmy ma obejrzeć, jakie książki powinna przeczytać, jak ma czesać włosy, jakie ubrania podkreślają jej urodę. Mógł ją sam uformować. Nie, to nie było dobre słowo. Robiło z niego jakiegoś obrzydliwego

Svengali. Emma, pomyślał z satysfakcją, jest dziewczyną, którą mógłby wyreżyserować.

Naprawdę chciał spróbować z Liz jeszcze raz i musiała mu to przyznać, ale nagle wydało mu się to oczywiste, że niezależnie, jak świetnie było im w łóżku, ich związek zawsze będzie się ograniczał do łóżka. Sześć lat temu nie kochał Liz dość mocno i nadal jej nie kochał, nieważne jak bardzo się starał. Gdyby Emma nie była tak idiotycznie zajęta tym całym żalonym Jasonem, nigdy by nie dopuścił Liz z powrotem do swojego życia. Ale miał nadzieję, że pozostaną przyjaciółmi.

Trochę było mu żal Liz, lecz stwierdził, że na razie nie ma sensu jej o niczym mówić. Gdyby ją teraz rzucił, przed zakończeniem zdjęć, wiedział, że zerwałaby kontrakt i może jeszcze zabrała

ze sobą Orlanda. Mogłaby nawet zabrać wszystkie kostiumy. Nie, musiał uszczęśliwić swojego kostiumologa jeszcze przez kilka dni, a potem powie Liz. Powie jej tak łagodnie, jak tylko potrafi.

Liz pogрузyła się w myślach, wsuwając grzebień pod guzik kurtki Harveya, żeby przeciąć nitkę, nie uszkadzając materiału. Wszystkie guziki musiała przesunąć aż do samego brzegu, w przeciwnym razie nie zdołałby się dopiąć. Jak to możliwe, zastanawiała się, żeby człowiek tyle przytył w tak krótkim czasie? Żywnienie na planie, naturalnie – widziała to już wielokrotnie. Nawet teraz Harvey wbijał zęby w kanapkę z szynką, pozostałą z kolacji. Gdyby kiedykolwiek pozwoliła sobie tak się roztyć, chybaby się zabiła.

Odruchowo pomasowała własny, płaski brzuch, żeby sprawdzić, czy jest tak samo

napięty jak zwykle, i z rozczarowaniem stwierdziła, że nadal czuje tylko ten sam znajomy kształt kości biodrowych. Ale, upomniała się, jest jeszcze o wiele za wcześnie, żeby coś było widać. Nawet nie wiedziała na pewno, czy jest w ciąży. Po prostu okres jej się spóźnił. O osiem dni, tyle co nic. Przesunęła guzik dalej i zaczęła go powoli i starannie przyszywać, skupiając całą uwagę na jego gładkiej krągłości, żeby uspokoić gonitwę myśli. Och, ale wiedziała, po prostu wiedziała.

W nocy robili kolejne sceny jazdy samochodem i Liz siedziała w minibusie z Orlandem i Głupimi Suczkami, odliczając minuty brakujące do piątej rano, kiedy zacznie się rozjaśniać i będą musieli przerwać zdjęcia. Noce, kiedy nie miało się nic do roboty, ciągnęły się niemożebnie. Z ulgą uniosła oczy, gdy

zobaczyła, że zbliżają się do nich charakterystyczne przednie światła vivy. Georgina zaczęła rozdawać rozkład zajęć na następny dzień.

Oba samochody zatrzymały się nieco dalej na ulicy i Liz zobaczyła, jak Ben wysiada i idzie podziękować Emmie i Danny'emu. Przesunęła się, chcąc zrobić miejsce w minibusie dla pozostałych pasażerów i dlatego nie zauważyła, jak Ben pisze parę słów na odwrocie rozkładu zajęć i wręcza go Emmie. Kilka minut później przystanął przy oknie minibusu.

– Dziękuję wam wszystkim za ciężką nocną pracę – powiedział i trzy razy stuknął palcami w szybę, co w ich wspólnym kodzie oznaczało, że zobaczy się z Liz w hotelu.

Godzinę później Liz i Ben siedzieli w wannie Bena z torebką maltesers, a Emma spała jak zabita we własnym pokoju. Obok

niej na poduszce leżał rozkład zajęć z dopiskiem Bena: *Odeśpij trochę. Do zobaczenia o drugiej.*

Kiedy Liz się obudziła o wpół do drugiej tego popołudnia, Ben już był pod prysznicem.

– Czemu wstajesz tak wcześnie? – poskarżyła się. – Mamy jeszcze mnóstwo czasu przed pracą.

– Muszę zrobić rekonesans i obejrzieć plenery do końcówki filmu. Chcesz pojechać?

– Boże, nie. Czy ty w ogóle czasami myślisz o czymś poza pracą?

– Wiem, wiem. Ale co ja na to poradzę... – Zakręcił prysznic i owinał się tanim, białym hotelowym ręcznikiem. – Jeszcze tylko kilka dni, a potem koniec i możemy to jakoś uczcić, chcesz?

Pochylił się i pocałował ją, a duża

kropla spadła z jego włosów na pierś Liz.

– Może pojedziemy na wakacje po zdjęciach? – zapytała.

Bardzo nad tym ubolewała, kiedy się przedtem spotykali, że nigdy nie udawało im się pojechać na wakacje jak normalnym ludziom, bo jedno z nich zawsze było zajęte. Niczego przy tej pracy nie dawało się zaplanować. Ile razy wyskakiwała jakaś robota, trzeba było się jej chwycić, bo człowiek nigdy nie miał pewności, że dostanie następną. Brytyjski przemysł filmowy zdawał się brnąć z jednego kryzysu w drugi i zawsze potrafił sprawić wrażenie, że z dnia na dzień może przestać istnieć.

– Bardzo bym chciał, ale wiesz, że nie mogę. Będę tkwił po uszy w robocie przy montażu.

– A może jakiś weekend? Moglibyśmy skoczyć do Paryża.

Ben naciągnął T-shirt, żeby nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy.

– No cóż, weekend w Paryżu uda się może jakoś wcisnąć. – To najlepszy sposób, żeby to zakończyć, pomyślał. Powie jej o tym delikatnie, prosto w oczy, nie jak ostatnim razem. I może kupi jej jakieś francuskie perfumy czy coś takiego. – Ja funduję – zaproponował.

– Dobra, to ja się zajmę organizacją – powiedziała Liz i wyciągnęła nogę, żeby pomasaować mu krocze stopą.

– Zobaczymy się później – rzekł, pozwalając, żeby go do siebie przyciągnęła i pocałowała. Przyszło mu do głowy, że nawet po zerwaniu może mógłby z Liz od czasu do czasu uprawiać seks. Nie kochają się, ale to jeszcze nie powód, żeby jednocześnie rezygnować ze wszystkich przyjemności, prawda? Może jej to jakoś zasugeruje. Wiedział, że kiedy szło o seks,

stać ją było na wszystko, więc pomysł mógłby jej odpowiadać. Z Liz nigdy nic nie wiadomo.

Odsunął się z ociąganiem.

– Naprawdę muszę się zbierać – powiedział i podszedł do drzwi.

– A kluczyki? – przypomniała mu Liz, a on zacmokał językiem nad swoim roztargnieniem.

– Głowy niedługo zapomnę – uśmiechnął się.

– Za ciężko pracujesz! – zawołała za nim Liz i osunęła się na kiepskie hotelowe poduszki, zła, że zostanie sama na całe to słoneczne popołudnie, ale czym jest jedno popołudnie, napomniała samą siebie, kiedy czeka ich całe życie razem? Zaczęła planować, co zabierze ze sobą do Paryża.

Na korytarzu Ben nie poszedł do windy, tylko skręcił w korytarz w drugą stronę,

zatrzymał się pod drzwiami pokoju trzysta dziewięć i z wahaniem zapukał.

Emma podeszła do drzwi w szortach piaskowego koloru i liliowym podkoszulku.

– Cześć, nieznajomy – westchnęła i wciągnęła go szybko do środka.

W przeciwieństwie do Liz, Emma nie narzekała, że spędzi popołudnie w dusznym pokoju hotelowym. Nie zamieniłaby się z nikim. To też Ben w niej lubił. Liz zawsze robiła jakieś trudności, ale z Emmą było tak łatwo. Tak łatwo, rzeczywiście, że pierwszy raz Bena potrwiał zaledwie dwie i pół minuty.

– No cóż, nieźle jak na próbę – powiedziała Emma. – To teraz powrót na pozycje wyjściowe i dubel?

– Podłapałaś cały ten żargon, prawda? – roześmiał się Ben, żeby pokryć zażenowanie. – Ale dasz mi piętnaście

minut na próbę oświetlenia?

– Ile tylko chcesz. Ty tu jesteś szefem.

Włosy Emmy rozsypane były na poduszce za jej głową i Ben z zamyśleniem odsunął je, żeby nie zasłaniały twarzy.

– Wiesz, zawsze powinnaś czesać się do góry – powiedział. – Naprawdę ci z tym do twarzy.

– Dobrze – uśmiechnęła się Emma. – Co tylko powiesz.

Ta żonglerka go wykańczała. Co rano, kiedy wstawało słońce, wracał do swojego pokoju, a Liz przychodziła do niego parę minut później.

– Dlaczego nigdy nie mogę przyjść do ciebie? – dopytywała się Emma, kiedy wślizgiwał się do jej wąskiego łóżka każdego popołudnia.

– Patrick – wyjaśnił jej Ben. – Zrobił

sobie z mojego pokoju drugie biuro, bardzo bym nie chciał, żeby tam przyszedł i na ciebie wpadł.

Emmie ten powód wystarczył aż nadto. Miała Bena dla siebie tylko przez jakąś godzinę dziennie, ale był taki zaganiany, że uważała, że i tak ma szczęście.

A Ben upewniał się, że Liz niczego nie odgadnie. W piątek nawet poszedł z nią po zakupy – Liz wiedziała, że nienawidzi tego jak diabeł święconej wody, czy mógł więc lepiej udowodnić jej swoje całkowite oddanie i wiarygodność? Powiedział Emmie, że będzie szukał plenerów – idealne alibi na wszelkie okazje, które dostarczało mu dodatkowych punktów współczucia za tak wytężoną pracę i mogło służyć za wytłumaczenie, gdyby go ktokolwiek zauważył na mieście.

Magazyn „Empire” nadal nalegał na wywiad i w przypiływie inspiracji zgodził

się, że udzieli tego wywiadu w Worthing w pewnej kawiarni na krawędzi klifu. Kiedy odpowiadał na pytania o aresztowanie Ronalda Gasha („Ronald to świetny aktor i ma nasze pełne poparcie”), reputację Danny’ego Parkera jako trudnego pracownika („Wszystkich w naszej ekipie nieustannie zadziwiały wyczyny Danny’ego”) i pogłoski o bezinteresownym występie Sophie Randall w scenie łóżkowej („Myślę, że kiedy to państwo zobaczą, przekonacie się, że nie istnieje coś takiego jak bezinteresowna nagość”), jednym okiem zerkał na Emmę, która popijała colę przy sąsiednim stoliku, zmieniona nie do poznania w ciemnych okularach, chociaż i tak nikt by jej nie rozpoznał.

– Czuję się zupełnie jak szpieg! – roześmiała się godzinę później, kiedy biegli do wody. – Zauważyłeś, że na ciebie

patrzę?

Ben ucieszył się, widząc że spięła włosy w kucyk, tak jak ją prosił. Włosy tańczyły za nią, kiedy biegła. Przez cały wywiad wyobrażał sobie, że zrobią to z Emmą w morzu, ale woda była tak zimna, że weszli tylko do kolan, a potem z wrzaskiem uciekli z powrotem na brzeg. Tam położyli się na piasku, zjadając chipsy, a Emma ułożyła głowę na piersi Bena, bezpieczna teraz od wścibskich oczu reszty ekipy.

– Keczup czy sos chilli? – spytała Emma.

– Sos chilli.

– Ja też! – zawołała Emma. Zdała sobie sprawę, że jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których o Benie nie wie. – Twój ulubiony kolor?

– Szary. A twój?

– Różowy. Ulubione zwierzę?

– Psy. Prawdziwe psy, nie takie małe

jazgotliwe. A twoje?

– Nie wiem, chyba lubię wszystkie. No może poza karaluchami.

– Ulubiony film? – spytał Ben.

– *Moulin Rouge*.

– Chyba żartujesz!

– Nie, płakałam od początku do końca.

A twój?

Ben zastanawiał się przez chwilę.

– *Siedmiu samurajów* – zdecydował się ostatecznie.

– To jakiś film kung fu?

– Niezupełnie. Japoński. Widziałaś go kiedyś?

– Chyba nie. Czy to przez ten film postanowiłeś zostać reżyserem?

– Nie. Od zawsze chciałem robić filmy, odkąd zobaczyłem *Gwiezdne wojny*. Tata zabrał mnie i brata na ten film tuż po Bożym Narodzeniu, kiedy miałem sześć lat. Nic z tego nie zrozumiałem, ale mimo

to wiedziałem, że to coś niesamowitego. Plakatami wykleiłem sobie cały pokój. Z kuchni ukradłem folię aluminiową, żeby sobie zrobić miecz świetlny. Pamiętasz, jacy wszyscy byli podekscytowani, kiedy wszedł na ekrany?

Emma pokręciła głową.

– Nie było mnie jeszcze na świecie.

Ben popatrzył na nią.

– No tak – powiedział, nieco zaskoczony. – Pewnie nie.

Potem, kiedy wysadził ją z samochodu sześć przecznic od hotelu, nadal wydłubywała sobie piasek z włosów.

– Nie gniewasz się za ten spacer, prawda? – spytał.

– Wiem, że tylko starasz się chronić moją reputację.

– I nie martwisz się tą sceną dziś wieczorem?

– Martwić się? A czym miałabym się

martwić? – uśmiechnęła się. Ale kiedy patrzyła za odjeżdżającym Benem, już się zaczynała denerwować. Im więcej o tym myślała, tym bardziej rosło jej zdenerwowanie, więc zdecydowała się nie myśleć o tym wcale i zamiast tego pomyśleć jeszcze o Benie.

– Jak poszedł wywiad? – spytała Liz Bena, a z jej zupełnie pozbawionego podejrzliwości głosu Ben wyczytał, że musi coś podejrzewać. Pozwolił jej się dosiąść do swojego stolika na śniadanie, żeby ją udobruchać.

– Nieźle – odparł.

– O co cię pytali?

– Och, no wiesz, zwyczajne pitu-pitu, mój ulubiony kolor, ulubiona potrawa. Jaki film najbardziej lubię.

– Powiedziałaś, że *Siedmiu samurajów*, prawda?

– Taa. A czemu? Uważasz, że to

pretensjonalne?

– Trochę. Nie wiem, czemu nie powiesz prawdy i nie przyznasz, że *Gwiezdne wojny*. Zupełnie nie ma się czego wstydzić.

To była oczywiście kolejna wielka różnica między Liz i Emmą, zdał sobie sprawę. Jedna z nich jeszcze się nie urodziła, kiedy *Gwiezdne wojny* weszły na ekrany. Po raz pierwszy w życiu Ben poczuł się staro. Podniósł wzrok znad swojego pieczonego ziemniaka i zobaczył Emmę, która stała przed nimi z pełną tacą.

– Mogę się do was przysiąc? – spytała z rozpromienionymi oczami. – Nigdzie nie ma miejsca.

– Nie ma sprawy – powiedział Ben, a Emma wślizgnęła się na miejsce obok Liz, więc teraz miał przed sobą obie. Pod stołem poczuł, że jakaś stopa dotyka jego stopy, i nie umiał stwierdzić, która to. Na

wszelki wypadek uśmiechnął się do nich obu.

– Co dziś robiłaś, Emmo? – spytała Liz.

– Odsypiałam, a potem poszłam po zakupy. – Naprawdę dochodzę do wprawy w tych kłamstwach, pomyślała. Sama prawie w to uwierzyła.

– Najlepsze lekarstwo na złamane serce – powiedziała Liz, a Ben miał nadzieję, że nie zauważy odrobinki piasku, która nadal lepiła się do ucha Emmy.

Dochodziła prawie druga w nocy, kiedy Ronald wreszcie wsadził wrzeszczącą i kopiającą Emmę do bagażnika vauxhall vivy. Kiedy zatrzasnął za nią wieko, mocno zacisnęła oczy i zatkała sobie nos, żeby nie czuć odoru oleju, gumy i zbutwiałych gazet, i usiłowała myśleć pozytywnie, wspominając chwile na plaży z Benem. Odliczyła do trzech, bo Ben

obiecał jej, że przy każdej powtórcie ujęcia otworzy bagażnik po trzech sekundach. A potem nadbiegł z kluczykami Phil, rekwizytor, żeby ją wypuścić, a ona złapała potężny haust powietrza i napiła się trochę herbaty, którą przyniósł dla niej Tim.

– Jak poszło? – spytała, zadowolona, że już po wszystkim. Naprawdę, nie było aż tak źle.

– Chciałbym to powtórzyć – powiedział Ben. – Bagażnik wypadł nam trochę z kadru. Nie dokucza ci klaustrofobia, Emmo?

– Nie – skłamała. – Nic mi nie jest.

– Co to jest klaustrofobia? – chciał wiedzieć Danny.

– Lęk przed zamkniętymi pomieszczeniami – wyjaśniła Stacey.

– Ale jazda – powiedział Danny. – Miałem kiedyś kumpla, który bał się

pająków. Zawsze mu kładłem takie duże plastikowe na łóżko. Boki zrywać.

– Jesteś szalenie dowcipny, Danny.

Do czasu szóstej powtórki ujęcia Emma miała nerwy w strzepach.

– Jesteś bardzo dzielna – szepnęła do niej Liz, kiedy Saskia nakładała jej gąbeczką nieco więcej sztucznej krwi i siniaków na twarz. – Na twoim miejscu uparłabym się, żeby Ben użył dublerki. No, ale trochę za późno teraz o tym myśleć, prawda?

Pomysł użycia dublerki nigdy nie przyszedł Emmie do głowy i trochę pożałowała, że Ben jej tego sam nie zaproponował. Pomyśleć, że przeszła przez to wszystko niepotrzebnie! I jeszcze trzeba ją będzie wyratować z bagażnika, no ale to już nie będzie takie złe, prawda?

Tyle tylko, pomyślała nagle, że przed uwolnieniem z bagażnika znów będzie

musiała dać się w nim zamknąć, póki Danny jej z niego nie wypuści.

– Nic ci nie będzie? – szepnął Ben do jej ucha. – Bo jeśli nie jesteś stuprocentowo gotowa, natychmiast to przerwiemy. Wiesz, że jesteś dla mnie ważniejsza niż jakikolwiek film.

– Naprawdę?

Phil rekwizytor wyłożył wewnątrz bagażnika grubym kocem, żeby jej było wygodniej, ale słowa Bena uspokoiły ją bardziej niż cokolwiek innego.

– Nic mi nie będzie – obiecała dzielnie i Benowi ulżyło. Technicznie rzecz biorąc, ten film był dla niego ważniejszy od wszystkiego, potem było długo, długo nic, i wreszcie Emma, ale to były ich ostatnie nocne zdjęcia i jeśli Emma nie da rady, będzie miał jeden wielki cholerny kłopot.

– Dzielna dziewczynka – uśmiechnął się i szybko uścisnął jej rękę, udając

jednocześnie, że poprawia jej kołnierz kurtki.

Wydawało się, że to trwa całe wieki, zanim usłyszała, jak Ben woła: „Akcja!”, a Danny znajduje kluczyki w stacyjce, żeby ją wypuścić. Powinna była walić w bagażnik i wołać pomocy, ale przekonana była, że Danny specjalnie tak zwleka, i zaczęła wpadać w panikę, a jej wołanie zabrzmiało niekłamaną rozpaczą.

– Co ci zajęło tyle czasu, cholera? – sapnęła zirytowana, kiedy wreszcie Danny otworzył bagażnik, a ona wygramoliła się ze środka. Odezwała się do Danny’ego po raz pierwszy od swojego powrotu do Brighton i chociaż nie było tego w scenariuszu, zabrzmiało tak realistycznie, że Ben zdecydował się zostawić ten fragment.

– Wszystko świetnie, ale lepiej zrobimy

na wszelki wypadek jeszcze jedną powtórkę – powiedział. – A może tym razem uda ci się to zrobić nieco szybciej, Danny?

Emma znów zwinęła się na kocu i zamknęła oczy. Jeszcze tylko kilka minut, powiedziała sobie, i będzie po wszystkim. Była już trzecia rano. Kiedy skończą to ujęcie, będzie mogła wrócić do hotelu, zrobić sobie gorącą czekoladę i walnąć się do łóżka. Trochę było jej teraz głupio, że wcześniej robiła tyle zamieszania. Naprawdę nie było tu tak źle, kiedy się już człowiek raz przyzwyczaił.

– Hej, Emmo – odezwał się Danny. – Słyszałaś o takiej trumnie, którą niedawno odkopali? Okazuje się, że w środku pełno było śladów zadrapań, bo ten biedny kretynek usiłował się wydostać.

Wiek bagażnika zatrzasnęło się za nią na nowo, i w chwili, w której usłyszała

wołanie Bena: „Akcja!”, zaczęła walić pięściami w metal nad sobą.

– Pomocy! Jest tam kto? Ratunku! Wypuście mnie! – Waliła i waliła, i usiłowała nie myśleć o tym, że została pochowana żywcem. To było nie do zniesienia. Usłyszała klucz wkładany do zamka, co było dla niej sygnałem, żeby jeszcze głośniej walić i krzyczeć: – Wypuście mnie! – Czekwała na otwarcie bagażnika, ale nic się nie działo. Dalej waliła i waliła: – Pomocy! Pomocy! – a potem usłyszała szepty i czyjeś kroki i wreszcie Jamie wrzasnął: – Cięcie!

– Nic się nie bój, Emmo – powiedział Ben. – Mamy mały problem z kluczykiem. Nie wpadaj w panikę.

Myśl o panice jakoś do tej pory nie wpadła jej do głowy.

– Jaki problem? – spytała ostro.

– Klucz się złamał w zamku –

powiedział Danny.

– Ty wredny durniu. Musiałeś się wrywać i jej to mówić? – spytał Hugo.

Emma zaczęła wrzeszczeć, przekonana, że Danny zrobił to specjalnie.

– Nie wrzeszcz – powiedział do niej Danny. – Zużyjesz cały tlen.

Przedtem Emmie doskwierał tylko ten dziecinny, irracjonalny strach przed ciemnymi, zamkniętymi pomieszczeniami. Teraz ogarnął ją bardzo rzeczywisty, zupełnie normalny i całkowicie zrozumiały strach dorosłego człowieka przed zamknięciem w bagażniku samochodu, i to na dobre. Zaczęła z całej siły kopać nogami.

– Emmo, nie słuchaj Danny’ego – powiedział Phil. – Nic ci nie będzie. Nie zabraknie ci tam powietrza.

Ale Emma wpadła w szal. Gdzie są w tym bagażniku jakieś otwory na

powietrze? Nie widziała żadnych.

– Trzymaj się, Emmo, przyniesiemy łom
– uspokajał Phil.

– A skąd ty weźmiesz tu łom o trzeciej
nad ranem? – usłyszała słowa Jamiego.

To dobre pytanie, pomyślała Emma.
Umrze w bagażniku vauxhall vivy.

– Nie uszkodzić mi samochodu! –
odezwał się Hugo. – Jeszcze jest nam
potrzebny do zdjęć.

– Niejasne! – krzyknęła Emma ze
środką bagażnika. – O mnie się nie
martwcie. Tylko żeby samochodowi nic
się nie stało!

– Emma, naprawdę strasznie mi przykro
– znów odezwał się Ben. – Ale za
sekundkę cię stąd wyciągniemy.

– Czy to torba na zwłoki? – spytał
Danny.

Emma kichnęła. Zaraz ją zmożą opary
oleju i zanim ją stąd wyciągną, będzie za

późno. Zamieni się w warzywo.

– A przy okazji, to ostatnie ujecie wyszło bardzo dobrze – dodał Ben.

Kopała coraz mocniej w ściany bagażnika, ale tak była ściśnięta, że nie mogła użyć dużej siły. Zaraz dorobi się zaniku mięśni. Straci krążenie w nogach. Będzie je trzeba uciąć. Amputować, jak mężowi przyjaciółki matki, który wpadł pod traktor. Wrzasnęła znowu:

– Dajcie mi wyjść! Proszę, niech mnie stąd ktoś wyciągnie!

– Nagrywasz to? – szepnął Hugo do Billy’ego, który nadal stał tuż obok z mikrofonem.

Billy pokiwał głową i wykonał palcem określony ruch, pokazując, że dźwięk nadal jest rejestrowany.

– Emmo, zakryj teraz oczy, wykręcimy zamek.

To był głos Poppy.

Dzięki Bogu. Oczywiście, kto rozwiąże problem, jak nie dziewczyna? Emma naciągnęła koc na głowę i zatkała uszy palcami. Zaledwie minutę później – chociaż dla niej to trwało znacznie dłużej – była wolna.

Ben otworzył bagażnik i pomógł Emmie wysiąść. Nogi się pod nią uginały.

– Myślałam, że tam umrę – zaszlochała i zarzuciła ramiona na szyję Bena.

– Hej, nie wariuj – powiedział Ben, doskonale świadomy, że Liz obserwuje go sokolim wzrokiem. – Wiesz, że nie dalibyśmy ci zrobić nic złego. Musimy jeszcze skończyć ten film. – I ojcowskim gestem poklepał ją po plecach.

– Chodź, Emmo – powiedziała Liz, odrywając ją sprawnie od Bena. – Przebierzemy cię, a ja ci zrobię herbatki. Biedactwo moje. Musiałaś być przerażona.

– Spróbujemy jeszcze raz? – Jamie

spytał Bena.

– Nie śmiem. Pierwsze ujęcie musi wystarczyć.

Ronald Gash wyjął skądś piersiówkę brandy i Emma pociągnęła maleńki łyeczek. Smakowało całkiem nieźle, więc pociągnęła kolejny.

– Nie miałem pojęcia, że cierpisz na klaustrofobię – powiedział Ronald. – Moim zdaniem byłaś ogromnie dzielna.

– Dzielna? Nie słyszałeś mnie? Płakałam i wrzeszczałam jak małe dziecko.

– Tak, ale najpierw weszłaś do tego bagażnika. Ludzie, którzy się niczego nie boją, nie muszą być dzielni, ale jeśli cię coś przeraża, a ty i tak to robisz, to dopiero wymaga wielkiej odwagi.

Emma nigdy tak na to nie patrzyła. Do czasu, kiedy przebrała się we własne ubranie, zaczęła się czuć jak prawdziwa

bohaterka. Panika ją rozbudziła i wiedziała już, że po powrocie do hotelu nie zdoła zasnąć, więc zdecydowała się zostać na planie i popatrzeć na ostatnie tej nocy ujęcie, którym bardzo przejmował się Ben.

Hugo, Damien i chłopaki przeszli samych siebie, zabawiając się dźwigiem, który miał się unieść i objąć scenę z góry, kiedy skuter Eddiego przejedzie obok i, przy odrobinie szczęścia, w niebo poszybuje chmura banknotów – chociaż w sumie tylko fotokopii.

Słońce wstawało o piątej czterdzieści dziewięć, a oni po ciemku ćwiczyli najazd dźwigu, czekając na moment, kiedy niebo zacznie zmieniać kolor. Tymczasem podano zupę i gorące bułki, kawę i babeczki.

Emma siedziała obok Bena i Stacey przy monitorze i kiedy pierwsze mleczne smugi zarysowały się nad horyzontem, ogarnęło

ją zupełnie niewytłumaczalne uczucie euforii. Stawiła czoło swojej fobii i przeżyła, nie zmrużyła oka przez całą noc i patrzyła, jak słońce wstaje nad morzem, jadła babeczki z kawałkami czekolady i co najlepsze, była zakochana w Benie. Czego więcej mogłaby pragnąć dziewczyna?

– Czujesz się już lepiej, Emmo? – zapytał Ben.

– Jak nowo narodzona.

Rozdział 29

Emma aż jęknęła, kiedy Ben osunął się na nią z pełnym satysfakcji sapnięciem. Nie ma się czego wstydzić, pomyślał, cała przerwa na reklamy i większość pierwszego fragmentu *Brookside*. Te grubsze kondomy to był znakomity pomysł.

Westchnął, przewrócił się na bok i sięgnął po papierosy, a potem przypomniał sobie, że ostatniego wypalił przed kwadransem. Nie miał zamiaru trafić do łóżka z Emmą – dziś wieczorem miał iść z Liz na curry. Ale wrócił do hotelu i zdecydował, że zajrzy do pokoju Emmy na parę minut. Przez ostatni tydzień prawie się z nią nie widywał, bo Liz przyłgnęła do niego jak zużyta guma do żucia.

W niedzielę mieli wolny dzień. Liz

zorganizowała piknik i zażądała, żeby ją zawiózł do Sussex Downs. Piknik! Naprawdę nie wiedział, co w tą Liz w ostatnich dniach wstąpiło. No i nie widział Emmy przez cały dzień.

We wtorek wieczorem, kiedy tylko skończyli zdjęcia, wskoczył do samochodu i znów pojechał do Worthing, gdzie Emma już na niego czekała w taniej włoskiej restauracji przystrojonej świeczkami powtykanymi w butelki po chianti okręcone rafią i pękami czerwonej papryki chilli zwisającymi z sufitu. Ben trzymał Emmę za rękę, kiedy jadł swoje spaghetti puttanesca i wypił trzy czwarte butelki czerwonego wina, a potem kochali się na tylnym siedzeniu jego golfa. Do Brighton jechał z prędkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, przerażony, że straci prawo jazdy. Do hotelu wrócił o jedenastej i powiedział Liz, że udzielał

zakrapianego alkoholem wywiadu dla „Guardiana”. Jeszcze zanim zasnął, już czuł, że zaczyna go dopadać kac.

We środę cztery tabletki paracetamolu ledwie złagodziły ból głowy, a on patrzył w monitor przez czarne okulary, w których prawie nic nie widział. Nie uwierzył, że to zwykły kac, i martwił się, że zapadł na polio, więc wysłał Tima po szkło powiększające, żeby zbadać jakąś plamkę, która mu wyskoczyła na ramieniu. Mieli mnóstwo dynamicznych scen i podczas jednego z ujęć, kiedy Danny biegł przez molo i chronił się w jednym z barów karaoke, Stacey musiała dać Benowi kuksańca w bok, bo zaczął chrapać.

We czwartek poczuł się znacznie lepiej, ale nie mógł się już pozbyć Liz, a teraz, w piątek, kręcili wszystkie nowo dodane końcowe sceny filmu z udziałem Emmy. Zapukał do jej drzwi, bo chciał się tylko

przywitać i życzyć jej miłej pracy, i jedno jakoś poprowadziło do drugiego.

– Masz jakieś papierosy? – spytał Emmę.

– Nie. Wiesz, że nie palę.

– Naprawdę? – zdziwił się Ben. – Wydawało mi się, że palisz.

A potem przypomniał sobie, że pali Liz. Zamknął oczy, przytulił Emmę do siebie i czekał, aż mu przejdzie ochota na papierosa. Emma przylgnęła do niego, opierając twarz na piersi Bena i patrzyła, jak się unosi i opada niczym ocean po burzy.

– Mam jeszcze jedną paczkę w swoim pokoju – przypomniał sobie i opuścił nogi na podłogę. Włożył dzinsy i T-shirt i złapał swój klucz. – Wracam za sekundę – obiecał i pocałował Emmę w nos. – Nigdzie się nie ruszaj.

– Zamówię ci kanapkę. – Emma

sięgnęła po telefon. – Na ciemnym czy jasnym chlebie? – Tyle się jeszcze o nim musiała nauczyć.

– Na ciemnym – powiedział Ben, zamykając drzwi. Podreptał korytarzem do swojego pokoju i włożył klucz w zamek. Przy okazji zadzwoni do Liz i powie jej, że jest zbyt zmęczony, żeby dziś się z nią zobaczyć. Jakoś się wykręci. To w końcu tylko jedna noc. Ona jakoś przeżyje. A jeśli zerwie kontrakt na dzień przed zakończeniem zdjęć, jakoś sobie bez niej poradzą.

Ale kiedy otworzył drzwi, ona już siedziała na jego łóżku i na niego czekała.

– Gdzie byłeś? – zapytała. – Myślałam, że umówiliśmy się na wpół do ósmej.

– Długo tu czekasz?

– Nie, z pięć minut. Gdzie masz buty?

Ben spojrzał na swoje bose stopy i przypomniał sobie, że skarpetki i buty

zostawił w pokoju Emmy. Tak samo jak bokserki, skoro już wszystko wyliczać.

– Tam – pokazał szare chodaki Merrells ustawione równo obok grzejnika. Wstrzymał oddech z nadzieją, że Liz nie będzie pamiętała, że dzisiaj nosił niebieskie, chociaż to dokładnie tego typu detal, jaki powinien zauważyć kostiumolog. – Zszedłem tylko na dół wysłać fax – dodał, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Jesteś gotowy do wyjścia? – spytała.

– Dasz mi pięć minut na prysznic?

Liz spojrzała na zegarek.

– No to zmykaj. W tej hinduskiej restauracji i tak nigdy nie ma tłoku.

Ben zamknął się w łazience i pożałował, że nie starczyło mu przytomności umysłu, żeby zabrać ze sobą komórkę. Powinien zadzwonić do Emmy i powiedzieć jej, żeby na niego nie czekała, ale jak miał to

zrobić przy Liz? Nadal się nad tym głowił, kiedy wyszedł z łazienki, nagi poza ręcznikiem owiniętym wokół pasa. Ubranie, które nosił wcześniej, zwinął w kłębek i wcisnął prosto do torby z praniem w swojej szafie, zanim Liz zdołała zauważyć, że jego bielizna zaginęła w akcji. Może jakoś mu się upiecze, jeśli do Emmy nie zadzwoni. Ale wtedy ona może zacząć wydzwaniać do niego i sprawy się mogą skomplikować. Ubrał się jak najszybciej, modląc się, żeby telefon przy łóżku nie zadzwonił.

– No chodź, myślałem, że się śpieszysz – popędził Liz, wkładając buty.

– Śpieszyłam się. Czekałam na ciebie.

Wyprowadził ją z pokoju i bezpiecznie pokonali korytarz.

– O cholera – powiedział – zapomniałem papierosów.

Miałby wymówkę, żeby wrócić do

pokoju i zadzwonić do Emmy, ale Liz powiedziała:

– Nie ma sprawy. Mam całą paczkę. – I nacisnęła guzik windy.

– Świetnie – rzekł Ben. Ostatnią szansę będzie miał przy recepcji. Może zadzwonić do Emmy stamtąd.

Drzwi windy otworzyły się na parterze i Liz poszła przodem.

– Przypomniałem sobie, że jeszcze muszę zadzwonić do Patricka – powiedział Ben. – Poczekasz minutkę?

– Jest w barze.

– Co?

– Patrick jest w barze. Tam.. – Liz wskazała ręką Patricka, który, słysząc swoje imię, wstał i wystawił głowę za drzwi baru.

– Tak? – spytał.

– Ben chce z tobą mówić – powiedziała Liz, zapalając papierosa. *

– Tak? O co chodzi? – spytał Patrick.

Ben stał jak wryty, a w głowie miał pustkę.

– Jutro będzie mi jednak potrzebny samochód Jasmine – wykrztusił wreszcie.

– Wiem – powiedział Patrick. – Jest na rozpisce. Nigdy go nie skreślaliśmy.

– Aha. Dobrze.

Patrick roześmiał się.

– Przestań się tak zamartwiać. Wyluzuj się. – Spojrzał na Liz czekając niecierpliwie przy drzwiach frontowych i zniżył głos. – No i jak ci się układa cichy romansik z Liz?

– Nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz – zareagował ostro Ben.

– Ben, posłuchaj mojej rady. Nigdy nie zostawaj szpiegiem. Zupełnie się do tego nie nadajesz.

Ben usiłował zachować resztki godności, wychodząc z hotelu, ale niemal

natychmiast rozdzwoniła się jego komórka.

– Przepraszam – powiedział do Liz i zwolnił kroku, puszczając ją przodem. Zdenerwował się, bo Liz też zaczęła iść wolniej.

– Ben? Gdzie jesteś? – spytała Emma. – Dzwoniłam do twojego pokoju, ale nikt nie odpowiada.

– Dobrze. Dobrze. Rozumiem. – Świadom był, że Liz słucha rozmowy, i usiłował zachować rzeczowy ton głosu.

– Czemu masz taki dziwny głos? Nie możesz rozmawiać?

– Tak. Zgadza się.

– Wracasz?

– Nie, obawiam się, że to nie będzie możliwe.

– Aha... – Emma była rozczarowana, ale sekundę później znów się rozpromieniła. – No cóż, ale zobaczę cię jutro, prawda?

– Oczywiście. Będę się niecierpliwił.

– Kto to był? – spytała Liz, kiedy chował telefon do kieszeni.

– Znow „Guardian” – odparł Ben. – Chcieli przyjechać jutro na plan. Powiedziałem im, że to nie najlepszy pomysł.

Odetchnął z ulgą i stwierdził, że Patrick ma rację. Nie był stworzony do prowadzenia podwójnego życia.

Kiedy Patrick wrócił do pokoju, Magda siedziała u niego na łóżku i oglądała *Przyjaciół*.

– Nie masz nic przeciwko, Patrick? To mój ulubiony film, nie mam telewizora w pokoju. Zwiążam cię, kiedy się skończy.

Magda całkiem entuzjastycznie podchodziła do ich zabaw i znalazła w Brighton sklep, który sprzedawał pejcze ze skórzanymi frędzlami, zaciski do

przykręcania na sutki i lateksowe maski. Nie do końca wiedział, co ona z tego ma, poza terapią zakupami.

Dziś wieczorem, po *Przyjaciółach*, kazała mu włożyć jej własny biały fartuch i gumowe rękawice, czołgać się na czworakach i szorować podłogę w łazience, podczas gdy ona biła go po gołym tyłku szczotką do mycia toalet. Bywała niezwykle pomysłowa. Sama myśl o tej ostrej szczecinie przyprawiała go o gęsią skórę. Potem przykuła go kajdankami do łóżka, zdjęła majtki i go nimi zakneblowała, żeby nie mógł mówić. Trochę pojęczał, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu i starał się oddychać nosem, kiedy zdjęła swój koronkowy stanik i zapięła go jak najlepiej na jego torsie, – Masz bardzo małego penisa, Patrick. To dobre słowo, penis, tak? – Dotknęła go szczotką do czyszczenia

toalety. – To, jak to się nazywa? Jaja? Są bardzo duże. Wyglądasz bardzo śmiesznie.

Patrick spał się w sobie, czekając na kolejne obelgi i na chwilę, kiedy zaczną wymierzać mu karę. Ale zamiast tego Magda sięgnęła do torebki i wyjęła małego olympusa.

– Widzisz, co sobie kupiłam za pieniądze za mydło, Patrick? To dobry aparat, jak myślisz?

Patrick bezskutecznie starał się uwolnić z więzów i wykrzykiwał jakieś stłumione pogroźki z za nylonowego knebla, a Magda robiła zdjęcie za zdjęciem.

– Nie martw się, Patrick. Jeśli będziesz dobrym chłopcem i pomożesz mi zostać aktorką, nigdy nikomu nie pokażę tych zdjęć ani nie wyślę ich do tego magazynu.

Patrick myślał, że ona mówi o „Skin Two”, ale pomachała mu tuż przed nosem egzemplarzem „Screen International”.

– Te zdjęcia są tylko dla mnie. Żebym się mogła śmiać z twoich dużych jaj.

Ale zachowała środki ostrożności i nie odwiązała Patricka od łóżka, kiedy odnosiła aparat do swojego pokoju, gdzie zamknęła go w bezpiecznym miejscu. A potem wróciła, zgodnie z obietnicą, z gumową szpatułką wyniesioną z kuchni i przez jakiś czas okładała nią Patricka, póki to jej się nie znudziło.

Rozdział 30

Luke nie mógł uwierzyć, że sześć tygodni minęło tak szybko ani że mięśnie mogą tak bardzo osłabnąć w tak krótkim czasie. Kiedy zdjęli mu gips, jego ręka była biała i wydawała się chudsza. Miał odwrotność opalenizny wieśniaka – ciemne ramiona i dłonie, z jasną chudą ręką pomiędzy. Poruszał palcami, wziął do rąk dwie pary chirurgicznych nożyc i zaczął wybijać jakiś rytm na tacy z narzędziami, żeby sprawdzić, czy wszystko działa jak trzeba. A potem złapał pielęgniarkę – babcię wnukom z Barbados o imieniu Velma z szeroką szparą między przednimi zębami – i pocałował ją prosto w usta.

– Kocham cię, moja droga! – zawołał i zeskoczywszy z fotela, pobiegł na ostatni

dzień na planie.

– Czy to dobre miejsce na zaparkowanie vivy? – spytał Jamie.

– Na razie ujdzie – odparł Ben. – Zobaczymy po próbie. – Było zaledwie dziesięć po ósmej, a on już wypalił dwanaście papierosów. Dzisiaj miał dwa razy przenieść plan z jednego pleneru na drugi – czyste szaleństwo – i zaczynał wpadać w panikę. Dział oświetlenia pojechał prosto do mieszkania kapeli, przygotować światło do dwóch scen, które mieli tam nakręcić – łącznie zjedna w tej łazience z piekła rodem – a potem, po lunchu, miał kręcić dwie różne sceny z kapelą grającą na molo. Były to w sumie jedne z ważniejszych scen w filmie i ze względu na ramię Luke’a musiał zwlekać z nakręceniem ich do ostatniej chwili. Gdyby nie udało im się dziś ich nakręcić,

byłby zrujnowany, bo Danny Parker jutro odlatywał lotem o czwartej po południu z Heathrow, żeby zacząć kręcić swój kolejny film w Vancouver. A teraz jeszcze prognoza pogody mówiła o przelotnych opadach w godzinach popołudniowych. Ben, mrużąc oczy, obserwował chmury napływające z południowego zachodu i układał się z Bogiem. Proszę cię, Boże. Jeśli nie rozpada się przed końcem zdjęć do mojego filmu, rzucę palenie, będę chodził do kościoła co niedziela i oświadczę się Emmie.

Jakoś mu się to wymknęło, ale nagle zrozumiał, że chciałby to zrobić. Czas się ustatkować. Miał trzydzieści jeden lat, niedługo skończy reżyserować swój pierwszy film i znalazł Emmę. Czemu się nie ożenić? Patrzył w niebo i modlił się, żeby Bóg okazał się fanem kina.

W przyczepie garderoby Liz besztła Emmę, mówiąc przez pełne szpilek usta:

– Wyraźnie schudłaś. Nosiałaś tę spódnicę zaledwie dwa tygodnie temu i patrz tylko, spada z ciebie.

– Och, cóż. Wczoraj zjadłam na kolację dwie kanapki, więc pewnie niedługo przytyję – obiecała. – Może coś takiego nazywa się jedzeniem za dwoje! – Emma niespodziewanie roześmiała się z własnego żartu, a Liz zamarła. Czy Emma wiedziała, że ona może być w ciąży? Nie, oczywiście, że nie wiedziała. Nikt nie wiedział. Ona sama nie miała jeszcze pewności. Chyba była nieco przewrażliwiona. Emma dalej się śmiała, a Liz niby niechcący ukłuła ją szpilką w biodro.

– Przestań się wreszcie wiercić – poleciła. – To nie było aż takie śmieszne.

– Przepraszam, masz rację. Nie mam pojęcia, z czego się śmieję. – Za oknem

przyczepy widziała Bena po drugiej stronie parkingu i miała ochotę uściskać ten swój sekret.

– Dobra. To bardzo proste – powiedział Ben nieco później. – Drzwi się rozsuwają. Wychodźcie ze sklepu. Zatrzymujecie się tutaj – wskazał znak z taśmy na chodniku. – Mówisz swoją linijkę i wychodźcie poza kadr na prawo. To jest twoja lewa strona. No w każdym razie idźcie w tamtym kierunku – wyjaśnił, wskazując drzewo.

– Ale samochód jest na wprost przed nami – powiedział Danny.

– Nieważne. Nie widzimy go w tym ujęciu. Nie wiemy, gdzie jest.

Danny zamruczał coś pod nosem.

– Proszę, Danny? Nie dosłyszałem.

– Nic takiego – burknął Danny. Ben wiedział, że jest wściekły, bo jedyny tekst w tej scenie dał Emmie.

– No dobra – rzucił Jamie, wyczuwając, że kroi się awantura. – Wygląda na to, że możemy ruszać z tym koksem.

Phil podbiegł i posypał kółka wózka sklepowego talkiem, żeby nie skrzypiały – wszyscy dzisiaj poruszali się biegiem – a stroskany Ben usiadł ciężko na swoim krześle za monitorem. Stacey wręczyła mu słuchawki i kubek z herbatą.

– Już niedługo – powiedziała pocieszająco. – Jeszcze tylko kilka godzin i już nigdy nie będziemy musieli oglądać Danny’ego Parkera.

– Amen – dodał Ben.

Ryanowi nie było łatwo zgrać tu dobrze ruch kamery. Ruszał za wolno i nie trafiał na początek tekstu albo podjeżdżał za wcześnie i kamera stała i czekała, aż aktorzy wejdą w kadr. Ben zaczynał się niecierpliwić. Chciał skończyć to ujęcie do dziewiątej trzydzieści.

– Czy nie moglibyście za każdym razem wychodzić ze sklepu w tym samym tempie?! – krzyknął. – Czyja, cholera, za wiele wymagam?

Następnym razem Jasmine i chłopcy wyszli ze sklepu ze swoimi kafelkami i fugą, a potem wszyscy naraz obrócili się, kiedy zauważyli, że Ollie dźwiga pod prawą ręką wielki sztuczny kwiatek.

– Po co ci ten kwiatek, Ollie? – spytała Jasmine.

Ollie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pomyślałem tylko, że ożywi mieszkanie.

Pamiętali nawet, żeby wyjść z kadru we właściwą stronę.

– Dobra, teraz scena siedemdziesiąta czwarta! – zawołał Jamie. – Zamykamy bagażnik. Emmo, za pięć minut będą nam potrzebne do tego ujęcia twoje ręce, więc nie odchodź daleko.

Emma zauważyła, że obsługa kuchni zaczyna wydawać poranną herbatę, i poczuła, że umiera z głodu, chociaż śniadanie jadła zaledwie dwie godziny temu. Tace z kanapkami nadal były owinięte folią i Emma delikatnie ją odwinęła, żeby wziąć dwie trójkątne kanapki z pastą jajeczną na ciemnym chlebie. Jeśli znów zawinie folię, nikt nawet nie zauważy, że znikły.

– Hej, ty! To jeszcze nie pora na kanapki! – odezwał się za nią jakiś głos.

Emma, zawstydzona, obróciła się na pięcie, ale to był tylko Orlando. Wyglądał zdecydowanie zabójczo w seledynowych spodniach w kratkę.

– Skoro już tu jesteś, weź dla nas po kawałku tortu – dodał.

Emma zwinęła dwa kawałki różowobiałego ciasta dla Orlando i jeszcze kanapkę z tuńczykiem dla siebie.

– No cóż, jesteś ostatnio jakaś taka zuchwalsza – powiedział.

– Tak? – spytała Emma niewinnie, zdejmując ze spódnicy zabłąkany okrusek.

– Co z Jasonem? Zeszliście się znów, czy co?

– Z Jasonem? Och nie, w ogóle z nim nie rozmawiałam.

– No cóż, ktoś wiosłował tą twoją łódeczką, masz to wypisane na twarzy.

– Naprawdę? Emma była w głębi ducha uradowana. Czuła, że jeśli się komuś nie zwierzy, eksploduje. Nie mogła się powstrzymać ani sekundy dłużej. Rozejrzała się, żeby się upewnić, że nikt nie stoi w pobliżu i ich nie podsłucha. – Orlando, musisz mi obiecać, że żywej duszy nie powiesz, to wielki sekret, dopóki nie skończymy zdjęć.

Orlando narysował palcem na piersi

duży krzyż.

– Przysięgam – powiedział poważnie. Nawet on był w stanie utrzymać sekret przez osiem godzin.

– To Ben – pisnęła Emma i schowała twarz w dłoniach.

– Ben? Nasz ukochany przywódca Ben?

– Yhm.

Orlando był niemal tak samo podekscytowany jak Emma, ale znacznie lepiej to umiał ukryć.

– Ile czasu to już trwa? – zapytał.

– Niedługo. Dopiero od mojego wyjazdu do Londynu. Przyjechał mnie tam odwiedzić i całą noc całowaliśmy się na sofie. – Zarumieniła się na to wspomnienie. – Och, Orlando, to było takie romantyczne!

– Całowaliście się? – wyraził rozczarowanie Orlando. – I to wszystko?

– No cóóóóóó... – przyznała Emma. –

Od tamtej pory poszliśmy trochę dalej.

– Jak daleko? Doszło do samej rzeczy?

Emma rumieniła się, ale Orlando wyzwał w niej chęć do plotek – nawet jeśli przedmiotem tych plotek była ona sama.

– Jeśli już musisz wiedzieć, zrobiliśmy to w noc po moim powrocie do Brighton. Następnego ranka, sam rozumiesz. W każdym razie, wtedy po raz pierwszy.

– A po raz ostatni?

– Wczoraj. – Emma w zachwycie uniosła oczy do nieba. – Boże, tak się cieszą, że ci powiedziałam. Myślałam, że pękne, jeśli dalej to będę w sobie dusić.

No cóż, gratulacje! powiedział Orlando i w tym momencie zdyszana Stacey nadbiegła pędem z parkingu.

Nachyliła się, położyła dłoń na ramieniu Emmy i szepnęła jej do ucha:

– Emmo, nadal masz włączony

mikrofon.

Emma błyskawicznym ruchem uniosła dłoń do maleńkiego czarnego mikrofonu przypiętego pod kurtką, a Orlando rozejrzał się, sprawdzając, kto jeszcze mógł usłyszeć o małej tajemnicy Emmy. Ben rozmawiał z Jamiem, polecając mu natychmiast sprowadzić Jasmine na plan i nie usłyszał ani słowa, ale Tex siedział przy swojej konsoli i miał na uszach słuchawki. Kiedy Emma uderzyła dłonią w mikrofon, lekko podskoczył.

Godzinę później w mieszkaniu kapeli Ben wbiegał po schodach po dwa stopnie naraz.

– Gdzie ta cholerna kapela?! – wrzasnął.

– Przebierają się – odparł Jamie.

– Gównu mnie obchodzi, co mają na sobie, dawaj ich tu natychmiast!

Emma zastanawiała się, czy nie należałoby powiedzieć Benowi, że niechęć zdradziła ich sekret, ale jedno spojrzenie na jego twarz powiedziało jej, że to nie jest dobry moment. A poza tym, nie stała się przecież chyba żadna szkoda?

W nowej napisanej przez Bena scenie Alex zbija kafelki w łazience, a Danny wkłada rękę w otwór i wyjmuje torbę szmaragdów. Ale Ben wiedział, że jeśli zostawi to Danny'emu, utkwia tu na całe popołudnie.

– Zmiana planów, chłopaki – zapowiedział. – Giles, czy możesz sam wyjąć szmaragdy i powiedzieć tę kwestię? – Czuł się winny, bo nigdy tak właściwie nie dopracował do końca słabawej roli Jacksona i Giles miał najmniej do roboty na planie. Może Patrick miał jednak rację. Może kapela powinna być trzyosobowa.

– A co ze mną?

– Nic się nie martw, Danny. Przez cały czas będę kręcił zbliżenie na ciebie.

– No dobra. To w porządku – powiedział Danny i wpatrzył się z chmurną miną w kafelki na ścianie, zaciskając zęby.

Ryan spojrzał na Bena niepewnie.

– Zbliżenie? – spytał bezgłośnie, bo miał kamerę ustawioną do szerokiego ujęcia. Ben pokręcił głową i pokazał taki gest, jakby chciał ukreścić głowę Danny’emu.

Po każdym ujęciu Poppy wbiegała, żeby w miarę możliwości poprzyklejać kafelki. Po czwartym dublu ściana była w ruinie i Ben zdecydował, że prawdopodobnie jakoś zadowolili się dublem numer dwa. Jamie popatrzył na zegarek. Już byli pół godziny po czasie. Zapytał wszystkich, czy zgodzą się skrócić nieco przerwę na lunch w zamian za wcześniejszy koniec zdjęć. Do

diabła z przepisami.

Oświetleniowcy przygotowali światła na dole do ostatniej sceny Ronalda i Emmy. Eddie wraca do domu, uciekwszy Busterowi i Louie Szczęściarzowi, i przekonuje się, że Turpin na niego czeka. Turpin wie, że Eddie zabrał szmaragdy, które on z kolei ukradł malajskiemu syndykatowi, i zamierza go zabić, jeśli Eddie mu nie powie, gdzie je ukrył. Ma rewolwer i odlicza do trzech. Raz, dwa – i wtedy Jasmine, która przez cały czas leżała pod kołdrą, siada na łóżku i wali Turpina w plecy gitarą Eddiego.

Emma pojawiła się we flanelowej piżamie w paski.

– Co to ma być, do cholery? – Ben zapytał Liz. Był tak zdenerwowany, że zapomniał, że ma być dla niej uprzejmy.

– Piżama – odparła Liz. Pomyślała, że Ben uroczo się wścieka.

– No cóż, wygląda kurewsko okropnie. Została ci z kręcenia *Terry i June*? – Nie pracowałam przy *Terry i June* – powiedziała Liz. Nadal myślała, że Ben się tylko z nią przekomarza.

– No a ja, kurwa, nie chcę jej w tym widzieć. Daj jej coś innego. Daj jej jeden z T-shirtów Danny’ego.

– Nie mamy ich tutaj. Są już wszystkie spakowane.

– Och, do kurwy nędzy! Nie mam czasu stać tu i się z tobą kłócić. – Ben zdjął własną koszulkę i rzucił ją Emmie. – Masz, wkładaj to.

– A gdzie czapka Danny’ego? – spytała Stacey. – Powinien tu mieć na głowie czapkę.

– Orlando mu ją dał. Miał ją wcześniej – powiedziała Liz, zastanawiając się, czemu nie zauważyła, że Danny zostawił swoją czapkę w przyczepie garderoby.

– Zdjąłem ją. Swędziała mnie w niej głowa – powiedział Danny.

Jamie włączył krótkofalówkę.

– Możecie nam tu przysłać czapkę Danny’ego? Potrzebna nam jest na wczoraj.

– Nigdy nie przyprowadzaj aktorów na plan, jeśli nie są gotowi – powiedział Ben do Liz przez zaciśnięte zęby.

– To wina Orlanda – nie ustępowała. – On ubierał Danny’ego.

Zabije go za takie upokorzenie. Sięgnęła, żeby dotknąć nagiego torsu Bena, ale on się odwrócił i odszedł.

Emma przebrała się w kuchni. Tonoła w T-shircie Bena, spadał jej z ramion, sięgając do połowy ud, a ona zamknęła oczy i zanurzyła twarz w miękkiej szarej tkaninie, wdychając zapach Bena. Kiedy otworzyła oczy, stał w drzwiach i patrzył na nią z szelmowskim uśmiechem na

twarzy.

– Tak, teraz wyglądasz dużo lepiej – powiedział głośno i podszedł bliżej. – Dzisiaj powinniśmy przyjść na imprezę pożegnalną osobno, nie sądzisz? Zobaczymy się na miejscu. Znajdziemy tam sobie gdzieś cichy kącik.

– Wiem – przytaknęła Emma. – Spotkajmy się na górze, na galerii.

– Na galerii?

– No wiesz, te czarne drzwi do dyżurki na górze.

– Ben, jesteśmy już gotowi do próby! – zawołał Jamie i Ben wrócił na plan, zanim zdążył zapytać Emmę, czemu jej zdaniem na górnym korytarzu jest jakaś dyżurka.

Pod dywanem ułożono materace, żeby Ronald miał miękkie lądowanie, a dział scenografii przygotował lekką wersję strato-castera Eddiego ze styropianu.

– Przepraszam! – powiedziała Emma i

lekko uderzyła Ronalda w głowę gitarą.

– Kochanie, doprawdy – zapewnił ją. – Ja nic nie czuję. Możesz mnie tym walić z całej siły.

Tak, trzepnij go porządnie – zachęcał Ben. – Niech to wygląda na ciężki instrument.

Więc przy czwartym dublu tak zrobiła – trzepnęła Ronalda w bok głowy oburęcznym bekhendem. Osunął się na kolana z nieprzytomną miną, wypuścił broń z ręki i ciężko runął twarzą na dywan.

– Cięcie! Emmo, to było świetne! – powiedział Ben. – Dla mnie wystarczy.

Ale Ronald Gash się nie ruszał.

– Ronaldzie? – powiedziała Emma. Ukucnęła na podłodze obok niego. – Ronaldzie, nic ci nie jest? – Próbowwała wyczuć jego puls, ale on się nadal nie ruszał. Oczy miał otwarte i nieruchome. – O mój Boże! Wezwijcie lekarza! Ja go

chyba zabiłam! – Emma podniosła oczy na Bena i Jamiego, którzy stali jak wryci. Nikt się nie ruszał z miejsca. – Zawołajcie Kim! Sprowadźcie lekarza! – krzyczała Emma. Spróbowała rozluźnić krawat Ronalda i już miała zacząć sztuczne oddychanie, kiedy nagle Ronald Gash usiadł i uściskał ją, rycząc ze śmiechu.

– Och, Emmo! – zaśmiewał się. – Jesteś niebywała! Nigdy się nie zmieniał!

Cała ekipa zaczęła się śmiać i klaskać.

– Nie przejmuj się, Emmo – powiedział Hugo. – My się nie śmiejemy z ciebie, ale do ciebie.

– Mogę teraz prosić wszystkich o chwilę uwagi?! – zawołał Jamie, przekrzykując hałas. – Emma Buckley i Ronald Gash skończyli zdjęcia, więc podziękujmy obojgu za wspaniałą pracę ostatnich sześciu tygodni.

Rozległy się głośnie oklaski, krzyki i

gwizdy, Ronald ucałował Emmę, a ludzie zaczęli do niej podchodzić i składać gratulacje.

– Dobrze się z tobą pracowało, Emmo, życzę ci powodzenia – powiedział Phil, podnosząc rewolwer Ronalda i ostrożnie odkładając go na bok.

– Emmo, co mogę powiedzieć, byłaś znakomita – powiedział Ben, potrząsając jej ręką, a kiedy upewnił się, że Liz patrzy już w drugą stronę, szepnął jej do ucha: – Do zobaczenia wieczorem.

– Hej, Emmo – odezwał się ironicznie Danny – było miło.

A potem wszyscy zaczęli się rozchodzić, pędząc na kolejny plener, a ona została na środku tego dużego pokoju. Tego dnia zostały do nakręcenia jeszcze dwie sceny, ale dla Emmy film dobiegł końca i nagle zrobiło jej się bardzo smutno, jakby ze zdjęciami kończył się jakiś rozdział jej

życia.

– Och, Orlando, skończyłam. Jeszcze w to sama nie wierzę – westchnęła później, kiedy się przebierała. Liz pojechała z kapelą na ostatni tego dnia plener i zostawiła Orlandowi pakowanie.

– Jeszcze tylko impreza pożegnalna i możemy jechać do domu – powiedział Orlando. – Nie mogę się doczekać powrotu do cywilizacji. Masz co na siebie włożyć dzisiaj wieczorem?

– Miałam zamiar ubrać się w ten czarny top bez ramion. No wiesz, ten, który włożyłam na urodziny Saskii.

– Och, powinnaś się nieco bardziej wystroić. Przecież jesteś naszą gwiazdą, nie zapominaj. Powinnaś się tym nacieszyć. Ale skoro o tym mowa, mam tu śliczną sukienkę, w której może ci być do twarzy.

Orlando zeskoczył ze swojego stołka i przejrzał rząd plastikowych toreb wiszących na stojaku, udając, że się zdziwił, kiedy znalazł to, czego szukał.

– O, popatrz, co mam. – Podniósł śliczną różową sukienkę nisko wyciętą na plecach.

Emma była oczarowana.

– Och, ale ona jest taka szykowna. Myślisz, że będzie na mnie dobra?

– Tylko w jeden sposób możemy się o tym przekonać.

Emma zsunęła dzinsową spódnicę i bluzkę i przez głowę wciągnęła delikatny różowy materiał. Dekolt był za luźny, sukienka marszczyła się wokół talii i sięgała na niekorzystną długość za kolana Emmy.

Emma skrzywiła się, rozczarowana.

– Och, jest za duża! Jaka szkoda – westchnęła, patrząc na swoje odbicie w

lustrze. – Jest taka śliczna. Nieważne. Czarny top wystarczy.

– Nie spiesz się moja panno, zaczekaj chwilę – powstrzymał ją Orlando. Poprawił materiał na jej biuście i zaczął upinać szpilkami wzdłuż bocznych szwów.

– Myślałam, że to idzie do zwrotu – powiedziała Emma.

– Nie marudź tyle – powiedział Orlando, wyjmując szpilkę z ust. – Kto się doliczy jednej małej sukienki?

Kiedy skończył upinanie, odsunął się i przyjrzał swojemu dziełu. Różowy atłas podkreślał krągłości Emmy, zaznaczając jednocześnie jej wąskie biodra i szczupłą talię.

– Super! – powiedziała Emma. – Takiej sukienki jeszcze w życiu nie miałam!

– Więc pójdziesz na bal, księżniczko – obiecał Orlando. – Mów tylko do mnie: „dobra wróżko chrzestna”.

Postanowił, że zapłaci za sukienkę z własnej kieszeni. Warto wydać te dwieście siedemdziesiąt funtów, żeby zobaczyć minę Liz.

Na nabrzeżu Luke usiadł za perkusją i podrapał się w swędzącą rękę. Wczoraj wieczorem pokazał Flick napisany przez siebie scenariusz filmu science fiction, a ona zgodziła się zostać jego producentką. Miał też zamiar napisać do niego muzykę, bo właściwie to go najbardziej interesowało. Aktorstwo było w porządku, ale nudziło go to wieczne czekanie, a to był już szósty film, w którym robił za dowcipnego kolesia. Nie narzekał – wiedział, że jest tylko grubasem, któremu się poszczęściło, ale nie sądził, żeby to miało długo potrwać. Pokazał Benowi uniesiony kciuk na znak, że jest gotów do sceny, a Ben, obserwując chmury, zmówił

krótką modlitwę.

– Proszę, Boże – szepnął – daj mi jeszcze tylko dwie godziny. Nic więcej nie chcę.

Więc jednak uda mu się nakręcić scenę z grającą kapelą. To były okładki jego filmu – pierwsze sceny, które napisał, zanim jeszcze nawet zdecydował, o czym tak naprawdę będzie *Brighton Rocks*. Jeśli miałby być ze sobą kompletnie szczery, nadal nie wiedział, o czym to jest. Cały ten fragment z malajskim syndykatem hazardowym nie miał najmniejszego sensu. Ale scenę z grą na molo rozumiał. Zaczynasz od niczego, pracujesz, aż ci garb wyrośnie, i kończysz w tym samym miejscu, od którego zacząłeś. To była metafora samego życia, o to właśnie chodziło.

– I akcja!

Kapela udawała, że gra swój pierwszy

kawałek, *Die Laughing*, a potem ekipa przeniosła sprzęt dwieście metrów dalej i ustawiła na nowo, żeby nakręcić drugą piosenkę, *Zoomraider*, z widownią złożoną z kilkorga statystów i połowy Brighton oraz w asyście paparazzich, którzy pojawili się obejrzyć Danny'ego Parkera.

Danny skakał i szczyrzył zęby do tłumu, Luke walił w swoje bębny jak wygłodzony człowiek, który zasiadł do ośmiodaniowego posiłku, Alex wyglądał jak młodociany chórzysta upalony kwasem, a Giles szarpał za struny swojej wielkiej gitary, usiłując ukryć fakt, że nie umie zagrać jednej nuty, i do czasu, kiedy o wpół do szóstej lunął deszcz, *Brighton Rocks*, na dobre i na złe, znalazł się w komplecie na taśmie.

– Dziękuję wam wszystkim, panie i panowie! – zawołał Jamie. – Koniec zdjęć!
– I podniosły się gromkie oklaski. – Tych,

którzy obstawiali zakłady, informuję, że jest piąta czterdzieści siedem i jedenaście sekund. Dziękujemy wszystkim za ciężką pracę i do zobaczenia wieczorem w Mongo Club.

Rozległa się kolejna fala okrzyków – najgłośniejszy z ust Phila rekwizytora, który obstawił, że skończą przed terminem, o piątej czterdzieści osiem, i był teraz o trzydzieści dziewięć funtów bogatszy.

Jakiś emeryt, wyprowadzający swojego teriera na spacer, zatrzymał się posłuchać *Zoomraider* na tyle długo, żeby zdecydować, że to straszna łupanina, a teraz otworzył parasol i podszedł do Tima, dowiedzieć się, co się dzieje.

– Więc czemu to wszystko służy? – spytał.

– Kręciliśmy film – odparł Tim.

– Naprawdę? Pod jakim tytułem?

– *Gladiator* – odparł Tim, a staruszek pokiwał głową i poszedł do domu, powtórzyć żonie.

Druciane wieszaki niespokojnie zabręczwały, kiedy Liz przeszukiwała stojak – Orlando, nie widziałeś mojej różowej sukienki?

– Twojej różowej sukienki?

– Taa, tej, którą miałam zamiar dziś wieczorem włożyć. Zostawiłam ją tu na wieszaku. Widziałeś ją?

– Och, Liz, tak mi przykro. Nie wiedziałem, że to twoja sukienka. Wczoraj odesłałem ją do Selfridges.

– Co zrobiłeś? – Liz spojrzała na niego z furią i przewróciła deskę do prasowania. – Powiedziałam ci, że masz jej nie zwracać – wściekała się. – Setki razy ci to powtarzałam.

– Naprawdę? Musiało wylecieć mi z

głowy. – Orlando nie dał się zbić z tropu.

– Ty kompletny kretynie! – krzyczała Liz. – Co ja mam włożyć na imprezę na zakończenie zdjęć dziś wieczorem?

Orlando zacisnął wargi.

– Coś innego? – poddał usłudze.

Liz załamała się. Ben widział już wszystko inne, a sklepy w tej zakazanej dziurze są już zamknięte. Dzisiaj, w ten najważniejszy wieczór, kiedy powie Benowi nowinę, chciała wyglądać jak bogini.

– Dostyc tego! – zaskrzeczała. – To ostatnia kropla, Orlando! Mam cię powyżej uszu! Nigdy, przenigdy już nie chcę z tobą pracować. Nigdy! Słyszysz? Już za długo holuję cię na własnych plecach i mam tego powyżej uszu! Rzygać mi się chce od twojej postawy i braku wsparcia. Znajdź sobie kogoś innego i podczep się pod niego, bo z nami koniec!

Wypadła z pokoju, zostawiając deskę do prasowania z nogami sterczącymi w górnym przewrócony na plecy żuk, niezdolny się podnieść.

– O mamusiu... – mruknął Orlando i zachichotał do siebie, owijając ekspres do cappuccino kablem i chowając go do pudełka do następnego filmu.

Rozdział 31

Tex nie był pewien, czemu Liz go tak nagle rzuciła, ale jedną rzecz wiedział – dzisiaj wieczorem miał ostatnią szansę, żeby się tego dowiedzieć, zanim ekipa rozwiąże się i rozjedzie, każdy w swoją stronę.

Wygląda fantastycznie, pomyślał, w czarnej sukience bez ramiączek, na pewno bardzo drogiej. Jedyne ubrania, które Tex zabrał do Brighton – jedyne ubrania, jakie Tex miał, pomijając garnitur, który nosił na ślubach, chrzcinach i pogrzebach – to dżinsy, T-shirty i bluzy bawełniane. Czy dlatego Liz go rzuciła? Bo ich garderoby się ze sobą gryzły? Czy będzie musiał zacząć się ubierać na Bond Street czy gdziekolwiek indziej kupowało się ciuchy, jakie nosiła Liz, żeby stworzyć z nią parę?

Jeśli tylko tego trzeba, zrobi to bez wahania.

Rozmawiała z Saskia, ale Tex widział, że w gruncie rzeczy nie słyszy ani słowa. Patrzyła ponad ramieniem Saskii, szukając czegoś – czy kogoś – innego. Przypomnił mu się program o rekinach, który oglądał na Discovery. One musiały pływać albo umierać. Potrafił wyobrazić sobie Saskie za dziesięć lat, ustatkowaną, z mężem i dziećmi – z mężem może nawet własnym. Ale trudniej było wyobrazić sobie Liz decydującą się na życie w jednym miejscu, z jednej pracy, z jednym partnerem. Ona zawsze będzie w ruchu, rozglądając się za czymś – czy za kimś. Tex wiedział, że jeśli teraz do niej nie podejździe i nie porozmawia, kolejnej szansy może nie dostać. Wziął swojego drinka.

– Witam miłe panie – odezwał się, a Saskia zrozumiała to jako sygnał, że ma

sobie pójść pokreć się wśród ludzi. Widział, jak rusza w stronę Danny'ego Parkera, ale potem mija go i podchodzi do baru, gdzie czekał na nią Damien.

Może, pomyślał Tex, Saskia wcale nie jest taka głupia.

– No więc, wiesz już, co będziesz robiła potem? – zapytał Liz, a ona westchnęła. To praktycznie jedyne pytanie, jakie zawsze słyszała na imprezach na zakończenie zdjęć. Dlaczego Tex nigdy nie mówił czegoś oryginalnego?

– W gruncie rzeczy – odparła – zastanawiam się nad paromiesięczną przerwą w pracy.

Tex był zaskoczony. Liz nie wydawała się typem skłonny do długich wakacji.

– No i dobrze. Jedziesz w jakieś ładne miejsce?

Liz irytowało, że Tex nie wie, kiedy należy się poddać. Stał przy niej tak blisko,

a przecież nie ma już do tego prawa i strasznie jej to działało na nerwy. Nie rozumiał? Nie była zainteresowana.

Czas, żeby raz na zawsze rozbiła tę jego banieczkę mydlaną z marzeniami.

– W sumie nie – powiedziała. – Będę miała dziecko.

To była ostatnia rzecz, jaką Tex spodziewał się od niej usłyszeć. Może jednak mylił się co do niej. Może wcale nie była rekinem.

– A nie potrzeba ci do tego faceta? – zachichotał.

– Och, na litość boską, Tex, czy ty naprawdę jesteś taki głupi, że się jeszcze nie domyślasz?

– Nie domyślam się? Nie rozumiem.

Liz popatrzyła mu w twarz, żeby nie zostawiać miejsca na nieporozumienia.

– To dziecko Bena – stwierdziła. – Spotykam się z Benem. Kocham się w

nim.

Teraz Tex rzeczywiście się pogubił.

– Aleja sądziłem, że Ben spotyka się z Emmą.

Liz zamarła.

– To śmieszne. Nie wiesz sam, co wygadujesz – powiedziała lodowatym tonem.

– Ale ja ją słyszałem – upierał się Tex. – Mikrofon miała podłączony i mówiła, że Ben pojechał do niej do Londynu.

Tex kłamał. Mówił to tylko po to, żeby ją zranić – ale wtedy przypomniała sobie, że Ben rzeczywiście pojechał do Londynu. Nie mogła pozwolić Teksowi zobaczyć, jak bardzo jest wstrząśnięta.

– Tak, wiem – skłamała. – Mówił mi o tym.

Zabije Bena, kiedy go już znajdzie. W ogóle, gdzie on się podział? Zaczęła odchodzić, żeby przerwać już tę rozmowę,

ale Tex złapał ją za ramię.

Czemu się wtrącasz w nie swoje sprawy? – zapytała ostro.

– Bo nie chcę patrzeć, jak ktoś cię zrani – odpowiedział i mówił prawdę. – Czy Ben ci powiedział, że z nią sypia? Czy powiedział ci, że spał z nią wczoraj?

Liz czuła, jakby wpadała w jakąś studnię bez dna.

– To niemożliwe! – zawołała, a jej głos brzmiał cicho, jakby odebrano mu całą siłę. – Ostatniej nocy był ze mną!

Musiała uciec Teksowi, zanim zobaczy, jakie wrażenie wywarły na niej te jego rewelacje. Musiała znaleźć Bena. I musiała znaleźć Emmę. Złapała Hugona, przerywając mu anegdotę o charytatywnym meczu piłki nożnej, w którym wziął udział.

– Gdzie jest Ben? – zapytała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Hugo potrząsnął głową, zły, że przerwano mu opowiadanie.

Przez całe lata ćwiczenia anegdot doszedł do idealnej wprawy w stopniowaniu napięcia.

– No więc... – ciągnął – myśleliśmy, że mamy w drużynie Michaela Owena, prawda, a tymczasem okazało się, że to Mark Owen z Take That...

Stacey tańczyła na parkiecie z Gilesem, Lukiem i Flick do piosenki Kylie. Stacey będzie wiedziała, pomyślała Liz. Ta suka przez cały dzień siedziała tuż obok Bena ze stoperem, bez jednego słowa, i tylko zapisywała wszystko w zeszycie. Każdy rozmiar soczewki, każdą ekspozycję, każdą linijkę tekstu dodaną w ostatniej chwili, pozycję każdej ręki i każde szczeknięcie psa. Nic nie umykało uwagi Stacey.

Ona będzie wiedziała.

Liz złapała ją za rękaw koszulki.

– Czy Ben pieprzy Emmę? – spytała ostro.

Stacey westchnęła, a szklana kula na suficie rzuciła drobne iskry światła na jej twarz.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – odparła.

Nie cierpiała tych poplątanych i grząskich cudzych związków, dbała, aby jej własny był tak nieskomplikowany, jak tylko się dało. W Brixton miała dziewczynę podobną do niej jak siostra. Obie trzymały się tego, co same wiedziały. Tak bywało o wiele prościej.

– Gdzie on jest?!! – wrzasnęła Liz, ale Stacey tylko wzruszyła ramionami i wróciła do tańca z Gilesem.

Przy barze, wypijając kolejne szklaneczki tequili z Bex i Tracey, Danny i

Alex wiedzieli, że to ich ostatnia szansa na szybki numerek.

– Którą wolisz? – krzyknął Danny do ucha Aleksa. – Ja miałem już obie, więc wszystko mi jedno.

– A co wy tak sobie szepczecie? – chciała wiedzieć Tracey.

Miała na sobie spadający z ramion błękitny top ozdobiony drobinkami brokatu, który chwycił światło przy każdym ruchu, i dopasowane do całości, nisko wycięte rybaczki, z których na biodrach wystawał rąbek jej czarnych stringów. Ona i Bex spędziły dwie godziny, robiąc sobie nawzajem makijaż i w wilgotnym, gorącym klubie pokryły się teraz lepkim, seksownym połyskiem.

– Usiłowaliśmy się zdecydować, który bierze którą – powiedział Danny.

– Ja mówiłem, że powinniśmy rzucać monetą.

Bex i Tracey wymieniły zgorszone spojrzenia.

– No, to niezbyt ładnie! – powiedziała Tracey.

– Nie, to my powinniśmy wybierać – powiedziała Bex. – Ktoś ma monetę?

Alex wygrzebał z kieszeni dwudziestopensówkę.

– Dobra – powiedziała Bex. – Ja rzucam.

– Dlaczego ty? – zaprotestowała Tracey.

– Bo powiedziałam to pierwsza.

– Bez sensu. Powinniśmy rzucić monetą o to, która wybiera.

– Dziewczyny! Dziewczyny! – przerwał Alex. – Wiem, jak was pogodzić. Kto pierwszy je wypije, ten wybiera. – Na barze stało rzędkiem osiem szklaneczek z tequilą.

– Ja nie wypiję czterech – powiedziała Tracey.

– Ani ja – zgodziła się Bex.
– To może po trzy? – podsunął Alex.
– Taa, dobrze – zgodziła się Tracey. Nie chciała wyjść na mięczaka i Bex nie pozostało nic innego, jak podjąć wyzwanie.

– Zawodniczki, zaczynacie na mój gwizdek – oświadczył Alex, a potem, ponieważ nie miał gwizdka, zawołał: – Raz, dwa, trzy, start!

W pierwszej kolejce Tracey i Bex szły łąb w łąb. Wyglądało na to, że w drugiej na prowadzenie wysuwa się Tracey, ale to Bex trzasnęła triumfalnie o kontuar baru pustą trzecią szklaneczką. Alex nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek walczyły o niego dziewczyny, i żałował, że nikt tego nie nagrywa na wideo, ale Bex nieco zepsuła mu nastrój, kiedy powiedziała:

– Wybieram Danny’ego.

Alex pocieszył się kolejną szklaneczką tequili, a Tracey posłusznie usiadła mu na kolanach.

– Wygląda na to, że jesteśmy razem – uśmiechnęła się do niego, obejmując go ramionami za szyję.

Danny złapał Bex za rękę i wyszła za nim, drepcząc na swoich wysokich obcasach, a ciasna spódnica zmuszała ją do stawiania maleńkich kroczków.

Alex odwinął ręce Tracey ze swojej szyi i nerwowo spojrzął na zegarek.

– W sumie – powiedział – lepiej sobie darujmy. Moja żona będzie tu lada moment.

– Twoja żona? – Tracey popatrzyła na niego z niedowierzaniem. – To szczyt wszystkiego.

Spojrzała na stojącą na barze ostatnią szklaneczkę tequili i zastanawiała się, czy nie chlusnąć mu nią w twarz. Ale już i tak

straciła na Aleksa sześć tygodni – nie było sensu marnować też świetnej tequili. Zabrała ze sobą szklaneczkę i miała nadzieję, że zdąży jeszcze poderwać Gilesa.

Kiedy szła na parkiet, omal nie zderzyła się z Liz nadchodzącą z przeciwnej strony.

– Widziałaś Bena? – zapytała Liz.

– Od dawna nie – odparła Tracey. – Kiedy go widziałam ostatnio, szedł na górę.

Liz podniosła oczy i zobaczyła czarne drzwi na piętrze – te, które pokazała Emmie pierwszego dnia zdjęć. Drzwi, które prowadziły donikąd. Od razu wiedziała, że tam na pewno ich znajdzie.

Wbiegła po schodach, obawiając się tego, co zobaczy, ale niezdolna się zatrzymać. Pamiętała, jak Ben lubił niebezpieczeństwo, i przypomniały jej się wszystkie te sytuacje, kiedy wymykali się

wspólnie, a adrenalina skakała im za każdym razem, kiedy słyszeli jakieś kroki albo kaszlnięcie w pobliżu. Wydawało jej się, że porusza się w zwolnionym tempie, pnąc się i pnąc po tych schodach – drzwi wcale się nie zbliżały. Wreszcie jednak znalazła się na górze i pchnęła je. Ben opierał się o ścianę na końcu ślepego korytarzyka, koszulkę miał wyciągniętą z dzinsów i całował się z Emmą.

Liz zobaczyła przed oczami czerwone, czy raczej, dokładniej mówiąc, różowe plamy.

– To moja sukienka, ty cholerna dziwko! – wrzasnęła i rzuciła się na Emmę, odrywając ją od Bena za szyję. Silne palce Liz zacisnęły się na gardle dziewczyny i zaczęły ją z całej siły dławić. Zabije sukę. Zabije ją z miejsca. Kciuki wbiła w tchawicę Emmy i pchnęła ją na przeciwległą ścianę.

Emma sapnęła, bardziej z zaskoczenia niż braku tlenu i własnymi drobnymi dłońmi zaczęła słabo walczyć z dzikim atakiem Liz. Nie mogła pojąć, czemu Liz tak się wściekała o jakąś sukienkę.

– Liz! – Ben złapał ją za ramiona, usiłując odciągnąć na bok. Emma krztusiła się już i oczy miała przerażona, ale Liz nadal nie puszczała.

– Czekałam na to sześć lat i ty mi teraz tego nie odbierzesz, chuda suko po szkółce aktorskiej!

– Puść ją! – wrzasnął Ben i Liz na chwilę oderwała jedną dłoń, żeby wymierzyć mu cios pięścią prosto w zębra, a potem znów zaczęła dusić Emmę. – To nie wina Emmy! – zawołał do niej.

Liz dostrzegła pewną logikę tego rozumowania, bo puściła Emmę i rzuciła się na Bena. O wilgotną ceglana ścianę opierał się mop ze złamanym trzonkiem,

Liz chwyciła go i zaczęła nim okładać Bena. Nie umiał zdobyć się na to, żeby jej oddać, i usiłował zwinąć się w kłębek – zasłaniając głowę ramionami.

– Przestań, przestań! – krzyczała Emma. Próbowwała wyrwać Liz kijek, ale została pchnięta na zakurzone czerwone kafelki, uderzyła łokciem o ścianę.

– Ty bydlaku! Ty śmieciu! – krzyczała Liz, serię razów wymierzając w plecy i ramiona Bena. – Pieprzysz ją, tak? Pieprzyłeś się z nią wczoraj, zanim przyszedłeś pieprzyć się ze mną!

Emma znów wyciągnęła rękę, usiłując wyrwać Liz mopa, ale teraz zamarła, bo zdała sobie sprawę, że furia Liz nie ma jednak nic wspólnego z różową sukienką.

– Myślałaś, że jesteś jedyna? – wypluła Liz, patrząc na nią. – Myślałaś, że on cię kocha?

Emmie odebrało głos, a Liz uderzyła

Bena kijem po nogach.

– Liz, proszę cię! Przepraszam! – zakrztusił się i lekko wyprostował, usiłując z nią pertraktować.

– Noszę twoje dziecko, ty skurwielu! – wrzasnęła.

I zapadła cisza.

Ben obniżył ramiona, patrząc na nią, osłupiały, a kiedy ich oczy się spotkały, zakłęcie przysło.

Liz patrzyła prosto w oczy samolubnego, kłamliwego tchórza, korzącego się przed nią na podłodze. I w jednej chwili pojęła, że ten człowiek nigdy nie był dla niej bratnią duszą. Był czymś w rodzaju gada w ludzkiej skórze, kosmicznym żartem, który jej zrobiono – karą za jakiś występki w poprzednim życiu, którego nawet nie pamiętała.

Stanowił zwyczajną złą karmę.

Opuściła rękę i powoli pokręciła głową,

zaskoczona, kiedy zdała sobie sprawę, że jedynym jej uczuciem wobec Bena jest niesmak, a nie miłość. Przez ostatnie sześć lat to nie Bena usiłowała z takim trudem odzyskać, ale szacunek do samej siebie.

– Liz? – zająknął się Ben. – Proszę?

– Jesteś żałosny – powiedziała i trzasnęła kijem z całej siły w jego krocze.

Gdyby Tex nie pojawił się w tej chwili, wbiegając pędem po schodach, Ben doznałby z pewnością znacznie poważniejszych obrażeń.

– Daj spokój, Liz. Już wszystko dobrze. Zostaw go – powiedział do niej Tex. Złapał mopa jedną potężną dłonią, odrzucił go na bok, a drugą ręką odciągnął Liz. Kiedy Tex wyprowadzał ją za drzwi, zdjęła sandał i ostatni pożegnalny strzał wymierzyła w głowę Bena. Obcas trafił go w łuk brwiowy.

– Nie jesteś jej wart – powiedział cicho

Tex.

– Której? – sapnął Ben.

– Obu – powiedział Tex i poszedł za Liz.

Ben dopiero po paru minutach złapał oddech. Skaleczenie nad brwią zaczynało krwawić. Kiedy obrócił się w stronę Emmy, siedziała na zimnej posadzce, opierając plecy o ścianę i trzymając sandał Liz od Jimmy’ego Choo. Wyglądała jak jakiś współczesny kopciuszek. Na różowej sukience był ślad po sadzy, z którym trzy próby chemicznego prania miały sobie nigdy nie poradzić. Kaszlnęła i potarła kark.

– Emma, nic ci nie jest?

Pokręciła głową.

– Przeżyję.

– Nie słuchaj Liz – błagał Ben. – Ona oszalała. Nie wie, co mówi.

– A zatem, nie spałeś z nią?

– Nie. Powinienem był ci to powiedzieć. Liz to stara przyjaciółka. Ale to się skończyło całe wieki temu.

– I nie spałeś z nią wczoraj?

– Oczywiście, że nie. Przysięgam. – Wziął ją za rękę i zaczął delikatnie głaskać. – Przysięgam na życie mojej matki. Musisz mi uwierzyć.

Emma popatrzyła w tę miłą twarz Bena, którą już zdążyła tak bardzo polubić. Uśmiechnął się do niej, żeby zrozumiała, że wszystko będzie dobrze – uśmiechem chwytającym za serce – a ona ze wszystkiego na świecie najbardziej pragnęła móc mu wierzyć. Ale nie mogła.

– Musisz uważać, że jestem naprawdę głupia – powiedziała cicho.

A potem wstała, otrzepała różową sukienkę, otworzyła ciężkie drewniane drzwi i zeszła po schodach, wiedząc, że po raz ostatni w życiu widziała Bena

Lincolna.

Rozdział 32

Emma nie pojechała na projekcję dla ekipy i obsady, która odbyła się pół roku później w kinie studyjnym na Wardour Street. Zaproszeniu – pocztówce ze zdjęciem Jasmine i Eddiego na skuterze – towarzyszyła krótka, odřejczna notka od Bena: *Proszę, przyjdź*. Emma ustawiła ją za tosterem. I tak nie mogłaby pójść, bo we czwartek salon był otwarty do późna.

– Chyba oszalałaś – powiedziała Donna, kiedy Emma poprosiła o swoją dawną posadę. – Gdyby ktoś dał mi szansę zostania aktorką i wyrwania się stąd, w pięć minut by mnie tu nie było.

– Aleja lubię to miejsce – powiedziała Emma. Brakowało jej rodzinnej atmosfery salonu i za pierwszym razem, kiedy znów przekroczyła szklane frontowe drzwi,

miała wrażenie, że wraca do domu. Jeśli ostatnie dwa miesiące były tym, co oznaczało pracę aktora, to ona nie chciała mieć nic wspólnego z taką pracą. Wolała już być tutaj, wykonywać pracę, w której była dobra, gdzie nikt jej nie okłamywał ani nie zamykał jej w bagażniku samochodu, ani nie usiłował jej udusić, ani nie obserwował, jak uprawia seks z facetem, którego nienawidzi. Poczwała ulgę, że przychodzi do pracy co rano i może się wtopić w tłum. Nie brakowało jej reflektorów.

– Miałaś okazję całować się z Dannym Parkerem! – zachwycała się Donna. – Dałabym sobie obciąć prawą rękę, żeby całować się z Dannym Parkerem!

– Nieprawda – powiedziała Emma. – On nie jest wcale taki ciekawy. Nikt nie był tam zbyt ciekawy. To wszystko tylko udawanie.

– Ale pomyśl o pieniądzach!

Emma myślała o pieniądzach. Suma zarobiona przy *Brighton Rocks* starczyła na spłacenie zaległej już pożyczki za studia i po raz pierwszy od wyjazdu z domu nie miała długów. A za resztę kupiła sobie szczeniaka ze schroniska dla psów w Battersea – szorstkowłosego teriera z permanentnie optymistycznym wyrazem pyska, którego nazwała Szczota. Czuła się niezmiernie bogata.

– Marnujesz talent – tłumaczył jej Michael. – To tragedia. – Prowadził teraz krótki program na Shopping Chanel i codziennie w pracy pojawiał się na nowym harleyu davidsonie, co, jego zdaniem, dobrze wpływało na jego wizerunek.

Emma tylko się roześmiała.

– Wiesz, Michael, zdradzę ci pewien sekret. Nigdy nie miałam prawdziwego talentu.

Zaczynano ją zapraszać na przesłuchania do prawdziwych ról – niewielka rola w serialu telewizyjnym, sztuka w Bush, maleńka rolka filmowa – ale wszystkim odmawiała. Cokolwiek Irene opowiadała o tym, że po czterdziestce ma się z górki, ona miała jeszcze mnóstwo czasu, gdyby zdecydowała się podjąć na nowo aktorską karierę. Ale przez kolejne parę miesięcy chciała przypomnieć sobie, jak właściwe wygląda prawdziwe życie.

– Nie chcę teraz udawać, że jestem kimś innym – powiedziała do Irene. – Chcę przez chwilę spróbować pobyć sobą.

Ben dzwonił codziennie, zostawiając na jej sekretarce nieśmiałe, zażenowane wiadomości, na które nie odpowiadała. Myślała, że może przestawić sobie jakiś przycisk w sercu, przestać się kochać w Jasonie i zakochać się w Benie. A teraz

wiedziała, że to niemożliwe. Nie mogła się zakochać w Benie, skoro go nawet nie знаła. Wszystko między nimi oparte było na kłamstwie. Gdyby powiedział jej prawdę, kiedy go zapytała, i przyznał, że przez cały ten czas sypiał z Liz, może byłoby inaczej. Może by spróbowała zrozumieć i wybaczyć mu. Ale nie mogła wybaczyć mu tego, że łgał jej prosto w oczy.

W marcu *Brighton Rocks* wszedł na ekrany kin. Michael, Donna i jeszcze parę dziewczyn z salonu poszli z Emmą na pierwszy piątkowy seans do kina w Haymarket.

Kino było w trzech czwartych puste – czy, jak kto woli, w jednej czwartej pełne – i nikt ze stojących w kolejce po popcorn nie rozpoznał Emmy z plakatu – w sumie sama siebie zresztą w tym filmie nie rozpoznawała.

Całe lato przeleciało Emmie przed oczami, ale nie to lato, które zapamiętała. Wszystkie kolory były żywsze i nie była pewna, czy to dlatego, że wspomnienia zblakły, czy po prostu to taki trick z oświetleniem. Bardzo się bała sceny miłosnej z Dannym, ale ku jej zdziwieniu i uldze, ten fragment został wycięty. Widać było tylko, jak Danny ją całuje, jej kurtka spada na podłogę i zaraz było ostre przejście na mewę lecącą nad wodami morza z przenikliwym krzykiem. Donna stuknęła Emmę pod żebro.

Poza numerami muzycznymi, które ciągnęły się zbyt długo – a Emma pomyślała, iż wyraźnie widać, że to playbacki – film przeleciał piorunem i zaraz doszło do sceny finałowej.

– A to kto? – szepnęła Donna, kiedy para rąk w grubych ogrodowych rękawicach wyjęła sztuczny kwiatek z

donicy, ukazując mały woreczek zagrzebany w ziemi.

– Ciii – odszepnęła Emma. – Zaraz zobaczysz.

A potem znów znaleźli się w łazience mieszkania kapeli, gdzie Alex gorączkowo zbijał kafelki ze ściany. Giles wkłada rękę w otwór i wyciąga ukryty w ścianie woreczek szmaragdów.

Wysypuje zawartość na dłoń, ale ku swojemu przerażeniu widzi, że szmaragdy znikły i ma garść szarobeżowych kamyków.

– Nie ma ich! – wykrztusił.

Cięcie i zbliżenie na ręce kasjerki odliczającej banknoty dwudziestofuntowe – może trzydzieści, nie za wiele, żeby nie wzbudzać podejrzeń – a obok nich widać ledwie dostrzegalny stosik malajskiej waluty. Kamera cofa się i ukazuje twarz Jasmine, która czeka przy kontuarze

kantoru walutowego. Otwiera torebkę, żeby schować pieniądze do środka i widzimy wtedy, że jest pełna angielskich i malajskich banknotów.

Kasjerkę gra Magda, pokojówka z Polski, z bardzo zadowoloną z siebie miną.

Kamera podąża za Jasmine na ulicę, gdzie w niewielkiej odległości stoi zaparkowany jej vauxhall viva. Kiedy Jasmine przechodzi na drugą stronę jezdni, wyjmuje kółko z kluczykami, kieruje w stronę samochodu i słyszymy elektroniczne piknięcie. Ale zamiast wsiąść do vauxhalla, Jasmine mija go i otwiera drzwi nowiusieńkiego srebrnego maserati spydera, zaparkowanego tuż za nim. Wsiada, wkłada kluczyk w stacyjkę i odjeżdża.

Emma uśmiechnęła się, wspominając, jak Ronald Gash namówił Sophie Randall, żeby pożyczyła im na jeden dzień swój

nowy samochód. W gruncie rzeczy szukał tylko wymówki, żeby przejechać się nim z Londynu do Brighton, wyciskając sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę na M25, kiedy Sophie leżała rozparta na jego kolanach na przednim siedzeniu. Mandat za przekroczenie prędkości, który dostał tuż po ogłoszeniu wyroku z zawieszeniem za obrazę moralności publicznej, pomógł utrwalić jego nowy wizerunek Wysłannika Piekieł. Pojawił się w „Daily Mail” w ich rankingu Seksownych Facetów po Sześćdziesiątce i ludzie od Bonda już namawiali go do roli swojego nowego czarnego charakteru.

Potem kamera podąża za Jasmine, która włącza się do ruchu w stronę znaku LONDYN A 23. Kiedy jej samochód niknie wśród innych na autostradzie, obraz przechodzi płynnie w zbliżenie dłoni Gilesa szarpiących struny gitary.

Kapela gra *Die Laughing* i słysząc zza kadru głos Eddiego:

– Wcale nie chodziło nam o pieniądze. Zależało nam na muzyce. w Po pierwszych słowach kamera cofa się i ukazuje kapelę, znów grającą na molo, zaledwie parę metrów od miejsca, gdzie grali na początku filmu. Jakiś przechodzień wrzuca im dziesięć pensów do otwartego futerału gitary. Są tam w sumie, drobnymi monetami, ze trzy funty.

Ollie na moment przerywa bębnienie, dotyka palcem czapki i wtedy ekran ciemnieje i pojawiają się napisy końcowe.

– A więc – zagaiła Donna, kiedy czekały na metro – Jasmine była po prostu córką Turpina.

– Taa. To dlatego pracowała w klubie. Przez całe lata usiłowała odnaleźć prawdziwego ojca, a kiedy się z nim

wreszcie skontaktowała, nie chciał jej znać. Przysięgła sobie, że znajdzie jakiś sposób, żeby go zranić tak samo, jak on zranił ją.

– Trochę naciągane, moim zdaniem – pociągnęła nosem Donna.

– Taa, no cóż, to tylko film – powiedziała Emma. – Nie musi być tak, jak w prawdziwym życiu, prawda?

Recenzje były w najlepszym razie letnie. Luke'a określano mianem charyzmatycznej osobowości, opis reżyserii Bena wahał się od „amatorszczyzny” przez „dziwactwo” aż po „nadpobudliwość”, większość gazet wykorzystwała zdjęcie Sophie Randall, chociaż pokazała się w filmie na ledwie dziesięć sekund, RONALDA GASHA określono jako starego kaboty, a jeśli padało już nazwisko Emmy, to tylko w nawiasach po imieniu głównej postaci żeńskiej, czasami

ze słowami: „początkująca aktorka”. Tydzień później film zszedł z ekranów i było tak, jakby nigdy się nie pojawił. Być może jedynym jego pokłosiem był artykuł, który ukazał się miesiąc później w niedzielnym wydaniu pewnej gazety – Bex wspominała swoje gorące noce z gwiazdą filmu. Po tym artykule raz na zawsze Danny zyskał przydomek Małego Fiutka.

Emma dowiedziała się, że następnym projektem Bena miało być reżyserowanie filmu do scenariusza Luke’a. Powiedział jej o tym Tim, goniec. Był jedyną osobą, z którą utrzymała kontakt po zakończeniu zdjęć, i jedyną, która podzielała jej głębokie rozczarowanie przemysłem filmowym. Następnego dnia po imprezie pożegnalnej odwiózł ją z Brighton do domu i powiedział jej, że kiedy się wymeldowywał rano z hotelu, wręczono

mu rachunek na tysiąc trzysta sześćdziesiąt pięć funtów i czterdzieści dziewięć pensów. Najwyraźniej Patrick oczekiwał, że nie tylko będzie pracował za darmo, ale i opłaci sobie zakwaterowanie. Dopiero po telefonie Tima do jego ciotki, Angeli, sprawa została wyjaśniona. Patrick zaklinał się na wszelkie świętości, że to wszystko było tylko zabawnym nieporozumieniem ze strony hotelu, a Angela stała i patrzyła mu przez ramię, kiedy wypisywał czek na całą kwotę.

Tim znów zaczął zajęcia w szkole medycznej i co parę tygodni wpadał do Emmy na strzyżenie, a przy okazji opowiadał jej wszystkie nowe ploteczki.

Parę miesięcy po wejściu *Brighton Rocks* na ekrany pojawił się z pizzą, kopia *Withnail i ja* na kasecie wideo i wiadomościami o Liz. Wpadł na nią w supermarkecie w Wandsworth. Przybrała

na wadze co najmniej z dwanaście kilo, miała na sobie granatowe, powypychane spodnie od dresu i luźną koszulkę. Tim uznał, że wyglądała wprost rewelacyjnie. Jej córeczka spała spokojnie w wózku na zakupy – niemowlę o brązowej skórze, oczach jak czekoladowe cukiereczki i lśniących, czarnych włoskach. Nazwali ją Elsa po mamie Teksa, powiedział Tim.

– Więc to wcale nie było dziecko Bena?

– Gdybym miał się zakładać – powiedział Tim – tobym twierdził, że nie. Ślub będzie we wrześniu.

Emma szeroko otworzyła usta.

– Ale czy ona kocha Teksa?

– Takiego pytania raczej nie można komuś zadać na środku supermarketu – stwierdził Tim. – Ale wyglądała zupełnie inaczej.

– To znaczy jak?

Tim zastanawiał się przez chwilę.

– Była szczęśliwa – zdecydował się wreszcie.

– Myślisz, że dostaniemy zaproszenie na ślub?

– No, tak daleko bym się nie posuwał.

Telefon zadzwonił, kiedy Richard E. Grant smarował się maścią deep heat, żeby się rozgrzać.

– Zatrzymam to – powiedział Tim, a Emma podniosła się z sofy i poszła odebrać telefon na korytarzu.

– Dobrze, że jesteś w domu – powiedział głos, którego spodziewała się już nigdy nie usłyszeć. – Zaraz u ciebie będę.

To był Jason. Emma osłupiała. Ile to minęło? Prawie rok, odkąd go widziała?

– Hm. W sumie to nie jest najlepszy moment.

– A czemu? Jest ktoś u ciebie? Masz tam jakiegoś faceta?

Emma spojrzała przez drzwi na Tima, rozciągniętego na jej sofie bez butów i z głową odrzuconą do tyłu, żeby wpakować do ust kolejny kawałek pizzy.

– No cóż, nie nazwałabym go facetem – powiedziała Emma. – Już bardziej chłopakiem.

Jason wydał jakieś nieokreślone parsknięcie.

– Pozbądź się go – zarządził. – Przyjadę za dwadzieścia minut.

Emma odwiesiła słuchawkę. W sercu miała takie uczucie, jakby tańczyła na linie od bungee.

– Kto to był? – spytał Tim.

– Och, nikt – odpowiedziała z roztargnieniem i nacisnęła guzik odtwarzania, siadając z podwiniętymi nogami. Żałowała, że nie pali ani nie ogryza paznokci. Co ona, u licha, powie Jasonowi? Kiedy dzwonek u drzwi

zabrzmiał po zaledwie kwadransie, nadal nie miała pojęcia.

– Nie masz zamiaru sprawdzić, kto to? – spytał Tim.

Znów zadzwonił – dwa krótkie, niecierpliwe dzwonki – zanim zdążyła podejść do domofonu. Zwolniła zamek drzwi na dole, otworzyła drzwi wejściowe do mieszkania i wróciła na sofę do Tima. Cieszyła się, że będzie w nim miała moralne oparcie.

Usłyszała odgłos stóp wbiegających po schodach – najpierw szybko, a potem z większym wahaniem, kiedy się zadyszał. Liczyła w głowie schody. Pięć, sześć, siedem, osiem – a potem Jason pchnął drzwi wejściowe i stanął w dużym pokoju. Płaszcz i włosy miał mokre. Emma patrzyła na niego, jakby zobaczyła fatamorganę. Ledwie po raz trzeci w życiu postawił stopę w jej mieszkaniu.

– O kurka – powiedział Tim, który rozpoznał Jasona z serialu.

Jason zmarszczył brwi i pokazał głową w stronę kuchni.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział do Emmy i ruszył przodem korytarzem.

Tim popatrzył na Emmę nieco zagubiony.

– Mam sobie pójść?

– Nie, nie wstawaj.

W kuchni Jason wycierał sobie czarne skórzane mokasyny kawałkiem papierowego ręcznika.

– Kto to, ten tam? – spytał ostro.

– Nie twoja sprawa – odparła Emma. Czekała na ten moment od miesięcy, wiele razy ćwiczyła tę scenę w myślach, ale nie spodziewała się, że się rozegra w jej własnej kuchni. Żaden z przygotowanych scenariuszy nie pasował do obrazka.

Będzie musiała improwizować. – Co ty tutaj robisz? – spytała.

– Emmo, przepraszam cię. – Głos miał unizony. Pełen skruchy. – Zrobiłem straszny błąd. Przemyślałem to i chciałbym, żebyśmy do siebie wrócili.

Ledwie wierzyła, że słyszy słowa, których kiedyś tak bardzo wyczekiwała. Brzmiało to zbyt pięknie, żeby miało być prawdziwe.

– A co z Nicole? – zapytała.

Jason skrzywił się.

– To wariatka. Nie dasz wiary, jaka bywa zaborcza. Wchodzi mi na głowę. Między nami skończone.

– Ale przecież jesteście zaręczeni?

Jason pokręcił głową.

– Nie. To wszystko był jej pomysł. Ten pierścionek, który pokazała w gazecie? Ma go po babci. Podkrecała tylko fotografów. Powiedziała, że przyda nam się trochę

szumu w prasie. Mówiłem ci, jest nienormalna.

– Aha – mruknęła Emma. Dokładnie w coś takiego chciała kiedyś wierzyć. Całe te zaręczyny były udawane. Jason nie kochał Nicole – kochał ją. Nadal ją kochał. Ale to nie wyjaśniało, czemu nie odezwał się do niej jednym słowem przez tyle miesięcy.

– W sumie – rzekł Jason – uważam, że powinniśmy się pobrać. Jak najszybciej.

Emma zawsze wiedziała, że tak się skończy jej romans z Jasonem. Wyobrażała sobie tę scenę niemal od dnia, kiedy zaczęli się spotykać, wyobrażała sobie, jak ze łzami radości w oczach przyjmie oświadczenia i szybko powie kilka prostych słów. Wiedziała nawet, jaką będzie miała sukienkę, ale teraz, patrząc na mokre ślady butów Jasona na kuchennej podłodze i zabłocony kawałek papieru, który rzucił na kuchenny blat, czuła

wyłącznie irytację.

– Mógłbyś to wyrzucić do kosza, bardzo proszę? – powiedziała.

– Co?

– Ręcznik kuchenny. Nie zostawiaj go na szafce. Wyrzuć go do kosza.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Chcę, żebyśmy się pobrali.

– Naprawdę? Ale jak my to mamy zorganizować, Jason, skoro ja nigdy, ale to przenigdy, nie chcę cię już widzieć na oczy?

Jason roześmiał się.

– Jesteś po prostu zdenerwowana. Wiesz, że nie to masz na myśli. Pozbądź się tego faceta z dużego pokoju i porozmawiamy sobie spokojnie.

– Nie ma o czym rozmawiać. Nie mam ci nic do powiedzenia. – Złamał jej serce, porzucił bez jednego słowa wyjaśnienia, a teraz oczekiwał, że ona za niego wyjdzie? I

ona sobie kiedykolwiek wyobrażała, że jest w kimś takim zakochana?

– Emma, ostrzegam cię. – Głos Jasona powiał lodowatym chłodem. – To twoja ostatnia szansa. Jeśli nie każesz temu gościowi wyjść, w tej chwili opuszczę to mieszkanie i nigdy w życiu już mnie nie zobaczysz.

– Ależ Jason – odparła. – Ty czegoś nie rozumiesz. My sobie wypożyczyliśmy wideo.

I z tymi słowami Emma zawróciła na pięcie i poszła do saloniku, zostawiając Jasona z kłębkim brudnego papieru w garści.

Usiadła wygodnie na sofie obok Tima, serce przestało jej podskakiwać i uspokoiło się. Było jej dobrze.

– Coś mnie ominęło? – spytała.

Kilka chwil później usłyszała kroki Jasona oddalające się korytarzem i

trzaśnięcie wejściowych drzwi. Nawet się za nim nie obejrzała.

– Wszystko dobrze? – spytał Tim i ścisnął ją za rękę.

Emma uśmiechnęła się i podkręciła dźwięk. Wszystko świetnie – zapewniła go. – Niektórzy ludzie po prostu nie wiedzą, kiedy coś się kończy.